

TRZECI TOM BESTSELLEROWEGO CYKLU

# POZAŚWIATOWCY

W POGONI ZA PROROCCTWEM



# BRANDON MULL

AUTOR CYKLU „BAŚNIOBÓR”

**Brandon Mull**

**W POGONI ZA PROROCTWEM**

**POZAŚWIATOWCY  
TOM 3**

**Przełożyła  
Małgorzata Strzelec**

**Wydawnictwo MAG  
Warszawa 2013**

# Spis treści

Karta tytułowa

Karta redakcyjna

Prolog. Pojmanie bohatera

Rozdział 1. Akolitka

Rozdział 2. Mianamon

Rozdział 3. W drogę

Rozdział 4. Podróż na północ

Rozdział 5. Spotkanie na osobności

Rozdział 6. Durna

Rozdział 7. Koronacja

Rozdział 8. Rabusie

Rozdział 9. Propozycja

Rozdział 10. *Mściciel*

Rozdział 11. Dobra rada

Rozdział 12. Wyspa Wiatrochron

Rozdział 13. Ostateczne przygotowania

Rozdział 14. Kukła

Rozdział 15. Biblioteka

Rozdział 16. Petruski zwój

Rozdział 17. Marsz

Rozdział 18. Miecze wśród nocy

Rozdział 19. Zachodnia przełęcz

Rozdział 20. Zejście na ląd

Rozdział 21. Zdrada

Rozdział 22. Cztery forty

Rozdział 23. Dymiące Pustkowie

Rozdział 24. Zasadzka

Rozdział 25. Decyzja

Rozdział 26. Wąska Droga

Rozdział 27. Sekrety z przeszłości

Rozdział 28. Ostatni czarnoksiężnik

Rozdział 29. Przeznaczenie

Rozdział 30. Sprawiedliwość

Rozdział 31. Zabezpieczenie, które nakazuje rozsądek

Rozdział 32. Telepatia

Rozdział 33. Przerwana uczta

Rozdział 34. Pozaświatowcy

Rozdział 35. Ofiara

Rozdział 36. Rozbłysk

Epilog. Do domu

Tytuł oryginału:  
*Beyonders. Chasing the Prophecy*

Copyright © 2013 by Brandon Mull

Copyright for the Polish translation © 2013 by Wydawnictwo MAG

Redakcja:  
Joanna Figlewska

Korekta:  
Magdalena Górnicka

Ilustracja na okładce:  
Jason Chan

Opracowanie graficzne okładki:  
Piotr Chyliński

Projekt typograficzny, skład i łamanie:  
Tomek Laisar Fruń

Konwersja do formatu epub:  
pan@drewnianyrower.com

ISBN 978-83-7480-380-9

Wydanie II

Wydawca:  
Wydawnictwo MAG  
ul. Krypska 21 m. 63, 04-082 Warszawa  
tel./fax 22 813 47 43  
e-mail: [kurz@mag.com.pl](mailto:kurz@mag.com.pl)  
<http://www.mag.com.pl>

Wyłączny dystrybutor:  
Firma Księgarska Jacek Olesiejuk spółka z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.  
ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
tel. 22 721 30 00  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

# Prolog

## Pojmanie bohatera

Strzała z sykiem przecięła noc i z głuchym odgłosem uderzyła w ziemię obok węgielków osłoniętego paleniska. Młody giermek, który zawsze miał lekki sen, poderwał się gwałtownie. To cud, że w ogóle zdrzemnął się, będąc tak blisko Felrook. Przykucnął, wstrzymał oddech i spojrzał w ciemność, przypatrując się ceniom poza osłoną ich skromnego obozowiska. Wszędzie panował mrok i bezruch. Niektórzy mężczyźni wokół niego zaczęli szeptać i się wiercić.

Książę Galloran wyznaczył dwóch wartowników, którzy czuwali wysoko na drzewach. Kąt, pod jakim strzała wbiła się w ziemię, wskazywał, że nadleciała od Malaka. Nedwin pożałował, że zerknął wprost na drzewce, ponieważ blask węgielków z ogniska osłabił jego widzenie w ciemnościach. Natężając słuch wśród ciszy, próbował siłą woli zmusić oczy, żeby wzrok przebił głębiej mrok.

Malak nie wystrzeliłby strzały w kierunku obozowiska, dopóki wrogowie nie znaleźliby się dosłownie o krok od nich. Taki sygnał oznaczał najpilniejsze ostrzeżenie, a Malak nie był nerwowym nowicjuszem. Wręcz przeciwnie. Dwudziestu ludzi, których Galloran starannie dobrał do tej ostatniej misji, wywodziło się spośród najbardziej zaprawionych w boju i budzących największy postrach wojowników w całym Lyrianie. Wszyscy byli weteranami śmiałych kampanii, wszyscy wykazali się umiejętnością radzenia sobie nawet z największymi przeciwnościami i wszystkimi cesarz pogardzał.

Nedwin pomyślał ponuro, że stanowi jedyny wyjątek. Jako giermek Gallorana był podekscytowany i czuł się zaszczycony, gdy usłyszał, że ma dołączyć do tej szlachetnej drużyny jako jedyny członek, który nie osiągnął jeszcze wieku męskiego. Nie był wielkim wojownikiem ani mistrzem zwiadu, jego jedynym prawdziwym talentem była

umiejętność skradania się.

Chociaż Nedwin był zaledwie trzynastolatkiem, Galloran już od lat posługiwał się nim w roli szpiega. Nedwin miał dryg do dyskretnego zbierania informacji. Wiedział, gdzie stanąć w tłumie, jak się ustawić, kiedy ledwie da się podsłuchać rozmowę, jaką minę i postawę przybrać, żeby sprawiać wrażenie gapy. Wyczuwał, kiedy się schować, kiedy uciekać, kiedy robić wrażenie niczego nieświadomego i pogrążonego w jakiejś przyziemnej czynności. Początkowo nieproszony przychodził do Gallorana z informacjami, podejrzanymi szeptami podsłuchanymi na dworze. Kiedy ksiązę dostrzegł jego talent, zaczął wyznaczać mu tajne misje, a Nedwin wiernie je wypełniał.

Chociaż nieraz się wykazał, Nedwin nie spodziewał się, że zostanie włączony do takiej kampanii ani że zostaną mu powierzone sekrety, jakie wyjawiał mu na osobności Galloran. Kiedy nagle stanął wobec faktu, że nadchodzą wrogowie, ulżyło mu, że niespecjalnie boi się o własne życie. Przede wszystkim nie chciał rozczarować swojego księcia.

Zduszony okrzyk przerwał ciszę. Możliwe, że ktoś próbował krzyknąć „uciekajcie!” lub „ucinajcie!”. Nedwin nasłuchiwał, kiedy ciało Malaka spadło z trzaskiem przez gałęzie na poszycie leśne.

Podczas gdy mężczyźni wokół niego wstawali chwiejnie, wyciągając miecze i chwytając za łuki, Nedwin czmychnął z dala od obozowiska. Mknął na czworakach, bardziej skacząc niż się czołgając. Pośpiech był tak ważny, że Nedwin pozwolił sobie na trochę hałasu. Wreszcie zatrzymał się za guzowatym pnem starego drzewa, wciskając się między dwa grube sękate korzenie.

Półksiężyc wyszedł zza chmury, zalewając delikatnym srebrnym blaskiem okolicę. Przed zachodem słońca Galloran postanowił rozbić obóz wśród ruin dworu starodawnego wodza. Ściany zawaliły się dawno temu i kilka wyszczerbionych resztek wystawało z ziemi niczym przypadkowo rozrzucone nagrobki. Lawson rozpałił skromny ogień w starodawnym kominku, osłaniając płomienie i ufając ciemności, że ukryje wąły dym. Chociaż zniszczone przez upływ czasu ruiny były całkiem zapomniane i znajdowały się daleko od ścieżki, nadal stanowiły charakterystyczny punkt orientacyjny. Nedwin wolałby bardziej anonimowe obozowisko.

W upiornym księżycowym świetle patrzył, jak grad strzał szepcze wśród nocy, uderzając głucho w tarcze, podzwaniając o zbroje, odnajdując też odkryte ciało. Po trzech salwach uzbrojeni w miecze i odziani w zbroje ludzie rzucili się na obóz. Drużyna Gallorana wybiegła im naprzeciw.

Nedwin rozdziawił usta, widząc przeprowadzony po mistrzowsku atak. Chmury zasłaniały księżyc przez całą noc. W jaki sposób wrogowie tak doskonale zsynchronizowali atak? Ciemność ukrywała ich nadejście aż do chwili, kiedy Malak przesłał spóźnione ostrzeżenie. Księżyc wyłonił się w samą porę, żeby pomóc wrogim łucznikom trafić w cel i utrudnić ludziom Gallorana ucieczkę do mrocznego lasu. Czy

tak idealne zgranie w czasie można przypisać szczęściu?

Nedwin dostrzegł dwóch osobistych strażników Gallorana, którzy go ponaglali, by uciekał przed naciągającym wrogiem. Księżę się opierał i Nedwin musiał zasłonić usta dłonią, żeby samemu nie wrzasnąć, by uciekał. Jeśli Galloran padnie, wszystko będzie stracone. Pozostali to rozumieli i byli gotowi za niego umrzeć.

Tursock z Meridonu, potężny jak niedźwiedź mężczyzna, który dzierżył ogromne młoty bojowe w obu rękach, rzucił się na nadbiegających napastników. Słabsi wojownicy musieliby nieźle się wysilić, by posłużyć się jednym z jego młotów, i to trzymanym w obu rękach, ale siła Tursocka była legendarna i teraz ciosami wyrzucał wrogów w powietrze, roztrzaskiwał tarcze, hełmy i kości. Pozostali towarzysze Gallorana rzucili się za Tursockiem do walki, a każdy z nich był rycerzem zdolnym w pojedynkę odmienić losy bitwy. W obliczu przewagi przeciwnika napastnicy szybko ulegli klindze, toporowi i włóczni.

W krótkiej chwili wytchnienia, jaka potem nastąpiła, świeża salwa strzał syknęła z różnych kierunków. Nagle Nedwin pojął, że celowo poświęcono żołnierzy piechoty – to był podstęp mający na celu wywabienie ludzi Gallorana na bardziej odsłonięty teren! Wielu łuczników wycelowało w Tursocka, który zatoczył się, a potem padł na kolana, ciemny kształt jego potężnej sylwetki nagle zaczął przypominać poduszeczkę na igły.

Kiedy tarcze się uniosły, a ludzie Gallorana zaczęli szukać kryjówki, z ciemności wynurzyły się haratacze, ogromne stworzenia w nastroszonych kolcami zbrojach, wyposażone w śmiertcioną różnorodność wirujących ostrzy. Dołączyli do nich żołnierze z elitarnych oddziałów, werbownicy i rozsadnicy. Strzały nadal nadlatywały ze śmiertcioną precyzją.

Galloran i jego osobiści strażnicy wycofali się do lasu, znikając z widoku. Nedwin wiedział, jak trudna musiała być ucieczka dla księcia, kiedy inni walczyli w jego obronie.

Tursock z trudem podniósł się, widząc zbliżające się haratacze. Z potężnym brzęknięciem obalił najbliższego, zostawiając wgniecenie w jego żelaznej skorupie. Rozległ się łomot i szczękanie, kiedy jego młoty uderzyły w następnego, chociaż w tej samej chwili mnogość bezlitosnych ostrzy przebiła się przez futrzane szaty Tursocka. Kiedy haratacze szły przez szeregi obrońców, stało się jasne, że wielu z nich nie ma pełnych zbroi. Nedwin wytrzeszczył z przerażenia oczy, ujrawszy, jak mężczyźni, których podziwiał przez całe życie, padają.

Oderwał wzrok od makabrycznej walki. Musiał się ukryć! Galloran powierzył mu kluczową informację. Jego kryjówka za drzewem nie wystarczy. Rozejrzał się po najbliższej okolicy i dostrzegł pustą kłodę. Był dostatecznie mały, żeby wpełznąć do środka. Jednak najlepsze kryjówki to miejsca nieprzewidywalne. Zerknął w górę. W najgorszym wypadku może wspiąć się na drzewo. Wiedział, jak robić to bezszelestnie, wpełzać po konarach, które większości wydają się nieosiągalne. Nie,



chciał czegoś lepszego.

Kawałek dalej Nedwin zauważył niewielką płataninę martwych gałęzi na ziemi. Idealne miejsce. Z pozoru gałęzie nie oferowały wielkiej osłony, ale jeśli wsunie się pod nie dostatecznie głęboko, wykorzysta cienie i zamaskuje się za pomocą listowia, to stanie się bez mała niewidzialny.

Mimo rwetesu towarzyszącego walce Nedwin nadal kulił się i poruszał cicho. Nie wiedział, kto jeszcze czai się w lesie. Obserwując lot strzał, uznał, że w pobliżu jego obecnej pozycji nie ma łuczników, ale nie miał gwarancji.

Nie spowalniała go żadna zbroja. Kiedy dyskrecja to twój największy atut, zbroja i nieporęczna broń stają się bardziej zawadą niż ochroną. Nosił tylko nóż, małą kuszę i jedną z cennych kul wybuchających, jaką powierzył jego opiece Galloran.

Nedwin dotarł do sterty gałęzi i wpełzł pod nią. Suche patyki pękały z trzaskiem. Sprawnymi ruchami zgarnął na siebie liście i wilgotną ziemię. Z tej pozycji nadał miał częściowy widok na potyczkę. Oddychając cicho, obserwował, jak łucznicy zbliżają się do walczących z napiętymi łukami prowadzeni przez bardzo wysokiego werbownika, który trzymał ciężki żelazny pręt.

– Stać! – ryknął werbownik.

Posłuchali go. Tylko pięciu ludzi Gallorana nadal stało, chociaż byli zadyszani i ranni. Kilka harataczy padło, tak samo jak wielu żołnierzy przeciwnika. Jednakże pozostało ich jeszcze mnóstwo.

– Jesteście otoczeni! – powiedział wysoki werbownik, opierając się na metalowym pręcie. – To koniec! Rzućcie broń!

Nedwin zagryzł usta. Werbownik miał rację. Łucznicy znajdowali się teraz dostatecznie blisko, żeby z łatwością wyeliminować pozostałych przy życiu obrońców.

– Poddajemy się, chłopcy – warknął Lawson, rzucając miecz.

Nedwin zmarszczył czoło. A potem zdał sobie sprawę, że wzięcie pięciu więźniów do niewoli zajmie napastnikom więcej czasu niż pięć pośpiesznych egzekucji. A teraz najważniejsze było zdobycie czasu dla Gallorana.

Pozostali obrońcy oddali broń.

– Gdzie jest Galloran? – zapytał werbownik.

– Masz złe informacje – odpowiedział Lawson. – W ogóle go z nami nie było, Groddic. Będziesz musiał zadowolić się nami.

Nedwin rozdziawił usta. Wysoki werbownik to Groddic? Był prawą ręką cesarza, dowódcą werbowników. Nic dziwnego, że atak poprowadzono tak bezbłędnie!

Groddic odwrócił się w stronę lasu.

– Mogę się założyć, że Galloran nadal mnie słyszy! Co więcej, spodziewam się nie będzie chciał kryć się w lesie, kiedy ja będę zabijał jego ludzi jednego po drugim.

Nedwina przeszył strach. Najwyraźniej ten werbownik dobrze znał Gallorana. Nedwin żałował, że nie ma tu Jashera. On i dwóch innych nasienników wyruszyli

przodem, żeby zbadać resztę drogi do Felrook. Jasher może zdołałby powstrzymać Gallorana, a gdyby to się nie udało, to może stawiłby czoło samemu Groddicowi. Czy Groddic wiedział, że Jashera teraz tu nie ma? Wiedział, kiedy wynurzy się księżyc...

– Poddaj się, Galloranie! – zawołał Groddic. – Wyjdź teraz, a przysięgam, że twoi ludzie przeżyją. Nie zmuszaj ich, żeby zapłacili za twoje nieudolne dowodzenie!

Nedwin złapał się na tym, że jego ręka zabłąkała się do kryształowej kuli, którą dał mu Galloran. A gdyby tak wyskoczył z ukrycia i rzucił kulą w Groddica? Nie. Nie zdoła w pojedynkę pokonać pozostałych wrogów, a jeśli go złapią, to tym łatwiej wywabią Gallorana z ukrycia.

– Nie słuchaj go! – krzyknął Lawson. – Uczcij naszą pamięć swoim zwycięstwem! Z dumą umieramy za twoją sprawę!

Groddic wykonał drobny gest i chmura strzał przeszła Lawsona. Padł bez słowa.

– Zgodnie ze swoim życzeniem, twój towarzysz zginął honorową śmiercią! – krzyknął Groddic. – Nadal możesz ocalić pozostałą czwórkę. Nie kryj się za trupami swoich przyjaciół! I tak cię wytropimy i odszukamy. Pomagają nam torivorowie. Żaden człowiek im nie ucieknie.

Groddic czekał. Więźniowie milczeli. Nedwin miał nadzieję, że jego pan pośpiesznie się oddała.

– Nie jestem cierpliwym człowiekiem! – ryknął Groddic. – Czas, żeby zginął kolejny z twoich towarzyszy.

Oślepiąco biały rozbłysk rozświetlił nagle noc, a po nim rozległ się ogłuszający huk. Nedwin zamknął oczy i słuchał następnych wybuchów. Galloran złapał przynętę i ciskał wybuchającymi kulami we wrogów.

Kiedy eksplozje ustały, Nedwin otworzył oczy, mrugając, żeby pozbyć się powidoku po pierwszym rozbłysku. Wybuchy musiały zniszczyć kilka harataczy i paru żołnierzy, a ci, którzy przeżyli, z pewnością byli chwilowo oślepieni.

Gdy odzyskał wzrok, zobaczył, że jego księżę starł się z wrogiem. On i jego osobiści strażnicy osłonili oczy, kiedy rzucali kulami. Dobrze widzieli, podczas gdy przeciwnicy byli na wpół oślepieni.

Jeden ze strażników, Alek, zajął pozycję na szczycie stosu kamieni z ruin i teraz ze śmiertelnością precyzją wypuszczał strzałę za strzałą. Drugi strażnik osłaniał toporem bojowym Gallorana, który nieustępliwie wybijał wrogów jednego po drugim.

Nedwin nie widział Groddica. Czy pierwsze wybuchy mogły go zabić? Mogli mieć aż tyle szczęścia?

Pojmani ludzie Gallorana stawiali opór, ale kiedy napastnicy otrząsnęli się z początkowego zaskoczenia, zbuntowani jeńcy zaczęli ginąć. Alek padł raniony bełtem. Wrogów było zbyt wielu! Galloran i jego drugi strażnik stali teraz plecami do siebie i walczyli o życie.

Kiedy jego osobisty strażnik padł, Galloran rzucił się do ataku, wirując, uskakując

i tnąc, jakimś cudem wyrąbując sobie ścieżkę wśród przeciwników. Nedwin nigdy nie widział człowieka, który zabijałby z taką skutecznością. Wbrew wszystkiemu, nie uratowawszy ani jednego towarzysza, Galloran nadal miał szansę się wyrwać. Gdyby tylko wyrąbał sobie drogę ucieczki do lasu, zostawiłby za sobą nie więcej jak piętnastu niezorganizowanych przeciwników. Galloran parł przed siebie, a jego niezrównany miecz rozcinał hełmy i przecinał zbroje. Ucieknie! Jak to się działo wiele razy, mimo nierozważnej brawury, Galloran miał szansę przeżyć i podjąć walkę następnego dnia.

– Stań do walki ze mną, tchórze! – rozległ się basowy ryk.

Kuśtykając w kierunku Gallorana, Groddic odpychał na bok własnych ludzi. Nie miał hełmu i było widać, że część twarzy ma zwęgloną.

– Nie – szepnął Nedwin. – Uciekaj.

Groddic szedł dalej, zamierzając przeciąć drogę Galloranowi. Gdyby książę odwrócił się od nadzwyczaj wysokiego werbownika, musiałyby tylko pokonać garstkę ludzi i mógłby uciec do lasu.

– Z drogi! – rozkazał Groddic i ci, którzy stali między nim i Galloranem, natychmiast się podporządkowali.

– Uciekaj – prosił bezgłośnie Nedwin, próbując zmusić na odległość swojego pana do ucieczki.

Galloran rzucił w Groddica nożem, który odbił się od pręta.

– Przekonajmy się, czy zdołasz stawić mi większy opór niż twoi ludzie – ryknął werbownik.

Galloran zaatakował.

Jego miecz błysnął w blasku księżyca, gdy Galloran zmuszał Groddica do cofania się. Wysoki werbownik ledwie nadążał z obroną, podczas gdy miecz dzwięczał, uderzając o pręt. Nedwin zaczął się trochę rozluźniać.

Galloran ciął Groddica na wysokości pasa. Werbownik potknął się i padł. Kiedy Galloran rzucił się do przodu, żeby zadać ostatni cios, Groddic cisnął mu w twarz czymś, co wyglądało jak garść piasku. Galloran zatoczył się do tyłu, miecz wypadł mu z rąk, gdy uniósł dłonie do oczu.

Nedwin zacisnął rękę na gałęzi, widząc, jak Galloran pada na ziemię. Czym Groddic mógł rzucić w księcia? Galloran zareagował tak, jakby płonęła mu twarz. Opierając się na pręcie jak na kuli, Groddic podniósł się z ziemi. Jego ludzie otoczyli Gallorana, gotowi zaatakować. Wysoki werbownik dał znać gestem, że mają zaczekać.

– Jesteś skończony – powiedział do leżącego księcia, trzymając rękę w rękawiczce na zakrwawionym brzuchu. – Poddaj się, a ugaszę palenie.

Galloran przeturlał się na bok, złapał miecz i przykucnął, po chwili skoczył do przodu, na oślep dźgając Groddica. Wysoki werbownik zrobił unik, a potem prętem wytrącił mu miecz z ręki. Wrogowie rzucili się i przycisnęli Gallorana do ziemi.

Nedwin odwrócił wzrok. Nie mógł patrzeć na tę wstydliwą chwilę upokorzenia.

Galloran, jedyna nadzieja Lyrianu, w końcu został pokonany.

Nedwin zastanawiał się nad użyciem kuli, którą trzymał. Znowu spojrzął na Groddica i jego żołnierzy. Zostało zaledwie piętnastu, a więcej niż kilku wyglądało na rannych.

Nedwin zamknął oczy. Galloran wydał mu ściśle instrukcje. Pamiętał powagę na twarzy księcia, kiedy wypowiadał te słowa.

– Poznałem bezcenne słowo mocy. Niewielu wie, że go szukałem. Jeszcze mniej wie, że je posiadam. To słowo jest kluczowe dla naszej walki przeciwko cesarzowi. Trzy sylaby zostały zapisane w miejscach znanych moim sojusznikom. Podam ci pozostałe trzy, które musisz przekazać Nicholasowi z Rosbury. Nie wolno ci nigdy ujawnić tych trzech sylab ani zdradzić innym, że ci je wyjawiałem. Od tego zależy nasze życie i los Lyrianu. Jeśli padnę, musisz porzucić naszą drużynę i z tą wiedzą samotnie wrócić do domu, do Trensicourt. Dlatego zabrałem cię z nami, Nedwinie. Żałuję, że muszę obarczyć takim brzemieniem kogoś równie młodego, ale ty masz największą szansę na sukces. Gdybym zginął, nie możesz zawieść mnie w tym ostatnim zadaniu. Musisz mi to przysiąc.

Nedwin przysiągł. Zapamiętał sylaby i obiecał nie wypowiedzieć ich na głos, dopóki nie znajdzie się na osobności z Nicholasem. Galloran wiedział, że Nedwin dotrzyma tajemnicy. Wiedział, że chłopak się wymknie, gdyby coś źle poszło. I wiedział, że innym nie przyjdzie do głowy, że powierzył tak kluczowe informacje komuś tak młodemu.

Nedwin otworzył oczy. Gallorana pojmano, ale nie zabito. Żył. Jeszcze nie poległ.

Groddic klęczał obok Gallorana i nakładał mu balsam na twarz. Dwaj mężczyźni przytrzymywali księcia, ale ten nie stawiał już oporu. Inni kręcili się w pobliżu, najwyraźniej będąc pod wrażeniem, że ich niepokonany przeciwnik leży przed nimi bezradny.

Groddic wstał, był zwrócony plecami do Nedwina. Rozległo się pohukiwanie sowy. Nedwin zważył w ręku kulę. Gdyby trafił werbownika wysoko w plecy, większość otaczających go ludzi odczułaby skutki wybuchu, a ciało Groddica osłoniłoby w znacznej mierze Gallorana. Poza kulą Nedwin miał tylko małą kuszę i nóż. Jednakże przeciwko świeżo oslepionym i poranionym wybuchem ludziom nóż i kusza mogłyby wystarczyć.

Nedwin próbował zebrać się na odwagę, żeby wyskoczyć z ukrycia, ale powstrzymywały go wątpliwości. A jeśli zawiedzie i da się złapać? Cenne sylaby zostaną stracone. Złapawszy Gallorana, Groddic i jego ludzie zgarnęli najcenniejszą zdobycz. Nedwin był przekonany, że jeśli teraz nie poruszy się i zachowa ciszę, to w końcu zdoła wrócić do Trensicourt i przekazać kluczową wiadomość.

Zawahał się. Słowo mocy mogło być ważne, ale co pozostanie z opozycji bez Gallorana? Nedwin próbował wyobrazić sobie, jak zdoła żyć ze świadomością, że nie

zrobił nic, by ratować księcia.

Galloran rozumiał, ile znaczy zarówno jako przywódca oporu, jak i symbol nadziei dla całego Lyrianu. Mimo to, kiedy jego ludziom groziła egzekucja, zaryzykował własne życie. Czy nie zasługiwał na to, by jego giermek okazał podobną odwagę?

Nedwin bezszelestnie wysunął się z kryjówki. Jeśli zawiedzie, Galloran pożałuje, że obdarzył go zaufaniem, a sprawa, o którą księżę walczył całe życie, zostanie nieodwracalnie osłabiona. Jeśli Nedwinowi się uda, Galloran będzie mógł doprowadzić misję do końca i obalić cesarza. Nedwin nie miał wyboru. Musiało mu się udać.

Pobiegł, szybko i cicho. Kiedy wynurzył się spod drzew, kilka głów obróciło się w jego stronę. Groddic nadal stał nad Galloranem, plecami do Nedwina. Chłopak nie był tak blisko, jak by chciał – Groddic zaraz się odwróci, a jego ludzie byli gotowi rzucić się do walki.

Cisnął kulą z całej siły. Poleciała prosto do Groddica. Jednakże werbownik zareagował, gdy dostrzegł spojrzenia swoich ludzi. Odwrócił się i złapał kulę prawą ręką niemalże mimochodem.

Nedwin zatrzymał się gwałtownie.

Żeby kula wybuchła, kryształ musiał się roztrzaskać, a Groddic złapał ją delikatnie.

Unosząc przymałą kuszę, Nedwin wycelował w kulę, ale wtedy trafiła go w ramię strzała. Kiedy padał, świsnęły nad nim kolejne strzały. Gdy leżał na plecach z pierzastym drzewcem sterczącym groteskowo, ogarnęła go rozpacz. Jego księżę pozostał rannym jeńcem, nie pomszczono go, a bezcenny sekret, którym podzielił się z Nedwinem nigdy nie dotrze do Nicholasa! Wrogowie zebrali się wokół niego. Płonąc z frustracji i wstydu Nedwin zamknął oczy i czekał na śmierć.

# Rozdział 1

## Akolitka

*Rachel... pomocy... Rachel, błagam!*

Rachel obudziła się, zaciskając palce na przykryciu. Usiadła na miękkim materacu. Cienie spowijały jej sypialnię. Nie poznawała telepatycznego głosu, który rozległ się w jej głowie. Nie należał ani do Corinne, ani do Ulani, która niedawno nauczyła się przekazywać proste myśli na małą odległość.

*Kim jesteś?* – Rachel przesłała pytanie, wkładając w to całą wolę.

*Rachel! Nie wytrzymam już zbyt długo... Przyjdź... Pośpiesz się, proszę!*

Mimo naglącego tonu mentalny krzyk słabł. Rachel pracowała z kilkoma akolitkami nad rozmową w milczeniu, ale jak na razie udało się to tylko Ulani. Czy to możliwe, że w przypływie desperacji jedna z dziewcząt odblokowała tę zdolność? Rachel spała w części świątyni wydzielonej dla akolitek. Wszystkie znajdowały się względnie blisko. Kto jeszcze w Mianamon potrafił skontaktować się z nią w taki sposób?

Nie licząc słów w jej umyśle, noc była cicha. Do pokoju nie dobiegał żaden dźwięk. Nie zaatakowano Mianamon. Na czym więc polegał problem?

*Kto to? Co się stało?*

Słowa nadeszły słabe, mentalny odpowiednik szeptu.

*Kalia. Jestem w pokoju ćwiczeń. Spróbowałam silnego rozkazu. Zawiodłam. Wszystko mnie boli... Nie mów innym... Pomóż mi, proszę.*

Kalia. Rachel trenowała z akolitkami od wielu miesięcy. Większość posiadała zaledwie krztynę talentu w stosowaniu języka edomickiego. Żadna nie miała naturalnych zdolności takich jak Rachel, ale Kalia wśród nich była najbardziej obiecująca. Rachel nie raz próbowała nauczyć ją mówić w milczeniu.

*Trzymaj się. Już idę.*

Wypowiadając edomickie słowo, Rachel zapaliła świecę koło łóżka, a potem wstała i narzuciła szatę akolitki. Kalia musiała zakraść się do pokoju ćwiczeń nocą z myślą o dodatkowym treningu. Pewnie spróbowała czegoś zbyt ambitnego i straciła panowanie nad rozkazem. Rachel wiedziała z własnego doświadczenia, jak osłabiające bywają konsekwencje edomickiego polecenia, które zawiodło.

Jeżeli Kalia nadal miała dość sił, żeby wezwać ją mentalnie, to pewnie nie była śmiertelnie ranna. Co nie znaczyło, że nie czuła się tak, jakby umierała.

Rachel wypowiedziała kolejny rozkaz i zapaliła glinianą lampkę. Podniosła ją, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz.

Ciemność czekała po obu stronach poza światłem jej lampki. Rachel nie przywykła do wędrowania po Świątyni Mianamon o tak późnej porze. Ona i jej przyjaciele spędzili tu całą zimę, ale nigdy nie przemierzała kamiennych korytarzy w ciemności i samotnie. Znajome przejścia wydawały się złowieszcze.

*Kalia, jesteś tam jeszcze?*

Nie otrzymała odpowiedzi. Akolitka mogła stracić przytomność. Albo zwyczajnie nie miała dość energii, by wysłać kolejną wiadomość.

Rachel minęła kilkoro drzwi. Nie było za nimi słycać żadnego ruchu. Żadne światło nie sączyło się przez szpary. Wyszła zza zakrętu i dotarła do schodów, które prowadziły na dół do pokoju ćwiczeń. Poza kręgiem światła z jej lampki rozciągał się tylko mrok. Rachel wiedziała, że poza częścią świątyni zarezerwowaną dla akolitek znalazłaby ludzkich strażników, którzy strzegli ich prywatności o każdej porze dnia i nocy. Wiedziała także, gdzie szukać Jasona, Drake'a i innych towarzyszy. Mogła też wezwać myślami Gallorana lub Corinne.

Jednakże bolesne doświadczenia związane z nieudany rozkazem najlepiej zachować w sekrecie. Kalia nie ucieszyłaby się, gdyby inni zobaczyli ją ranną, osłabioną. Rachel wyprostowała się i zaczęła schodzić po stopniach. Doszła do końca schodów i ruszyła szerokim korytarzem.

Ciemność cofała się przed nią, aż Rachel dotarła do drzwi prowadzących do głównej sali ćwiczeń. Były lekko uchylone. Rachel szturchnęła je i weszła do środka.

– Kalia?

W odpowiedzi usłyszała edomicki rozkaz. Nakazano jej znieruchomieć. Wykonała polecenie.

Rachel znała ten rozkaz! Akolitki Mianamon ćwiczyły dziedzinę języka edomickiego, która pozwalała im wydawać polecenia ludziom. Kiedy Rachel zjawiała się w Mianamon, wiedziała, jak posługiwać się edomickim, by skłonić niektóre zwierzęta do spełniania pewnych poleceń, ale nigdy nie podejrzewała, że mogłaby posłużyć się podobną metodą wobec ludzi.

Rozkazywanie materii nieożywionej w języku edomickim było proste – cała materia i energia rozumiały ten język. Wystarczyło zwyczajnie poprzeć odpowiednie słowa

stosowną ilością skupionej woli, żeby narzucić posłuszeństwo. Jeśli adept spróbuje uzyskać zbyt wiele, może mu się nie powieść i wtedy musi stawić czoło skutkom niepowodzenia – obrażeniom fizycznym i urazom psychicznym.

Ze zwierzętami było trudniej. Edomicki nie najlepiej działał na żywe istoty. Zamiast zmuszać zwierzęta, trzeba było sugerować, a one mogły wziąć pod uwagę sugestię lub ją zlekceważyć. Poproś zbyt delikatnie, a zwierzę zignoruje polecenie. Naciskaj za mocno, a zaryzykujesz, że przyjdzie ci ponieść konsekwencje nieudanego rozkazu.

Z ludźmi sprawa komplikowała się jeszcze bardziej. Nie można było naprawdę wykorzystać edomickiego przeciw umysłowi. Nie można było podsunąć mu złożonej idei. To było bardziej jak przemawianie do kręgosłupa, sugerowanie odruchowej reakcji, której umysł przeciwstawi się już po fakcie. Rachel знаła z grubsza pięćdziesiąt sugestii, które mogły zadziałać na człowieka, a większość z nich była na poziomie komend wydawanych psom: „zostań, padnij, odwróć się, skacz”. Wiedziała, że w trudnej chwili zdolność, która sprawi, że wróg na chwilę znieruchomieje albo padnie na ziemię, może się okazać bardzo użyteczna.

Ćwiczyła te umiejętności od miesięcy. Inne akolity nie dorównywały jej pod względem biegłości. Na przykład, większość dziewcząt nie potrafiła wymusić na Ulani żadnej formy posłuszeństwa, ale Rachel mogła ją zamrozić jednym słowem. I na odwrót – nawet najbardziej uzdolnione akolity nie mogły sprawić, żeby Rachel choćby drgnęła.

Tyle że teraz nie mogła się ruszyć!

Rozkaz wypowiedziano z mocą i biegłością. Zamroził ją jak żadna komenda od pierwszego dnia ćwiczeń. Czyżby z powodu strachu przestała się pilnować? Pewnie, że była przestraszona, ale przeciwstawiła się nakazowi w sposób, jaki wiele razy ćwiczyła. To po prostu nie zadziałało.

Rachel usłyszała, że wypowiedziano kolejny rozkaz. Szpikulec z czarnego metalu pomknął ku jej piersi, połyskując w świetle jej lampki.

Rachel nadal nie mogła się ruszyć. Zamiast tego przemówiła w myślach. Bardzo intensywnie ćwiczyła przesuwanie przedmiotów. Na jej telepatyczny rozkaz szpikulec zamarł. Zatrzymał się w odległości zaledwie stopy od jej piersi, drżąc w powietrzu.

Kolejne słowa rozległy się w cieniach poza kręgiem światła lampy. Silna wola walczyła z wolą Rachel, przesuwając cal po calu szpikulec ku niej. Rachel odzyskała panowanie nad ciałem, ale nie chciała chwalić się tym faktem przed wrogiem. Zamiast tego zepchnęła szpikulec w dół i odsunęła go od siebie. Kiedy przełamała wolę przeciwnika, szpikulec poleciał ku ścianie.

Rachel znała położenie rozlicznych pochodni, kaganków i lamp w pokoju. Jednym słowem, rozpała kilka naraz. Światło zdemaskowało Kalię, która rzuciła się do niej z nożem w jednej ręce i długą igłą w drugiej.

Rachel rozkazała jej paść na podłogę. Akolityka posłuchała, gubiąc nóż. Próbowwała



znowu zmusić Rachel, żeby zamarła w bezruchu. Doskonale wypowiedziany rozkaz działał tylko ułamek sekundy, bo tym razem Rachel była przygotowana i natychmiast odzyskała panowanie nad sobą. Odpowiedziała, unieruchamiając rozkazem Kalię.

– Co ty wyprawiasz? – warknęła Rachel.

Kalia pozostała nieruchoma zaledwie sekundę. Przeturlała się w bok i uniosła twarz; z kącika ust płynęła jej czerwona ślina. Rachel zdała sobie sprawę, że kiedy Kalia straciła panowanie nad szpikulcem, porażka ją poraniła.

Kalia warknęła, wykrzykując rozkaz, i nóż śmignął ku Rachel. Uskakując w bok, Rachel przejęła panowanie nad ostrzem i przyłożyła je do gardła akolitki. Utrzymanie go tam wymagało ogromnej kontroli, ale Rachel ćwiczyła manipulowanie przedmiotami bardziej sumiennie niż jakiegokolwiek inne edomickie frazy.

– Dlaczego? – spytała zadyszana.

Kalia splunęła krwią. Pot zlał jej twarz. W dzikich oczach malowały się panika i gniew. Należała do młodszych akolitek. Choć wyglądała, jakby miała dwadzieścia lat, tak naprawdę dobiegała pięćdziesiątki. Akolitki rutynowo ćwiczyły edomicką medytację, żeby spowolnić proces starzenia.

– Dlaczego? – powtórzyła Rachel.

Kalia wypowiedziała rozkaz, próbując przejąć kontrolę nad nożem, ale Rachel przeciwstawiła się z wielką mocą i wysiłki Kalii poszły na nic, zmiażdżone większą wolą. Rachel odsunęła nieco nóż, kiedy akolitka zgięła się w pół, wijąc się z bólu. Za nieudane rozkazy płaciło się słoną cenę.

– Kiedy tak wiele się nauczyłaś? – dopytywała się Rachel. – Nigdy nie poruszałaś przedmiotami.

*I nigdy też nie mówiłam w milczeniu. Wściekłe słowa zapłonęły w umyśle Rachel. Powinien był wydać rozkaz wcześniej, zanim przeszłaś tak długi trening. Mogłam cię załatwić, kiedy tylko się zjawiłaś. Wiem, że mogłam!*

*Kto wydał rozkaz?*

*Rusz głową, odpowiedziała Kalia, a jej gniew osłabł. Moją jedyną pociechą jest fakt, że on cię dorwie. Wybrałam stronę, która wygra. Zażądał ode mnie zbyt wiele w niewłaściwym czasie. Mój pech. Jednak to cię nie uratuje. Zapamiętaj sobie moje słowa. Wszystkich was dorwie.*

*Pracujesz dla Maldora?*

*Zabije was wszystkich co do jednego!*

Galloran wpadł do pokoju bez przepaski na oczach, z wyciągniętym torivorańskim mieczem, a za nim kilkoro drzewnych ludzi i zwykłych ludzkich strażników. Spoglądał to na Rachel, to na Kalię.

*Wyczułem, że posłużono się wielką ilością edomickiego.*

*Kalia wbiła sobie długą igłę w udo.*

*Coś ty zrobiła? – zapytała Rachel.*

*Kolejne niedorzeczne pytanie! Jakim cudem taka kretynka ma dostęp do takiej mocy? To mnie doprowadza do szału! To obrzydliwe!* Kalia zaczęła rzucać się w konwulsjach. Czerwona piana wypłynęła jej z ust.

– Próbowała mnie zabić – wyjaśniła Rachel, odwracając się z przerażeniem i obrzydzeniem.

Galloran wziął jej lampkę, odstawił na bok i objął Rachel. Dziewczyna zawstydziała się, bo musiał poczuć, że cała drży. Nie wstydziła się jednak na tyle, żeby odrzucić ten gest.

*Przykro mi, Rachel. Nigdy bym nie pomyślał, że Maldor zdołał umieścić zabójcę w Mianamon.*

*A gdzie nie jest w stanie nas osiągnąć? To jedynie miejsce w Lyrianie, w którym czułam się bezpiecznie!*

*Przykra prawda jest taka, że nie ma już w Lyrianie bezpiecznego miejsca, niezależnie od tego, jak bardzo jest odległe. Problem będzie się tylko powiększał. Planowaliśmy wkrótce wyjechać. Wyjedźmy jutro. Zbyt długo pozostawaliśmy w bezruchu.*

Rachel przywarła do Gallorana, żałując, że nie może po prostu zniknąć. Kalia zastawiła pułapkę i próbowała ją zabić!

Mężczyzna pokryty od stóp do głów mchem przyniósł Galloranowi żelazny szpikulec i nóż.

– Oba zatrute. Zguba olbrzymów.

– Później – zbył go Galloran. Machnął ręką. – Zostawcie nas samych.

Strażnicy i drzewni ludzie wyszli z pokoju ćwiczeń.

– Ogromnie mi przykro, Rachel – powiedział Galloran, nadal ją obejmując.

Rachel źle się czuła, słysząc ból w jego głosie.

– To nie pana wina. Dziękuję, że zjawił się pan tak szybko.

– Byłem głupcem, pozwalając, żebyś zajęła kwatery tak daleko od nas. Powinienem był przewidzieć taką możliwość. Na szczęście, sama się uratowałaś. Czułem siłę za jej rozkazami. Ta zdrajczyni nie była nowicjuszka. Nie wiedziałem, że uchowali się jeszcze adepci edomickiego z takim zdolnościami jak jej. Musiała ukrywać się od bardzo dawna.

– Ponad trzydzieści lat – wtrąciła Ulani, wchodząc do pokoju. Zerknęła z goryczą na martwą akolitkę, a potem skupiła się na Rachel. – Nic ci nie jest?

– Jestem cała – zdołała wykrztusić Rachel. – Wszystko w porządku.

Galloran nadal ją tulił.

– Maldor musiał wiedzieć, że szykujemy się do odejścia. Chciał uderzyć przed naszym wyjazdem.

Rachel skrzywiła się lekko, wysuwając się z objęć.

– Dlaczego wyroczenia nic o niej nie wiedziały? Dlaczego Esmira tego nie

przewidziała?

– Żałuję, że nas nie uprzedziła – przyznał Galloran.

– Nigdy nie wyczułam żadnego zła w Kalii – powiedziała Ulani. – Ani nie spostrzegłam jej niezwykłej mocy. Potencjał, owszem, ale niewykorzystany. Być może Kalia wiedziała, jak osłaniać umysł przed obserwacją. Może Maldor przekabacił ją niedawno. Nigdy się nie dowiemy. Esmira sporo widziała, ale nie sądzę, żeby poświęciła wiele czasu na szukanie wśród nas zdrajców. Jesteśmy zbyt odizolowane, zbyt zjednoczone przeciwko cesarzowi i wszystkiemu, co reprezentuje.

– Próbował mnie zabić – wykrztusiła Rachel.

Po ostatnim zimnym spojrzeniu na ciało leżące na posadzce Galloran zawiązał przepaskę.

– Maldor ucieszyłby się z twojej śmierci, ma jednak pewne pojęcie o twoich możliwościach. Powinien się orientować, że Kalii, mimo jej talentu, raczej się nie powiedzie. Ten atak mógł być jedynie próbą.

Rachel się naburmuszyła.

– Brutalna ta próba.

– Maldor nie bawi się delikatnie. – Galloran objął ją za ramiona. – Nie pozwól, żeby to tobą wstrząsnęło. Pociesz się tym, że sobie poradziłaś. Na szczęście, ukryliśmy szczegóły proroctwa przed wszystkimi w Mianamon oprócz Ulani. Mimo to, Maldor dobrze wie, gdzie się znajdujemy, i może odgadnąć nasze zamiary. Kiedy wyruszymy w misję, wszystkich nas będzie czekać wiele prób w nadchodzących dniach. Obawiam się, że to dopiero początek.

# Rozdział 2

## Mianamon

Ze swojej półki, umiejscowionej setki stóp nad posadzką świątyni, Jason obserwował dwie małpy, które krążyły wokół siebie z kosturami w gotowości. Podchodziły do siebie ostrożnie – ich smukłe torsy były przygarbione, a długie kończyny podkurczone. Wyższy z białych gibbonów miał mniej więcej tyle wzrostu co Jason. Wrzeszcząc i porykując, rzuciły się na siebie jednocześnie – wydłużone sylwetki wymachiwały kosturami z płynną gracją. Wiele innych małp obserwowało pojedynek; blisko osadzone oczy nie odrywały się od kłokoczących o siebie z wściekłością kijów.

Białe gibony zostały stworzone przez Certiusa, niefortunego czarnoksiężnika, który znalazł sobie dom w południowych dżunglach Lyrianu. Chociaż gibony nie potrafiły mówić, były zadziwiająco inteligentne i porozumiewały się z ludźmi za pomocą gestów.

Żelazne kratownice pokrywały wiele wyższych murów i sufitów w Świątyni Mianamon. Gibony potrafiły poruszać się po nich z niezwykłą gracją, przeskakując, kołysząc się, zwieszając się na kończynach, nie zważając na możliwość upadku. Mieszkały przeważnie na wysokich półkach w pobliżu wierzchołka świątyni. Jason dotarł na górę systemem ciasnych tuneli, schodów i drabin.

Obserwowanie małp było jedną z jego ulubionych rozrywek w Mianamon. Nauczył je ćwiczyć odbijanie piłek za pomocą kijów i cytrusów. Rzadko się zdarzało, by któraś wypadła z gry po popełnieniu trzech błędów. Najlepiej sprawdzały się zmyłki, gdy narzucał wolniej, niż się to wydawało.

Dzisiaj walczące małpy nie oderwały myśli Jasona od innych spraw. Kije uderzały z trzaskiem, gibony pohukiwały, ale on patrzył na to z dystansu, samotny, będąc myślami daleko od tej pozorowanej walki. Po kilku miesiącach nadszedł ostatni dzień

w Mianamon. W ciągu paru godzin pożegna się z Rachel, Galloranem i wieloma innymi przyjaciółmi. Czas odpoczynku i przygotowań zakończył się brutalnie, kiedy ostatniej nocy Rachel wpadła w zasadzkę. Nagle, bez ostrzeżenia, zostali zmuszeni do wyruszenia w drogę.

Jason patrzył na zręczne małpy bez najmniejszej przyjemności. Dlaczego więc tu siedział? Czyżby myślał, że małpy znają sposób na jego kłopoty? Oczywiście, że nie. Zatem, co tu robił? Dąsał się? Chował?

Jason spędził więcej dni w tej tropikalnej świątyni niż we wszystkich pozostałych miejscach w Lyrianie razem wziętych. W jakimś momencie skończył czternaście lat, chociaż nie był pewien, kiedy dokładnie, ponieważ w jego świecie i w Lyrianie czas płynął inaczej. Żeby jeszcze bardziej skomplikować sprawę, kalendarz lyriański miał dziesięć miesięcy, każdy po trzydzieści osiem dni.

Zimą w dżungli nigdy nie robiło się chłodno. Dni nieco się skracaly, powietrze bywało mniej ciepłe, deszcze przybierały na sile, ale Jason ani razu nie potrzebował grubego płaszcza. Większość zimy spędził, trenując z bronią. Ferrin, Drake, Aram, Corinne i Jasher pracowali z Galloranem, a potem uczyli Jasona, Tarka, Nię, Io i Farfalee.

Jason o wiele lepiej walczył na miecze. Już całkiem przyzwoicie radził sobie w czasie treningów z Ferrinem albo Drakiem. Farfalee szkoliła go w łucznictwie, Nedwin zaproponował lekcje walki z nożem, a Io pokazał mu trochę, jak się siłować. Po raz pierwszy Jason czuł, że jest w stanie pomóc w walce, zamiast tylko mieć rozpaczliwą nadzieję, że wytrwa, dopóki pozostali nie zakończą sprawy. Teoretycznie był bardziej użyteczny niż do tej pory. Czy umiejętności Jasona w walce mogły stanowić powód, dla którego wyrocznia tak podkreślała wagę jego uczestnictwa w nadchodzącej misji?

– Oglądasz ostatnią małpią walkę? – usłyszał i drgnął.

To była Rachel. Wyglądała tajemniczo i mistycznie w szatach akolitki. Nie widział jej od nocnego incydentu i chociaż Galloran go zapewnił, że nic jej nie jest, Jason z ulgą przekonał się na własne oczy, że rzeczywiście jest cała i zdrowa.

– Niektórzy budują modele statków, inni strzelają z folii bąbelkowej, mnie wciągają pojedynki gibbonów.

– Ferrin cię szukał.

– Zamierzałem zejść. Jakoś niedługo. – Zastanawiał się, jak zręcznie przejść do kwestii zamachu na jej życie. – Ej, a u ciebie wszystko dobrze?

– Nie dźgnęła mnie. Miewam się tak, jak można się spodziewać.

– Przykro mi, że do tego doszło.

– Rozmawiałam z Galloranem. Pomógł mi. Naprawdę wolę do tego nie wracać. – Rachel westchnęła, patrząc na małpy. – Uwierzysz, że odchodzimy?

– Nie bardzo. Wiedziałem, że ten dzień nadejdzie, ale mimo wszystko... Chciałbym

czuć się bardziej gotowy.

– Jak można przygotować się do ratowania świata albo zgnięcia w jego obronie?

– Tak, chyba na tym polega problem.

Jason wstał, rozciągając ręce i nogi. To było przyjemne. Musiał siedzieć w jednej pozycji dłużej, niż mu się wydawało.

– Będiesz nosić te szaty poza świątynią? Zamierzasz zbierać cukierki w Halloween?

Rachel zachichotała, spoglądając na swój strój.

– W drodze będę nosić ubranie od Amar Kabał, ale to wezmę ze sobą. Galloran uważa, że w tym wyglądam bardziej czarnoksiężko.

– Nie ubieraj się zgodnie z pracą, którą masz, tylko do pracy, której pragniesz.

– Chyba w tym rzecz. Może powinnam się ubrać jak niewinny przechodzień.

– Na to już za późno.

Jason spojrzał pod nogi. Będzie za nią tęsknił. Rachel wzięła go za rękę. Spojrzał jej w twarz. Jej oczy trochę się zamgliły. Skrzywił się.

– Tylko się nie roztkliwiaj.

– Nie mogę znieść myśli, że musimy się rozdzielić.

– Jeżeli nie zaufasz starszej pani zanurzonej w glinie i perfumach, to komu?

W ostatnich słowach przed śmiercią wyrocznia powiedziała, że Rachel, Galloran, Io, Ferrin, Nedwin, Nollin i Tark muszą wyruszyć w jedną misję, podczas gdy Jason, Farfalee, Jasher, Drake, Aram, Corinne i Nia w drugą. Kiedy Rachel będzie gromadziła armię, która zaatakuje Felrook, Jason będziesz szukał kluczowej informacji od starodawnego jasnowidza. Według wyroczni obie misje muszą się powieść, jeśli Maldor ma zostać pokonany.

– To właśnie tak naprawdę robimy. – Rachel westchnęła. – Składamy życie w ręce starszej pani zanurzonej w glinie.

– Nie chciałem jej obrażać – poprawił się Jason. – Wszyscy mówią, że była prawdziwą wyrocznią. I robiła takie wrażenie.

– To ta sama kobieta, która wysłała Gallorana w misję w poszukiwaniu Słowa. I patrz, jak to się skończyło! Tyle wycierpiał, trzymając się fałszywej nadziei!

Jason wzruszył ramionami.

– Masz lepszy pomysł?

– Nie bardzo, ale tylko dlatego, że plan zaproponowała wyrocznia, nie znaczy, że to jest idealny plan. Jedna osoba z jej otoczenia próbowała mnie zabić! Jak mogła to przegapić? Pracowałam z najlepszymi akolitkami. Nauczyły mnie edomickich słów, a ja posługuję się już nimi lepiej niż one. Nie zaufałabym żadnej nawet w kwestii przewidzenia, co zjem jutro na śniadanie. A jeśli wyrocznia nie była wcale tak mądra i magiczna, jak wszyscy myślą? A jeśli po prostu zwariowała? Farfalee powiedziała nam, że Darian Piromanta żył wieki temu. Powinien był umrzeć już dawno temu.

A jeśli rzeczywiście nie żyje? A Felrook robi wrażenie niezdobytej fortecy. Co, jeśli zamierzamy pomaszerować ku własnej zgubie z powodu rozpaczliwej gadaniny umierającej wariatki?

Myśl, że mogła mieć rację, sprawiła, że Jason poczuł dyskomfort.

– Pewnie nakręciłaś się z powodu ostatniej nocy.

– Nie chodzi tylko o to – odparła Rachel. – Denerwuję się od dnia, w którym wyrocznia przemówiła. Chciałam jej wierzyć. Sprawiała wrażenie pewnej siebie i szczerzej. Dała nam nadzieję. Starłam się myśleć pozytywnie i skupić na ćwiczeniach. Jednak teraz, kiedy mamy naprawdę wyruszyć, nachodzi mnie więcej wątpliwości niż dotąd. Musiałam komuś o tym powiedzieć.

– I wybrałaś mnie? Jestem zaszczycony.

– Myślałam, że może powinniśmy porozmawiać z Galloranem.

– My? A kiedy to ja dopisałem się do listy wątpliwych?

Rachel skrzywiła się sceptycznie.

– Nie denerwujesz się?

– Pewnie, że się denerwuję, ale to nie to samo, co uznanie, że popełniamy błąd. – Jason zamilkł. Nie był gotowy skakać z radości na myśl o opuszczeniu Mianamon, ale mimo niepewności naprawdę czuł, że postępują właściwie. To już było coś. – Naprawdę chcesz męczyć tym Gallorana w dniu, w którym mamy wyruszyć?

– Może – odpowiedziała niepewnie Rachel. – Nie chcę przyczynić się do katastrofy tylko dlatego, że bałam się odezwać.

– Atak w środku nocy każdego by wystraszył. Rozumiem, że przez to mogłaś zacząć kwestionować racje wyroczni.

– To tylko część prawdy. Martwię się, że stawiamy wszystko na jedną kartę. Czy mamy pewność, że nic jej się nie pokręciło?

Jason zerknął na pohukującego triumfalnie gibona, który uniósł kostur.

– Powiedz mi to, co byś powiedziała Galloranowi.

– Nie, o ile zamierzasz oglądać gibony.

– Przepraszam. Podoba mi się, jak świętują. Mów śmiało. W gruncie rzeczy to doskonałe miejsce na rozmowę na osobności. Już uważam.

Nie patrząc mu w oczy, skrępowana Rachel skubała rękaw. Odchrząknęła.

– Dobrze, Galloranie, martwię się, że wyrocznia mogła pomylić się w prorocztwie. W końcu wysłała cię na poszukiwanie Słowa, a to nie najlepiej się skończyło. Nie wiedziała, że jedna z jej uczennic jest zabójczynią. Umierała, kiedy z nami rozmawiała. Może coś jej się wtedy pomieszało w głowie? Co, jeżeli przemawiała przez nią tylko desperacja?

– Martwisz się, że Felrook nie da się zdobyć? – upewnił się Jason.

Rachel wzruszyła ramionami.

– Wiem, że mamy okazję. Większość sił Maldora znajduje się na wschodzie, walczy

z Kadarą. Odkąd Maldor nie martwi się tym, że ktokolwiek go zaatakuje, Felrook ma osłabioną obronę. A jeżeli ma rację, nie martwiąc się atakiem? Nikt nie pomyślał, że Felrook da się zdobyć, dopóki wyrocznia tak nam nie powiedziała. Jeśli się pomyliła, ostatnia armia stawiająca opór Maldorowi zostanie zmiażdżona! A druga grupa wcale nie ma łatwiejszego zadania.

– Nasze zadanie też jest niewykonalne – zgodził się Jason.

– A jeżeli to będzie jak ze Słowem? Jeżeli podążamy fałszywym tropem?

– Wtedy wszyscy umrzemy – odparł uczciwie Jason.

– I to ci nie przeszkadza?

– Nie chcę umierać – przyznał Jason.

Najwyraźniej potrzebowała zapewnienia. Nie bardzo wiedział, co jej pomoże. Miał mnóstwo własnych zmartwień, ale przynajmniej był przekonany, że ich misje są niezbędne.

– Normalnie nie ryzykowałbym życia z jakiegokolwiek powodu. Jednak to nie są normalne okoliczności. Rozumiem, że naprawdę możemy umrzeć; już straciliśmy parę osób, które poznaliśmy. Wyrocznia nigdy nie obiecywała, że przeżyjemy. Nie obiecywała też, że nam się uda. Powiedziała jednak, że nasza jedyna szansa na zwycięstwo to wypełnić jej polecenia. Jej słowa wystarczyły Galloranowi. I wystarczyły drinlingom. Wystarczyły nawet Amar Kabal, a wiesz, jacy nasiennicy są ostrożni.

– Tylko skąd ja mam wiedzieć, że wyrocznia wszystko dobrze zrozumiała? – zapytała niemal błagalnie Rachel.

Jason zastanowił się nad jej pytaniem.

– Wiesz lepiej niż ktokolwiek inny, że Galloran potrafi zaglądać do umysłów.

– Ciągłe rozmawiamy bez mówienia – przyznała Rachel. – Czasem udaje mu się nawet odczytać myśli, których nie przesyłałam mu celowo.

– Nie uważasz, że upewnił się, że wyrocznia jest z nami szczerza? Nie sądzisz, że przez cały czas obserwował jej umysł? Wiesz, jaki jest sprytny, jaki ostrożny. Już raz się sparzył. A mimo to jest przekonany.

– Racja.

– Rozmawiałaś z wyrocznią, jak my wszyscy. Wiedziała na nasz temat rzeczy, których nie poznałaby, gdyby nie była prawdziwą prorokinią. Była wyrocznią od bardzo dawna. Wszyscy uznali jej autentyczność. Nie obiecała nam zwycięstwa, ale jestem przekonany, że powiedziała nam prawdę. Zasadniczo, jeżeli chcemy ocalić Lyrian, musimy to zrobić, nawet jeśli to będzie ciężka próba.

– Ostrzegła nas, że nawet jeśli wygramy, wielu z nas tego nie przeżyje – przypomniała mu Rachel. – I powiedziała, że pewnie nam się nie uda.

– Prawda, ale na pewno się nam nie uda, jeśli nie spróbujemy.

Rachel pokiwała w zamyśleniu głową. Spojrzała Jasonowi w oczy.



– Jesteś pewien?

Jason zamyślił się, poważnie rozważając jej pytanie. Pewnie, że szukał argumentów, żeby ją przekonać, ale chodziło o coś więcej. Zdał sobie sprawę, że naprawdę wierzy w to, co mówi. Misje trzeba było wypełnić. Czuł, że to słuszne, w głębi serca, w kościach, czuł to całą duszą.

– Tak, jestem.

– Czyli nie powinnam zawracać głowy Galloranowi?

– To zależy, dlaczego chcesz z nim porozmawiać. Jeśli potrzebujesz od niego zapewnienia, idź. Ale nie zasiej w nim wątpliwości, których nie miał do tej pory. Wie, jaka jest stawka, i podjął decyzję.

Rachel westchnęła.

– Może masz rację. W końcu wcale nie dostrzegłam żadnego konkretnego niebezpieczeństwa, które wszyscy inni przegapili. Chyba przede wszystkim martwię się tym, że musimy odejść, i to obudziło we mnie paranoję.

– Nie jesteś w tym odosobniona. Ja też się martwię. Ty przynajmniej stałaś się ninjaczarodziejką. Pewnie odegrasz niemałą rolę w tej rozgrywce.

– A ty nie?

Jason wzruszył ramionami.

– Mam nadzieję, że też. Nie jestem tylko pewien, w jaki sposób.

– Wiele dokonałeś. Nie wyobrażam sobie, żebyś się bardzo denerwował.

Jason się uśmiechnął.

– Cieszę się, że tak mnie widzisz, ale ja też jestem spięty. Jak myślisz, dlaczego chowam się tutaj, zamiast się pakować? Tylko dlatego, że nasze misje są słuszne, nie znaczy, że nie będą trudne.

– A może nawet niewykonalne.

– Nie możemy myśleć w ten sposób. Odbierzemy sobie całą odwagę.

Rachel pokiwała głową.

– W porządku. Chyba mnie przekonałeś, że nie tędy droga.

Jason zerknął na ogromny spadek dzielący ich od posadzki świątyni.

– A co, zamierzałaś skoczyć?

– Nie dosłownie. Pragnienie śmierci to nie jest mój problem.

– To dobrze. Powolne zejście ma więcej sensu. Na pewno dobrze się czujesz?

Jej uśmiech wyglądał na trochę wymuszony.

– To zależy, co masz na myśli, mówiąc „dobrze”. Czy palę się do wyjazdu? Nie. Czy mam ochotę schować się pod kamieniem? Tak. Czy wypełnię obowiązek? Tak naprawdę to nie mam wyboru. Nie mogę wszystkich porzucić i nie mogę zaprzeczyć, że tak należy postąpić.

Jason pokiwał głową.

– Do tego wszystko się sprowadza. Czy to trudne, czy nie, tak właśnie należy

postąpić. Przyjaciele nas potrzebują. Lyrian nas potrzebuje. Musimy podjąć walkę.

Jej uśmiech stał się nieco naturalniejszy.

– Dzięki, Jasonie. Potrzebowałam tego. Czasem naprawdę mi imponujesz. Teraz nie narobię sobie wstydu, zawracając głowę Galloranowi. Znajdę sposób, żeby wziąć się w garść. Skończyłeś już oglądać? Zejdziemy?

– Chyba tak.

Poszedł za nią do drabiny. Obejrzał się za siebie.

– To tyle, jeśli idzie o pożegnanie z walkami małp.

\*\*\*

Schodząc ze szczytu świątyni, Jason i Rachel napotkali Ferrina, który czekał na nich u podnóża długiej drabiny. Ubrany do podróży opierał się o ścianę, balansując sztyłem opartym na czubku palca.

– Jasonie – powitał chłopca, chowając nóż do pochwy. – Już zaczynałem się martwić, że zostałeś uznany za honorowego członka stada gibbonów.

– Słyszałem, że mnie szukałeś.

– Możemy się przejść?

Jason zerknął na Rachel.

– Śmiało – odpowiedziała. – Muszę zebrać parę rzeczy. Zobaczymy się, kiedy spotkamy się przed wyjazdem.

Ruszyła w dół sąsiednimi schodami.

Ferrin poprowadził Jasona na wysoki taras, który otaczał całą świątynię od zewnątrz. Szli wzdłuż sięgającej pasa balustrady, a pod nimi rozpościerała się dżungla. W bezpośrednim słońcu temperatura wzrosła z nieprzyjemnie ciepłej do gorąca. Wilgotny zapach roślinności wypełnił nozdrza Jasona.

– Odnoszę wrażenie, że z dnia na dzień jest coraz cieplej.

– To wiosna – odpowiedział Ferrin.

– A co u ciebie?

Ferrin się skrzywił.

– Niedługo się rozstaniemy.

– Wiem. Jakaś część mnie wołała, żeby ten dzień nigdy nie nadszedł. Miło było spędzić trochę czasu bez śmierci i zniszczenia na każdym kroku.

– One tam cały czas czekały, ale wiem, co masz na myśli. Mianamon podarowało nam wyczekiwaną chwilę wytchnienia. Z radością obserwowałem twoją naturę, kiedy nie działałeś pod przymusem.

– Czuję się jak przedmiot eksperymentu.

Ferrin wzruszył ramionami.

– Jeśli tak, to eksperyment się powiódł. Jesteś dobrym człowiekiem, Jasonie. Prawdziwym przyjacielem.

Jason nie bardzo wiedział, jak zareagować. Nigdy nie słyszał, żeby Ferrin chwalił kogokolwiek pochopnie.

– Dzięki. Ty też. Będziesz miał oko na Rachel?

– To jedyne, które mi zostało – powiedział, pukając się w przepaskę na oczodole. – Zdasz sobie sprawę, co się czeka w Celestynowej Bibliotece?

– Słyszałem co nieco. Zokar umieścił tam strażnika.

– Właśnie. Rozmawiałem o tym z Galloranem i Farfalee i wiem, że mówili już z tobą, ale chcę mieć pewność, że w pełni rozumiesz problem. Zokar miał obsesję na punkcie torivorów. I słusznie, to pewnie najpotężniejsze stworzenia w Lyrianie. Poświęcił lata, starając się stworzyć równie waleczną rasę. Efekt jego wysiłków jest znany jako Potworności.

– Jedna z nich strzeże biblioteki.

– Zokar nigdy nie uznał, że doprowadził Potworności do stanu idealnego. Istniały trzy, każda jedyna w swoim rodzaju i nad każdą było trudniej zapanować, niżby sobie tego życzył. Nigdy nie zamienił ich w rasy, bo bał się, że odebrałyby mu władzę. Jedna była złowrogim stworzeniem z nadzwyczajnym darem ingerowania w myśli i sny. Nazwano ją Gościem, a Zokar w końcu ją zniszczył. Niektórzy historycy przedstawiają dowody, według których Zokar nigdy nie był już taki sam po pokonaniu Gościa, i utrzymują, że walka trwale nadwyrężyła jego zdrowie psychiczne.

– Żałuję, że nie jestem złym czarnoksiężnikiem – poskarżył się Jason. – Mają niezły ubaw.

– Drugie stworzenie było zmiennokształtne. Nazwano je Wędrowcem. Zokar próbował je zniszczyć, ale zmiennokształtny uciekł i zniknął. Nikt nie zna jego losów.

– A trzecie?

– Trzecie było znane jako Kukła. Z wyglądu przypominało torivora, ale było znacznie większe. Kukła może zamienić się w dowolną materię, której dotyka. Zokarowi udało się uwięzić ją na wyspie Wiatrochron.

– Na tej samej, na której znajduje się Celestynowa Biblioteka.

– Zgadza się. Od tego czasu nikt nie wszedł do biblioteki. Wielu próbowało. Jednak nie Eldrin.

Jason ściągnął brwi.

– Przecież po tym, jak Eldrin pokonał Zokara, zaczął niszczyć wszystkie księgi, prawda?

– Dobra pamięć – pochwalił Ferrin. – Eldrin zdecydował się oczyścić Lyrian z czarnoksięstwa i próbował zniszczyć wszystkie księgi, które uczyły edomickiego. Z wielkich skarbnic wiedzy tylko Celestynowa Biblioteka pozostała nietknięta. Nawet legendarny Eldrin zdecydował się uniknąć konfrontacji z Kukłą. Co ci to mówi?

- Że Kukła to twardziel.
- Przeraziła najpotężniejszego czarnoksiężnika, jakiego znał Lyrian. Stwór stanął między nim a jego misją, i Eldrin pozwolił mu tam zostać.
- Mógł dojść do wniosku, że Kukła będzie wiecznie strzegła zgromadzonych tam informacji – powiedział Jason.
- Wszystko wskazuje na to, że się nie mylił. Maldor wysłał kilka drużyn, żeby wydobyły informacje z Celestynowej Biblioteki. Żadnej się nie udało. Słyszałem, że jedynym sposobem na to, żeby skrzywdzić Kukłę, jest odrąbanie jej kawałka ciała. W pewnym sensie odwrotnie niż ze mną.
- Jakby nigdy nic oderwał dłoń w nadgarstku, rzucił ją w powietrze i złapał na kikut. Dłoń połączyła się z resztą ręki bez śladu.
- Czyli, jak obetniemy stworowi rękę, to już będzie po nim.
- Podobno Kukła nie regeneruje utraconej materii. Ale to tylko przypuszczenia. Nikt nigdy nie odciął jej kończyny. O ile mi wiadomo, nikt nigdy nie zranił jej poważnie.
- Jason spojrział na parującą dżunglę.
- A my musimy znaleźć sposób.
- Przepowiednia obarczyła Gallorana zadaniem odzyskania władzy w Trensicourt, zebrania wojska i przeprowadzenia bezpośredniego ataku na niezwyciężoną fortecę cesarza. Moim zdaniem Galloran ma prostą robotę.
- Rachel sprawia wrażenie dość zdenerwowanej – powiedział Jason. – Martwi się, że wyrocznia mogła się mylić.
- Nie sądzę, żeby się myliła.
- Nie?
- Nie. Była prawdziwą wyrocznią. Spodziewam się, że jej przewidywania są słuszne. Pamiętaj, nie obiecywała zwycięstwa. Szukała jakiejkolwiek szansy zwycięstwa, choćby nie wiadomo jak wątpliej. Jestem pewien, że jeśli jakimś cudem dotrzesz do biblioteki, istnieje możliwość, że skontaktujesz się z Darianem Jasnowidzem, nawet jeśli rzekomo nie żyje. Ci dostatecznie potężni w edomickim odkryli sposoby przedłużania życia do wręcz niewiarygodnych granic. I nie jest wykluczone, że słynny piromanta może dostarczyć tajemniczej informacji, dzięki której powiedzie się atak na Felrook. Nie potrafię nawet wymyślić, jaka to może być informacja. Wątpię jednak, by jakakolwiek wiedza sprawiła, że zwycięstwo stanie się prawdopodobne.
- To nie brzmi dobrze – powiedział Jason i poczuł, jak ściska mu się żołądek.
- Zapytaliśmy, czy wśród wszystkich możliwych przyszłości istnieje jedna szansa na miliard, że odwrócimy bieg historii i obalimy Maldora. Jestem pewien, że wyrocznia znalazła to, czego Galloran szukał: teoretycznie możliwą, ale wysoce nieprawdopodobną ścieżkę do zwycięstwa.
- Jason nerwowo potarł nadgarstek.

– Innymi słowy, nasza klęska jest nie tyle prawdopodobna, ile niemal pewna. Nadal jesteś gotów spróbować?

– Jeśli Maldor mnie aresztuje, mój los jest przesądzony. Tak jak ty, Galloran i Amar Kabal, wolę minimalną szansę zwycięstwa od pewnej klęski. Jeśli zawiedziemy, nadal mogę spróbować zwać i ukrywać się w dziczy przez resztę życia. To obecnie jedyna możliwość, jaka mi zostaje.

Jason niepewnie przestąpił z nogi na nogę.

– Przestrzegasz mnie, że moja misja zakończy się pewnie na spotkaniu z Kukłą.

– Chcę, żebyś miał świadomość, przeciwko czemu stajesz. Będziesz musiał zwyciężyć tam, gdzie wielu innych zawiodło. Będziesz musiał dokonać czegoś, czego nie ważył się zrobić najpotężniejszy czarnoksiężnik w historii Lyrianu. Dokonałeś w przeszłości niesamowitych rzeczy, ale tym razem tylko głupiec stawiałby na ciebie. Dlatego ja to zrobię. – Ferrin odłączył od głowy ucho i podał je Jasonowi.

– Stawiasz ucho?

– Stawiam na to, że nie tylko znajdziesz sposób, żeby przemknąć się obok Kukły, ale i odnajdziesz Dariana Piromantę, a wtedy będziesz musiał przekazać nam kluczową informację na wielką odległość. Jeśli zginiesz, będę musiał po prostu przywyknąć do życia z jednym okiem i jednym uchem.

– Farfalee zabiera szkolone orły – przypomniał mu Jason.

– Wiem i będą stanowiły ważne zabezpieczenie, ale nic nie przebije pewnej i natychmiastowej komunikacji.

Jason przyjął ucho. Świadczyło o wielkim zaufaniu rozsadnika. Może zbyt wielkim? Czy Ferrin miał jakieś inne motywy? Kiedyś całkiem szczerze porozmawiali sobie o jego problemach z lojalnością.

– A jeśli nas zdradzisz?

Ferrin posłał mu krzywy uśmiech.

– Wyrocznia martwiła się o to samo.

– Naprawdę?

– W czasie naszej prywatnej rozmowy. Powiedziała mi, że mogę okazać się albo kluczowym atutem, albo niszczącym zdrajcą. Zapewniła mnie, że Maldor nigdy mnie nie przyjmie z powrotem, że wszelka zdrada zakończy się moją klęską. Powiedziała mi to, co i bez niej wiedziałem. To, w co potrzebowała, bym uwierzył.

Jason uniósł ucho.

– Czy to twoja próba pomocy?

– Jej część. Jeśli ruszymy zaatakować Felrook, mam mnóstwo informacji, które mogą okazać się użyteczne. Zakładając, że Galloran zdoła zebrać wojsko i ty wypełnisz swoje zadanie, pomogę doprowadzić sprawę do końca.

– Na pewno? Naprawdę jesteś po naszej stronie? Całkowicie?

Ferrin uniósł brwi.

– Istnieje możliwość, że poznasz ważny sekret, wypowiesz go do mojego ucha, a ja przekażę tę informację Maldorowi, z nadzieją, że uzyskam przebaczenie. Taka zdrada pozwoliłaby cesarzowi przeciwstawić się wszelkiej taktyce, jaką może zaproponować Darian, nawet jeśli orły dostarczą w końcu wiadomość Galloranowi.

Jason oparł się pokusie, żeby wyrzucić ucho do dżungli.

– Wiem, że rozumiesz w ten sposób, ale czy musisz mówić o tym tak otwarcie?

– Wolałbyś, żebym nie dzielił się takimi przemyśleniami?

– Wolałbym, żeby takie myśli przestały ci przychodzić do głowy. To przerażający rodzaj szczerości, kiedy otwarcie przyznajesz, że możesz nas zdradzić.

Ferrin uniósł przepaszająco rękę.

– Knułem całe życie. Lubię cię na tyle, żeby starać się być szczerym.

– Nie chodzi tylko o to, że masz takie pomysły. Wiem, że jesteś zdolny je zrealizować.

Ferrin zaśmiał się ponuro.

– Co czyni mnie kiepskim członkiem drużyny. Wyrocznia jednak podkreśliła, że musimy trzymać się razem albo nic z tego nie wyjdzie. Czy to nie znaczy, że musisz na mnie polegać?

– Chcę móc na ciebie liczyć. Już raz wybrałeś nas zamiast Maldora.

Ferrin uniósł palec.

– Zanim jeszcze poznałem stawkę, wybrałem was, ryzykując, że rozgniewam Maldora, jeśli mnie przyłapie. Potem sytuacja wymknęła się spod kontroli. Jednak rozumiem, co masz na myśli. Gdybym chciał zniszczyć waszą sprawę, już bym to uczynił.

– Racja, ale to nie daje nam gwarancji, że nie zrobisz tego jutro. Lepiej bym się czuł, gdybyś mi obiecał, że nas nie zdradzisz.

– Nie słyszałeś tego? Słowo rozsadnika nie ma wartości. Istnieje mnóstwo żartów na ten temat.

– Nie mogę oceniać innych rozsadników, prawie ich nie znam. Jesteś jedynym, którego naprawdę poznałem. Od czasu Białego Jeziora byłeś ze mną naprawdę szczerzy. Nawet kiedy wydałeś mnie i Rachel, załatwiłeś to otwarcie. Nadstawiłeś dla mnie karku. Twoje słowo ma dla mnie wartość.

Patrząc w dal, Ferrin skinął lekko głową.

– Dobrze więc, Jasonie. Przysięgam, że nie przestanę popierać rebelii. Oddałem część mojej tętnicy szyjnej Galloranowi jako dowód uczciwości i część tętnicy ramiennej tobie. Po oddaniu ucha zaczyna mi brakować części ciała do rozdania.

Jason schował ucho do kieszeni.

– Dobrze będzie mieć to ucho. Wyobraź sobie, co by było, gdyby coś stało się orłom!

– Ta możliwość przeszła mi przez myśl.

– To będzie jednokierunkowa komunikacja – zdał sobie sprawę Jason. – Nie będę w stanie usłyszeć ciebie. Skąd będę wiedział, że słuchasz?

– Będę słuchał – zapewnił go Ferrin. – O ile nie umrę, bo wtedy połączenie między wymiarami zostanie przerwane, z ucha pocieknie krew i zrobi się zimne. Trudno to będzie przegapić.

– Jasne. Hej, a skoro mowa o przerwanych połączeniach, mam pytanie do rozsadnika.

– W takim razie pewnie znam odpowiedź.

– Dwaj rozsadnicy dali Galloranowi oczy.

– Tak.

– A jeśli umrą? Czy jego oczy się zepsują?

– Dobre pytanie. Czy Galloran widzi przez te oczy?

– Pewnie.

– I rozsadnicy także, co oznacza, że to wspólny przeszczep. Wspólny przeszczep znaczy, że dana część ciała jest jednocześnie podtrzymywana przez oba organizmy. Jeśli Galloran umrze, oczy będą mogły czerpać z rozsadników i nadal funkcjonować. Jeśli rozsadnicy umrą, oczy stracą połączenia między wymiarami i staną się całkowicie własnością Gallorana. Powinny pozostać zdrowe i sprawne. Wiele razy polowano na rozsadników i zabijano ich, żeby dana osoba stała się jedynym właścicielem przeszczepu. Dlatego przedstawiciele naszej rasy dwa razy się zastanowią, nim podzielą się z kimś częścią ciała.

– Dobrze to wiedzieć – powiedział Jason. – Trochę się o niego martwiłem.

– Istnieje wiele powodów do zmartwienia, jeśli idzie o Gallorana – odpowiedział Ferrin – ale gnijące gałki oczne do nich nie należą.

– Dzięki za informację. – Jason zdał sobie sprawę, że to może być ostatnia okazja, by porozmawiać z Ferrinem na osobności. – Dbaj o siebie.

– Zawsze dbam. – Ferrin położył rękę na ramieniu Jasona i spojrzał mu w oczy. – Jasonie, nie żartowałem, mówiąc, że stawiam na ciebie. Stawiam na ciebie wszystko. Będzie naprawdę ciężko. Znajdź sposób, żeby wykonać swoje zadanie. Wierzę w ciebie.

Jason przełknął ślinę. Nie chciał zadawać tego pytania, ale nie był w stanie się oprzeć.

– Dlaczego?

– Słucham?

Jason odwrócił wzrok w stronę rzeźbionej ściany budynku.

– Nic. Po prostu denerwowałem się ostatnio. Nie rozumiem, dlaczego wyrocznia tak na mnie liczyła.

Ferrin pokiwał w zadumie głową.

– Cieszę się, że tak to odbierasz.

– Co masz na myśli?

– Masz małe szanse. Byłbyś głupcem, gdybyś ruszał ze zbytnią pewnością siebie.

– Dlaczego więc stawiasz na mnie?

Ferrin spojrzał na Jasona przenikliwie.

– Żebym ja wykonał swoje zadanie, ty musisz wykonać swoje. Mamy małe szanse, ale nawet jeśli prawdopodobieństwo sukcesu jest maleńkie, to nadal istnieje. Dokonałeś niesamowitych rzeczy. Dobrze sobie radziłeś w trudnych sytuacjach. Udowodniłeś swoje przekonanie i prawość. Może to mało realistyczne, ale śmiałe i konieczne, więc postanowiłeś uwierzyć, że możesz tego dokonać.

– W porządku – wykrztusił Jason mimo zaciskającego się od emocji gardła. – Ja też wierzę w ciebie.



# Rozdział 3

## W drogę

Rachel stała przed wysokim lustrem w swoim pokoju. Obróciwszy się w lewo i w prawo, uznała, że strój akolitki rzeczywiście wygląda trochę jak przebranie na Halloween, ale nie jest tandetny. Szatę uszyto z doskonałego materiału, dzięki czemu była jedwabista w dotyku i wygodna, delikatnie połyskiwała, jakby w ciemnoszary materiał wpleciono srebrne nitki. Lekka i obszerna zapewniała zadziwiająco dużo chłodu, zważywszy ile ciała zakrywała.

Rachel zrzuciła szatę, złożyła ją i zaczęła wkładać strój do podróży. Chociaż strój od Amar Kabal nie był tak jedwabisty, był równie wygodny. Szata akolitki doskonale nadawała się do wędrówek po zamkniętych korytarzach, ale ograniczała swobodę ruchów przy bieganiu czy jeździe konnej. Surowszy strój Amar Kabal bardziej nadawał się do podróży.

Usłyszawszy ciche pukanie do drzwi, Rachel się odwróciła.

– Proszę.

Drzwi do sypialni otworzyły się i weszła Ulani w szarym stroju akolitki, ze srebrną opończą przeznaczoną dla przyszłej wyroczni. Przy niewielu ludziach Rachel czuła się wysoka, a Ulani należała do tych nielicznych wyjątków. Niska i szczupła wyglądała na kobietę około czterdziestki, chociaż Rachel wiedziała, że tak naprawdę była bliżej setki. Jej głowę okalał diadem z fioletowych kwiatów.

Ułani wypowiedziała krótką edomicką frazę. W pierwszym odruchu Rachel się wzdrygnęła, ale słowa wyrażały prośbę, żeby Rachel została, i niosły ze sobą wiele subtelnych niuansów. Tu było miejsce Rachel, tu czekała ją obiecująca przyszłość. Jej odejście zrani wiele serc i narazi ją na niebezpieczeństwo. Czasem Rachel wolałaby, żeby edomicki nie był tak bogaty w znaczenia.

– Nie chcę odchodzić – odparła po angielsku. – Z radością studiowałam tu i ćwiczyłam. Ze wszystkich ludzi ty powinnaś najlepiej rozumieć, dlaczego muszę odejść.

Ulani pokiwała głową.

– O twoim odejściu zdecydowała wyrocznia. W głębi ducha pragnęła też, żebyś tu wróciła.

Rachel się zawahała.

– Może wrócę.

Ulani zmrużyła oczy.

– Nie widzę tego w przyszłości.

– Ty... Patrzyłaś w przyszłość?

– Nie w sensie proroczym. Nigdy nie będę w stanie sięgnąć wzrokiem poza nadchodzący konflikt z Maldorem. Po prostu zdaję sobie sprawę, że bardziej tęsknisz za domem niż pragniesz służyć tu z nami.

– Nie należę tak naprawdę do tego świata. Wiem, że rodzice martwią się o mnie. Mogli już stracić nadzieję.

– Przez wiele dekad trudziłam się, żeby rozwinąć swoje talenty – powiedziała Ulani.

– Byłam zdyscyplinowana. Wyrocznia osobiście mnie uczyła. A w kilka krótkich miesięcy ty przewyższyłaś mnie we wszystkich moich osiągnięciach. Masz wrodzony talent. Mogłabyś zostać prawdziwą prorokinią, może nawet większą niż Esmira.

– Za bardzo mnie wychwalasz – odpowiedziała Rachel. – Nigdy nie sprawdzono, czy mogę spojrzeć poza teraźniejszość.

– Tylko dlatego, że Galloran tego zabronił. Nie bez powodu. Próba może być śmiertelna. Jednakże wszystko wskazuje na to, że poradziłabyś sobie doskonale. Sama wyrocznia wyczuła w tobie potencjał. Już po mistrzowsku opanowałaś wszystko, czego mogliśmy cię nauczyć.

– Nie jestem mistrzynią.

– O wiele lepiej opanowałaś nasze sztuki niż te z nas, które studiowały je przez całe życie – upierała się Ulani. – Myślę, że już radzisz sobie lepiej niż kiedyś wyrocznia.

Ta pochwała sprawiła, że Rachel się zarumieniła.

– Jestem wam wdzięczna za wszystko, czego się tu nauczyłam.

– To był dla nas zaszczyt gościć cię tutaj. – Ulani spuściła wzrok. – Bardzo mi przykro z powodu Kalii. Przyniosła nam wstyd. To miał być dla ciebie raj.

– To nie wasza wina – powiedziała Rachel. – Maldor znajduje sposoby, żeby zranić każdego, kogo zechce, niezależnie od tego gdzie się znajduje.

– Naszym obowiązkiem było cię chronić. A ty musiałaś bronić się sama przeciwko jednej z nas. To niewybaczalne.

– Nie winię cię. – Rachel wzięła Ulani za rękę. – Wszystko poza tym było cudowne. To były najpiękniejsze tygodnie, jakie spędziłam w Lyrianie.

Ulani skinęła głową i uśmiechnęła się przeprasząco.

– Będzie tu bez ciebie pusto.

Rachel wiedziała, że Ulani czuje się schwytna w pułapkę. Daleko jej było do naturalnych zdolności, jakie posiadała poprzednia wyrocznia, a jednak wszyscy oczekiwali, że stanie się następną wielką prorokinią, że przeprowadzi dzieci Certiusa przez nadchodzące trudne lata i utrzyma pokój między różnymi frakcjami drzewnego ludu.

– Czekają cię tu wielkie zadania – powiedziała Rachel. – Nie lekceważ swoich możliwości. Świetnie sobie poradzisz.

Do oczu Ulani napłynęły łzy. Główna akolitka odpowiedziała delikatnym skinieniem głowy, które zdradzało niewielką pewność siebie.

– Każda z nas ma swoje obowiązki.

Rachel oparła palec na skroni.

– Widzę mnóstwo chodzenia w swojej przyszłości.

Ulani się uśmiechnęła.

– Ledwie cię poznaję w tym barbarzyńskim stroju.

– Użyteczność jest ważniejsza od elegancji. Będzie mi ciebie brakować.

Usta Ulani drgnęły. Nie padły żadne słowa. Znowu pokiwała głową i wyszła.

Rachel odwróciła się, by spojrzeć w lustro. Ulani wypowiedziała wreszcie to, co od tygodni sugerowało w półsłówkach wiele akolitek. Po miesiącach wspólnych ćwiczeń widziały, jak szybko Rachel się uczy, i patrzyły na nią z podziwem. Nawet najbardziej zazdrosne dostrzegały, że Rachel je wszystkie przerasta. Nadchodziły niepewne czasy. Akolitki nie chciały jej stracić. Nigdy w życiu nie czuła się tak potrzebna.

Czy ktokolwiek w takim stopniu polegał na niej w domu? Rodzice ją kochali i z pewnością za nią tęsknili, ale czy jej potrzebowali? Nie tak jak potrzebowali jej ludzie z Lyrianu. W miarę jak jej zdolności będą rosły, jej rola w Lyrianie będzie stawać się coraz znacześniejsza.

*Jesteś zajęta?* – Słowa dotarły do jej umysłu tak wyraźnie, jakby je wypowiedziano na głos.

*Wejź.*

Drzwi otworzyły się i weszła Corinne. Jasne jak miód włosy miała związane na karku, jej ubrania leżały tak idealnie, jakby szykowała się do sesji zdjęciowej.

*Widziałam, jak wychodziła Ulani.*

Pokój Corinne znajdował się kilka kroków dalej w tym samym korytarzu.

*Przyszła się pożegnać. Co porabiłaś dzisiaj?*

*Pomagałam ojcu – przekazała Corinne. Wysyłaliśmy wiadomości do naszych sojuszników. Nie będziemy mieli tak swobodnego dostępu do orłów kurierskich, dopóki nie dotrzemy do Trensicourt. Będzie mi ich brakować. To takie inteligentne, imponujące ptaki. Jak się czujesz?*

*Byłam spięta – przyznała Rachel. Pogadałam sobie z Jasonem. Pomogło.*

*Żyjemy w trudnych czasach. Nikt nam nie pozazdrości.*

*Nie palę się do dzisiejszych pożegnań – przyznała Rachel.*

Corinne zamknęła oczy. Napełnione bólem serca słowa dotarły do Rachel wyraźnie.

*Rozumiem cię, Rachel. Mnie też będzie cię brakować. I innych. Przyzwyczaiałam się do życia tutaj. Odpoczynku. Treningów. Rozmów. Możliwe, że po dzisiejszym dniu nigdy więcej nie zobaczę ojca.*

*Nie mogę myśleć o rozstaniu – odpowiedziała współczująco Rachel. To zbyt wiele. Bałam się tej chwili. Nie czuję się gotowa.*

Nie dość, że będzie tęskniła za przyjaciółmi, to jeszcze wiele fragmentów przepowiedni napełniało ją niepokojącymi wątpliwościami i pytaniami.

Corinne otworzyła oczy.

*Właśnie, też tak mam! Dlaczego wyrocznie muszą być takie tajemnicze?*

*Nie dzieliłam się tymi myślami celowo – odpowiedziała Rachel. Tak samo jak jej ojciec Corinne coraz lepiej dostrzegała myśli, które nie były do niej kierowane.*

*Przepraszam. Nie mogłam nie dostrzec twojego nastawienia. Wiem, że ojciec roztrząsał każde słowo. Na przykład, który sługa którego pana zdradzi? To może dotyczyć niemal każdego.*

Rachel pokiwała głową.

*Nie mogę się oprzeć pokusie, żeby nie szukać wskazówek w jej ostatnich słowach. Powiedziała, że nasza nadzieja będzie szkarłatna jak krew bohaterów, czarna jak wnętrze ziemi, biała jak rozbłysk orantium. Czy kryje się w tym jakaś ukryta wiadomość, którą powinniśmy rozszyfrować? Czy też po prostu potwierdziła, że niektórzy z nas umrą, a orantium pomoże nam w walce?*

*Mogło być gorzej – powiedziała Corinne. Niektóre proroctwa są beznadziejnie mgliste. Przynajmniej kilka rzeczy wiemy na pewno. Wiemy, że musimy się rozdzielić. Wiemy, kto dokąd idzie, i ogólnie rzecz biorąc, co trzeba zrobić. A co do reszty? Powodzenia w odgadywaniu, który sekret z przeszłości wykupi przyszłość.*

*Może się zorientujemy, kiedy na niego natrafimy.*

*Miejmy nadzieję. Potrzebujesz jeszcze chwili dla siebie?*

Rachel rozejrzała się po pokoju i zdała sobie sprawę, że naprawdę myślała o nim jak o swoim pokoju. To jedyne miejsce w Lyrianie, o którym mogła pomyśleć, że rzeczywiście do niej należy. Westchnęła. Plan nigdy nie przewidywał, że tu zostanie. Jej rzeczy były spakowane.

– Jestem gotowa.

\*\*\*

Rachel i Corinne odnalazły pozostałych na głównym poziomie świątyni. Z ich towarzyszami rozmawiali najróżniejsi przedstawiciele ludu drzewnego. Certius stworzył lud drzewny, humanoidalne rasy pokryte zielenią, najczęściej mchem lub bluszczem, czasem winoroślami lub cierniami. Drzewni przewodnicy przeprowadzą obie grupy przez dżungłę.

Galloran rozmawiał z Nollinem, Kerickiem i Halco. Trzej nasiennicy mieli towarzyszyć grupie Gallorana. Halco oddzieli się i wróci do swoich ludzi, podczas gdy Kerick i Nollin podążą do Trensicourt. Amary należące do Kericka i Halco posadzono w żyznej ziemi wkrótce po przybyciu do Mianamon. Odrodzili się zaledwie dziesięć tygodni później. Sprawiali wrażenie pogodnych, kiedy gawędzili z Galloranem, podczas gdy Nollin stał ponury.

Ze wszystkich członków delegacji, którzy wyruszyli z Siedmiu Dolin, Nollinowi najmniej spodobała się przepowiednia. Chociaż utrzymywał kontakt z wpływowymi nasiennikami, wysyłając za pomocą orłów wiele wiadomości, w których oznajmiał swoje wątpliwości i złe przeczucia, trzeba przyznać, że posępny nasiennik potwierdził, że wyrocznia przewidywała małą szansę zwycięstwa, jeśli Galloran i jego pozostali sprzymierzeńcy przypuszczą atak. Ponieważ proroctwo było niezgodne z osobistymi przewidywaniami Nollina i prowadzoną przez niego polityką, jego potwierdzenie wzmocniło wiarygodność raportu.

Galloran zgolił brodę i przyciął krótko włosy. Jego twarz wyglądała młodziej, niż sugerowały to siwe włosy i zarost – wskazywała na mężczyznę w średnim wieku o wyrazistych rysach i mocnym podbródku.

Jason pomachał do Rachel, która podbiegła do niego. Dobrze wyglądał w swoim czystym podróżnym stroju. Na podłodze obok niego stały dwa zakryte wiadra.

– Co tam jest? – spytała Rachel.

– Galloran wysyła nas z większością nadmiarowego orantium – wyjaśnił Jason. – Dwanaście kul. On zabierze tylko trzy, ponieważ Amar Kabal ma w zapasie setki do użycia podczas ataku na Felrook. Nasiennicy obiecali, że szybko uzupełnią jego zapasy, przesyłając pięćdziesiąt sztuk do Trensicourt.

– Zabierzecie kule w wiadrach?

– Sama zobacz – powiedział Jason, uchylając jedną z pokrywek.

W środku sześć kryształowych kul z orantium zanurzało się w przezroczystym żelu.

– Co to za maź?

– Też się nad tym zastanawiałem – powiedział Jason. – Czarnoksiężnik Certius wymyślił ją specjalnie do przewożenia kul orantium. Najwidoczniej nadal mają tu tego spory zapas.

– Myślałam, że nie zachowały się prawie żadne kule poza tym, co znaleźliśmy na bagnie.

– Racja, ale Mianamon to stare miejsce. Zostało im tutaj więcej kul, niż

gdziekolwiek indziej poza Ziemią Zatonioną. Jakies dwadziescia sztuk.

Rachel zanurzyła palec w mazi. Kiedy go wyjęła, lśnił jak umoczony w błyszczącym syropie.

– Czyli mąż zabezpiecza kule przed uderzeniem o siebie i pęknięciem?

– Po części. Poza tym, jeśli kula pęknie, minerał podobno nie wybuch.

Rachel potarła kciukiem o mokry palec.

– Jasne. Orantium wybuch.

– To umożliwi nam transport orantium, zmniejszając ryzyko, że sami się wysadzimy.

Rachel wytarła rękę o ubranie.

– Ciekawe, czy posługiwano się czymś podobnym przy wydobywaniu orantium.

– Możliwe. Ludzie, którzy by to wiedzieli, dawno odeszli razem z kopalniami.

– Zawsze możesz sprawdzić w Celestynowej Bibliotece – zasugerowała Rachel.

– Koniecznie się tym zajmiemy w bibliotece. Szukaniem starożytnych kopalni. A jak nie tym, to szukaniem miejsca pobytu Dariana Jasnowidza i ratowaniem świata.

Galloran podniósł zachrypnięty głos:

– Domyślam się, że zebraliśmy się już wszyscy.

Rozmowy ucichły. Wiele akolitek i przedstawicieli drzewnego ludu zebrało się, żeby zobaczyć ich odejście.

– Chciałbym podziękować mieszkańcom Mianamon za ich szczerą gościnność w minionych miesiącach. Okazaliście się przyjaciółmi i sojusznikami w tych trudnych czasach.

Za komplement podziękowano oklaskami.

– Teraz wyruszamy w misję zaleconą przez waszą niedawną wyrocznię – mówił dalej Galloran. – Dziękuję drzewnemu ludowi za zapewnienie nam bezpiecznego przejścia przez dżunglę. Kłopoty czekają na nas wszystkich. Będziemy kontaktować się za pomocą orłów przy każdej możliwej okazji. Nigdy dotąd przyszłość Lyrianu nie była równie niepewna. Pozostańcie czujni. Miejcie nadzieję na najlepsze, ale przygotujcie się na najgorsze. Pozdrawiam Jasona i moich przyjaciół, którzy wyruszą teraz w niebezpieczną misję do miejsca, którego nie ujawnię. Razem stanowią najwspanialszą drużynę, jaka kiedykolwiek zebrała się w historii Lyrianu. Jeśli będą wspomagać się mądrą radą i współpracować, spodziewam się, że niewiele jest rzeczy, których nie dokonają.

Nollin zaśmiał się szyderczo.

– Coś cię rozbawiło? – zapytała Farfalee.

– Po prostu bawi mnie ta odważna mowa o zwycięstwie – powiedział Nollin. – Możemy być odrobinę bardziej realistami?

– Oświeć nas – powiedział Galloran.

Rachel widziała, że nie jest zachwycony faktem, że mu przerwano.

– Niczego nie dokonamy – oznajmił zwyczajnie Nollin. – Zrobię, co w mojej mocy, wspierając was, ale podążamy za ułudą zwycięstwa. Mirażem. Wyrocznia jasno powiedziała, że zwycięstwo jest niemal niemożliwe.

– A co chciałbyś, żebyśmy zrobili? – zapytał wyzywająco Drake.

– Powiedziałbym dobrym ludziom z Mianamon, żeby spodziewali się wieści o klęsce – odpowiedział Nollin. – Zachęciłbym ich, żeby wycofali się w głąb puszczy, żeby rozmnażali dzikie bestie, przygotowali wszelkie formy obrony. Jeśli nasze narody padną, to będzie ostatnia pozostałość wolnej cywilizacji na kontynencie. Powinni bronić jej ze wszystkich sił.

– Nie możesz tak po prostu spisać nas na straty – sprzeciwił się Jason.

– Nie mogę? – zapytał niewinnie Nollin. – Wyrocznia to zrobiła. Wyraziła się aż nadto jasno, oznajmiając, że to przedsięwzięcie w zasadzie nie ma szans na powodzenie. Zakończy się naszą klęską.

– Dlaczego więc bierzesz w tym udział? – zapytała Farfalee.

Nollin spojrzał jej w twarz.

– Już jesteśmy skazani na klęskę, dlaczego więc nie gonić za ostatnią przyjemną iluzją? To decyzja mojego ludu i będę jej wierny. Jednak reszta Lyrianu powinna przygotować się na katastrofę.

Rachel zauważyła, że drzewni ludzie mamrocą między sobą i kręcą się niespokojnie.

– Jeśli będziemy myśleć w ten sposób, to pewnie zawiedziemy – oznajmił stanowczo Jason. – Wyrocznia powiedziała nam, że nadal mamy szansę pokonać Maldora. Na tym musimy się skoncentrować.

– Możesz marzyć o czym tylko zechcesz – droczył się z nim Nollin. – Nie oczekuj jednak, że pozostali będą dzielali twoje nierealistyczne...

– A ty nie proś, żeby dzielali twoją słabość! – wszedł mu w słowo Jason.

To zaskoczyło nasiennika.

Jason brnął dalej.

– To nie jest tak naprawdę moja walka. To nie mój świat. Nie pomagam, bo zobowiązali mnie do tego moi ludzie. Pomagam, bo Lyrian potrzebuje ratunku. To dobre miejsce z dobrymi ludźmi. Istnieje tu tyle potencjału, który przepadnie, jeśli Maldor wygra! Poznałem go. On pragnie kontroli nad całym Lyrianem. Chce władać nim niepodzielnie, tak długo jak zdoła, a ponieważ może żyć setki lat, jego rządy mogą potrwać naprawdę bardzo długo. Jeśli wygra, Lyrian stanie się strasznym miejscem. On właściwie nawet nie próbuje tego ukrywać. Trzeba go powstrzymać.

– Nikt nie sprzeciwia się temu, że należy zająć się Maldorem – uspokajał go Nollin.

– Upierasz się, że powstrzymanie go jest nierealistyczne – odpowiedział Jason. – Nie rozumiesz jednak, co mówi Galloran? Jesteś z ludźmi, którzy dokonują nierealnych

rzeczy. Pokonał trzech torivorów! Ja wypowiedziałem Słowo przed Maldorem i uciekłem z Felrook. Rachel zabiła Orrucka i zabraliśmy jego orantium. Przeszliśmy Eberę. Dokonaliśmy mnóstwa niemożliwych rzeczy. Dlaczego nie spróbować jeszcze kilku?

Zebrani urządzili Jasonowi owację. Rachel chciała go objąć. Nastrój w sali z ponurego zamienił się w radosny w ciągu kilku chwil. Nollin popatrzył po zebranych z protekcyjnym uśmiechem. Pokręcił głową i uniósł ręce na znak, że się poddaje. Tym gestem dawał wbrew sobie pozwolenie, żeby inni zachowali swoje złudzenia. Zostało ono skwapliwie przyjęte.

– Dobrze powiedziane, lordzie Jasonie – pochwalił Galloran, dając znać tłumowi, żeby się uciszył. – To nie jest godzina na zwątpienie czy strach. – Król z przepaską na oczach wyciągnął miecz. Smukła klinga błysnęła jak lustro. – Mam w swojej pieczy cztery miecze torivorańskiej roboty zdobyte w walce z czatownikami. Miałem jeszcze dwa inne, ale przepadły, kiedy pojmał mnie Maldor. Zatrzymam jeden z tych mieczy. Moja córka Corinne weźmie drugi. Trzeci wyruszy w niebezpieczną misję z lordem Jasonem z Caberton.

– Ze mną? – zdziwił się Jason.

Rachel zerknęła na jego zaszokowaną twarz.

– Chciałbym dać ci coś więcej – powiedział przepaszającym tonem Galloran.

– Przecież nie jestem najlepszym szermierzem w mojej grupie – zaprotestował Jason. – Daleko mi do tego. A Jasher? Albo Drake?

– Według wyroczni musisz przeżyć, żeby dotrzeć do Dariana Piromanty – powiedział Galloran. – Musisz przeżyć, żeby otrzymać kluczową informację. Dlatego powinieneś zostać najlepiej wyekwipowany z całej drużyny.

Jasher szturchnął Jasona.

– Idź po miecz – szepnął.

Rachel skinęła głową.

– Dobrze – powiedział Jason, podchodząc do Gallorana. – Dziękuję, choć nie mogę w to uwierzyć. Zrobię co w mojej mocy.

Przypasał miecz do boku. Mimo wzrostu wyglądał młodo.

Tark zaczął wiwatować. Inni się przyłączyli i wiwaty stały się tak gorące i głośne, że Rachel aż się zdziwiła. Złapała się na tym, że dała się porwać chwili i sama gwizdże i klaszcze.

Jason uśmiechnął się nieśmiało. Wiwaty ucichły. Jason odsunął się od Gallorana, który wyjął kolejny miecz torivorów.

– Czwarty miecz uda się razem ze mną do Trensicourt, a nieść go będzie Ferrin, syn Baldora.

W tłumie rozległy się pomruki, nie wszystkie zadowolone. Rachel zerknęła na rozsadnika. Jego twarz wyrażała najczystsze zdumienie i niedowierzanie. Podszedł do



Gallorana i uklęknął przed nim.

– To zbyt królewski dar.

– To ostrze ma swoją cenę – powiedział Galloran. – Musisz dźwżyć je w obronie naszej sprawy. Jeśli tak uczynisz, zrobisz więcej niż trzeba, by na nie zasłużyć.

Ferrin pochylił głowę.

– To dla mnie ogromny zaszczyt, Wasza Królewska Mość.

– Więcej zaszczytów cię czeka, jeśli przejdziesz tę próbę – wyszeptał Galloran.

Io wręczył Ferrinowi miecz. Rozsadnik przypasał broń.

Rachel uznała, że Galloran mądrze postąpił, powierzając Ferrinowi broń torivorów. Wiedziała, że Ferrin patrzy na te miecze niemal z nabożną czcią. Każdy gest, który pomoże umocnić jego lojalność, zwiększy ich szansę na sukces.

Galloran znowu podniósł głos.

– Nedwin wyruszył wiele tygodni temu, żeby przygotować nam drogę do Trensicourt. Nia zrobiła podobnie z myślą o drużynie Jasona. Dzień ucieka. Godzina pożegnań niemal upłynęła. Przygotujmy się do drogi. Pamiętajcie, że każdą chwilę życia, jaka mi jeszcze pozostała, każdą okazję, jaka mi się nadarzy, i każdy środek, jaki zdobędę, poświęcę, żeby obalić cesarza!

To wywołało ostatni wybuch aplauzu wśród zebranych. Rachel złapała się na tym, że znowu klaszcze i pokrzykuje razem z pozostałymi. Jednocześnie czuła się trochę oderwana od rzeczywistości. Niedługo ta chwila stanie się wspomnieniem, tak samo jak obronne mury Mianamon. Wkrótce rozstanie się z dwójką najlepszych przyjaciół w Lyrianie i może nigdy więcej ich nie zobaczy. Koniec z wiwatami. Koniec z wypoczynkiem. Koniec z żartami. Zostanie tylko parada nieprzewidywalnych trudności i niebezpieczeństw.

Corinne wzięła ją za rękę. Rachel spojrzała na nią.

*Jesteś w moim umyśle?*

*Spotkamy się jeszcze.*

*Naprawdę tak myślisz?*

*W takich chwilach to jedyna rzecz, w jaką możemy pozwolić sobie wierzyć.*

Cyniczna cząstka Rachel zastanawiała się, ile Corinne może wiedzieć o takich czasach.

*Kiedy przebywałam poza drzewem na bagnie – przekazała delikatnie Corinne – trzymałam się kurczowo nadziei, że ojciec wróci po mnie. Długo po tym, kiedy mogłam już przestać wierzyć, on wreszcie się zjawił. I oto jestem.*

Rachel ją objęła.

*Uważaj na siebie. Pilnuj Jasona.*

*Będę go bronić własnym życiem.*

Rachel spojrzała na nią, zdumiona powagą, z jaką Corinne przekazała to zdanie.

*I zrobię też co w mojej mocy, żeby samej przeżyć – zapewniła ją Corinne.*

– Do widzenia, Corinne.

– Szerokiej drogi.

Wszyscy sprawdzali sprzęt i zakładali pakunki. Naprawdę wyruszyli! Rachel podbiegła do Jasona i go objęła.

– Uważaj na siebie.

– Ty też.

Odwróciła się do półolbrzyma, Arama, który był mały i niepozorny do zachodu słońca, a potem zamieniał się w wysokiego, potężnie umięśnionego wojownika.

– Dbaj o siebie.

– O mnie się nie martw – powiedział Aram. – Zrobię co w mojej mocy, żeby pilnować pozostałych.

Drake odchodził za drzewnym człowiekiem spowitym w winorośle. Rachel podbiegła i położyła dłoń na jego łokciu. Nasiennik przystanął, odwrócił się, ale nie spojrzał jej w twarz. Z profilu rysy jego twarzy wydawały się jeszcze bardziej płaskie.

– Cóż, wiedziałem, że nie da się przed tobą uciec.

– Co? Chciałeś odejść bez słowa?

– Tak byłoby łatwiej.

– Nie wygłupiaj się. Wrócisz. Przeżyjesz. Chcę, żebyś o to zadbał. Chcę, żebyś mi pokazał swoją prywatną dolinę w górach.

– Wtedy nie będzie już taka prywatna.

Drobny uśmiezek wykrzywił mu usta, kiedy Drake pomasował kark, miejsce, w którym jego amar nie wykształcił się prawidłowo po ostatnim odrodzeniu.

– Myślę jednak, że jakoś to przeżyję. Trzymaj się blisko Gallorana. Nie pozwoli ci skrzywdzić.

Rachel go objęła. Nie rozstawali się, odkąd Drake wyprowadził ją z dala od torivora na długie tygodnie w dziczy.

– Uważaj na siebie.

– Spróbuję. Bezpiecznej podróży, Rachel.

– Będę tęskniła.

Skinął sztywno głową i odszedł. Rachel pomyślała, że niewiele brakowało, a okazałby jakieś uczucia. Serce zacisnęło jej się boleśnie na myśl o rozstaniu z nim i innymi przyjaciółmi. Próbowwała zebrać siły, biorąc z niego przykład.

Dogoniła Jasona, który już miał pakunek na plecach i wiadro orantium w ręku. Odstawił wiadro i objął Rachel. Poczowała jego siłę. Opłaciło się kilka miesięcy dobrego jedzenia i intensywnego treningu.

– Próbujesz mówić do mnie umysłem? – zapytał po chwili. – Ja tak nie potrafię.

Wysunęła się z jego objęć i spojrzała mu w oczy.

– Nie poddawaj się.

– Taki mam plan.

– Mówię poważnie. Nawet jeśli sprawy przybiorą zły obrót, znajdź sposób. Jesteś w tym dobry. Wyrocznia dostrzegła drogę do naszego zwycięstwa. Znajdź ją.

– Ty też. W granicach rozsądku. Nie próbuj jakiegoś potężnego edomickiego rozkazu i nie wysadź się w powietrze.

– Taki mam plan.

– Ukradłaś mi mój tekst. – Jason zerknął na pozostałych, którzy już ruszali.

– Wiem, że musimy się śpieszyć – powiedziała Rachel – ale nadeszła chwila, w której nasze drogi się rozchodzą. – Odetchnęła głęboko i powiedziała z całym przekonaniem: – Zobaczmy się jeszcze.

Podszedł do nich Tark.

– To źle, lordzie Jasonie, że pozwalamy, żeby nas rozdzielono.

Jason odwrócił się do krępego muzyka.

– Przykro mi, Tark. Wyrocznia poddyktowała nam warunki.

– Nadal będę twoim człowiekiem – oświadczył Tark, dotykając pięścią piersi. – Jakie są twoje rozkazy?

– Zrób co w twojej mocy, żeby pomóc Galloranowi zwyciężyć w tej wojnie.

– Przysięgam.

– Miej oko na Rachel. Sprawdź, czy możesz coś zrobić, żeby przestała mi mówić, że jeszcze mnie zobaczy. Zaraz coś zapesz.

Rachel szturchnęła Jasona w rękę.

Tark zerknął na nią niepewnie. Dostrzegła cień dezaprobaty w jego spojrzeniu i odrobinę nieufności.

Jason się uśmiechnął.

– To atak, Tark, załatw ją!

Muzyk wyszczerzył zęby w uśmiechu, ale jego oczy pozostały poważne.

– Tą sprawą lepiej sam się zajmij, lordzie Jasonie.

Śmiejąc się, Jason wziął wiadro z kulami.

Rachel poczuła, że chwila ucieka. Chciała mu tyle powiedzieć. A jeśli coś mu się stanie? Jeżeli nigdy mu nie powie, jak bardzo docenia fakt, że wrócił dla niej do Lyrianu? Jak bardzo jej na nim zależy? Zbyt wiele emocji próbowała przełożyć na słowa.

– Do zobaczenia – wykrztusiła w końcu.

– To się zobaczy – odpowiedział Jason, idąc w stronę głównych drzwi świątyni.

Patrzyła, jak odchodzi. To miały być ostatnie słowa, jakie jej powie? Pobiegła za nim.

– Nie możesz odejść, żartując.

Zerknął przez ramię.

– Dlaczego nie?

– A jeśli umrę?

- To przynajmniej rozbawię cię przed końcem.
- To nie był wesoły żart. Droczyłeś się ze mną. To nie był nawet udany żart.
- W porządku. Dlaczego dziecko przeszło przez ulicę?
- Żadnych żartów – zachnęła się Rachel, idąc obok niego.
- Myślę, że lepiej będzie, jeśli się pożegnamy kłótnią.
- Miałam tylko na myśli to, że w pewnych sytuacjach żarty są niestosowne.
- Przez co są tym bardziej potrzebne i zabawne.

Złapała go za rękę i zmusiła do przystąpienia.

– Ty masz swoje sposoby radzenia sobie, a ja mam swoje. Jesteś niesamowity. Jesteś inspiracją. Jesteś taki odważny. Będzie mi ciebie brakować. Bardzo cię podziwiam. Wszystko w tobie podziwiam.

- Nawet moje poczucie humoru?
- Prawie wszystko. Nie umrzyj.
- No to lepiej skończ z tą mową pogrzebową. I też nie umrzyj. Mnie ciebie też będzie brakować. Mam jedno ostatnie pytanie.

– Co?

– Zabierasz swój pakunek?

Rachel zdębiała. Zostawiła go tam, gdzie rozmawiała z Corinne.

– Mniejsza z tym – powiedział Jason, zerkając przez ramię. – Twoje fanki-akolityki już go za ciebie niosą. Masz długopis? Naprawdę powinnaś zostawić im parę autografów.

Rachel uderzyła się dłonią w czoło.

– Wiesz co mam? Aparat fotograficzny! Przez całą zimę zamierzałam zrobić zdjęcie grupowe.

Pobiegła do akolitek, wyjęła aparat z pakunku, podbiegła z powrotem do Jasona, który stał i czekał.

– Naprawdę optymistka z ciebie – powiedział. – Zdajesz sobie sprawę, że musisz wrócić do domu, zanim wywołasz jakiegokolwiek zdjęcia?

– Przynajmniej mogę to zrobić sama – powiedziała Rachel. – Wiele razy to robiłam. Gdyby to był cyfrowy aparat, pewnie już padłyby mi baterie.

Jason pomógł jej zebrać wszystkich do zdjęcia grupowego na schodach świątyni. Rachel pokazała Ulani, jak obsługiwać aparat. Jason wyjaśnił, że to urządzenie uchwyci i przechowa ich obraz razem z ich duszami. Rachel wyjaśniła, że żartował. Kiedy Ulani zrobiła parę zdjęć, Rachel pozwoliła, żeby Tark przejął rolę fotografa, a Ulani stanęła z resztą. Na wszelki wypadek Rachel zrobiła jeszcze kilka zdjęć sama.

Po schowaniu aparatu objęła Jasona po raz ostatni na pożegnanie. A potem ruszyli oddzielnymi ścieżkami w parną dżunglę.

# Rozdział 4

## Podróż na północ

Mimo fachowej pomocy przewodników z ludu drzewnego podróż przez dżunglę była dla Jasona wyczerpująca. W mroku pod gęstym dachem z koron drzew wilgotne powietrze pozostawało nieznośnie gorące i nieruchome. Ukryte w podszyciu z paproci korzenie i liany przecinały nierówny grunt, gotowe chwycić palec u stopy albo skrócić kostkę. Czasem grupa wędrowała po drzewach, idąc po potężnych konarach albo przekraczając zakamuflowane mosty z pnączy.

Chociaż droga okazała się ciężka już na swoich najłagodniejszych odcinkach, bez przewodników podróż z dala od ścieżek byłaby beznadziejna. Drzewny lud pomagał im obejść niekończące się gęszcze nieprzeniknionej roślinności bez potrzeby zatrzymywania się czy zawracania. Ominęli rozliczne mięsożerne rośliny: ogromne, drżące paszcze na zwinnych łodygach; przywodzące na myśl kałamarnice cierniste pnącza, które atakowały z góry; wydęte purchawki, gotowe sypnąć trującymi zarodnikami; klejące się maty, owijające się wokół nieostrożnych. Rozpoznawali niebezpieczne węże, pareczniki i pająki i wymykali im się. Dwa razy drzewni ludzie czekali w ciszy z grupą wysoko na drzewie, podczas gdy bestia z rodziny kotów, ale wielkości konia, krążyła na dole, a wielkie mięśnie kłębiły się pod jej lśniącym futrem.

Czasem bujna roślinność i fauna odciągały uwagę Jasona od trudnego terenu. Wraz z końcem łagodnej zimy cała dżungla rozkwitała – od skomplikowanych kwiatów w kształcie puzonu, cudownych pąków na zwiniętych w korkociąg winoroślach, po delikatne orchidee o nieskończonej różnorodności pod względem koloru i kształtu. Egzotyczne ptaki o barwnym upierzeniu i mały wszelkiego rodzaju zamieszkiwały drzewa. Kiedy natknęli się na wielką rodzinę niebiesko-szarych małp, musieli dosłownie odciągnąć Jasona. On z radością obserwowałby przez resztę popołudnia, jak

kudłate zwierzęta drepczą na swoich przykrótki nóżkach.

Większość jedzenia dla grupy znajdowali drzewni ludzie. Większość ich posiłków stanowiły różnorodne owoce, odżywcze nektary, smakowite grzyby, dziwaczne orzechy i chrupkie pędraki. Jason cieszył się z tej niezwyklej diety i rzadko tęsknił za ciepłymi posiłkami mimo ich braku.

Pewnego parnego poranka Bahootsa, pokryty cierniami przywódca ośmioosobowej drzewnej eskorty, oznajmił, że zbliżają się do północnej granicy dżungli, gdzie wiadomo, że zdarzało się zapuszczać cesarskim żołnierzom. Kiedy zasugerował, żeby zrobili sobie dzień przerwy, dzięki czemu piątka drzewnych ludzi przeprowadzi rekonesans, nikt nie narzekał.

Zatrzymali się nad wartkim potokiem o brzegach z gęstej, czerwonej gliny. Drzewa i krzewy odsunęły się od strumienia, tworząc w ten sposób swoistą polanę – rzadki widok w mocno zarośniętym terenie.

Odchodząc wzdłuż strumyka od grupy, Jason wyciągnął torivorański miecz, który dostał od Gallorana. Elegancka broń była lżejsza, niż na to wyglądała. Trzymał klingę poziomo przed twarzą, patrząc na odbicie oczu w wypolerowanym metalu, kiedy dostrzegł za sobą nadchodzącą Corinne. Odwrócił się.

– Piękny, prawda? – zagadnęła go Corinne.

Jason pomyślał, że to ona jest bez wątpienia najpiękniejszą rzeczą w okolicy. Zawstydził się, kiedy zdał sobie sprawę ze swoich myśli, więc się rozejrzał, próbując docenić urodę strumienia i widoku wokół. Przez szerokie liście wysokich palm sączyło się poranne słońce. Barwne ptaki trzepotały skrzydłami i przysiadały nad ich głowami. Zapach tropikalnych kwiatów wypełnił nozdrza Jasona.

– Tu jest jak w raju.

Corinne się uśmiechnęła.

– Miałam na myśli miecz.

Oparła dłoń na rękojeści bliźniaczego miecza.

– Jasne. – Jason przeciął ostrzem powietrze, starając się wypaść heroicznie. – Wydaje się taki lekki.

– Mój też – przytaknęła Corinne – ale nie martw się. Miecz okaże się dostatecznie ciężki dla twoich wrogów. Ojciec wyjaśnił mi, że ostrze ma większą masę, niż odbiera to osoba, która je dzierży.

– To chyba ma sens – powiedział Jason, trzymając teraz miecz pionowo. – W Ostatnim Zajeździe Galloran rozcinał hełmy i zbroje, jakby były z papieru.

– Powinieneś poćwiczyć z tym mieczem – zaleciła mu Corinne. – Przywyknąć do tego, jak różni się od pozostałej broni. Wstrząs po zadanym ciosie wydaje się osłabiony. Przy zamachu ostrze wydaje się lekkie, ale uderza ciężko.

Wyciągnęła miecz i bez najmniejszego wysiłku wbiła ostrze w palmę. Pień miał stopę średnicy, ale miecz bez trudu przebił gona wylot, kawał ostrza wystawał po

drugiej stronie. Corinne wyciągnęła miecz z palmy.

Jason zamachnął się parę razy mieczem, a potem podszedł do tego samego pnia, który dźgnęła Corinne, i uderzył ostrzem z boku. Wziął mocny zamach i spodziewał się, że klinga wbije się głęboko, ale zdziwił się, widząc, że przeszła przez cały pień bez większego oporu. Jason odskoczył w chwili, gdy palma przewróciła się w jego stronę.

– Ostrożnie. – Corinne się zaśmiała, kiedy drzewo padło równoległe do strumienia.

– To się nazywa ostra klinga – powiedział Jason, przyglądając się ostrzu z nowym szacunkiem. Przejście przez pień nie zostawiło najmniejszego śladu na lustrzanej powierzchni. – Powinniśmy zostać drwałami.

– Może pewnego dnia – odpowiedziała tęsknie Corinne. – Wolę ścinać drzewa niż ludzi.

– Nie traktuj mnie tak poważnie – zachnął się Jason. – Jesteś równie zasadnicza jak Rachel.

– Tęsknisz za nią.

Jason wzruszył ramionami, odwracając wzrok.

– Miło było mieć ją pod ręką. Martwię się o nią. Staram się pamiętać, że jest w dobrym towarzystwie. Założę się, że brakuje ci waszych telepatycznych rozmów. Odkąd zabrakło Gallorana i Rachel, jesteś jedyną osobą z telepatycznymi zdolnościami.

– Chyba nie doceniałam tego, jak bardzo zaczęłam polegać na rozmowach bez słów, dopóki nie odebrano mi tej możliwości. Próbowalam parę razy sięgnąć do nich na dużą odległość, ale nic z tego.

– Nigdy nie udawało wam się porozumieć na więcej niż milę czy coś koło tego.

– A i to przy znacznym wysiłku.

– Cóż, to będzie dobre ćwiczenie dla twoich ust.

– To będzie dobre ćwiczenie dla twoich ust – rozległ się głos za plecami Jasona.

Chłopak obrócił się gwałtownie z ostrzem w gotowości, zbity z tropu tym doskonałym echem. Zerknął na Corinne.

– Słyszałaś to?

– Słyszałaś to? – powtórzył głos z pobliskiej dżungli.

Po raz kolejny naśladowca bezbłędnie sparodiował Jasona. Chłopak zrobił kilka kroków w kierunku naśladowcy i zorientował się, że patrzy na kremową papugę z falbanką pomarańczowych piór wokół głowy.

Corinne podeszła do Jasona z mieczem w ręku.

– Mówił zupełnie jak ty.

– Mówił zupełnie jak ty – powtórzył ptak głosem Corinne. Śmignął z gałęzi na drzewa dalej od potoku. – Słyszałaś to? – zapytał głosem Corinne. – Mówił zupełnie jak ty – powtórzył, udając Jasona.

– Niemożliwe – powiedział Jason, brnąc przez paprocie, żeby lepiej przyjrzeć się papudze.

– Niemożliwe – odpowiedział głosem Corinne ptak.

Coś pędziło, na nic nie zważając, przez krzewy w bok od nich. Jason obrócił się i zobaczył Bahootsę, który gnał ku niemu z nożem w jednej ręce, a drugą ciernistą ręką wymachiwał i wskazywał, żeby Jason wracał do strumienia.

Jason przeniósł wzrok z Bahootsy na ptaka. Czyżby był niebezpieczny? Kiedy cofnął się niepewnie, papuga poderwała się do lotu, a cień za nią ożył, przybierając kształt wielkiego kociego drapieżnika, który wyskoczył z półmroku. Bahootsa przechwycił ogromnego kota w locie, rzucając się na niego z boku i zmieniając jego trajektorię skoku na tyle, by wyciągnięte pazury przecięły powietrze obok Jasona, o włos chybiając celu.

Drapieżnik zrzucił z siebie Bahootsę, fundując sobie liczne otwarte rany, kiedy bezlitosne ciernie rozdarły lśniąca sierść. Jeżąc się i odskakując, ogromny kot ryknął; dziki ryk sprawił, że dziesiątki ptaków w okolicy poderwały się do nieba. Jason zagapił się oniemiały na długie białe kły i przygotował miecz. Żaden tygrys czy lew nie ważył nawet połowę tego, co ten olbrzymi drapieżnik.

Bahootsa już stał, przesuwając się między Jasona i wielkiego kota. Szkarłatna krew kapiała z jego cierni. Trzymając w obronie miecz, Jason wycofał się z dżungli na nagą, czerwoną glinę. Wyczuł za sobą Corinne, więc przystanął. Za nic nie pozwoli, żeby dopadł ją drapieżnik. Na tę myśl poczuł się odważniejszy. Skoro jego miecz mógł przeciąć drzewo, to może też przerąbać się przez czaszkę przerośniętego kocura. Będzie tylko musiał uderzyć we właściwym momencie.

Kiedy kot przysiadł nisko, a potężne mięśnie wybrzuszyły się w kłębie, jedno z jego zielonych oczu zniknęło; nagle na jego miejscu pojawiło się pierzaste drzewce. Z piekielnym wrzaskiem ogromny kot obrócił się i śmignął między drzewa.

Obracając się, Jason zobaczył, że Farfalee już nałożyła drugą strzałę na cięciwę i przyciągnęła brzechwę do policzka. Stała niecałe trzydzieści jardów dalej. W głowie mu się nie mieściło, jakim cudem posłała strzałę przez listowie prosto w oko kota. Pozostała gotowa do strzału, kiedy Bahootsa dołączył do Jasona i Corinne.

– Nazywamy naśladowającego głosu ptaka sonalid – powiedział Bahootsa z bardzo wyraźnym akcentem. – Często poluje razem z dagamondem. Sonalid zwabia ofiarę w zasadzkę. Kiedy kot je, sonalid wyżera pasożyty z jego sierści.

Z bijącym sercem Jason tępo pokiwał głową. Szok dopiero zaczynał słabnąć.

– Nic ci nie jest?

Bahootsa wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Moje ciernie są twardsze od kamienia. Nie jestem łatwą ofiarą. W dżungli krążą gorsi drapieżnicy niż dagamondy.

Jason nigdy nie docenił faktu, jak dobrze serpentyny cierni i rozliczne czarne kolce sprawdzają się w roli zbroi. Bahootsa chodził w przenośnej klatce przeciw rekinom.

– Ocaliłeś mi życie – powiedział Jason, kiedy podeszli do nich Farfalee, Jasher



i Drake.

– Przysięgłem, że bezpiecznie odstawię was do naszych granic – odpowiedział Bahootsa. Wskazał na pozostałych. – Ratujemy wam życie wiele razy w ciągu dnia. Tym razem po prostu niewiele brakowało. To był chytry stary dagamond. Nie wyczułem, że nas podchodzi. – Odwrócił się do Farfalee. – Doskonały strzał.

– Staram się być użyteczna – odparła; strzała już nie opierała się na cięciwie, ale nadal znajdowała się w jej dłoni. Farfalee nie spuszczała z oczu dżungli.

– Uciekł – zapewnił ją Bahootsa. – Dagamond dostał więcej, niż miał ochotę. O wiele więcej. Woli zaskakiwać ofiarę, zabijać bez wysiłku. Nie przywykł do trudności. Ma niewielkie doświadczenia z bólem.

– Nic ci nie jest? – zapytała Corinne, kładąc rękę na ramieniu Jasona.

– Wszystko w porządku. Może serce bije mi trochę za szybko. Przez chwilę myślałem, że zostanę żarciem dla kota. – Schował miecz do pochwy.

– Drapieżniki uwielbiają maruderów – powiedział Bahootsa. – Powinniśmy trzymać się razem.

\*\*\*

W ciągu kilku następnych dni dżungla zaczęła się przerzedzać, powietrze stało się mniej parne, a noce chłodniejsze. Rzadziej widywali zwierzęta, a drzewni przewodnicy stali się mniej potrzebni.

Na szczycie niskiej skarpy, z której rozciągał się widok na trawiaste przestrzenie, Jason i jego towarzysze pożegnali się z Bahootsą i pozostałymi drzewnymi ludźmi. Słońce zaszło i Aram zmienił się z wątlęgo w potężnego. Kiedy drzewni ludzie zniknęli wśród zmierzchu, pozostali usiedli w kole. Jason cieszył się z szansy na odpoczynek. Bez drzewnych ludzi grupa sprawiała wrażenie nielicznej.

– Będzie nam brakować tych przewodników – powiedział Drake, wgryzając się w soczysty kawałek owocu. – Wędrówka z nimi była prawie jak wakacje.

– Dżungla to ich domena – odparł Jasher. – Źle się czują poza jej granicami. A ponieważ dyskrecja jest nam potrzebna najbardziej, ich obecność stałaby się utrudnieniem. Przykuwaliby uwagę.

– Więcej drzewnych ludzi powinno wędrować po królestwach – narzekał Drake. – Przynajmniej na południu. Gdyby opuszczali od czasu do czasu dżunglę, mniej wyróżnialiby się w tłumie.

Jason spojrział na trawiaste przestrzenie, które mieli przebyć. Maldor będzie na nich polował, a on nie widział żadnej kryjówki. Mając ze sobą drzewnych ludzi, mieliby więcej rąk do walki.

– Nia załatwi nam konie? – zapytał Aram głosem dudniącym jak grzmot.

– Jeśli wszystko ułoży się idealnie – odpowiedziała Farfalee. Usiadła koło Jashera, głaszcząc orła, który przysiadł jej na przedramieniu. – Przede wszystkim ma zwerbować dość drinlingów, żeby wystarczyło na załogę statku. Potem, jeśli to będzie możliwe, postara się wysłać konie i eskortę do lasów na północ od osady zwanej Hilloby.

– Miejmy nadzieję, że jej się uda – powiedział Drake. – Do Morza Śródładowego jest spory kawałek piechotą.

– Jak daleko jest do Hilloby? – zapytała Corinne.

Jasher zmrużył oczy, patrząc na horyzont.

– Może ze trzy dni piechotą.

– Nie ma tu wiele osłony – zauważył Jason.

– Będziemy podróżować nocą – odpowiedział Jasher. – A kryć się za dnia.

– Wygody życia zbiega. – Drake westchnął. – Potykać się w ciemnościach bez wierzchowców.

– Lepsze to niż niewola i tortury – ucięła Farfalee.

– Pewnie – zgodził się Drake. – Nie ma się o co obrażać.

– Nie ma sensu podkreślać oczywistych niewygód – odpowiedziała Farfalee.

Orzeł rozłożył skrzydła i wrzasnął.

– Denerwujesz ptaka – oskarżył ją Drake.

– Że niby ja denerwuję... – zachnęła się Farfalee.

Zacisnęła usta, wyraźnie starając się zapanować nad narastającym gniewem.

– Wyczuwa apodyktyczność – ostrzegł ją rzeczowym tonem Drake.

Jason starał się zachować kamienną twarz. Nie spojrzął w stronę Corinne, która też ukrywała rozbawienie.

Jasher przysunął się do Farfalee.

– Nie daj mu się zdenerwować – powiedział delikatnie, głaszcząc jej łokieć.

Farfalee zrzuciła jego rękę. Wyważonym ruchem posłała orła w niebo. Było już widać gwiazdy. Orzeł poszybował w dal.

– Nie mogę uwierzyć, że znajdzie drogę powrotną – powiedział Jason, patrząc w niebo; miał nadzieję, że zmieni temat.

– Eldrin nie był amatorem – powiedziała już miłym tonem Farfalee. – Stworzył ten gatunek orłów, aby były idealnymi posłańcami. Kiedy raz zwiążą się z osobą, znajdują ją niezależnie od dzielącej ich odległości.

– Ta trójka, którą mamy, jest także związana z Galloranem? – zapytał Jason.

– I z Tarkiem oraz Io na wszelki wypadek. Kiedy dowiemy się, co Darian ma nam do powiedzenia, wystarczy, że wydam polecenie, a orły zniosą wiadomość do naszych przyjaciół.

– A do chwili wysłania wiadomości, będą wracać do ciebie – upewnił się Jason.

– Tak właśnie. Od wieków pracuję z orlimi posłańcami. Spędziłam wiele dni

w ptaszarni w Mianamon, wybierając najbardziej wiarygodne ptaki i szkoląc je. Dopóki nie będziemy ich potrzebować, powinny same o siebie zadbać, polować, znajdować sobie schronienie. Będą do mnie wracać co parę dni.

– Doświadczony tropiciel może trafić do nas ich śladem – ostrzegł ją Aram.

– To niewykluczone – przyznała Farfalee – ale musimy podjąć to ryzyko.

– Jason ma ucho Ferrina – przypomniał wszystkim Drake.

Farfalee spiorunowała brata wzrokiem.

– To dobre dodatkowe zabezpieczenie, nawet jeśli rozsadnikowi chodziło tylko o to, żeby nas szpiegować.

– Może cię usłyszeć – mruknął Drake.

– Mam nadzieję. Nie zaufam temu draniowi, dopóki to wszystko się nie skończy, a on nie zrobi swojego. Nie mam nic przeciwko temu, że mnie usłyszysz.

– Niewiele usłyszysz – powiedział Jason. – Trzymam ucho zawinięte w wiele warstw na dnie torby.

– I bardzo dobrze – odparła Farfalee.

Gdzieś nad ich głowami orzeł krzyknął przenikliwie. Jason odchylił głowę, ale nie był w stanie wypatrzeć ptaka na ciemniejszym niebie. Nie podobała mu się myśl, że wrogowie mogliby wytropić ich, wykorzystując orły. Niestety, Farfalee miała rację: nie mogli pozwolić sobie na to, żeby całe zaufanie pokładać w Ferrinie.

Drake przeciągnął się, prostując ręce i wyginając plecy.

– A jeśli przydarzy ci się jakiś wypadek, droga siostrze? Czy orły wrócą do twojego nasiona? Czy są związane z kimkolwiek z nas?

– Są także związane z Jasherem – odpowiedziała. – I przylecą też do Corinne.

– Z Jasherem? On ciągle umiera! Ma zbyt wiele żywotów na zbyciu. Dlaczego nie z Jasonem?

– Mam alergię na orły – zażartował Jason, próbując nie dać wplątać się w kłótnię.

– To czemu nie z Aramem? Robi na mnie wrażenie faceta, który wiele przetrwa.

Aram odchrząknął.

– I ten facet sugeruje, że jeśli mamy podróżować nocą, to lepiej skorzystać z okazji, dopóki noc trwa.

Drake wyciągnął rękę w stronę półolbrzyma.

– Widzisz? Mniejsza o przywiązywanie ptaka do niego. Dlaczego nie on jest przywódcą?

– Posmakowałem tej roli. – Aram zarechotał. – Zbyt wielka odpowiedzialność. Zbyt wiele zobowiązań.

Drake pokręcił głową.

– Zapamiętajcie moje słowa, on przeżyje nas wszystkich.

– Aram z pewnością ma rację – wtrącił Jasher. – Powinniśmy ruszać.

– Ty jesteś przywódcą? – zapytał Drake z udawaną ciekawością, patrząc na Jashera,

ale zerkając na Farfalee.

Jason zauważył, że Corinne wierci się skępowana. Nie lubiła konfliktów i kiedy Drake'a nachodziła chętka do prowokowania siostry, tych nie brakowało. Przynajmniej Farfalee sprawiała wrażenie, że stara się zachować cierpliwość.

– Jasher zajmuje się taktyką. –Farfalee westchnęła. – Aram to mięśnie. Jason ma ucho. Corinne swój miecz. Ty jesteś utrapieniem, a ja przywódcą.

– Jakoś to zniosę – powiedział Drake. – Przywódcy ściągają na siebie mnóstwo uwagi. Utrapięcy czasem wychodzą cało.

– Wszyscy przeżyjemy – zapewniła go Farfalee.

– Nie według wyroczni – przypomniał jej Drake.

– Może ofiary będą w drugiej grupie – zadumał się na głos Aram.

– O, i to mi się w tobie podoba! – pochwalił Drake, klepiąc półolbrzyna po plecach.

– Przyjaciele, jeśli będziemy pilnować się Arama, może przeżyjemy. Uskakujcie, kiedy on uskakuje, uchylajcie się, kiedy on się uchyla.

– Czuję, że dostanę migreny – powiedziała śmiertelnie poważnie Farfalee. – Drake, może ruszysz przed nami na zwiady?

Drake zerknął na Arama.

– Co powiesz? Przeżyję to zadanie?

– Daję ci większe szanse niż jeśli nadal będziesz dokuczać siostrze.

– Mnie to pasuje – oświadczył Drake, wstając. – Starajcie się za mną nadążyć.

\*\*\*

Przez następne trzy noce przede wszystkim starali się zejść tak daleko, jak się da, a w drugiej kolejności znaleźć przed świtem schronienie. Aram niósł swój ciężki miecz i zbroję, a oprócz tego dwa wiadra orantium. Pierwszego dnia ukryli się wśród krzaków. Drugi spędzili w płytkim jarze. Trzeciego dnia przycupnęli pod stokiem stromego wzgórza.

Wkrótce po zachodzie słońca czwartej nocy Jason i jego towarzysze zobaczyli Hilloby. Skromna osada miała nie więcej jak dwadzieścia budynków i nie we wszystkich paliło się światło. Rozrzucone domy z gospodarstwami rozszerzały nieco osiedle. Niepozorna wioska stanowiła pierwszy dowód istnienia ludzi, jaki Jason dostrzegł od opuszczenia dżungli.

– Kto sprawdzi lasy na północ od osiedla? – zapytał Drake.

– Wszyscy możemy iść – zasugerował Jason.

Farfalee pokręciła głową.

– Spodziewamy się znaleźć tam drinlingów z końmi, ale ktoś mógł ich śledzić. Nie wiadomo co nas czeka w tych lasach. Powinniśmy wysłać dwóch zwiadowców.

– Ja pójde – powiedział Jasher. – I Drake.

Farfalee skinęła głową i dwaj nasiennicy ruszyli.

Jason znalazł sobie miejsce obok Corinne na płaskim gładzie. Noc była chłodna, ale nie zimna. Półksiężyc wisiał na niebie. Jason przywykł już do spania za dnia, więc był całkiem rześki i przytomny.

Nadal nie potrafił rozmawiać z Corinne na osobności bez nerwowego podniecenia. Nie chodziło tylko o to, że była wręcz niedorzecznie ładna. Była też pragmatyczna, bystra, słodka i... niedorzecznie ładna.

– Jak się trzymasz? – zagadnął ją.

Potrzebowała chwili na odpowiedź. Zadrżała i potarła łokieć.

– Szczerze? Trochę się martwię. Mężczy mnie ostatnio uporczywy lęk. Jakby nadciągało coś złego.

– Dziś wieczór?

Zmarszczyła czoło, patrząc na księżyc.

– Nie jestem pewna. Mam nadzieję, że nie.

– Może to tylko przepowiednia – powiedział Aram, włączając się niespodziewanie do rozmowy. – Czuję niepokój, odkąd została wypowiedziana. Nikt nie chce usłyszeć, że ma naprawdę marne szanse. Podejrzewać to jedno, ale mieć pewność to całkiem co innego.

– Pewnie masz rację – powiedziała Corinne, spoglądając na Arama.

– Przez jakiś czas powinniśmy być bezpieczni – zapewnił ją Jason. – Nikt nas nie widział. Nawet w Mianamon nikt nie wie, dokąd się wybieramy.

– Maldor musiał się wściec, kiedy uciekliśmy do dżungli – powiedziała Farfalee, podchodząc i opierając stopę o gład obok Jasona. – To jedno z nielicznych miejsc, gdzie ma małe wpływy. Będzie nas wyglądał wzdłuż całej granicy.

– Wie, że byliśmy z Galloranem – dodał Aram. – Będzie szczególnie uważał na drogi prowadzące do Trensicourt.

– Być może – zgodziła się Farfalee. – Jason ma rację, że ostrożność i dyskrecja pozostają na razie naszym największym atutem. Rozejrzę się.

Zniknęła wśród cieni.

– Orły – mruknął Aram, kiedy znalazła się poza zasięgiem słuchu. – Poradziłbym sobie bez nich. Jeśli tropiciel zna swój fach, orły zaprowadzą go prosto do nas. W przeciwnym wypadku nie wyobrażam sobie, jak cesarz...

– Czatownicy – przerwał mu Jason. – Posłużył się nimi już wcześniej. – Dotknął wisiora z koralików i kości, który nosił na szyi. – Nadal mam amulet, który Rachel przyniosła mi od zaklinaczki. Jednak odkąd Drake oddał swój Galloranowi, umysły pozostałych są dla nich otwarte.

– Wyczułabym czatownika – powiedziała Corinne. – Słyszałam tego, który zaatakował ojca. Jeśli któryś dosięgnie nas mentalnie, będę wiedziała.

– Lepiej nie rozmawiać o takich rzeczach – zachnął się Aram. – Im mniej myśli będziemy wysyłać w ich kierunku, tym lepiej.

Jason postanowił nie mówić, że najprostszy sposób skierowania czyjeś uwagi na coś, to powiedzieć, żeby o tym nie myślał.

Księżyc powoli przesunął się po niebie. Corinne odchyliła się do tyłu i zamknęła oczy. Jason starał się na nią nie gapić. To dziwne, że biła go na głowę w walce na miecze. Widział, jak ćwiczyła z ojcem i wiedział, że wyrasta daleko poza jego ligę.

Skrzyżował ręce na piersi. Zerknął na Arama, który usadowił się na ziemi plecami do głazu. Czy w razie potrzeby miałby szansę w pojedynku z Aramem? W życiu. Półolbrzym miał większy zasięg, a jego ciosy były niesamowicie silne. A z Jasherem? Albo Drakiem? Nie, gdyby naprawdę się postarali. Mógł z nimi walczyć w ramach treningu, ale gdyby przyszło co do czego, gdyby szło o śmierć i życie, z pewnością by go pokonali. A gdyby posługiwał się swoim torivorańskim mieczem? Nie, chyba że przeciąłby ostrze Jashera, a nasiennik potknąłby się albo coś w tym guście. Farfalee nigdy specjalnie nie interesowała się walką wręcz. Jason mógłby mieć z nią szansę, o ile nie trafiłaby go wcześniej strzałą z odległości mili.

Corinne oddychała cicho, jej harmonijne rysy twarzy były skąpane w blasku księżyca. Jason przesunął się, próbując wygodniej usadowić się na gładzie. Zdecydowanie walczył lepiej niż kiedyś, ale skoro każdy członek drużyny mógłby go pokonać w walce, czy to nie znaczyło, że jest najsłabszym ogniwem? Kiedy sprawy przybiorą zły obrót, czym miał wspomóc grupę?

Rozumiał, jaką pomoc stanowi Rachel. W miarę jak jej umiejętności w edomickim wzrastały, gwałtownie wzrastała jej wartość. Pamiętał, jak cisnęła płonącym stołem przez salę w Ostatnim Zajeździe. Dysponowała naprawdę imponującą mocą. Wyobrażał sobie, ile może zmienić w czasie misji. Nie rozumiał tylko, dlaczego wyrocznia taką wagę przykładła do jego osoby.

Może za dużo o tym myślał. Może powinien trochę wyluzować. Miejmy nadzieję, że jeśli zachowa czujność i zrobi, co w jego mocy, to zdoła przydać się do czegoś, kiedy nadejdzie właściwy czas. Dlaczego miał wrażenie, że się oszukuje?

Aram zaczął chrapać. Wyraźnie zaniepokojona Farfalee przychodziła i odchodziła kilka razy. A potem zbliżający się tętent sprawił, że Jason, Corinne i Aram zerwali się na równe nogi.

– To musi być dobry znak, prawda? – zapytał Jason. – Konie?

– Nie wyczuwam niczego złego – powiedziała Corinne, ocierając oczy.

– Jadą prosto na nas – szepnął Aram. – Jasher i Drake nigdy by nas nie wydali. Ukryjmy się na wszelki wypadek.

Wyciągnął olbrzymi miecz, który od głowicy do czubka miał tyle długości, co Jason wzrostu, a jego klinga była ostra i ciężka. Aram trzymał miecz zwyczajnie w jednej ręce. Większość dorosłych mężczyzn z trudem uniosłaby go w dwóch.

Trójka przyjaciół ukryła się w krzakach. Po chwili dołączyła do nich Farfalee ze strzałą na cięciwie. Aram uchylił wieko jednego z wiader z orantium.

Osiem koni z sześcioma jeźdźcami pojawiło się na widoku. Czterech było drinlingami.

– Teren czysty! – zawołał Jasher z wierzchowca.

Jason i pozostali wynurzyli się z kryjówki.

– Mamy nowych przyjaciół – powiedział Drake. – Są dobrze zaopatrzeni.

– Widzę tylko dwa wolne konie – zauważyła Farfalee.

– Dwójka naszych idzie teraz pieszo – powiedział jeden z nowo przybyłych z wyraźnym akcentem.

– Nie chcielibyśmy zostawić was w tyle – powiedział Aram.

Drinling uśmiechnął się krzywo.

– Gdybyśmy ścigali się do Durny, nasza dwójka pieszo mogłaby was pokonać. Konie potrzebują odpoczynku, a my nie. Drinling może przebyć ogromny kawał drogi, biegnąc bez ustanku dzień i noc. Potrzebujemy tylko pożywienia.

– To łatwiejsze, kiedy można jeść ziemię – powiedział Jason. – Albo trawę, wiewiórki czy szyszki.

– Wygląda na to, że znasz nasze zwyczaje – powiedział drinling.

– Nia nigdy nie przestaje mnie zadziwiać tym, co potrafi zjeść – odpowiedział Jason.

– Zadziwi cię ponownie, kiedy wszyscy się zbierzemy – odparł drinling. – Dobrzy ludzie, my, drinlingowie, wyprowadzimy was na morze. Obronimy was najlepiej jak zdołamy. Reszta zależy od was.

Jason zerknął na Corinne. Wyglądała, jakby jej ulżyło. Nadchodziły trudne czasy, ale może jeszcze nie tej nocy.

# Rozdział 5

## Spotkanie na osobności

Zimny deszcz lał bez przerwy, uderzając o dach starego składziku i sprawiając, że kałuże wyglądały, jakby się gotowały. Siedząc na drewnianej beczce, Rachel owinęła się ciaśniej płaszczem. Po drugiej stronie podwórza trzy latarnie wiszące pod okapem stajni rozjaśniały deszczową noc.

Obok niej siedział Galloran z przepaską na oczach i mieczem w pochwie na kolanach. Po jej drugiej stronie przykucnął Bartley z Wershon. Wczoraj krzepki wicehrabia był pełen chełpliwej brawury. Dzisiaj był już bardziej opanowany; ciągle pocierał usta, kiedy wyglądał z powagą na zewnątrz.

Rachel zauważyła, że drżą jej palce. Z zimna czy z nerwów? Zaciśnęła dłonie w pięści. Tygodnie podróży i wyczekiwania prowadziły do tej nocy. Oszczędzą wiele wysiłku, jeśli spotkanie pójdzie dobrze.

– Spóźniają się – szepnął Bartley.

Rachel widziała wicehrabiego tylko przelotnie w dniu, w którym Jason stawił czoło kanclerzowi Copernumowi w pojedynku umysłów. Wiedziała jednak, że arystokrata pomógł Jasonowi. I według Brina oraz Nicholasa okazał się dyskretny i bardzo pomocny, odkąd wiele miesięcy temu Jason opuścił Trensicourt. W tej chwili naprawdę nadstawiał karku, proponując swój majątek jako miejsce zbliżającego się spotkania.

– Opieszałość jest pewnie dobrym znakiem – powiedział Galloran. – Gdyby to była zasadzka, zadbaliby raczej, żeby zjawić się szybko.

– Więc zamiast tego postanowili nas obrazić? – zapytał cicho Bartley.

– Pogoda jest dziś wstrętna – odpowiedział spokojnie Galloran.

Nagle do składziku dał nura Tark. Woda lała się strumieniami z jego płaszcza.

– Widziałem sygnał. Trzy szybkie rozbłyski w równych odstępach.



– Zatem nasi goście zbliżają się tak jak prosiliśmy – odpowiedział Galloran. – Nic nie wskazuje na nieczyste zagrywki.

– Zgadza się – potwierdził Tark i zniknął z powrotem w ciemności.

Rachel wiedziała, że Nedwin, Ferrin, Brin i Nollin badają teren. Tark i Io stacjonowali nieopodal w budynku gospodarczym, z końmi gotowymi do szybkiej ucieczki. Bardzo się postarali, żeby wybronić się z ewentualnej zasadzki. Goście myśleli, że spotkanie odbędzie się na zboczach pod dworem. W ostatniej chwili jeden z wartowników Bartleya skieruje ich do niższej stajni, gdzie będzie czekał na nich Kerick.

Po ostrej jeździe od granic dżungli do zewnętrznych granic Trensicourt Rachel spędziła dwa dni w odległej stodole, podczas gdy Nedwin dopracowywał szczegóły spotkania. Wczoraj przed wschodem słońca ona i jej przyjaciele zjawili się w posiadłości Wershon i tymczasowo zamieszkali w wielkim młynie w jednym z zakątków majątku. Jeśli spotkanie się uda, już niedługo wyśpi się w wygodach.

– Na pewno chce pan, żebym była przy tym spotkaniu? – zapytała Rachel.

– Oczywiście – odpowiedział Galloran. – Ci ludzie przywykli do rozwiązywania problemów podczas negocjacji, ale nie będą się palić do oddania królestwa. Musimy sprawiać wrażenie silnych. Utalentowana adeptka edomickiego to wyjątkowa i potężna broń. Pamiętaj, jeśli pojawi się taka okazja, pokaż im swoją moc, narzucając im swoją kontrolę. Unieruchom ich, powal na ziemię, cokolwiek, byleby poczuli się słabi. Dar rozkazywania ludziom jest wyjątkowo rzadki i mówi o ogromnych zasobach mocy.

– Dobrze – powiedziała, siląc się na ton osoby, na której można polegać.

Czy Galloran domyślał się, jak przerażała ją myśl, że wynik tego spotkania może zależeć od tego, jakie uda jej się zrobić wrażenie? Czy słyszał jej niepewność, kiedy o tym myślała? Może skupił uwagę na czymś innym. A może był na tyle uprzejmy, by udawać, że nie dostrzega jej niepokoju.

Rachel zauważyła, że Bartley zerka na jej szatę z rezerwą. Przynajmniej na nim robiła wrażenie. Skupił się na drzwiach i odchrząknął cicho.

– Zbliża się samotny jeździec.

– Zaprosiliśmy trzech gości – powiedział Galloran. – Przysłali tylko posłańca?

Rachel patrzyła, jak zakapturzony jeździec podjeżdża do stajni, zsiada i wprowadza wierzchowca pod okap. Niedaleko od jednej z lamp Kerick podszedł do mężczyzny i zaczął z nim rozmawiać. Po wymianie kilku słów Kerick wziął wodze i wskazał mężczyźnie drogę do stajni. Potem odwrócił się od składziku, w którym ukrywała się Rachel i pomachał dwa razy ręką wyciągniętą nad głową.

– Jest sygnał – szepnął Bartley. – To chyba oznacza, że zjawił się przynajmniej jeden z nich.

– Jak mogliby oprzeć się takiej pokusie? – zżymał się Galloran. – W Trensicourt rządzą teraz stratedzy i ugodowi politycy, nie ludzie czynu. Stratedzy potrzebują

informacji. Ugodowi politycy potrzebują spotkań. Musieli kogoś przysłać.

– Stratedzy lubią też pułapki – dodał Bartley. – A ugodowi politycy nie są godni zaufania.

Galloran skinął głową.

– Zachowamy czujność. Rachel, przy pierwszych oznakach kłopotów, nie wahaj się użyć siły.

Rachel powiedziała sobie, że po to właśnie trenowała. Posługiwała się już edomickim w bardziej niepewnych sytuacjach. Jednakże w walce wydawała rozkazy człowiekowi tylko w noc, kiedy zaatakowała ją Kalia. To były rozkazy pośpieszne i odruchowe. Teraz czekało ją inne wyzwanie: rozkazywanie potężnemu przeciwnikowi dla podkreślenia własnych racji. Czy zdoła to zrobić jak należy?

Naciągnęła kaptur ciężkiego płaszcza i wzięła Gallorana za rękę. Wyprowadziła go na ulewę. Bartley ruszył tuż za nimi i zaraz dołączył do nich Io. Rachel nie odrywała oczu od stajni, ale niewiele mogła zobaczyć. Kerick i gość zniknęli w środku. Deszcz bębnił o kaptur Rachel. Próbowwała pomóc Galloranowi ominąć najgorsze kałuże. Zanim dotarli do okapu, mieli buty oblepione błotem.

Kiedy Rachel wprowadziła Gallorana do stajni, po raz pierwszy wyraźnie zobaczyła gościa. Otwartą przestrzeń stajni omieciono i postawiono w niej duży stół. Czekало jedzenie i napoje. Zapach świeżych bułek mieszał się z zapachem koni.

Gość stał koło stołu. Był wysoki i chudy, miał wąskie ramiona, wydatny kościsty nos i surową twarz. U pasa nosił sztylet, ale poza tym nie było widać żadnej innej broni. Powiesił płaszcz na kołku, a zamiast kaptura miał teraz na głowie duży, trójgraniasty kapelusz.

– Kto przyszedł? – szepnął Galloran.

– Kanclerz Copernum – szepnęli jednocześnie Bartley i Rachel.

Kerick zaprowadził ogiera Copernuma do boksu, gdzie go teraz wycierał. Copernum przyjrzał się nowo przybyłej czwórce w milczeniu, nieruchomy, nie licząc czujnych oczu, które były cały czas w ruchu.

Jego spojrzenie krępowало Rachel. Słyszał z bystrości umysłu. Próbował zabić Jasona.

– Witam, kanclerzu – powiedział Galloran, robiąc co w jego mocy, żeby jego zachrypły, zniszczony głos zabrzmiał pogodnie. – Dziękuję za przyjęcie zaproszenia.

– Jak mogłem zignorować okazję do spotkania ze słynnym dziedzicem Trensicourt – odpowiedział oschle Copernum. – Bartley, gratuluję, że zostałeś gospodarzem tego wieczoru, chociaż warunki pozostawiają sporo do życzenia.

– Proszę mnie za to winić – upierał się Galloran, kiedy Rachel prowadziła go do stołu. – Wicehrabia zaproponował swój dom. Przez wzgląd na cel dyskusji przedłożyłem anonimowość nad wygody.

– Niewątpliwie przywykł pan do tej opcji – odpowiedział Copernum.

Io wziął od Gallorana mokry płaszcz. Księżę usiadł, a Copernum poszedł za jego przykładem i usiadł przy drugim końcu stołu.

– Przeżyłem parę trudnych lat – zgodził się Galloran, jakby nie dostrzegł protekcyjności w uwadze kanclerza.

– Obawiam się, że nie znam pańskich towarzyszy – zauważył Copernum.

Io wziął płaszcz od Rachel.

– To Rachel, Pozaświatowiec i utalentowana adeptka edomickiego – powiedział Galloran.

Copernum spojrzał na nią przenikliwie z nagłym zainteresowaniem.

– Nosi szatę wyroczni.

Galloran zasugerował, żeby Rachel włożyła strojną szatę, bo dzięki temu zrobi większe wrażenie. Miała nadzieję, że nie wyjdzie na oszustkę.

– Rachel uczyła się u wielu mistrzów – powiedział Galloran. – Mężczyzna, który wiesz płaszcze, to Io, przyszły wódz dzikiego klanu drinlingów. Poznałeś już Kericka z ludu Amar Kabał, który zajmuje się twoim koniem.

– Podróżuje pan z prawdziwą menażerią – podsumował Copernum.

– Zjawileś się sam – powiedział Galloran.

Copernum skinął głową, biorąc ciemną bułeczkę i rozrywając ją na pół.

– Zaproszenie nie zezwalało na żadną ochronę. Wielki diuk Edgemont przesyła pozdrowienia, tak samo jak regent.

Odgryzł kęs.

– Pogoda ich przerosła? – zapytał Galloran.

– Upoważnili mnie, bym mówił w ich imieniu – odpowiedział Copernum. – Cieszy się pan nienaganną reputacją, ale wiadomo, że lata w Felrook zmieniają człowieka. Diuk i regent nie uważali za rozropne tego, byśmy wszyscy trzej spotkali się w niestrzeżonym miejscu wybranym przez pana.

– Wielka szkoda, ale rozumiem.

Copernum wziął szklanicę z napojem i przełknął łyk.

– Proszę mi powiedzieć, dlaczego po tych wszystkich latach Ślepy Król postanowił wyjść z ukrycia.

To zdanie miało ewidentnie sugerować, że Copernum od początku wiedział, że Galloran ukrywa się na widoku jako Ślepy Król. Rachel podejrzewała, że to możliwe, zważywszy że Maldor także wiedział, a Copernuma łączyły podobno silne związki z Felrook.

Galloran dotknął przepaski.

– Nie chciałem wracać z wygnania, dopóki nie poczuję się zdrowy i gotowy do podjęcia czekających mnie obowiązków.

– Jest pan więc zdrow? – zapytał kanclerz.

– Tak bardzo, jak to możliwe – odpowiedział Galloran. Obrócił się na krześle. –

Rachel, Bartley, Io, czujcie się swobodnie, siadajcie, proszę.

Rachel zdała sobie sprawę, że stoi nieruchomo obok krzesła Gallorana jak skamieniała z powodu napięcia wyczuwalnego w rozmowie. Usiadła po jednej stronie Gallorana, a Bartley po drugiej. Io zajął pozycję przy końcu stołu bliżej Rachel.

Po drugiej stronie stołu Copernum odłożył bułkę. Pochylił się, garbiąc wąskie ramiona, przyglądając się bacznie.

– Co pan proponuje?

– Zjawiłem się, by przejąć to, co należy mi się z racji urodzenia – odpowiedział Galloran. – Przez lata ty i Dolan zarządzaliście Trensicourt podczas mojej nieobecności. Jestem wam wdzięczny za utrzymanie niezależności Trensicourt. A teraz mam nadzieję, że przez wzgląd na dobro królestwa zadacie, by przekazanie władzy przebiegło bez wstrząsów.

Copernum złożył ręce.

– Wierzy pan, że pańskie wstąpienie na tron przyniesie korzyści Trensicourt?

– Kto jeszcze może stosownie wypełnić tę rolę? – zapytał Galloran. – Żaden inny syn Dromidusa nie przetrwał. Jestem niekwestionowanym dziedzicem.

– Skoro jest pan prawowitym królem, nie rozumiem, po co panu moje przyzwolenie.

– Nie udawaj przede mną głupca, Copernum – odpowiedział Galloran. – Nigdy nie poznaliśmy się zbyt dobrze. Z tego co pamiętam były markiz Jansington był twoim dalekim kuzynem. Ponieważ nie miał dziedzica, przekazał tytuł tobie, zamiast swoim siostrzeńcom. Spotkaliśmy się tylko przelotnie w ostatnich latach rządów mojego ojca. Obserwowałem cię z daleka. Łączysz akademickie przygotowanie z talentem do zręcznych manewrów politycznych. Ty i Dolan niemal całkowicie pozbyliście się arystokratów, którzy otwarcie wypowiadali się przeciwko Felrook. Arystokraci, którzy mają nadzieję ugłaskać cesarza, nie będą śpieszyć się, żeby uznać mnie za nowego monarchę.

– Mają rację, że się martwią?

– Nie zamierzam kokietować cesarza – odparł oschle Galloran. – Nie będę płacił mu daniny. Nie będę prowadził z nim delikatnej polityki. Nie będę ignorował jego agresywnej ekspansji. Nie będę zgadzał się na jednostronne kompromisy. Królestwa, które próbowały zadowolić Felrook, upadły. Delikatne obchodzenie się z rodzącym się cesarstwem nieuchronnie doprowadzi do końca naszej suwerenności.

– Nie pomyślał pan, że być może zjawił się pan o dekadę za późno? Nie dostrzega pan, że jeśli nie sprzymierzymy się z cesarzem, czeka nas tylko unicestwienie?

– Nigdy nie poddam się Maldorowi – oznajmił Galloran.

– Ciekawe. Dano mi do zrozumienia, że już pan nie potrzebuje tej przepaski.

– Przyjąłem oczy od Maldora – przyznał bez ogródek Galloran. – Zaproponował mi je wiele lat temu. W końcu się zgodziłem. Nie złożyłem mu jednak przysięgi wierności.

– A jednak jego szpiegdy dzielą się teraz z panem oczami. – Copernum się zaśmiał.

– Panie, jak zamierzasz opierać się wrogowi, który widzi każdy twój ruch?  
– Nie zdejmując przepaski.  
– Czemu więc przyjął pan oczy?  
– Przez wzgląd na te chwile, kiedy ich potrzebuję, by zabijać.  
– Bardzo to melodramatyczne – odparł gładko Copernum. – Proszę mi powiedzieć, dlaczego teraz носи pan opaskę?

– Po części z grzeczności – odpowiedział Galloran. – Nie byłem pewien, czy będziesz chciał, by cesarz wiedział, że rozmawialiśmy.

– Powiedziałeś mi, książę, żebym nie udawał głupca. Pozwól, że odpowiem szczerze. Cesarz nie jest moim wrogiem. Zachowałem Trensicourt nietknięte, utrzymując dobre stosunki z Felrook. Nie mam niczego do ukrycia przed Maldorem. Jeśli cesarz będzie zainteresowany, z radością ujawnię mu wszystko, o czym rozmawialiśmy tej nocy. Nie zrobię tego, bo nie jest lojalny wobec Trensicourt. Zrobię to, by chronić Trensicourt. Zrobię to, żeby tym królestwem mogli rządzić ludzie, którym zależy na Trensicourt, a nie bezwzględni cesarscy gubernatorzy.

Galloran zaczął rozwiązywać przepaskę.

– A czy ty sam nie stajesz się cesarskim gubernatorem? Tak by wynikało z tego, co mówisz.

Galloran zdjął przepaskę, odsłaniając jedno oko piwne, a drugie niebieskie. Jego spojrzenie było twarde.

Rachel wolałaby, żeby nie przypominać jej, że agenci Maldora obserwują wszystko, co Galloran widzi. Kochała księcia i ufała mu, ale ta myśl sprawiała, że jego oczy wydawały jej się złowrogie. Przynajmniej wzrok Gallorana nie skupiał się na niej.

Copernum sprawiał wrażenie odrobinę zdekoncentrowanego tym spojrzeniem.

– Dolan nie przyjmuje rozkazów z Felrook. Ani ja. Poczyniliśmy pewne ustępstwa, by zachować pokój.

– Wiem mnóstwo na temat ustępstw, jakie poczyniliście – powiedział Galloran. – Jest ich więcej niż trzeba, by uznać was za zdrajców i kazać powiesić.

Copernum zjeżył się, ale zmilczał. Odgryzł kęs z kawałka sera i przeżuł w zamyśleniu, zanim odpowiedział.

– Zastanawiałem się, ile czasu minie, zanim ta rozmowa stanie się nieprzyjemna. Jeszcze nie zostałeś koronowany, panie. Więcej, przez lata nie zgłaszałeś pretensji do swoich rzekomych praw do tronu. Obecnie Dolan jest strażnikiem królestwa i sprawuje najwyższą władzę prawną.

– Sugerujesz, że będę musiał przejąć Trensicourt siłą? – zapytał Galloran.

Copernum jakby nigdy nic wzruszył ramionami.

– Myślisz, panie, że byś zdołał? Możliwe. Męczennicy zwykle cieszą się najlepszą opinią. Dla mieszkańców królestwa nie żyłeś od ponad dziesięciu lat. Twoja sława stosownie urosła. Stałeś się ludowym bohaterem, bardziej legendą niż człowiekiem.

Twoi agenci od miesiący rozpowiadali plotki, przepowiadając twój powrót, i te wieści się zakorzeniły. Miasto czeka na ciebie, wygląda cię, wielu nie wierzy, ale większość ma nadzieję. Spodziewam się, że wielu przyłączyłoby się do twojej sprawy.

– To nie wystarczy?

– To zależy. Jak na razie nie rozsiewałem własnych plotek. Plotek, że Galloran sprzedał własne oczy i wierność cesarzowi, by wykupić sobie wolność. Plotek, że Galloran płacił się w cesarskich luksusach, kiedy obywatele Trensicourt mozolili się w trudzie, w strachu i zwątpieniu. Plotek, że Galloran zwariował w Felrook i dlatego teraz chce walczyć z Maldorem za wszelką cenę, nawet jeśli oznacza to zniszczenie królestwa w beznadziejnej wojnie. Te i wiele innych historii mogłyby już krążyć. W Trensicourt nic nie porusza się szybciej niż plotka.

– Dlaczego się powstrzymałeś?

– Nie byłem pewien, czy jesteś, książę, moim przeciwnikiem. Nie musimy być wrogami. To prawdopodobne, że wadałbyś Trensicourt o wiele efektywniej niż Dolan. Oczywiście, gdybyśmy stali się wrogami, przypomniabym ci, że wielu z najlepszych wojowników Trensicourt jest wiernych swoim panom lennym, arystokratom. A arystokraci są wierni Dolanowi. I mnie. Naturalnie, gdybyśmy potrzebowali cesarskiej pomocy, by utrzymać panowanie nad Trensicourt, Felrook z radością podejmie się interwencji.

Galloran w końcu zaczął tracić cierpliwość.

– Jeśli sprowadzisz cesarskich żołnierzy do Trensicourt, nigdy nie odejdą.

– Z tego właśnie powodu nigdy nie wpuściliśmy do miasta cesarskich zastępów – pośpiesznie przytaknął Copernum. – Wzielibyśmy pod uwagę tak nierozważne działania tylko wtedy, gdyby nasze rządy zostały zagrożone.

Uśmiechnął się jak rekin.

Galloran skinął głową. Jedno z jego nozdrzy się rozszerzyło. Całe ciało sprawiało wrażenie napiętego jak gotowa pęknąć struna. Udało mu się odpowiedzieć niemal zwyczajnym tonem:

– Mówiłeś otwarcie. Pozwól, że odpowiem równie otwarcie. Już porozumiałem się z wieloma pomniejszych lordami, tak samo jak z kluczowymi członkami wyższej arystokracji. Mógłbyś się zdziwić, jak wielu tych z błękitną krwią pozostało wiernymi koronie. Jeśli mnie zmusisz, jutro postawię ultimatum arystokratom Trensicourt: stańcie po stronie swojego króla albo zgińcie jako zdrajcy. Nie zamierzam prowadzić wojny, żeby odzyskać swoje królestwo. Moi wrogowie zostaną zlikwidowani i zobaczymy, dokąd potem zwrócą się pozbawieni panów śludzy. Nie ma dość cesarskich oddziałów, żeby dotarły do tego regionu dostatecznie szybko, by mi przeszkodzić. Gdybyście byli na tyle głupi, by próbować ich wezwać, nawet wasi wierni poplecznicy by was porzucili. Przewrót nie potrwa miesiący ani nawet tygodni. Wystarczą trzy dni.

– Dobrze powiedziane – zgodził się Copernum. – Sceptyk mógłby się zastanowić, jak proponuje pan zabić jednocześnie najpotężniejszych ludzi w królestwie.

Galloran zerknął na Rachel. Ogarnięta nagłą paniką zdała sobie sprawę, że to prośba o demonstrację. O coś, co przerazi Copernuma. Napięcie w pomieszczeniu było namacalne, obie strony starały się sprawiać wrażenie spokojnych i opanowanych, i obie zastanawiały się, w jakim stopniu przeciwnik blefuje. Negocjacje pozostawały nierozstrzygnięte. Wiele zależało od tego, jak ona sobie poradzi.

Powiedziała sobie, że ćwiczyła te techniki od miesięcy. Co jednak, jeśli za bardzo się zapędzi i rozkaz zawiedzie? Albo jeżeli nie naciśnie dostatecznie mocno? Copernum był przebiegłym człowiekiem. Co, jeśli uczył się opierać edomickim sugestiom? Albo był odporny?

Chwila mijała. Brak działania też będzie porażką. Zbierając całą wolę i polegając na szkoleniu, Rachel wypowiedziała zdecydowaną edomicką sugestię. Copernum padł na podłogę, uderzając policzkiem o kant stołu. Z ulgą, że poszło jej tak dobrze, wypowiedziała kolejne słowo i jego ciało zeszytniało. Io przykucnął obok i przesunął palcem wskazującym po gardle kanclerza.

Rachel przelotnie zerknęła na Gallorana. Rozpromienił się w aprobachie, która odzwierciedlała jej cichą radość, umacniając ją w poczuciu triumfu. Pomyślała o rozsadnikach, którzy obserwowali ten mały pokaz tymi samymi oczami, i jej radość przybladła.

Copernum pozostał nieruchomy dłużej niż zwykle. Minęło całe dziesięć sekund, zanim wstał, blady i roztrzęsiony, z siniakiem, który zaczął się formować na jego policzku.

– Imponujący pokaz. – Pociągnął nosem, a jego zaniepokojone spojrzenie tańczyło między Rachel i Galloranem.

Usiadł z powrotem, otrzepał rękawy i próbował odzyskać opanowanie.

– Niech sceptycy powątpiewają w moje możliwości – powiedział głosem jak ze stali Galloran. – Jednakże każdy sceptyk wykazałby się słabą znajomością Trensicourt, gdyby miał nadzieję przeciwstawić się naporowi ludzi, którzy powstaną, żeby powitać swojego króla w domu.

– Czego ode mnie oczekujesz, panie? – zapytał Copernum.

– Nie chcę, by moje królestwo pogrążyło się w chaosie. Chcę, by było zjednoczone. Jestem gotowy zgodzić się, że niezależnie od tego, jak błędne były wasze układy z Felrook, mogło leżeć wam na sercu dobro Trensicourt. Moje królestwo pozostaje niezależne, przynajmniej teoretycznie, i za to jestem wdzięczny. Jeśli ty, Dolan i arystokraci, na których wpłynęliście, powitacie swojego powracającego króla i poprzecie szybkie i gładkie przekazanie władzy, zachowacie tytuły i majątki. Zostaną wam wybaczone wszelkie występki z przeszłości i będziecie musieli zważać tylko na swoje przyszłe czyny z obawy przed karą.

– To pańska propozycja? – zapytał Copernum.  
– W skrócie.  
– Mam wierzyć, że pozostanę kanclerzem?  
– Ktoś inny ma obecnie prawa do tej pozycji – odparł Galloran.  
– Lord Jason porzucił swoje stanowisko – przypomniał delikatnie Copernum.  
– Lord Jason nigdy nie złożył rezygnacji – sprostował Galloran. – Wypełniał dla mnie pewne zadania. Będziesz służył jako kanclerz do powrotu lorda Jasona. Kiedy Jason dołączy do nas, będziesz mógł rzucić mu wyzwanie i starać się o stanowisko. Wasze pozostałe tytuły i majątki pozostaną nietknięte.

Copernum się pochylił.

– Potwierdzi pan nasze tytuły i posiadłości na piśmie? Potwierdzi pan bezwarunkową łaskę, jeśli idzie o wszelkie ewentualne przewiny z przeszłości?

– W rzeczy samej. Po powrocie będę wymagał pełnej współpracy. Nie tylko w pomocy w zorganizowaniu szybkiej koronacji, ale i poparcia dla mojej strategii.

Copernum zmrużył oczy i skinął lekko głową.

– Czy jako przyszły współpracownik mogę dowiedzieć się nieco na temat pańskich zamiarów?

– To żadna tajemnica – odpowiedział Galloran. – Zdecydowanie stanę przeciwko Felrook. Tak zdecydowanie, jak jeszcze nigdy dotąd Trensicourt nie stanęło.

Copernum rozejrzał się po pomieszczeniu.

– Czy obecni tu mają sugerować, że ma pan poparcie Amar Kabal, drinlingów i dzieci Certiusa?

– Trensicourt nie stanie samotnie przeciwko Felrook – zapewnił go Galloran. – Czas ucieka, Copernum. Masz dzisiejszy wieczór, żeby naradzić się ze swoją kamarylą. Jutro spodziewam się jednoznacznej odpowiedzi. Wszystko inne uznam za akt zdrady przeciwko waszemu prawowitemu królowi, a to pociągnie za sobą stosowną karę.

Copernum zamyślił się.

– Cesarz będzie głęboko zniesmaczony.

Galloran wyprostował się w krześle.

– Przysięgam uczynić znacznie więcej niż tylko go zniesmaczyć.

Copernum uniósł głowę.

– Podziwiam pański tupet. Jeśli nie robię wrażenia wniebowziętego, proszę, książę, zrozum, że mój opór nie płynie z miłości do cesarza. Od lat utrzymywaliśmy kruchy pokój z Felrook, co pozwalało nam rozkwitać, podczas gdy inne królestwa padały.

– To, co wy nazywacie pokojem, cesarz nazywa odroczeniem – odpowiedział Galloran. – Pomijając Siedem Dolin, jesteśmy najlepiej bronionym suwerennym krajem w całym Lyrianie. Cesarz raczej poczeka ze zmiążdżeniem Trensicourt, aż będzie mógł skupić całą siłę na tym zadaniu. Ten dzień jest bliski. Nadejdzie po upadku Kadary. Musimy podjąć działania, zanim zostaniemy ostatnim królestwem ludzi, które ma



upaść.

Copernum złożył ręce na stole.

– Pojmuję twoje warunki. Jak mam dostarczyć odpowiedź?

– Umieszczę przedstawicieli przy krytym moście nad Kamienną. Waszą odpowiedź ma dostarczyć nie więcej niż dwóch jeźdźców przed południem. Dalsze rozmowy potoczą się zależnie od odpowiedzi.

Copernum wstał.

– Spodziewam się, że wszystko potoczy się zgodnie z twoimi nadziejami, mój książę. Robisz wrażenie równie kompetentnego i oddanego sprawie, jak głosi fama, nie osłabiły cię ciężkie próby. Dla usprawiedliwienia mojej nieprzychylnnej postawy dziś wieczór powiem, że pojawił się niepokój, że Felrook zachwiało twoją równowagę. Czyś prawowitym dziedzicem, czy nie, Dolan i ja nie zamierzaliśmy oddawać Trensicourt szaleńcowi albo złamanemu banicie, który ewidentnie uległ cesarzowi. Obecne czasy wymagają uważnego spojrzenia i pewnej ręki. Masz tego dość, by ukoić moje wątpliwości. Z radością będę ci służył, kiedy już dopilnujemy wszelkich formalności.

Skłonił się nisko, zdejmując kapelusz i zatrzymując się na chwilę z pochyloną głową.

Galloran wstał, tak samo jak pozostali.

– Jeśli wszystko przebiegnie, jak to opisałeś, z radością oczekuję twojej współpracy przy poprowadzeniu Trensicourt ku lepszej przyszłości.

Copernum skinął głową do wszystkich po kolei, najdłużej przyglądając się Rachel. Dostrzegła w jego oczach nieufność, ale też szacunek.

Kerick wyprowadził konia Copernuma z boksu. Kanclerz włożył płaszcz, poprawił kaptur i dosiadł ogiera. Pożegnał się i wyjechał w deszczową noc.

Rachel wreszcie się rozluźniła, kiedy Copernum zniknął im z oczu. Gdyby to od niej zależało, wołałaby go więcej nie spotkać.

Galloran założył z powrotem przepaskę. Nieustanne bębnienie deszczu zamieniło się w biały szum w czasie spotkania, ale znowu zwróciło uwagę, kiedy zapadła cisza. Koń w jednym z boksów zatupał i zarżał.

– Teren czysty – dobiegł głos z góry, zaskakując Rachel.

Spojrzała w górę i zobaczyła Nedwina zwieszającego się z belki sufitowej. Długość jego ciała zredukowała odległość do podłogi przy skoku do mniej niż ośmiu stóp. Puścił belkę i wylądował na podłodze w kucki.

– Nie wiedziałam, że siedzisz tam na górze – powiedziała.

– O to właśnie chodziło – odpowiedział Nedwin, podchodząc do Gallorana. – Moim zadaniem było obserwować naszych gości. Zająłem swoją pozycję zaraz po rozpoczęciu spotkania.

– Nie umawialiśmy się, że wejdiesz do stajni – powiedział Galloran.

– Musiałem wszystko słyszeć – tłumaczył się Nedwin. – Siedziałem cicho. Nie chciałem, żeby Copernum mnie zobaczył. I nie zauważył mnie.

– Nie chciałem, żebyś ty go zobaczył – odpowiedział Galloran. – To mogło być trudne.

Nedwin zmusił się do uśmiechu. Nie było w nim ciepła. Rachel to rozumiała. Copernum więził Nedwina i długie lata torturował. Copernum zniszczył także rodzinę Nedwina, okradając jego starszego brata z tytułu w pojedynku umysłów.

– Powiem ci, panie, co było łatwe: negocjacje. Zdecydowanie za łatwo to poszło.

– Ciesz się, że umieści mnie na tronie jako króla, żeby potem móc mnie zdradzić?  
– zapytał Galloran.

– Tak to brzmiało – potwierdził Kerick. – Po tym, jak wszystkich ułaskawisz, znajdziesz się, książę, wśród wrogów. Większość twojej klasy rządzącej będzie szpiegowała dla Felrook.

– Zgadzam się – powiedział Galloran. – Na szczęście, nie zamierzam walczyć za pomocą sekretów. Ani nie planuję zostać w Trensicourt zbyt długo. Potrzebuję Trensicourt ze względu na wojsko. Pokładam całą wiarę w proroctwo. Kiedy zostanę koronowany, wszystkie wysiłki włożę w mobilizację do wojny.

– Do tego musisz przejąć kontrolę nad królestwem, mój panie – powiedział Nedwin.  
– Szybko i bez rozlewu krwi.

– Zostawienie złych ludzi bezkarnych i u władzy to ogromna cena. – Galloran westchnął ciężko. – Ta niesprawiedliwość mnie brzydzi. Nie widzę jednak innego wyjścia. Nie, kiedy mamy określone cele do osiągnięcia w określonym czasie.

– Zgniłe jabłka pozostają zepsute – powiedział Nedwin. – Copernum i jego sprzymierzeńcy sami założą sobie stryczek przyszłymi zbrodniami.

– Miejmy nadzieję, że te zbrodnie nie będą naszym końcem – dodał Bartley.

– Wicehrabia ma słuszność – powiedział Galloran. – Nie możemy być zbyt ostrożni w nadchodzących tygodniach. Nie wykluczając dzisiejszej nocy. Miejsce naszego pobytu i liczebność grupy są znane najniebezpieczniejszemu człowiekowi w obecnym rządzie. Możliwy jest atak z zaskoczenia. Ulewa czy nie, powinniśmy pośpiesznie ruszać do naszej następnej tymczasowej siedziby.

Rachel westchnęła cicho. Miło byłoby zostać tutaj na resztę nocy, w suchym i ciepłym miejscu. Podejrzewała jednak, że jeśli nocleg w innym miejscu sprawi, że nie zostanie zamordowana we śnie, to chyba nie powinna narzekać.

# Rozdział 6

## Durna

Warowne miasto Durna znajdowało się ponad dwie mile powyżej wybrzeża Morza Śródziemnego. Umocnione nabrzeże łączyło się z miastem chronionym traktem. Mury wokół portu wznosiły się na trzydzieści stóp, mury wzdłuż traktu miały może połowę tej wysokości, a mury miejskie ponad sześćdziesiąt stóp.

Jason zaczynał pojmować, że główne miasta Lyrianu zbudowano tak, by przetrwały najazdy. Maldor ewidentnie nie był pierwszym zagrożeniem, jakiemu stawiały czoło te królestwa.

Zniszczone walkami umocnienia Durny były pożłobione i okaleczone. Różnorodna kamieniarka zdradzała zniszczone fragmenty, które odbudowano. Przy porcie odbudowa jeszcze trwała – wymieniano strzaskane blanki. Chociaż starożytne mury były wysokie, grube i zakotwiczone do imponujących wież, nie spełniły swojego zadania. Król Durny poddał się Maldorowi. On i jego rodzina byli obecnie więźniami cesarza.

– Bramy do portu to jedyne wejście – wyjaśnił Jasher. – Jedna jest po zachodniej stronie, druga po wschodniej, obie są bacznie strzeżone. Jedyne droga do właściwego miasta to trakt biegnący z portu.

– Muszą istnieć jakieś ukryte przejścia w murach albo pod nimi – powiedział Aram, przyglądając się miastu. – Durna jest za wielka. Arystokraci, przestępcy. Znudziłoby im się wchodzenie taką długą drogą. Zażądaliby prywatnych przejść. To miasto istnieje zbyt długo.

Bat, jeden z dwóch drinlingów, którzy towarzyszyli im konno, skrzyżował muskularne ręce.

– Pewnie masz rację, ale żadnego nie znamy.

Po niecałym tygodniu wspólnej podróży drinlingowie przestali już mówić z obcym akcentem.

– I nie możemy ukraść statku, jeśli nie wejdziemy do portu – dodał drugi drinling, krzepki mężczyzna o imieniu Ux.

– Nie możemy po prostu wejść przez bramę z resztą tłumu? – zapytał Jason.

– Być może moglibyśmy – odpowiedział Jasher. – Straże będą czujniejsze niż to, z czym zetknąłeś się wcześniej.

– Gubernator zwany diukiem Ashby nadzoruje Durną w imieniu Maldora – wyjaśnił Drake. – Jest kompetentny i ambitny.

Ux zerknął na miasto przez lunetę.

– Odkryliśmy, że strażę stanowią poważną przeszkodę. Oczywiście, wejścia są obserwowane, ale zauważyliśmy też patrole i losowe przeszukania.

– Wchodziliśmy do miasta przez wodę – powiedział Bat. – Pojedynczo. Płynęliśmy. Docieraliśmy do portu od morza, opływając ogromne obronne falochrony późną nocą. To dwie godziny szybkiego pływania. Port jest pilnie strzeżony.

Jason spojrział na port. Z obecnego punktu obserwacyjnego w zagajniku wysokich, smukłych drzew mieli widok z góry na zachodnią część miasta. Wody Morza Śródładowego były szaro-niebieskie w blasku przedświtów sączącym się z zachmurzonego nieba. Mury portu nie kończyły się przy wodzie, lecz sięgały w morze, otaczały nabrzeże zostawiając tylko względnie wąskie przejście, umożliwiające statkom wpłynięcie.

– To dla nas za trudne? – zapytał.

– Tak podejrzewam – odpowiedział Bat. – Drinlingowie się nie męczą.

– A może mała łódka? – zastanawiała się Farfalee.

– Wejście do portu jest dobrze oświetlone – wyjaśnił Ux. – Ryzyko jest nawet większe niż w przypadku samotnego pływaka.

– W takim razie będziemy musieli zaryzykować wejście bramą – uznał Jasher. – Co stanowi pewien problem. Całe cesarstwo szuka lorda Jasona. Corinne jest zbyt królewska i śliczna. A my, nasiennicy, budzimy prawie takie same podejrzania, jak wy, drinlingowie.

Jason zerknął na drinlingów. Ich złoto-brązowa skóra nie mieściła się w spektrum naturalnych odcieni ludzkiej cery. A miedziane zabarwienie tęczówek było odrobinę zbyt metaliczne.

– Dlatego właśnie wchodzimy do Durny po cichu i ukradkiem – powiedział Ux. – Przedstawiciela naszej rasy natychmiast by aresztowano.

– Mój amar przepadł – powiedział Drake. – Mogę ściąć włosy krótko i zadbać, żeby ubranie zasłoniło bliznę na karku. Farfalee może rozpuścić włosy, zamiast zwijać je na amarze.

– Gdybym przyciął włosy krócej i nie zwijał ich, to chyba mógłbym ujść za

człowieka – wtrącił Jasher. Przeczesał palcami długie pukle. – Niech ledwie sięgają ramion, dyskretnie zasłaniając amar i nie zdradzając, kim jestem. Nie cierpię nosić krótkich włosów, ale już to robiłem.

– Będziemy potrzebowali nierzucających się w oczy ubrań – wtrąciła Farfalee.

– A te się wyróżniają? – zapytał Jason.

Aram zaczął chrapliwie oddychać i stękać. Żyły wystąpiły mu na grubej szyi. Wycofał się w głąb zagajnika, szukając odrobiny prywatności w chwili, gdy zacznie się kurczyć z nastaniem dnia. Kilka koni zarżało, kiedy się zbliżył.

Jasher się rozejrzał.

– Czuję się tu zbyt odsłonięty.

– Działaliśmy głównie od strony lasu po tej stronie miasta – powiedział Bat. – Dostrzeżemy nadchodzące kłopoty na długo przed tym, jak one dostrzegą nas.

Na tej dzikiej części stoku nad Morzem Śródlądowym rosły liczne zagajniki. Jason i pozostali zajęli tu pozycję w nocy, po przejściu między kilkoma farmami i osadami leżącymi na południe od Durny.

Aram wrócił, poprawiając komplet mniejszych ubrań. Twarz miał zlaną potem.

– Dajcie mi pójść tam samemu. Spróbuję zwęszyć tajne wejście. Mam doświadczenie w tego typu rzeczach. Mamy mnóstwo pieniędzy na łapówki.

Farfalee pokręciła głową.

– Myślę, że Jason od początku miał rację.

Jason starał się powstrzymać pełen dumy uśmiech, kiedy Farfalee kontynuowała.

– Powinniśmy wejść do miasta razem z porannym tłumem, pojedynczo albo dwójkami. Ludzie przychodzą tu, żeby kupować i sprzedawać. Szukać pracy. Albo rozrywki. Cesarscy strażnicy mogą szukać Jasona, ale prawie na pewno żaden z tutejszych nigdy go nie widział. Ubierzemy się jak wieśniacy. Będziemy wyglądać na skromnych i wygłodniałych, i wejdziemy do miasta razem z resztą niedomytych mas.

– Bat i ja możemy zabrać miecze – zaproponował Ux. – Jasona i Corinne. Nawet w pochwach będą zwracać uwagę. Popłyniemy z nimi.

– A co z moją zbroją? – zapytał Aram. – I mieczem?

– Twój miecz pociągnąłby nas prosto na dno – powiedział Bat.

– Możemy zrobić z niego kotwicę do statku – burknął Ux.

– Mogę udawać bogatego kupca – zaproponował Drake. – Dobrze odżywionego, dobrze ubranego, wytwornego handlarza z przydużą bronią.

Farfalee zaśmiała się szyderczo.

– Czemu nie zrobić z ciebie bogatego arystokraty na pielgrzymce? Moglibyśmy dostarczyć ci bogactw i wynająć służbę. Nasza broń odgrywałaby twój osobisty arsenał.

– Nie podsuwaj mi takich pomysłów – przestrzegł ją Drake, a oczy rozbłysły mu entuzjastycznie.

Jason nie mógł oprzeć się wrażeniu, że utrudniają sobie zadanie bardziej niż to konieczne.

– Musimy zabierać wszystko do miasta? – zapytał. – W końcu tylko ukradniemy statek i wypłyniemy. Nie możemy spotkać się na wodzie?

Farfalee pokiwała w zamyśleniu głową.

– Musielibyśmy mieć mniejszą łódkę poza miastem i spotkać się za wyjściem z portu.

– Istnieje wiele możliwości – powiedział Bat. – Znalezienie małej łodzi nie będzie trudne.

– Może Farfalee, Corinne i jeden z drinlingów spotkają się z nami na wodzie? – zaproponował Jasher. – Mogą zabrać sprzęt Arama, miecze torivorów i orantium. Nie powinniśmy potrzebować kul do porwania statku. Sukces będzie zależał od tego, czy uda nam się wymknąć po cichu.

– Wolałabym móc osłaniać was z łukiem w rękę – powiedziała Farfalee.

– To byłoby doskonałe, ale mogłoby okazać się nierozsądne. Ty i Corinne jesteście zbyt piękne. Wyróżniacie się bardziej niż reszta grupy, która pójdzie do miasta. Z niezmordowanym drinlingiem przy wiosłach spotkanie na morzu może być sensownym rozwiązaniem.

– Musimy ustalić, jak się spotkamy – powiedziała Farfalee.

– Nadal mogę popłynąć do miasta – zaproponował Ux. – Potem mogę odpłynąć, znając wszystkie szczegóły. Bat zostanie z wami. A później we dwóch pomożemy wam przy łodzi.

Farfalee westchnęła.

– Mój łuk mógłby okazać się przydatny w mieście, ale przyznaję, że alternatywa zmniejsza ogólne ryzyko.

– Będę się trzymał blisko Jasona – obiecał Jasher. – Aram i Drake mogą wejść do miasta osobno.

– Nie będę miał służby? – upewnił się Drake. – Nawet jednego sługi? Może jakiegoś starszego gościa? Albo dzieciaka?

– Może następnym razem – pocieszył go Jasher. – Na razie musimy znaleźć stroje.

– Ja pójdę – zaproponował Aram. – Kiedy jestem mały, wzbudzam najmniej podejrzeń.

– A ja pójdę za nim – dorzucił Drake. – Wy się przyczajcie i postarajcie nie wpakować w żadne kłopoty.

\*\*\*

Następnego ranka Jason poczłapał w stronę zachodniej bramy. Nosił zgrzebne,

szorstkie spodnie i długą koszulę ze sznurowaniem na piersi. Jego wyświechtane stare buty miały twarde podeszwy i rozpadały się. Sześć miedzianych droom podzwaniało mu w kieszeni.

Szedł za wozem i grupą pieszych. Wóz wzbijał kurz, którego Jason nie starał się unikać, ponieważ wiedział, że im więcej do niego przylgnie, tym lepsze będzie jego przebranie.

Aram przestrzegł go, żeby wszedł do miasta z grupą. Tłum zmusi strażników do pośpiechu i sprawi, że będą mniej dokładni.

Jason powstrzymywał się od zerkania na Jashera, który szedł kilkaset jardów za nim. Jasher nie miał żadnej broni poza nożem. Niósł kilka garnków i patelni, jakby zamierzał je sprzedać. Włosy miał tak podcięte, że ledwie sięgały ramion. Nosił płaską czapkę z diagonalu.

Mury portowe majaczyły coraz bliżej. Patrole w mundurach krążyły na górze, pojawiając się i znikając wśród blanków. Pozostali na drodze nie zwracali specjalnej uwagi na Jasona.

Wreszcie wóz zwolnił, a potem stanął w cieniu otwartej bramy. Mężczyzna w okularach w budce na podwyższeniu obserwował bacznie przechodniów z piórem w ręce i pergaminem w gotowości. Jason naliczył pięciu żołnierzy na dole.

Woźnica zaczął wykrzykiwać odpowiedzi na temat ładunku do mężczyzny z piórem. Dwóch strażników przeszukało wóz, sprawdzając spód, przyglądając się belom i beczkom.

Żadnego z pieszych nie wpuszczono bez przepytania. Uformowała się kolejka, gdyż liczba chętnych do wejścia przewyższyła liczbę strażników. Jason denerwował się, stając w kolejce. Starał się zachować obojętny wyraz twarzy. Unikał kontaktu wzrokowego ze strażnikami, ale też nie odwracał wzroku celowo.

Strażnik machnął, żeby wóz przejechał, i kolejnych dwóch wartowników mogło teraz zająć się pieszymi. Kolejka zaczęła się szybciej przesuwać. Krzepki mężczyzna o gęstym wąsie i zarośniętej szczecinie zuchwie zapytał Jasona:

– Imię?

– Lucas, syn Trávisa.

– Co cię sprowadza?

– Przyszedłem do Gullega, balwierza. Mam chory ząb.

Strażnik burknął i spojrzał, mrużąc oczy.

– Nie wyglądasz znajomo. Skąd jesteś?

– Z Lagi.

– Z Lagi? To kawał drogi.

Jason potarł zuchwę.

– Jeden taki u nas próbował mi pomóc, ale jest jeszcze gorzej. Mówiono mi, że Gulleg jest najlepszy. Szedłem dwa dni bez przerwy. Nie mogę spać z bólu.

– Jak długo zostaniesz?

– Mam nadzieję, że Gulleg przyjmie mnie dzisiaj.

Strażnik odchrząknął.

– Dobrze ci powiedziano. Gulleg świetnie radzi sobie z zębami. Zajął się moim bratem zeszłego roku. Mam nadzieję, że masz pieniądze.

– Sześć droom – odpowiedział Jason, z dumą podzwaniając zawartością kieszeni.

– Sześć? – Strażnik zarechotał. – Gulleg to nie wiejski balwierz. Ma jednak słabość do biedaków. Może znajdzie sposób, żebyś odpracował brakującą resztę. Tylko nie wpakuj się w żadne kłopoty. Nie szwendaj się po ulicach. Nie tolerujemy włóczęgów.

Masywny strażnik ruszył dalej, skupiając się na tykowanym mężczyźnie z ręcznym wózkiem. Jason przeszedł przez bramę, modląc się, żeby wyglądał mniej podejrzanie niż się czuł. Rozmowa przebiegła zgodnie z planem, łącznie z tym, że okazało się, że nie ma dość pieniędzy.

Jason miał nie czekać na Jashera. Nasiennik pójdzie za nim swoim tempem. Następnym krokiem było znalezienie tawerny „Słone Morze”, małego zajazdu przy ulicy Kambuzowej, jakieś dwadzieścia budynków w głąb lądu, licząc od nabrzeża.

Główna droga prowadząca od bramy była szeroka i ruchliwa. Kawałek dalej dwóch konnych żołnierzy sprzeczało się z człowiekiem, nalegając, żeby przesunął wóz. Woźnica upierał się, że musi rozładować towar.

Uznając, że lepiej trzymać się z dala od kłótni, w której biorą udział żołnierze, Jason skręcił w boczną uliczkę. Po jednej stronie uliczki ustawiała się kolejka do rozpadającego się wozu, na którym koścista kobieta nakładała zupę rybną z głębokiej kadzi. Beżowa mikstura wyglądała na gęstą i z dużymi kawałkami ryby. Pachniała przepysznie.

Jason miał miedź w kieszeni i był głodny, ale rozkazy kazały mu udać się prosto do zajazdu. Szedł dalej ulicą, zauważając inne wozy na poboczu sprzedające towary lub jedzenie, chociaż nigdzie nie było takiego tłumu jak przy wozie z zupą rybną.

Wszystkie budynki w okolicy portowej miały nie więcej niż dwa piętra, chyba żeby policzyć dwie dzwonnice stojące w pobliżu wody. Budynki były zwykle niskie, przysadziste i solidne, niektóre były prywatnymi domami, inne sklepami lub warsztatami.

Jason szedł chwilę krętą trasą i zapytał o drogę dwa razy, aż w końcu trafił na ulicę Kambuzową. To była wąska, brudna i zatłoczona ulica z mnóstwem tawern. Powietrze pachniało tu słoną wodą i przypalonym jedzeniem.

Wkrótce po odnalezieniu ulicy Kambuzowej Jason natrafił na zniszczony szyld wiszący nad nijakim wejściem. Na popękanej i wyblakłej od deszczu i słońca jasnoniebieskiej tablicy widniały słowa „Tawerna Słone Morze”, wypisane czarną farbą i ręką amatora. Zajazd robił wrażenie mniejszego od wielu innych karczm przy ulicy i raczej należał do tych, którym wiodło się najgorzej. Tawerna „Słone Morze” miała



małe, brudne okna i zwyczajne drzwi z sześcioma stopniami, które prowadziły do nich w dół z poziomu ulicy.

Jason zszedł po nich i wszedł do tawerny. W sali cuchnęło smażoną rybą, potem i dymem z palonego drewna. Mężczyźni o pobrużdżonych twarzach garbili się przy stołach albo barze, wielu z nich siedziało samotnie. Jason nie zauważył kobiet ani grup większych niż trzyosobowe. Pochwycił kilka ukradkowych spojrzeń, nieprzyjemnych, sugerujących, że to nie miejsce dla niego.

Gdyby nie plan, Jason wycofałby się na ulicę i poszukał innego zajazdu. Miał jednak znaleźć karczmarza o kręconych włosach i poprosić o pokój z widokiem na wybrzeże. Bat wyjaśnił, że w ten sposób skontaktuje się z Nią i drinlingami.

Za barem mężczyzna o kasztanowych kręconych włosach wycierał kufel brudną szmatą. Miał w uchu małe kółko, a na jego żyłastych przedramionach wiły się tatuaże. Mając nadzieję, że mniej odstaje od miejsca, niż mu się wydaje, Jason podszedł do niego i oparł się o bar.

– Co ma być? – zapytał karczmarz.

– Potrzebuję pokoju z widokiem na wybrzeże – powiedział Jason.

Mężczyzna uśmiechnął się z wyższością.

– Niczego takiego tu nie znajdziesz, kolego. Ashley pokaże ci, co mamy. Ashley!

– Chwileczkę – dobiegł kobiecy głos z kuchni.

Mężczyzna siedzący przy barze obrócił się do Jasona. Miał zwiędłą twarz o szorstkiej skórze i trzy równoległe szramy na żuchwie. Kiedy się odezwał, błysnęły srebrne zęby.

– W co ty pogrywasz, kmiotku?

– Słucham? – zapytał Jason.

– Patrz, jakie maniery! – Mężczyzna zarechotał, odgarniając skołtunione włosy z czoła. – Śmierdzisz łajnem. Wracaj z powrotem na swoją farmę, młody. To miejsce dla ludzi morza.

Jason zauważył, że ten komentarz zwrócił uwagę paru innych klientów. Najwyraźniej podzielali zdanie mężczyzny. W najlepszym wypadku sprawiali wrażenie rozbawionych szykującymi się kłopotami. Kilku miało wrogie miny. Powinien zignorować obrazę? Postawić się? Nie chciał zwracać na siebie specjalnej uwagi.

– Przyda mi się parę ciał w pokojach – wtrącił się karczmarz.

Mężczyzna zbył to machnięciem ręki.

– Mogę ci podrzucić jego ciało, gdzie tylko zechcesz. No już, kmiotku, zmiataj stąd. Ostatnia szansa.

– Morley, nie możesz wypędzać płacącego...

– Zapłacę za pokój – warknął Morley. – Chyba że wolisz obcego od stałego klienta, he?

Wszyscy w sali przysłuchiwali się uważnie. Karczmarz wzruszył ramionami.

– To twoje pieniądze, Morley. – Spojrzał w oczy Jasonowi. – Lepiej stąd idź.

Jason nie wiedział, co robić. Musiał skontaktować się z Nią. Jeśli jednak zacznie bójkę, ściągnie na siebie mnóstwo niechcianej uwagi. Mogą pojawić się żołnierze. Poza tym, sam i bez broni pewnie skończyłby martwy.

– Jakiś problem? – rozległ się głos za jego plecami.

Jason zerknął przez ramię i zobaczył Jashera idącego przez salę. Nasiennik pozbył się już patelni i garnków. Jasonowi ulżyło na jego widok, ale też trochę się zawstydził, że spartolił proste zadanie przez to, że za bardzo odróżniał się od bywalców.

– A co cię to obchodzi? – zapytał Morley.

– Wysłałem służącego, żeby zarezerwował mi pokój – odpowiedział Jasher.

Jason pojął aluzję i skłonił się zawstydzony przed Jasherem.

Morley popatrzył na Jasona i parsknął zgrzytliwym śmiechem.

– Ależ sobie znalazł wspaniałego sługę! Co wy? Bracia? Kuzyni? Lepiej stąd spływajcie. Zmiatajcie z tym kabaretem. Wybraliście niewłaściwą tawernę.

Morley odwrócił się i zgarbił nad barem, jakby uznał rozmowę za zakończoną. Podniósł kość ze swojego talerza i zaczął skubać nędzne resztki mięsa.

Jasher podszedł do niego spokojnie, z twarzą poważną, ale niezbyt rozgniewaną. Większość mężczyzn w sali przyglądało się mu z zaciekawieniem, niektórzy bardziej się z tym kryli niż inni. Jasher przystanął tuż za Morleyem.

– Zechcesz się wytłumaczyć?

– Wieśniakowi?

Mężczyzna obrócił się i wziął zamach, żeby dźgnąć Jashera sztyletem. Nasiennik obrócił się, robiąc unik i złapał wyciągniętą rękę Morleya za nadgarstek. Drugą ręką złapał Morleya za skołtunione kudły i cisnął nim o podłogę. Nadal ściskając sztylet, Morley spiorunował wzrokiem Jashera.

– Nie podnoś się – ostrzegł go nasiennik. – Nie masz dość problemów w życiu, żeby szukać sobie nowych?

– Za kogo ty się uwa... – Zaczął Morley, wstając.

Nie dokończył, ponieważ Jasher kopnął go w kostkę, posyłając z powrotem na podłogę.

Jason zdołał nie wzdrygnąć się na widok lawiny błyskawicznych ruchów. Starał się obserwować tłum, na wypadek gdyby ktoś chciał zaatakować Jashera od tyłu. Zauważył butelkę na barze, która mogła sprawdzić się jako broń, gdyby sprawy przybrały gorszy obrót.

– Nie próbuj wstawać znowu, bo nie będę miał wyboru – ostrzegł ponownie Jasher.

– Wypełzaj stąd. Nie zaczepiaj obcych. Nigdy nie wiesz, z kim rozmawiasz.

– Jesteś kimś ważnym? – zakpił Morley. – Wyhodowałeś jakieś ładne marchewki w tym roku?

Wyraz twarzy Jashera pozostał surowy, ale opanowany.

– Zbyt wiele zgadujesz, przyjacielu. Wiem, kim jesteś. Znam to miejsce. W swojej robocie nigdy nie odgrywałeś roli? Nigdy nie przebierałeś się i nie udawałeś kogoś innego? – Jasher rozejrzał się po sali z niesmakiem. – Jak tępi są amatorzy w tym mieście, jeśli klienci takiego lokalu zakładają, że wszyscy są tymi, na kogo wyglądają? Jesteśmy tu pierwszymi gośćmi spoza regionu?

Tłum sprawiał wrażenie nieco zakłopotanego. Ta reakcja sprawiła, że Jason trochę się uspokoił. Może jednak uda im się wyjść z tego dzięki blefowi. Morley chwilowo zapomniał języka w gębie. Kiedy się odezwał, w jego głosie zabrzmiała niepewność:

– Mamy wieści, kiedy zjawia się talent zza granicy.

– To zależy od talentu – zbeształ go Jasher. – Nie robię interesów z nikim w tej sali. To może cię zadziwić, ale w mojej pracy, gdy stawka jest wysoka, nie zawsze chcę, żeby wiadano o moich interesach. A teraz ściągnąłeś na mnie uwagę całej tawerny. Słyszałem lepsze rzeczy o Durnie. Podaj mi swoje pełne imię i nazwisko, Morley.

Morley odłożył nóż. W jego oczach błysnął strach.

– Ej, nie bądź taki. Tylko się wygłupiałem. Może przebranie za dobrze podziałało.

Jasher odwzajemnił spojrzenia wielu mężczyzn w sali.

– To miejsce jest bezpieczne?

Kilku skinęło głowami i mruknęło potakująco.

Jasher odwrócił się z powrotem do Morleya.

– Lepiej niech tak będzie. Módl się, przyjacielu, żeby nie wyniknęły z tego żadne poważniejsze kłopoty, bo inaczej odpowiesz przed ostrzejszymi ludźmi niż ja.

Morley wstał.

– To porządne chłopaki. Jesteś w bezpiecznym towarzystwie.

Jasher skinął głową.

– Wobec tego udawajmy, że nigdy nie rozmawialiśmy i żaden z nas nie słyszał o Zakonie Stryczka.

Na te słowa Jason wytrzeszczył oczy. Większość mężczyzn się odwróciła. Morley położył kilka droom na kontuarze i pośpiesznie pokuśtykał do drzwi. Jasher stanął, jakby się zastanawiał, co dalej. Jason starał się nie zwracać na siebie uwagi.

Karczmarz odchrząknął.

– Proszę o wybaczenie, panie. Będzie nam miło gościć pana w naszych pokojach. Na koszt firmy.

Jasher rozejrzał się po tawernie. Wszyscy unikali jego wzroku.

– Wolę zapłacić – odpowiedział wreszcie, zniżając głos. – Lepiej się czuję, kiedy to inni mają u mnie dług.

Karczmarz pokiwał głową.

– Jak sobie pan życzy. Ashley?

Kobieta pośpiesznie obeszła kontuar, chętna do pomocy. Miała rudawe włosy, była korpulentna i uśmiechała się pojednawczo.

– Tędy, proszę.

Jason poszedł za Jasherem, nie odzywając się i próbując odgrywać rolę pokornego sługi. Ashley wprowadziła ich do wygodnego pokoju i zamknęła za nimi drzwi. Wspomniała o kilku udogodnieniach, wręczając Jasherowi klucz. Podziękował jej.

– Musiałeś wspominać o Zakonie? – spytała.

Jasher wzruszył ramionami.

– Okoliczności tego wymagały. Musiałem wypaść jak ktoś, z kim należy się liczyć. Zauważ, że nie powiedziałem wprost, że do niego należę.

– Cóż, z pewnością zwróciłeś ich uwagę – powiedziała Ashley.

– Ona wie, co my tu robimy? – upewnił się Jason.

– Ashley i jej mąż należą do ruchu oporu w Durnie – powiedział Jasher. – Ukrywają jedną trzecią naszych drinlingów.

– Przepraszam za chłodne przyjęcie – powiedziała Ashley. – Miejscowi przemytnicy uznali „Słone Morze” za swój lokal. Ma to swoje plusy. Ponieważ większość arystokratów w mniejszym czy większym stopniu szmugluje towary, przemytnicy sprawiają, że władze rzadko tu węszą. Niestety, klientela jest niesforna, a ostatnio stała się bardziej terytorialna niż zwykle.

– Czyli Zakon Stryczka to szajka przemytnicza? – dopytywał się Jason.

– Tajne stowarzyszenie – wyjaśnił Jasher. – Większość zwykłych ludzi nigdy nie słyszała tej nazwy. Nie wspomina się o nim mimochodem. Nawet najśmielsi przemytnicy wypowiadają się o Zakonie z czcią.

Ashley skrzyżowała ręce.

– A teraz każdy przemytnik w mieście będzie się zastanawiał, jakie interesy ma tu Zakon.

– Lepiej, niż gdyby zastanawiali się, co robią tu nasiennicy i drinlingowie – odpowiedział Jasher. – Zakon rzadko zadziera z cesarzem. Jeśli wieść przecieknie do miejscowych żołnierzy, nie powinna wywołać większego poruszenia. Twoi klienci mogą się ciekawić, ale nie będą za bardzo węszyć. Zakon cieszy się reputacją śmiertelnie niebezpiecznego.

– Chyba że któryś uzna, że blefowałeś – przestrzegła go Ashley.

– Postaramy się nie rzucać w oczy – odparł Jasher. – Nie będzie czego badać.

– Miejmy nadzieję – odpowiedziała Ashley. – Na razie nie ruszajcie się stąd. Przeniesiemy was do prawdziwej kwatery, kiedy w tawernie zrobi się pusto.

Wyszła z pokoju, a Jasher zaryglował drzwi.

– Rewelacyjnie to rozegrałeś – powiedział Jason. – Dzięki, że mnie uratowałeś. Nabałagałem.

– Nic się nie stało – uspokoił go Jasher. – Dobrze o tobie świadczy to, że nie pasujesz do tych ludzi.

– Teraz czekamy?

Jasher pokiwał głową.

– Miejmy nadzieję, że będzie to długi i nudny dzień.

\*\*\*

Życzenie Jashera się spełniło. Był środek nocy, kiedy zakapturzona postać ze świecą obudziła Jasona. Ocierając oczy, złapał podaną rękę, która pomogła mu wstać.

Postać była o pół głowy niższa od niego. Kiedy kaptur opadł, Jason rozpoznał Nię. Za nią stał Jasher.

– Słyszałam, że zdobyłeś sobie dziś przyjaciół – powiedziała z uśmiechem do Jasona.

Nia sprawiała wrażenie starszej, jakby była około trzydziestki. Pozostała sprawna fizycznie jak zawsze, ale jej rysy wysmukłały i dojrzały. Kiedy ostatnio ją widział, wyglądała na osobę po dwudziestce. Podejrzewał, że skoro może pożyć dwa lata, tego typu zmiany są nieuniknione.

– Mam sposób na przemytników – odpowiedział Jason.

– Ja też – powiedziała. – Nazywa się „ukrywanie”. Przenieśmy was do bezpiecznego miejsca.

Wyszli na korytarz. Kilka przymałych okien dokładnie zasłonięto okiennicami. Nia poprowadziła ich do schodów, a potem kolejnym korytarzem. Przystanęli przy niedomytym oknie, które wychodziło na ciasne, brudne podwórze z pojedynczymi drzwiami. Wyglądało jak fragment zaułka, który odcięły sąsiadujące budynki.

Nia otworzyła okno, wyszła przez nie, zawisła i skoczyła. Jason poszedł za jej przykładem, a po nim Jasher. Nia wskazała podbródkiem drzwi.

– Wyglądają jak tylne drzwi do jednej z okolicznych tawern. Tak naprawdę to frontowe drzwi do kilku pokoi, które nie wychodzą na ulicę. Są tylko te drzwi i kłapa na dachu. Idealne miejsce, żeby się przycząić.

Otworzyła drzwi kluczem. W środku stało na straży, z mieczami w gotowości, dwóch szerokich, potężnie umięśnionych drinlingów. Wziąwszy małą oliwną lampkę z półki, Nia przeprowadziła Jasona i Jashera obok wartowników, a potem wspięła się dwoma ciągami schodów i wprowadziła ich do pokoju bez okien.

Kiedy zamknęła drzwi, Jason i Jasher usiedli na pryczy. Przewiesiła płaszcz przez oparcie krzesła i też usiadła.

– Jak się miewają pozostali? – zapytał Jasher.

– Aram i Drake dotarli bezpiecznie – potwierdziła. – Nie wplątali się w bójkę z miejscowymi.

– To tamten zaczął – poskarżył się Jason.

– Wiemy – uspokoiła go Nia. – Właściciele są słusznie rozgoryczeni. Ich stali

klienci przysparzają kłopotów tym, którzy angażują się w tajną działalność. Kilku przemytników podejrzewa, że coś tu się dzieje, i zaczynają się tym interesować. Wściubiają nos i węszą, gdzie tylko zdołają.

– Wygląda na to, że niedługo to przestanie być bezpieczna przystań – uznał Jasher.

Nia wzruszyła ramionami.

– Pewnie na jakiś czas przestaną ukrywać tu rebeliantów. Jakiegokolwiek prawdziwe podejrzenia ze strony władz oznaczałyby katastrofę. Farfalee i Corinne spotkają się z nami na wodzie?

– Razem z Batem i Uxem – potwierdził Jasher. – Nie widziałem żadnych okrętów wojennych w porcie.

– Za trzy dni ma przypłynąć *Waleczny*.

– Zajmiemy go pierwszej nocy? – upewnił się Jasher.

– Taki jest plan.

– Szukamy konkretnego statku? – zapytał Jason.

Nia pokiwała głową.

– Eskortowca. Maldor zbudował flotę z osiemdziesięciu takich jednostek, żeby zwyciężyć na zachodnim wybrzeżu i podbić Meridon. Tylko trzy zbudował z myślą o Morzu Śródziemnym. I tylko trzech potrzebował. Wielkie okręty wojenne nigdy nie żeglowały po tych wodach. A mniejsze jednostki nie stanowią wyzwania dla eskortowca.

– Gdzie są pozostałe dwa? – zapytał Jasher.

– Krążą między Angialem, Russock i Durną. Najczęściej patrolują wybrzeża, zatrzymują się niespodziewanie w mniejszych miastach. Niekiedy sprawdzają wyspy. Z wyjątkiem Wiatrochronu, rzecz jasna. Nikt przy zdrowych zmysłach nie postawi tam stopy.

– Potraficie żeglować? – zapytał Jason.

Nia machnęła ręką.

– Próbuję nie przejmować się drobiazgami.

– Żartujesz sobie, prawda? – upewnił się Jason.

– Paru z nas ma pewne doświadczenia żeglarskie – powiedziała Nia. – W większości będziemy polegać na instrukcjach Arama.

– Mamy stosowną liczbę ludzi? – spytał Jasher.

– Tak. Możemy dać nawet ośmiu wojowników do pomocy przy ucieczce z portu i nadal zostanie dość drinlingów, żeby zapewnić załogę dla statku, i osiemnastu dodatkowych ludzi pod pokładem, by w razie konieczności obsłużyli sześć pomocniczych wiosł.

– Zasoby? – pytał dalej Jasher.

– Wszyscy jesteśmy uzbrojeni, mamy spore zapasy. Trzy klany zapewniły nam wojowników i fundusze. Stanowimy największą ofensywę drinlingów od wielu

żywotów.

– W mieście było spokojnie? – zapytał Jason.

– Żadnych buntów od lat. Po tym, jak Maldor zajął miasto, wypleniono prawdziwych odszczepieńców. Przemysłowcy i handlarze wspierają zdrowy czarny rynek, który istnieje w znacznej mierze za nieoficjalnym przyzwoleniem. Straże stają się zbyt pewne siebie, dowództwo gnuśniej zadowolone z siebie.

Jasher klasnął w ręce.

– Nareszcie dobre wieści. Następne dni powinny być nieskomplikowane.

– Nie możemy rzucać się w oczy – powiedziała Nia. – Zaskoczenie jest kluczowe. Jeśli nasz wróg wyczuje pismo nosem, będzie po sprawie. Mają wszelkie środki, żeby zablokować wyjście z portu, i wielu żołnierzy na zbyciu.

Jason zmarszczył brwi.

– Mam nadzieję, że przemysłowcy nie ściągną na nas uwagi.

– Będziemy mieć uszy otwarte – powiedziała Nia.

– Pomogę – zapewnił ją Jason. – Słuch może ci już szwankować.

Droczył się z nią na temat jej wieku, odkąd już w Mianamon zaczęła popisywać się tym, że wygląda na starszą od niego.

Nia zerwała się z krzesła i szturchnęła go w ramię – tej reakcji nauczyła się od Rachel. Tyle że ona mocniej biła. Drinlingom – jeśli nad tym pracowali – potrafiło przybyć kilka funtów mięśni w ciągu nocy. Najwyraźniej Nia nie zaprzestała ćwiczeń.

– Używasz już brzytwy?

Jason wyszczerzył zęby w uśmiechu. To było znajome. Nia pamiętała, jak być bezczelną i żartobliwą.

– Cieszę się, że nadal potrafisz się droczyć. Martwiłem się, że na starość całkiem spoważniałaś.

– Nie. Tylko zmądrzałam, stałam się silniejsza i bardziej dojrzała. Ty tego nie zrozumiesz.

Jason rozejrzał się po pokoju bez okien.

– Cieszę się, że możemy wypocząć przez kilka dni. Mam dość spania na ziemi.

– Będziemy mieli czas na przemyślenie strategii. – Jasher westchnął z ulgą.

– Będziemy obserwować i słuchać – dorzuciła Nia.

– I spać? – dodał z nadzieją Jason, rozprostowując ramiona.

Nia skinęła głową.

– Ci z nas, którzy tego potrzebują.

# Rozdział 7

## Koronacja

Nie tylko wszyscy z Trensicourt zjawili się na procesji, ale i napłynęło wielu ludzi z okolicznych wiosek. Wieśniacy i arystokraci, dziadkowie i dzieci, rzemieślnicy, kupcy i farmerzy – wszyscy ustawili się wzdłuż ulic, na dachach i balkonach na trasie pochodu. Dzwony rozbrzmiewały w całym wielkim mieście. Uliczni sprzedawcy oferowali pieczone przysmaki, słodkie orzechy i chusteczki z wyszytym królewskim herbem Trensicourt. Gapie pokrzykiwali i wiwatowali, wymachując rękami, chusteczkami i chorągwiemi. Wielu się śmiało. Wielu płakało.

Wystrojony w ceremonialną zbroję prawowity władca Trensicourt jechał na czele procesji na ogromnym białym rumaku, lśniący niczym rycerz z bajki. Otoczony przez konną gwardię honorową Galloran jechał nieśpiesznie z odkrytymi oczami, machając i zatrzymując się, żeby powitać ludzi tłoczących się wzdłuż drogi. Kwiaty i girlandy sypały się z zatłoczonych dachów i tarasów.

Za Galloranem jechała w szyku kawalkada pięciuset jeźdźców. Tysiące żołnierzy piechoty maszerowały za nimi, niosąc piki, topory lub miecze. Dalej szli muzykanci, wypełniający powietrze muzyką, a dalej atletyczni dobosze i tancerze, skaczący i koziołkujący wzdłuż ulic. Błaźni dokazywali, robiąc dowcipy i odgrywając scenki, w których udawali niezdary. Później szli żonglerzy, akrobaci oraz mężczyźni dokonujący niesamowitych sztuczek z ogniem. Na końcu toczył się pozłacany powóz, z którego Dolan rzucał garści brązowych droom w świętujący tłum. Liczna gwardia honorowa strzegła połyskującego powozu.

Opierając się o kamienną balustradę pałacowego balkonu Rachel przyglądała się scenie. Na tej wysokości okrzyki tłumu zmalowały do odległego ryku, a uczestnicy parady do maleńkich figurek przesuwających się stopniowo w schludnym wzorze. Żałowała,



że nie może być bliżej radosnego zamieszania.

Ferrin zerkał przez długi teleskop. Podał go Rachel, by przyjrzała się detalom. Zobaczyła, że Galloran pochyła się na koniu, żeby uścisnąć dłoń wniebowziętemu chłopcu z tłumu.

– Spora frekwencja jak na tak szybko zorganizowaną koronację – cieszył się Ferrin.

– Miałem niecały tydzień na wszystko. – Copernum pociągnął nosem. – Jednakże perspektywa powrotu Gallorana stosownie zmotywowała wszystkich do dodatkowego wysiłku i przyciągnęła tłumy. Nigdy nie widziałem tak poruszonych ludzi.

– Bez wątpienia go kochają – powiedziała Rachel, obniżając teleskop.

– Jak mogliby nie? – odpowiedział Copernum. – Postać z legend zeszała do nich z nieba i kroczy między nimi. Większość niewiele wie o Galloranie-człowieku. Są zauroczeni samą ideą Gallorana. Przerzucali się niewiarygodnymi opowieściami na jego temat. Uważali go za zaginiony skarb naszego królestwa. To będzie ciekawe obserwować, jak zmieni się ich podejście, kiedy zaczną między nimi żyć.

– Dla większości ludzi byłoby to nie lada wyzwanie – powiedział Ferrin. – Jednakże prawdziwy Galloran nie odbiega od opowieści na swój temat. Nigdy nie spotkałem wierniejszego własnym zasadom człowieka ani zręczniejszego wojownika.

Copernum uśmiechnął się szyderczo.

– I to mówi rozsadnik.

Ferrin również wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Goszczenie mnie musi boleć.

Rachel przewróciła oczami. Ferrin i Copernum przygryzali sobie przez cały czas trwania parady. Dlaczego mężczyźni tak uwielbiają brawurę? Nie widzą, jakie to żałosne? Zerknęła przez ramię na apartamenty kanclerza. Wykwintne pokoje zajmowały znaczną część jednej z najwyższych wież zamku. Pomyślała o tym, że Jason tam nocował i ledwie przeżył próbę zamachu na swoje życie.

– Bo zabiłeś mojego kuzyna? – zapytał oschle Copernum. – Wtedy ty i ja byliśmy przeciwnikami. Odkąd dołączyłeś do rebelii, zacząłeś mnie o wiele bardziej intrygować.

Ferrin skrzyżował ręce na piersi.

– Spodziewałbym się, że moje przejście na stronę Gallorana jeszcze bardziej umniejszy mnie w twoich oczach.

– Przeciwnie. Nie zrozum źle moich uprzednich powiązań z cesarzem. Zabiegałem o dobrą opinię u niego przez wzgląd na Trensicourt. Moje przymierze z Felrook było tylko politycznym wybiegiem na rzecz królestwa, któremu służę, niczym więcej. Jeśli Galloran zapewni nam takie samo bezpieczeństwo, stosując mniej poniżające metody, poprę go całym sercem.

– Chcesz, żebym uwierzył, że cieszysz się, że tu jestem? – zapytał Ferrin.

Copernum urwał liść winorośli i zgniótł go w dłoni.

– Pogardzam rozsadnikami jak każdy inny człowiek. I nie lubiłem cię, zanim dowiedziałem się, czym jesteś. Nie cieszy mnie fakt, że zamordowałeś mojego krewniaka.

– Lester wyzwał mnie na pojedynek – przypomniał mu Ferrin. – Zabiłem go w obronie własnej.

– A potem ja kazałem ściąć ci głowę. Tyle wystarczy. Czy zarzuty wobec ciebie były sprawiedliwe? Być może nie. Czy kochałem kuzyna? Nieszczęśliwie. Ale twoje zuchwalstwo względem niego było pośrednią obrazą dla mnie. Ogłoszono wyrok. Wykonano go. Ponieważ jesteś rozsadnikiem, ścięcie nie zakończyło twojego życia. Mądrze uczyniłeś, uciekając z miasta. Być może ostatecznie ulżyło mi, że przeżyłeś. Jesteś zaradną osobą, Ferrinie, a nasza sprawa będzie potrzebowała zdolnych sojuszników w nadchodzących miesiącach.

– Galloran wjeżdża na zamek – powiedziała Rachel.

– Wraz ze swoimi najbliższymi towarzyszami – zauważył Copernum. – Z dwoma wyjątkami.

– Nie jestem pewien, czy jesteśmy szczególnie blisko – odpowiedział Ferrin.

Copernum przechylił nieco głowę.

– Nie ma powodu brać tego do siebie. Galloran mądrze postąpił, nie włączając cię do świty. Drinlingowie i nasiennicy pogłębiają otaczającą go aurę tajemniczości. Rozsadnik w otoczeniu króla tylko zaogniłby wątpliwości co do jego lojalności. Rozpoznałoby cię mnóstwo strażników w mieście.

– Dlaczego nie jesteś na dole z Dolanem? – zaciekał się Ferrin.

Copernum ciałniej zawinął opończę wokół wąskich ramion.

– Nie pragnę publicznej uwagi. Istnieją okoliczności, kiedy takie wystąpienia są konieczne. W innych przypadkach wolę wywierać wpływ dyskretnie. – Copernum odwrócił się do Rachel. – A jak myślisz, dlaczego książe Galloran nie włączył cię do orszaku?

Rachel wzruszyła ramionami, jakby nic ją to nie obchodziło. Galloran powiedział, że w zamku będzie jej wygodnie i będzie tam bezpieczniejsza. Trochę ją bolało, że zostawiono ją tutaj, ale to było królestwo Gallorana i uznała, że on wie lepiej.

– Myślę, że woli, by spowijała cię tajemnica – odpowiedział Copernum. – Rzekomo dla twojego bezpieczeństwa. A przede wszystkim dlatego, że jesteś za młoda. Uważa, że nie odegrałabyś dobrze swojej roli: nadnaturalnie utalentowanej adeptki edomickiego. Twoja poczciwa buzia nie pasuje do krążących aktualnie plotek. Szczerze mówiąc, mimo szeptów, które do mnie dotarły, sam nie wierzyłem w twoje umiejętności, dopóki nie rzuciłaś mnie na podłogę.

Rachel odgarnęła włosy ze skroni.

– Niezależnie od powodów, z radością zrobię to, czego chce Galloran.

– Co za wierność – mruknął Copernum. – Gdybym to ja miał tak oddanego sługę.

– Ufam mu.

– Najwyraźniej. – Copernum spojrział na Ferrina, a potem znowu na Rachel. – Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że adeptka o takich umiejętnościach jak twoje nie musi od niego przyjmować rozkazów. W tym momencie jesteś bezcenna, cenniejsza od orantium. Absolutnie wyjątkowa.

– Staram się być pomocna – odpowiedziała Rachel; komplementy ją krępowały.

Copernum spojrział na Ferrina.

– Naprawdę jest taka niewinna?

– Nie jest słaba – zapewnił go Ferrin. – Ani głupia. W co ty pogrywasz, Copernum?

– W nic – odpowiedział kanclerz, unosząc swe długie ręce. – Zastanawiam się tylko, czy Rachel docenia fakt, że całe królestwa mogłyby zmobilizować się wokół takiego talentu jak jej. Maldor oddałby wszystko prócz Felrook, żeby ją mieć, by ją zabić albo szkolić.

– Myślę, że przesadzasz – powiedziała Rachel, mając nadzieję, że żar na policzkach nie uwidocznił się jako rumieniec.

– I dlatego nazywam cię niewinną – odpowiedział Copernum z delikatnym ukłonem.

– Księżę jest na zamku. Dzisiaj dokonał wszystkiego tego, co miał nadzieję osiągnąć. Wy dwoje powinniście iść powitać przyjaciół i świętować.

Ferrin skłonił odrobinę głowę.

– Dziękuję ci za gościnność.

– Do usług – odpowiedział Copernum. – Chciałbym lepiej poznać was oboje.

Ferrin wyprowadził Rachel z balkonu i luksusowych apartamentów. Kiedy schodzili po schodach, pochylił się ku niej.

– Co z tego wyniosłaś? – szepnął.

– Żeby uważać na Copernuma – odpowiedziała cicho.

– Czowałaś, że łasi się do nas jak wąż? Jak dusiciel owijający się wokół ofiary, nim zacznie ją dusić.

– Próbował zabić Jasona – powiedziała Rachel. – Próbował zabić ciebie. Latami torturował Nedwina. Tylko udaje miłego, dopóki nie pojawi się inna możliwość.

– W rzeczy samej. Podejrzewa, że możemy być cenni. Zauważyłaś, jak próbował zasiać w nas wątpliwości i stworzyć więź zaufania? W czasie takich rozmów wyobrażam sobie pochlebstwa jako stryczek zawiązywany na szyi. Delikatnie stara się, żebyś poczuła, że ceni cię bardziej niż Galloran. Próbuje przedstawić się jako mądry powiernik. Nic zbyt drastycznego. Szykuje się do cierpliwego poszturchiwania naszych umysłów ku określonym wnioskom.

– Nie martw się, nigdy mu nie zaufam.

Przez chwilę Ferrin szedł obok niej w milczeniu.

– A mnie ufasz?

– Nie do końca.

– Dobrze.

\*\*\*

Rachel nie miała okazji porozmawiać z Galloranem w dniu parady, dopóki grupa, która wyruszyła razem z Mianamon, nie zebrała się na prywatnym wieczornym posiłku w królewskich komnatach. Po procesji Galloran spotkał się z najróżniejszymi arystokratami, kupcami, uczonymi, artystami i innymi wpływowymi członkami społeczeństwa. Wszyscy desperacko pragnęli jego uwagi, a on cierpliwie witał niekończący się tłum sympatyków, oferując każdemu tyle uwagi, na ile pozwalały okoliczności.

Galloran zarezerwował miejsce dla Rachel obok siebie. Po raz pierwszy w ciągu dnia założył przepaskę na oczy.

– Tu możemy swobodnie rozmawiać – powiedział. – Nie zaryzykuję, że szpiedzy będą czytać z ruchu naszych ust przez moje oczy.

– Czy ktokolwiek pytał o oczy? – zainteresował się Nollin.

– Ani jedna osoba. Chociaż wszyscy je zauważyli. Nikt o tym nie mówił. Brak komentarzy sugeruje, że zakładają, że wstydę się i pewnie mam powody.

– Nie ma powodu do wstydu – powiedział Nedwin. – Zrobiłeś co konieczne, żeby nadal walczyć, mój panie.

– Poruszę tę kwestię po koronacji – zapowiedział Galloran.

– Koronacja odbędzie się zgodnie z harmonogramem? – spytał Nollin.

– Pojutrze. Dolan już ogłosił, że jestem prawowitym dziedzicem. Wielki diuk będzie czynił honory.

– Długo na to czekałeś, książę – powiedział Nollin. – Jak się czujesz?

– Jak obcy we własnym domu. Większość ludzi, których podziwiałem, odeszła. Kiedyś wśród arystokracji Trensicourt można było znaleźć wielu honorowych ludzi. Teraz już nie tak wielu. Ci, którzy zostali, są w najlepszym wypadku ostrożni i ugodowi, w najgorszym to intryganci i zdrajcy. Jednak królestwo będzie moje wraz ze znacznymi zastępami żołnierzy, a w tym momencie tego potrzebujemy najbardziej.

– Dobre jedzenie – powiedział Io.

Rachel tak uważnie słuchała rozmowy, że zapomniała o jedzeniu. Stół uginał się od kruchego drobiu, pieprzonej sarniny i delikatnych filetów z pstrągów, waz z zupami, koszy chleba, półmisek z owocami i tac z warzywami. Uczta stosowna dla króla, co – jak uznała Rachel – miało sens w obecnych okolicznościach.

– Zgadza się – powiedział Ferrin, nakładając miękki twaróg na pajdę ciemnego chleba. – Podróż ma swoje uroki, ale takie posiłki rzadko się zdarzają. Rozkosze miejskiego jedzenia przygotowanego przez ekspertów niemalże wynagradzają męczącą

politykę.

– Ty dzisiaj miałeś lekko, rozsadniku – burknął Kerick. – Słońce paliło w czasie procesji, a szliśmy wolno.

– Przynajmniej ty miałeś lepsze towarzystwo – odparł Ferrin.

– Jestem nudna? – zachnęła się Rachel.

– Nie chodzi o ciebie – wyjaśnił rozsadnik.

Galloran pochylił się ku Rachel.

– Chciałem cię zapytać, jak ci się podobało towarzystwo tymczasowego kanclerza.

Rachel przełknęła kęs chleba.

– Ferrin porównał go do węża.

Rozsadnik pokiwał głową.

– Copernum jest dokładnie taki, jak można się spodziewać, Galloranie. Całkowicie skupił się na Rachel.

– Nic dziwnego. Jego pan okazał szczególne zainteresowanie jej osobą. Nie chcę, żeby Rachel kiedykolwiek została z nim sam na sam. Ani ktokolwiek z was, skoro o tym mowa. W Trensicourt roi się od zdradzieckich manipulatorów. Im szybciej wyjedziemy, tym lepiej.

– Zgadza się – poparł go całym sercem Io.

– Nie mam nic przeciwko – wtrąciła Rachel. – Wolę unikać takich ludzi jak Copernum.

Chciała przynajmniej, żeby wyglądało, że ma coś do powiedzenia w tej kwestii.

– Czy bardziej wpływowi intryganci pozwolą ci rozpocząć wojnę? – zapytał Nollin.

– Cały dzień badałem odczucia w tej kwestii – odpowiedział Galloran. – Niektórzy mi tego nie ułatwią. Gdybym zamierzał czekać miesiąc z rozpoczęciem kampanii, mogłoby to okazać się niemożliwe. Myślę jednak, że mi się uda, jeśli wykorzystam obecne emocje. Najbardziej przebiegłi wrogowie ucieszą się, widząc, że Trensicourt szykuje się do wojny. Najsprytniejsi z nich z radością ponaglą mnie do opuszczenia miasta. Dostrzegą wiele okazji dla siebie w mojej wyprawie, w tej skazanej na klęskę ofensywie.

– Jak zamierzasz się im przeciwstawić, książę? – zapytał Nedwin.

– Zrobię co w mojej mocy. Kto wie, jak potoczy się wojna? Kto wie, ile potrwa? Wiele możliwości zamknie się przed nami, jeśli Trensicourt padnie. Zostawię zaufanego namiestnika z godnym zaufania pomocnikiem albo dwoma. Poza tym, na pewien czas będę musiał odłożyć na bok troski związane z polityką w Trensicourt. Zgodnie z prorocstwem, atak na Felrook to klucz do obalenia Maldora. Dopóki nie osiągniemy tego celu, wszystko inne to kwestie drugorzędne.

Rozglądając się po siedzących przy stole, Rachel zastanawiała się, kogo Galloran zostawi na miejscu. Miała nadzieję, że nikogo z tych, którzy wyruszyli z Mianamon. I bez tego pożegnała się ze zbyt wieloma przyjaciółmi.

– Muszę przyznać jedno – powiedział Nollin, zgniatając serwetkę i odrzucając ją na bok. – Nie prosisz, książę, by to sprzymierzeńcy podjęli największe ryzyko. Twój obecny plan działania pozostawi Trensicourt narażone na atak.

– Ofensywa to nasza ostatnia nadzieja – powiedział Galloran. – Zamierzam przystąpić do niej, gromadząc wszystkie dostępne siły. Ofiary są nieuniknione.

Kiedy Rachel skończyła posiłek, zauważyła, że Tark siedzi samotnie przy małym stoliku, z dala od pozostałych. Podeszła do niego.

– Jak ci się podobała parada?

– Niespecjalnie – odpowiedział basowym, ochrypłym głosem. – Byłby o wiele szczęśliwszy, dmuchając w sousalaks niż truchtając wierzchem na przerośniętym kucyku. Nie podoba mi się, że zostawiłem cię samą z Copernumem i Ferrinem, ale nie bardzo mogłem zaprotestować.

– Copernum nie zrobiłby mi nic, póki Galloran jest w pobliżu – powiedziała Rachel. Tark zniżył głos.

– Nie tylko o Copernuma się martwię.

Rachel uśmiechnęła się leciutko.

– Nie jestem zupełnie bezbronna. Znam parę sztuczek.

– Widziałem, jak obalasz ludzi jednym słowem. I widziałem, jak podpalałaś chodzących umarłych, ale przysiągłem lordowi Jasonowi, że będę cię chronił, i zamierzam dotrzymać słowa. Kiepsko się dzisiaj wywiązałem ze swojego przyrzeczenia.

– Dzisiejszy dzień był wyjątkowy.

– Owszem, ale jeśli pozwolę, by wyjątkowe okoliczności mnie powstrzymywały, na nic się nie przydam. Z radością przyznaję, że to wszystko mnie przerasta. Nigdy nie spodziewałem się, że wmieszam się w wielkie sprawy potężnych ludzi. Jednak obiecałem lordowi Jasonowi dwie rzeczy: pomóc Galloranowi w jego walce i mieć na ciebie baczenie.

– Do tej pory świetnie sobie radziłeś – zapewniła go Rachel. – Przygotowania do wojny przebiegają zgodnie z planem, a ja mam się dobrze.

– Trzymaj mnie przy sobie w miarę możliwości – poprosił Tark. – Chcę być przydatny.

– Cieszę się, że mogę na ciebie liczyć – odpowiedziała Rachel, kładąc mu rękę na ramieniu.

Tark pociągnął nosem i zawstydzony odwrócił wzrok.

– Nie polegaj na mnie za bardzo. Zrobię co w mojej mocy, ale nie zapominaj o ćwiczeniu edomickiego.

– Umowa stoi.

\*\*\*

Koronacja była jeszcze bardziej widowiskowa niż procesja w mieście. Już samo stanie na tyłach sali tronowej podczas ceremonii kosztowało nie mniej niż sto droom.

Trensicourt świętowało bez przerwy od parady. Przez dwa dni na ulicach tłoczyli się hulacy niezależnie od pory dnia i nocy. Obywatele zgromadzili się na placu przed zamkiem, żeby słyszeć, jak heroldowie recytują słowa wypowiedziane w sali tronowej.

Rachel zajęła miejsce w sali z przodu, na galerii na podwyższeniu. Tark siedział po jej jednej stronie, Io po drugiej. Galloran wyznaczył tych dwóch jako jej osobistą ochronę na czas ich pobytu w Trensicourt. Io prezentował się bardzo ładnie i godnie w bogatym stroju. To dziwne, jak wydorósł przez pół roku. Zmienił się nie tylko jego wygląd, także jego podejście stało się poważniejsze, chociaż pozostał bardzo uprzejmy. Unikała myśli, że przed zimą posiwieją mu włosy.

Czekając na rozpoczęcie ceremonii, Tark i Io zerkali na nią z ukosa – jakby i bez tego nie czuła, że dostatecznie rzuca się w oczy! Wczoraj dopasowano dla niej specjalny strój – wspaniałą ciemną szatę z kapeluszem o ciemnym rondzie i woalką oraz czarnymi koronkowymi rękawiczkami. To Nollin wpadł na ten pomysł. Cel był taki, żeby wyglądała tajemniczo. I krawcom się udało. Całość prezentowała się jak ekscentryczny, stylowy strój żałobny. Jej ubiór przyciągał wiele uwagi, ale przynajmniej woalka pozwalała jej unikać kontaktu wzrokowego. Kiedy obracała głowę w stronę zerkających na nią gapiów, wszyscy uciekali wzrokiem. Nikt nie chciał, żeby go przyłapano na patrzeniu.

Kiedy herold zapowiedział Gallorana wraz z tuzinem tytułów takich jak obrońca Królestwa, Najwyższy Dowódca Armii, Następca Tronu Trensicourt w sali ucichły rozmowy. Galloran wszedł do sali, a tren jego szaty ciągnął się za nim niczym opończa skrojona dla olbrzyma. Trzech młodych dworzan trzymało końce purpurowej materii.

Galloran wszedł na podium, zrzucił pelerynę i usiadł na małym, ozdobnym krześle przed wielkim diukiem Edgemont, krzepkim mężczyzną o rozdwojonej brodzie i w kosztownym stroju. Dolan także siedział na podwyższeniu, podobnie jak Copernum i paru innych najwyższych lordów Trensicourt.

Rachel cieszyła się z triumfu Gallorana. Wyglądał bardzo królewsko i z pewnością zasłużył na tę chwilę chwały.

Dolan wstał i przemówił do zgromadzonych. Rachel uznała jego mowę za nużącą. Regent próbował wyrazić na wszelkie możliwe sposoby radość z powrotu prawowitego następcy na tron, a jednocześnie nie przegapił żadnej okazji, by pochwalić własną pracę, jaką wykonał, utrzymując królestwo podczas lat bezkrólewia.

Następnie wystąpił Copernum i wyraził swoje poparcie dla Gallorana i swoją ulgę, że królestwo znowu jest całe. Na szczęście, jego przemowa była krótsza.

Wreszcie wielki diuk Edgemont zaczął czytać długie, ceremonialne oświadczenie. Rachel cieszyła się z woalki, bo pozwalała jej dyskretnie ziewać w czasie drętwiej recytacji. Pod koniec chłopiec w fantazyjnym kaftanie przyniósł wielkiemu diukowi

Edgemont koronę na jedwabnej poduszce. Nadal recytując ceremonialne słowa, wielki diuk podniósł koronę z poduszki, uniósł wysoko, a potem włożył ją na głowę Gallorana. Rozległy się fanfary, kiedy Galloran przyjął królewskie berło.

Wielki diuk Edgemont wycofał się, a Galloran wstał. W sali wybuchły wiwaty. Rachel pokrzykiwała i gwizdała równie głośno jak inni. Wyrazy radości utrzymywały się na ogłuszającym poziomie co najmniej pół minuty. Galloran uniósł ręce. Kiedy wiwaty ucichły, Rachel słyszała pomruk odległych owacji dobiegających spoza zamku. Wieści szybko się rozchodziły.

– Obywatele Trensicourt – zaczął Galloran, podnosząc głos, a w sali zapadła cisza. – Zasiadam na tronie ponad dekadę za późno. Większość z was zdaje sobie sprawę, że nie jestem przyjacielem Maldora. Spędziłem ostatnie lata, aktywnie przeciwstawiając się jego ambicji zapanowania nad Lyrianem. Niektóre z tych lat poświęciłem na walkę, część spędziłem w lochach Felrook, a ostatnie, zbierając informacje, by przygotować się do ostatniej próby przeciwstawienia się jego dążeniu do zdobycia władzy absolutnej. Na królestwa podbite przez Maldora spadło ciężkie jarzmo jego tyranii. Jego pragnienie władzy nie zna granic. W miarę jak jego siła rośnie, Maldor coraz mocniej zaciska pięść, ograniczając wolność i możliwości. Nagradza tchórzy i zdrajców gotowych wzbogacić się na donosach na przyjaciół i sojuszników. Wynosi okrutnych, bezwzględnych i zdradzieckich na najwyższe urzędy. Ogranicza dostęp do wiedzy, żeby jego poddani byli głupszy i bardziej ulegli. Będzie żył długie wieki. Pozostawione same sobie jego rządy sprowadzą na Lyrian najmroczniejszą erę w historii tego świata. Cywilizacja będzie podupadać, aż najbardziej naturalne radości zostaną zdławione i wyrugowane z życia. Ci, którymi będzie władał, będą żyli w strachu, nie ufając nikomu, niezdolni dążyć do doskonałości w żadnej dziedzinie bez ryzyka, że ściągną tym na siebie gniew cesarza.

Galloran urwał. W sali panowała cisza, nie licząc szelestu ubrań kręcących się nerwowo ludzi. Najwyraźniej od wielu lat nikt nie mówił tak otwarcie o Maldorze w Trensicourt.

– W przeciwieństwie do tego, w co chciałby, byśmy uwierzyli, cesarz nie zagarnął jeszcze kontynentu. Chociaż niewiele mu brakuje, królestwo Kadary nadal angażuje większość jego sił zbrojnych wzdłuż wschodniego wybrzeża, gdzie oblegają miasta Kadary, Wysokiego Portu i Inkali. Drinlingowie pozostali wolni, tak samo jak Amar Kabal w Siedmiu Dolinach. I chociaż może zgodziliśmy się na pewne niemądre kompromisy, Trensicourt pozostaje wolnym królestwem.

Galloran znowu zamilkł. Miał nadzieję na reakcję ze strony słuchaczy? Wszyscy uważnie słuchali, ale nikt się nie odezwał.

Świeżo ukoronowany król przytknął do skroni czubki palców jednej dłoni.

– Sporo spekulowano na temat moich oczu. Tak, szpiegdy Maldora patrzą, gdy ja patrzę na was. Maldor odebrał mi wzrok, kiedy zostałem schwytany. Zaproponował mi



przywrócenie go po przeszczepieniu oczu rozsadników. Propozycja ta nie obejmowała przysięgi wierności. Uznałem, że potrzebuję wzroku, żeby z nim walczyć, więc przyjąłem ten dar. To dlatego, zajmując się delikatnymi kwestiami, noszę przepaskę na oczach. Gdy walczę, z radością pozwalam Maldorowi patrzeć, jak zabijam jego sługi.

To wywołało w sali śmiech, który przerodził się w oklaski.

– Długa droga prowadziła mnie z powrotem do Trensicourt. Wiele widziałem, wiele się dowiedziałem. Moja córka Corinne, następczyni tronu, żyje teraz na wygnaniu, jest cała i zdrowa.

Po tych słowach rozległy się entuzjastyczne wiwaty. Galloran poczekał, aż poruszony tłum ochłonie, nim podjął przemowę.

– Udałem się do Wyroczni z Mianamon. Zmarła, ale przed śmiercią przekazała ostateczną przepowiednię. Powiedziała mi, jak można pokonać Maldora. Było przy tym wielu świadków. Już jutro Trensicourt rozpocznie wojnę z Felrook.

Rachel nie sądziła, żeby w sali mogło zrobić się jeszcze ciszej. Zdawało się, że wszyscy wstrzymali oddech.

– Nie staniemy sami. Drinlingowie staną przy nas. I po wielu latach neutralności lud Amar Kabal podejmuje walkę.

To oświadczenie wywołało podniecone rozmowy, ale nie wiwaty. Galloran uniósł ręce.

– Naturalnie, nie mogę ujawnić szczegółów strategii. Pojawią się także inni sprzymierzeńcy, w tym tacy, którzy dzierżą moc, jakiej w Lyrianie nie widziano od pokoleń.

Rachel przyłapała Tarka na tym, że na nią patrzy. Zauważył to i pośpiesznie odwrócił wzrok.

– W ciągu godziny musimy rozpocząć przygotowania do walki – mówił Galloran. – Nie będziemy czekać, aż sami znajdziemy się w oblężeniu, gdy Kadara upadnie. Nie ugniemy kolan przed Felrook i nie poddamy się płochliwie wiekowi ciemności i ucisku. Zamiast tego ruszymy szybciej niż nasi wrogowie myślą, że to możliwe. Wymaszerujemy całą siłą i wykorzystamy ostatnią realną szansę walki. To będzie nasza ostatnia możliwość powstrzymania Maldora przed opanowaniem kontynentu i zamierzam ją wykorzystać. – Emocje w jego głosie osiągnęły najwyższe natężenie. – Wyrocznia przewidziała to, że możemy zwyciężyć! Walczyłem z cesarzem przez wiele lat, pozostając w cieniu. Teraz, nareszcie, mamy odpowiednich sprzymierzeńców i odpowiednią okazję. Nadeszła godzina, bym poprowadził nas ku zwycięstwu w otwartej bitwie!

W sali gruchnęły gromkie wiwaty. Serce Rachel urosło pod wpływem tych poruszających słów. Śmiały entuzjazm Gallorana był zaraźliwy.

– Zbyt długo Trensicourt patrzyło i czekało. Na nasze godne dziedzictwo składają się liczne militarne triumfy. Jesteśmy równie dzielni i zdolni jak ci, którzy nas

poprzedzali. A nawet dzielniejsi. Zdolniejsi. Wypoczęci i gotowi. Pozostałe królestwa zastanawiały się, co powstrzymuje nas przed bojem, tak samo jak my wszyscy zastanawialiśmy się, dlaczego lud Amar Kabal nie wyszedł ze swoich warowni, żeby stawić czoło największemu zagrożeniu dla pokoju i dobrobytu, jakie kiedykolwiek się pojawiło. Czekaliśmy na właściwy moment, tak samo jak oni. Ta chwila nadeszła. Jeśli będziemy dłużej czekać, okazja minie. Zamiast tego jednak uderzymy razem z tymi samymi sojusznikami, z którymi obaliliśmy mistrza Maldora. Cesarz nie skradnie nam wolności. Nie będzie kontrolował życia naszych żon, naszych dzieci, nienarodzonych pokoleń. Nie pozwolimy mu na to!

Teraz w sali zagrzmiało od okrzyków poparcia. Rachel złapała się na tym, że chce się zerwać na równe nogi. Potęga słów Gallorana wstrząsnęła nią do głębi i większość ludzi wokół niej najwyraźniej czuła to samo. We wrzawie wyczuwało się determinację i gniew. Nerwowe napięcie, które podtrzymywało wcześniejszą ciszę, teraz ustępowało. Rachel się rozejrzała. Ludzie usłyszeli słowa, które powinny były paść dawno temu. Słowa, w które być może nie uwierzyliby, gdyby padły z ust mniej legendarnej postaci niż wygnany król, stojący przed nimi w błyszczących szatach, umocniony legendarną walecznością i przebiegłością, który wypowiedział słowa z niezachwianą pewnością.

Potrzeba było dłuższej chwili, by na widok uniesionych rąk Gallorana wrzawa ucichła.

– Niektórzy mogą się zastanawiać, dlaczego tak otwarcie wyrażam swoje zamiary. Zamierzam rządzić wami szczerze, jak wcześniej czynił to mój ojciec. Kiedy ruszymy do walki, ja stanę na czele. Ponadto nie da się ukryć faktu, że szykujemy się do wojny. Wysiłki będą znaczne i niezależnie od środków zaradczych, jakie zastosowalibyśmy, by ukryć nasze zamiary, wieść o przygotowaniach dotarłaby do cesarza. Po co więc się ukrywać? Nie miałby czasu, żeby przeciwstawić się atakowi, który planuję, nawet gdybym ostrzegł go w zeszłym miesiącu. Planował jak dowódca, który jest przekonany, że nie czekają go żadne kłopoty. Rozmieszczenie jego sił jest niedbałe i nierówne. Wykorzystamy jego błąd, zapłaci za niego krwią i klęską!

Tłum znowu oszalał. Io i Tark stali. Rachel poczuła, że dała się porwać podnieceniu. Ludzie uwierzyli, a przynajmniej chcieli uwierzyć.

– Powiem to tylko raz – mówił dalej Galloran – wszelcy sympatycy Maldora mają ten dzień, żeby wynieść się z mojego królestwa. Zaczynając od jutra, każda osoba zatrudniana przez niego będzie uznana winną zdrady i skazana na śmierć. To obejmuje także wszystkich pomniejszych gubernatorów i urzędników w miasteczkach w obrębie granic, w których rządził mój ojciec. To obejmuje wszystkich mężczyzn i kobiety, którzy noszą cesarski mundur. Cesarscy słudzy są wrogami tego królestwa i upoważniam obywateli Trensicourt do wymierzania wyroku, który wydałem. Zrzućcie cesarskie jarzmo. Mamy większą bitwę do rozegrania.

Galloran znowu poczekał, aż entuzjastyczne okrzyki ucichną.

– Jeżeli jakikolwiek człowiek chce podać w wątpliwość moje prawo do tronu, rozpocząć z nami wojnę albo złożyć doniesienie cesarzowi, niech przemówi teraz i stanie ze mną do walki. – Galloran spojrzał z powagą na rzesze ludzi, trzymając jedną rękę na rękojeści miecza.

Nikt nawet nie drgnął.

– Niech zabawy z poprzednich dni nam wystarczą. Nadeszła godzina przygotowań do wojny. Lordowie, wezwijcie swoich wasali. Wezwijcie swoich rycerzy. Przygotujcie swoich żołnierzy. Heraldowie ponieście moje słowa do najdalszych zakątków królestwa i dalej. Wzywajcie mężczyzn Lyrianu, by chwytali za broń. Nadeszła godzina przygotowań, ponieważ nasze zastępy wymaszerują przed upływem tygodnia. Jako wasz król jestem zaszczycony, mogąc wraz z wami służyć tej ogromnej sprawie. Przyszłe pokolenia Trensicourt będą wspominać ten dzień z czcią. Stajemy w jednym z najważniejszych punktów zwrotnych historii. Nie możemy zawieść! Nie zawiedziemy!

Galloran odwrócił się i zszedł z podwyższenia, opuszczając salę wśród entuzjastycznego zgiełku. Lata niepewności i ucisku połączyły się z euforią z powodu powrotu króla, tworząc bardziej rozgorączkowaną atmosferę niż Rachel się spodziewała. Zdała sobie sprawę, że wielu z obecnych desperacko miało nadzieję usłyszeć słowa, jakie Galloran właśnie wypowiedział. Ludzie wokół niej, którzy minutę temu sprawiali wrażenie nerwowych, teraz poklepywali się po plecach, ośmieleni perspektywą podjęcia działań pod dowództwem takiego przywódcy jak ich nowy król. Mniejszość zasępiła się, stojąc ze skrzyżowanymi rękami i chmurnymi twarzami, ale nawet najbardziej zadumani gapie starali się sprawiać wrażenie uradowanych, kiedy sąsiedzi poszturchiwali ich łokciami.

Ze swojego miejsca na podwyższeniu Rachel zauważyła, że Copernum wędruje wzrokiem po zgromadzonych, zerkając spod wielkiego trójgraniastego kapelusza. Patrzył spokojnie, jakby zbierał dane. Ponad dzielącą ich znaczną przestrzeń jego bystre, wyrachowane oczy napotkały jej spojrzenie, jakby przebijały się przez woalkę. Jego chmurna twarz rozświetliła się bladym uśmiechem i z trzepotem płaszcza Copernum opuścił salę.

# Rozdział 8

## Rabusie

Nia wparowała do małej sypialni. Jason poderwał głowę i zerknął na nią, mrużąc oczy, zaniepokojony nagłą pobudką.

– Atakują nas? – zapytał.

Uśmiechała się.

– Nie, mam dobre nowiny! Wypatrzono na horyzoncie *Walecznego*.

– Najwyższy czas – powiedział Jason, uspokajając się.

Statek spóźniał się trzy dni. Wszyscy zrobili się naprawdę nerwowi. Jason zamrugał i przetarł oczy.

– Przepraszam, że cię obudziłam – powiedziała Nia. – Pomyślałam, że chciałbyś wiedzieć.

– Cieszę się, że mi powiedziałaś. – W pokoju nie było okien, więc Jasonowi brakowało światła z zewnątrz, by się zorientować, która godzina. – Jest już rano?

– Jeszcze nie świta. Możesz spać dalej, jeśli chcesz. Właściwie to nawet powinieneś. Dzisiejsza noc to będzie ta noc!

Nia wyszła, zamykając za sobą drzwi.

Jason padł na bok i zamknął oczy, ale nie zdołał zasnąć. W końcu poszedł na śniadanie. Drinlingów napełniła nowa energia. Martwili się, że *Walecznego* skierowano gdzie indziej, ponieważ ktoś nabrał podejrzeń w związku z planowaną kradzieżą. Każdy dzień, kiedy grupa uderzeniowa siedziała w ukryciu, zwiększała ryzyko, że ktoś ją odkryje. Teraz jednak wydawało się, że wszystko ułoży się zgodnie z planem.

Jason denerwował się przez cały ranek i popołudnie. Spędził wiele czasu na nogach – testując ciężar miecza, celując z kuszy, którą dał mu Aram, szukając przekąski, nasłuchując wieści. Kręcąc się. Denerwując.

Dzisiejsze zadanie nie przypominało niczego, co do tej pory robił. Porwanie statku w środku nocy? To było wielkie miasto otoczone wysokimi murami. Statek będzie strzeżony. Z pewnością dojdzie do walki. Jeśli on i jego przyjaciele nawalą, wszyscy mogą zginąć.

Nikt nie spodziewał się po nim zbyt wiele. Na ile zorientował się z planu, właściwie można go było uznać za ładunek. Kiedy statek będzie już zabezpieczony, Drake i dwóch drinlingów przerzucą go na pokład. Jednakże tyle rzeczy mogło się nie udać. A jeśli natkną się na przypadkowy patrol w drodze na statek? Wtedy będzie musiał pomóc im się przebić. A jeżeli alarm się rozlegnie, zanim dostaną się na statek, żołnierze mogą zjawić się na nabrzeżu i Jason wyląduje w środku walki.

Ćwiczył od miesięcy, żeby móc włączyć się do walki. Jednakże, odkąd nauczył się posługiwać mieczem, nigdy nie musiał walczyć w pojedynku, gdzie stawką było jego życie. Możliwe, że tej nocy przyjdzie mu się sprawdzić, gdy napotka wroga w walce bez stępionych ostrzy, bez ochronnego stroju do ćwiczeń... Bez drugiej szansy. W grę będą wchodzić umiejętności, tak samo jak opanowanie i łut szczęścia. Przetrwa albo on, albo przeciwnik. Ta perspektywa sprawiała, że przez całe ciało przebiegał mu dreszcz.

Jason wiedział, że nie będzie walczył sam. Drake i pozostali pewnie go wyratują. Tyle że zdarzyć mogło się wszystko. W najgorszym wypadku może wylądować sam pośród morza wrogów. Niezależnie od tego jak bardzo chciał się skupić na czymś innym, nie potrafił przestać przewidywać różnych scenariuszy.

Niedługo przed zachodem słońca ktoś zapukał do drzwi. Jason akurat trzymał miecz, pojedynkując się z wyobrażonymi wrogami. Odrzucił go pośpiesznie na bok.

– Proszę.

Wszedł Aram, nadal mały, zerknął na Jasona, a potem na miecz na łóżku.

– Niespokojny?

– Nie za bardzo – skłamał Jason.

Aram uśmiechnął się znacząco.

– Mój pokój znajduje się dokładnie pod twoim. Słyszałem tupot.

Jason zwykle się nie rumienił, ale nagłe ciepło na policzkach sugerowało, że tym razem uczynił wyjątek. Odwrócił wzrok od półolbrzyma.

– Tylko ćwiczyłem.

Aram przysiadł na brzegu łóżka Jasona.

– Prawdę mówiąc, sam siedzę tu jak na szpilkach.

– Tak?

– To poważna operacja. Zważywszy, ile osób bierze w niej udział, nie mogę uwierzyć, że jeszcze sami się nie wydaliśmy. Ci drinlingowie zasługują na najwyższe uznanie. Znają dyscyplinę.

– Myślisz, że może nam się udać?

Aram się zawahał.

– Wiesz, że kiedyś pracowałem jako przemytnik?

– Pewnie.

– Swego czasu sporo ryzykowałem. Ryzyko było wpisane w moją pracę, ale też było ono precyzyjnie wyliczone. Dzięki mojej ostrożności szanse schwytania pozostawały małe. Trzymałem się sytuacji, w których w dziewięciu przypadkach na dziesięć po schwytaniu zdołałbym się wykupić z poważnych kłopotów. Nawet wśród urzędników wyznaczonych przez Maldora większość uważała, że przemyt jest do pewnego stopnia koniecznością. Usługą zaspokajającą potrzeby. Ostrożnie doбираłem miejsce i czas operacji. Ostrożnie doбираłem współpracowników. Ostrożnie doбираłem przemycane towary. Ostrożnie decydowałem, kogo przekupić.

Jason rozumiał, do czego zmierza Aram.

– A teraz podejmujemy się czegoś szalonego?

Aram pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Nie tak całkiem szalonego. To może się udać. Jak by to ująć? – Spojrzał na złożone ręce. – W czasie mojej kariery natrafiałem czasem na okazje na naprawdę śmiałe misje. Robotę, która mogła przynieść w jedną noc górę pieniędzy albo naprawdę podrasować moją reputację. Wielki zysk: szansa na chwałę, bogactwo albo jedno i drugie. Tego typu zlecenia niemal zawsze w taki czy inny sposób zagrażały interesom cesarza. Albo mogły zwrócić jego uwagę. Przygotowałem kilka realnych planów do takich misji. Obmyśliłem strategie, dzięki którym te projekty były wykonalne, a ryzyko utrzymywało się w rozsądnych granicach. Jednakże cena za niepowodzenie była zbyt wysoka, więc wybierałem bezpieczną opcję. Nigdy ich nie wprowadziłem w życie. Pogoń za wielkimi zyskami sprowadza na chciwych ludzi śmierć.

– Ale dzisiaj...

– Dzisiaj porwiemy eskortowca. Nie licząc innych obowiązków, na mnie spadnie odpowiedzialna rola kapitana tego statku. Mam największe doświadczenie na morzu, więc ta robota przypadła mi. Nauczyłem drinlingów wszystkich procedur. Opanowali węzły i sploty z szokującą łatwością! Przystosowują się nieprawdopodobnie szybko. Każdy zna swoją rolę. Jednakże większość nigdy nie żeglowała takim statkiem jak *Waleczny*. Czy to dobrze, czy źle, nasz sukces zależy w ogromnej mierze ode mnie. Od tego, czy dobrze ich wyszkoliłem, czy odpowiednio nimi pokieruję. Kocham morze. Byłem już kapitanem. Marzyłem, żeby zostać kapitanem eskortowca. Nie ma wspanialszego okrętu. Podstawowy zamysł przejęto z kadarskich okrętów wojennych, ale Maldor go udoskonalił. Bycie kapitanem *Walecznego* to zaszczyt, którego nigdy w życiu się nie spodziewałem.

– A mimo to, denerwujesz się?

Aram poprawił się na łóżku.

– Odrzucam lata zdrowego rozsądku. Nasze działania tej nocy otwarcie znieważą cesarza i wszystkich, którzy mu służą. Nie zrozum mnie źle. Bywałem już w trudnym położeniu. Sprawy źle się układały i musiałem sobie wywalczyć drogę na wolność. Jednakże nigdy nie szukałem takich sytuacji. Kradzież statku sprawi, że wszyscy cesarscy agenci na Morzu Śródziemnym będą nas ścigać. To przyciągnie uwagę samego cesarza.

– Plan jest dobry? – zapytał z nadzieją Jason.

– Wspaniały. Nie będą spodziewać się niczego równie śmiałego. Nie mogą nawet podejrzewać, ilu ludzi zgromadziliśmy. Kradzież jest dostatecznie odważna, żeby całkiem przerosła ich oczekiwania. *Waleczny* wszedł dzisiaj do portu. Większość załogi będzie hulać i bawić się w tawernach tej nocy. Ci, którzy zostaną na warcie w nocy, będą niezadowoleni i nieuważni. Co może się przydarzyć eskortowcowi zacumowanemu w porcie znajdującym się pod całkowitą cesarską kontrolą? Ci żołnierze nie widzieli prawdziwej walki od lat. W takich sytuacjach zaskoczenie bardzo wiele znaczy i powinno działać całkowicie na naszą korzyść.

– Czyli bardziej martwisz się tym, co będzie potem?

– Martwię się wszystkim. Zbyt wiele rzeczy może się nie udać. A jeśli coś pójdzie nie tak, to pójdzie bardzo nie tak. Jeżeli nie uda nam się zaatakować z zaskoczenia, akcja może zakończyć się katastrofalnie. Jeśli nasz wróg podejmie sprytniejsze albo bardziej skuteczne działania niż to przewidzieliśmy, możemy zostać zmasakrowani. A nawet gdy się wymkniemy, to będzie dopiero początek. Popłyniemy na wyspę, gdzie nikt nie przeżył, a po piętach będą nam deptać wszyscy żołnierze z regionu. Nie najlepszy scenariusz.

– Rety – jęknął Jason, czując, że teraz lepiej dostrzega, czego powinien się obawiać.

– To tego rodzaju plan, który wymyślasz w wolnej chwili i odkładasz na bok.

– Niestety, nie możemy go odłożyć na bok.

– Jeżeli chcemy dotrzeć na Wiatrochron, to pewnie jedyny sposób. Nie ma lepszej opcji. Proroctwo mówi, że musimy tam dotrzeć. Chciwi czy nie, jesteśmy zmuszeni zawalczyć o wielką zdobycz. To wbrew moim instynktom, dlatego się denerwuję.

– Ja też jestem nakręcony – przyznał Jason. – Chyba wiem, co masz na myśli. Przez większość czasu w Lyrianie starałem się unikać niebezpieczeństw. Dzisiaj rzucimy mu się prosto do paszczy.

Aram potarł skrzydełka nosa, częściowo chowając twarz.

– Prawdę mówiąc, mój instynkt każe mi uciekać. A słuchanie instynktu utrzymało mnie przy życiu.

– Myślisz, że powinniśmy uciekać?

– Nie wszyscy. Mówiłem o sobie.

Jason przeżył szok, słysząc to wyznanie.

– Chyba nie chcesz naprawdę nas zostawić?

Aram uśmiechnął się słabo.

– Zdecydowanie chcę uciekać. Nigdy nie lubiłem siedzieć w miejscu. Wczoraj omal tego nie zrobiłem, ale wtedy dostrzeżono *Walecznego*.

– Prawie odszedłeś? – Jasona zatkało. – Naprawdę?

– Nie wspominałbym o tym, gdybym naprawdę zamierzał to zrobić.

– To po co w ogóle o tym wspominasz?

– Myślałem, że to będzie miało dla ciebie znaczenie, jeśli dowiesz się, że zostałem przez wzgląd na ciebie.

– Na mnie?

– Musiałem zapytać siebie, na ile związałem się ze sprawą. Musiałem zadać sobie pytanie, czy jestem gotowy pójść na całość, narazić się na niebezpieczeństwa, z których mam małe szanse wyjść cało. Wiedziałem, że Jasher i Drake się nie poddadzą. Misja trwałaby beze mnie i mogłem wyobrazić sobie, że moja obecność miałaby niewielki wpływ na jej ostateczny sukces lub porażkę. Wtedy jednak pomyślałem o tobie. Pomyślałem o młodym człowieku, który nie należy do tego świata, a który wiele zmienił, mimo że nie posiada umiejętności, jakie mógłbym uznać za niezbędne. I wtedy zrozumiałem, że jeśli przybysz taki jak ty nie zdradził sprawy, to mieszkaniec Lyrianu nie ma prawa odejść.

– Rety. – Jason nie mógł uwierzyć, że jego działania miały tak duże znaczenie dla takiego wojownika jak Aram. – Czyli nie odchodzisz?

– Zostaję.

– Chociaż to się nie podoba twojemu instynktowi?

– Tak. – Aram wstał i podszedł do drzwi. – Niedługo zaczną rosnać. Niezależnie od podenerwowania powinieneś spróbować się przespać. Nie ruszymy dopóki nie zapadnie głęboka noc.

– Dzięki za rozmowę. Dobrze wiedzieć, że nie tylko ja się niepokoję.

– Wszyscy powinniśmy się niepokoić! Może dzięki temu pozostaniemy skoncentrowani. To ciężka próba. Musimy być dziś w nocy w najlepszej formie.

Jason zastanawiał się, jak to powinno wyglądać w jego wykonaniu. Miał nadzieję, że dorośnie do oczekiwań.

– Dam z siebie wszystko.

– Wierzę – odpowiedział Aram. Zerknął na broń na łóżku. – Niech cię nie rozboli ręka od miecza.

\*\*\*

Jason spał niespokojnie, rzucając się i obracając z boku na bok. Kiedy Drake przyszedł po niego, Jason nie spał i gapił się w ciemność. Sturlał się z łóżka, gdy tylko



otworzyły się drzwi.

– Spałeś? – spytał Drake.

– W pewnym sensie. Byłem spięty.

– Każdy zacząłby się denerwować, ukrywając się w ten sposób przez większość tygodnia. Ucieszę się, gdy znajdziemy się na wodzie. Minęło trochę czasu, odkąd pływałem po Morzu Śródziemnym.

Jason przypasał miecz i podniósł kuszę.

– Gdzie pozostali?

– Niektórzy już zajmują pozycje. Chodzi o to, żeby dotrzeć do portu, ale nie wyglądać na pięćdziesięcioosobową grupę.

Dwójka drinlingów, kobieta i mężczyzna, czekali przed pokojem. Jason nie nauczył się wszystkich imion, ale ci nazywali się Thag i Zoo. Oboje wyglądali na około dwudziestki. Mówili po angielsku, chociaż niezbyt pewnie, za to wesoło przekomarzali się z towarzyszami w ojczystym języku. Zoo była smukła jak na drinlinga, ale żyłasta. Thag miał tak potężnie rozwinięte mięśnie, że wydawało się, że ograniczają mu swobodę ruchów.

Drake wyprowadził Jasona i dwójkę drinlingów do zamkniętego zaułka przed tajnymi pokojami. Nad ich głowami prostokątny wycinek czarnego nieba skrzył się gwiazdami. Karczmarz o kręconych włosach czekał na drugim końcu niewielkiego podwórza obok drabiny przystawionej do okna. Jason wspiął się po niej za Drakiem i wszedł do tawerny. Kilkoro innych drinlingów czekało w głównej sali.

– Pozostali drinlingowie pójdą za nami – powiedział Drake. – Większość poszła przodem. Chodź.

Jason wyszedł za Drakiem frontowymi drzwiami i wspiął się po stopniach na ulicę. Trzymał kuszę ukrytą pod płaszczem. Nikt nie nosił broni na widoku. Na ulicy było cicho.

– Czy jest bardzo późno? – szepnął Jason.

– Jakaś godzina do świtu. Księżyc już zaszedł. Idziemy prosto do *Walecznego*.

Ruszyli szybkim krokiem. Drinlingowie zarzucili kaptury. Jasonowi owiewała plecy chłodna bryza.

– Wiatr z południowego zachodu – zauważył Drake. – Prawie idealnie.

Droga kończyła przy nabrzeżu. Zwaliste kształty żaglowców majaczyły w ciemnościach, oświetlone przez gwiazdy i tuzin portowych latarni. Inne lampy rzucały światło na pokłady kilku statków. Ognie tańczyły na szczycie umocnień wchodzących w port – pochodnie i kaganki. Przy wyjściu z portu, gdzie mury prawie się spotykały, płonęły dwa ogniska. Płomienie odbijały się w ciemnej wodzie.

Największy statek znajdował się daleko po prawej – długi żaglowiec z trzema wysokimi masztami z licznymi żaglami. Cztery latarnie oświetlały pokład. Jason zauważył co najmniej dwóch żołnierzy na patrolu.

Drake zmarszczył czoło.

– Do tego czasu powinniśmy już zająć statek.

Poprowadził ich z powrotem kawałek od portu, a potem skręcił w boczną ulicę. Ponownie ostrożnie podeszli do portu. Wyszli bliżej *Walecznego*; nazwa statku była widoczna na burcie. Na końcu sąsiedniej ulicy w dwóch tawernach nadal jasno płonęło światło. Z jednej dobiegała muzyka.

Nia wynurzyła się z cieni.

– Chodźcie ze mną – szepnęła.

– W czym problem? – zapytał Drake, kiedy poprowadziła ich do ciemnego zakątka osłoniętego niskim płotem. Mieli stamtąd doskonały widok na *Walecznego*.

– Sześciuosobowy patrol kręcił się po porcie – wyjaśniła Nia. – Musieliśmy poczekać, aż oddalą się od *Walecznego*. Zdjęliśmy ich po cichu.

– Prędzej czy później ktoś zauważy ich nieobecność – ostrzegł Drake. – Pewnie prędzej niż później.

– Plan jest w toku. – Skinęła głową w stronę jednej z oświetlonych tawern. Aram wytoczył się z niej otulony wielkim skórzanym płaszczem. Poczłapał w stronę *Walecznego*. – Więcej żołnierzy, niżbyśmy chcieli, nadal świętuje w tawernach. Sypiają mniej niż ja.

– Tak późno w nocy żaden z nich nie będzie szczególnie zdatny do walki – mruknął Drake.

Jason patrzył, jak Aram wolnym krokiem zmierza nabrzeżem do *Walecznego*. Kiedy zbliżył się do statku, na trapie pojawił się żołnierz.

– Ej, ty! – zawołał podniesionym głosem. – Mów, w jakiej sprawie.

– Paru żeglarzy w „Rozbitej Krypce” przechwalało się, że pływają na eskortowcu. Nigdy takiego nie widziałem z bliska! – odkrzyknął w odpowiedzi Aram.

Spojrzał w górę trapu, chwając się na nogach.

– Teraz już zobaczyłeś – odpowiedział żołnierz. – I nie podchodź bliżej.

Nadal idąc Aram machnął ręką.

– Nie psuj takiej pięknej nocy! Tylko sobie zerknę.

– Masz zawrócić. Natychmiast. Ten okręt to własność cesarza.

Na trapie pojawiło się jeszcze trzech żołnierzy.

Aram nadal szedł, nieśpiesznie, jakby nachylenie trapu go męczyło.

– Nie bądź skwaszony, bo twoi kumple właśnie dobrze się bawią. W sezonie też nosiłem wasze barwy. W cesarskiej służbie. Ale to fakt, nigdy nie byłem na pokładzie takiego statku.

Wszyscy czterej wyciągnęli miecze.

– Ja tu jestem dowódcą – odezwał się inny żołnierz surowym głosem. – Jeśli nosiłeś nasze barwy, wiesz co to obowiązek. Za długo się bawiłeś, przyjacielu. Nie myślisz trzeźwo. Wracaj do domu. Nie zmuszaj nas, żebyśmy usunęli cię siłą.

Aram znajdował się teraz w trzech czwartych długości trapu. Zatoczył się i poleciał do przodu. Przez chwilę leżał nieruchomo, a potem przeturlał się na bok.

– Wygodniejszy, niż na to wygląda – mruknął. – Odpocznię sobie kapkę.

– W żadnym razie – powiedział dowódca, wyraźnie tracąc cierpliwość. – Wstawaj i wynoś się. Ostatnie ostrzeżenie.

Aram jęknął przeciągle.

– Chłopcy, może trochę przesadziłem tej nocy. Coś, co zjadłem, próbuje się teraz wydostać. I jakoś wątpię, żeby chciało odejść po cichu.

Dowódca odesłał gestem dwóch żołnierzy do Arama. Schowali miecze i zaczęli schodzić trapem.

Aram zaczął śpiewać, przeciągając słowa, zacinając się, trochę fałszując.

– „Stary Ingram to wilk morski, jakiego chciałabyś znać. Mrugnęłabyś do niego raz, a zaraz postawiłby ci piwko i...”.

Odgłosy wymiotów przerwały melodię.

Dwóch żołnierzy dotarło do Arama, ale przystanęli, patrząc po sobie. Odezwali się do Arama zbyt cicho, żeby dało się ich usłyszeć. Przykucając, każdy złapał go za rękę. Stęknęli, próbując pomóc wielkiemu mężczyźnie stanąć. Kiedy już przywrócili Arama do pionu, otaksowali go spojrzeniem, ewidentnie podziwiając jego rozmiary. Jeden z nich trzymał rękę na rękojeści miecza. Drugi przytrzymał Arama, pomagając mu zachować równowagę.

– Nie mówcie o tym mojej żonie – wybełkotał Aram. – Ta kobieta daje mi się dostatecznie we znaki, nawet kiedy zachowuję się właściwie. Nie odsyłajcie mnie do domu. Będę bezpieczniejszy w miłej, przytulnej celi. Posłuchajcie mojej rady, chłopcy, jeżeli kiedykolwiek będzie kusić was małżeństwo, weźcie sobie zamiast żony psa. Jeszcze mi podziękujecie za te słowa.

Aram zrobił kilka chwiejnych kroków, nie przesuwając się w żadnym kierunku, jakby walczył o zachowanie równowagi. Zgarbił się, przechylając się to na jedną, to na drugą stronę, opierając się o żołnierzy. A potem zgiął się wpół i znowu rozległy się odgłosy wymiotów.

Postaci zaczęły pojawiać się na *Walecznym* po przeciwnej stronie niż trap. Ukradkiem zachodziły żołnierzy od tyłu.

– To skandal – oburzał się dowódca. – Odprowadźcie go do...

Jego słowa urwały się, kiedy zaskoczył go atak. Dwóch żołnierzy u szczytu trapu osunęło się na pokład. Aram objął potężnymi ramionami jednego z pomagających mu żołnierzy, skręcił mu kark precyzyjnym szarpnięciem, a potem szybko zrobił to samo z drugim.

– Teraz – szepnęła Nia.

Poprowadziła Drake'a, Jasona i pozostałych drinlingów z kryjówki w stronę okrętu. Jeden z drinlingów zgasił latarnię portową najbliższej *Walecznego*. Powietrze pachniało

morską wodą i mokrym drewnem. Kiedy Jason dotarł do pirsu, zauważył, że musi delikatnie stawiać stopy, bo inaczej jego kroki będą za głośno rozbrzmiewały na deskach.

Aram przerzucił sobie dwóch żołnierzy przez ramiona i niósł ich teraz na pokład. Gdyby po prostu wrzucił ich do wody, plusk byłby pewnie za głośny. Jason był pod wrażeniem występu Arama. Swoim przedstawieniem całkowicie skupił na sobie uwagę żołnierzy, podczas gdy kilku drinlingów dotarło do drugiej burty *Walecznego* w łodzi wiosłowej i wspięło się na pokład.

Drinling obok Jasona niósł ciężką koszulę Arama z nakładających się na siebie metalowych kółek; kolczuga pobrzękiwała podczas biegu. Jason wbiegł za nim na trap.

– Wszyscy na swoje miejsca – polecił szeptem Aram. – Róbcie wszystko to, co przećwiczyliśmy.

Zrzucił ciężki płaszcz, wziął kolczą koszulę od drinlinga i włożył ją. Drinlingowie zajęli pozycje, niektórzy chwycili za liny, inni wspinali się na maszty. Aram zaczął krążyć zamaszystym krokiem i wydawać polecenia. Jason zajął pozycję obok Nii w pobliżu szczytu trapu.

– Zgaszenie latarni było głównym sygnałem – mruknęła. – Nasi wojownicy powinni nadchodzić wzdłuż murów.

Trzymała łuk z założoną strzałą, uważnie przyglądając się portowi.

Jason spojrzał na imponujące mury, które ciągnęły się od suchego lądu w głąb wód portu. W świetle odległych kaganków nie widział żadnego ruchu. Nagły szcęk stali rozległ się pod pokładem. Potem zduszony okrzyk poza statkiem, gdzieś na prawo od nich, w ciemności.

Jason nie znał wszystkich szczegółów planu. Jasher, Aram, Nia i starszy drinling imieniem Heg byli jego architektami – podzielili grupę na zespoły, wyznaczyli zadania, zdecydowali, jakimi sygnałami będą się porozumiewać. Jason wiedział, że Jasher prowadził grupę, która miała sabotować kilka innych jednostek w porcie. Kilka małych zespołów miało przebiec wzdłuż murów, zabijając wartowników, by nie zamknięto wyjścia z portu. Większość drinlingów pracowała przy przejęciu *Walecznego* i potem miała przygotować go do wypłynięcia.

Z kuszą w gotowości Jason obserwował port. Z każdą sekundą, kiedy pozostawali niewykryci, ich szanse na ucieczkę wzrastały. Drake złapał Jasona za łokieć i skinął w lewo. Płomienie rozlewały się po pokładzie wielkiego, dwumasztowego statku i skakały ku żaglom. Chwilę potem nie mniej niż pięć innych żaglowców stanęło w płomieniach, każdy zacumowany do innego pirsu.

– Olej z lamp – mruknął Drake. – Żaden inny statek w porcie prawdopodobnie nie przegoniłby eskortowca, ale trzy mogłyby dotrzeć za nami do Wiatrochronu i zdążyć narobić nam kłopotów. Jasher chciał podpalić też parę innych statków na wszelki wypadek.

Drinlingowie zaczęli się gromadzić na nabrzeżu koło *Walecznego* – to sabotażyści wracali z sąsiednich statków. Przy wejściu do portu rozbrzmiał dzwon. Inne dzwony na murach podjęły alarm. Wartownicy dostrzegli gwałtownie rozprzestrzeniający się ogień.

Jason spojrzął na pokład, trzymając palec na spuście kuszy. Bezustanne dzwonienie grało mu na nerwach. Koniec z ukradkowym działaniem. Nadchodziły kłopoty. Pozostawało tylko jedno pytanie: ile minie czasu, zanim się zjawią.

Drinlingowie wbiegli po trapie, który ugiął się i podskakiwał. Trzech zatrzymało się na pirsie koło *Walecznego*, żeby rozlać sporą ilość oleju do lamp. Z pochodnią w ręce Jasher przebiegł nabrzeżem. Popędził do pirsu, upuścił pochodnię w kałużę oleju i pobiegł dalej, podczas gdy płomienie lizały już deski za nim.

– Oddać cumy! – ryknął Aram. – Odbijamy!

Jasher wbiegł po trapie i wskoczył na pokład, kiedy *Waleczny* odbił od pirsu. Chwilę potem trap spadł do wody. Statki płonęły po obu stronach, na niektórych rozpętało się prawdziwe piekło, kiedy płomienie przeskakiwały z żagla na żagiel. Mężczyźni wylewali się z najbliższych tawern. Kilku pędziło nabrzeżem, od którego odpływał *Waleczny*. Napotkali salwę strzał z bliższej burty okrętu. Przynajmniej jeden został trafiony. Kilku innych uskoczyło, szukając osłony.

Aram osobiście wyrzucił za burtę czterech żołnierzy, którzy strzegli *Walecznego*, nie przestając wykrzykiwać rozkazów odnośnie do kursu i stanu różnych żagli. Jason nie pojmował szczegółów żeglarskiego żargonu, ale brzmiały bardzo fachowo.

Usłyszał plusk wody. Zerknął za burtę i zobaczył trzy ogromne wiosła pomagające *Walecznemu* dopłynąć do wyjścia z portu. Zakładał, że po drugiej stronie są trzy inne.

– Wiosła niewiele pomogą tak wielkiemu statkowi – powiedział Drake – ale dają pewną nadzieję, gdyby dopadła nas flauta. I mogą nieco zwiększyć szybkość w takich sytuacjach jak ta.

– Nikt nie wiosłuje tak jak drinlingowie – powiedział Jason, przypominając sobie podróż z Ebery do rzeki Durnese.

– Rzeczywiście mamy na pokładzie najlepszych wiosłarzy Lyrianu – zgodził się Drake. – Im mocniej wiosłują, tym silniejsi się stają.

Wielki dzwon z nabrzeża dołączył do zgiełku alarmu. *Waleczny* odsunął się już od pirsu i zmierzał ku przerwie między falochronami. Ogień na nabrzeżu gasł, zduszony przez ludzi, ale płonące statki rozświetliły noc. Na dwóch z nich płomienie wspięły się do najwyższych żagli, co oznaczało, że sięgają osiemdziesiąt stóp w niebo, rzucając ogniste plamy światła na kłębiący się dym.

– Odpływamy – powiedział spokojnie Drake. – Nie dopadną nas od strony nabrzeża. Ich jedyna szansa to zablokować wyjście z portu. Mają ogromne kołowroty po obu stronach, pozwalające unieść ciężkie łańcuchy i zamknąć przejście.

– Myślisz, że nasi ich zatrzymają? – zapytał Jason.

Drake potarł kark.

– Od tego zależy nasze życie. Każdy zespół drinlingów ma dwuręczny młot i kilka dzbanów oleju do lamp. Spróbują rozbić i podpalić kołowroty, żeby nie dało się ich użyć. Nie powinni napotkać zbyt wielkiego oporu. Nikt nie spodziewał się ataku tej nocy, a już na pewno nie od strony miasta. Najtrudniejszym zadaniem dla nich może być odpieranie posiłków, dopóki nie przepłyniemy.

– Mają jakiś plan ucieczki? – zapytał Jason.

– Ryzykowny. Część drinlingów skorzystała z łódki, żeby dostać się na pokład *Walecznego*, kiedy Aram odwracał uwagę wartowników. Dwójkę drinlingów wyznaczono do przywiązania łódki do rufy długą liną, byśmy ciągnęli ją za sobą. Jeżeli drinlingowie na murze dotrą do końca falochronów, nam uda się przepłynąć przez szczelinę, a oni nadal będą żywi, mogą skoczyć i płynąć do łódki. Na morzu, z dala od bezpośredniego niebezpieczeństwa, będziemy mogli zabrać ich na pokład. Wszyscy, którzy się spóźnią na łódkę, będą musieli przepłynąć otwarte wody i uciec bez naszej pomocy.

Jason zerknął z niepokojem przed siebie, próbując dostrzec, co się dzieje na murach. Piekielna pożoga wśród statków wzmocniła światło rzucane przez ognie wartowników. Postaci biegły po murach. Statek sprawiał wrażenie, jakby poruszał się w zwolnionym tempie. Wiatr słabł, a wiosła niewiele mogły zdziałać. Aram wykrzykiwał komendy i czasem sam wspinał się po takielunku, żeby ustawić żagle w najlepszym możliwym położeniu.

Dzwony nadal rozbrzmiewały. Jason zerknął na potyczkę w pobliżu ogniska na końcu lewego wału, na walczące sylwetki. Jeszcze więcej walk było widać wokół wielkiego ogniska na drugim murze. Jakieś ciało spadło do wody. Jason miał nadzieję, że to wróg. Po zakończeniu walk Jason dostrzegł postaci atakujące wielkie drewniane kołowroty. Płomienie połyskiwały na metalowych obuchach kowalskich młotów. Lewy kołowrót buchnął płomieniami, zaraz potem prawy.

Aram krzyczał ile sił w płucach, a jego basowy głos przebijał się ponad spanikowanymi dzwonami i wiwatami innych drinlingów. Jason zastanawiał się, czy drinlingowie na murach usłyszeli wyrazy ich wdzięczności. Żałował, że statek nie płynie szybciej. To było zupełnie tak jakby jechać na żółwiu podczas ucieczki z więzienia.

Tymczasem w porcie ogień się rozprzestrzenił. Wszystkie statki się paliły, płonący maszt przewrócił się na nabrzeże, które zaraz też się zajęło. Drugi statek podpalił kolejny pirs. Wiry iskier wzlatywały w noc ponad ogromnymi płachtami ognia. Oszalała pożoga zaczynała wyglądać apokaliptycznie. Jeśli wkrótce nie zapanują nad pożarem, stracą całe nabrzeże.

*Waleczny* płynął ku ciemnej szczelinie, wiosła rozbryzgiwały wodę, żagle łapały wiatr, ale się nie wydymały. Było widać wielu strażników biegnących murami;

najlepiej byli widoczni, kiedy mijali kaganki albo pochodnie. Pędzili ku szczelinie, gdzie teraz płonęły kołowroty. Poruszali się szybciej niż statek, ale mieli większą odległość do pokonania.

Wiatr przybrał na sile na tyle, żeby rozdmuchać płomień w porcie i napęlić żagle. Maszty zatrzeszczały, a statek przyśpieszył.

Szczelina się przybliżała. Jason próbował siłą woli zmusić wiatr, żeby dmuchnął mocniej. W miarę jak statek się zbliżał do szczeliny, Jason szacował, że jest może osiem, dziewięć razy szersza niż *Waleczny*. Stojąc na pokładzie, Jason nadal znajdował się bite piętnaście stóp niżej niż szczyt murów. Im bardziej okręt zbliżał się do umocnień, tym trudniej było dostrzec, co dzieje się na ich zwieńczeniu. Jason spojrzał przed siebie na ciemne otwarte morze.

– Udało się – powiedział Drake, kiedy dziób statku wszedł w przerwę. – Za późno już na podniesienie łańcuchów.

Jasonowi ulżyło. Teraz skupił się na niewidocznych na murach drinlingach. Słyszał szcęk mieczy. Czy któremuś uda się uciec? Zerknął na mijane po obu stronach falochrony. Statek przepłynął prawie połowę szczeliny, zanim zobaczył trzy postaci, które rzuciły się z muru po prawej. Kilka chwil potem dwie skoczyły z lewej strony. Wiedząc, że na każdym murze powinno być pięciu drinlingów, Jason czekał na kolejnych.

– Padnij! – krzyknął Drake, przewracając Jasona.

Brutalny gest zdumiał i zaskoczył Jasona. Potem strzały zaczęły uderzać w statek, po kilka na raz. Drinling spadł z olinowania z wysokości co najmniej trzydziestu stóp, ze strzałą w żebrach. Jason skrzywił się, kiedy ciało uderzyło o pokład przypieczętowując los drinlinga. Z tarczami w rękach Thag i Zoo stanęli nad Jasonem i Drakiem. Kilku łuczników spośród drinlingów także zaczęło strzelać, a Drake zaciągnął Jasona do luku i ściągnął go pod pokład.

– Nie powinienem był zostawić cię tak odsłoniętego – przeprosił go Drake. – Co za niedbałość.

– Nic mi nie jest – wydyszał Jason.

Drake pokręcił głową.

– Staliśmy tam jak tarcze na strzelnicy. Mieli nas jak na talerzu. Za bardzo skupiłem się na ucieczce z portu. Od razu powinienem był zabrać cię pod pokład.

– Myślisz, że jacyś drinlingowie zdołają uciec z murów?

– To zależy, jak daleko za nami jest łódka. Gdyby szło o mnie, skoczyłbym wcześniej. Kiedy tylko dziób statku znalazł się w wyjściu z portu, byliśmy wolni.

– Mogła zatrzymać ich walka.

– Odważnie nam pomogli – przyznał Drake. – Wątpię, czy udałoby nam się bez nich.

– Teren czysty! – zawołała z góry przez luk Zoo.

Jason i Drake wrócili na pokład i spojrzeli za siebie na wały nadmorskie Durny. Dzwony rozbrzmiewały ciszej. Kołowroty nadal płonęły. W tle szalał pożar w porcie.

– Ktoś z murów dotarł do łódki? – zapytał Drake.

Thag pokazał trzy palce.

Drake skinął głową i zaprowadził Jasona na dziób, gdzie Nia stała z przesłoniętą latarnią. Przed nimi rozciągała się ciemność Morza Śródładowego i tylko gwiazdy wskazywały miejsce, gdzie kończyła się woda i zaczynało niebo. Jason stał chwiejnie, wyczerpany napięciem i podnieceniem niebezpiecznej ucieczki. Wszystko rozegrało się w szaleńczym tempie. Ludzie po obu stronach stracili życie. Nie bardzo wiedział, jak teraz poradzić sobie z nagłym mrocznym spokojem. Smutno mu było z powodu drinlingów, którzy zginęli, ale cieszył się, że ich śmiała akcja się powiodła.

Nia dwa razy odsłoniła latarnię na kilka sekund, a potem dwa razy na krótko. Chwilę potem cztery szybkie rozbłyski odpowiedziały im z morza, na prawo od ich obecnego kursu.

– Widzieliście?! – zawołała Nia.

– Widziałem! – odpowiedział Aram. Wykrzyknął kilka komend.

– Corinne i Farfalee? – zapytał Jason.

– Razem z Batem i Uxem – odpowiedziała Nia. – Cztery rozbłyski znaczą, że są wszyscy. – Uśmiechnęła się szeroko do Drake'a. – Udało nam się.

– Twoi ludzie byli spektakularni – powiedział nasiennik.

– Straciliśmy kilku na murach, a Gaw zginął, kiedy już wypływaliśmy z portu. Każde utracone życie to tragedia, ale straty mogły być większe.

– Byli tak zaskoczeni, jak mieliśmy nadzieję – powiedział Drake. – Kilka statków poszło na straty. Będą potrzebowali miesięcy, żeby naprawić pirsy. Wieść o kradzieży wstrząśnie regionem. Eskortowiec to wielka zdobycz, a my przy okazji podpaliliśmy port. Wielu w Lyrianie usłyszy tę wiadomość. Słowo o tym zwycięstwie powinno pomóc Galloranowi zgromadzić ludzi wokół swojej rewolty. Dzisiaj cesarstwo wyda się słabsze.

Jason nie pomyślał o tym, jak kradzież statku może zwiększyć nadzieje wrogów Maldora. Drake miał rację. Każdy tyran robi wrażenie słabszego, kiedy ktoś mu się postawi. Jason starał się nie rozmyślać o drinlingu, który spadł na pokład, ani o wojownikach, którzy zginęli na murach. Dzisiejsza noc to wielkie zwycięstwo, ogromny krok w stronę wypełnienia proroctwa. Może naprawdę im się uda!

– Maldor zażąda zemsty – powiedziała Nia. – Będzie chciał nas przykładnie ukarać.

– Od tej chwili skupi na nas całą swoją uwagę – zgodził się Drake. – To była cena za transport na wyspę. Mając cesarskich żołnierzy za sobą i Kukłę przed sobą, nie potrafię wyobrazić sobie, jak wyrocznia dostrzegła, że ktokolwiek z nas przetrwa, żeby szukać Dariana Jasnowidza.

– Nie skreślaj nas jeszcze – powiedział Jason, podbudowany ich sukcesem. – Mamy



szybki statek i mnóstwo świetnych wojowników. Znajdziemy sposób, żeby wypełnić misję.

– Co za brawurowy optymizm – odparł oschle Drake.

Podszedł do nich Jasher.

– Jeszcze jedno działa na naszą korzyść. Cesarz nie może mieć pewności, dokąd płyniemy. Nawet jeśli potwierdzi naszą tożsamość, trudno mu będzie odgadnąć, dokąd się udajemy. Morze Śródładowe jest rozległe. Nie będziemy łatwą zwierzyną.

– Wyrocznia dostrzegła szansę przetrwania – dodał Jason. – Musimy ją teraz znaleźć.

# Rozdział 9

## Propozycja

W szare popołudnie Rachel włóczyła się po lesie, niespokojna, ponieważ wszystko wydawało jej się aż nadto znajome. Mech na potężnych drzewach sprawiał wrażenie czarnego pod pochmurnym niebem. Mżyło na tyle mocno, żeby zmokła. Przed nią mały, ozdobny mostek spinał brzegi niewielkiego potoku. Wiedziała, że po drugiej stronie na beżowym słupku wycięto jej imię w sercu.

Podeszła do mostka zdumiona i przesunęła palcami po wyciętych literach: R-A-C-H-E-L. Ten most znajdował się w posiadłości należącej do jej rodziny. Las był częścią podwórza za domem.

Zerkając za siebie, Rachel zauważyła szeregi wysokich drzew. Co właściwie spodziewała się zobaczyć? Skrzywiła się w zamyśleniu. Czy powinna tu być? Jak się tu dostała? Wyszła z domu na spacer, żeby pomyśleć? Coś jej nie pasowało. Jednak skądinąd mogła tu przyjść? Już prawie sobie przypomniała, ale wspomnienie zaraz się rozplynęło.

Nie widziała przed sobą domu, ale wiedziała, że stoi tuż za wzniesieniem za drzewami wraz z trzema dodatkowymi budynkami, które rodzice często wynajmowali artystom. Początkowo udostępniali je wybranym przyjaciołom, a potem przyjaciołom przyjaciół. W końcu musieli stworzyć listę rezerwacyjną. Przyjeżdżali malarze, pisarze, rzeźbiarze. Czasem muzycy.

Dlaczego myśl o domu obudziła w niej nagłą tęsknotę? Rachel chciała biec. Ignorując ten niemądry impuls, powędrowała w górę wzgórza, napawając się znajomymi widokami i zapachami. Czuła się szczęściarą, mogąc mieszkać w tak pięknym miejscu.

W domu paliły się światła, walcząc z szarością dnia. Czyżby się zmierzchało?

Deszcz nadal siąpił. Rachel wspięła się po stopniach na szeroki, rustykalny taras. Okazało się, że boczne przesuwane drzwi są zamknięte. Poszła do frontowych i odkryła, że także są zamknięte na zamek. Nie powinna mieć klucza? Sprawdziła kieszenie. Nic z tego.

Odchodząc od drzwi, Rachel zerknęła przez okno do salonu. Byli tam jej rodzice, siedzieli wygodnie w swoich ulubionych fotelach, każde z książką, parującym kubkiem pod ręką. Na ich widok serce napełniło jej się ulgą i radością.

Rachel zapukała w okno, ale pukanie ledwie było słychać. Uderzyła mocniej, ale bardziej przypominało to walenie w blok kamienia niż w kruchą szybę.

– Tato! – wrzasnęła. – Mamo! Nie mogę wejść!

Wystarczyło, żeby któreś podniosło wzrok i zobaczyło ją przy oknie. Żadne nie spojrzało.

Sfrustrowana Rachel podbiegła do frontowych drzwi i zaczęła się dobijać. Znowu nie rozległ się żaden dźwięk. Spróbowała dzwonić do drzwi. Zwykle nawet z zewnątrz słyszała jego dźwięk. Tym razem nic. Co się działo?

Spojrzała na ozdobną wycieraczkę, prezent od odwiedzającego ich artysty. Ozdobnymi literami napisano WOODRUFFOWIE. W narożnikach połyskiwały sztuczne klejnociki. Artysta upierał się, żeby naprawdę używali tej wycieraczki. Rachel zmarszczyła brwi. Wycieraczka droczyła się z nią, oznajmiając, że to także jej dom. Jeżeli to prawda, to dlaczego nie mogła wejść?

Obeszła dom. Uderzyła w kilka okien, sprawdzając, czy któreś nie jest otwarte. Żadne nie było. Niezależnie od tego, jak mocno waliła w szybę, nie mogła wywołać hałasu. Wróciła do okna, przez które widziała spokojnie czytających rodziców. Tata popijał z kubka. Mama obróciła stronę.

Rachel bez skutku bębniła w okno obiema pięściami. Wymachiwała rękami i krzyczała. Cofnęła się, podniosła kamień wielkości pięści i rzuciła nim w okno. Kamień odbił się bez żadnego dźwięku, dopóki nie uderzył o ziemię. Co rodzice zrobili z domem? Sprawili, że stał się dźwiękoszczelny i kuloodporny?

Zdesperowana Rachel podniosła następny kamień.

– Mogę w czymś pomóc? – rozległ się za jej plecami kobiecy głos.

Rachel obróciła się gwałtownie i zobaczyła Sharmaine, swoją ulubioną artystkę, która kiedyś z nimi mieszkała. Kiedy wróciła? Sharmaine miała krótkie różowe włosy i obrysowane na czarno oczy. Nosiała dzinsową kurtkę ozdobioną znaczkami, koralikami i gryzmołami namalowanymi atramentem.

Sharmaine dorastała w Michigan. Malowała kawałki drewna, a potem wypisywała na nich ozdobną kaligrafią oryginalne haiku. Podarowała Rachel drewnienko, na którym napisała:

*Kiedy Rachel skacze o tyczce*

*Szybuję niczym zwinny pirat  
Z ogromną drewnianą nogą.*

Obok haiku nagryzmołono na desce postać pirata. To był jeden z ukochanych skarbów Rachel.

– Cześć, Sharmaine – powiedziała Rachel. – Próbowałam zwrócić ich uwagę.

– Kamień wybijający okno na pewno zadziała – odpowiedziała oschle Sharmaine.

Nie wyglądała, jakby poznała Rachel. Sprawiała wrażenie nieufnej.

Rachel zerknęła na kamień w ręce.

– Nie słyszeli mnie.

Artystka skinęła powściągliwie głową.

– Spróbujmy z frontowymi drzwiami.

Rachel omal nie zaprotestowała, ale się powstrzymała. Poszła za Sharmaine.

– Pamiętasz mnie, prawda? – upewniła się.

– Pewnie – odpowiedziała z roztargnieniem Sharmaine.

Zapukała do drzwi. Pukanie było słychać! Rozległ się normalny dźwięk, tak jak powinien.

Chwilę potem drzwi otworzył tata.

– Cześć, Sharmaine. Kim jest twoja przyjaciółka?

Spojrzał na Rachel z chłodną uprzejmością.

Widziała, że ojciec patrzy tak czasem na ludzi, ale nigdy na nią. Ją znał. Kochał ją.

– To ja – jęknęła potulnie Rachel.

– My się znamy? – spytał, nadal z obojętną grzecznością stosowną wobec nowo poznanej osoby.

– Jestem twoją córką – powiedziała Rachel, urażona tym, że musi to mówić.

Tata spojrzał na Sharmaine, która wzruszyła ramionami.

– Znalazłam ją przed waszym oknem z kamieniem w ręku.

Tata znowu spojrzał na Rachel.

– Nasza jedyna córka zmarła wiele lat temu – wyjaśnił. – Znałaś ją?

Rachel nagle zdała sobie sprawę, że długi czas spędziła daleko stąd, w Lyrianie. Wszystko wróciło do niej nagle. Musiała wyglądać na starszą albo się zmieniła.

– To ja, tato. Po prostu jestem starsza. Wróciłam.

Łzy napłynęły jej do oczu.

Tata i Sharmaine spojrzeli po sobie porozumiewawczo.

– Nie zwariowałam! – wypaliła Rachel, ocierając oczy. – Zapytajcie mnie o cokolwiek, to wam udowodnię.

– Gdzie mieszkasz? – zapytał łagodnie tata.

– Tutaj – odpowiedziała słabym głosem Rachel. – Mieszkam tutaj.

– Może wejdiesz i usiądziesz na chwilę? – zaproponował, jakby to zrobił

w przypadku nieznanego w potrzebie.

Rachel odwróciła się do Sharmaine.

– Pamiętasz mnie, prawda? Dałaś mi haiku? O skoku na tyczce?

Sharmaine podała jej pomalowane drewnienko.

– Jeśli chcesz haiku, to mogę ci to jedno dać.

Rachel przyjęła drewniany prostokąt. Sharmaine spojrzała na ojca Rachel.

– Wszystko w porządku?

– Dam sobie radę – odpowiedział. – Dzięki, Sharmaine.

Kobieta odwróciła się, a Rachel weszła za ojcem do domu. Odprowadził ją do salonu i zaproponował, żeby usiadła na sofie. Mamy już nie było.

– Rozgość się – powiedział. – Zaraz wrócę.

Rachel usiadła z drewnienkiem w rękach. Obróciła je i zobaczyła małe nagrobki namalowane po drugiej stronie.

*Większość kochających rodziców  
Stara się uniknąć rozmów  
Ze zmarłymi dziećmi.*

Słowa zraniły Rachel niczym cios. Przeszedł ją dreszcz. Co tu się działo?

Wstała, rozglądając się po znajomym pokoju. Właściwe obrazy wisiały na ścianach. Właściwie drobiazgi stały na półce nad kominkiem. Zapach ziołowej herbaty płynął z do połowy pełnych kubków.

– Rachel?

Zaskoczona Rachel obróciła się do matki, która właśnie weszła do salonu.

– Mama?

Mama przechyliła głowę współczująco.

– Nie, kochanie, nie jestem twoją mamą.

Doprowadzona do rozpacz Rachel zerknęła na stojące w pobliżu zdjęcie z całą ich trójką.

– Spójrz na to zdjęcie, mamó. Czy ta dziewczyna nie wygląda znajomo?

– Była naszą córką. – Mama westchnęła. – Kochanie, ty nią nie jesteś.

– Jestem nią, mamó. W czym problem? Zmieniłam się? Zapytaj mnie o cokolwiek.

Mama spojrzała jej w oczy i spoważniała.

– Nie jesteś naszą córką. Nasza córeczka zniknęła na zawsze. Czas, żebyś stawiała czoło prawdzie. Merrill i ja zaczęliśmy żyć własnym życiem. Ty też powinnaś.

Rachel nagle dostrzegła, że oczy matki są zupełnie czarne. Jak się nad tym teraz zastanowiła, to przypominała sobie, że oczy ojca też chyba były czarne. I Sharmaine, chociaż wtedy tego nie zauważyła.

– Nie jesteś moją mamą – szepnęła Rachel.

Kobieta się uśmiechnęła.

– Zgadza się. Wreszcie rozumiesz. Ktoś cię tu szukał.

Do salonu wszedł Maldor.

Rachel nigdy go nie widziała, ale wiedziała, kim jest, tak samo jak wiedziała, że to musi być sen.

– Zostawię was samych, żebyście sobie porozmawiali – powiedziała mama ze snu i wyszła z pokoju.

Rachel odwróciła się do Maldora, patrząc gniewnie prosto w jego czarne oczy.

– To sen.

– Musimy porozmawiać.

Rachel popatrzyła na niego.

– To się wydaje takie realne. Czuję się całkiem przytomna. To naprawdę ty?

– Na ile to w tej chwili możliwe. Usiądź.

– Postoję.

– Nie ma powodu do wrogości. Jestem tu z grzeczności.

To stwierdzenie rozwścieczyło Rachel.

– Wynoś się z mojego domu! Wynoś się z mojego umysłu! Nigdy cię tu nie zapraszałam! To nie twoje miejsce!

Maldor uniósł ręce uspokajająco.

– Nie trać nad sobą panowania. Niedługo odejdę. Najpierw musimy porozmawiać. Twoi przyjaciele umrą, Rachel. Wszyscy. Wkrótce. Chyba że ich ocalisz. Chciałem dać ci tę szansę.

Troska o przyjaciół walczyła w niej z gniewem z powodu wtargnięcia do jej umysłu. Po chwili Rachel powściągnęła złość na tyle, żeby odpowiedzieć racjonalnie.

– Nie zjawieś się tu, żeby im pomóc. Albo mnie. Jesteś tu po to, żeby namącić mi głowie. Jak mogę się ciebie pozbyć?

– Nie bądź taka pochopna – ostrzegł ją Maldor. – Stworzenie tej iluzji wymagało znaczącej ilości czasu i wysiłku. Powinnaś wysłuchać mojej propozycji.

Rachel odetchnęła głęboko. A gdyby go zaatakowała? Gdyby posłużyła się edomickim, żeby podpalić sofę i rzucić nią w niego?

– Nie możesz mnie tu zranić – powiedział Maldor. – Mogę to spotkanie uczynić o wiele mniej przyjemnym, skoro tego sobie życzysz.

– Nie czytaj mi w myślach – warknęła Rachel.

– Trudno je przeoczyć – odparł przepraszająco Maldor. – W końcu to twój umysł.

– Nie mam takiego wrażenia.

– Wierzę, w końcu masz tak niewielką kontrolę. Mógłbym cię nauczyć, jak uniemożliwiać takie wtargnięcia.

Rachel zmarszczyła brwi.

– To są zajęcia, na które mogłabym się zapisać.

– Porozmawiamy? – zaproponował Maldor, siadając. – Tark lub Io mogą zostać poważnie poturbowani, jeśli to potrwa zbyt długo. Im szybciej porozmawiamy, tym będą bezpieczniejsi.

– W porządku. Dobrze.

Rachel usiadła na sofie. Nigdy dotąd nie czuła się tak świadoma we śnie. Tak przytomna. Jej stan nie różnił się od tego na jawie.

– Dokąd udał się Jason?

Ogarnęła ją panika. Starła się o nim nie myśleć.

– Na wyspę Wiatrochron? Ciekawe. To wiele wyjaśnia. Nie widzę, jakim cudem ma przetrwać. Jakie wskazówki otrzymaliście w Mianamon?

– Wynoś się stąd! – wrzasnęła Rachel.

Maldor pstryknął palcami. Sofa owinęła się wokół niej, więżąc ją w miękkim uścisku. Rachel siedziała spowita w kokon od kostek po usta. Mogła tylko wykrzykiwać stłumione protesty. Starła się zmusić sofę siłą woli, żeby ją wypuściła, ale ta nawet nie drgnęła.

– Hm. – Maldor się zamyślił. – Fascynujące proroctwo. Chyba musi istnieć jakaś minimalna szansa, że on przeżyje. Nawiasem mówiąc, to bardzo użyteczna informacja. Uważasz, że twoja misja ma szansę na sukces? Atak na Felrook będzie samobójstwem dla wszystkich zaangażowanych. Jeśli pozwolę ci mówić, zachowasz się grzecznie? Zamrugaj raz na tak lub dwa razy na nie.

Wściekła i sfrustrowana Rachel mrugnęła raz.

Poduszka odsunęła się od jej ust.

– Pokonamy cię.

Maldor się roześmiał.

– Dostrzegła jedną drogę, Rachel. Wyrocznia dostrzegła pośród niezliczonych porażek jeden nieprawdopodobny łańcuch zbiegów okoliczności, który może doprowadzić do powstrzymania mnie. Nie podała zbyt wielu szczegółów. Teraz, kiedy wiem, co próbujecie osiągnąć, o wiele łatwiej przyjdzie mi was powstrzymać. Dziękuję ci, Rachel, za te bezcenne informacje.

Rachel się wierciła, ale mebel ją trzymał. Chciała krzyczeć z frustracji. Gorące łzy napłynęły jej do oczu.

– Nie obwiniaj się – tłumaczył jej Maldor. – Mógłbym zdobyć te informacje na sto różnych sposobów. Chociaż to nie ma znaczenia. Wyrocznia wysłała was w drogę, która będzie wymagała więcej niż cudu. Będzie wymagała przedłużonej serii cudów. Darian Piromanta nie żyje, Rachel. Jest martwy od eonów. Czego Jason i jego kamraci nigdy się nie dowiedzą, ponieważ zginą na Wiatrochronie. Nawet nie będę musiał skinąć palcem. Kukła dopilnuje, żeby ich los się dopełnił. A Galloran bez wątpienia zginie, prowadząc swoje brawurowe oblężenie. Co do tego nie ma wątpliwości.

Maldor pochylił się do niej. Mówił cicho.

– To proroctwo to jeden z najmilszych prezentów, jaki kiedykolwiek otrzymałem. Zapewnia mi względny spokój umysłu. Obawiałem się, że może być niebezpieczne. Według wyroczni gdzieś w przyszłości istnieje jakaś mglista możliwość, że stanie mi się krzywda. Na pewno obronię się przed tą wątpliwą ewentualnością. Dzięki prorokini wiem teraz, gdzie skupić swoje wysiłki.

Maldor pstryknął palcami, jakby obawiał się, że Rachel mogła przestać uważać.

– Spójrz na sytuację pragmatycznie. Proroctwo postawi wszystkich moich najzdolniejszych wrogów w nadzwyczaj trudnym położeniu o wiele lat wcześniej, niż sam zdołałbym do tego doprowadzić. Wygram swoją wojnę dwadzieścia lat wcześniej niż się spodziewałem, a wszystko to dzięki słowom zwiędłej intrygantki na łożu śmierci.

Rachel nie wiedziała, co odpowiedzieć. Chciała płakać. Chciała krzyknąć.

– Martwisz się o przyjaciół – powiedział łagodnie Maldor. – Jestem tu, by przedstawić ci propozycję. Myślałem o tobie, odkąd uciekłaś moim sługom w Ostatnim Zajeździe. W tym okresie nabrałem przekonania, że pragnę cię szkolić.

– Nigdy – wykrztusiła Rachel.

Maldor się uśmiechnął.

– Nie odmawiaj mi tak szybko. Wysłuchaj przynajmniej mojej propozycji, żebyś rozumiała, kogo twoja odmowa zabije. Spójrz na to z mojego punktu widzenia. Wkrótce podporządkuję sobie cały Lyrian. Zawsze będą decyzje do podjęcia, rozległe cesarstwo, którym trzeba zarządzać. Wiele z tych obowiązków będzie nużących, większością będą mogli zająć się podwładni. Kiedy już Lyrian zostanie podbity, podejrzewam, że pożałuję, że nie mam takiego adepta jak ty, którego mógłbym szkolić. Uzdolnienia w języku edomickim zwykle są dziedziczne. Tak wiele utalentowanych rodów zawiodło, że możesz stanowić moją ostatnią szansę przekazania swojej wiedzy godnemu uczniowi.

– Nie chcę tego – powiedziała Rachel.

– Nie ma potrzeby bawić się w gierki. Nie jest tu potrzebne pozerstwo. Nie ma powodu, żeby grać odważną albo arogancką. Jesteśmy tu sami. Możesz nie chcieć posługiwać się edomickim w taki sam sposób, w jaki ja go używam, ale pragniesz wiedzy. Ciężko pracowałaś, żeby poszerzyć wiedzę, odkąd odkryłaś swój talent. Czuję, jak delektujesz się mocą, jak się nią radujesz. Czuję, jak tęsknisz za zdobyciem dostatecznych umiejętności, by mnie zniszczyć. Zastosuję odpowiednie metody, żeby temu zapobiec, ale ty jesteś pomysłowa. W swoim czasie możesz znaleźć sposób, żeby poradzić sobie z moimi zabezpieczeniami i mnie obalić. Z pewnością będziesz miała na to większe szanse niż ktokolwiek z twoich kamratów.

Rachel zamknęła oczy. Próbowwała odgrodzić od niego swoje myśli, zamknąć umysł przed jego spojrzeniem.



– Jesteśmy tu razem. – Maldor zarechotał. – Za późno, by odmówić mi wstępu. Wysłuchaj mojej propozycji i odejdźmy razem. Chcę, żebyś przyszła do mnie dobrowolnie. Jeśli tak zrobisz, otrzymasz absolutne, bezwarunkowe ułaskawienie dla dziesięciu twoich przyjaciół. Kogo tylko wymienisz. Jasona, Gallorana, Corinne, nawet dla Ferrina. Każdego możesz wybrać. Nie tylko ich oszczędzę, ale i zadbam, by dożyli swoich dni w spokoju i luksusie. Jeśli Jason tego zechce, odeślę go do Poza. Być może tym razem wykaże dość rozsądku, żeby się stamtąd nie ruszać. Nie odpowiadaj teraz. Przemyśl to sobie, daj sobie kilka dni, może nawet tygodni, bez mojej obecności, która by cię rozpraszała. Zastanów się dobrze. Nie potrafisz sobie nawet wyobrazić, czego się nauczysz, co osiągniesz, czym się staniesz. Większość oddałaby mi wszystko za taką szansę. Proponuję ci to dobrowolnie wraz z hojną obietnicą. Odpowiedz, przychodząc do mnie. Albo nie przychodząc. Wybór należy do ciebie.

Maldor wstał. Sofa rozwinęła się, odzyskując normalny kształt. Maldor się rozejrzył.

– Miałaś ładny dom. Dostrzegam jego urok. Jednak twoi rodzice pogodzili się z twoją utratą. Ty też powinnaś pogodzić się z ich stratą. Żegnaj do następnego spotkania.

Wyszedł z pokoju.

Mama ze snu weszła z tacą ciasteczek. Rachel popatrzyła na nią odrętwiała. Mama postawiła przed nią tacę na niskim stoliku.

– Proszę, z masłem orzechowym, twoje ulubione.

– Nie jesteś moją mamą.

Czarne oczy nie zdradzały żadnych emocji.

– Oczywiście, że nie. Weź ciasteczko.

– Chcę się obudzić.

Matka wychodziła już z pokoju.

– Zatem weź ciasteczko.

Rachel została sama. Wybrała ciasteczko z masłem orzechowym i podniosła. W dotyku było dokładnie takie, jak zapamiętała. Nadal było ciepłe po wyjęciu z piekarnika. Powąchała je podejrzliwie. Pachniało przepysznie.

Wzięła kęs. Kiedy tylko smak zaczął rozplýwać się na jej języku, Rachel otworzyła oczy. Leżała w Trensicourt na szerokim, miękkim łóżu. Nie miała wrażenia, że się obudziła. Ani odrobiny. Jej umysł był równie przytomny, jak wtedy, gdy wąchała ciasteczko. Nie było przejścia między różnymi stanami umysłu. Przed chwilą miała zamknięte oczy. A teraz otwarte.

W blasku księżycowego światła wlewającego się przez okno Rachel dostrzegła koło łóżka dwóch czatowników podobnych do ludzkich cieni, tyle że trójwymiarowych. Postaci były najciemniejszymi cieniami w mrocznym pokoju, ciemnością, jaką obserwuje się tylko w najdalszych krańcach wszechświata, poza blaskiem gwiazd.

W pierwszym odruchu chciała krzyknąć. Jednakże w sąsiednim pokoju byli Tark

i Io. Jeśli krzyknie, oni przybiegną, zaatakują czatowników i zginą. Zacisnęła zęby.

Czatownicy tam byli. Byli od pewnego czasu, a przynajmniej podczas jej snu. Z tego, co wiedziała, nie powinni zaatakować bez prowokacji. Pomyślała o swoim wisioru, który pomagał utrzymać czatowników z dala od jej umysłu. Został spakowany. Czatownicy nie powinni stanowić zagrożenia w mieście.

Spojrzała na nieruchomą dwójkę. Jason powiedział jej, że gdy postawił się swojemu czatownikowi, lepiej się poczuł. Nie powinna okazywać strachu. Może dowie się czegoś na ich temat. Ręce miała zaciśnięte w pięści, paznokcie wbijały jej się w dłonie. Próbowała się uspokoić i skupić myśli.

*Dlaczego wtargnęliście do moich snów? – zapytała ich bez słów.*

Czatownicy pozostali w absolutnym bezruchu.

*Jesteśmy posłańcami – powiedział czatownik po prawej.*

Z ulgą przyjęła spójną odpowiedź. To ich czyniło mniej obcymi.

*Myślałam, że nigdy nie wchodzić do miast – przekazała.*

*Bardzo rzadko.*

*Maldor nalegał – zgadła Rachel.*

*Nie mogliśmy odmówić.*

Rachel zmarszczyła brwi.

*We śnie to naprawdę był Maldor? Czy tylko wy?*

*On poprzez nas – odpowiedział czatownik. Możemy wzajemnie do siebie docierać.*

Bez dalszych tłumaczeń doskonale rozumiała, że miał na myśli innych czatowników. Mogli utrzymywać ze sobą mentalny kontakt niezależnie od odległości.

*Był w pobliżu jednego z nas – dodał.*

Rachel przypomniała sobie rozmowy z Jasonem i zaklinaczką. Skoro chciała się dowiedzieć, skąd się wzięli, byli najlepszym źródłem informacji.

*Jesteście jak ja? Jesteście Pozaświatowcami?*

*Jesteśmy Pozaświatowcami. Nie jesteśmy tacy jak ty.*

*Jesteście z innego Poza. Maldor was kontroluje?*

*Do pewnego stopnia, poprzez umowę.*

*Dlaczego przyszliście do mojego snu? Dlaczego nie porozumieliście się w ten sposób? Po co pokazywać mi dom i moich rodziców? Po co mnie torturować?*

*Nie należymy do tych form. Sen jest dla nas bardziej naturalny.*

*Sny bardziej przypominają miejsce, z którego pochodzicie?*

*Bardziej niż cała reszta.*

Rachel wyczuwała ich pogardę.

*Próbujecie uciec? – zapytała. Jesteście więźniami? Próbujecie uciec i wrócić do domu? On was kontroluje?*

Drugi czatownik po raz pierwszy włączył się do rozmowy; dało się rozpoznać drugi, inny umysł.

*Tyle pytań. To nie twoje zmartwienie. Nasze zadanie zostało wypełnione.*

Czatownicy śmignęli przez pokój i wyskoczyli przez okno. To był wysoki spadek, ale Rachel wiedziała, że to żaden kłopot dla torivorów. Widziała torivora, który zeskokczył ze ściany głębokiego wąwozu i wylądował jak kot.

Nagły brak torivorów był niemal bardziej niepokojący niż ich obecność. Czatownicy wtargnęli do jej umysłu, do jej snów. Maldor właśnie do niej mówił. Szpiegował jej myśli, jej dom, jej sekrety. Dowiedział się o prorocztwie. I złożył jej propozycję.

Dlaczego nie nosiła amuletu? Dlaczego uznała, że nie potrzebuje go w Trensicourt?

Pojawiło się kolejne pytanie, straszniejsze od wszystkich pozostałych. Rachel starała się je zignorować, ale nie dało się uciec przed przyprawiającą o mdłości wątpliwością. Żałowała, że nie może pogrzebać tej myśli, zachować w tajemnicy nawet przed sobą. Maldor podkreślił, że tylko jedna droga doprowadzi do jego zniszczenia, podczas gdy miliardy innych prowadzą do jego triumfu. Poznawszy prorocztwo, lepiej przygotuje się do powstrzymania ich. Rachel zadrzała. Czy pozostawiając tej nocy umysł otwarty dla Maldora już zaprzepaściła możliwość, że ktokolwiek mu się przeciwstawi?

# Rozdział 10

## *Mściciel*

– To eskortowiec. – Aram opuścił lunetę i podał ją Jasherowi.

Ponad dwa dni od Durny Jason, Nia, Jasher i Aram stłoczyli się razem przy jednej burcie *Walecznego*. Kilka minut wcześniej drinling wysoko na grotmaszcie dostrzegł statek na wschodnim horyzoncie.

– Jest na kursie do przechwycenia nas – powiedział Jasher. – Och, co za przekłety pech!

– Nie narzekaj na los – rzucił Aram. – Wieści o ich fiasku w Durnie musiały rozejść się szybciej, niż sobie wyobrażaliśmy.

– Może od rozsadnika do rozsadnika – domyślił się Jason.

Aram odchrząknął.

– Przez rozsadników, orły albo plotkujące żony rybaków, i teraz cesarskie okręty sprawdzają morskie trasy prowadzące z Durny.

– Na całym Morzu Śródłądowym są tylko dwa inne eskortowce! – narzekała Nia. – Jakie było prawdopodobieństwo?

– Czy to ma znaczenie? – odpowiedział Aram. – Jeden nas znalazł. Jak zareagujemy?

– To, jak poradzimy sobie z eskortowcem, to kluczowa kwestia w obecnym momencie – przytaknął Drake, podchodząc do grupy z Farfalee. – To, w jaki sposób znaleźli nas tak szybko, może nabrać znaczenia w dalszej kolejności.

– Starliśmy port z powierzchni ziemi – powiedział Aram. – Zaczęli więc porządnie szukać. I znaleźli nas.

– Za szybko – odparł Drake.

– To nie ty przewidywałaś katastrofę? – zapytała go Nia.

– Tylko dlatego, że nie cierpię się mylić – odpowiedział Drake. – Osobiście wolałbym, żeby powiodło nam się wbrew wszystkiemu i żebyśmy przeżyli. Spodziewałem się trudności, ale nie tak szybkiego wykrycia.

– Ostatni raz wypuszczałam orły dzień przed naszym spotkaniem – przypomniała wszystkim Farfalee.

– Czyżby wróg przewidział, dokąd się udajemy? – zapytał Jasher. – To wydaje się mało prawdopodobne. Żeglarze od pokoleń omijają szerokim kołem Wiatrochron, nie chcą go nawet widzieć. Kto by zdradził taką informację?

– Nie sposób odgadnąć – powiedział Drake. – Jednak niezależnie od tego, co zrobimy z naszym widocznym prześladowcą, musimy przygotować się na to, że zjawi się ich więcej. Nasi wrogowie odkryli nasze plany. W takiej sytuacji nie jestem skłonny uznać tego za zbieg okoliczności.

– Co sugerujesz? – zapytała Arama Farfalee.

– Wiatr wieje z południowego wschodu. Sprzyja obu statkom. Zważywszy na naszą obecną pozycję, spodziewam się, że możemy wymknąć się przeciwnikowi i popędzić do Wiatrochronu. Jednak nawet na chwilę nie znikniemy tamtemu statkowi z oczu. Wylądujemy w pułapce między straszliwym strażnikiem i zbliżającym się eskortowcem.

– A jeśli staniemy do walki? – zapytał Jasher.

– Znasz nasze uzbrojenie – powiedział Aram. Miał na myśli miniaturowe katapulty po trzy na każdej burcie, dostosowane do strzelania płonąca smołą. – Statek wroga będzie podobnie wyposażony. Najpewniej upieczemy się wzajemnie, a cesarz tylko na tym skorzysta.

Jason się skrzywił. Wizja walki na płonących statkach bez lądu w polu widzenia nie była pociągająca.

– Nie wystarczy, żebyśmy przeżyli starcie – mruknął Drake. – Musimy wyjść z tego praktycznie bez draśnięcia, bo inaczej reszta naszych wysiłków stanie pod znakiem zapytania.

– A co z orantium? – spytał Jason.

– To nasza największa przewaga – przytaknęła Farfalee.

Jasher skrzywił się w zamyśleniu.

– Kłopot w tym, jak zbliżyć się na tyle, żeby je wystrzelić, samemu przy tym nie obrywając.

– Czy katapulty nie wystrzelą orantium dalej niż smoły? – zastanawiał się Jason.

Drake pokręcił głową.

– Prawdopodobnie różnica nie będzie wystarczająca.

– A gdybyśmy przesunęli katapultę na dziób i ruszyli prosto na nich? – zapytała Farfalee.

Aram wzruszył ramionami.

– Nietypowe rozwiązanie. Może ich zaskoczyć. Pewnie wystrzelimy kilka kul, zanim ustawią swoje katapulty. Kiedy jednak już to zrobią, jeden manewr wystarczy, żebyśmy natychmiast znaleźli się w bliskim zasięgu.

– Orantium, które uderzy w pokład drugiego statku, może narobić szkód – powiedział Jasher. – Za to orantium, które trafi w kadłub poniżej wodnicy, zatopi ich.

Aram zarechotał.

– To by wymagało niezłego strzału.

– Chcemy ich trafić, zanim oni trafią nas – powiedziała Nia. – I najlepiej będzie uderzyć w kadłub blisko linii wodnej. Czy zmniejszenie balastu sprawi, że popłyniemy szybciej?

– Tylko odrobinę – odpowiedział Aram.

– Powinniśmy zacząć uciekać, ale tak, żeby dać im się zbliżyć – odpowiedziała Nia.  
– Mam plan.

\*\*\*

Jason stał na rufie obok Farfalee, obserwując, jak eskortowiec stopniowo zbliża się z żaglami wydętymi na wietrze. Słońce miało niedługo zejść.

– Wydaje się, że niczego nie podejrzewają – powiedział. – Płyną prosto za nami.

– Zakładają, że kiepscy z nas żeglarze – odpowiedziała Farfalee. – Wchodząc dokładnie między nas a wiatr, mogą wykraść nam wiatr z żagli i jeszcze bardziej przyspieszyć. Aram celowo nie robi nic, żeby temu zapobiec. I nie ustawił żagli w optymalnym położeniu.

– Jak się miewa Corinne?

Farfalee pokręciła ze smutkiem głową.

– Cały czas zielona. Miałam nadzieję, że większy statek i spokojniejsze wody zmniejszą jej problemy z żołądkiem. Niestety...

Jason pokiwał głową. W czasie podróży na południe w zeszłym roku Corinne cierpiała na chorobę morską na pokładzie łodzi drinlingów przez całą drogę od Srebrnej Rzeki do Durnese. Godzinę po wprowadzeniu jej na pokład *Walecznego* zachorowała znowu. W tej chwili była w kajucie pod pokładem. Kiedy Jason do niej zajrzał, leżała na podłodze złana potem i jęczała. Obok niej stało wiaderko. Nie został zbyt długo.

Nieco z boku za *Walecznym* ławica ryb latawcowych wyskakiwała z wody, w sumie było ich ponad tuzin. Wyglądały jak skrzyżowanie barakudy i płaszczy – miały wydłużone ciała z szerokimi, podobnymi do skrzydeł płetwami. Ryby latawcowe wyskakiwały na wiatr, rozkładając szeroko trójkątne płetwy i szybowały w górę, chwilę wisały jak zawieszony, a potem nurkowały z powrotem do wody.

Za pomocą sieci i prętów kilku drinlingów stale pracowało, łapiąc ryby latawcowe

i inne morskie stworzenia. Drake wyjaśnił, że ze względu na wysoki poziom zasolenia, tylko określone gatunki ryb przetrwały w Morzu Śródładowym.

– Czy ryby latawcowe atakują ludzi? – zapytał Jason.

Wyglądały na dostatecznie duże.

– Większość żeruje na innych rybach i ptakach – odpowiedziała Farfalee.

– Nie macie niczego podobnego w oceanach?

– Właściwie nie.

– Zastanawiam się, skąd się wzięły – powiedział Jason. – Skoro Morze Śródładowe jest za słone dla większości ryb, skąd te się tu wzięły?

– Czarnoksiężnicy – odpowiedziała Farfalee. – W dawnych czasach w morzu nic nie żyło. Posługując się edomickim, czarnoksiężnicy stworzyli ryby, które były w stanie znieść wysokie zasolenie. I kilka gatunków świecących wodorostów. Wprowadzenie ryb do Morza Śródładowego umożliwiło rozwój osad. Gdyby nie starożytni czarnoksiężnicy, nikt by tu nie mieszkał i nic by się tu nie działo.

– Stworzenie nowego życia musiało być trudne dla czarnoksiężników – powiedział Jason. – Rachel powiedziała mi, że żywe stworzenia opierają się językowi edomickiemu.

– Dlatego bardzo niewielu czarnoksiężników kiedykolwiek stworzyło nowe formy życia. Tylko najmądrzejsi i najpotężniejsi potrafili stworzyć życie, a tylko czterech czy pięciu stworzyło to, co uważamy za inteligentne istoty.

– Czy Maldor to potrafi?

– Jeżeli tak, to nie mamy na to wielu dowodów. Jego sprzymierzeńcy wywodzą się z wcześniej istniejących ras. Przekształcenie sfuszerowanej rasy w harataczy wymagało pewnych umiejętności, ale to była adaptacja, nie prawdziwy akt stworzenia. Maldor jest potężny i utalentowany, ale prawdopodobnie nie zdobył jeszcze umiejętności potrzebnych do stworzenia własnej formy życia.

– Znałaś największych czarnoksiężników Lyrianu. Na przykład Eldrina.

– Nie znałam go zbyt dobrze – sprostowała Farfalee. – Jednak w młodości spędziłam sporo czasu w jego towarzystwie. Nie był to szczególnie miły człowiek. Robił na mnie wrażenie genialnego, ale opryskliwego, o wiele bardziej zainteresowanego własnymi planami i celami niż ludźmi wokół. Wszystkie jego inteligentne rasy miały powód, by go nie lubić. W końcu wraz ze stworzeniem Amar Kabal zaprojektował też nasz ostateczny koniec.

– Sprawiał, że z biegiem czasu coraz trudniej wam mieć dzieci – przypomniał sobie Jason.

Farfalee pokiwała głową.

– Stajemy się coraz mniej płodni. W ciągu ostatnich trzydziestu lat wśród nasienników urodziło się tylko sześcioro dzieci. Mój syn Lodan należy do nich. Ledwie mogłam uwierzyć, że zostanę matką po wielu żywotach starań. Możliwe, że byłam

jedną z ostatnich. Jako ludzie przetrwamy tak długo, jak nasze nasiona zachowają zdrowie i będą sadzone. Drake nie jest pierwszym spośród nas, który odrodził się z wadliwym amarem. Nie będzie też ostatnim.

– Czy ktoś mógłby posłużyć się edomickim, żeby naprawić to, co zrobił wam Eldrin?

Pokręciła głową.

– Nikt nie ma już takiej wiedzy. Nawet najzdolniejszemu czarnoksiężnikowi z dawnych wieków najprawdopodobniej nie starczyłoby umiejętności. Tylko Eldrin mógł dać naszej rasie szansę na przetrwanie, ale zdecydował się ograniczyć naszą populację, tak jak uczynił to Zokar w przypadku swoich ras.

– Wiem, że wasze prawo tego zabrania, ale może powinniście sami zacząć studiować edomicki? I wiesz, odkryć, jak siebie naprawić?

– Niektórzy spośród nas proponują, żeby zacząć studiować edomicki. Należy do nich mój brat. Takie myślenie to głupota. Zostaliśmy tak stworzeni, żeby mieć niewielkie predyspozycje do nauki edomickiego. Najzdolniejsi spośród nas nigdy nie zdobyliby dość mocy, żeby usprawiedliwić ponoszone ryzyko. Każdy nasiennik, który para się edomickim, ryzykuje wypełnienie się przepowiedni, że taka działalność sprowadzi na nas koniec.

– Nazywasz mnie głupcem za moimi plecami? – zapytał Drake, zachodząc ją z tyłu.

Farfalee odwróciła się do niego.

– Nie mówię nic, co wahałabym się powtórzyć w twojej obecności. Jesteś głupcem, bawiąc się edomickim i namawiając do tego innych nasienników. Mogłeś sprowadzić koniec na swoją rasę z powodu wzniosłej ambicji rozpalania małego ognia bez podpałki.

– Zwykle nadal potrzebuję podpałki – sprostował Drake. – Radzę sobie jednak bez krzesiwa.

– Głupota.

Drake machnął ręką.

– Nie martw się, Failie. Żadne proroctwo mnie nie obejmuje. Przynoszę wstyd i jestem wyrzutkiem.

Farfalee wzruszyła ramionami.

– Twoje słowa, nie moje.

Skrzyżował ręce.

– Dobrze więc, siostrze, jak ty byś mnie nazwała?

Przez chwilę patrzyła na niego z powagą.

– Z pewnością jesteś wyrzutkiem. Jednakże jest nim też mój mąż, a nie mam większego szacunku dla żadnego innego żyjącego człowieka. Dokonałeś kilku kiepskich wyborów, ale proszę, oto tu stoimy. Cały czas poprawiasz swój kurs. Niewielu ludzi zachowuje wierność sobie i swoim instynktom. Powiedziałabym, że



o wiele bliżej ci do bohatera niż do zakały.

Drake odwrócił wzrok. Jason widział, że te słowa go poruszyły. Odzyskując panowanie nad sobą, nasiennik zerknął spod zmrużonych powiek na doganiający ich żagłowiec.

– Wszystko powinno dobrze zgrać się w czasie.

– Nasz prześladowca znajdzie się na pozycji przed zmrokiem – powiedziała Farfalee.

– Myślisz, że zdołamy go zatopić? – zapytał Jason.

– Aramowi spodobał się plan – odpowiedział Drake. – Tak samo Hegowi. I mnie. Bat zgłosił się na ochotnika, by czynić honory.

Plan był prosty. Wraz ze zmierzchem, kiedy eskortowiec znajdzie się dokładnie za nimi, załoga *Walecznego* zmniejszy nieco wagę, wyrzucając zbędne rzeczy za burtę. Wraz z nimi do morza wyskoczy drinling. Zabierze dwie kule orantium. *Waleczny* utrzyma kurs, co przy odrobinie szczęścia sprawi, że ścigający go okręt przepłynie tuż obok drinlinga w wodzie.

– Zawrócimy po niego? – zapytała Farfalee.

Ona i Corinne spędziły więcej czasu z Batem niż pozostali.

– Dyskutowano na ten temat – odpowiedział Drake. – Zostawienie go wydaje się okrutne, ale musielibyśmy popłynąć pod wiatr. To by nas kosztowało dużo czasu. Bat twierdzi, że sam dotrze do brzegu. Nie wiem. Niezależnie od jego wytrzymałości, ląd jest daleko.

Farfalee pokiwała głową.

– Jeśli masz rację, że cesarz zna nasze plany, nie stać nas na marnowanie czasu.

– Stąd debata. Heg i Nia upierali się, że powinniśmy zostawić drinlinga. Aram skłaniał się ku ich zdaniu. Jasher i ja woleliśmy po niego wrócić.

Patrząc na wodę, Jason wyobraził sobie, jak to by było zostać na niej samotnie, bez łodzi ani widoku na ląd, gdy wokół tylko unoszą się i opadają delikatne fale. Niewiele rzeczy potrafił wymyślić, które byłyby równie przerażające. Odchrząknął i powiedział:

– Jakie są szanse, że mu się uda?

Drake wzruszył ramionami.

– Wyląduje za burtą z mnóstwem śmiecia, które pomoże mu utrzymać się na powierzchni. Żadna to tratwa, ale jest na czym odpocząć. W przeciwieństwie do nas, może pić słoną wodę. Zabierze zapasy. Jeśli utrzyma kierunek i przeżyje, dotrze na ląd za tydzień albo dwa.

– Albo może zginąć samotną i żalostną śmiercią – dodała Farfalee. – Kiedy nie grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo, uważam za haniebne porzucenie bohatera, który ryzykuje własne życie, żeby uratować pozostałych.

– A czego chce Bat? – zapytał Jason.

– Upiera się, że nie powinniśmy po niego zawracać – odpowiedział Drake. –

Twierdzi, że to zagrozi misji i umniejszy jego poświęcenie.

– Bat nie powie nic innego. – Farfalee westchnęła. – Drinlingów stworzono do bohaterskiej śmierci w walce. Tę ideę podtrzymuje nawet ich fizjologia na najbardziej podstawowym poziomie. Uważają śmierć w walce za chwalebne wypełnienie własnego przeznaczenia. Eldrin nauczył ich, że są spisani na straty, a oni w to uwierzyli. O ile nie zostaną w ewidentny sposób źle potraktowani, z radością narażą się na śmierć lub cierpienie dla dobra swoich sojuszników.

Drake pokiwał głową.

– Myśl, że zaryzykujemy, by przyjść mu z ratunkiem, stawiając na szali misję, jest dla niego niepojęta. Grupa nie nagina planów dla jednostki.

– Jeżeli tak go nauczono odczuwać, to czy nie będzie to z naszej strony nadużycie? – spytał Jason.

Farfalee zachnęła się cicho.

– Jeżeli cesarscy ludzie znają nasz cel, powrót po Bata naprawdę zagrozi misji. Dla dobra Lyrianu ona musi się powieść. Czy to z powodu tego, jak go stworzono, czy z innego, Bat szczerze prosi, by po niego nie wracać. I naprawdę ma szansę przeżyć.

– Moja siostra jest pragmatyczna – powiedział Drake. – Mam powiedzieć Nii i Hegowi, że jesteśmy gotowi porzucić Bata?

Farfalee niechętnie skinęła głową.

– Jeżeli to zalecają, a Bat się zgadza, nasze potrzeby są zbyt poważne, by się im przeciwstawiać.

– Przekażę naszą zgodę.

Drake odszedł.

Farfalee odwróciła się do Jasona.

– Co myślisz o naszej decyzji?

– Nie wiem. Źle się z nią czuję.

– Ja też. Tylko czy to konieczne?

Jason skrzyżował ręce i zmarszczył czoło.

– Może. Pewnie tak. Nie mamy wyboru.

Spojrzała na ścigający ich statek.

– Wątpię, czy z którąkolwiek decyzją dobrze byśmy się czuli. Możemy zaryzykować życie Bata albo zaryzykować powodzenie misji. Wyrocznia ostrzegła, że Lyrian będzie wymagał ofiar. Obawiam się, że Bat może być jedną z wielu, które nas czekają.

– A jeśli mu się nie uda?

– Tym bardziej nie zdołamy po niego wrócić. Jeżeli niepowodzenie zdradzi nasze zamiary, pewnie nie uda nam się drugie podejście. Jeśli niepowodzenie przejdzie niezauważone, możemy spróbować raz jeszcze, być może korzystając z łódki albo szalupy.

Jason odwrócił się i popatrzył, jak Drake rozmawia z Nią, Hegiem i Batem. Nia i Heg sprawiali wrażenie zadowolonych, a Bat uradowanego. Odwaga w jego uśmiechu sprawiła, że Jason z trudem powstrzymał łzy.

– W jaki sposób mamy okazać Batowi, jak bardzo doceniamy jego poświęcenie? – zapytał.

– Wychodząc z tego cało – odpowiedziała Farfalee.

\*\*\*

Zanim ogniste pasma zachodu słońca zaczęły blednąć na zachodnich chmurach, Bat stał już gotowy do skoku. Kilka skrzynek, beczek i palet zebrano do wyrzucenia za burtę razem z nim. Mała tratwka, którą miał wykorzystać dla siebie, była niewiele większa od deski do pływania, a prowizoryczne przeróbki sprawiły, że była dość stabilna. Miał jedzenie, sprzęt do łapania ryb i prowizoryczną fajkę do nurkowania. Oczywiście dostał też dwie kule orantium.

– Nie wychylaj się – przestrzegł go Jasher. – Niech śmieci znajdują się między tobą a statkiem. Posługuj się fajką do oddychania, żeby pozostać zanurzonym, kiedy tylko to będzie możliwe.

– Nie martw się – zapewnił go Bat. – Nie zobaczą mnie. Zbliżę się na tyle, żeby nie spudłować. Utoną, nie wiedząc, co się stało.

– Nie możemy pozwolić, żeby wszyscy tłoczyli się na rufie, by popatrzeć – powiedział Aram. – A już z pewnością nie przed uderzeniem Bata. Wyrzućcie śmieci, a potem zajmijcie swoje pozycje. Jason był w pobliżu rufy cały dzień. On i Jasher będą robić za obserwatorów. Do czasu wybuchu nie możemy zdradzać szczególnego zainteresowania.

– Już czas – powiedziała Farfalee. – Płyn bezpiecznie, Bat. Jesteśmy twoimi dłużnikami.

Bat wyszczerzył zęby w uśmiechu.

– Nie dziękujcie mi jeszcze.

Heg podszedł i szepnął coś do ucha Batowi, który skinął głową i odpowiedział szeptem. Uścisnęli sobie przedramiona. Bat aż się rwał do działania.

– Na pozycje! – rozkazał Aram.

Drinlingowie przesunęli się na obie burty. Bat ustawił się z prowizoryczną tratwką w rękach.

Jasher i Jason przeszli na rufę.

Aram wydał rozkaz. Skrzynki, beczki, palety i inne kawałki drewna wyrzucono za burtę razem z Batem. Statek mknął równym tempem dzięki wiatrowi, więc już wkrótce Jason zobaczył śmieci unoszące się na wodzie za *Walecznym*. Starał się nie gapić na

tratewkę Bata.

Eskortowiec znajdował się już naprawdę blisko, nie więcej niż piętnaście długości statku za nimi. Niedługo znajdzie się na wysokości wyrzuconych kłopotów.

Jasher podniósł lunetę, kierując ją na statek, nie na śmieci.

– Ściga na *Mściciel* – powiedział. – Wreszcie mogę odczytać nazwę. Popatrz.

Jason wziął lunetę.

– Nie robimy wrażenie za bardzo zainteresowanych?

– Patrzyliśmy cały dzień. Ty w szczególności. Prawie nas dogonili. To wydałoby się dziwne, gdybyśmy teraz przestali patrzeć.

Jason zerknął przez lunetę. W świetle gasnącego zachodu słońca ledwie odczytał nazwę statku.

– Miejmy nadzieję, że niczego dzisiaj nie pomszczą.

– Myślą, że już nas mają – powiedział Jasher. – Bardzo się zbliżyli w ciągu dnia. Próby zmniejszenia wagi sprawiają, że robimy wrażenie zdesperowanych. Skupiają się na nas, nie na wyrzuconych rzeczach. Szykują się do walki. Upewniają się, że smoła jest gorąca, katapulty gotowe. Łucznicy nakładają cięciwy. Zbierają się grupy abordażowe. Kapitan czeka, żeby zobaczyć, jaki manewr wykonamy.

Opuszczając lunetę, Jason z trudem dojrzał wyrzucone śmieci.

– Bat jest bliżej nich niż nas.

– Żeby tylko zdołał przeciwstawić się prądom i utrzymać się na ich kursie – powiedział Jasher. – Musi się do nich zbliżyć.

– A co, jeśli go złapią podczas ewakuacji ze statku? – martwił się Jason.

– To dodatkowe ryzyko, które podejmuje. Jeżeli *Mściciel* zatonie, powinien minąć Bata, zanim ktokolwiek wyląduje w wodzie. Będą mieli dość problemów na głowie. Uważam, że ma spore szanse uniknąć spotkania z naszymi wrogami. Dotarcie do lądu okaże się trudniejszym zadaniem. Obserwuj sytuację przez lunetę.

Jason znowu ją podniósł. Dostrzegł jakiś ruch na pokładzie. Mężczyzna wspinał się po olinowaniu. Obserwowali go z Jasherem w milczeniu.

– Skup się na prawej stronie – poradził Jasher.

– Widzisz go?

– Chyba tak. Jest blisko. Niemal za blisko. Przygotuj się.

Wybuch nastąpił tuż poniżej wodnicy od strony sterburty. Jasny rozbłysk i we wszystkie strony posypały się drzazgi. Potężny huk rozległ się chwilę potem. Dym buchnął w górę. Kiedy się rozplynął, Jason ujrzał dziurę wielkości jaskini.

– Tak! – krzyknął. – Udało mu...

Przerwał mu drugi wybuch tuż, powyżej linii wodnej, też po prawej stronie *Mściciela*. Patrzył na wybuch pod znacznym kątem, więc nie mógł docenić wielkości szkód, ale sądząc po miejscu eksplozji, dziura musiała być podobna do pierwszej.

Na pokładzie *Walecznego* wybuchły wrzaskliwe wiwaty. Przestano udawać

i wszyscy stłoczyli się na rufie, pokrzykując, gwizdząc i klaszcząc. Skandowano imię Bata.

Nie sposób było dostrzec, co się stało z Batem, ale przechylający się *Mściciel* musiał odpłynąć spory kawał od niego, nim zaczął naprawdę tonąć. Aram polecił paru drinlingom wracać na stanowiska. Kiedy zapadał zmierzch, wszyscy pozostali obserwowali, jak *Mściciel* tonie.

# Rozdział 11

## Dobra rada

Rachel spacerowała po chrzęszczącej ścieżce z białych otoczków, dotykając rzemienia z amuletami na szyi. Skrząca się ścieżka snuła się po dziedzińcu, mijając kwitnące rabaty, przyszczyżone trawniki, barwne krzewy i liściaste pnącza wspinające się po treliazach przymocowanych do murów. Puszyste wiosenne kwiecie sprawiało, że drzewa były różowe i fioletowe. Zapach nektaru wypełnił powietrze ku zachwytowi grubych, brzęczących pszczół.

– Mogę przeszkodzić? – rozległ się przyjazny głos.

Rachel odwróciła się i zobaczyła nadchodzącego Ferrina. Od dnia poprzedzającego jej niepokojący sen, rozsadnika nie było, wyjechał z Nedwinem dostarczyć wiadomości od Gallorana. Rachel zerknęła w stronę altanki, gdzie siedzieli Tark i Io. Zawsze trzymali się blisko, żeby mieć na nią oko, ale ostatnio zachowywali dystans. Podejrzewała, że to po części jej upiorny strój działa aż zbyt dobrze, onieśmielając nawet przyjaciół. Tark spojrział pytająco, jakby się zastanawiał, czy Rachel chce, by interweniował. Zbyła jego troskę machnięciem ręki.

Ferrin to zauważył.

– Dzięki, że powstrzymałaś swoje psy obronne.

Rachel się uśmiechnęła.

– Stali się szczególnie czujni odkąd... Słyszałeś?

– Czatownicy wdarli się do twojej sypialni i wtargnęli do snu.

Skinęła głową, trzymając rękę na wisioru.

– Nie powinnam była go zdejmować.

Ferrin wzruszył ramionami.

– Gdyby to mu się nie udało, Maldor znalazłby inny sposób, żeby się z tobą

skontaktować. Skoro był gotowy wysłać torivorów do miasta, naprawdę chciał dotrzeć do ciebie z wiadomością.

– Albo naprawdę chciał przeczesać mój umysł. Dowiedział się o prorocत्वie.

– Tak mi powiedziano. Jak zareagował Galloran?

Rachel załamywała ręce.

– Nie chciał mnie martwić. Powiedział, że Maldor już wcześniej wiedział o planowanym ataku. Że w taki czy inny sposób dowiedziałaby się o prorocत्वie. Powiedział mi, że czatownicy mogli równie łatwo przeszukać umysł dowolnej osoby z naszej grupy.

– Ale ta odpowiedź cię nie satysfakcjonuje.

– A co, jeśli zawałam sprawę? – zapytała cicho. – Jeżeli już zaprzepąściłam naszą szansę wypełnienia prorocत्वa? Jeżeli przeze mnie zginą Jason i Corinne?

Ferrin pokręcił głową.

– To nie była twoja...

– Mogłam nosić amulety, ale miałam ich dosyć. Z ulgą zrobiłam sobie przerwę w ich noszeniu, ponieważ w mieście powinnam być bezpieczna przed czatownikami. Gdybym je nosiła, mogłabym odwlec moment, w którym Maldor dowiedziałaby się o prorocत्वie. Może ta różnica zaważyłaby na wszystkim? Co, jeżeli już straciliśmy naszą szansę na zwycięstwo?

Ferrin przyglądał jej się ze skrzyżowanymi rękami i poważną twarzą.

– Co? – spytała w końcu.

– Maldor jest bardzo dobry w tym, co robi.

– Zdobywaniu informacji?

– W tym też. Ale chodziło mi o niszczenie pewności siebie. Rozprzestrzenianie strachu i niepewności. Jaką propozycję ci przedstawił?

Między brwiami Rachel pojawiła się zmarszczka.

– Galloran obiecał nie...

– Nikt mi nie powiedział o propozycji. Po prostu wiem, jak cesarz działa.

Rachel zerknęła na Tarka i Io w altance. Nie chciała, żeby ktokolwiek ją usłyszał. Podzieliła się tym szczegółem tylko z Galloranem.

– Maldor obiecał, że jeśli przyjdę do niego na naukę, pozwoli mi ocalić dziesięcioro moich przyjaciół. Dowolną wybraną przeze mnie dziesiątkę.

– Wierzysz mu?

– A powinnam?

Ferrin ciężko westchnął.

– Pracowałem z Maldorem przez długi czas. Nietykalność dla dziesięciu osób to najhojniejsza oferta, jaką kiedykolwiek usłyszałem w jego wykonaniu. Naprawdę cię chce, co oznacza, że pewnie dotrzymałby słowa.

– Myślisz?

– Upewniam się tylko, że pojmujesz konsekwencje. Uważasz, że taki człowiek jak Galloran zgodziłby się na ułaskawienie? Odrzucił Harthenham. Większość ludzi, których chcesz chronić, nie zgodziłaby się na tę ochronę.

– A ty byś ją przyjął?

– Ja? Całkowitą nietykalność? Lepiej o tym nie rozmawiajmy.

Rachel zniżyła głos do najcichszego szeptu.

– Maldor sprawiał wrażenie przekonanego o tym, że wygra. Nie jestem pewna, czy się myli.

Ferrin omal nie odpowiedział, ale powstrzymał się i wskazał lekko zagiętą kamienną ławkę.

– Usiądź. – Siedli razem. Puchata pszczoła okrążyła Rachel, zanim zygzakiem poleciała do pobliskich krzewów. Ferrin pochylił się ku niej. – Maldor pewnie wygra.

– Pocieszające – mruknęła Rachel.

– Nie staram się ciebie pocieszyć – odpowiedział z powagą Ferrin. – Nie w tej chwili. Chciałbym cię pocieszyć kojącymi kłamstwami, ale myślę, że w tej chwili potrzebujesz prawdy. Wyrocznia powiedziała nam, że Maldor niemal na pewno wyjdzie z tego zwycięsko. Mamy minimalną szansę powstrzymania go. Tak małą, że niemal na pewno nam się nie uda.

– Chyba to wiedziałam – szepnęła roztrzęsiona Rachel.

– Łatwo zapomnieć o tej prawdzie wśród podniosłych mów i zamieszania przygotowań. Galloran wie, jak zagrzewać i zachęcać ludzi wokół siebie, nie pozwól jednak, żeby jego elokwencja zamazała ci realny obraz sytuacji. Jeśli twoim celem jest zdetronizowanie Maldora, ostrzeżono nas, że to pewnie się nie uda.

– Racja.

– Możesz mieć rację, obawiając się skutków tego, że Maldor tak szybko dowiedział się o prorocестве. Niewczesne ostrzeżenie mogło już zniszczyć nasze i tak marne szanse. Dowolna liczba innych niefortunnych wypadków albo decyzji mogła już zniszczyć nasze szanse na zwycięstwo. Możliwe, że nasza sprawa już jest przegrana.

Rachel skinęła głową, nie ufając sobie na tyle, by się odezwać.

– Masz dar – powiedział Ferrin. – Maldor chce go rozwinąć. Możesz zyskać większą moc i lepszą pozycję niż ktokolwiek z nas mógłby sobie zamarzyć. Możesz być pierwsza po Maldorze. Możesz go przewyższyć. Pewnego dnia możesz zostać cesarzową.

– Nie chcę tego – szepnęła Rachel.

– Pamiętaj, że anonimowość nie jest drugą możliwością. Druga ewentualność to niemal pewna śmierć i klęska.

Rachel splótła palce i zacisnęła obie dłonie w jedną pięść.

– Uważasz, że powinnam do niego pójść?

– Myślę, że powinnaś stawić czoło prawdzie. Widzę, że męczysz się z brzemieniem



zmartwień, z którymi nie chcesz się zmierzyć, i pragnień, do których nie chcesz się przyznać. Widziałem twoją pasję do nauki języka edomickiego. Z radością poznałabyś sekrety od prawdziwego mistrza. Nie ukrywaj prawdy. Staw jej czoło.

– Jak? Przyjmując jego propozycję?

Ferrin pokręcił głową.

– Niekoniecznie. Masz przed sobą wybór. Staw czoło prawdzie, uczciwie oceniając możliwości. Pogódź się z ceną swojego wyboru.

Rachel spojrzała na niego podejrzliwie.

– Tak właśnie idziesz przez życie? Próbujesz zamienić mnie w rozsadnika?

– Może odrobinę. Jaka jest cena przeciwstawienia się Maldorowi?

Rachel zaczerpnęła tchu, nie kryjąc drżenia.

– Pewnie zginę. Moi przyjaciele pewnie też zginą. I pewnie zginiemy na darmo. Pewnie przegramy.

– A ty stracisz szansę zdobycia mocy i wygodnego życia przez tysiąc lat albo więcej – dodał Ferrin. – Stracisz szansę opanowania edomickiego.

– Racja.

– Jaka jest cena przyjęcia oferty?

Rachel westchnęła.

– Poznam edomicki i będę mogła żyć tysiąc lat.

– Nie. To nagroda. Ceną będzie to, że twoi przyjaciele najpewniej zginą nędzną śmiercią. Nie ma szczęśliwych ludzi w Harthenham. Nie ma spokoju dla tych, którzy porzucają swoje ideały. Niezależnie od tego, jaki układ zawrzesz, większość twoich przyjaciół i tak zginie, ponieważ odrzucą łaskę oferowaną przez Maldora.

– Prawda.

– Kolejną częścią ceny będzie to, że przestaniesz być tym, kim jesteś. Niezależnie od tego, jak dzielnie będziesz się opierał po zawarciu takiego przymierza, Maldor cię zdeprawuje. Nawet jeśli poczekaś na właściwy moment i w końcu go obalisz, nie będziesz tą samą osobą, co teraz. Staniesz się kimś, kim w przeciwnym wypadku nigdy byś się nie stała.

– A nagroda za przeciwstawienie się Maldorowi?

– Będziesz wierna swoim przyjaciołom. Pozwolisz im stawić czoło złu na własnych warunkach. Ty także przeciwstawisz się złu na własnych warunkach, nie zdradzając samej siebie. I zachowasz odrobinę nadziei, że może nam się udać.

– Myślisz, że nadal możemy wygrać? – upewniła się Rachel.

Ferrin wzruszył ramionami.

– Tego dowiemy się tylko, jeśli nie zarzucimy starań. Możemy zgadywać, co mogło zniszczyć nasze szanse na wygraną, ale nigdy nie dowiemy się, czy zwycięstwo nadal jest możliwe, jeżeli nie doprowadzimy tego do końca. To właśnie rozumie Galloran i dlatego wieść o wizycie czatowników nie zmieniła jego planów.

Rachel pochyliła się i objęła mocno Ferrina.

– Dziękuję – szepnęła.

Zamarł na moment, zaskoczony i dopiero potem odwzajemnił objęcia.

– Nie ma potrzeby mi dziękować.

– Czułam się naprawdę... Po prostu nie mogłam...

– Rozumiem.

Obejmowała go przez chwilę w milczeniu, zanim się odsunęła.

– To była najlepsza rozmowa w moim życiu. Czułam się naprawdę zagubiona. Nie sądziłam, że ktokolwiek może mi pomóc.

– Niczego nie zrobiłem, to twój wybór. Po prostu musiałaś uczciwie rozważyć możliwości.

– Nikt inny nie przedstawił mi tego tak otwarcie. Nawet Galloran.

Ferrin uśmiechnął się krzywo.

– Inni próbują oszczędzić ci bólu. Prawda potrafi być druzgocąca. Sporo życia spędzamy, próbując chronić się przed nią i osłaniać przed nią innych. Posługujemy się kłamstwem, żeby stępić ostrze życia. Śnimy o lepszym jutrze. Ukrywamy się przed własnymi żałami i niedostatkami. Staramy się wyolbrzymiać dobro i umniejszać zło. Udaje nam się nawet ukryć przed nieuniknioną rzeczywistością – tym, że prędzej czy później my sami i wszyscy, których kochamy, umrzemy.

– Radosna myśl.

– Nie radosna, ale prawdziwa. Kiedy decyzja ma prawdziwe znaczenie, Rachel, musimy zignorować pocieszające złudzenia. Musimy odłożyć na bok życzenia i skupić się na rzeczywistości. Nikt nie może zaakceptować prawdy ukrywając się przed nią. Kiedy decyzja ma znaczenie, musimy spojrzeć na prawdę bez wzdragania. Tylko wtedy odnajdziemy spokój w naszych wyborach.

Rachel się uśmiechnęła.

– Mądra miłość.

– Możesz to tak nazwać.

Pokiwała głową.

– Nie wypowiadając nawet słowa kłamstwa, Maldor mną pograł. Chciałabym wierzyć, że oszczędzi moich przyjaciół, bo chcę, żeby byli bezpieczni, ale masz rację, skończyłoby się to inaczej. Nie przestaliby walczyć. Nie przyjęliby łaski.

– A ty chcesz wierzyć, że możemy wygrać, chociaż pewnie nam się nie uda – przypomniał jej Ferrin.

– Jak to robisz, że nie przestajesz działać, chociaż tak myślisz?

– Jeżeli Maldor kiedykolwiek mnie znajdzie, zrobi coś gorszego niż tylko mnie zabije. Powrót do niego byłby szaleństwem, nawet gdybym wrócił, osłabiwszy waszą rebelię. Nigdy nie wybaczy mi zdrady, której się dopuściłem. Muszę przeciwstawiać się Maldorowi, ponieważ na zawsze pozostanie wrogiem. Nie zdradzę rebelii także

dlatego, że Galloran ma część mojej szyi i może mnie zabić w dowolnej chwili. Jednakże przede wszystkim robię to przez wzgląd na przyjaźń. Podziwiam twoją uczciwość. I Gallorana, i Jasona. Chciałbym, żeby wam się udało. Mogę ukrywać się wśród dzikich ostępów przez resztę życia, ale to nie pasuje do mojej natury. Ta sprawa to moja ostatnia nadzieja na dobre życie. Nasze szanse są przerażająco małe, ale przynajmniej je mamy. Wiedząc, że nasze starania najpewniej okażą się daremne, nadal uznaję tę ponurą drogę za najlepszą dostępną opcję.

Rachel nie odpowiedziała. Chwilę słuchali ptaków.

Ferrin skinął głową w stronę studni pośrodku dziedzińca.

– Masz ochotę się napić?

– Dziękuję, nie trzeba. Jak twoja misja?

Ferrin pochylił się, zacierając ręce.

– Tak daleko jak tylko udało nam się dotrzeć konno w wyznaczonym czasie, ludzie gromadnie przyłączają się do rewolty. Większość nie zdaje sobie sprawy, jak beznadziejna jest ta kampania. Niemal wszyscy są gotowi postawić na Gallorana. Będzie miał ludzi potrzebnych do zorganizowania szturmów. I zaopatrzenie, co jest równie ważne.

– Jak szybko?

– Galloran miał nadzieję wyruszyć przed jutrem. Tak się nie stanie. Ale nie będzie potrzebował wiele więcej czasu. Wymaszerujemy na wojnę szybciej, niżbym się spodziewał.

Rachel spojrzała na swoje ręce.

– Nigdy nie wyobrażałam sobie, że wyruszę na wojnę.

– Zawsze współczułem pierwszej armii, która spróbuje uderzyć na Felrook. Zakładałem, że nigdy do tego nie dojdzie. A teraz sam wezmę w tym udział.

– Przynajmniej nie będziemy sami.

Ferrin uśmiechnął się słabo.

– Umrę w dobrym towarzystwie. To pewnie lepszy koniec, niż sobie zasłużyłem.

Rachel przyjrzała mu się w zamyśleniu.

– Co wiesz na temat czatowników?

– Pewnie mniej niż ty. Nigdy żaden nie był w moim śnie ani nie słyszałem żadnego w umyśle.

– Skąd pochodzą?

– Nie z naszego świata – odpowiedział Ferrin. – Ich pochodzenie to doskonale strzeżony sekret.

– Powiedzieli mi, że ich świat przypomina nasze sny. Najwyraźniej nie podoba im się nasza rzeczywistość.

Ferrin pokiwał głową, jakby wiadomość odpowiadała jego wyobrażeniom.

– Zokar sprowadził torivorów do naszego świata i zdobył nad nimi panowanie.

Poddał ich swojej woli. Maldor nosi czarny klejnot, Mroczny Kamień, który jest w jakiś sposób powiązany z torivorami. W jaki sposób ich kontroluje, to tajemnica, ale wiele go to kosztuje. Nigdy nie wysyła ich pochopnie.

– A gdybyśmy ich uwolnili? Czy zbuntowaliby się przeciwko Maldorowi?

Ferrin zarechotał.

– Masz wyobraźnię. Trudno zgadnąć, jak mroczniaki zareagowałyby na wolność. Nikt nie wie dość na ich temat. Może zwróciłyby się przeciwko Maldorowi, może zaczęłyby atakować wszystkich na oślep, a może opuściłyby nasz świat.

– Gdzie są trzymani?

– W Felrook. Nikt nie wie gdzie dokładnie. Nikt nie chce się dowiedzieć. Torivorowie to kłopoty, Rachel. Najgorszego rodzaju. Potrafią wyczuwać nasze myśli. Powinnaś przestać o nich myśleć.

– Nie zapraszałam ich – przypomniała mu.

– Wiem.

Dotknęła amuletu.

– Nie zamierzam zdejmować go w najbliższym czasie.

– To pewnie mądra decyzja. Czy Copernum odwiedzał cię ostatnio?

– Nie. Nie widziałam go od wielu dni.

– Tym lepiej. W żadnym razie nie wolno mu ufać. – Ferrin wstał. – Jakie masz plany na resztę dnia?

– Miałam nadzieję porozmyśleć trochę, może trochę poużalać się nad sobą.

– Nadal ćwiczysz edomicki?

– Aha. Trzy godziny rano. Popracuję jeszcze wieczorem.

Ferrin skinął głową i wsparł ręce na biodrach.

– Próbowałem obmyślić praktyczne zastosowanie dla twoich umiejętności. Chcę zamówić wykonanie paru kul tej samej wielkości co standardowe kule z orantium. Powinniśmy umieścić w środku kamyk, żeby były jak najbardziej podobne do oryginałów. Chcę się dowiedzieć, jak skutecznie możesz nimi manipulować. To mogłoby przydać się w walce.

– Dobry pomysł.

– I zamki. Chcę cię nauczyć jak działają zamki. Cały czas ćwiczysz poruszanie coraz większych przedmiotów. Myślę, że powinnaś także poeksperymentować z delikatnymi rzeczami, wymagającymi finezji. To nie powinno wymagać wielkiej siły, a jedynie wiedzy, gdzie należy pchnąć.

Rachel wyszczerzyła zęby w uśmiechu.

– To może być użyteczne.

– Podejrzewam, że tak. Chcesz spróbować?

– Pewnie.

Ferrin wziął ją za rękę i pomógł wstać.

# Rozdział 12

## Wyspa Wiatrochron

Jason stał przed małą kajutą, szykując się na smród. Zapach wymiocin zawsze przyprawiał go o mdłości, a wyrzucenie z siebie lunchu raczej nie pomoże Corinne poczuć się lepiej. Zgłosił się na ochotnika, żeby przekazać jej wiadomość, bo czuł się winny z powodu niezbyt częstych odwiedzin. Może powinien znaleźć inny sposób okazania troski. Wyprostował się jak żołnierz i zapukał dwiema kostkami dłoni.

– Tak? – rozległa się odpowiedź.

Corinne starała się mówić normalnie, ale nie do końca jej się to udało.

– To ja, Jason. Mogę wejść?

– Chwileczkę. – Usłyszał, że szura stopami. – W porządku.

Jason otworzył drzwi i zastał Corinne siedzącą na podłodze pod ścianą. Jedna ze szpar w podłodze zostawiła ślad na jej policzku, więc wiedział, że leżała wcześniej na podłodze. Włosy miała w strąkach, usta spierzchnięte. Kawał świecącego wodorostu rzucał zielonkawe światło na jej bladą twarz. Zapach nie był tak straszny, jak się spodziewał. Wiadro na wymiociny było puste.

– Nie korzystasz z koi? – zapytał.

Pokręciła ostrożnie głową.

– Na podłodze jest mi lepiej.

Usta jej drżały. Zacisnęła powieki.

– Połóż się.

Kiwając słabo głową, wyciągnęła się na podłodze i przycisnęła do czoła wilgotną szmatkę. Wyglądała jak złana potem, ale może to była wilgoć ze szmatki. Jason patrzył, jak oddycha.

– Coś ci podać? – spytał.

– Wody. Z beczki. W kącie.

Podszedł do baryłki w kącie, podniósł wieko i zanurzył mały cynowy kubeczek. Postawił go obok Corinne na podłodze.

– Wybacz – powiedziała. – Ciężko rozmawiać.

– Nie przejmuj się tym.

Opierając się na łokciu podniosła kubek i napiła się odrobinę. Zamarła, jakby oceniała, jak się czuje, a potem wypila większy łyk. Zaczęła kaszleć, pochyliła się na wiadrze i zwymiotowała.

Jason się odwrócił z burzącym się żołądkiem. Nie dało się uciec od odoru. Kiedy tylko Jason go poczuł, w pokoju nagle jakby zapanował większy upał i ciasnota. Jason zacisnął zęby.

– Przepraszam – powiedziała umęczona Corinne.

– Mną się nie przejmuj – odpowiedział mężnie. – Przykro mi, że tak chorujesz.

Corinne podniosła szmatkę i otarła usta.

– Nie mogę zapanować nad mdłościami. Nie mogę zmusić ich, by minęły. Wszystko, co zjem, prędzej czy później wraca. Zaraz po wymiotach czuję się odrobinę lepiej, ale to nigdy nie trwa długo.

– Mam dobre wiadomości.

Ożywiła się nieco.

– Co takiego?

– Wreszcie wypatrzyliśmy Wiatrochron.

Uśmiechnęła się słabo.

– Stały ląd?

– Stały ląd. Oczywiście, to znaczy, że będziemy musieli stawić czoło Kukle.

– Wszystko, byleby zejść ze statku – jęknęła Corinne. – Kukły, czatownicy, co tylko zechcesz. Widzieliśmy jeszcze jakieś statki?

– Na razie nic. Aram się martwi, że jeśli cesarz poznał cel naszej podróży, to statki mogą się ukrywać po drugiej stronie wyspy.

– Dlaczego to musi być wyspa? – lamentowała Corinne. – Jedyne wyjście z niej to znowu żeglowanie. Jeśli pokonamy Kukłę, może tam zostanę, zamieszkać w bibliotece.

– Wiem, że lubisz książki.

Pokiwała głową i skrzywiła się. Położyła rękę na żołądku.

– Już mam mdłości... To się nigdy nie kończy.

– Odpoczywaj. Niedługo dowieziemy cię na ląd.

Zacisnęła powieki i delikatnie położyła się na boku, opierając głowę na zgiętej ręce.

– Dzięki... za wieści.

Jason wyszedł z kajuty, ciesząc się, że uciekł od odoru wymiocin. Żałował, że nie potrafi jej pocieszyć. Za każdym razem, kiedy ją odwiedzał, miał wrażenie, że Corinne

wolałaby być sama. Albo chciała odpocząć, albo pogrążyła się w swoim cierpieniu. Próbował z nią rozmawiać i pocieszać, ale ostatecznie czuł się jak utrapienie. Nie miał do niej pretensji. Nie cierpiał mdłości. A ona czuła je bez przerwy od prawie tygodnia.

Na pokładzie Jason poszedł na dziób i zerknął na wyspę, szarą w oddali. Jasher też tam stał.

– Ile jeszcze? – spytał Jason.

Jasher zerknął na żagle.

– Wiatr znowu słabnie, a jego kierunek cały czas się zmienia. To może jeszcze potrwać większą część dnia. Albo i więcej.

– Mamy plan? – zapytał Jason.

– Farfalee i Aram mają jakiś pomysł. Zaraz to omówimy. Powinieneś do nas dołączyć.

– Pewnie.

– Jak się miewa Corinne?

– Nędznie.

– Rejs był względnie spokojny – powiedział Jasher. – Nigdy nie będzie z niej żeglarza.

– Myślę, że się z tym pogodziła.

Jasher poprowadził Jasona do Arama, Farfalee, Drake'a, Nii i Hega, którzy stali już razem. Heg nosił wełnianą czapkę, którą znalazł pod pokładem. Był niższy od Jasona, ale szerszy w ramionach i miał większe dłonie. Szczęki oprószył mu siwy zarost.

– Zaczęliście bez nas? – zapytał Jasher.

– Zjawiliście się w samą porę – powiedział Aram, witając Jasona skinieniem głowy.

– Pierwsze nasze zadanie to okrążyć wyspę. Nie spodziewam się zastać wrogich statków kryjących się po drugiej stronie, ale nie możemy ryzykować, że zostaniemy zaatakowani z morza podczas walki z Kukłą na lądzie.

– Zgadzam się – przytaknął Jasher.

– Po zakotwiczeniu proponuję wysłać na brzeg dwie szalupy – mówił dalej Aram. – Jedna przybije do brzegu, druga poczeka na wodzie. Załoga pierwszej zajmie Kukłę i zorientuje się, z czym właściwie mamy do czynienia. W drugiej znajdzie się Jason, Jasher i Farfalee. Jeśli uda nam się zatrzymać albo powstrzymać Kukłę, tamci mogą spróbować dotrzeć do biblioteki. W przeciwnym razie przynajmniej zobaczą, z czym mamy walczyć.

– Ludzie z pierwszej szalupy będą przynętą? – zapytał Jason.

– W pewnym sensie – odpowiedział Aram. – Będą walczyć, żeby utrzymać Kukłę na dystans.

– Kto popłynie w pierwszej szalupie? – spytał Jasher.

– Ja. Poprowadzę grupę drinlingów – wyjaśnił Aram.

– Jesteś naszym kapitanem! – wykrzyknął Jasher. – Nie możemy sobie pozwolić na

utrata ciebie.

– Tak samo uważam – wtrącił Drake.

Aram pokręcił głową.

– Mam najlepszą zbroję, największy zasięg i największy miecz. Obiecuję nie narażać życia. Chcę pomóc chronić innych i przyjrzeć się wrogowi z bliska.

– Aram zbyt poważnie traktuje rolę kapitana – uznał Drake. – Przystaje uważać na siebie, jest gotów pójść na dno razem ze statkiem.

– Nie zamierzam umierać na Wiatrochronie – powiedział Aram. – Jest czas na ostrożność i jest czas na działanie. Kwestia Kukły wymaga działania. Jeżeli opłyniemy wyspę przed zmierzchem, wyjdziemy na ląd wieczorem. W przeciwnym wypadku dotrzemy do wybrzeża przed świtem.

– Mógłbyś patrzeć z drugiej szalupy, jak atakujemy potwora – zasugerował Aramowi Heg. – Jesteś wśród wybrańców wymienionych w prorocестве. Nie możemy ryzykować, że cię stracimy. Powinieneś przeanalizować naszą potyczkę i poprowadzić drugą drużynę.

Jason pomyślał o tym, co Farfalee mówiła na temat zapła, z jakim drinlingowie są gotowi się poświęcić. Bat zaryzykował życie dla grupy, tak samo jak drinlingowie na murach. Czy to w porządku wykorzystywać tę cechę, pozwalając, by zgłaszali się do najbardziej niebezpiecznych zadań? Jason zastanawiał się, czy nie powinien zgłosić się na ochotnika do pierwszej grupy.

Aram pokręcił głową.

– Jestem najlepiej wyposażony do tej walki. Przyprowadziłeś ze sobą dobrych mężczyzn i dobre kobiety, Heg. Szanuję ciebie i szanuję ich. Nie będę siedział i patrzył, jak giniecie, skoro mogę pomóc temu zapobiec. Jeżeli zostałem wymieniony w prorocестве, tym bardziej powinienem wziąć w tym udział.

– Ja dołączę do drużyny Arama – powiedział Jasher. – Po co zakładać porażkę? Może uda nam się pokonać Kukłę za pierwszym podejściem.

Jason patrzył to na Jashera, to na Arama. Nie chciał, żeby drinlingowie zginęli, i nie chciał też, żeby przyjaciele ryzykowali. Czy istniała inna możliwość? Może zdołałby im pomóc! Dlaczego zawsze ma siedzieć z boku?

– Ja też z wami popłynę – powiedział.

– Przykro mi, Jasonie – zaprotestowała Farfalee. – Jestem pewna, że na pewno wiele byś dokonał, ale jesteś ostatnią osobą, której życie możemy zaryzykować.

Jasonowi nie podobało się, że tak automatycznie mu odmówiła.

– Mam dość chowania się za plecami innych. Aram dobrze to ujął. Może ci z nas, którzy zostali wymienieni w prorocестве, ponoszą większą odpowiedzialność i powinni brać udział w takich właśnie zadaniach.

– Będziesz miał swoją szansę – zapewnił go Jasher. – Zgadzam się jednak z moją żoną, że możemy narażać cię tylko, kiedy to najbardziej niezbędne. Nie chowasz się za



nikami. Wszyscy mamy swoje obowiązki. Każdy na tym statku ryzykuje wszystko. Nie martw się. Aram i ja będziemy uważać. Żaden z nas nie śpieszy się, by oddać życie.

– Popieram – burknął Aram.

Jason uznał, że lepiej się wycofać. Skoro nikt go nie popierał w tej kwestii, nic dobrego nie wyniknie z narzekania. Chociaż jakaś część jego osoby była zawstydzona tym, że odrzucono jego ofertę, w głębi ducha ulżyło mu, że uniknie niebezpieczeństwa.

– Może jedna drużyna to za mało – zastanawiała się na głos Nia. – Nie powinniśmy zaatakować Kukły większą siłą? Żeby przytłoczyć ją przewagą liczebną?

Farfalee pokręciła głową.

– Gdyby liczba stanowiła rozwiązanie, inni już dawno by go zniszczyli.

– Czyli ośmioro nas ma odnieść zwycięstwo tam, gdzie zawiodłaby armia? – upewnił się Drake.

– Przekonamy się, z czym mamy do czynienia – powiedział Aram. – Sprawdzimy skuteczność naszej broni, obuchów, ostrzy i pocisków. Wezmę orantium.

– Ciekawe, czy Corinne pożyczyci mi swój miecz – zastanawiał się Jasher.

– Ja ci pożyczę – zaoferował Jason.

Jasher pokręcił głową.

– Jeśli wyjdiesz na ląd, sam będziesz go potrzebował.

– Pewnie nie będzie szansy, żeby druga drużyna wyszła na brzeg – powiedziała Farfalee. – Gdyby prosta dywersja mogła zadziałać, już dawno ktoś dotarłby do biblioteki. Zgadzam się, że powinniśmy sprawdzić się w walce z Kukłą, ale jeśli okaże się niepokonana, pierwsza drużyna powinna się wycofać.

– Nie wyrywam się do ponownej śmierci – zapewnił ją Jasher.

– Strażnik może się przekształcać? – upewnił się Heg.

– Wierzmy, że to właśnie potrafi – potwierdził Aram. – Według Ferrina Kukła potrafi naśladować właściwości każdej substancji, której dotknie. Musimy przekonać się, jak to działa w praktyce, poszukać słabego punktu.

– Macie pojęcie, na jaką odległość od wyspy może się oddalić Kukła? – zapytał Drake.

– Wiemy, że nie może opuścić wyspy – odpowiedziała Farfalee. – W przeciwnym wypadku zrobiłaby to już dawno temu. Nie mamy jednak pojęcia, jak daleko może zapuścić się w morze.

Aram zatarł zżwawo rękę.

– Jest tylko jeden sposób, żeby się przekonać. Jeżeli skończyliśmy naradę, to muszę sprawdzić nasz kurs.

– Dobrze więc – zgodziła się Farfalee. – Nie chcę ryzykować utraty nikogo z naszych szeregów, ale obawiam się, że ryzyko pozostanie naszym nieodłącznym kompanem przez resztę podróży.

– Dołączę do Jasona i Farfalee w drugiej szalupie – powiedział Heg. – I podzielę pozostałych drinlingów na dwie drużyny.

Narada się skończyła i wszyscy się rozeszli. Jason poszedł na dziób, by popatrzeć na wyspę. Słona bryza wiała przeważnie ze wschodu, czasem z południowego wschodu, a z rzadka z północnego wschodu. Niekiedy *Waleczny* obracał się do wiatru pod kątem, z żaglami tak ustawionymi, żeby ciął wodę, płynąc przed siebie. Na niektórych odcinkach wiatr pchał okręt od tyłu, umożliwiając mu utrzymanie dobrego tempa. Żagle często poprawiano, fale uderzały o burty bez końca.

Perspektywa walki z Kukłą sprawiała, że Jason cierpliwie patrzył, jak Wiatrochron się przybliża. Wiedział, że muszą tam dotrzeć przed wrogiem, ale jakaś częśćka jego osoby wcale się do tego nie śpieszyła. A jeżeli stwór zabije Arama, Jashera i resztę ich drużyny? Jason zmarszczył brwi. A jeśli stwór wejdzie do wody i pozabija też ludzi z jego szalupy? Jason nie śpieszył się do poznania odpowiedzi na te pytania.

Z całą pewnością wiedzieli tylko to, że Kukła potrafi przekształcać się w różne substancje i że od czasów Eldrina obawiali się jej najpotężniejsi ludzie w Lyrianie. Z obecnej pozycji Wiatrochron wyglądał niewinnie, ale Jason wiedział, że może okazać się jego cmentarzem.

Z każdą godziną wyspa nabierała ostrości. W końcu ptaki lądowe zaskrzeczały nad statkiem; niektóre miały czarne upierzenie i czerwone nóżki, inne były białe z szarymi ogonami. Przed wieczorem Jason był w stanie odróżnić plaże, drzewa i poszczerbione wzgórza. Dostrzegał też ogromne kopuły olbrzymiego budynku górujące nad wierzchołkami drzew na wschodnim krańcu wyspy, w pobliżu grzbietu długiego stoku. Jasher potwierdził, że kolosalna budowla to rzeczywiście Celestynowa Biblioteka. Podobno wewnątrz czekała informacja o miejscu pobytu Dariana Piromanty.

Kiedy światło zgasło, Aram poprowadził statek szerokim kołem wokół wyspy. Wiatrochron miał kilka mil długości i przynajmniej parę mil w poprzek, ze stromymi klifami od północno-zachodniej strony i kilkoma długimi piaszczystymi łachami od południowego zachodu. Wszyscy na pokładzie czuwali, ale nie znaleźli żadnych ukrytych statków wroga. Zakotwiczyli *Walecznego* po wschodniej stronie wyspy, w pobliżu nieskazitelnej plaży z białym piaskiem. Światło księżyca sprawiało, że plaża wyglądała wręcz upiornie, i odbijało się od pięciu kopuł widocznych w górę od wybrzeża. Dwie największe kopuły przyćmiewały pozostałe trzy. Kiedy Jason przyglądał się bibliotece w blasku księżyca, podeszła do niego Farfalee.

– Niezły widok – powiedziała.

– Byłaś tu wcześniej?

– Nie. Kukła już tu mieszkała, kiedy stworzono naszą rasę. Potworność jest bardzo stara.

– Na tyle stara, żeby osłabnąć?

– Mielibyśmy wtedy spore szczęście, co? Jutro będziemy wiedzieć znacznie więcej.

- Wyglądałem Kukły przez cały dzień. Niczego nie wypatrzyłem.
- Wszyscy pełniliśmy wartę. Stwór się nie pokazał. Spodziewam się jednak, że jest świadomy naszej obecności.
- Jakiego rodzaju książki znajdują się w bibliotece? – zapytał Jason.
- Wiele na ten temat spekulowano. Z pewnością zbiór zawiera większość najstarszych zapisków, jakie przetrwały w Lyrianie. Wiele z nich spisano w sulcriksie, fonetycznym zapisie języka edomickiego. Nawet litery będą dla większości nie do odcyfrowania. Część tekstów będzie w obecnym wspólnym języku.
- Potrafisz czytać sulcriks?
- Pokiwała głową.
- Drake potrafi w miarę czytać w tym języku. Jasher mniej. Ja posługuję się biegle dwunastoma językami. Większość z nich jest znana tylko uczonym, niektóre z nich są martwe. Moją najbardziej oczywistą rolą w tej misji będzie znalezienie informacji, której tu szukamy.
- To mi wygląda na naprawdę sporą bibliotekę – zauważył Jason.
- Jest rozległa – zgodziła się Farfalee. – Zokar chciał odciąć wrogom dostęp do informacji, nie niszcząc tekstów, dlatego uwięził tu Kukłę. Najpewniej zamierzał przenieść ją gdzie indziej, kiedy już jego wrogowie zostaną pokonani.
- Ale przegrał, więc od tej pory Kukła strzeże tego miejsca.
- Farfalee odwróciła się do Jasona.
- Powinieneś odpocząć. Jutrzejszy dzień będzie pełen atrakcji.
- Jason pokiwał głową.
- Chyba rzeczywiście powinienem.

\*\*\*

Zanim Drake obudził Jasona potrząśnięciem, szalupy już spuszczone na wodę. Do wschodu słońca brakowało jakiejś godziny. Chcieli dotrzeć na brzeg, mając już światło na niebie, ale zanim wschód słońca pomniejszy Arama.

Pozostali kończyli śniadanie z niesłodzonej owsianki. Jason przyjął miskę ciepłej papki i zaczął pośpiesznie jeść.

– Ranek jest cichy – zauważyła Nia, patrząc na wyspę. – A jeśli Kukła się nie pokaże?

– Nie chcę odchodzić daleko od plaży przy tym pierwszym wypadzie – powiedział Aram, poprawiając skórzany płaszcz na ciężkiej kolczej koszuli. – Jeśli Kukła zamierza się chować, to obmyślimy inną strategię. Najlepiej wycofajmy się, zanim światło słoneczne mnie osłabi.

Jason przełknął ostatnie kęsy owsianki, zanim zszedł po sznurowej drabinie na jedną

z szalup. W każdej wygodnie pomieściło się osiem osób. Farfalee, Drake, Nia i Heg siedzieli w jego szalupie. Dołączyła do nich trójka drinlingów, dwójka siadła przy wiosłach.

Aram i Jasher znaleźli się w drugiej szalupie razem z szóstką drinlingów, w tym Uxem. Zoo była jedyną kobietą drinlingów wybierającą się na brzeg.

Szalupy odpłynęły od *Walecznego* w stronę piaszczystej plaży. Fale były wyraźne, kołysały delikatnie szalupami, ale nie mogły konkurować z bałwanami na pełnym morzu. Spieniona woda rzadko sięgała wyżej niż na osiemnaście cali, kiedy uderzała o brzeg. Wioślarze mieli jednak trochę kłopotów z manewrowaniem szalupami.

Znajdowali się z grubsza sto jardów od plaży, kiedy ciemna postać wyszła na piasek. Z kształtu przypominała czatownika – gładki, ludzki kształt bez twarzy. Jednakże na tym kończyły się podobieństwa. Chociaż stwór nie był niezgrabny, nie poruszał się z gracją cienia jak torivor. Kołysał się lekko, idąc do przodu, i rozrzucał piasek przy każdym kroku. Uformowany z czerwonawobrazowego drewna stwór był większy od torivorów, których Jason widział.

– To Kukła? – spytała Nia. – Nie robi wrażenia takiej groźnej.

Drewniana postać przystanęła pośrodku plaży i zastygła w idealnym bezruchu z rękami przy bokach, obrócona w stronę szalup. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Trzymajcie się z tyłu! – zawołał z pierwszej szalupy Aram. – Obserwujcie go uważnie.

– Nie wchodzi do wody – mruknął Drake. – To dobry znak.

– Nie wyciągaj na razie wniosków – przestrzegła go Farfalee, kładąc strzałę na ciężkim łuku.

Szalupa Jasona kołysała się na falach w miejscu, a łódź Arama śmignęła w stronę brzegu. Kukła nie wykonała żadnego ruchu, kiedy szalupa zbliżała się do plaży. Łódź zachręściła na piasku i ludzie z niej wysypali się na brzeg, z bronią wysoką uniesioną, kiedy brnęli z pluskiem przez płyciznę. Jeden potężnie zbudowany drinling został w szalupie, gotowy do szybkiego odwrotu.

Aram, Jasher, Ux, Zoo i trzech innych drinlingów rozsypali się wachlarzem i zaczęli podchodzić do Kukły luźnym półokręgiem. Jasher wyciągnął pożyczony od Corinne torivorański miecz. Drewniana postać pozostała nieporuszona. Bardziej przypominała stracha na wróble z wyrzuconego przez morze drewna niż przerażającego wroga. Bezruch wyprowadzał z równowagi, ponieważ wcześniej wszyscy widzieli, że się rusza. Unosząc pięść, Aram dał znać, żeby drużyna się zatrzymała.

Kiedy tamci stanęli w luźnym półkolu przed Kukłą, Jason zauważył, że stwór przewyższa ich o co najmniej dziesięć stóp, przez co Aram wyglądał jak najwyższe dziecko w grupie malców. Farfalee przyciągnęła strzałę do policzka. Jason chwycił się nadburcia.

Aram zabrał dwie kule orantium. Zważył jedną w rękę i cisnął nią w nieruchomą

Kukłę. Dobrze celował, ale drewniana postać zrobiła unik i kula wylądowała na piasku, nie pękając. Farfalee wypuściła strzałę, trafiając stwora w pierś. Grot po prostu w niej utkwiał. Stwór nie okazał, żeby strzała w czymkolwiek mu przeszkadzała, i zaatakował Arama. Drinlingowie zwarli szeregi po obu stronach kapitana, żeby pomóc mu stawić czoło stworowi.

Kukła była szybka. Jedna jej noga wystrzeliła i trafiła Arama prosto w pierś. Półobrzym przekoziółkował po piasku z brzękiem kolczugi, nie wypuszczając z ręki miecza. Drinling zamachnął się toporem, celując w biodro Kukły, zanim oberwał w głowę jak pałką drewnianą ręką. Kukła, zbijając kolejny zamach mieczem, kopniakiem odrzuciła następnego wojownika, który zwinął się wpół i przeleciał nad plażą.

Jasher, Ux i Zoo znajdowali się na końcu półokręgu, dalej od Arama, i zaatakowali Kukłę od tyłu. Ux uderzył maczugą w udo stwora, z hałasem rozszczepiając drewno. Zoo zanurkowała nisko, atakując kostkę dwiema siekierkami. Kukła obróciła się i wzięła potężny zamach do ciosu na odlew. Idealnie wymierzonym w czasie ciosem Jasher odciął drewnianą dłoń w nadgarstku. Odcięta ręka zamieniła się w proch w powietrzu.

Zrzucając z siebie Zoo, Kukła zatoczyła się do tyłu. Nowa dłoń natychmiast się uformowała, a pęknięcia i szramy na nodze zamknęły.

– Stwór stracił na wielkości, żeby odbudować rękę? – zapytała Farfalee, zerkając przez lunetę. – Myślę, że kiedy ręka została obcięta, stracił część masy.

– Czyli naprawił się – powiedział Drake. – Uformował rękę z materiału z innej części ciała.

– Będziemy musieli go niszczyć po jednej dłoni na raz? – zapytał Jason.

– Mam nadzieję, że nie – mruknęła Farfalee. – Jest szybki i silny.

Kolejny drinling zaatakował Kukłę. Złapała jego młot bojowy za trzon tuż poniżej obucha i ręką uderzyła drinlinga w twarz. W okamgnieniu stała się połyskliwie biała. Obalony drinling z trudem wstał, ocierając rękawem twarz. Ściskając złapany młot bojowy, Kukła cofnęła się, żeby wszyscy przeciwnicy znaleźli się przed nią, i znowu zamarała.

Aram wstał, tak samo jak drinling, który dostał po głowie. Drinling, którego stwór kopnął, leżał nieruchomo na boku na białym piasku.

– Zamienił się w piasek? – zapytał Drake.

– Nie sędzę – odparła Farfalee. – Ten sam kolor, ale inna faktura.

– Szkliwo nazębne – zdał sobie sprawę Jason.

– Kukła uderzyła Kaya w usta i zaraz się przekształciła – powiedział Drake.

– Szkliwo nazębne! – krzyknęła Farfalee, na wypadek gdyby przyjaciele na plaży sami się nie domyślili.

Aram cisnął kolejną kulą z orantium. Kukła rzuciła młotem bojowym. Oba

przedmioty zderzyły się w powietrzu. Eksplozja była odczuwalna w promieniu co najmniej dziesięć jardów – powaliła Arama i dwóch drinlingów.

Kukła zaatakowała tych, którzy nadal stali. Drinlingowie i Jasher cofnęli się i rozpięchli, a ci, którzy znajdowali się po bokach, próbowali zająć ją od tyłu. Aram też się podniósł i rzucił do walki. Strzała Farfalee odbiła się od ramienia Kukły, tworząc na nim niewielką rysę.

Szkliwiona postać odkopnęła Zoo na bok i dwiema rękami złamała kark innemu drinlingowi. Z maczugą w gotowości Ux podszedł nisko i uderzył Kukłę w goleń, roztrzaskując jej dolną część nogi. Stopa i dolna część goleni zamieniły się w proch, zostawiając tylko wyszczerbiony kikut. Kukła wbiła ostry kikut w Uxa, który zacharczał i zadygotał konwulsyjnie.

Jasher wyskoczył zza stwora, biorąc zamach torivorańskim mieczem w straszliwym ciosie wyprowadzonym obiema rękami. Kiedy tylko ostrze trafiło Kukłę w pas, przybrała lśniący metaliczny kolor. Jason miał nadzieję ujrzeć śmiertelny cios, ale z przerażeniem zdał sobie sprawę, że Kukła zamieniła się w torivorańską stal.

Drinling z toporem rąbnął w udo stwora z głośnym brzękiem. Topór wypadł mu z rąk odrobinę wyszczerbiony. Strzała Farfalee odbiła się z brzękiem od głowy Kukły. Siekierka rzucona przez Zoo odbiła się z brzękiem od piersi stwora. Żaden z ciosów nawet nie zadrasnął lustrzanej powierzchni.

Dolna część nogi i stopa odrosły, a sama Kukła nieco zmalęła. Stwór chwycił najbliższego drinlinga i rozdarł go na pół. Poruszał się teraz rwanymi ruchami, jego metalowe stawy piszczały, jakby stawiały opór ruchowi. Jednakże to go prawie wcale nie spowolniło.

– Wycofać się! – krzyknął Aram.

Czterech drinlingów już padło. Tylko Jasher, Zoo, Aram i drinling czekający przy łodzi nadal stali. Kiedy Zoo i Aram popędzili do szalupy, Jasher śmignął w przeciwnym kierunku i podniósł z piasku kulę orantium, która nie wybuchła. Kukła ścigała Arama i Zoo. Czekający na brzegu drinling zepchnął szalupę na wodę. Aram i Zoo z pluskiem wpadli na płyciznę.

Kukła przystanęła na skraju wody. Jasher trafił ją od tyłu kulą z orantium. Nastąpił rozbłysk wybuchu, ale strażnik wyspy pozostał nietknięty. Odwrócił się, żeby rzucić się za Jasherem. Nasiennik popędził po piasku, równoległe do wody. Kukła starała się dotrzymać mu kroku mimo skrzypiących stawów, ale niewiele dały jej znacznie dłuższe nogi, skoro nie była w stanie przebierać nimi dostatecznie szybko. Jasher wysforował się i popędził płycizną, a potem dał nura i popłynął przed siebie.

Aram pomógł przysadzistemu drinlingowi, który wcześniej czekał przy szalupie, podpłynąć do Jashera. Nasiennik wspiął się do łodzi z mieczem w dłoni. Kukła kręciła się w tę i z powrotem wzdłuż skraju wody, metalowe stopy zanurzały się głęboko w wilgotny biały piasek przy każdym kroku, a stawy piszczały jak torturowane delfiny.

Jason wreszcie odrobinę się uspokoił. Pod koniec walki pomyślał, że Jasher na pewno zginie, i martwił się, czy Kukła nie zmiażdży jego amara. Na białej plaży leżało czterech drinlingów, w miejscu, w którym polegli.

Szalupa Arama zbliżała się do łodzi Jasona. Aram miał zadrapany policzek i rozcięte czoło. Ogromna opuchlizna zniekształciła bok twarzy Zoo. Jedno oko tak jej zapuchło, że przestała na nie widzieć.

– Opinie? – zapytał Aram, ocierając krew z oczu.

– Mamy kłopoty – powiedział jak odrętwiały Jason.

– Na początku bawiła się z wami? – zapytał Drake.

– Tak to wyglądało – odpowiedział Jasher. – Mogła się zamienić w żelazo za pierwszym razem, kiedy trafiliśmy ją bronią. Od razu byłoby po walce.

– Może na początku starała się zachować szybkość i giętkość – zgadywała Farfalee. – Drewno jest dość odporne, a porusza się z większym wdziękiem.

– Myślałem, że ją załatwiłem – smucił się Jasher. – Chciałem ją przeciąć na pół. Niestety, kiedy tylko moje ostrze jej dotknęło, Kukła się przekształciła. To się stało w okamgnieniu.

– Jeśli będzie to robiła za każdym razem, co nam zostaje? – zamartwiał się na głos Jason. – Po tym, jak Kukła zamieniła się w stal, natychmiast wygrała walkę!

– Ten stwór jest silny – powiedział Aram. – Kiedy kopnął mnie w pierś, to było jak cios drewnianym młotem. Cios nie padł pod kątem prostym, a mimo to, mógłby mnie zabić, gdyby nie kolczuga i płaszcz.

– Drinlingowie potrafią przyjąć cięgi – powiedział Heg. – Nie zabijesz nas ciosem w brzuch. Ale to coś zabiło Ibe'a jednym kopniakiem.

Jason spojrzał na plażę. Starał się nie gapić na ciała. Kilka minut temu wszyscy byli żywi i cali. Ci twardzi drinlingowie wypadli na plażę gotowi do walki, ale Kukła zabiła ich tak bezlitośnie, tak łatwo. Gdyby pozostali nie odbiegli, też leżeliby martwi.

Farfalee podała Aramowi biały bandaż. Przyłożył go do czoła, mówiąc:

– Wiedzieliśmy, że będzie ciężko. Początkowo nabrałem nadziei, kiedy Jasher odciął rękę. Wyobraziłem sobie, jak odcinamy kończynę po kończynie, pomniejszając bestię, aż nie zostanie z niej nic. Jednak po tym, jak Ux odciął mu stopę, stwór zaczął walczyć na poważnie. Torivorańskie ostrze może go zaskoczyło za pierwszym razem, ale ewidentnie, jeśli zechce, Kukła potrafi błyskawicznie stać się substancją, którą ją atakujemy. Teraz rozumiem, dlaczego wszyscy trzymają się z dala od tej wyspy.

– Patrzcie – powiedziała Zoo.

Na plaży Kukła przykucnęła nad Uxem i zaczęła go badać. Lśniący, metalowy potwór stał się złotoskóry, potem czerwony jak mięśnie, biały jak kość, brązowy jak wyprawiona skóra i na końcu czarny jak żelazo maczugi. Z wrzaskiem metalu Kukła się wyprostowała.

– Lite żelazo – biadoliliła Nia. – Jak walczyć z litym żelazem?

Jason pokręcił głową. Nie potrafił odpowiedzieć.

– Mamy szczęście, że ktokolwiek z nas to przeżył – powiedział Jasher. – Straciliśmy dobrych ludzi. Uciekliśmy tylko dzięki wodzie.

– Biblioteka musi znajdować się co najmniej milę w głąb lądu – powiedział Jason.

– Niestety, czekające nas zadanie okaże się równie trudne, jak się spodziewaliśmy – powiedziała Farfalee. – Powinniśmy wrócić na *Walecznego* i się naradzić.

Drake zaśmiał się ponuro.

– Obawiam się, że jedynym tematem będzie wybór sposobu, w jaki zginiemy.



# Rozdział 13

## Ostateczne przygotowania

W długiej stajni mieściło się ponad sto koni, a wszystkie były wspaniałymi okazami, wierzchowcami dla elity z Trensicourt. Rachel krążyła środkowym przejściem, zerkając na prawo i lewo, wypowiadając półgłosem edomickie frazy do tych, które najbardziej ją interesowały. Galloran pouczył ją, żeby wybrała sobie konia zgodnie z życzeniem, a ona chciała takiego, który ciepło zareaguje na jej polecenia.

Tark stał na jednym końcu stajni, Io na drugim. Żaden dziś z nią nie rozmawiał. Rachel nosiła swój czarny strój z woalką. Miała teraz trzy podobne komplety i zawsze wkładała jeden z nich, gdy pokazywała się publicznie. Przynajmniej pod jednym względem kostium sprawdzał się aż za dobrze – z każdym dniem Io i Tark patrzyli na nią z coraz większą nabożną trwogą.

Rachel przystanęła obok dużej jabłkowej klaczy. Nauczyła się wielu poleceń w Mianamon, ale spróbowała czegoś prostego, wkładając jedynie odrobinę woli w sugestię. Koń cofnął się zgodnie z poleceniem. Rachel wydała kolejne instrukcje i bez oporu czy wahania klacz stanęła dęba, pochyliła się, zatupała prawą nogą, potem lewą i na koniec powąchała źdźbło słodkiej trawy leżące na dłoni Rachel, ale go nie zjadła. Rachel prawie w ogóle nie musiała naciskać. Klacz najwyraźniej z radością spełniała polecenia.

Rachel pogłaskała ją i powiedziała, żeby jadła.

– Moja dziewczynka. Jesteś większa, niż planowałam, ale to właśnie ciebie szukałam. Siwa z szarymi plamami... Co powiesz na Śnieżynkę? Wiem, że pewnie masz już inne imię, ale Śnieżynka może być twoim przezwiskiem.

– Nedwin idzie – rzucił Io.

– Dobrze – odpowiedziała Rachel ze swojego miejsca w przejściu. – Myślę, że

właśnie znalazłam sobie konia.

Wysoki rudzielec wszedł do stajni i ruszył do niej długimi krokami.

– Znalazłaś stosownego wierzchowca?

– Lepiej niż stosownego – odpowiedziała Rachel, odsuwając woalkę.

Nedwin podszedł i przyjrzał się klaczy.

– Wygląda na dobry wybór.

– I jest mądra.

– Mądre bywają narowiste.

– Nie Śnieżynka. Rozumiemy się.

– Król pragnie z tobą porozmawiać. Ferrin ma nowiny.

Opuściwszy woalkę, Rachel wyszła za Nedwinem ze stajni. Przez wzgląd na nią wszyscy opuścili budynek, więc teraz beczynni pomocnicy stajennego patrzyli, jak cała czwórka odchodzi.

– To dobre nowiny? – zapytała Rachel, kiedy weszli do zamku.

– Nie jestem pewien – odpowiedział Nedwin – ale sądząc po jego zachowaniu, nic strasznego.

Minęli wielu żołnierzy w drodze do wieży Gallorana. W połowie kręconych schodów sześciu gwardzistów odsunęło się, umożliwiając Nedwinowi podejście do solidnych wzmacnianych żelazem drzwi. Nedwin otworzył je kluczem i wprowadził pozostałych.

Galloran, Ferrin, Nollin i Kerick już na nich czekali. Galloran nosił przepaskę na oczach.

– Tajemnicza Dama w Czerni – powitał ją Ferrin z kpiarskim uśmiechem.

Rachel odsunęła woalkę.

– Ha-ha.

– Tytuł już przylgnął – wtrącił zadowolony z siebie Nollin.

– Tytuł?

– Mroczna Dama Gallorana – podsunął Nollin.

Rachel nigdy nie słyszała, żeby ktokolwiek tak o niej mówił, ale niemal każdy, kogo spotkała poza Tarkiem i Io, zwracał się do niej „milady”.

– To odrobinę żenujące – powiedziała, zdejmując kapelusz.

– Na tym polega umiejętność władania krajem – upierał się Nollin. – Wszyscy mamy rolę do odegrania, żeby dodać prawomocności nadchodzącej kampanii. Król Galloran to święty bohater, który odnowił królewskie panowanie. Nedwin jest wiernym giermkim, który wpadł w sidła wroga, a teraz został ponownie umieszczony na wpływowym stanowisku. Kerick i ja jesteśmy szlachetnymi lordami Amar Kabal, którzy zjawili się, by zapewnić poparcie swoich ludzi dla sprawy. Io jest księciem drinlingów, którego obecność sugeruje poparcie ze strony kolejnej starożytnej rasy.

– A ja jestem wstydliwym sekretem – powiedział Ferrin.

Nollin uniósł palec, żeby się sprzeciwić.

– Gdyby twoja lojalność kiedykolwiek została podana w wątpliwość, jesteś tym, który zdradził nam wszystkie tajemnice obrony Maldora.

– A Tark? – zapytał Ferrin.

– Plebejusz wyniesiony na odpowiedzialne stanowisko – odparł gładko Nollin. – Dowód, że król Galloran docenia wkład prostych ludzi w nadchodzącej walce.

– Nollinowi nie jest obca polityka – powiedział Galloran, powstrzymując uśmiech. – Mamy szczęście, że pracuje po naszej stronie. Copernum i inni zdrajcy na dworze nie mają pojęcia, co o nim myśleć.

– Wszyscy wykorzystujemy swoje talenty tam, gdzie najbardziej się przydają – odpowiedział pokornie Nollin, wyraźnie zadowolony z pochwały.

– Wezwałem was wszystkich, ponieważ jesteśmy gotowi do wojny – ogłosił Galloran. – Nasze zastępy ruszą o świcie. Jednak dwie osoby muszą zostać tutaj.

Nikt się nie odezwał.

Rachel spojrzała po pozostałych. Nollin był najlepszym kandydatem do pozostania w Trensicourt i rozgrywania politycznych gier. Ale kto jeszcze? Nie chciała zostać oddzielona od kolejnych przyjaciół.

– Trensicourt pozostanie odsłonięte w czasie naszej nieobecności – powiedział Galloran. – Martwię się zdradą od środka i atakiem z zewnątrz. Zostawię dość żołnierzy, żeby obsadzić mury i zamek, ale niewiele więcej. To będzie niezbędne minimum. Trensicourt w znacznie mierze będzie musiało polegać na sile swoich murów i uwadze, jakiej będzie wymagała od wroga nasza ofensywa. Te dwa elementy powinny wystarczyć, jeśli zabezpieczymy miasto przed atakiem od wewnątrz.

– Kto ma zostać? – zapytał Io.

– Chciałbym was wszystkich zabrać ze sobą – powiedział Galloran – ale konieczność wymaga czegoś innego. Po długim zastanowieniu postanowiłem wynieść Nedwina na diuka Geer i ustanowić go regentem na czas mojej nieobecności, w pełni upoważnionym do zajmowania się sprawami królestwa.

Nedwin pobladł pod piegami.

– To zbyt wielki zaszczyt, Najjaśniejszy Panie. Błagam, pozwól mi zostać u swego boku.

– Żaden zaszczyt nie jest zbyt wielki dla mojego najwierniejszego sługi. Twój ród został ograbiony z tytułu przez Copernuma. Z tego powodu utworzyłem dla ciebie księstwo. Chociaż nie mogę ścierpieć myśli o utracie najlepszego zwiadowcy przed wyruszeniem na pole bitwy, potrzebuję na tronie człowieka, któremu mogę zaufać. Brin musi pojechać ze mną na wojnę. Przy oblężeniu jego umiejętności inżynierskie mogą się okazać kluczowe. Nicholas ma umysł do tej roboty, ale nie ciało. Będzie ci służył jako jeden z doradców, a jego kontakty pozostaną do twojej dyspozycji. Tarkowi brakuje doświadczenia w sprawach państwa. I z oczywistych powodów regentem nie

może zostać nasiennik, drinling czy rozsadnik. To musi być ktoś z naszego królestwa.

Nedwin był zboląły.

– Oczywiście. Jestem na twoje rozkazy, Najjaśniejszy Panie.

Rachel współczuła Nedwinowi, który sprawiał wrażenie całkowicie zdruzgotanego. Będzie za nim tęsknić; wiele razy udowodnił, że zawsze można na nim polegać. Mając go w pobliżu, wszyscy byli bezpieczniejsi. Musiała jednak przyznać, że był to raczej dobry wybór. Nikt nie był bardziej lojalny wobec Gallorana niż Nedwin.

– To zadanie nie będzie łatwe – zapewnił go Galloran. – Z mojego rozkazu Copernum i paru jego popleczników mieli przygotować się do wyruszenia na wojnę. Wszyscy jednak zachorowali, padli ofiarą osłabiającej gorączki.

– Wymówka – warknął Nollin. – Ten zbieg okoliczności jest zbyt dogodny.

– Copernum zna różne sposoby, żeby wywołać podobne symptomy – dodał Nedwin.

– Niemniej, nie mogę zmusić chorych ludzi do wyjazdu na wojnę – powiedział Galloran. – Niezależnie od przyczyny objawy wyglądają na prawdziwe. Brakuje nam czasu i sposobu, żeby zdemaskować ich podstęp. Zabiorę większość ich ludzi, zostawiając im tylko straż domową. Nie muszę jednak podkreślać, jak niebezpieczne mogą być te zmije dla królestwa, kiedy tylko odwrócę się do nich plecami.

– Obronię królestwo, Najjaśniejszy Panie – przyrzekł Nedwin.

– Znam twoje uczucia wobec Copernuma. Są całkowicie zasadne. Nie podejmuj żadnych działań przeciwko niemu niesprowokowany. Gdybyś go jednak przyłapał na spisku, masz pełne prawo wymierzyć sprawiedliwość i karę.

– Jak sobie życzysz, Najjaśniejszy Panie.

– Nie zamierzam zostawić cię bez przyjaciół – powiedział Galloran. – Nollinie, nie mogę ci rozkazywać, ale zważywszy na twoją biegłość w sprawach państwa i kontakty, które już tu nawiązałeś, czy zechcesz rozważyć prośbę pozostania z Nedwinem, by pomagać mu w nadzorowaniu królestwa podczas mojej nieobecności?

– Twoje zaufanie zdumiewa mnie, panie – odpowiedział Nollin.

– Wiem, że Amar Kabal są lojalni i uczciwi, i widziałem, że jesteś bardziej oddany niż większość. Różniliśmy się w przeszłości, ale wiem, że nie chcesz widzieć, jak Maldor zajmuje to królestwo.

Nollin złożył ręce na kolanach.

– Prawdę mówiąc, moje umiejętności lepiej się przydadzą tutaj niż przy oblężeniu Felrook. Zostanę, skoro tego sobie życzysz, panie, ale pozwól mi zachować towarzystwo i oparcie w jedynym kraju.

Galloran skinął głową.

– Zostanie więc trzech zamiast dwóch. Mam nadzieję, że nie będziemy potrzebować miecza Kericka, ale rozumiem twoją prośbę. I wyrażam zgodę. Nollinie, proszę, żebyś był prawą ręką Nedwina. Dbaj o jego interesy, pomóż mu ogarnąć wybiegi wrogów i podejmij wszelkie działania, żeby chronić tron i królestwo.

– Będę robił, co każesz, aż do twojego powrotu, królu Galloranie, albo do chwili, w której nasza kampania zakończy się klęską. Potem niczego nie obiecuję.

– Boli mnie, że przegapię walkę u boku moich krajan – przyznał Kerick. – Mimo to, zostanę z Nollinem i Nedwinem. Przysięgam chronić ich obu.

– Cieszę się, że to ustaliliśmy – powiedział Galloran. – Nedwinie, obejmiesz urząd regenta podczas prywatnej wieczornej ceremonii.

– Wedle życzenia, Najjaśniejszy Panie.

Mówił, co należało, ale Rachel widziała, że był rozczarowany nowym zadaniem. Podejrzewała, że Galloran też to dostrzegł, ale nie dał tego po sobie poznać. Trudno było winić Nedwina. Pozostanie w Trensicourt w otoczeniu spiskujących wrogów to żadna frajda.

– Dotarły do mnie orły od Amar Kabal i drinlingów – powiedział Galloran. – Jedni i drudzy stoją w gotowości do wymarszu na Felrook. Skoordinujemy nasz marsz, żeby przybyć na miejsce jednocześnie.

– A co z innymi królestwami? – zapytał Ferrin.

– W Meridonie szykuje się wielkie powstanie – powiedział Galloran. – Zacznie się jutro i możliwe, że w pewnym momencie przyniesie nam trochę wojowników, chociaż najpewniej rewolta bardziej przysłuży się nam, ściągając na siebie uwagę wroga. Podejrzewam, że na tym etapie mogą zdradzić, że Vernon uratował strażnika sylaby, Trivetta z wyspy Weir, i obaj zaangażowali się w powstanie. Drobne dywersje są planowane w paru innych królestwach. I ku mojemu zdumieniu, grupa czterystu drzewnych ludzi nadchodzi nam z pomocą. Powinni dołączyć do nas, zanim dotrzemy do Felrook.

– Lud drzewny nigdy nie opuszczał dżungli – zdumiał się Nollin.

– Lud drzewny nigdy do tej pory nie miał równie poważnych powodów, żeby przejąć się sprawami dziejącymi się poza ich granicami – odpowiedział Galloran. – Poprzez Esmirę i Ulani poznali znaczenie naszej sprawy. Mimo to, czterystu ludzi to symboliczne poparcie. Mogliby mieć większy wpływ na sytuację, gdyby się odważyli.

Nollin pokiwał głową.

– Mamy szczęście, że otrzymaliśmy od nich jakąkolwiek pomoc. Miałem czas, żeby ich poobserwować. Mogą nie być równie skuteczni poza ojczystą dżunglą, ale to poważni wojownicy.

– Umocniły ich trudy życia – powiedział Nedwin. – Najechał na nich i niemal wybił w pień Zokar. A głęboko w sercu dżungli musieli zmagać się z przerażającymi drapieżnikami, które większość z nas ledwie potrafi sobie wyobrazić.

– Zakończyłem swoje sprawy – oznajmił Galloran. – Ferrin ma wiadomości.

Wszyscy spojrzeli na rozsadnika.

– Jason doskonale się spisał, trzymając moje ucho z dala od rozmów na tematy delikatnej natury. Roztropne zachowanie, zważywszy na moją przeszłość, chociaż ta

ostrożność ogranicza moją wiedzę na temat przebiegu ich misji.

– Wiemy, że porwali eskortowca w Durnie – zauważył Nollin. – Ten fakt poruszył cesarstwo.

– Wiemy więcej – powiedział Ferrin. – Podśluchałem dzisiaj rozmowę. Podejrzewam, że moje ucho schowano w kajucie Jasona na statku i zapomniał, że mogę usłyszeć, kiedy wszedł, rozmawiając z Drakiem.

– Jakie wieści? – spytała Rachel.

– Jason i pozostali dotarli do Wiatrochronu. Stawili czoło Kukle, tracąc przy tym paru drinlingów. Odkryli, że strażnik jest niemal niewyciężony, ale pocieszam się tym, że część z nich przeżyła potyczkę. W tej chwili obmyślają strategię walki z Kukłą.

– Czy ich poczynania zgrają się w czasie z naszym atakiem? – zapytał Nollin.

– Musimy zaufać wyroczni – powiedział Galloran. – Poinformowała nas, kiedy zacząć działania. Zastosowaliśmy się do jej wskazówek. Jak dużo czasu zajmie im misja, zależy od trudności, jakie napotkają i jak daleko będą musieli się udać, żeby dotrzeć do miejsca pobytu Dariana Jasnowidza.

– Nie sposób to oszacować – zgodził się Nollin.

Galloran wstał.

– Wszyscy musimy zająć się przygotowaniem przed jutrzejszym dniem. Naradzę się z Nedwinem, Nollinem i Kerickiem dziś wieczór, po tym, jak Nedwin oficjalnie zostanie wyznaczony na regenta. Dziękuję wam wszystkim za służbę.

Rachel założyła kapelusz z szerokim rondem i zasłoniła twarz woalką. Wyszła z pokoju za Nedwinem i zeszła schodami. Naprawdę miała wkrótce wyruszyć na wojnę? Z prawdziwymi bitwami? W jaki stopniu pozostali na nią liczyli? Galloran często mówił, że jej umiejętności w edomickim są dla nich potężnym atutem. Chociaż wypracowała sobie znaczną wytrzymałość, potrafiła tylko ograniczoną liczbę ludzi unieruchomić albo obalić na ziemię za jednym razem. Mogła cisnąć tylko pewną liczbą płonących stołów, zanim opadłaby z sił.

Kiedy panikaomal nie wyprowadziła jej z równowagi, powiedziała sobie, żeby robić po jednym kroku. Nadchodziła wojna. To będzie straszne. Ale wojna nie zacznie się dzisiaj. Nie było powodu, żeby już panikować. Co mogła zrobić w tej chwili? Jakie przygotowania mogła poczynić? Niewielkie. Wybrała sobie konia. Jej wyposażeniem zajmą się inni. Uznała, że pewnie powinna poćwiczyć edomicki.

U stóp schodów grupa rozeszła się w różne strony. Rachel zauważyła, że Nedwin odchodzi samotnie korytarzem z nieco pochyloną głową. Zachwiał się lekko, zanim zniknął za rogiem.

– Ucieszyłem się, słysząc, że lord Jason nadal żyje – mówił do Io Tark. – Oczywiście nie byłem zaskoczony. Potrzeba czegoś więcej niż Kukły, żeby go powstrzymać, zapamiętaj moje słowa. Jest w nim coś więcej, niż widać na pierwszy rzut oka. Znajdź sposób, by wejść do Celestynowej Biblioteki, albo nigdy nie tknę

sousalaksu.

– Poczekaście tu na mnie – poprosiła Rachel.

– Tu? – zapytał Io.

– Tylko chwilkę – obiecała. – Przypomniałam sobie właśnie, że chciałam zapytać Nedwina o coś na osobności.

Tark skrzyżował ręce.

– Proszę o wybaczenie, milady, ale nie powinna pani odchodzić bez...

– Jesteśmy w zamku. To potrwa tylko chwilkę.

Już biegła za Nedwinem. Dotarła do zakrętu i zobaczyła, że Nedwin wchodzi po schodach. Nie widziała go za dobrze, ale nie wyglądał na szczególnie przybitego. Może za bardzo się przejęła, bo wyobraziła sobie, jak poczułaby się, gdyby się dowiedziała, że ma zarządzać całym królestwem.

Mimo to, na wszelki wypadek poszła za nim. U szczytu schodów zobaczyła korytarz. Nedwin siedział na podłodze plecami do ściany, z łokciami na kolanach i dłońmi w zmierzwionych rudych włosach.

– Dobrze się czujesz? – zapytała.

Zerknął na nią.

– Słyszałem, że ktoś za mną idzie. Pomyślałem, że to ty. Po prostu potrzebuję chwili. Powinnaś przygotować się przed jutrem.

– Jestem gotowa. Nie chciałam przeszkadzać.

Opuścił ręce i oparł dłonie na kolanach.

– Doceniam troskę. Jesteś miła.

Rachel zakładała, że to najbliższy odpowiednik zaproszenia do rozmowy, jaki uzyska. Podeszła do niego.

– Martwisz się urzędem regenta?

Wypuścił gwałtownie powietrze.

– To zaszczyt, którego nie szukałem ani nie pragnąłem. Wiedziałaś, że już nie zostało we mnie prawie nic ze strachu?

– Z pewnością nie boisz się wysokości.

– Nie boję się ognia ani głodu. Nie boję się walki. Nie boję się ani człowieka, ani zwierzęcia. Nie boję się choroby. Kary. Tortur. Nie boję się umrzeć, Rachel. Jakaś część mnie z radością przyjąłaby uwolnienie.

– Nie powinieneś tak mówić.

Udał, że tego nie słyszał.

– Mam koszmary. Nie lubię swoich snów. Poza sztuczkami, jakie płata mi umysł w czasie snu, pozostały mi dwa lęki. Chciałabyś je poznać?

– Pewnie.

– Boję się o króla Gallorana. Chcę dbać o jego bezpieczeństwo. I obawiam się rozczarować króla Gallorana. Zajęcie urzędu regenta odsunie mnie od niego. Nie będę

w stanie go chronić. A będę mógł go zawieść.

– Na pewno świetnie sobie poradzisz.

– Cieszę się, że jedno z nas ma taką pewność. Rachel, w mrocznych latach, o których wolałbym zapomnieć, czepiałem się myśli o Galloranie. Trensicourt nie było warte tego, co wycierpiałem. Nawet obalenie tyranii nie było tego warte. Jednakże ten człowiek jest wart wszystkiego, co przeszedłem, i nawet więcej. Zawiodłem go, kiedy mnie złapano. Przetrwałem tylko dzięki nadziei, że Galloran będzie mnie potrzebował. I potrzebuje. Niestety, nie będzie mnie przy nim.

– Ja będę przy nim – powiedziała Rachel. – Zadbam o jego bezpieczeństwo.

Przeniósł gwałtownie wzrok na jej twarz.

– Przysięgnij.

Rachel próbowała przełknąć ślinę, ale zaschło jej w ustach. Nagle musiała stanąć wobec pytania, jak daleko posunęłaby się, żeby dopełnić przysięgi. Myśl o chronieniu Gallorana wydawała się niemal niemądra. Był najlepszym szermierzem w Lyrianie. Jednakże najwyraźniej ta kwestia była ważna dla Nedwina. Uważał, że jego ochrona naprawdę może coś zmienić. Wyobraziła sobie żołnierza atakującego Gallorana od tyłu. Czy pozwoliłaby na to?

– Obiecuję, Nedwinie. Obiecuję nad nim czuwać. Też go kocham. Umrę, żeby go chronić, jeśli to będzie konieczne.

Nedwin nieco się rozluźnił.

– Dobrze to słyszeć. Masz niemały dar, a on będzie trzymał cię blisko siebie. – Westchnął. – Nadeszły dla nas ciężkie czasy, jeśli ja jestem człowiekiem, którego wybiera na regenta.

– Nie mógł znaleźć nikogo bardziej lojalnego.

– Mógł jednak znaleźć wielu bardziej wyrobionych i wykształconych polityków. Mniej pobliźnionych. Mniej uszkodzonych. Czasem czuję, jak mój umysł się rozpada. Kiedyś byłem towarzyskim człowiekiem. Już nie jestem. Wolę samotność. Jestem dobrym zwiadowcą. Nawet świetnym. Nie spodziewam się, żebym wykazał się jako regent.

– Ale zrobisz to?

– Gdybym odmówił, już teraz bym go zawiódł. Dałbym wszystko, byle go nie zawieść.

– Będziesz miał pomoc Nollina i Nicholasa – przypomniała mu Rachel.

– Będę zmuszony na nich polegać – zgodził się Nedwin. – Tak jak oni polegaliby na mnie w dziczy, gdzie jest moje miejsce.

– Będziesz rewelacyjny – dodawała mu otuchy Rachel. – Fakt, że tak ci zależy, czyni cię idealną osobą do tego urzędu. O wiele lepszą niż nadmiernie pewny siebie polityk.

– Miejmy nadzieję ze względu na dobro królestwa, że twoje słowa mają sens. Ulżyło



mi, kiedy wiem, że będziesz strzegła mojego króla.

– Wszyscy będziemy go strzec. Nikt nie chce, żeby stała mu się krzywda. Jednak ja postaram się szczególnie. Postaram się robić to, co ty byś zrobił.

Nedwin zamknął oczy.

– Dziękuję ci, Rachel. Ta myśl daje mi pewną pociechę. Mogę ci coś podarować? – Zdejmując z szyi rzemień, Nedwin wyciągnął spod koszuli kilka fiolek. – Zbierałem niezwykle substancje z najdalszych krańców Lyrianu, drogie ekstrakty, rzadkie i użyteczne. Wzmacniacze bólu, trucizny, lecznicze balsamy.

– Zatrzymaj je – powiedziała Rachel. – Noszenie trucizny przerażałoby mnie. Każdy powinien polegać na własnych talentach, a mój to edomicki.

Nedwin pokiwał głową zapatrzony w dal.

– Moim jest chyba działanie ukradkiem. I zaangażowanie. Nie sądzę, żebym mógł być bardziej oddany niż jestem.

– Tego właśnie potrzebuje królestwo.

Nedwin wstał. Póki siedział, prawie zapomniała, jaki jest nienaturalnie wysoki.

– Dość uzalania się nad sobą. Odprowadzę cię do twoich osobistych strażników.

– Sama dam sobie radę.

– Pozwól, że cię poprowadzę. To jeden z moich talentów.

# Rozdział 14

## Kukła

Kiedy *Waleczny* kołysał się delikatnie i trzeszczał, Jason siedział w swojej kajucie, studiując prorocstwo. Czytając i rozmyślając, pogryzał grube zaimprovizowane burrito z podpłomyka i ryby. Światło słoneczne wpadało przez iluminator. Farfalee spisała wszystkie słowa wypowiedziane przez wyrocznię, żeby mógł je przeanalizować. Studiował je uparcie, bo czuł, że ich obecny plan może doprowadzić do ich śmierci.

Po długiej naradzie najlepsza strategia, jaką opracowali, wymagała okrążenia wyspy i zostawienia kilku drużyn w różnych miejscach. Dwie drużyny na najbardziej oddalonym od biblioteki krańcu wyspy wyszłyby na brzeg pierwsze, nie wchodząc zbyt daleko w głąb lądu. Jeśli Kukła je zaatakuje, zdetonują kulę orantium. Na dźwięk wybuchu wyruszą drużyny z północy i południa, żeby także odciągnąć uwagę Kukły. Drużyny na wschodnim krańcu popędzą do biblioteki, żeby zdobyć informację i uciec, zanim Kukła wróci i wszystkich pozabija. Jason, Farfalee, Aram, Jasher i Drake byli członkami wschodnich drużyn.

Ten plan przewyższał wszystkie inne głównie dzięki temu, że opierał się na próbie uniknięcia Kukły, a nie pokonania jej. Sprowadzał się do zabawy w podchody skrzyżowane z berkiem, tyle że stawka była ogromna. Jednakże ta strategia miała wiele wad.

Farfalee ostrzegła ich, że znalezienie poszukiwanej informacji może zająć wiele godzin, dni, a nawet tygodni, zależnie od tego, jak efektywnie opracowano system katalogowania w bibliotece. Jakakolwiek dłuższa zwłoka w szukaniu informacji na temat miejsca pobytu Dariana Jasnowidza może zakończyć się śmiertelną w skutkach konfrontacją z Kukłą. Co więcej, plan zakładał, że Kukła zareaguje na rozlicznych intruzów, ganiając po wyspie i walcząc ze wszystkimi nieproszonymi gośćmi. Jeżeli

jednak Kukła była sprytna i miała strzec biblioteki, to może zareagować na inwazję, wycofując się do biblioteki i zabijając wszystkich, którzy tam przybędą.

Jason był przekonany, że jeśli wprowadzą plan w życie, nie zdobędą informacji i wszyscy zginą. Będzie po misji. Wojna zostanie przegrana. Tylko dlatego, że obecna strategia była najlepszą, jaką obmyślili, nie znaczyło, że to był rzeczywiście dobry plan. Liczyliby na głupotę Kukły i ogromny fart potrzebny do szybkiego odnalezienia informacji.

Trąc oczy, Jason próbował zmusić przemęczoną wyobraźnię do znalezienia lepszej opcji. Wyrocznia dostrzegła sposób, dzięki któremu im się uda. Ta myśl nie przestawała go dręczyć. Pośród wszystkich możliwych przyszłości, musiała istnieć taka, w której przetrwają spotkanie z Kukłą. Musiała istnieć strategia, która zadziała. Po prostu jeszcze jej nie znaleźli.

Jason spojrział na świeżo zapisany pergamin. Farfalee ostrzegła go, że proroctwa rzadko kiedy zawierają konkrety. Nie prowadzą cię krok po kroku, od strategii do strategii ku upragnionemu celowi. On jednak nie potrzebował dokładnej instrukcji, jak podejść do czekającego ich problemu. Wystarczyłaby tylko wskazówka.

Większość słów była nieadekwatna. Proroctwo skupiało się w głównej mierze na tym, kto, gdzie i kiedy powinien się udać. Wiele fraz mówiło o ataku Gallorana na Felrook. Skupił się na linijkach, które miały jakiś związek z ich misją.

„Ostatnie miejsce pobytu Dariana Jasnowiedza można poznać w Celestynowej Bibliotece na Morzu Śródlądowym”. Linijka odnosiła się do tej części misji, ale brakowało szczegółów dotyczących ich obecnego problemu. Jason wiedział, dokąd musi się udać. Kłopot polegał na tym, jak tam dotrzeć.

Niektóre słowa pod koniec zawierały potencjalnie użyteczne wskazówki. „Równoległe misje muszą się powieść. Wielu obecnych zginie. Musicie pozostać zjednoczeni”. Może wielu z nich zginie, by mogli zdobyć informację z biblioteki. Może uda im się, jeśli będą współpracować i będą gotowi do wielkich ofiar. Ten tok rozumowania popierał obecny plan.

Najbardziej tajemnicze i potencjalnie użyteczne wskazówki kryły się w ostatnich słowach. „Sekret z przeszłości może wykupić przyszłość”. To sugerowało, że informacja od jasnowiedza może pomóc wygrać wojnę. Mogło to jednak znaczyć, że sekret z przeszłości podpowie im, jak pokonać Kukłę i dotrzeć do biblioteki. Farfalee, Jasher i Drake żyli bardzo długo. Może któreś z nich zapomniało o jakimś ważnym szczególe.

„Sługa zdradzi pana”. To trudno było z czymś powiązać. Czy to możliwe, że Kukła zdradzi Zokara i pozwoli im wejść do biblioteki? Czy istniał jakiś sposób, żeby ułagodzić strażnika i przeciągnąć na ich stronę? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale Jason był gotów rozpatrzyć i tę ewentualność.

„Przyjemne ścieżki się rozpadły. Lyrian trzeba okupić ofiarą”. Te słowa

usprawiedliwiały rzucenie wielu ludzi z różnych kierunków na Kukłę w nadziei, że nieliczni, którzy ocaleją, uciekną z informacją. Jednak Jasonowi nie podobał się ten scenariusz. Nie potrafił sobie wyobrazić, kto miałby przeżyć. Ofiara mogła być kluczowa dla przetrwania, ale sukces nie wynika automatycznie z brawurowych, rozrzutnych ofiar.

Ostatnie linijki bardziej wyglądały na wskazówki niż pozostała część. „Nasza nadzieja jest szkarłatna jak krew bohaterów; czarna jak wnętrzności ziemi; biała jak rozbłysk orantium”. Wspomnienie o krwi jakby po raz kolejny nawiązywało do ofiar. Jason uznał, że kolejnej dwie linijki są bardziej intrygujące.

„Wnętrzności ziemi” mogły oznaczać jaskinie. Może dałoby się dotrzeć do biblioteki przez jakąś sekretną jaskinię. Może pieczara zaczynała się pod wodą albo miała ukryte wejście na wyspie? Sekretny tunel, który pozwoli im niezauważonym zakraść się do celu?

Chociaż uznał, że warto wspomnieć innym o tej możliwości, pomysł nie wzbudził w nim szczególnego entuzjazmu. Jeżeli takie wejście istniało, pozostawało ukryte od setek lat. Będzie niezwykle trudne do odnalezienia. A jedynym powodem, żeby uwierzyć w jego istnienie, było tylko mgliste przeczucie. Ta linijka przepowiedni równie dobrze mogła odnosić się do czegoś całkiem innego. Mogła po prostu oznaczać czarny przedmiot. Albo w ogóle mogła nie mieć nic wspólnego z tą częścią misji. Poza tym, fakt, że dotrą do biblioteki tajnym przejściem, nie znaczy, że Kukła ich nie złapie. Nie miała widocznych oczu ani uszu. Jeśli przypominała czatownika, mogła wyczuć ich obecność w inny sposób niż za pomocą pięciu zwykłych zmysłów. Jednakże tajne przejście byłoby o wiele lepsze niż szaleńcza wersja podchodów.

Co było białe jak rozbłysk orantium? Tego typu oślepiająco białe światło dawał właściwie tylko wybuch orantium. A co było podobne? Światło słoneczne odbite od śniegu? Może anioł? Jason jakoś wątpił w zastęp aniołów, który sfrunie im na ratunek.

Czy samo orantium mogło być kluczem? Jeśli Kukła będzie z żelaza w chwili ataku, odpowiedź brzmi: nie. Jasher trafił ją orantium – bez efektu. Gdyby jednak była wtedy ze szkliwa nazębnego? Wybuch mógłby ją zetrzeć na proszek. Wróżka-zębuszka zbierałaby kawałki i odpryski całymi tygodniami.

Czy istniał sposób, żeby zapewnić sobie to, że Kukła będzie z kruchej substancji, kiedy trafi ją orantium? Pod względem strategicznym szkliwo nazębne było dziwnym wyborem. Kukła została trafiona żelazną bronią, zanim dotknęła zęba. Mogła od razu zamienić się w żelazo. Najwyraźniej wybrała szkliwo z ciekawości. Pozostali obstawiali, że zamieniła się w torivorańską stal dopiero, kiedy poczuła prawdziwe zagrożenie.

Czy teraz od początku każdej potyczki Kukła będzie się czuła zagrożona? Po walce eksperymentowała z różnymi substancjami, zamieniając się w skórę żywą, wyprawioną i w żelazo. Gdyby tylko mogli uderzyć w strażnika, póki jest kruchy, problem mógłby

zostać rozwiązany.

Jason oparł się pokusie zmięcia pergaminu. Czy za dużo myślał o orantium, bo to ich najlepsza broń? Proroctwo sugerowało, że orantium okaże się ważne, ale już bardzo im się przysłużyło. I z pewnością będzie ważne w czasie ataku Gallorana na Felrook.

Kukła potrafiła błyskawicznie się przekształcić. A gdyby rzucili orantium, a Kukła zamieniła się w kryształ pod dotykiem kuli? Wtedy rozpadłaby się na okruszki. Czy Kukła mogłaby zamienić się w kryształ w chwili kontaktu? A może była na to za sprytna? Przeżyła długi czas. Wiedziała, jak przetrwać.

A gdyby zaatakowali ją kryształową bronią? Albo bronią z kruchej substancji? A kiedy Kukła zamieniłaby się w kruchą materię, obrzuciliby ją orantium. Inni musieli rozważyć podobną strategię. Opierała się jednak na założeniu, że Kukła jest głupia. Stwór tylko raz okazał lekkomyślność. Zamienił się w szklivo nazębne i w rezultacie stracił stopę. Czy liczenie na podobny błąd to ich jedyna nadzieja? Czy to realistyczne podejście?

Jaka substancja byłaby idealna dla ich celów? Szkło? Kryształ? Jason zarechotał. Orantium byłoby niezłe. Kukła sama wysadziłaby się w nicość. Nie było jednak sposobu, żeby zetknąć stwora z samym orantium. Raz wystawiony na działanie powietrza lub wody minerał natychmiast wybuchał. Po tym, jak kryształ pęknie, orantium natychmiast eksploduje, zanim Kukła zdąży go dotknąć.

Chwileczkę.

Istniał pewien wyjątek.

Po raz pierwszy od dłuższego czasu Jason odkrył, że nie jest w stanie powstrzymać uśmiechu.

\*\*\*

W ciągu dwóch godzin byli gotowi wprowadzić plan w życie. Ściskając składaną lunetę w obu rękach, Jason miał wrażenie, że zaraz wybuchnie z nerwowego podniecenia.

Jak na razie najbardziej nerwowa chwila nastąpiła, kiedy Thag oddalił się łódką od *Walecznego* z wiadrzem mazi do transportu orantium. Miał w wiadrze jedną kulę. Zmiażdżył ją ręką w rękawicy.

Orantium nie wybuchło.

Teraz drużyna trzech drinlingów płynęła w szalupie na brzeg. Z żaglami ustawionymi tak, by wykorzystać delikatną bryzę, *Waleczny* odpływał od wschodniego wybrzeża, żeby oddalić się od potencjalnej eksplozji. Jeśli mały kamyczek orantium może rozsadzić na kawałki haratacza, a kawał wielkości piłki do squasha zniszczyć bramę zamku, to jak potężny będzie wybuch, jeśli ich plan wypali?

Jason martwił się różnymi rzeczami, między innymi tym, że jeśli sztuczka się uda, Thag i pozostali dwaj drinlingowie płynący na brzeg mogą pożałować, że im się powiodło. Chociaż grupa z brzegu miała spróbować odpłynąć, zanim zaczną się fajerwerki, istniało ryzyko, że ich misja okaże się samobójcza.

W miarę jak statek oddalał się od brzegu, Jason obserwował przebieg misji przez lunetę. Kukła pojawiła się na plaży, zanim dotarła tam szalupa. Stwór wyglądał, jakby był z kamienia, ale trudno było orzec to z całą pewnością. To mogło być szare drewno.

Kiedy szalupa wylądowała, wysoka postać stała nieruchomo. Po zabezpieczeniu łodzi na płyciźnie, drinlingowie ruszyli przed siebie i zaatakowali Kukłę. Thag został z tyłu z wiadrem mazi i okruczem orantium.

Uskakując przed ciosem długiego ramienia, jeden z drinlingów zadał Kukle cios maczugą, ale natychmiast zamieniła się w żelazo, więc nic jej się nie stało. Z wrzaskiem metalu brutalnie zabiła jednego z drinlingów. Thag i drugi drinling wycofali się pośpiesznie do szalupy, zostawiając wiadro na plaży w pobliżu wody.

Pomysł był taki, żeby porzucenie wiadra sprawiało wrażenie przypadkowego. Aby wypadło to wiarygodnie, poświęcili już życie jednej osoby, a możliwe, że zginą jeszcze dwie następne. Thag i jego towarzysz wiosłowali ze wszystkich sił, oddalając się od brzegu.

Kukła krążyła sztywno po plaży w pobliżu wody, a jej żelazne stawy piszczały. Potem podeszła do poległego drinlinga. Przykucnęła i jej wyciągnięta dłoń zmieniła kolor.

– Brąz – powiedziała Farfalee, zerkając przez swój teleskop. – Dotknęła pierścienia.

Każdy drinling nosił kilka świecidełek z różnych materiałów, na wypadek gdyby zginął w walce. To miało wprowadzić Kukłę w nastrój do eksperymentowania z substancjami. Jason wiedział, że przemiana jest dobrym znakiem.

– Teraz obsydian – relacjonowała Farfalee, kiedy Kukła stała się lśniąco czarna. – Wisiorek. A teraz mosiądz, sprzączka paska. Złapała się na wszystko, co podłożyliśmy. Teraz idzie do wiadra.

– Tyle to widzimy i bez lunety – mruknął Drake.

Jason skierował uwagę na Thaga i jego krajana. Ten drugi nazywał się Fo? Czy to Fo zginął na plaży? Nadal ostro wiosłowali i naprawdę sporo się oddalili od porzuconego wiadra. Przykucnąwszy, Kukła dotknęła brzegu wiadra i zamieniła się w brązowe drewno.

Jason wstrzymał oddech.

– Sięga do wiadra – przekazała Farfalee.

Jason opuścił lunetę w obawie przed rozbłyskiem. Thag i drugi drinling padli na płask w szalupie. Jason przykucnął, ledwie zerkając ponad burtą. Co się stanie?

– Zastanawia się – tłumaczył z nadzieją Aram.

Jason zatkał uszy i zacisnął powieki. Zrobi to? Zrobi to?

Rozbłyskując oślepiającą bielą, Kukła gwałtownie eksplodowała – po wielkim pierwotnym wybuchu nastąpił wtórny, również straszliwy. Potężna detonacja rzygnęła w niebo ogromnymi ilościami piachu i morskiej wody. Wstrząs wypchnął wodę i piasek na zewnątrz i statek gwałtownie się szarpnął, a Jason przewrócił się na plecy. Mimo zakrytych uszu ryk wywołał ból w uszach.

Jason wstał i mrużąc oczy wśród sypiącego się z nieba piachu, popatrzył na parę i dym tworzące grzyb nad miejscem wybuchu. Morska woda rzuciła się, żeby wypełnić pustkę poczerńiałego krateru. Większość białego piasku z plaży zwyczajnie zniknęła, wraz z ogromną połacią roślinności za nią.

Plan zadziałał! Kukła złapała się na przynętę, na chwilę stała się orantium, a konsekwencje były natychmiastowe.

Thag i drugi drinling stanęli w szalupie, wymachując radośnie pięściami. Hałaśliwe wiwaty rozległy się na pokładzie *Walecznego*. Drake uściskał Farfalee, podrywając ją w powietrze i kręcąc z nią młynka. Drinlingowie odgrywali wybuch i wskazywali sobie kłębiący się dym nad zniszczoną plażą.

Jasher poklepał Jasona po plecach.

– Właśnie nas wszystkich uratowałeś.

Jason ledwie rozumiał jego słowa, bo nadal dzwoniło mu w uszach.

– Mamy dług u drinlingów, którzy popłynęli z orantium.

– Zasługują na podziękowania i pochwały – zgodził się Jasher – ale to ty wpadłeś na ten pomysł. Prawdziwy z siebie spryciarz.

– Popieram! – wykrzyknął Aram tak serdecznie, jak pozwalała mu na to wątlą sylwetka. – Zawsze wyżej będę cenić spryt niż siłę!

Farfalee objęła mocno Jasona.

– Cudowny, genialny chłopcze!

Nigdy nie widział, żeby Farfalee tak gorąco reagowała. Ani Drake’a, by uśmiechał się tak szeroko. Jason odpowiedział na jej objęcia, ciesząc się z chwili triumfu.

Inni dopychali się już z gratulacjami. Wszyscy się radowali. Załoga była jeszcze szczęśliwsza niż wtedy, kiedy uciekli z portu. Podrzucano w powietrze kapelusze, niektóre lądowały w morzu.

Jason zdał sobie sprawę, że groźba Kukły ciążyła im bardziej niż jakiegokolwiek inne zmartwienie. Od początku wiedzieli, że ta przeszkoda najpewniej zakończy ich życie. Teraz jednak zniszczyli ją względnie niewielkim kosztem. Jeden potężny wybuch i groźba wyparowała.

Wiwatując i pokrzykując razem z innymi, Jason zatracił się w chwili. Nadal mogło ich czekać wiele trudności, ale w tym momencie mieli powód do świętowania.

# Rozdział 15

## Biblioteka

Kiedy radość z pokonania Kukły ucichła, przeszli do następnej fazy planu. Wszyscy zgodzili się, że pośpiech jest kluczowy. Musieli zdobyć informację z biblioteki, zanim stracą okazję. Nawet jeśli cesarskie siły z Morza Śródładowego nie znały ich obecnego położenia, kłęby dymu wznoszące się pod niebo musiały być widoczne z odległości wielu mil. Wiele statków mogło je zauważyć.

W ciągu godziny Aram zacumował statek przy wschodnim brzegu Wiatrochronu, na południe od krateru. Dwie szalupy popłynęły na brzeg, w każdej ośmiu pasażerów, w tym Jason, Farfalee, Jasher, Drake, Aram, Nia, Heg oraz bardzo blada i zmęczona Corinne.

Po wyjściu na spłacheć beżowego piasku Corinne padła na plażę twarzą naprzód i z rozłożonymi rękami, jakby chciała objąć ziemię. Oddychając głęboko, leżała tak przez chwilę. Jason przykucnął obok niej, a ona uniosła głowę, żeby spojrzeć na niego. Drobinki piasku przekleły jej się do ust, nosa, podbródka. Cerę miała ziemistą, a pod oczami malowały się ciemne smugi. Nawet umęczona i chora nadal była ładna.

– Miło jest znowu znaleźć się na lądzie? – zapytał.

Pokiwała głową.

– Już mi lepiej. Chociaż jeszcze nie do końca mi przeszło. To może chwilę potrwać. Ciepły piasek jest po prostu boski. Prawie mam ochotę coś zjeść.

– Będziemy musieli się pośpieszyć – powiedział Jason.

– Nawet się nie wazcie – zbesztła go Corinne.

– Nasi wrogowie w każdej chwili mogą nas dogonić – wyjaśnił.

– Wiem.

– Farfalee mówi, że poszukiwania mogą potrwać kilka dni.



– Lubię ją.

Jason zauważył, że inni są już gotowi ruszać. Wyznaczono dwóch drinlingów, by strzegli Corinne.

– Muszę iść.

– Nie śpieszcie się. Przyjdę do was, gdy poczuję się lepiej.

– Taka ładna plaża – powiedział Jason, rozglądając się po wąskim pasie piachu. – Szkoda by było całą ją zarzygać.

Corinne cisnęła w niego garścią piasku. Widział, że wraca już do siebie.

Jasher podszedł do Corinne i położył torivorański miecz obok niej na piasku.

– To należy do ciebie.

– Dzięki. Możesz go wziąć.

Nasiennik pokręcił głową.

– Mam własny miecz. Chcę, żebyś była dobrze uzbrojona.

Kolejna grupa drinlingów zbliżała się do plaży w łodzi, która w czasie ucieczki z Durny płynęła przyczepiona za *Walecznym*.

– Dokąd się wybierają? – zapytał Jason.

– Poszukać jedzenia – wyjaśnił Jasher. – Wiesz, ile pokarmu potrzebują drinlingowie. Uznali, że mądrze będzie napełnić ładownię, kiedy mają szansę.

– Mam nadzieję, że znajdą też coś, co my możemy jeść – mruknął Jason.

– Nam nic nie będzie – odpowiedział Jasher. – *Waleczny* był dobrze zaopatrzony, kiedy go zabraliśmy. Drinlingowie zostawili nam najlepsze wiktuały.

Jason opuścił plażę za Drakiem i Jasherem. Weszli między krzewy, niektóre o wielkich, lśniących liściach, i wysokie palmy. Przed wizytą w Mianamon Jason może nazwałby to miejsce dżunglą, ale roślinność była tu potulna w porównaniu z południowym lasem deszczowym. Doceniał też brak duszącej wilgoci i mięsożernych roślin.

Chociaż nie rosły tu pnącza, ani też flora i fauna nie były szczególnie obfite, listowie zasłaniało bibliotekę, kiedy Drake i Jasher szli równolegle do szemrzącego potoku w górę stoku. Kiedy Jason przebrnął przez paprocie i po raz pierwszy ujrzął Celestynową Bibliotekę, aż przystanął z wrażenia.

Masywna budowla była wspaniała. Ogólne wrażenie mnogości kanciastych budynków i potężnych wież sumowało się w pojedynczy złożony kompleks. Widać było teraz siedem kopuł, niektóre z nich wyższe lub większe od innych, a wszystkie ozdobione wymyślnymi wolutami i złożonymi wzorami. Ich schodkowy porządek sugerował, że kilka mniejszych kopuł może znajdować się także na drugim końcu. Wiele ogromnych okien i świetlików urozmaicało egzotyczną kamieniarkę. Nadziemne chodniki łączyły niektóre z wież. Nie brakowało łuków i kolumnad. Niewiele było symetrii w rozległej bibliotece, która obejmowała stok niczym paczuszki artystycznie zaaranżowane na schodach.

– Niesamowite – powiedział Jason, kiedy Farfalee wyszła zza krzewu za jego plecami. – Ci goście poważnie traktowali biblioteki.

– Pomyśl o zgromadzonej tu wiedzy – odparła. – Już same teksty na temat edomickiego czynią tę budowlę największym skarbem w Lyrianie.

– Dobrze się zachowała – zauważył Jason.

Chociaż olbrzymi budynek sprawiał wrażenie bardzo starego, nie widać było żadnych zniszczeń. Żadnych zawalonych wież, popękanych kopuł czy choćby wybitych szyb.

– Najlepsi czarnoksiężnicy i rzemieślnicy oświeconej epoki zbudowali tę bibliotekę, by przetrwała – powiedziała Farfalee. – Budowlę wzmocniono edomickim. Ochronne polecenia umiejętnie wpleciono w grube kamienne mury, fundamenty, drewno, szkło, meble, nawet w otaczającą budynek ziemię. W przeciwnym wypadku biblioteka zamieniłaby się w ruinę już dawno temu.

– Niektóre podobne miejsca zostały zniszczone przez intruzów na przestrzeni lat – dodał Aram. – Tutaj Kukła odstraszała poszukiwaczy skarbów i wandalów.

Farfalee ruszyła w stronę Celestynowej Biblioteki przez połąć pierzastych krzaczków przerywanych wyszczerbionymi płytami skalnymi. Ptaki nadmorskie krążyły i krzyczały nad ich głowami. Kiedy Jason szedł wśród zarośli, małe skaczące insekty uciekały mu spod nóg. W pierwszej chwili pomyślał, że to koniki polne, ale przy bliższych oględzinach okazało się, że mają osiem nóg i z grubsza przypominają kraby.

Rozległy plac poprzedzał główne wejście do biblioteki. Żaden z kamieni w bruku nie pękł. Żaden chwast nie wyrósł w szczelinach. Kamienna balustrada ogradzała teren, a w regularnych odstępach stały puste kamienne żardyniery i rzeźby. Ogromna sucha fontanna dominowała w centrum placu. Co najmniej dwadzieścia cherubinów dokazywało w misie i na półkach schodzących do wysuszonego wodotrysku. Wszystkie marmurowe maluchy miały pucułowate twarze i fałdki w zgięciach rąk i nóg.

Po drugiej stronie placu trzydzieści kamiennych stopni prowadziło do masywnego łukowatego wejścia. Olbrzymy czułyby się małe przed tymi ciężkimi drzwiami.

Farfalee poprowadziła grupę przez plac i po schodach. Ich kroki rozbrzmiewały zbyt głośno. Kilku zaniepokojonych drinlingów rozglądało się z wyciągniętą bronią. Jason im się nie dziwił. Zewnątrz biblioteki sprawiało wrażenie zbyt bogatego, żeby naprawdę było tak puste, pozbawione życia.

Farfalee przystanęła przed podwójnymi drzwiami ponad trzy razy od niej wyższymi.

– Żadnych gałek, klamek czy dziurki od klucza – zauważył Aram.

Mówił cicho, jakby stał w wejściu do kościoła.

– Mocne – dorzucił Heg.

Farfalee skinęła z roztargnieniem głową.

– Zawiedlibyśmy, gdybyśmy próbowali wejść siłą.

Dotknęła opuszkami drzwi i wypowiedziała edomicką frazę.

Jak zawsze w wypadku tego języka, Jason wyczuwał znaczenie, nie potrafiąc wychwycić pojedynczych słów. Tłumaczenie edomickiego na angielski było trudne. Farfalee zasadniczo poprosiła drzwi, by otworzyły się przed tymi, którzy szukają oświecenia.

Cicho jak kropla ześlizgująca się po szybie masywne drzwi otworzyły się do środka, ukazując rozległy hol. Wypolerowana marmurowa posadzka rozciągała się przed nimi, bez śladu spoin. Lśniła delikatnie metalicznymi odcieniami. Światło wlewało się z różnych okien i odbijało od błyszczących kamieni na ścianach. Powietrze było nieruchome i stare, ale nie pachniało stęchlizną.

– Znałaś hasło? – zapytał Jason.

– Nie wydawałam rozkazu po edomicku – wyjaśniła Farfalee. – Proste słowa i frazy uruchamiały ustanowione wcześniej polecenia w takich budynkach jak te. Posłużyłam się czymś, co kiedyś uważano za standardową edomicką prośbę o wstęp do skarbnicy wiedzy. Bałam się, że drzwi mogły zostać zamknięte edomickimi rozkazami, i martwiłam się o to, jakie potężne czary ochronne mogą osłaniać budynek. Wtedy wejście mogłoby okazać się zamknięte dla wszystkich może z wyjątkiem samego Maldora. Jednak nie uruchomiono żadnych specjalnych zabezpieczeń. Drzwi zareagowałyby pewnie na wiele uprzejmych prośb o wpuszczenie wypowiedzianych po edomicku.

– Za drzwiami będą inne zabezpieczenia? – spytał Aram.

– Na pewno. Ostrzegam, nie próbujcie na siłę otwierać drzwi w takim miejscu jak to. Niektóre pokoje lub skrzydła mogą być zabezpieczone potężnymi i nawet śmiertcionośnymi rozkazami. Jeżeli drzwi są zamknięte, pozwólcie, że ja ocenię, czy powinniśmy próbować je otworzyć. Ponadto nie przeglądajcie zbiorów. W tak znanej bibliotece będzie wiele pułapek, w tym książki zaprojektowane w taki sposób, by skrzywdzić osobę, która je otworzy.

– Dlaczego? – zdumiał się Jason.

– Wiele z tej wiedzy może być niebezpieczne. Ci, którzy stworzyli i utrzymywali bibliotekę, obawiali się, że zbiór wpadnie w niepowołane ręce. Stąd zabezpieczenia. Znam większość znaków sygnalizujących szkodliwe książki. I ogólnie mówiąc, nie wynoście żadnego tekstu poza bibliotekę. Nawet jednej stronicy. I nie dotykajcie żadnego dzieła sztuki, broni ani skarbu, jaki tu zobaczycie. Niemal każdy tego typu przedmiot może być tak pomyślany, by ściągnąć na nas katastrofę.

– Będą skarby? – zapytał zbolalym głosem Aram. – I broń? I nie mogę ich dotknąć?

– Z pewnością żadnego elementu wystawy – podkreśliła Farfalee. – Nic, co wisi na ścianach, zdobi stoły albo stoi w niszach. W razie wątpliwości zapytajcie mnie.

Heg zagwizdał cicho.

– Czy ktoś z nas powinien poczekać przy drzwiach?

Farfalee skinęła głową.

– To może być dobre miejsce dla każdego, komu nie wyznaczono konkretnego zadania. Zalecam, żeby Aram poprowadził grupę na szczyt najwyższej kopuły i stamtąd obserwował okolicę. O ile się nie mylę, punkt obserwacyjny będzie wyposażony w rozliczne przyrządy optyczne. Zostawię sobie Jashera, Drake’a, Jasona i Nię, żeby pomagali mi w poszukiwaniach.

– W porządku – powiedział Aram. – Trójka idzie ze mną. Reszta zostaje przy drzwiach.

Farfalee poprowadziła Jasona, Drake’a, Jashera i Nię przez próg do holu. Wysoko w górze jedna z mniejszych kopuł zwieńczała obszerną salę; miała może ze czterdzieści jardów średnicy. Malowidła ścienne wyglądały jak świeżo namalowane. Niższe przedstawiały podwodne scenki z egzotycznymi rybami pływającymi wśród rekinów, kałamarnic, węgorzy i innych wodnych drapieżców. Wyższe przedstawiały czarnoksiężników na łądzie zaprzęgających żywoły, by zaatakować miasta, pokonać armie, zwalczyć potwory. Malowidła i płaskorzeźby na sklepieniu pod kopułą przedstawiały zachód słońca, ptaki i rozmaite zmyślane skrzydlate stworzenia.

– Myślałem, że Skarbnica Wiedzy była wielka – powiedział Jason, odchylając głowę do tyłu. – A to była tylko mała lokalna filia.

– Tylko dwie inne biblioteki w Lyrianie kiedykolwiek mogły rywalizować z tą – powiedziała Farfalee. – Przed porzuceniem nas Eldrin zniszczył je obie, wraz z kilkoma pomniejszych zbiorami i dawnymi rezydencjami wielkich czarnoksiężników. Tylko Celestynowa Biblioteka zachowała się nietknięta.

– Chyba możemy za coś podziękować Kukle – powiedział Jasher.

– Uważam, że o wiele łatwiej podziękować strażnikowi teraz, kiedy rozwiął się na wietrze – wtrącił Drake.

Trzy duże łuki wyprowadzały z holu – jeden znajdował się dokładnie naprzeciwko wejścia, drugi na lewo, a trzeci na prawo. Nad wszystkimi wypisano dziwne litery.

Farfalee podeszła bez wahania do łuku naprzeciwko wejścia.

– Idąc tędy, powinniśmy dotrzeć do katalogów. Nie śmiem marzyć, że przetrwali jacyś przewodnicy.

– Przewodnicy? – spytał Jason. – Znaczący pracownicy? Bibliotekarze?

– Nie mówię o żywych przewodnikach – wyjaśniła Farfalee. – Żaden depozytariusz wiedzy ani historyk nie przetrwałby w izolacji tylu stuleci. Przewodnicy zasadniczo pomagali w katalogowaniu zbiorów w tych wielkich bibliotekach. To edomickie konstrukty wypełnione informacjami, a nie żywe istoty.

– Jak komputery – powiedział Jason.

Farfalee spojrzała na niego, nie pojmując.

– W Poza w naszych bibliotekach są skomplikowane maszyny z informacjami na

temat wszystkich książek.

– Wasze komputery mogą służyć podobnemu celowi – uznała Farfalee – ale przewodnicy to nie mechanizmy. Nie są też jednak naprawdę świadomi. Niektórzy otrzymali niemal doskonałą iluzję życia dzięki złożoności zastosowanej sztuki edomickiej. Niektórzy czarnoksiężnicy poświęcili tego typu projektom swoje kariery.

Przeszli pod łukiem do krótkiego korytarza. Po obu stronach ciągnęły się ciężkie drzwi na przemian z niszami z dostojnymi popiersiami. Zamiast się zakończyć, korytarz przeszedł w prowadzące na dół schody, niezbyt strome, ale dość długie. Aż pięćdziesiąt stopni prowadziło na półpiętro. Farfalee zignorowała znajdujące się tam drzwi i zeszła dalej. I jeszcze dalej. Jason zdał sobie sprawę, że chociaż biblioteka z zewnątrz robiła wrażenie olbrzymiej, większość jej ukryła się pod ziemią.

Schody doprowadziły ich do podłużnego pomieszczenia, które wyglądało jak wnętrze beczki. Słońce nie docierało tak głęboko, ale kamienie w ścianach świeciły się słabo, przez co większość pomieszczenia ginęła w mroku. Kontuar ciągnął się od ściany do ściany, uniemożliwiając przejście dalej. Za kontuarem rzędy wysokich regałów ciągnęły się w dal. Zapach skóry i starego papieru wypełniał powietrze.

– Popatrzcie na te wszystkie książki! – wykrzyknęła Nia.

– To tylko katalog – powiedziała Farfalee. – Jeśli nie znajdziemy żadnego kamienia-przewodnika, będziemy musieli sami to wszystko przeszukać.

Jason gapił się z rozpaczą na niekończące się półki. Ile tych grubych tomów będą musieli przejrzeć, żeby znaleźć choćby obszar, w którym mają zacząć prawdziwe poszukiwania?

Drake wyciągnął ręce nad głowę i skrzywił się.

– Myślę, że to ten moment, w którym odchodzę i idę popływać.

Farfalee spiorunowała go wzrokiem.

– Ujmę to inaczej – spróbował Drake. – Instynkt ostrzega mnie, że powinienem natychmiast wrócić na plażę i stanąć na warcie.

– Dotrzymam ci towarzystwa – mruknął Jasher.

Kładąc ręce na kontuarze, Farfalee przerzuciła nogi bokiem i przeskoczyła zgrabnie na drugą stronę.

– Nie traćcie ducha – powiedziała, przyglądając się drugiej stronie kontuaru. – Tak znamienite miejsce powinno chlubić się dowolną liczbą... O, proszę!

Przykucnęła za kontuarem i podniosła się z drewnianą tacą pełną półkolistych kamieni. Położywszy ją na kontuarze, wybrała niebieski z jasnozielonymi żyłkami.

Zamknęła go w złożonych dłoniach, wypowiedziała edomickie wezwanie i niebieskawy przezroczysty mężczyzna pojawił się obok niej. Nosił napierśnik i hełm, przy pasie miał ciężki miecz, był wysoki, miał szerokie ramiona i muskularne ręce.

Powitał Farfalee po edomicku. Zadała mu pytanie. Coś o innych językach, w których potrafi mówić. Jason zauważył, że kiedy stara się skupić na poszczególnych

wypowiadanych słowach, coraz mniej z nich rozumie. Lepiej wylapywał sens, kiedy niespecjalnie się skupiał.

– Musiała wybrać szykownego żołnierza? – burknął Jasher.

– Moja siostra ma dziwaczny gust w tych sprawach – odpowiedział Drake, powstrzymując uśmiech.

– Mnie jej wybór odpowiada – wtrąciła Nia, taksując zachwyconym spojrzeniem widmowego żołnierza.

Przerywając rozmowę, Farfalee odwróciła się do pozostałych.

– To powinno radykalnie przyśpieszyć nasze poszukiwania. Poznajcie Tibrusa. Jest jednym z ponad stu przewodników do naszej dyspozycji.

– Czy inni też wyglądają jak on? – zapytała niewinnie Nia.

– Bo jeśli tak – mruknął Jasher do Drake'a – to może wybiorę się z tobą popływać.

Farfalee przewróciła oczami.

– Skoro mam dryg do znajdowania przystojnych facetów, jak mój mąż, to może powinienś docenić ten pośredni komplement.

– Mówią tylko po edomicku? – zapytał Jason. Przegapił odpowiedź dotyczącą języków.

– Nasz obecny wspólny język był w użyciu na długo przed tym, jak odcięto tę bibliotekę – odpowiedziała Farfalee. – Uczeni w mojej młodości ciężko pracowali, żeby ukryć część wiedzy, wyrażając ją w języku edomickim. Jednakże wielu przewodników potrafi rozmawiać w innych językach, jeśli najpierw wydam po edomicku polecenie odblokowujące tę umiejętność.

– Wezmę jednego takiego – powiedział Drake. – Wyszedłem z wprawy w edomickim.

Farfalee uniosła brew.

– Co za ironia, zważywszy, że niezgodnie z prawem posługujesz się tym językiem do zapalania ognia do gotowania.

– Wolę skupiać się na użytecznych słowach – odpowiedział Drake. – Rzadko ucinam sobie akademickie pogwarki z ogniskami.

– Zapytałaś Tibrusa, czy wie, gdzie możemy dowiedzieć się czegoś o Darianie? – zapytała Nia.

– Owszem. Tibrus specjalizuje się w medycynie, sztuce i strategii wojskowej. Powiedział mi jednak, gdzie możemy znaleźć kilku przewodników z solidnym przygotowaniem historycznym.

Farfalee podziękowała Tibrusowi po edomicku i odłożyła kamień. Kiedy tylko jej palce przestały dotykać półkuli, widmowy żołnierz zniknął. Zanurkowała za kontuar i wróciła, trzymając mały żelazny sejf z dziurką od klucza z przodu. Odłożywszy je, przeszła kilka kroków wzdłuż kontuaru, znowu przykucnęła i wyjęła klucz.

– To tych kilku ekspertów – wyjaśniła Farfalee, otwierając żelazną szkatułę. –

Ponieważ biblioteka została opuszczona, Tibrus był tak miły, że powiedział mi, gdzie znajdę klucz.

– Ci przewodnicy są lepsi niż inni? – upewnił się Jason.

– Historia to zdecydowanie najbardziej rozległy dział w zbiorach – wyjaśniła Farfalee. – Tibrus ostrzegł mnie, że eksperci mogą być trudniejsi w obsłudze, czego sama doświadczyłam wiele wieków temu w Wielkim Archiwum w Elboreth. Eksperci zostali zaprojektowani tak, żeby precyzyjnie dopasować poszukiwacza wiedzy do właściwych woluminów. Będą się starali odzegnać niegodnych od trudniejszych tekstów.

– To po co posługiwać się ekspertami? – spytała Nia.

Farfalee wyjęła sześć kamieni z kasetki i ułożyła je w rzędzie na kontuarze.

– Gdybyśmy znali tytuł książki, której szukamy, wystarczyłby dowolny przewodnik. Nie mam jednak pojęcia, który tom poinformuje nas o obecnym miejscu pobytu Dariana Jasnowidza. Dlatego największą szansę mam zwracając się do ekspertów, którzy mogą zasugerować, jak odnaleźć tę informację. Musimy im zaimponować i przeciągnąć na naszą stronę. Jasher, wolisz edomicki czy wspólny?

Skrzywił się lekko.

– Lepiej czuję się we wspólnym.

– To nie zwiększy naszej wiarygodności – ostrzegła Farfalee.

– Tak samo jak słaba znajomość edomickiego.

– Dobrze więc – ustąpiła.

– Dlaczego nie zapytasz jednego eksperta po drugim, Failie? – spytał Drake.

– Po części ze względu na czas. Po części dlatego, że eksperci mają różne osobowości. Niektórzy wolą rozmawiać z mężczyznami niż kobietami. Jeśli będzie trzeba, osobiście poproszę każdego, ale na razie powinniśmy podzielić się zadaniem. – Musnęła cztery kamienie po kolei, za każdym razem wypowiadając półgłosem frazę na temat wspólnego języka. – Niech każdy z was wybierze jeden i przekona się, czego zdoła się dowiedzieć.

Jason wybrał mętny biały kamień z ogniście pomarańczowymi cętkami. W dotyku był gładki, zimny i okazał się nieco cięższy, niż na to wyglądał.

Farfalee powiedziała im, jakie słowo powinni wypowiedzieć, żeby aktywować kamienie. Jason trochę się denerwował, ponieważ edomickie komendy nigdy nie działały w jego wykonaniu tak jak u Rachel. Jednakże w tym wypadku musiał tylko wypowiedzieć właściwe słowo, a nie przelewać w nie wolę, żądając posłuszeństwa.

Starając się naśladować modulację Farfalee, Jason powtórzył przywołanie, którego ich nauczyła, i kamień natychmiast zabrzączał w jego ręce i stał się wyraźnie cieplejszy. Pojawił się łysy mężczyzna o haczykowatym nosie i cienkich brwiach; opierał się na lasce. Skórę i szaty miał oślepiająco białe.

– Zatem język wspólny, tak? – rzucił nieco zrzędlawie.

– To mój ojczysty język – tłumaczył się Jason.

Starzec machnął lekceważąco ręką.

– Co za żałosny stan rzeczy. Ojczysty, powiadasz? Obecny język wspólny nie pochodzi nawet z naszego świata, chłopcze. Wspólny wywodzi się ze świata Poza.

– Wiem. Tak jak ja.

To zaskoczyło staruszkę.

– Pochodzisz ze świata Poza? Zatem znasz prawdziwą nazwę mowy powszechnej.

– Nazywamy ten język angielskim.

– Zgadza się. – Widmowa postać nagle wydała się bardziej przyjazna. – Wiesz, w jaki sposób angielski stał się naszym wspólnym językiem?

– Z powodu Pozaświatowców, którzy się tu zjawili?

– Pozaświatowcy zasadzili pierwsze ziarno, ale miało tu swój udział wiele czynników. Pierwszymi winowajcami byli czarnoksiężnicy. Czarnoksiężnicy z Lyrianu od dawna byli zafascynowani Pozaświatowcami. Niektórzy nawet sami udali się do Poza. Ponieważ angielski był całkowicie obcy w tym świecie, grupa potężnych czarnoksiężników zaczęła posługiwać się nim w sekretnych wiadomościach, zarówno na piśmie, jak i w mowie. W miarę jak trend się nasilał, nauka angielskiego stała się dla wielu czarnoksiężników drugą co do ważności, zaraz po studiach nad edomickim. W efekcie nawet poza społecznością czarnoksiężników wielu uczonych i mędrców nabrało tego samego zwyczaju. Z dwóch języków preferowanych przez mędrców angielski był łatwiejszy do opanowania. I tak zainteresowanie nim wzrastało. Angielski stał się synonimem wiedzy i potęgi. Różnorodne kultury mówiły we własnych językach, a oprócz tego po angielsku. Z czasem angielski stał się środkiem komunikacji ponad granicami kulturowymi. Stopniowo umocnił się na pozycji języka wspólnego. W miarę jak coraz więcej dzieci uczyło się go od kołyski, angielski stał się pierwszym językiem w wielu kulturach.

– Wiele pan wie – powiedział Jason.

– To moje powołanie – odpowiedział uprzejmie starzec. – W większości sytuacji uznałbym rozmowę po angielsku za nieelegancką, ale okazja do konwersacji z rodowitym użytkownikiem pozaświatowego języka to zaszczyt. Co cię sprowadza do tych świętych sal nauki?

– Jedno pytanie tak naprawdę. Szukam ostatniego domu Dariana Jasnowidza.

Starzec wybuchł śmiechem. Nie był to krótki wybuch. Stan wesołości trwał na tyle długo, żeby Jason poczuł się niezręcznie. Stary przewodnik zapanował nieco nad sobą, a potem znowu spojrzął, ocierając łzy z oczu.

– Co tak pana rozbawiło? – zapytał Jason.

– Proszę o wybaczenie, młody Pozaświatowcze. Od jak dawna zamieszkujesz nasz świat?

– Od kilku miesięcy. Mniej niż rok.



– I już zamieniłeś się w poszukiwacza skarbów?

– Nie szukam skarbu. Potrzebuję informacji.

Starzec pokiwał głową.

– Informacji, która doprowadzi cię do legendarnego skarbu Dariana.

– Nie. Potrzebuję informacji od Dariana.

– Mój chłopcze, z pewnością masz świadomość, że Darian musiał umrzeć wieki temu.

To nie była nowina dla Jasona. Niedługo po usłyszeniu proroctwa Farfalee wyjaśniła, że Darian powinien być umrzeć, zanim urodziła się nawet ona.

– Jest pan pewien, że nie żyje? – zapytał przewodnika. – Potwierdzono to? Czy ktokolwiek znalazł ciało?

Mężczyzna nie krył rozczarowania.

– Jesteś jednym z nich?

– Kim?

– Myślałem, że widzieliśmy już ostatnich.

– Jakich ostatnich?

Przewodnik przyjrzał się badawczo Jasonowi.

– Jak wiele wiesz o pytaniu, które zadałeś?

– Niewiele. Jednak z zaufanego źródła wiem, że Darian ma dla mnie informację.

Przewodnik zmrużył oczy.

– Jak bardzo zaufane było to źródło?

Jason zerknął na Farfalee, która rozmawiała z niską, pulchną kobietą.

– Ej, Farfalee, ile mogę panu powiedzieć?

– Poproś, żeby zachował rozmowę dla siebie, a tak uczyni. Mimo to, nie mów więcej, niż to potrzebne.

Jason odwrócił się do starego przewodnika.

– Jak się pan nazywa?

– Bactus.

– A ja jestem Jason. Panie Bactusie, czy zachowa pan dla siebie to, co panu powiem?

– Każdy klient ma prawo do prywatności. Będę strzegł tego prawa, jeśli tego sobie życzysz.

– Poproszę. To wyrocznia kazała mi tu przyjść.

Bactus uśmiechnął się.

– Mój chłopcze, wielu twierdzi, że ma dar przewidywania przyszłości.

– To była wyrocznia z Mianamon. Główna wyrocznia. Umarła, żeby zdobyć proroctwo, którym się z nami podzieliła.

– Mianamon, powiadasz? To była młoda sekta jasnowidzów, kiedy ostatnio o niej słyszałem, ale podobno prawdziwa. Może zbłądziła w minionych latach. Jak wiesz,

biblioteka znajdowała się w uśpieniu przez wiele wieków.

– Wiem. Jestem przekonany, że wyrocznia powiedziała nam prawdę.

– Czas nam to wyjaśni. Co wiesz o Darianie? Masz jakiś inny powód, żeby podejrzewać, że przetrwał?

– Tylko słowo wyroczni.

– Pozwól, że zapoznam cię z ogólnym tłem historycznym. Jak większość osób obdarzonych nadzwyczajnymi umiejętnościami w dziedzinie języka edomickiego, Darian żył bardzo długo. Dłużej niż większość czarnoksiężników, co oznacza nadzwyczajną moc. Tysiące lat temu, pod koniec jego kariery, kiedy z racji wieku zaczął słabnąć, Darian opuścił swój wygodny dom w mieście Davis Kur.

– Zatopione Miasto – wtrącił Jason.

– Znasz nieco naszej historii – pochwalił Bactrus. – To było na długo przed Pothanem Powolnym, ale owszem, mówię o tym samym Davis Kur, które teraz znajduje się na Ziemiach Zatopionych. Darian opuścił swój wygodny dom, obierając sobie sekretną siedzibę w dzikich ostępach, gdzie planował zakończyć swoje dni.

– Sekretna siedziba? Jak bardzo sekretna?

– Najbardziej – podkreślił Bactrus. – Zniknięcie wywołało spore poruszenie. Widzisz, Darian był niewątpliwie największym jasnowidzem, jakiego Lyrian znał. Przeszłość, teraźniejszość i przyszłość otwierały się przed nim jak przed nikim innym przed jego urodzeniem i po śmierci. Ogień pomagał mu w wizjach, stąd jego drugi przydomek, Piromanta. Przez wiele pokoleń pomagał ludziom Lyrianu i kierował nimi. Był stary, ale nadal miał wiele lat przed sobą. Mimo to, nagle zniknął, niemalże bez słowa wyjaśnienia, co zaowocowało plotkami trwającymi wiele stuleci.

– Jakimi plotkami?

– Darian miał wielu uczniów i sług. Niektórzy twierdzą, że ujrzał wizję miejsca, w którym powinien umrzeć, i ogarnęła go obsesja, żeby spędzić tam te lata życia, jakie mu jeszcze zostały. Inni utrzymywali, że przez wieki gromadził skarby i chciał umrzeć pochowany ze swoimi bogactwami. Niektóre plotki sugerowały nawet, że Darian rzekomo odkrył sekret wiecznego życia i zamierzał przepowiadać z ukrycia aż do końca świata. To była jedna z pierwszych i najlepiej udokumentowanych teorii. W ciągu lat pojawiło się wiele innych spekulacji.

– Czyli może żyć?

Widmowy przewodnik zarechotał.

– Byłby to nie lada wyczyn. Niezależnie od swoich zdolności, niezależnie od tego, jak skrupulatnie dbał o zdrowie, Darian powinien był umrzeć wiele tysiącleci temu. Jednakże, kim jest stary bibliotekarz, żeby mówić, że cokolwiek jest niemożliwe.

– Czy ktoś znalazł jego ostatni dom?

– Musisz pojąć, że poszukiwacze skarbów próbowali odkryć ten sekret przez tysiące lat. Ostatnia siedziba Dariana Jasnowidza to legenda, miraż, za którym uganiały się

niezliczone skazane na klęskę ekspedycje. Szanowane wyrocznie i jasnowidze szukali ostatniego miejsca zamieszkania Dariana, w tym kilku wieszczów, których sam wytrenował, ale ich wysiłki zdały się na nic. Jak w przypadku innych tego typu legend, jedyne twierdzenia o odnalezieniu miejsca pochodziły z niewiarygodnych źródeł, dysponujących nędznymi lub wręcz żadnymi dowodami.

– Teraz rozumiem, dlaczego pan się śmiał.

– Cieszę się, że mnie rozumiesz. Poszukiwania ostatniej siedziby Dariana Piromanty zarzucono jako szaleńczy pomysł wiele wieków przed tym, jak ta biblioteka przestała działać. Uznałem za zabawne to, że nasz pierwszy gość od wielu lat przybył tu w pogoni za naciąganą legendą.

Jason westchnął.

– Pomysł odnalezienia ostatniej siedziby Dariana Jasnowidza stał się żartem.

– Był żartem tysiąc pięćset lat temu. Teraz minęło tyle czasu, że większość nawet zapomniała, że był zabawnym żartem.

Jason zerknął w stronę Farfalee.

– Nasiennicy, z którymi się zjawiłem, słyszeli o Darianie, ale najwyraźniej nie wiedzieli, za jak absurdalne uważa się poszukiwanie jego siedziby.

– Nic dziwnego. W porównaniu z Darianem nawet Amar Kabal są młodzi. Misja, którą przedstawiłeś, to daremny wysiłek. Dawno zapomniano o poszukiwaniach jego domu. Niemniej imię Dariana przetrwa wiecznie. Naprawdę był największym jasnowidzem wszech czasów.

– Na tyle wielkim, że gdyby wiedział, że będzie żył wiecznie, to wyprowadziłby się z Davis Kur przed zatopieniem miasta?

Bactrus się uśmiechnął.

– Ciekawe spostrzeżenie.

– Wszyscy mogli zapomnieć, że to był żart, ale wyrocznia, z którą rozmawiałem, była prawdziwą prorokinią. Jej proroctwa sprowadziły mnie ze świata Poza. Nie mogła dostrzec jego domu, ale sprawiała wrażenie przekonanej, że tu możemy odkryć jego położenie. Nie potrzebujemy wskazówek, żeby znaleźć skarb. Musimy je poznać, by dotrzeć do sekretu, który ocali Lyrian. Może mi pan pomóc?

– Masz talent do dramatyzowania – powiedział Bactrus. – A ja mam słabość do entuzjastycznych walk o przegrane sprawy. Poza tym, moim zadaniem jest służyć ci za przewodnika. Jeśli szukasz wiedzy, zrobię co w mojej mocy, żeby ci pomóc.

– Od czego zaczniemy? – zapytał Jason. – Nie mamy dużo czasu.

Bactrus zmarszczył czoło.

– A ile go mamy?

– Nie jestem pewien. Wie pan, co się teraz dzieje w całym Lyrianie?

– Wiem wiele z tego, co tu napisano, ale nie wiem, co się działo na zewnątrz, odkąd mieliśmy tu ostatniego gościa. Kukła odcięła nas od reszty świata.

– Co się stało z ludźmi, którzy tu mieszkali?

– Większość próbowała uciec z wyspy. Z tego, co możemy powiedzieć, Kukła wszystkich ich zabiła. Niektórzy próbowali się tu ukryć. Kukła nigdy nie weszła do biblioteki. Nigdy nie próbowała. W końcu ukrywający się albo zaryzykowali konfrontację z Kukłą, albo umarli z głodu.

Jason ściągnął brwi.

– A co się stało z ciałami? No wie pan, tych, którzy umarli z głodu?

– Poza edomickimi czarami konserwującymi mury, przedmioty i księgi, jest tu parę prostych konstruktów, które pomagają przy układaniu książek na półkach i usuwaniu śmieci. Zaniosły ciała do składu.

– Ohyda.

Bactus wzruszył ramionami.

– Lepsze to niż inne możliwości.

– Cóż, wiele się od tego czasu wydarzyło. Słyszał pan o Maldorze?

– Uczeń Zokara.

– Zokar nie żyje. Eldrin zniszczył wszystkie biblioteki poza tą jedną. Zniknęli wszyscy czarnoksiężnicy z wyjątkiem Maldora, który ustanowił się cesarzem. Jego siły mogą zjawić się tu w każdej chwili. Jeśli nas tu znajdą, spróbują zabić.

– Zrozumiały powód do pośpiechu – zgodził się stary przewodnik. – Pozwól, że pokrótce przeanalizuję, co możesz tutaj znaleźć, a co wiązałoby się z twoimi poszukiwaniami. Pomagałem w wielu poszukiwaniach na ten temat, ale, jak możesz się domyślić, od wielu lat nikt nie pytał mnie o to na poważnie. Teksty, których pragniesz, są starożytne i niemal wszystkie sprowadzają się do niepotwierdzonych spekulacji. Wszystko, co mogę zaproponować, to tysiąc różnych niezweryfikowanych teorii.

Jason potarł czoło.

– Informacja musi się tu znajdować.

– Prawidłowa odpowiedź może skrywać się pośród rozlicznych przypuszczeń. W ciągu całego swojego życia, gdybyś dysponował nieskończonymi funduszami i nic ci nie przeszkadzało, zdołałbyś sprawdzić czterdzieści, może pięćdziesiąt z tych poszlak. Poszukiwania zaprowadziłyby cię na wszystkie krańce świata.

Jason pomyślał o Galloranie atakującym Felrook.

– Mamy tylko jedną szansę. Nawet wyprawa prosto do właściwego miejsca może potrwać zbyt długo. Maldor wkrótce nas zmiażdży. Zna pan wszystkie możliwe źródła, jakie powinniśmy sprawdzić? Czy jest tu inny przewodnik, który może wiedzieć coś, co pan przegapił?

Bactus obruszył się, słysząc to pytanie.

– Jestem głównym przewodnikiem w dziale starożytnej historii. A kwestia ostatniej siedziby Dariana Jasnowidza znajduje się w obrębie dziedziny, której jestem znawcą. Każdy przewodnik, który chciałby ci pomóc, odwołałby się do mnie. Osobiście

zapoznałem się z treścią każdego zwoju, mapy i tomu odnoszącego się do twoich poszukiwań. Nie znajdziesz żadnego innego tekstu bliższego temu tematowi w tej bibliotece. No, chyba że potrafisz czytać w starożytnym petruskim.

Jason odwrócił się do Farfalee. Nie wyglądało na to, żeby usłyszała lepsze wiadomości od swojego przewodnika.

– Ej, Farfalee, znasz starożytny petruski?

Rozpromieniła się.

– Petruski? Owszem. Petruski to najbardziej zagmatwany język, jaki znam.

# Rozdział 16

## Petruski zwój

– Słyszał pan? – zapytał Jason, odwracając się do Bactrusa.

– Słyszałem – odpowiedział zdumiony starzec. – Ten język nie jest tylko martwy. Cmentarz, na którym go pochowano, rozpadł się już w proch. Wielu naszych przewodników dysponuje rozległą wiedzą lingwistyczną, ale żaden nie zna petruskiego. Nie było takiej potrzeby. Nie mieliśmy żadnych tekstów w tym języku. Niewiele ich przetrwało także w innych miejscach. Skąd ona zna petruski?

Jason spojrział na Farfalee.

– Pan pyta, gdzie się nauczyłaś petruskiego. Dlaczego sam cię nie zapyta?

– Przewodnik będzie zwracał się jedynie do klienta, który trzyma kamień, ale usłyszy moją odpowiedź. W młodości pracowałam jako badaczka dla Eldrina w Wielkim Archiwum w Elboreth. Stworzył zespół, żeby przeczesać starożytne pisma w poszukiwaniu odwołań do edomickiego. Zadanie wymagało, żeby kilkoro z nas opanowało martwe języki. O ile mi wiadomo, jedyne petruskie dokumenty, jakie się zachowały, znajdowały się w Wielkim Archiwum i tylko mała grupa ekspertów na miejscu podtrzymywała ten język przy życiu. Byłam jedną z dwóch osób z Amar Kabal, które nauczyły się czytać w tym języku.

– Kto był drugą? – spytał Jasher.

– Kale, syn Hannocka. Jego nasiono przepadło w czasie wojny z Zokarem. Po wojnie, kiedy Eldrin starł z powierzchni ziemi miasto, które założył, i zniszczył Wielkie Archiwum, nie spodziewałam się, że kiedykolwiek jeszcze natknę się na petruski.

Bactrus rzucił Jasonowi znaczące spojrzenie.

– Jak to możliwe, że ta nadzwyczajna kobieta podróżuje w twoim towarzystwie?

– Wyrocznia wysłała naszą siódmkę, żebyśmy odnaleźli Dariana Jasnowidza.

Bactrus zachichotał podekscytowany.

– Ta wyrocznia powiedziała ci, że informacja znajduje się tutaj, i wysłała z tobą nasienniczkę, pewnie jedyną osobę w całym Lyrianie, która potrafi czytać po petrusku.

– Zgadza się. – Jason starał się zapanować nad podnieceniem.

To wyglądało na więcej niż zbieg okoliczności. Może wyrocznia miała dokładniejszy plan, niż ktokolwiek z nich zdawał sobie sprawę!

– Pozwól, że coś ci pokrótce zrelacjonuję – powiedział Bactrus. – Wysoko w górach Sturloch, na północny zachód stąd, znajdował się niegdyś pomniejszy zbiór starożytnych pism, głównie w nieodczytanych językach. Tą skromną kolekcją zajmował się niewielki, ale wielowiekowy zakon depozytariuszy wiedzy. Kiedy siły Zokara zaczęły plądrować wioski w regionie, depozytariusze odesłali wiele tekstów tutaj, do Celestynowej Biblioteki na przechowanie. Pisma te nadal znajdują się tu jako zbiory pożyczone, ponieważ depozytariusze nigdy ich nie odebrali. Prawdopodobnie zarówno zakon, jak i biblioteka przestały istnieć. Pośród pożyczonych tekstów znajdują się obecnie jedyne petruskie teksty w tej bibliotece, względnie nowy nabytek.

– Zapytaj, dlaczego podejrzewa, że mogą mieć związek z naszymi poszukiwaniami – poprosiła Farfalee.

Jason powtórzył pytanie.

– Imię „Darian” wspomniano kilkakrotnie w jednym ze zwojów – powiedział Bactrus. – Nie użyto petruskich liter do zapisania imienia, więc to słowo było jedynym dającym się odczytać w całym dokumencie.

– Dlaczego wspomniano o Darianie w petruskim zwoju? – zastanawiała się Farfalee.  
– Społeczeństwo petruskie wymarło na długo przed jego urodzeniem. Zanim Darian się urodził, petruski był już martwym językiem.

– Słyszał pan? – zapytał Jason.

– Owszem.

– Może pan to wyjaśnić?

– Uznałem to za nadzwyczaj intrygujące – przyznał Bactrus – ale bez tłumacza znającego petruski nie miałem jak zbadać sprawy. Petruskowie pisali na metalowych płytkach. A przynajmniej tylko takie dokumenty się zachowały. Wspomniany tekst spisano na zwoju. Możliwe, że dokument przepisano na zwój z tabliczek, być może dokonał tego względnie współczesny skryba, który przetranskrybował imię „Darian” na bardziej znajome pismo. Zwój może przechowywać tajną petruską przepowiednię dotyczącą Dariana. Wiadomo, że jasnowidze głosili prorocтва na temat innych wieszczów.

– Albo może być to fałszywka – wytknął Drake.

– Rzeczywiście, zwój może być sfalszowany – powiedział Bactrus do Jasona. – Oszuści stworzyli wiele fałszywych tropów, mających prowadzić do ostatniej siedziby

Dariana Jasnowidza. Poszukiwacze przygód nie żałowałyby złota za wskazówkę, które doprowadziłyby ich do legendarnego skarbu.

Farfalee uniosła palec.

– Zwój może nie być ani prorocstwem, ani oszustwem. Jakaś sprytna osoba mogła przetłumaczyć cenną informację na petruski, żeby ją ukryć.

– Czy to możliwe? – zapytał Bactrusa Jason.

Stary przewodnik zmarszczył czoło w zamyśleniu.

– To nawet prawdopodobne.

– Może nas pan zaprowadzić do tego zwoju? – spytał Jason.

– Będę zaszczycony – odparł przewodnik.

Jason się rozejrzał. Drake, Jasher i Farfalee już odłożyli swoje kamienie na kontuar. Nia wymieniła swój, żeby znowu ożywić Tibrusa.

– Nia! – zbeształ ją delikatnie Jason. – Co ty z tym żołnierzem? Czy Tibrus nie powiedział już, że nie jest dobry z historii?

– Wiem, ale nie jest zbyt dumny, żeby posługiwać się wspólną mową. Mój drugi przewodnik mnie obraził. Wyglądało na to, że wasza czwórka świetnie sobie radzi z poszukiwaniami Dariana, więc pomyślałam, że ja mogę się zająć innymi.

Jason zerknął na Nię, a potem na potężnie zbudowanego wojownika.

– Nie jestem pewien, czy wasza dwójka ma szansę.

– Zaslługujesz na kogoś bardziej cielesnego – dodał z krzywym uśmieszkiem Drake.

– A przynajmniej namacalnego – dodał Jason.

Nia westchnęła poirytowana.

– Naprawdę potrzebuję jego wiedzy. To przypadek, że przy okazji jest też przystojny.

– Mówisz serio? – zapytał Jasher.

– Jak najbardziej.

– Dobrze więc – orzekła Farfalee. – W takim razie my pójdziemy z Jasonem i Bactrusem.

Jason żartobliwie pogroził Nii palcem.

– Tylko żebyśmy was nie przyłapali w dziale z poezją.

Drake odwrócił się z ręką na ustach. Jasher nagle się rozkaszał.

Nia położyła rękę na biodrze i przekrzywiła głowę.

– Bardzo to dojrzałe, Jasonie. To ważne poszukiwania. Przekonasz się.

– Jakie poszukiwania? – dopytywał się Jason. – Mogłabyś być bardziej konkretna.

– Masz rację, mogłabym, ale może nie uważam, że zasłużyłeś, by wiedzieć.

– Nic nie podpowiesz? Nawet kategorii?

– Później się dowiesz.

– Tragiczne romanse – powiedział z powagą Drake.

Wszyscy poza Nią i przewodnikami wybuchli śmiechem.



\*\*\*

Nawet z przewodnikiem, który prowadził ich najkrótszą trasą, długo wędrowali po zwój. Celestynowa Biblioteka ciągnęła się w nieskończoność, poziom ponad poziomem. Minęli niezliczone klatki schodowe i rozwidlające się korytarze. W niektórych większych salach regały górowały niczym urwiska i dotrzeć do nich można było tylko dzięki serii drabin i platform. Poza niekończącym się zbiorem książek grupa mijiała mistrzowskie freski i obrazy, skrupulatnie ułożone mozaiki, znakomite w szczegółach rzeźby, stosy broni najwyższej jakości i kuszące wystawy bezcennych kosztowności. Ponieważ biblioteka została porzucona, Jason podejrzewał, że byłby usprawiedliwiony, gdyby zebrał część tych kosztownych relikwii. Gdyby nie ostrzeżenie ze strony Farfalee przed edomickimi pułapkami, nie raz przystanąłby, żeby napełnić kieszenie.

Bactus przez cały czas szedł obok Jasona. Chociaż wyglądał jak hologram i nie było słychać jego kroków, poruszał się zupełnie tak, jakby odczuwał prawa grawitacji.

– Jesteśmy w trakcie desperackiej wojny – wspomniał Jason, kiedy wspinali się szerokimi schodami. – Czy jest tu w bibliotece broń, którą moglibyśmy pożyczyć dla obrony naszej sprawy? – Starał się powiedzieć to jakby nigdy nic, chociaż przez dłuższy czas zastanawiał się, jak najlepiej ująć pytanie.

– Większość broni i zbroi, jakie widzisz tu wystawione, to bezcenne elementy stałych zbiorów – odparł Bactus. – Nie pożyczaliśmy naszych książek nawet najmądrzszym czarnoksiężnikom, że już nie wspomnę o artefaktach, jakie tu zgromadzono. Obawiam się, że te rzeczy muszą tu pozostać.

– Tego się spodziewałem.

– Możesz jednak zajrzeć do szatni. Goście zostawiali tam broń i zbroje. To było obowiązkowe. Cokolwiek tam jest, nigdy nie zostanie już odebrane, a nie należy do biblioteki.

– Warto zerknąć – powiedział Drake. – Niemal każdy, kto miał dość funduszy i inicjatywy, żeby tu przybyć, musiał być doskonale wyekwipowany.

– Chociaż pewnie goście zabrali swoje rzeczy, kiedy próbowali stąd uciec – wtrąciła Farfalee. – Poza tym, niektórzy z uciekających mogli zabrać cudze rzeczy. Mimo wszystko, zgadzam się, warto sprawdzić.

– Możecie także zajrzeć do antykwariatu – podpowiedział Bactus. – Inwentarz teoretycznie nie stanowi części zbiorów, ponieważ jest na sprzedaż. Wyśrubowane ceny służyły gromadzeniu funduszy. Skoro jednak nie ma żadnego sprzedawcy, który zajmowałby się sklepem, wszystko, co tam pozostało, można uznać za porzucone i dostępne.

– Dziękuję za wskazówki – powiedział Jason.

– Podoba mi się sposób rozumowania tego przewodnika – mruknął Drake do

Jashera.

W odległym skrzydle biblioteki na końcu korytarza kilka pięter nad ziemią Bactrus przystanął przed potężnymi drzwiami.

– Do tej sekcji wstęp jest ograniczony. Pożyczone teksty spisano w martwych językach. Wiele znajdujących się tu materiałów pochodzi z tej samej biblioteki, co poszukiwany przez was zwój. Ponad połowy zawartości nie potrafi odczytać żaden z naszych przewodników. – Wskazał okrągłe zagłębienie pośrodku drzwi. – Umieść tam kamień.

Jason przycisnął kamień do wgłębienia. Doskonale pasował. Zalśnił, zapadki szczęknęły i drzwi otworzyły się gładko.

Pokój za nimi nie był duży, ale znajdowało się w nim wiele półek i schowków. Kilka wystawionych książek miało prymitywne oprawy. Przeważały metalowe płytki, gliniane tabliczki, ciasno zwinięte zwoje.

Bactrus zaprowadził ich do okazałych rozmiarów szafy z mnóstwem małych kwadratowych szufladek. Wskazał jedną. Jason otworzył ją i zobaczył, że znajduje się w niej zwój.

Farfalee wyjęła zwój i rozwinęła go ostrożnie. Niemal na jard długi pożółkły dokument zawierał rząd za rzędem schludnych, obcych liter. Farfalee zaczęła czytać od góry, mrużąc oczy. Jej usta wygięły się w uśmiechu.

– Ten zwój ma opisywać drogę do ostatniej siedziby Dariana Jasnowidza – ogłosiła. – Według tego dokumentu droga poprowadzi... przez Dymiące Pustkowia i leżące za nimi góry.

– Niebezpieczna kraina – powiedział Jasher.

– Ale niezbyt odległa – zauważył Drake.

– Czy dokument może być prawdziwy? – zapytał Bactrusa Jason.

Stary przewodnik pochylił się nad zwojem, przyglądając mu się bacznie.

– Zwój z pewnością nie został napisany przez Petrusków. Jak już ustaliliśmy wcześniej, chociaż Darian żył dawno temu, lud petruski zniknął przed jego narodzeniem, a język wyszedł z użycia. A według tego, co właśnie powiedziała twoja towarzyszka, zwój nie dotyczy proroctwa.

– Czy to może być część oszustwa? – dopytywał się Jason.

Bactrus zmarszczył brwi.

– Gdyby zwój był podrobiony, to wybór języka petruskiego byłby dziwną decyzją, zważywszy, że rozumiała go tylko garstka uczonych. Tłumaczenie tekstu wymagałoby zniechęcająco dużego wysiłku ze strony nabywcy.

Drake skrzyżował ręce.

– Oszust mógł uznać, że dziwaczny wybór języka przyda zwojowy autentyczności. Co więcej, czas potrzebny na rozszyfrowanie wiadomości ułatwiłby mu zniknięcie, zanim nabywca odkryłby, że treść go rozczarowała.

- Słyszał to pan? – zapytał Bactrusa Jason.
- Rozsądne rozumowanie. Czy ktokolwiek się pod tym podpisuje?  
Farfalee przeskoczyła na koniec zwoju.
- Autor na początku i na końcu przedstawia siebie jako „Sterującą Dłoń”. Czy chcielibyście usłyszeć zgrubne tłumaczenie wstępu?
  - Poprosimy – powiedział Jasher.
- Farfalee odchrząknęła. Czytała z wahaniem, jakby skupiała się na doborze najważniejszych słów.
  - „Dzięki uprzejmości Sterującej Dłoni niniejszym szlachetny poszukiwacz oświecenia odnajdzie instrukcje, jak dotrzeć do ostatniej siedziby Dariana, syna Thebruna, znanego Jasnowidza z Darvis Kur i autora ponad dwóch tysięcy potwierdzonych prorocत्व wielkich i małych”. Dalej przedstawiono zgrubną lokalizację ostatniego miejsca zamieszkania Dariana, a potem zwój przechodzi do bardzo konkretnych punktów orientacyjnych, którymi możemy się posłużyć, gdy będziemy szukali drogi.
    - Co pan myśli? – zapytał Jason Bactrusa.
  - Przewodnik uniósł ręce.
    - Prawdziwy czy sfałszowany dokument brzmiałby pewnie tak samo. Przekonacie się dopiero, kiedy dojdziecie do końca drogi, trzymając się tych wskazówek.
    - Mamy lepsze wyjście? – zapytał Jason.
    - Na przestrzeni lat sprawdzono wszystkie inne wskazówki bez żadnych ewidentnych skutków. Najbardziej obiecujące sprawdzano mnóstwo razy. Od przybycia tutaj ten konkretny zwój nigdy nie został odczytany i w związku z tym nikt nie zbadał jego prawdziwości. A dzięki słowom twojej wyroczni zjawiał się tu z jedyną osobą w Lyrianie zdolną go odczytać. Jeśli chcesz, bym zgadywał, na którym źródle powinieneś się oprzeć, wskazałabym to.
      - Mnie to wystarczy – uznał Jason.
      - Mnie też – powiedział Jasher. – Potrzebujemy ścieżki i potrzebujemy jej szybko, a okoliczności z pewnością wskazują na ten zwój.
    - Drake zmarszczył brwi.
      - Jeśli zwój jest fałszywy, nie wypełnimy misji.
      - Racja – zgodził się Jasher. – Spodziewasz się, że znajdziemy coś lepszego?
    - Drake powoli pokręcił głową.
      - Zgadzam się, że wygląda na to, że właśnie tego szukaliśmy.
      - Na końcu jest ostrzeżenie – powiedziała Farfalee.
      - Powiedz nam – poprosił Drake.
      - „Nie szukajcie tego sanktuarium w imię próżności lub chciwości. Nie wchodźcie tam z instrumentami zniszczenia albo nieczystymi intencjami. Niegodnych czeka nieszczęście. Tylko... wybraniec... może przetrwać”. – Uniosła głowę. – „Wybraniec”

może nie być najważniejszym słowem, ale względnie dobrze pasuje.

Jason zdał sobie sprawę, że wszyscy patrzą na niego. Wyrocznia podkreśliła, że to on musi znaleźć ostatnią siedzibę Dariana Jasnowidza. Najwyraźniej to czyniło go wybrańcem, przynajmniej w ich umysłach. Spojrzenia sprawiły, że się zmieszał.

– Czy jakiegokolwiek inne teksty wskazują Dymiące Pustkowia? – zapytał.

– Kilka – odpowiedział Bactrus – ale to samo można powiedzieć o niemal każdym innym miejscu w Lyrianie, które zechciałbyś wymienić.

– Potrzebujemy dokładnych map Dymiących Pustkowi – powiedział Jasher.

– Może nam pan pomóc? – zapytał przewodnika Jason.

– Powinniśmy przenieść się teraz do centrum geograficznego. Znajdziesz tam nie tylko najbardziej gruntowny zbiór map, jaki kiedykolwiek zgromadzono, ale i materiały pozwalające skopiować zawartość zwoju.

– Możemy wynieść go do innej sali? – upewnił się Jason.

Bactrus skinął głową.

– Teksty nie mogą opuścić biblioteki, ale w obrębie tych murów mogą i powinny być studiowane i używane.

– To proszę prowadzić.

I znowu Bactrus zabrał ich na długi spacer. Początkowo wracali znajomymi korytarzami, ale wkrótce skręcili w bok i przemierzali nowe sale, szli nieznanymi dotąd schodami i przejściami.

– Bycie depozytariuszem wiedzy mogło być niezłym ćwiczeniem – zauważył Jason, kiedy minęli okno z połyskującym witrażem. – Zbliżamy się?

– Już niedaleko – obiecał Bactrus.

Jasher uniósł rękę, dając znać, by przystanęli, i przykładając palec do ust. Jason zaczął nasłuchiwać. Męski głos wykrzykiwał w oddali ich imiona. W jego tonie pobrzmiwała panika.

Jasher przyłożył dłoń do ust.

– Tu jesteśmy! – ryknął. – Zachodnia ściana, czwarte piętro, niedaleko trzeciej największej kopuły.

Jason był pod wrażeniem orientacji przestrzennej Jashera.

– Już biegnę! – dobiegło z oddali.

– To nie będą dobre nowiny – mruknął Drake.

– Jasher – powiedziała Farfalee – może zaczekasz na posłańca, a my pobiegniemy przodem i zaczniemy kopiować potrzebne informacje?

– Dobrze.

Jasher spojrział na Jasona, który zwrócił się do Bactrusa:

– Może pan powiedzieć Jasherowi, jak ma nas znaleźć?

Stary przewodnik wydał zwięzłe instrukcje, a potem Farfalee ruszyła biegiem. Jason i Drake pobiegli za nią, a z nimi przewodnik. Jason zauważył, że Bactrus biegnie

równie szybko jak oni i nie okazuje żadnych oznak zmęczenia. Po paru kolejnych zakrętach, korytarzach i ciągach schodów weszli do rozległej sali wypełnionej mapami i atlasami. Wielka reliefowa mapa Lyrianu dominowała na podłodze, a resztę pokoju zorganizowano wokół niej. Światlik na górze dodawał naturalnego światła, a balkon wokół górnej części pokoju pozwalał gościom dotrzeć do wyższych półek lub spojrzeć z góry na mapę na posadzce.

Bactrus skierował ich do księgi dużego formatu z mapami Dymiącego Pustkowie. Podczas gdy Farfalee przeglądała mapy, Bactrus zaprowadził Jasona i Drake'a do miejsca, w którym znaleźli papier, atrament i pióra.

– Czy atrament nie wysechł po tylu latach? – zapytał Jason.

– Nie, jeśli butelki pozostały zapieczętowane – odparł przewodnik. – Wykorzystano edomicki do chronienia i zachowania niemal wszystkich zasobów bibliotecznych.

Jasher i jeden z drinlingów, którzy towarzyszyli Aramowi, wpadli do sali.

– Mamy problem – powiedział Jasher.

– Co takiego? – spytał Drake.

– Sześć statków na północno-wschodnim horyzoncie, w tym eskortowiec. Płyną w tym kierunku.

– Wiatr nadal wieje ze wschodu? – zapytał Drake.

– Tak. Nasi dostrzegli statki dopiero patrząc przez teleskop z dużej wysokości. Tamci mają przed sobą jeszcze wiele godzin żeglugi. Aram uważa, że jeśli się pośpieszymy, możemy uciec niezauważeni.

– Byłoby miło, prawda? – powiedział Drake. – Farfalee?

– Zależy od tego, ile czasu zajmie kopiowanie zwoju i mapy.

– Kapitan Aram już pobiegł przygotować *Walecznego* – powiedział drinling. – Wie, że zjawicie się tak szybko, jak zdołacie.

– Możesz nam jakoś pomóc? – zapytał Bactrusa Jason.

Przewodnik zacisnął usta.

– Być może. Zapytaj swoją przyjaciółkę, czy zajmowała jakiś urząd, kiedy pracowała w Wielkim Archiwum.

– Farfalee?

– Otrzymałam urząd pomniejszego depozytariusza wiedzy – odpowiedziała.

– Zapytaj, czy przypomina sobie swoją przysięgę – powiedział Bactrus.

– Farfalee?

Wypowiedziała kilka fraz po edomicku. Traktowały o tym, że pozostanie wierna bogatej historii Lyrianu i będzie dbać o jej zachowanie, będzie uczciwa w kontaktach z tymi, którzy poszukują wiedzy, i odważna w chronieniu dokumentów powierzonych jej pieczy.

– To te słowa – powiedział Bactrus Jasonowi. – Zwój nie jest stałą częścią naszego zbioru. Mogę go oddać pod jej opiekę, jakby była depozytariuszem wiedzy, który

przybył, by zabrać go do Cirum Elsador, księgozbioru, z którego pochodzi.

– Naprawdę?! – wykrzyknął Jason.

– Mam takie uprawnienia – potwierdził Bactrus. – A ona jest w końcu jedyną żyjącą osobą potrafiącą go odczytać. Spytaj przyjaciółkę, czy przysięga dopilnować, by zwój bezpiecznie dotarł do Cirum Elsador, albo zwrócić go tutaj.

– Przysięgam – powiedziała Farfalee.

– Niech dotknie zwojem kamienia – rozkazał Bactrus.

Zrobiła to i kamień przez chwilę pulsował białym światłem.

Bactrus przyjrzał się z powagą Jasonowi.

– Zwój znajduje się teraz pod twoją opieką. Potrzebujesz także mapy.

– Owszem.

– Mamy różne mapy na sprzedaż – powiedział Bactrus. – Wszystko to kiedyś miało pomagać w pracy tutejszym kartografom. Nie są tak doskonałe jak niektóre mapy dostępne w naszych zbiorach, a wybór jest ograniczony, ale wiem o pięciu mapach na sprzedaż, które razem powinny wam pomóc. Ponieważ, jak w przypadku antykwariatu, sprzedawcy nie ma, mogę po prostu pozwolić, byście je zabrali.

– To wiele zmieni – powiedział Jasher. – Oszczędzi nam wielu godzin.

– Możesz spróbować skopiować nasze mapy ręcznie – powiedział Bactrus Jasonowi – ale właściwe oddanie szczegółów wymaga sporych umiejętności. Mapy na sprzedaż pewnie lepiej wam posłużą niż kopie, które sami wykonacie.

Bactrus zaprowadził ich do kąta sali zastawionego stołami i szafkami z mnóstwem szuflad. Z jego pomocą zebrali pięć zwiniętych w rulony map. Farfalee przyjrzała im się dla pewności.

– Nadadzą się – uznała.

– Uważaj na siebie na Dymiących Pustkowiach – przestrzegł Bactrus Jasona. – Krajobraz nieustannie się tam zmienia. Główne punkty orientacyjne mogą pozostać względnie stałe, ale nie gwarantuję, że mapy będą we wszystkim aktualne.

– Jasne – powiedział Jasher. – A teraz do wejścia.

– Może pan nas zaprowadzić tam po raz drugi? – poprosił Jason Bactrusa.

– Nie męczę się.

Podczas biegu Drake powiedział:

– Chciałbym przed wyjściem zajrzeć do tego antykwariatu.

– A ja chętnie zajrzałym do szatni – wtrącił Jasher.

– Liczy się każda minuta – przypomniała im Farfalee.

– Pośpieszmy się – obiecał Drake.

– Mogę pożyczyć wam kamień – odparł Jason.

– Bardzo chętnie – zgodził się Drake.

– Żałuję, że nie mamy czasu ukryć kamieni – powiedziała Farfalee. – Nie chcę ułatwiać wrogom korzystania z tych zasobów.

– Maldor pewnie dowie się tu mnóstwa rzeczy – zrozumiał Jason.

– Jeśli przegramy wojnę, ta biblioteka dostarczy mu środków do znacznego powiększenia mocy – powiedziała Farfalee.

– Można ją w jakiś sposób zamknąć? – zapytał Jason.

– Do tego byłaby potrzebna osoba pełniąca obowiązki depozytariusza wiedzy, która zna odpowiednie słowa – odpowiedział Bactrus. – My, przewodnicy, nie mamy takich uprawnień. Zewnętrzne drzwi otworzą się na każde edomickie pozdrowienie.

– Ukrywanie kamienia nie jest warte tego wysiłku – powiedział Jasher. – Jeśli zabierzemy zwój, nie widzę, jaką przewagę da wrogowi biblioteka w najbliższym czasie. Chyba że w antykwariacie są jakieś użyteczne rzeczy.

– Dobrze więc – ustąpiła Farfalee. – Wy dwaj sprawdźcie szatnię i sklep. Tylko się nie ociągajcie! Najlepiej, żebyśmy ewakuowali się stąd jak najszybciej.

Resztę drogi do wyjścia przebiegli bez rozmów. Zanim dotarli do holu, Jason był zlany potem i zadyszany. Tylko drinling i Bactrus nie zdradzali najmniejszego zmęczenia.

Jason dał kamień Jasherowi.

– Nia wie, że wychodzimy? – zapytała nagle Farfalee.

– Już ją znaleźliśmy – powiedział drinling. – Ona i pozostali pobiegli przodem. Jesteśmy ostatnimi osobami w bibliotece.

– Chodźmy więc – ponagliła Farfalee, idąc do frontowych drzwi.

Zerkając za siebie, Jason zauważył, że Bactrus tłumaczy drogę Jasherowi.

– Dziękuję panu, Bactrusie! – krzyknął, ale przewodnik pozostał skupiony na nasienniku.

Na zewnątrz zobaczył, że popołudnie zmierza już ku wieczorowi. Popędził razem z Farfalee i drinlingiem przez zarośla do plaży, gdzie zastali Corinne i Nię czekające razem z Zoo i jedną szalupę.

– Jak się czujesz? – zapytał Jason Corinne.

– O wiele lepiej – powiedziała. Stała i odzyskała część kolorów. – I może już tak pozostanie. Nia wyświadczyła mi przysługę. Przyniosła mi lekarstwo na chorobę morską.

Jason odwrócił się do Nii.

– Serio?

– Tibrus jest specjalistą od medycyny – wyjaśniła zadowolona z siebie Nia. – Pokazał mi obrazek zioła, które kiedyś uprawiano na tej wyspie, żeby pomóc gościom, dla których rejs okazał się nieprzyjemny. Powiedział, że to bardzo mocny lek, działający także w przypadku chronicznych przypadłości. Znalazłam wielgachną kępę rosnącą dziko przy południowym krańcu biblioteki. Corinne już trochę wzięła, a spory zapas upakowaliśmy w szalupie.

Corinne uściskała Nię.

– Jeśli to zadziała, będę na wieki twoją dłużniczką.

Jason poczuł ukłucie zazdrości. Gdyby był trochę bardziej troskliwy, sam mógłby zostać bohaterem Corinne!

– Powinniśmy przygotować szalupę – powiedziała Farfalee. – Musimy odpłynąć, kiedy tylko Jasher i Drake wrócą.

Dwójka drinlingów obróciła szalupę. Jason, Nia i Corinne podeszli do niej. Jason obserwował fale uderzające o brzeg wyjątkowo apatycznie.

Po kilku minutach Jasher i Drake wybiegli z zarośli i popędzili plażą. Nieśli trzy czarne tarcze w kształcie trójkątów z zaokrąglonymi rogami. Drake miał na sobie okrągły stalowy hełm i napierśnik od kompletu. Ciemny aksamitny płaszcz łopotał za Jasherem.

Obaj wskoczyli do szalupy. Drinlingowie odepchnęli ją od brzegu i siedli przy wiosłach. Szczerząc zęby, Drake podał jedną z tarcz Farfalee.

– Krab-tytan – powiedziała, wając ją w rękę.

– Raz taki omal mnie nie zabił – wtrącił Jason.

– Lżejsze od stali – wyjaśnił Jasher. – I znacznie mocniejsze.

– Przyznaję – powiedziała Farfalee – tarcze z pancerza kraba-tytana pewnie były warte opóźnienia.

– Szatnia była pusta, jeśli nie liczyć rupieci – powiedział Drake – ale sklep robił wrażenie nietkniętego. Zapłakałabyś, wiedząc, jakie skarby tam zostawiliśmy. Same dzieła sztuki!

– Skupiliśmy się na rzeczach użytecznych – dodał Jasher.

– Też mi niespodzianka – zachnęła się Farfalee.

Jasher uśmiechnął się do niej krzywo.

– Ale to nie powstrzymało mnie przed pomyśleniem o tobie.

Wyjął naszyjnik z klejnotów i piękną srebrną bransoletkę.

Farfalee nie potrafiła ukryć radości.

– Och, Jash! Ty draniu! Złupiłeś sklep dla mnie! Ten naszyjnik jest boski! I pożyteczny: musi być wart fortunę!

– A ponieważ ja nie mam małżonki – odezwał się Drake – pomyślałem o was, dziewczęta.

Wręczył Corinne i Nii takie same pierścionki z wielkim niebieskim kamieniem.

– Jest piękny – zachwyciła się Corinne i oczy jej zabłyśły.

Jason nie mógł nie zauważyć, że dzisiaj wszyscy u niej punktowali, tylko on jeden nie.

Nia nic nie powiedziała. Podniosła pierścionek, zahipnotyzowana błyszczącymi fasetami. W końcu zagwizdała cicho.

– Nigdy nie wyobrażałam sobie, że będę miała coś równie wspaniałego.

– Powinny być jakieś nagrody za stawianie czoła ponurym zagrożeniom –



powiedział Drake, pukając knykciami w napierśnik z kraba-tytana. – Dodatkowa tarcza jest dla lorda Jasona.

– Serio? – Jasonowi nagle poprawił się humor.

– Nie chcemy, żeby za łatwo im poszło zabicie ciebie – rzucił wesoło Drake. – Wiatrochron okazał się dla nas łaskawy. Mamy zwój, mapy oraz kilka rzadkich i cennych przedmiotów. Teraz musimy tylko uciec.

Dopłynęli do żaglowca i wspięli się na pokład. Kiedy grupa drinlingów zajęła się szalupą, na *Walecznym* stawiano żagle. Aram podszedł i Farfalee powiedziała mu o zwoju i mapach. Jasher pochwalił się tarczami i dał Aramowi zakrzywiony nóż ze zdobioną kamieniami rękojeścią.

– W jaki sposób uciekniemy? – spytał nasiennik.

– Mieliśmy czas, żeby przeanalizować ich kurs w pokoju obserwacyjnym – powiedział Aram. – Zbliżają się z północnego wschodu, obrali kurs prosto na Wiatrochron, dlatego wymkniemy się w kierunku południowo-zachodnim, wykorzystując ten sam wschodni wiatr i utrzymując między nami a przeciwnikiem wyspę aż do zmierzchu. Na pewno zatrzymają się przy wyspie na noc. Jeśli wiatr się utrzyma, przed świtem będziemy już daleko poza zasięgiem wzroku nawet z pokoju obserwacyjnego.

– Przekonujący plan – powiedział Drake z udawanym zdumieniem. – Naprawdę musiałeś być przemytnikiem! Byłem przekonany, że to wszystko zmyśliłeś.

Aram się uśmiechnął.

– Myślę, że postawiliśmy żagle w najwłaściwszej chwili. Niezależnie od tego, co nasi wrogowie wiedzieli wcześniej na temat naszych zamiarów, teraz będą mieli kłopoty ze znalezieniem nas.

Kiedy grupa się rozproszyła, Drake odciągnął na bok Jasona. Wyjął elegancki naszyjnik z okazałymi klejnotami.

– Drake, nie trzeba było – zażartował Jason.

Nasiennik udał, że tego nie słyszy; był z siebie zadowolony.

– Podwędziłem ten piękny naszyjnik dla Rachel, żeby się nie czuła zapomniana.

Jason uśmiechnął się, zastanawiając się, czy Drake zdaje sobie sprawę, co właśnie zasugerował.

– Myślisz, że nam się uda.

– Co?

– Wierzysz, że będziemy mieli szansę podarować jej ten naszyjnik.

Drake starał się spojrzeć na Jasona twardo.

– Nie zaczynaj wkładać cudzych słów w moje usta. Nasza misja pewnie nadal jest skazana na niepowodzenie.

Jason powstrzymywał szeroki uśmiech.

– Nie mam do ciebie pretensji. Ja też się lepiej poczułem. Sprawy na wyspie mogły

przybrać gorszy obrót.

– Nadal nie wyglądają dobrze, ale owszem, pokonaliśmy Kukłę, znaleźliśmy zwój i może nawet zdołamy uciec, zanim wróg nas zwietrzy. Wszystko mogłoby potoczyć się znacznie gorzej. Ciągłe czeka nas wiele trudów i niepewności. Tylko głupiec przewidywałby, że to przetrwamy... Ale kto wie?

– Wziąłeś naszyjnik na wszelki wypadek.

– Właśnie. Nigdy nic nie wiadomo. – Zabrzęczał naszyjnikiem. – Na wszelki wypadek.

# Rozdział 17

## Marsz

Ciepłe wiosenne słońce świeciło na niebie, kiedy Rachel jechała bitą drogą przez sielską krainę. Odgłosy i zapachy ludzi oraz koni otaczały ją i sięgały daleko w tył. Cieszyła się, że status Mrocznej Damy pozwala jej jechać bliżej czoła kolumny. Okazało się, że tysiące maszerujących żołnierzy wzbija całkiem sporo kurzu. Pozycja bliżej frontu pozwalała jej uniknąć najgorszego, a czarna woalka osłaniająca twarz stanowiła dodatkowe zabezpieczenie.

Oczywiście nie jechała dokładnie na przedzie, gdzie byłaby odsłonięta. Zwiadowcy wybiegali daleko we wszystkich kierunkach, a straż przednia składająca się z grupy konnych jechała daleko przed główną armią.

Galloran przewidywał trudności przy przekraczaniu Telkronu. Każde sensowne przejście stanowiło wąskie gardło, gdzie stosunkowo mała grupa wojowników i harataczy mogłaby spowolnić marsz całej armii. Na szczęście, nie napotkali żadnego oporu. Ani przy Telkronie, ani przed nim, ani za nim. Zwiadowcy nadal nie donosili o żadnych zagrażających ruchach wojsk Maldora. Jak na razie, marsz na wojnę był raczej nudnym doświadczeniem.

Śnieżynka okazała się tak dobrym wierzchowcem, jak Rachel miała nadzieję – mocnym, niezmordowanym, posłusznym. Klacz poruszała się płynnie jak żaden inny koń, na którym jeździła. Tark i Ferrin jechali obok niej, ale niewiele rozmawiali. Io został wyznaczony na pomocnika i osobistego strażnika Gallorana; pełnił rolę, która kiedyś należała do Dorsia.

Galloran spędzał zadziwiającą ilość czasu z żołnierzami. Całymi dniami jeździł wzdłuż kolumny, wieczorami odwiedzał ich w obozowiskach; nigdy nie zostawał w jednym miejscu na dłużej, pozwalając jedynie, żeby ludzie go zobaczyli i usłyszeli

kilka zagrzewających słów. Czasem Rachel zastanawiała się, czy w ogóle spał. Na pewno nie więcej niż parę godzin.

Galloran nie nosił już przepaski na oczach, z wyjątkiem prywatnych spotkań. Wyjaśnił, że tak liczne zastępy nie mogły pozostać niezauważone. Niektórzy z ludzi nabrali zwyczaju wymachiwania bronią i pięściami na widok Gallorana, kiedy przejeżdżał obok nich. Początkowo Rachel uważała, że okazują w ten sposób brak szacunku, dopóki nie pojęła, że przesyłają wiadomość do Felrook poprzez jego oczy. Galloran czasem krzywił się, słysząc szyderstwa, ale wierzył, że oficerowie zadbają o zachowanie dyscypliny i zadbają, by żarty nie wyrwały się spod kontroli.

Co noc Rachel spała w namiocie na wygodnej pryczy. Tark i Ferrin spali obok za przegrodą. Czasem martwiła się, że nocą zakradnie się jakiś czatownik i nigdy więcej nie zdjęła amuletów chroniących jej umysł. Bywało, że w ciemnościach chwyciła się rzemyka jak liny ratunkowej.

Galloran miał większy namiot, w którym urządzano narady. Zawsze, kiedy toczyły się rozmowy, dwunastu krzepkich wartowników otaczało namiot, po trzech z każdej strony. Rachel zwykle nie brała w nich udziału, ale raz, po kolacji, Rachel, Ferrin i Tark zostali wezwani do pawilonu. Galloran w przepasce na oczy czekał z Io u boku. Chleb i ser stały na stole zakrytym wielką mapą.

– Dobry wieczór – powitał ich Galloran. – Przepraszam, że ostatnio brakowało mi czasu. Większość dnia zajmują mi przesyłane orłami wiadomości i raporty zwiadowców. Chciałem zaznajomić was z naszymi postępami i usłyszeć, co myślicie o obecnym stanie rzeczy. Chcę, żebyście wszyscy rozumieli sytuację, i ciekaw jestem, jak ją oceniacie.

– Służę z radością – powiedział Ferrin.

– Obecnie napotykamy o wiele mniejszy opór niż się spodziewałem. Tereny przed nami nie zostały spalone ani splądrowane, by nas zagłodzić. Nie napadano na nasze wojska. Wrogowie nie zawracali sobie głowy niszczeniem mostów ani podjęciem jakichkolwiek działań mających na celu opóźnienie naszego przemarszu. Co wam to mówi?

– Maszerujemy prosto w pułapkę – odpowiedział Ferrin. – Idziemy dokładnie tam, gdzie cesarz chce nas widzieć.

– Jeśli to prawda, nadal spodziewałbym się jakichś symbolicznych wysiłków, żeby utrudnić nam życie, chociażby po to, żeby jego zadowolenie z obranego przez nas kierunku nie było tak oczywiste.

– Taki symboliczny opór oznaczałoby, że uważa nas za zagrożenie – odparł Ferrin. – Maldor nie śpieszy się, żeby okazać nam jakikolwiek szacunek. Nie chce palić plonów, które jego słudzy zbiorą, kiedy my już będziemy trupami. Nie chce kłopotać się odbudową mostów. Postanowił zdeprecjonować nas brakiem zainteresowania. Mówi pańskim żołnierzom, że uważa nas za niegroźnych. Zaprasza ich do marszu ku własnej

śmierci, nie oferując po drodze żadnego małego zwycięstwa.

Rachel patrzyła zza woalki na Ferrina. Była pod wrażeniem. Z pewnością znał się na strategii.

– Obawiam się, że muszę zgodzić się z twoją oceną – przyznał Galloran. – Maldor zna prorocstwo. Wie, dokąd zmierzamy. Wie, że zamierzamy oblegać Felrook. I zachęca, żebyśmy spróbowali.

Ferrin pokiwał głową.

– Po co nas spowalniać, skoro wie, że maszerujemy na pole bitwy, gdzie ma największą przewagę? Felrook jest otoczone górami. Można tam dotrzeć tylko trzema dobrymi drogami. Zachodnią przełęczą, która leży na wschód od Harthenham. Północno-zachodnim przejściem, które jest najwęższe. I wschodnią równiną, gdzie nie ma gór. Bez wątplenia drinlingowie nadejdą wschodnią drogą.

– Zgadza się – przytaknął Galloran. – Amar Kabał dołączą do nas przy zachodniej przełęczy. Północno-zachodnia znajduje się najbliżej Siedmiu Dolin, ale nie ma sensu tracić żołnierzy po to, by zająć dwie przełęcze.

– Musimy zachować czujność – powiedział Ferrin. – Maldor może próbować nas uspić, sprawić, że pograżymy się w samozadowoleniu. Kiedy tylko zaczniemy myśleć, że daje nam swobodny dostęp do Felrook, może uderzyć na nas z całą mocą.

– Przygotowaliśmy się na wielką zasadzkę – powiedział Galloran. – Nasi zwiadowcy i szpiedzy ciężko pracują. A jednak niczego nie wykryliśmy.

– Zatem być może stawimy czoło pierwszemu wielkiemu wyzwaniu na zachodniej przełęczy – odparł Ferrin. – Wzniesiono tam wysokie i mocne mury. Bez burzycieli wątpię, czy nasze siły miałyby szansę się przebić. Nawet z nimi słono zapłacimy za przejście. Okupimy je krwią.

Rachel skrzywiła się na tę myśl. Czasami cieszyła się, że woalka skrywa jej reakcje.

– Albo jeśli Maldor będzie się trzymał obecnej strategii, może nie stawiać dużego oporu na przełęczy – zasugerował Galloran.

– Złapie nas w pułapkę u siebie, w dolinie – powiedział Ferrin. – Gdyby miał zastępy gotowe nadejść ze wschodu, znaleźlibyśmy się w nie lada kłopotcie. To mógłby być koniec wojny. Czy Kadara nadal jest oblegana?

– Jego wojska na wschodzie ciągle pozostają na miejscu. Nadal mam kontakt z Kadarą, Inkałą, Wysokim Portem i drinlingami dzięki orłom. Jeśli wezwie wojska do powrotu, zostaniemy zawczasu ostrzeżeni.

Ferrin pokiwał głową.

– Cesarz może po cichu zbierać zastępy wystarczające, żeby sobie z nami poradzić. Mógł je zebrać, uszczuplając siły okupacyjne rozrzucone po całym Lyrianie. Żołnierze, z którymi teraz nie walczymy, mogą zostać wycofani, żeby potem wspólnie nas zmiażdżyć.

Galloran skinął głową.

– Po przebiciu się przez zachodnią przełęcz musimy zostawić dość ludzi, by ją utrzymali. Ta przełęcz będzie naszą jedyną drogą ucieczki, gdyby załała nas armia ze wschodu.

– Maldor może nawet nie musieć odbijać przełęczy – spekulował Ferrin. – Co, jeśli umieści dostatecznie duże wojsko po drugiej stronie? I bez murów i wież nadal może odciąć nam drogę ucieczki.

– Rzeczywiście mógłby tak zrobić. Znaleźlibyśmy się wtedy między dwiema armiami.

Rachel była pod wrażeniem tego, jak zwyczajnie omawiali scenariusze mogące doprowadzić do ich zniszczenia. Miała nadzieję, że przewidywanie różnych możliwości ułatwi im zapobieżenie katastrofie.

– Jeśli będzie mógł odesłać parę oddziałów, to może wezwać siły z Meridonu. Jak przebiega tamtejsza rewolta?

– Powstanie osiągnęło mniej niż oczekiwaliśmy. Skradziono kilka eskortowców. Parę innych spalono. Większość rebeliantów zginęła. Vernon i Trivett przepadli. Nie zobaczymy stamtąd żadnych żołnierzy. Z perspektywy powstanie okazało się dla Maldora zaledwie utrapieniem.

Ferrin skrzyżował ręce.

– Strategia Maldora jest logiczna. Nie możemy zdobyć Felrook. Żadnej fortecy w Lyrianie nie sprzyja w równym stopniu ukształtowanie terenu. Jak wiesz, panie, znajduje się na szczycie góry pośrodku rozległego jeziora. Jeśli spróbujemy skonstruować flotyllę promów, Maldor dysponuje rozlicznymi środkami, żeby je zatopić, nim się zbliżą. I tylko jedna droga prowadzi urwiskiem do bramy. Jeśli zajdzie taka potrzeba, można ją zniszczyć. Pozostawiona nietknięta i tak bardzo ogranicza dostęp. Nie możemy roztrzaskać bramy, do której nie mamy jak dotrzeć. A twierdza Felrook jest nadzwyczaj dobrze zaopatrzona. Maldor może przetrwać wieloletnie oblężenie... – Ferrin urwał i się zamyślił.

– Mów dalej – zachęcił go Galloran.

– Zapewniające ochronę jezioro uniemożliwi żołnierzom wyjście z Felrook i przejęcie inicjatywy. Żeby to sobie zrekompensować Maldor wznosił trzy forty na wysoko położonych terenach wokół jeziora. Te trzy bastiony osłaniają się wzajemnie i pozwalają zaatakować oblegających. Zajęcie któregoś będzie ogromnym wyzwaniem.

– A prom jest osłonięty murem – wtrącił Galloran. – Też może funkcjonować jak fort.

Ferrin pokiwał głową.

– Maldor może nas złapać w pułapkę między zamkiem, którego nie możemy zająć, i licznymi zastępami, których nie zdołamy odeprzeć. Dolina jest wielka. Cesarz może tam ukryć potężne siły. Może obmyślić rozliczne zasadzki. Mówiąc krótko, gdybym ja

był dowódcą, nie wprowadziłbym nas do doliny.

– Ja także – zgodził się Galloran. – Nie, gdybym posługiwał się własnym rozsądkiem. Nie mam dość ludzi, żeby bezpośrednio zaatakować cesarza. Ewidentnie maszerujemy prosto w pułapkę, która powinna nas zabić. Pokładam wiarę w wyrocznie i w misję, którą stara się wypełnić lord Jason. Brakuje nam jakiegoś elementu tej układanki. Kiedy Jason go znajdzie, musimy być na miejscu, by go wykorzystać.

Ferrin odetchnął powoli.

– Tak wielka wiara.

Rachel martwiła się, że może być za wielka. Powinna się odezwać? Nie miała dużego doświadczenia wojskowego.

– Nie zapominaj, że wiara w to, co wyrocznia ujrzała, to wszystko co nam zostało – powiedział Galloran. – Bez tego, choćbyśmy nie wiadomo jak dobrze walczyli i jak sprytną strategię obmyślili, zwyczajnie nie mamy dość zasobów, by wygrać. Maldor jest za silny. Możemy albo pójść ścieżką, którą zaleciła Esmira, albo wycofać się i przygotować obronę, która pozwoli nam zyskać może z dziesięć lat.

– Maldor wie, że nadchodzimy – powiedział cicho Ferrin. – Wie, jacy sprzymierzeńcy do nas dołączą. Wiemy, że nasza strategia nie jest rozsądna. Spodziewamy się, że cesarz cieszy się, bo maszerujemy prosto w pułapkę. Dajemy mu szansę wyeliminowania wszystkich przeciwników, jacy się ostali, za jednym zamachem. To, co zajęłoby mu lata, zakończy się na przestrzeni tygodni. A jednak to jedyna szansa pokonania go, więc idziemy dalej.

– Co powiesz, Rachel? – mruknął Galloran. – Jesteśmy głupcami?

– Może. Mamy marne szanse. Wyrocznia ostrzegła nas, że pewnie przegramy, więc pewnie przegramy. Jeżeli jednak przepowiednia to nasza jedyna nadzieja, to chyba musimy spróbować. – Spojrzała na Ferrina. – Jedyne sposoby, żeby się przekonać, to próbować do końca.

– Zgadzam się z Rachel – powiedział rozsądnik. – Pewnie zginiemy, ale przychodzą mi na myśl gorsze rodzaje śmierci.

– Mała szansa jest zawsze lepsza niż żadna – odezwał się Tark. – Niezależnie od tego, jak bardzo jest mała.

– Mamy przewagę w paru drobiazgach – wtrącił Io. – Maldor może pojmwować, co znaczy walczyć z ludem Amar Kabal, ale nie z jego żołnierzami. Nie tak naprawdę. Nawet najstarsi rozsądnicy tego nie wiedzą. Minęło zbyt wiele czasu, odkąd nasiennicy pomaszerowali na wojnę. Nie ma wspanialszych wojowników w Lyrianie. Żadna armia nie może tak po prostu stawić im czoła. A my, drinlingowie, nie umieramy łatwo. Odbudowaliśmy naszą liczebność daleko bardziej, niż wróg się spodziewa.

– Nawet jeśli przegramy – stwierdził Galloran – zginiemy godnie. Wiedząc, że mam jakąkolwiek szansę na sukces, nie zgodziłbym się odejść w żaden inny sposób. Wielu z tych, których prowadzę, może nie pojmwować do końca, jak okropna czeka nas walka.

Niektórych z tych szczegółów nie można zdradzić prostym żołnierzom. To, że prowadzę tych ludzi na niemal pewną śmierć, to moje brzemię i jestem gotowy je dźwigać.

– Wiedzą, że będzie ciężko – rzekł Ferrin. – Niektóre z ich oczekiwań mogą być nierealistyczne, ale dowodzisz odważnymi ludźmi, panie. Tchorze by nie przyszli. Nawet najprostszy spośród nich wiedzą, że wróg ma ogromną przewagę.

– Cieszę się, wiedząc, że wasza czwórka mnie popiera – przyznał Galloran. – Wiemy z proroctwa, że tylko jeśli pozostaniemy zjednoczeni, możemy zatriumfować. Ferrinie, im bardziej zbliżamy się do Felrook, tym bardziej będę musiał polegać na twojej wiedzy.

– Jestem tu, by służyć, kiedy tylko zajdzie potrzeba.

– Stawiliśmy dzisiaj wieczorem czoło paru ponurym faktom – podsumował Galloran. – Nie wolno nam przymykać oczu na czekające nas trudy, ani też podcinać sobie skrzydeł, uznając, że nasza sprawa jest z góry przegrana. Przeciwdstawimy się przeciwnościom. Droga do zwycięstwa istnieje. Znajdziemy ją. To wszystko.

Ferrin i Tark wrócili z Rachel do jej namiotu. W środku usiedli razem.

Rachel była nieco oszołomiona spotkaniem. Nigdy nie usłyszała równie dokładnych wyjaśnień na temat tego, czemu prawdopodobnie przegrają. Jaką informację może znaleźć Jason, by przechylić szalę zwycięstwa na ich stronę?

– Doceniam tę rozmowę z Galloranem – powiedział Ferrin.

– Dobrze, że nam wszystko powiedział – przyznał Tark. – Nie mieliśmy prawa domagać się takich informacji.

– Nie tylko dlatego, że uwzględnił nas w swoich planach – wyjaśnił Ferrin. – Większość z tego, co omówiliśmy, już sam przeanalizowałem dzięki własnym obserwacjom. Ulżyło mi, kiedy uzyskałem potwierdzenie, że nie prowadzi nas naiwniak. Galloran atakuje Felrook, mając oczy szeroko otwarte, jeśli mogę to tak ująć. Rozumie grożące nam niebezpieczeństwo. Zdaje sobie sprawę, że nasz atak jest sprzeczny ze zdrowym rozsądkiem. Prowadzi nas tam z jedyne sensownego powodu: żeby wypełnić proroctwo.

Rachel zmarszczyła czoło. Ich strategia nie miała sensu ani dla Gallorana, ani dla Ferrina. Misja Jasona też nie prezentowała się szczególnie sensownie. Wszyscy zarzucali zdrowy rozsądek z powodu proroctwa. Czy to słuszne?

– A jeśli wyroczenia nas zwiodła? – zapytała Rachel. – Martwiłam się, że mogła się pomylić, ale co będzie, jeśli celowo nas oszukała? Jeżeli pracowała dla Maldora? Jeżeli w jakiś sposób przeciągnął ją na swoją stronę? I teraz gonimy za fałszywą nadzieją? Może to wszystko jest gigantycznym spiskiem, żeby sprowokować nas do podjęcia najgłupszych strategicznie wyborów, jakie można sobie wyobrazić?

W namiocie zapadła cisza.

– Słyszeliście, jak odsłonięci będziemy, kiedy zaatakujemy Felrook – powiedziała



Rachel. – Maldor, bezpieczny w swoim zamku, będzie musiał tylko siedzieć i patrzeć, jak jego wojsko nas niszczy. Czego takiego może dowiedzieć się Jason, co zmieniłoby te fakty? Jaki sekret może unieważnić fortece i wojska? Jaki sekret może nam dać przewagę?

– Gdybyśmy to wiedzieli, misja lorda Jasona nie byłaby potrzebna – odparł Tark.

– A jest potrzebna? Czy to będzie jak z polowaniem na Słowo? Magiczne słowo, które może zabić Maldora, od lat strzeżone przez zaufanych strażników. Magiczne słowo, które nie działało i okazało się częścią spisku, mającego na celu manipulowanie przeciwnikiem! A może ta sytuacja niczym się nie różni?

Tark wiercił się skrępowany ze spuszczoną głową. Nie chciał spojrzeć jej w oczy.

– Wyrocznia Mianamon zajmowała swój urząd przez długi czas – powiedział Ferrin.

– Nie miała powodu kochać Maldora. Wręcz przeciwnie. Nie słyszałem żadnych plotek na temat wpływów cesarza w Mianamon. Po co wyrocznia poświęcałaby życie, żeby sprowadzić nas na zły trop?

– Jeżeli Maldor zawarł z nią układ? – zastanawiała się Rachel. – On lubi targi. Lubi manipulować innymi. Może obiecał jej, że nigdy nie zaatakuje dżungli, jeśli ona pomoże mu nas zniszczyć? Co, jeśli wyrocznia nas okłamała, żeby chronić swoich ludzi? Mogła spojrzeć w przyszłość i sprawdzić, czy Maldor dotrzyma słowa! Mogła zawrzeć układ i mieć pewność, że cesarz dotrzyma umowy! Może wysłała Jasona na misję w poszukiwaniu nieistniejącego sekretu martwego jasnowidza, a Gallorana, by poprowadził ostatnich obrońców Lyrianu ku zgubie?

Ferrin patrzył na Rachel. Niemalże widziała myśli kłębiące się w jego głowie.

– Możesz mieć rację.

– Albo może Maldor znalazł sposób, żeby podsunąć wyroczni fałszywe proroctwo?

– ciągnęła Rachel. – Torivorowie mogą wejść do umysłu człowieka. Wiem to z pierwszej ręki. Może zakłócili jej wizję? Mogła mówić szczerze, a mimo to wprowadzić nas w błąd.

– I w tym możesz mieć rację – zgodził się Ferrin.

– Za późno już, żeby zawrócić? – szepnęła Rachel.

– Nie dla nas – odpowiedział Ferrin. – I nie dla Gallorana, gdyby uwierzył w tę teorię. Jeżeli jednak ta teoria jest prawdziwa, stracimy wszelką nadzieję. O ile nie udowodnimy, że wyrocznia wprowadziła nas w błąd, nie jestem pewien, czy kiedykolwiek zdołamy przekonać Gallorana, by zawrócił.

– Myślisz, że mam rację? – spytała Rachel.

Tark nie odrywał oczu od ziemi.

Ferrin wzruszył ramionami.

– Nie sposób mieć pewność. Twoja teoria wyjaśniałaby sens naszego lekkomyślnego ataku. Tłumaczyłaby poszukiwania niemożliwej informacji u martwego proroka. I z pewnością to ten rodzaj oszustwa, jaki wymyśliłby Maldor, wykorzystując

przeciwko nam nasze nadzieje, dając nam powód, żeby dalej próbować, co tylko przyspieszy nasz koniec. Wszystko pasuje. Wątpię jednak, czy kiedykolwiek to udowodnimy. Równie dobrze możesz się mylić. To wszystko spekulacje.

– Przyjrzyjmy się faktom – powiedziała Rachel. – Co wydaje się bardziej prawdopodobne? Że wyrocznia z Mianamon jakoś nas zwiodła? Czy że samobójczy plan bitwy nabierze sensu dzięki słowom proroka, który zmarł tysiące lat temu?

Ferrin zarechotał.

– Pamiętasz, jak doradziłem ci, żebyś pogodziła się z prawdą, kiedy stajesz przed trudnym wyborem?

– Tak.

– Obawiam się, że stworzyłem potwora.

– Bo się mylę?

– Bo odkryłaś możliwość, którą ja przegapiłem. Trudno mi to wyjaśnić.

– Powinniśmy pójść z tym do Gallorana – denerwował się Tark.

Ferrin potarł oczy.

– Tak? Ta wątpliwość może zniszczyć jego wiarę. Wiem, że moją podkopała. Bez dowodu nie wierzę, żeby nasza teoria była dostatecznie silna, by zmienić plany Gallorana. Moglibyśmy tylko odebrać mu pewność siebie.

– Jak możemy zdobyć dowód? – zapytała Rachel.

– Wyrocznia nie żyje – powiedział Ferrin. – Jeśli nas zdradziła, zabrała ten sekret do grobu. Jeżeli Maldor porozumiał się z nią, nic z tego nie pozostało na piśmie. Do sprawy tak delikatnej cesarz posłużyłby się torivorami. Jeżeli wyrocznia dała się zwieść, to nawet ona o tym nie wiedziała. Tak czy inaczej żadnego dowodu nie znajdziemy w Mianamon. Maldor zachowuje najgłębsze sekrety dla siebie. Tylko on albo jego torivorowie mogliby dostarczyć potrzebnego dowodu.

– A gdybym do niego poszła? – zapytała Rachel. – Gdybym przyjęła propozycję nauki u niego? Mogłabym spróbować dowiedzieć się, czy to jego kolejna sztuczka.

– Nie będzie żadnych dowodów, które mogłabyś odkryć. Wszystko jest w jego umyśle.

– Może doprowadziłabym do tego, żeby się wygadał. Potrafi być bardzo szczery na osobności. Może pomyślałby, że nie mam jak was ostrzec. Może zaczęłby się przechwalać. Może zdołałabym dostać się do jego umysłu i poznać prawdę. Zadać mu parę pytań i obserwować jego reakcje. Albo otworzyć się przed torivorami i przeszukać ich myśli. Może zdołałabym was ostrzec. Może moglibyśmy spróbować ostrzec Jasona.

– Taki wyczyn byłby niemal niewykonalny. Nawet gdyby ci się udało, nie widzę, jak mogłabyś dotrzeć do Maldora na tyle wcześnie, żeby to miało jakieś znaczenie. Kiedy armia wkroczy do doliny, nie będzie już powrotu.

– Zatem ostrzegamy Gallorana? – zapytał Tark.

– To inteligentny człowiek – odpowiedział Ferrin. – Możliwe, że już pogodził się

z myślą, że nasz okruszek nadziei może opierać się na nieprawdziwej informacji i w związku z tym nie ma żadnego oparcia. Być może to część ryzyka, które świadomie podejmuje.

– Zastanawiałeś się nad tym już wcześniej? – zapytała Rachel.

– Nie w takim stopniu – przyznał Ferrin – a mało kto jest równie biegły jak ja w wietrzeniu potencjalnych spisków.

– To nie jest ryzyko, które podejmuje tylko Galloran – powiedział Tark. – To ryzyko, które wraz z nim podejmuje cały Lyrian.

Ferrin westchnął.

– Chyba naszym obowiązkiem jest upewnić się, że rozważył tę możliwość.

– Popieram – powiedział Tark.

– Możemy się mylić – stchórzyła Rachel.

Ferrin nerwowo odłączał palec wskazujący i przyłączał go z powrotem.

– Wiarygodna teoria to tylko wiarygodna teoria. Możliwe to nie to samo co prawdziwe. Rozważanie tych przypuszczeń może nas odciągnąć od tego, co jest najprawdziwszą przepowiednią.

– A jeśli mamy rację? – zapytała Rachel.

Ferrin odwrócił wzrok.

– Wtedy ta wojna zakończyła się już dawno temu.

# Rozdział 18

## Miecze wśród nocy

Nikt jeszcze nie przyszedł obudzić Jasona, ale nie dało się zignorować panującego zamieszania. Ciężkie kroki na zewnątrz jego kajuty, połączone z wykrzykiwanymi na pokładzie zdaniem sprawiły, że sturlał się z koi i wciągnął buty. Rozpoznał panikę i niepokój w niektórych okrzykach. Przypiął miecz, wziął tarczę i wybiegł z kajuty.

Za drzwiami prawie wpadł na Corinne, która szła, przypinając miecz.

– Co się stało? – zapytała.

– Nie wiem.

Drake pojawił się obok nich. Miał ponurą minę.

– Wstaliście. Dobrze. Mamy nieproszonego gościa.

– Kto to taki? – zapytał Jason.

– Chodź zobaczyć.

Corinne i Jason poszli za Drakiem na pokład. Żagle wisały zwiotczałe. *Waleczny* ugrzązł z powodu ciszy morskiej poprzedniego ranka i tylko wiosła i słabe prądy popychały go do przodu.

Jedyne szczęście, że ta sama flauta zatrzymała ich wrogów. Trzy dni temu udało im się uciec z Wiatrochronu i od tego czasu nie widzieli żadnego wrogiego statku.

Tyle że teraz wszyscy tłoczyli się przy sterburcie i patrzyli na wodę. Jason przesunął się, żeby coś zobaczyć. Corinne stanęła obok niego. Nie wymiotowała od opuszczenia wyspy.

Noc była cicha, powierzchnia wody niemalże płaska. Jasny księżyc przyćmił gwiazdy wokół siebie i zostawił lśniący trop na spokojnych zmarszczkach ciemnego morza. Podświetlona przez księżyc mroczna postać szła po wodzie w stronę statku, trzymając w górze dwa miecze, a ich srebrne ostrza błyszczały w księżycowym świetle.

– O, nie – szepnął Jason. Zacisnął mu się żołądek, a po ramionach przebiegł dreszcz. Dwa miecze oznaczały, że zjawił się, by wyzwąć kogoś na pojedynek. Co zrobić? Do tego potrzebowali Gallorana.

– Czatownik – szepnęła Corinne.

Czarna postać nie śpieszyła się. Każdy odmierzony krok powodował niemal niezauważalne zmarszczki na wodzie, jakby morze było niczym więcej niż szeroką, płaską kałużą.

Nie potrafiąc oderwać oczu od tego widoku, Jason patrzył z przerażeniem. Czatownik zjawił się, żeby kogoś zabić, i nie było nikogo, kto by go powstrzymał. Każdy, kto się wtrąci, także zginie. Kogo przyszedł zabić? Jason starał się zaprzeczyć okropnej pewności, ale wiedział. Przyszedł zabić osobę, której potrzebowali, żeby dotrzeć do Dariana. Przyszedł po niego. On, Jason, umrze.

Odwrócił się do Drake'a.

– Co robimy? – zapytał cicho.

– Nie zdołamy mu uciec. Pewnie nawet gdyby wiało. Widziałeś, jak się poruszają, kiedy zechcą. O ile go nie zaatakujemy, torivor niosący dwa miecze może walczyć tylko z jednym z nas. Możliwe, że jedyne co możemy, to zagrać w jego grę.

– Wyczuwam jego umysł – powiedziała Corinne. – Nie jest jasne, kogo chce.

Jason dotknął amuletu, który dała mu Rachel. Czy z tej sytuacji istniało jakieś wyjście?

– A gdybyśmy zaatakowali go wszyscy naraz?

Drake pokręcił głową.

– Wtedy umożliwilibyśmy mu zabicie nas wszystkich. Nie możemy tak ryzykować. Nasze zadanie jest zbyt ważne.

Kiedy czatownik zbliżył się do statku, większość drinlingów się wycofała. Jason, Corinne i Drake odeszli na drugi koniec statku, tracąc z oczu złowieszczy gościa.

– Wiedziałeś, że potrafisz chodzić po wodzie? – zapytał Jason.

– Nie – przyznał Drake. – To się wydaje niemal oszustwem.

– Czatownik, który mnie śledził, sprawiał wrażenie, jakby wręcz unikał wody – przypomniał sobie Jason.

– Mógł ukrywać swoją zdolność – domyślał się Drake. – To była bieżąca woda?

– Aha, strumienie – powiedział Jason. – Myślisz, że to jakaś różnica?

Drake wzruszył ramionami.

– Możliwe. Tu nie ma najmniejszych kłopotów.

Jasher podszedł do Corinne.

– Rozpoznajesz, kogo chce? – zapytał pośpiesznie.

Pokręciła głową.

– Staram się. Cały czas powtarza, że przegramy. Nie wyczuwam niczego innego.

– Najbardziej prawdopodobne cele? – rzucił Jasher.

– My – odparł Drake. – Ci z nas, których wysłała wyrocznia. Jeśli Maldor wie, co robi, Farfalee, Corinne, Jason i Aram będą na szczycie jego listy.

Jasher skinął głową.

– Farfalee już przetłumaczyła instrukcje i naniósła znaki na mapy, przez co jest mniej ważna. Aram jest bardzo ważny, póki zostajemy na wodzie. Nie chcę powiedzieć zbyt wiele. Możliwe, że dopiero wybiera cel? Nie chcę przypadkiem wpłynąć na wybór.

– Prawie dotarł do statku – ostrzegł zaniepokojony drinling.

– Nie atakujcie! – krzyknęła Farfalee. – Omówiliśmy to w Durnie. Czatownik z mieczami może zabić tylko jedno z nas, o ile go nie zaatakujemy. I jedno z nas będzie musiało zapłacić za to, żeby reszta mogła kontynuować misję.

Po plecach Jasona przeszedł dreszcz. To on. On będzie musiał zapłacić. Czy mógł się mylić? Może się mylił.

– Failie – powiedział Drake. – A co z najgorszym możliwym scenariuszem?

Farfalee zwróciła się do męża:

– Jasher?

– Wtedy zrobimy to, co musimy – odparł.

– Jaki jest najgorszy scenariusz? – zapytał Jason.

– Że przyszedł po kogoś, kogo nie możemy stracić – wyjaśnił Drake.

– Wchodzi na pokład – oznajmił zdenerwowany drinling, wycofując się na rufę.

Chwilę potem torivor przeskoczył nad burtą i zręcznie wylądował na pokładzie.

– Spokojnie – mruknął Aram. – Dajcie mu przestrzeń. Nie podsuwajcie pretekstu do odwetu.

Z oboma mieczami uniesionymi w gotowości torivor obrócił się powoli wokół własnej osi. Ani odrobina światła nie odbijała się od jego ciemnej sylwetki. Był ciemniejszy od morza, czarniejszy od przestrzeni między gwiazdami. Nie wydawał z siebie żadnego dźwięku. Postać z cienia odwróciła się i stanęła twarzą do Jasona.

W głębi duszy Jason wiedział, że chodzi o niego. Kiedy tylko dostrzegł złowieszczą postać idącą po wodzie, ogarnęło go całkowite, instynktowne przeświadczenie. W ustach mu zaschło. Czuł pulsowanie krwi w rękach i gardle.

Widział już czatowników w akcji. Wiedział, że już po nim. Nie pożyje nawet sekundy. Nie było gdzie się ukryć, nie było jak się bronić.

A gdyby skoczył za burtę? Czatownik potrafił chodzić po wodzie. Poszedłby za nim. Zadźgałby go na śmierć w wodzie.

Mimo pustki w piersi Jason starał się nad sobą zapanować. Irracjonalna część jego osoby chciała uciekać, chować się, krzyczeć. Zerkając na przyjaciół, widział ich troskę i starał się czerpać siłę z ich obecności.

Już nie żył! Nic nie mógł zrobić. Wiedział, że gra w niebezpieczną grę. Teoretycznie wiedział, że to może się tak skończyć. Jednak jakaś inna część rezolutnie spodziewała

się przeżyć.

Tak się nie stanie. Patrząc na beznamiętnego torivora, Jason wiedział, że jego życie się skończyło. Bez mała jakby to już się wydarzyło. Co niby miał zrobić? Próbował wyobrazić sobie, jak w takiej sytuacji poradziłby sobie Galloran. Zabiłby czatownika. A gdyby nie mógł tego zrobić? Stanąłby do walki z odwagą. Jak bohater.

Jason się wyprostował. Łzy groziły, że popłyną, ale nie zgodził się na to. Ponieważ śmierć była nieunikniona, powinien odważnie stawić jej czoło. Czatownik może i odbierze mu życie, ale nie może odebrać godności. Jason postara się umrzeć godnie. To mu da coś, na czym będzie mógł się skupić. Żałował, że nie może zapanować nad drżeniem palców.

A co z misją? Teraz niewiele można było na to poradzić. Widać tak musiało być. Nie miał wyboru. Pozostali będą musieli iść bez niego, doprowadzić misję do końca. Od początku wiedział, że może stracić życie. Wiedział, że czekają ich ofiary. Pozostali zginęli dzielnie. Dlaczego on zawsze miał być chroniony?

Miał tylko nadzieję, że jego śmierć nie zniweczy celu misji. Może jego rola sprowadzała się do wymyślenia sposobu pokonania Kukły. Zastanawiał się, dlaczego wyrocznia z naciskiem podkreśliła wagę jego udziału. Możliwe, że już wykonał swoją część. Pozostali będą musieli zdobyć informację od Dariana. To wszystko może wydarzyć się bez niego.

Jason starał się oddychać wolniej. Nie chciał umierać! Próbował coś wymyślić. Ćwiczył szermierkę. Może gdyby włożył w pojedynek wszystkie swoje umiejętności, to przetrwałby kilka sekund. A może powinien po prostu stać i zmusić czatownika, żeby rzucił się na niego z zimną krwią? Po co dawać mu satysfakcję i udawać walkę?

– On cię zna – powiedziała Corinne. – Stara się do ciebie dotrzeć.

Jason skinął głową. Amulet uniemożliwiał mentalny kontakt. Możliwe, że także brak telepatycznych zdolności u Jasona blokował porozumiewanie.

– Dzielił z tobą sny – mruknęła Corinne, pocierając przedramiona, jakby czuła dreszcze.

– Czatek? – zapytał Jason.

Powietrze pozostało nieruchome, morze spokojne.

Jason uznał, że skoro czatownik obstaje przy pojedynku, on zrobi co w jego mocy. Niezależnie od tego, czy szczęśliwe zwycięstwo jest możliwe, czy nie, lepiej będzie się czuć, ginąc w walce. Może to odciągnie jego uwagę od bólu śmiertelnego ciosu.

Torivor wyciągnął jeden z mieczy, celując ostrzem w Jasona. A potem obrócił broń i rzucił ją Jasonowi – miecz przeleciał po idealnym łuku tak, by chłopak mógł złapać za rękojeść.

Kiedy Jason wyciągnął rękę, Drake wyszedł przed niego i przechwycił miecz.

Czatownik rzucił się naprzód, zmuszając Drake'a do odwrotu wśród lawiny ciosów. Ostrza pobrzękiwały melodyjnie, a każde zderzenie niosło się echem po wodzie. Drake

skręcił w prawo, a czatownik nie odstępował od niego, napierając i atakując. Nasiennik z trudem parował jeden cios za drugim.

Jason patrzył oszołomiony. Ciężar nieuchronnej śmierci zaległ mu na sercu i umyśle z taką mocą, że ta ingerencja całkiem go oszołomiła. Drake próbował go uratować. Jason czuł rozdzierającą mieszankę wdzięczności i zgrozy. Czy nasiennik miał szansę wygrać?

Jasher wykradł z pochwy miecz Jasona i dołączył do walki, atakując czatownika od tyłu. Z nadnaturalną gracją torivor walczył z oboma nasiennikami jednocześnie, nie tylko się broniąc, ale i stale atakując. Krew połała się z rozciętej ręki Jashera. Zanim krople wylądowały na pokładzie, Drake został błyskawicznie dźgnięty w udo.

Drinling na maszcie cisnął w torivora nóż. Nie przerywając ataku, czatownik odbił ostrze mieczem, jak pałkarz, który wybija piłkę poza boisko. Nóż śmignął przez powietrze prosto w pierś mężczyzny, który go rzucił. Drinling spadł z masztu i bezwładne ciało uderzyło o pokład.

Draśnięcie na policzku Jashera.

Płytkie cięcie przez bok u Drake'a.

Obaj nasiennicy z trudem wymykali się śmierci. Uparcie opierali się nieuniknionemu, ale nie mieli szansy wygrać.

Corinne wyciągnęła miecz, ale Farfalee natychmiast stanęła u jej boku.

– Nie – oznajmiła.

– Ale może... – zaprotestowała Corinne.

– Nie – powtórzyła z całą stanowczością Farfalee.

Galloran szkolił wszystkich najlepszych szermierzy, jak walczyć z torivorami, niekoniecznie dlatego, że uważał, że nauczą się, jak się przed nimi bronić, ale raczej, żeby zwiększyć ich ogólne umiejętności. Jasher przeszedł mistrzowskie szkolenie, tak samo jak Drake, Corinne, Ferrin i Aram. Galloran pokazał im, jakie pchnięcia i natarcia torivorowie preferują i jak się przed nimi bronić. Jason obserwował niektóre z tych treningów. Były naprawdę intensywne. Podejrzewał, że nawet tak doświadczeni i doskonali szermierze jak Jasher i Drake bez tego szkolenia już dawno by polegali.

Pobrzękujące ostrza zamieniły się w rozmazaną plamę. Z bezbłędną precyzją czatownik atakował na przemian przed siebie i za siebie, uderzając bezwzględnie, nie odsłaniając się. Dźgnął Jashera w oko. Drake stracił wolną rękę poniżej nadgarstka. Nadal obaj walczyli.

Jason zdał sobie sprawę, że kiedy nasiennicy zginą, on będzie musiał wziąć miecz i walczyć w pojedynku. Nie powinni byli interweniować! Był tak wdzięczny za ich poświęcenie, że nie umiałby tego wyrazić słowami, ale teraz zginą wszyscy trzej zamiast jednego!

– Przygotuj się! – krzyknął Drake. – Nie przegap!

Biorąc zamach mieczem, Drake rzucił się do przodu. Czatownik przeszył jego pierś



– ostrze przeszło przez napierśnik z pancerza kraba-tytana, jakby to była tektura. Upuszczając miecz i drobiąc kilka kroków w miejscu, żeby nie stracić rozpędu, Drake objął obiema rękami czatownika i oderwał od ziemi. Nogi zamajtały w powietrzu. Ciemna pięść uderzyła Drake'a w ramię. Przez chwilę czatownik wisiał w powietrzu unieruchomiony.

Wtedy Jasher wbił mu miecz w plecy i przebił go na wylot.

Torivor zniknął w oślepiającym rozbłysku.

Jasher wyciągnął czubek miecza z ciała Drake'a i złapał go, kiedy tamten poleciał do przodu. Farfalee rzuciła się do nich i pomogła mężowi położyć brata na pokładzie. Podeszli do nich Jason i Corinne.

Drake zakaszłał mokro. Jedno ramię miał zniekształcone, wgniecione w miejscu, gdzie popękały kości. Kiedy leżał na boku, rękojeść torivorańskiego miecza wystawała z jego piersi, a gładkie ostrze wychodziło plecami. Krew płynęła z licznych ran.

– Potrzebujemy opaski uciskowej na tę rękę! – krzyknęła Farfalee.

– Failie – zbeształ ją cicho Drake – już to... przechodziłem. Nie pomoże mi medycyna. – Zakaszłał znowu. Spojrzał na Jashera. – Udało nam się.

– Tak. Nigdy w życiu nie widziałem czegoś równie odważnego.

– Zawsze chciałem... Odejść z klasą.

– Drake – wykrztusiła Farfalee. – Drake, ja...

Straciła panowanie nad sobą i się rozsłochała.

– Nie trzeba – powiedział Drake. – Wiem. Też cię kocham. – Znowu spojrzął na Jashera. – Zabiłeś torivora! – Zarechotał. – Najpierw Galloran... A teraz dwóch może się tym pochwalić.

– Trzech – poprawił go Jasher. – Ty bardziej niż ja.

Drake zamknął oczy i zacisnął zęby. Z trudem oddychał.

Jason nie mógł się dłużej powstrzymać. Uklęknął koło przyjaciela. Słowa posypały się pośpiesznie.

– Dziękuję, Drake. Ocaliłeś mi życie. Wolałbym, żebyś tego nie robił. Tak mi przykro.

Drake złapał Jasona za przedramię jedyną ręką, jaka mu została. Trzymał go mocno. Jason starał się nie zwracać uwagi na krwawiące rany.

– Nie, Jasonie. Nie przepraszaj. To ty ocaliłeś mnie. – Zakaszłał. – Ja już... nie żyłem. Bez amara. Roztrwonilem go. Mogłem skończyć... sam... przegrany. Nienawidząc samego siebie. Tak jest lepiej. O wiele lepiej... To więcej niż sobie zasłużyłem.

Jak przez mgłę Jason zdał sobie sprawę, że Corinne położyła mu rękę na karku. Nie potrafił powstrzymać łez.

Drake wypuścił Jasona; dręczony kaszlem walczył o każdy oddech. Jason chciał się odwrócić. Drake zaraz umrze. Nie odwrócił się jednak od przyjaciela, a nuż znowu

otworzyłyby oczy.

I otworzył.

– Wyjmijcie to – wymamrotał.

Jasher przykucnął, zapierając się jedną ręką o Drake'a, i wyciągnął miecz torivora. Ostrze zazgrzytało o popękany napierśnik. Na klindze nie pozostała ani odrobina krwi. Jasher odrzucił miecz na bok.

Drake przeturlał się na plecy i zadygotał. Potem odetchnął głęboko. Spojrzał na gwiazdziste niebo.

– Wygramy – powiedział głosem spokojniejszym i mniej napiętym. – To nic takiego. Idźcie dalej. Nie mogą nas powstrzymać. Jason, daj Rachel naszyjnik. Powiedz jej... Powiedz jej, że przepraszam. Powiedz jej... że chciałem... pokazać jej... moją małą dolinę. Powiedz jej, że próbowałem.

Głos miał coraz słabszy. Farfalee pogładziła go po czole.

– Nic nie mów – szepnęła. – Nie ruszaj się, Drake. Odpoczywaj. Udało ci się. Odpoczywaj. My się zajmiemy resztą.

– Failie – szepnął, sięgając dygocącą ręką do karku. – Gdzie moje nasiono?

Głowa przechyliła mu się na bok. Ostatnie tchnienie opuściło pierś.

Farfalee zeszywniała z kamienną twarzą, wilgotnymi oczami błyszczącymi w świetle księżyca. Jasher położył ręce na jej ramionach, żeby powstrzymać ich drżenie. Spojrzała przez ramię.

– Jesteś ranny!

Jason spojrział na Jashera. Krew sączyła mu się z oka. Ramię krwawiło. Jason tak się skupił na Drake'u, że prawie zapomniał o drugim rannym.

– Nic śmiertelnego – odparł Jasher. – Przeżyję. Rana oka jest płytka. Ledwie mnie sięgnął. Może nawet nie stracę oka.

Heg ujął Jashera za łokieć.

– Chodź – powiedział. – Opatrzę ci rany.

Jasher skinął głową, wypuszczając Farfalee. Ona wyprostowała się, starając się ukryć rozpacz. Corinne objęła Jasona. Odpowiedział tym samym. Była bardzo szczupła. Musiała schudnąć w czasie choroby morskiej. Te pocieszające gesty wydawały mu się odległe i niewystarczające, ale doceniał starania. Mimo jej obecności, mimo obecności wszystkich na pokładzie, Jason nigdy w życiu nie czuł się równie samotny. Dogłębne poczucie straty pozostawiło go pustym, ale nie odrętwiałym. Drake odszedł. Jason starał się nie patrzeć na ciało.

– Gdzie nasz wiatr?! – krzyknął Jasher, kiedy Heg prowadził go pod pokład. – Aramie, więcej wiatru!

– Zobaczę, co da się zrobić – burknął półolbrzym.

# Rozdział 19

## Zachodnia przełęcz

W jasny poranek Rachel przygotowywała się, by dosiąść klaczy, kiedy podszedł do niej onieśmielony żołnierz. Jego niepewność nie pasowała do mocnej sylwetki ani eleganckiego munduru. Trzymał mały zwój. Wyglądał trochę jak dziecko, które ośmieliło się wejść na cmentarz.

- Proszę o wybaczenie, milady – powiedział. – Mogę zająć pani chwilkę?
- W czym mogę pomóc? – zapytała, starając się, by zabrzmiało to przyjaźnie.
- W niczym, milady, mam dla pani wiadomość od króla.

Rachel zauważyła, że tę rozmowę obserwują Tark i Ferrin. Wyciągnęła rękę, a żołnierz podał jej zwój. Złamała pieczęć i przeczytała. Woalka trochę przeszkadzała, ale wiadomość była krótka. Galloran chciał porozmawiać z nią tego wieczoru.

– Król będzie mile widziany o każdej porze – odpowiedziała, oddając żołnierzowi zwój.

Skłoniwszy się lekko, odwrócił się i odszedł. Ulżyło mu? Rachel tak się wydawało.

Dosiadła klaczy, zastanawiając się, jak przebiegnie rozmowa z Galloranem. Skrywała wiele uczuć. Jedna jej część nie mogła się doczekać spotkania, inna się go obawiała. Jej lęki co do prawdziwości proroctwa pozostały żywe.

Każdy dzień, kiedy wojsko przesunęło się bez przeszkód, przypominał jej o niebezpieczeństwie. Cesarz wiedział, że nadchodzą, ale nie zrobił nic, by ich powstrzymać. Bo i po co miałyby to robić? Wrogowie nieśli mu zwycięstwo na tacy. Rachel nie byłaby zaszokowana, gdyby zobaczyła, że przy drodze czeka na nich poczęstunek powitalny.

Ferrin naradzał się z królem. Powiedział, że było trudno odczytać, czy Galloran wziął już pod uwagę możliwość, że proroctwo jest fałszywe. Ostatecznie król

stanowczo orzekł, że nie mogą zawrócić.

Ferrin i Tark pogodzili się z tą decyzją. Rachel nie czuła się z nią dobrze, ale uznała, że powinna ukryć niezadowolenie. Już wygadała się ze swoich wątpliwości przed Ferrinem. Jej obawy rozważono, a Galloran podjął decyzję. Pozostali pogodzili się z tym faktem. Kim była, żeby dalej narzekać? Kim była, żeby żywić więcej wątpliwości niż rozsądek? Kim była, by kwestionować decyzję króla?

Rachel zajęła miejsce blisko czoła kolumny. Tark i Ferrin pojechali za nią, zachowując pełen szacunku dystans. Przez ostatnie dni Rachel odkryła, że traci wiarę w Gallorana. Od ich ostatniego spotkania rozmawiali tylko dwa razy w drodze – były to krótkie, uprzejme rozmowy. Powierzchowne. Nie wspomniał o dyskusji z Ferrinem, ona także. Temat nie wydawał się stosowny w miejscu, gdzie ktoś może ich podsłuchać.

Galloran nie sięgał do niej mentalnie od wielu dni. Rachel uznała, że nie będzie zwracać mu głowy, posługując się prywatnym dostępem telepatycznym. Gdyby chciał się z nią porozumieć, mógł to zrobić w każdej chwili. Miał prywatny namiot.

A teraz oznajmił, że ją odwiedzi, ale dopiero wieczorem. Została sama z kłębiącymi się myślami. Im dłużej zastanawiała się nad potencjalną fałszywością proroctwa, tym bardziej rozczarowywał ją fakt, że Galloran lekceważył tak prawdopodobne niebezpieczeństwo, i mniej chciała o nim myśleć, już nie wspominając o rozmowie z nim.

Po długim dniu sam na sam z własnymi myślami, Rachel ogarnęła mieszanka przerażenia i ulgi, kiedy Galloran zjawił się w jej namiocie. Towarzyszył mu tylko Io. Ferrin i Tark wyszli z namiotu, a Io strzegł wejścia.

Z cichym jękiem Galloran usiadł obok Rachel na jej łóżku i założył przepaskę na oczy.

- Ferrin martwi się o ciebie – oznajmił bez żadnego wstępu.
- Nic mi nie jest – skłamała.
- Żałuję, że byłem taki zajęty. Jest tyle rzeczy do zrobienia.
- Nie chcę być dodatkowym ciężarem – zapewniła go Rachel.
- Ferrin podejrzewa, że nadal martwisz się, czy proroctwo jest prawdziwe.

Rachel spojrzała na przepaskę. Może przyjaciele nie byli tak nieświadomi jej trosk, jak zakładała. Zdała sobie sprawę, że zbyt długo milczy.

– Rzeczywiście. Nadal podejrzewam, że Maldor posłużył się wyrocznią, żeby skierować nas tam, gdzie chce.

– Rozumiem, dlaczego to cię martwi – powiedział Galloran. – Ta możliwość sprawia, że czujesz, że mój błąd prowadzi nas na rzeź. Czujesz się zobowiązana do milczącej zgody z moją decyzją, chociaż to milczenie może nas zabić.

– Coś w tym stylu. Nie chcę, żeby to była prawda. Po prostu wygląda na to, że to pasuje.

Galloran skinął głową.

– Brak oporu powoduje ogromne napięcie wśród moich żołnierzy. Ja też wyczuwam ten niepokój. Pozwól, że pocieszę cię tak, jak mogę. Znałem Esmirę lepiej niż większość, zarówno osobiście, jak i przez moją ciotkę, Wieszczkę. Zdajesz sobie sprawę, że mogłem patrzeć w jej umysł podczas rozmowy. Szukałem i nie znalazłem śladu oszustwa.

– To rzeczywiście pociecha.

– Nie spodziewałem się zdrady z jej strony. Esmira cieszyła się nieskalaną reputacją. Byłem jednak świadomy potencjalnie katastrofalnych skutków, które mogą wyniknąć nawet z najdrobniejszego przekłamania. Znaleźliśmy się w trudnym położeniu, gdzie nawet najbardziej niewinne pobożne życzenia mogłyby nas poprowadzić ku daremnym wysiłkom śmiercionośną ścieżką. W czasie rozmowy ze mną i kiedy wypowiadała proroctwo, analizowałem zarówno jej zachowanie, jak i umysł. Jestem przekonany, że proroctwo jest autentyczne.

– Czy Maldor mógł ją zwieść? Posłużyć się torivorami, żeby podsunąć fałszywe proroctwo?

– Świątynia Mianamon jest potężnie broniona przed mentalną inwazją. I chyba nie ma lepiej odizolowanego miejsca w Lyrianie niż komnata, w której przekazała nam proroctwo. Nie wyczułem żadnych torivorów w naszym otoczeniu od pojedynku, który wygrałem w Ostatnim Zajeździe. Co więcej, nawet gdyby torivorowie uzyskali dostęp do Esmiry, nie byłoby w stanie zmylić wyroczni tej wielkości.

Rachel westchnęła. Odpowiedź miała sens, ona jednak nadal nie potrafiła się uspokoić.

– Skoro była taka potężna, to czy nie osłoniłaby umysłu przed panem, wiedząc, że kłamie?

– Możliwe – przyznał Galloran – chociaż nie wierzę, żeby była tak głupia, by zaufać Maldorowi i zawrzeć z nim umowę.

– A gdyby mówił szczerze? Może Maldor nie dba o dżunglę? Co, jeśli obiecał zostawić ją w spokoju, więc wyrocznia mu pomogła? Może spojrzała w przyszłość i przekonała się, że naprawdę dotrzyma słowa? Może ujrzała, że reszta Lyrianu i tak jest stracona, ale oszukanie nas ocali przynajmniej dzieci Certiusa?

– Naprawdę to sobie przemyślałaś.

– Istnieje szansa, że mam rację?

Galloran pomilczał, zanim odpowiedział.

– Chyba tak.

– Czy to nie pasuje do posunięć Maldora? Nie przypomina tego, co zrobił ze Słowem?

– Owszem. Po prostu nie wierzę, żeby Esmira zniżyła się do paktowania z Maldorem, niezależnie od okoliczności. I nie wierzę, że cesarz zaproponowałby

oszczędzenie dżungli. Nie zrobiłby tego szczerze. Jego celem jest panowanie absolutne. I jest pewien, że ma pozycję, dzięki której to osiągnie. Nie potrzebował jej pomocy, żeby nas pokonać.

– Nie potrzebował też Słowa – sprzeciwiła się Rachel. – On po prostu lubi eksperymentować nad lepszymi sposobami kontrolowania ludzi. Lubi znajdować prostsze drogi do zwycięstwa. Lubi, kiedy jego wrogowie sami się niszczą.

– Widzę, że to musiało cię gryźć. Opiszysz prawdopodobny scenariusz.

– Martwię się, że nami manipuluje. A jeśli wykorzystuje przeciwko panu pańską wiarę w prorocstwo?

– To możliwe – ustąpił Galloran – ale co, jeśli nasza wiara to jedyne, co może nas ocalić? Może twój strach przed Maldorem każe ci wyobrazać sobie spisek, który nie istnieje?

– W tym kłopot. Nie jestem pewna, czy mam rację. Jednak fałszywe prorocstwo ma sens. Gdybym wiedziała, że mam rację, zmusiłabym wszystkich, żeby mnie wysłuchali. Ale nie jestem. Nie na sto procent. Nie mogę mieć pewności. Nie mam dowodu. Prawdopodobnie taki dowód nie istnieje.

– Jeśli to jakaś pociecha, ja też nie mogę mieć całkowitej pewności. Rzadko możemy mieć całkowitą pewność przy jakimkolwiek wyborze.

– Mogę żyć ze świadomością małej szansy na wygraną – powiedziała Rachel. – Mogę poradzić sobie z faktem, że pewnie przegramy. Jeśli wybieramy między małą szansą a żadną, zgadzam się, żeby wybrać małą. Nie mogę jednak przełknąć możliwości, że nasza mała szansa na zwycięstwo opiera się na kłamstwie.

– Gdyby prorocstwo okazało się błędne, czy możemy obrać lepszą drogę?

– Możemy dłużej pożyć. Kto wie, jakie inne opcje moglibyśmy odkryć? Jeśli prorocstwo to kłamstwo, może istnieje inny sposób pokonania Maldora, którego nie dostrzegliśmy. Jakaś ukryta słabość. Może nie istnieje tylko jedna szaleńcza ścieżka, którą pokazała nam wyrocznia. Jak w wypadku Słowa, prorocstwo może służyć odwróceniu uwagi od lepszego sposobu osiągnięcia naszego celu.

– Nie jestem pewien, na czym miałyby polegać ta słabość. Wielu z nas, w tym mędracy Amar Kabal, szukało słabego punktu przez całe dekady, a Maldor tylko rósł w siłę. Prawdę mówiąc, obawiałem się, że wyrocznia nie znajdzie żadnej drogi do wygranej. Jednak znalazła. A ja próbuję nią podążać.

Rachel nie odpowiedziała. Już wcześniej próbowała sobie wyobrazić możliwą słabość Maldora, ale nic nie przyszło jej do głowy. I tym razem nie było inaczej.

– Mogę cię odesłać do domu – przerwał milczenie Galloran.

– Co?

– Maszerujemy do Felrook z wojskiem. Mamy Ferrina. Niezależnie od czekających na nas niebezpieczeństw, na pewno zdołamy przebić się przez obronę przed portalem do twojego świata.

– Ale czy to zgodne z prorocstwem? Musimy pozostać zjednoczeni. To mi nie wygląda na zjednoczenie.

– Skoro nie jesteś przekonana do naszej drogi, nie pozostaniemy zjednoczeni. W takiej sytuacji wolę, żeby ocalała przynajmniej jedna osoba. Nigdy nie zamierzałem zmuszać cię do pomocy.

Rachel zastanowiła się nad tym. Galloran miał rację. Pewnie mógłby odesłać ją do domu. Nie wzięła pod uwagę tej możliwości. A co z Jasonem? I z pozostałymi? Naprawdę była gotowa się poddać? Naprawdę wierzyła, że prorocstwo jest fałszywe? Martwiła się, że Galloran żyje złudzeniami, ale najwyraźniej przemyślał sprawę co najmniej równie dogłębnie jak ona. Czy jej złe przeczucie to owoc niepokoju?

– Czuję się zagubiona – przyznała w końcu.

– Wątpliwości często tak działają. Kiedy już złapią człowieka, wydają się bardzo prawdziwe.

– A jeśli są prawdziwe?

– Gdyby nie istniała możliwość, że są prawdziwe, nie miałyby mocy.

– Pan nie ma wątpliwości? Co pan robi? Ignoruje je? Jak sobie pan z nimi radzi?

Galloran potarł usta i podbródek.

– Kiedy mam wątpliwości co do decyzji, szukam lepszego rozwiązania. W tej sytuacji żadnego nie widzę. Jedyne możliwości sprowadzają się do czekania, aż Maldor nas podbije. Potem badam racje, którym muszę zawierzyć. Jestem przekonany, że Esmira była prawdziwą wyrocznią. Jestem przekonany, że nie paktowałyby z Maldorem. Zrobiłem wszystko co w mojej mocy, żeby potwierdzić prawdziwość jej słów, i odszedłem usatysfakcjonowany. Jeśli uznam swoje racje za satysfakcjonujące, odrzucam wątpliwości i działam dalej. Pokaż mi dowód, że twoje wątpliwości są słuszne, a zmienię zdanie. Pokaż mi lepsze rozwiązanie, a ponownie przeanalizuję swoją pozycję.

– To ma sens, ale jest takie trudne. Atak na Felrook wygląda na beznadziejne przedsięwzięcie. Nie potrafię sobie wyobrazić, jaki to może być sekret, który może poznać Jason i który coś by tu zmienił.

– I w tym miejscu wiara staje się niezbędną. Także nie potrafię wyobrazić sobie, czego Jason może się dowiedzieć. Gdybym potrafił, misja Jasona byłaby zbyt prosta. Wiara to nie wiedza. Wiara to narzędzie. Wiara pozwala nam uparcie dążyć do zdobycia wiedzy. Wiara podtrzymuje nas w naszych wysiłkach, aż dotrzemy do konsekwencji naszych najważniejszych decyzji.

– A jeśli wierzymy w coś, co jest ułudą?

– Wtedy zmierzamy ku rozczarowaniu. Jednak nawet źle ułożona wiara może pomóc nam zdobyć wiedzę. Staramy się być mądrzy, kiedy wybieramy, w co wierzyć. I w miarę jak dowiadujemy się coraz więcej, dostosowujemy się.

– Jest pan przekonany, że prorocstwo jest prawdziwe.

– Jestem. Gdybym myślał, że jest fałszywe, zawróciłbym armię. Nie chcę wręczać Maldorowi łatwego zwycięstwa.

– W takim razie mam po prostu zapomnieć o swoich wątpliwościach?

– To twój wybór. Jeśli zamierzasz iść dalej, musisz przewyciężyć wątpliwości. Odnosnie do wszystkiego, co warte osiągnięcia, zawsze można nabrać wątpliwości, ale też znaleźć powody do dalszego działania. Rozważyłem możliwości. W tych okolicznościach, kiedy ważą się moje losy, kiedy ważą się twoje losy, kiedy ważą się losy całego świata, postanowiłem sprzymierzyć się z wiarą, wybrałem nadzieję, odrzucając zwątpienie i rozpacz.

– Wierzyliśmy w Słowo – przypomniała mu Rachel.

– I Słowo nie sprawdziło się tak, jak się spodziewaliśmy. To nie był koniec podróży, tylko jej część, być może niezbędna część. I chociaż spędziłem długie lata w lochach Felrook, nie żałuję tego, że uwierzyłem w Słowo. Ta wiara umożliwiła mi w końcu poznanie prawdy na temat Słowa i doprowadziła do miejsca, w którym teraz stoję.

– Rozumiem.

– To wojsko maszeruje na wojnę. Musisz teraz zdecydować, jak postąpisz. Mam nadzieję, że zachowasz wiarę w prorocstwo i mój osąd. Bez twojego udziału nie jestem pewien, czy możemy wygrać. Jeżeli jednak poprosisz mnie o to, odeślę cię do domu. Zawsze mogę podążać dalej, mając nadzieję, że twoja rola już się wypełniła.

Rachel nie potrzebowała czasu, żeby przemyśleć odpowiedź. Szanowała i kochała Gallorana. Obiecała Nedwinowi, że będzie go chronić. Nie wyobrażała sobie, by mogła go porzucić.

– Nie porzucę cię, panie. Nie porzucę Jasona i pozostałych. Ta rozmowa mi pomogła. Myślę, że teraz już poradzę sobie z wątpliwościami. Przykro mi, że przysporzyłam trosk. Nie chciałam patrzeć, jak zostajemy oszukani, bo nie wyraziłam do końca swoich myśli. Pański tok rozumowania mnie przekonuje. Nie potrafiłabym spojrzeć w lustro, gdybym teraz wróciła do domu. Musimy próbować.

Galloran poklepał ją po ramieniu.

– To szczęście, że cię mamy. Jesteś bardzo inteligentną młodą kobietą. Proszę, zwracaj się do mnie ze swoimi innymi wątpliwościami albo gdy dostrzeżesz inne możliwości.

Wstał, zdjął przepaskę i wyszedł z namiotu. Ferrin i Tark wrócili chwilę potem.

Rozsadnik był trochę zawstydzony.

– Przepraszam. Rozmawiałem z Galloranem za twoimi plecami. Widziałem, że się martwisz, i pomyślałem, że nikt ci nie pomoże tak jak on. Mam nadzieję, że to nie było zbyt krępujące.

Rachel go objęła.

– Dzięki, Ferrinie. Potrzebowałam tej rozmowy i Galloran mi pomógł. Czuję się o wiele lepiej.



Ferrin delikatnie ją odsunął, opierając dłonie na jej ramionach.

– Na pewno? Czy tylko udajesz, że jesteś zadowolona?

– Na pewno. Nie ma sposobu, żeby pozbyć się wszystkich wątpliwości, ale Galloran dał mi dość powodów, żeby znowu zaufać prorocत्वu.

– Maszerujemy prosto w śmiertelną pułapkę – przypomniał jej dla pełnej jasności. – Proroctwo nigdy nie obiecywało sukcesu. Nic z tego się nie zmieniło.

– Wiem. Nadal mamy mnóstwo powodów do zmartwień.

– Czas przed bitwą może być gorszy od samej bitwy – dorzucił Tark. – Z pewnością bardziej działa mi na nerwy.

– Zgadzam się – przytaknął Ferrin. – Lepiej nie myśleć o tym za wiele. Wszystko wskazuje na to, że nie będziemy musieli martwić się walką, dopóki nie dotrzemy do zachodniej przełęczy. Na razie musimy tylko przetrwać długi marsz i chłodne noce. Zaparzyć miętowej herbaty?

Rachel i Tark skinęli głowami.

\*\*\*

W miarę jak upływały kolejne dni, armia przeszła przez region żyznych pól i zamożnych wiosek. Większość ludzi pochowała się, kiedy wojsko przechodziło. Przyłączyła się tylko garstka ochotników. Zbliżali się do gór zwanych Szarą Ścianą. Rachel wiedziała, że za nimi czeka Felrook, ale pogodziła się z decyzją, którą Galloran pomógł jej podjąć.

Kiedy armia zbliżyła się do wylotu zachodniej przełęczy prowadzącej przez góry, napotkali czekającą na nich grupę czterystu drzewnych ludzi – dziewięćdziesięciu dziewięciu pokrytych mchem, dziewięćdziesięciu dziewięciu odzianych w bluszcz, dziewięćdziesięciu dziewięciu spowitych w winorośle i dziewięćdziesięciu dziewięciu jeżących się cierniami. Cztery najbardziej utalentowane akolity, jakie Rachel pamiętała z Mianamon, stały przed kompanią, odziane w dostojne szare szaty.

Rachel z radością wymieniła się nowinami z akolitykami, chociaż one patrzyły na jej strój z niepewnością i traktowały ją z pełną dystansu grzecznością. Rachel nie zaprzyjaźniła się szczególnie z żadną z nich, ale miały wiadomości, że Ulani i inne kobiety dobrze się mają, nie wspominając już o tym, jak bardzo same mogły się przydać w bitwie.

Galloran uprzedził swoich ludzi, że otrzymają pomoc drzewnych ludzi, ale Rachel widziała, że wielu żołnierzy patrzyło na nowych sprzymierzeńców z najróżniejszymi odczuciami – od podejrzliwości po zdumienie. Po spotkaniu z akolitykami i paroma przywódcami drzewnego ludu Galloran postanowił większość z nich wykorzystać na razie w charakterze zwiadowców.

Dzień po zatrzymaniu się w pobliżu podejścia na przełęcz dołączyli do nich Amar Kabal. Były ich tysiące; wszyscy jechali konno, kobiety preferowały łuki, mężczyźni mieli miecze i włócznie. Ich zbroje wyglądały na lekkie i wymyślne w porównaniu ze zbrojami noszonymi przez armię z Trensicourt, a broń była wytworem o wiele lepszego rzemiosła. Nasiennicy zabrali ze sobą setki kul orantium, w tym ponad dwadzieścia większych burzycieli.

Wśród Amar Kabal Rachel z radością dostrzegła kilka znajomych twarzy. Zjawili się Andrus i Delissa. Nasiennik opowiedział Rachel, jak znalazł amar Delissy, po tym jak dała zdmuchnąć się w głęboką czeluść podczas przejścia przez Wyjącą Szczerbę. Delissa sprawiała wrażenie młodszej niż wcześniej, miała jasne oczy, świeżą twarz i aż się rwała, żeby wypróbować swoje umiejętności strzeleckie w nadciągającym konflikcie.

Lodan, jedyny syn Jashera i Farfalee, także się zjawiał. Rachel powiedziała mu wszystko co wiedziała na temat jego rodziców i wuja Drake'a. Wydawało się, że się w ogóle nie zmienił od ich ostatniego spotkania, chociaż od tego czasu umarł. Ponieważ była to jego Pierwsza Śmierć, Lodan odrodził się w tym samym wieku, w którym umarł. Jasher odrodził się niewiele przed nim, więc gdyby stanęli obok siebie, wyglądaliby jak bracia.

Tylko jeden członek Konklawe towarzyszył zastępom. Rachel ostatni raz widziała Naczelnego Dowódcę Namana, kiedy przegrał w pojedynku z Galloranem w Siedmiu Dolinach. Nadal miał wysokie czoło i szerokie usta, ale wyglądał tak młodo!

Rachel, Ferrin i Tark brali udział w spotkaniu, kiedy zwiadowcy przekazali raport na temat stanu zachodniej przełęczy. Rachel zauważyła, że Ferrin jest nieswój. Zwykle sprawiał wrażenie, że panuje nad sobą niezależnie od sytuacji, a dziś był cichy i nieobecny myślami. Tak reagował na obecność nasienników?

– Co macie na myśli, mówiąc, że bramy stoją otwarte? – zapytał Naman.

Nosił płaszcz na zbroi i miał smukłą, misternie rzeźbioną buławę. Rachel przyglądała mu się z zaciekawieniem, zastanawiając się, z iloma jej wątpliwościami by się zgodził.

– Mury opuszczono – powiedział szef zwiadowców. – Nikt nie broni przełęczy.

– Nie znaleźliśmy żadnych strażników po żadnej stronie przełęczy – potwierdził drugi zwiadowca. – Machiny obronne na murach rozmontowano. Koszary są puste. Pośleliśmy ludzi wyżej w góry i niczego nie znaleźliśmy. Szukaliśmy sił po drugiej stronie przełęczy, ale jak na razie nie znaleźliśmy żadnego śladu życia. Plessit, pierwsza wioska za przełęczą, stoi pusta.

– Dobrze więc – powiedział Naman. – Dziękuję za raport. – Odwrócił się do Gallorana, który nosił przepaskę na oczach. – Co o tym myślisz, królu Galloranie?

– Nie podoba mi się przyjmowanie tak ewidentnego zaproszenia. Pusta przełęcz to oczywista przynęta do pułapki. Maldor nawet nie próbuje ukrywać swoich intencji.

Wie, jaką przepowiednię usłyszeliśmy, i postanowił z nas zadrwić. Bezwstydnie zachęcając nas do dalszego marszu, sprawdza, czy się nie wycofamy.

– Wycofano się z oblężenia Inkali, Kadary i Wysokiego Portu – powiedział Naman.  
– Cesarские wojska pędzą na zachód z niespotykaną szybkością.

– Słyszałem doniesienia. Cesarz czekał z odwołaniem, dopóki nie nabrał pewności, że naprawdę się nie wycofamy.

– A nie zrobimy tego? – spytał Naman. – Wszystkie siły Maldora dotrą do Felrook w parę dni po nas. Nie zatrzymamy ich na wschodzie, to szeroka równina bez żadnych ścian.

Rachel starała się zachować neutralny wyraz twarzy. Czy to źle, że cieszyła się, że Naman sprawdza Gallorana? Doskonale się do tego nadawał – nie tylko był jednym z największych sceptyków w Lyrianie, ale i znakomicie znał się na strategii wojskowej. Rozumiała wiarę Gallorana w prorocstwo, nie chciała jednak, by ignorowano zdrowy rozsądek w czasie przygotowań. Naman zadba, żeby do tego nie doszło.

– Oddział drinlingów powinien jutro dotrzeć do wejścia od wschodu – powiedział Galloran. – Oczywiście mają równie małe szanse zablokować tę drogę, jak my, ale zajmą pozycję, żeby uderzyć na Felrook razem z nami.

Naman prychnął.

– Może powinienes to inaczej ująć, panie: że zajmą pozycję, z której razem z nami pogapią się na jezioro Fellion.

– Możliwe.

– Cesarz nie zawraca sobie głowy ukrywaniem swojej strategii – powiedział Naman.  
– Czemu nie pokrzyżować mu planów? Nasz marsz sprawił, że przerwano oblężenie Kadary. Miasta mogą teraz odnowić zapasy, przegrupować siły. Wycofując się teraz, osiągniemy wiele małym kosztem. Sprawimy, że na marne pójdą ruchy jego sił, i wydłużymy wojnę na wschodzie o całe lata.

Rachel rozważała tę możliwość. Przyglądała się teraz Galloranowi z zaciekawieniem.

– Nie musi ukrywać swojej strategii – powiedział Galloran. – Wie, że naszą jedyną nadzieją pokonania go jest iść dalej i zająć Felrook. Prorocstwo żąda, żebyśmy pomaszerowali na Felrook, i ostrzega, że Felrook musi upaść. Jeśli zawrócimy, zanim osiągniemy cel, prorocstwo nigdy się nie spełni. Wojna oficjalnie się zakończy. Wrócimy do domu, by czekać na nasz koniec.

– A tak pójdziemy jak bydło na rzeź – odparł Naman. – Kiedy już przekroczymy przełęcz, Maldor ponownie ją zajmie, niezależnie od tego, jaką obronę tu pozostawimy. Znajdziemy się w pułapce, zginiemy i wojna naprawdę się skończy.

– Nie, jeśli zajmiemy Felrook, zanim wojska Maldora nadejdą ze wschodu.

– A jak proponujesz tego dokonać, królu?

– Najpierw zajmiemy forty – powiedział Galloran. – Jak wiesz, trzy forty wznoszą

się wokół Felrook. Nie chroni ich woda. Pozwalają Maldorowi na wypadki przeciwko napastnikom. Jeśli jednak padną, zapewnią solidne schronienie oblegającej armii.

– Burzyciele? – zapytał Naman.

– Burzyciele dadzą nam wielką przewagę przeciwko tym fortom – zgodził się Galloran. – Nasz rozsadnik zna sekretne wejście do dwóch z nich. Może zdołamy zająć dwa, korzystając ze sprytu.

Rachel zerknęła na Ferrina. Zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się do niej niepewnie.

– Zatem zajmiemy forty i umocnienia osłaniające prom – powiedział Naman. – Uznajmy to za cztery forty, ponieważ prom właściwie też jest ufortyfikowany. I co wtedy? Te mury nie pomieszczą wszystkich naszych sił. Będą dawały niewielką osłonę przeciwko hordzie, która wyskoczy na nas ze wschodu.

– Kiedy już zajmiemy forty, zaczniemy studiować problem Felrook – powiedział Galloran. – Obmyślimy sposób przeprowadzenia ataku na twierdzę.

– To znaczy, poczekamy na drugą część proroctwa. Mamy nadzieję, że twoi towarzysze zabiją Kukłę, znajdą martwego proroka i uzyskają jakiś sekret, który nas ocali.

– Zasadniczo tak.

– To szaleństwo – zaprotestował Naman. – Nie jest jeszcze za późno, by się wycofać.

– Mamy wiadomości od lorda Jasona. Ferrinie?

Ferrin wstał.

– Jason ma moje ucho. Poinformował mnie, że tego ranka zniszczyli Kukłę i uciekli z Wiatrochronu.

Okrzyki ulgi i podniecenia powitały te wieści. Po chwili Galloran uniósł ręce, pozwalając Ferrinowi kontynuować.

– Znają miejsce pobytu Dariana Jasnovidza. Byli ścigani. Dopadł ich czatownik, ale go zabili.

Ta wieść wywołała kolejne poruszenie. Ferrin zerknął na Rachel. Zastanawiała się, jakim cudem pokonali torivora bez Gallorana.

– Dajcie mu mówić – powiedział Naman.

– Po kilku dniach, na które unieruchomiła ich cisza morska, dostrzegli z oddali innych torivorów, prowadzących małą flotę, która miała ścigać ich po Morzu Śródlądowym. Teraz przygotowują się do zejścia na ląd i podróży do ostatniej siedziby Dariana Jasnovidza. Postanowili podzielić się tymi informacjami, ponieważ uznali, że skoro cesarz zna ich ruchy, to my także powinniśmy poznać nowiny. Rozsadnik nie może zdradzić sekretów, które już są znane. Mieli nadzieję, że ich postępy dodadzą nam odwagi.

Ferrin usiadł.

– Rzeczywiście – powiedział Naman – z ulgą słyszę, że druga część proroctwa nie okazała się jeszcze klęską. Pokonanie Kukły to niespodziewany sukces. Zgadza się jednak, że Maldor poznał proroctwo i wykorzystuje je przeciwko nam. – Naman nie patrzył na Rachel, ale ona i tak nieco się skrzywiła. – Skoro przewiduje nasze ruchy, bez wątpienia przygotował idealną pułapkę. Wylądujemy między niezdozbytymi fortami i całym jego wojskiem. Jaka informacja może zmienić ten beznadziejny scenariusz?

Galloran wstał.

– Tylko dlatego, że ani ty, ani ja nie pojmujemy sekretu, który może nas ocalić, nie znaczy to, że nie istnieje on naprawdę. Mamy dobre powody wierzyć w jego istnienie. To musi nam wystarczyć.

– O wiele prosisz.

– Nie proszę. Wyrocznia widziała to, co widziała. Prosi nas o to prawda, którą ona dostrzegła. Możemy przeciwstawiać się naszemu obowiązkowi, posługując się logiką, możemy znajdować uzasadnienia do zboczenia z obranej drogi, ale proroctwo nie dopełni się dzięki temu, że prawie się mu podporządkowaliśmy. Musimy skończyć to, co zaczęliśmy. To nie będzie łatwe. Ostrzeżono nas, że to przedsięwzięcie zapewne zakończy się naszą klęską. Jesteśmy tu jednak, ponieważ to nasza ostatnia szansa.

– Mówisz prawdę, królu – powiedział Naman. – Dlatego tu się zjawiliśmy. Poza tym, jeśli zaprotestuję, mogę znowu przedwcześnie wylądować w ziemi. Kontynuujemy marsz jutro?

– Owszem.

Naman zmarszczył czoło, ale skinął głową. Rachel zauważyła, że robi wrażenie zadowolonego, co było budującym sygnałem.

– Ilu ludzi zostawiamy, żeby utrzymać mury?

Galloran zatarł ręce.

– Samo utrzymanie przełęczy nie sprawi, że wygramy wojnę. Jeśli zawiedziemy pod Felrook, wszyscy zginiemy. Jeżeli Maldor zechce zająć przełęcz, dokona tego niezależnie od tego, jak będziemy jej bronić.

– Ale to miejsce doskonałe do obrony. Powinien słono zapłacić za odzyskanie go.

– To chyba rozsądne – ustąpił Galloran. – Obejrzymy mury, przechodząc tamtędy jutro. Najpewniej zostaną zaatakowane z obu stron. Ci, którzy zostaną, nie uciekną. Obsadzimy je stosowną liczbą ochotników.

Przeszli do szczegółów dalszego marszu, w tym kwestii misji zwiadowczych w dolinie, integracji Amar Kabał z ludzkimi oddziałami i rozdzielenia orantium. Nakreślili strategię walki z harataczami i olbrzymami. Omówili, jak należy wykorzystać drinlingów w nadchodzącej walce.

Kiedy Galloran i Naman przeszli do rozmów o wozach z zaopatrzeniem i rozdzielaniu dóbr, Rachel zaczęła tracić zainteresowanie. Wiedziała, że to ważne, by nikt nie głodował, ale nie mogła niczego wniesić do tej dyskusji.

Zdołała przechwycić spojrzenie Ferrina.

„Wszyscy zdrowi?” – zapytała bezgłośnie, poruszając tylko ustami.

Sprawił wrażenie, że nie zrozumiał, więc powtórzyła pytanie.

Mina mu zrzedła. Dość, by powiedzieć jej, że coś jest nie tak.

„Potem” – odpowiedział.

Rachel ledwie wysiedziała przez resztę spotkania. Czy ktoś z jej przyjaciół był ranny? Zabity? Starła się o tym nie myśleć. Kiedy wreszcie narada się zakończyła, Rachel wyszła z Tarkiem i Ferrinem.

– Dlaczego nie powiedziałaś mi o wiadomości od Jasona przed spotkaniem? – zapytała Ferrina, kiedy znaleźli się na zewnątrz i mieli nieco prywatności. Odsunęła woalkę, żeby lepiej go widzieć.

– Rozmawiałem na osobności z Galloranem, kiedy Jason mi wszystko powiedział – odparł przepaszająco. – Kiedy tylko przekazałem wiadomość, Galloran poprosił mnie, żebym zachował to w sekrecie i wykorzystał jako niespodziewany argument w rozmowie z Namanem. To oznaczało tylko kilkugodzinną zwłokę.

– Chyba nie mogę winić Gallorana, że cię o to poprosił – odparła niechętnie Rachel. Chciała się upewnić, że wszyscy są cali i zdrowi, a jednocześnie bała się zapytać. – To dobry znak, prawda? Że poradzili sobie z Kukłą?

– Doskonały – przytaknął Ferrin. – Wielu bez skutku próbowało pokonać Kukłę. Jeśli dokonali jednego niemożliwego wyczynu, to czemu nie więcej?

– Jason jest zdrowy? – zapytała cicho, napięta jak struna.

– Dostatecznie. Pościg daje im się we znaki. Nie dziwię się, że Maldor posłał torivorów. Kiedy Kukła padła, po stokroć bardziej zaczął się martwić tamtą częścią przepowiedni. Cesarz wykorzysta wszystkie zasoby, by odciąć Jasonowi dostęp do celu.

– A inni mają się dobrze?

Ferrin zamilkł. Znowu miał minę, jakby miał się pochorować.

– Kilku drinlingów zginęło. I obawiam się, że mam złe wieści. Jeden z członków naszej oryginalnej delegacji poświęcił życie, żeby pokonać czatownika. To cud, że go powstrzymali bez Gallorana. Zjawił się, by zabić Jasona.

– Lord Jason ma się dobrze – potwierdził Tark.

Ferrin pokiwał głową, patrząc na Rachel.

Pobladła.

– Tylko nie Drake – szepnęła.

Ferrin skinął leciutko głową.

Rachel zrobiło się zimno i niedobrze. Jak to możliwe, że Drake odszedł z tego świata, a ona o tym nie wiedziała? Odpowiedziała skinieniem głowy.

– Och.

– Wiem, że byliście blisko – powiedział Ferrin. – Jason powiedział, że zginął

bohatersko.

– Na pewno – przytaknęła Rachel, starając się odciąć od uczuć, nie reagować na straszliwą wiadomość.

Chciała odreagować w języku edomickim. Dostrzegła głąz wielkości kanapy i nagle zapragnęła rzucić nim wyżej i dalej niż wszystkim, czym rzuciła do tej pory. Chciała go zmiażdżyć na pył. Chciała rozedrzeć na strzępy namiot, w którym dopiero co spotkała się z Galloranem. Chciała podpalić cały świat. W tej chwili bólu i smutku prawie czuła, że byłaby w stanie to zrobić.

Zamiast tego opuściła woalkę na twarz. Chociaż raz jej strój całkowicie pasował do nastroju.

– Maldorowi nie ujdzie to na sucho – wykrztusiła w końcu.

– Nie ujdzie – powiedział Ferrin, obejmując ją.

Rachel na to pozwoliła. Nie chciała, żeby ktoś teraz jej dotykał, ale Ferrin tego nie wiedział. Próbował pomóc. Kiedy wypuścił ją z uścisku, Tark wziął ją za rękę i poklepał jej dłoń. Widziała ból w jego oczach.

Odsunęła się.

– Potrzebuję chwili dla siebie.

Ferrin pokiwał głową.

Rachel odwróciła się i odeszła od obozowiska. Chciała, żeby ktoś ją zaatakował. Chciała, żeby Maldor zostawił jakichś obrońców na przełęczy. Chciała, żeby zaatakował ją sam Maldor. To on przysłał tego torivora. Miała mu przekazać wiadomość.

Ktoś zaszedł ją od tyłu i złapał za rękę. Odwróciła się. To był Galloran, bez opaski na oczach. Patrzył ze współczuciem.

– Usłyszał pan moje myśli – zrozumiała.

– Trudno było je przeoczyć – odpowiedział delikatnie.

– Nie... – zaczęła, ale nie potrafiła skończyć.

*Nie wiesz, o co walczysz, skoro ludzie, których najbardziej kochasz, mają zginąć – przekazał telepatycznie Galloran.*

*Tak – odpowiedziała. A jednocześnie chcę walczyć jeszcze bardziej niż dotąd. Nigdy nie chciałam nikogo skrzywdzić za pomocą edomickiego. Raniłam ludzi w obronie własnej, kiedy robiło się gorąco, ale nigdy nie czułam tego co teraz.*

*Trzymaj te pragnienia na wodzy – ostrzegł ją Galloran. Rozumiem, jak ból i rozpacz mogą rozpalić gniew. W takiej chwili, pod wpływem emocji, mogłabyś przywołać nadzwyczajną moc, ale ten wysiłek poszedłby na marne. Zrobiłabyś sobie krzywdę, i po co? By wypalić pole? Cisnąć głazem w chmury? Zachowaj w sobie te uczucia. Odłóż je na chwilę, kiedy naprawdę będziesz ich potrzebować. Nie osłabiaj siebie przed prawdziwą walką.*

Jego słowa ją otrzeźwiły. Potrzeba odreagowania osłabła, kiedy gniew zmalął,

zamieniając się w ból. Poczwała się straszliwie bezradna.

– Zabili Drake’a.

– Nie możemy cofnąć tego, co się stało – powiedział Galloran – ale możemy kazać im za to zapłacić.



# Rozdział 20

## Zejsście na ląd

– Skończyły mi się sztuczki – powiedział Aram, opuszczając lunetę.

Na horyzoncie było widać osiem statków, żagle bieleły się w blasku księżyca, stabilny blask latarni oświetlał pokłady.

– I kończy nam się woda. Nie mamy już pola do manewrów. Biorąc pod uwagę wiatr, nie widzę innej możliwości niż wejście do portu.

Jason przyjrzał się statkom płynącym ze wszystkich stron. Żeglowały bardzo rozrzucone, popędzając *Walecznego* przed sobą. W miarę jak ląd się zbliżał i możliwości ucieczki malały, ścigające ich statki ścieśniały szyk pod przewodem eskortowca zwanego *Nieustraszony*.

Kiedy przedłużająca się flauta minęła, *Waleczny* pożegłował na północ. Chcieli się trzymać z dala od Angialu, największego miasta na północ od Morza Śródziemnego, ale zachować rozsądny dostęp do Dymiących Pustkowi. Jednakże, zanim dotarli do wioski, obserwatorzy dostrzegli torivora na wodzie. Nie niósł mieczy, lecz wkrótce cesarskie statki wymusiły na nich zmianę planów.

Aram zmusił cesarskie okręty do epickiego pościgu. Z *Nieustraszonym* spróbował tej samej sztuczki, którą posłużyli się do zatopienia *Mściciela*, ale nowy eskortowiec unikał płynięcia dokładnie ich śladem. Najwyraźniej wieści się niosły.

Jason patrzył, jak drinlingowie przygotowują gorącą smołę do małych katapult. *Waleczny* zakończy ostatni rejs w ogniu. Nie zamierzali zostawić statku w stanie zdatnym do żeglugi. W trakcie pościgu stracili łódkę i jedną z szalup wraz z pięcioma drinlingami i pięcioma kulami orantium. Drinlingowie w szalupie zdołali zaatakować jeden z mniejszych statków za pomocą orantium, nim płonąca smoła podpaliła ich odsłonięty pokład.

Po wielu dniach desperackich manewrów skończyły im się możliwości. Płynęli teraz w stronę miasteczka Gulba. Heg zapewnił ich, że nie powinno znajdować się tam więcej niż dwudziestu żołnierzy, ale miasteczko mogło pochwalić się sporym nabrzeżem i dużą stajnią. Pomysł był taki, żeby skierować się do Gulby, ale jednocześnie szukać okazji, by wymknąć się do osady leżącej dalej na północ. Wiatr i wrogowie nie współpracowali, więc teraz mogli albo wyjść na ląd w Gulbie, albo wziąć udział w bitwie morskiej przeciwko ośmiu wrogim statkom.

– Cesarski szkuner w porcie! – rozległ się okrzyk z góry.

– Co?! – ryknął Aram, pędząc na drugą stronę pokładu.

Zerknął w stronę lądu przez lunetę.

– Możemy spodziewać się w mieście dodatkowych żołnierzy – powiedział Jasher.

Nosił przepaskę na zranionym oku i bandaż na rękę.

Nawet bez lunety Jason widział ciemną sylwetkę zacumowanego statku. Nie mieli chwili wytchnienia! Teraz wylądują w potrzasku między siłami wroga.

– Ośmioro z was powinno wziąć szalupę i spróbować dopłynąć do lądu z dala od portu – powiedział Heg. – Niech *Waleczny* odciągnie ich uwagę. Zbombardujemy szkuner, port i nadpływające statki smołą.

– To może być dla nas najlepsze wyjście w tych okolicznościach – zgodziła się Farfalee. – Zostawimy wam orantium.

– Zabierzcie je – nalegał Heg. – Wam przyda się bardziej niż nam. Zostanę i przejmę dowodzenie. Zadbamy, żeby *Waleczny* spłonął. Będziemy walczyć, dopóki się nie oddalicie, a potem uciekniemy na pustkowie.

Zważywszy na ogromną liczbę wrogich żołnierzy, Jason zastanawiał się, ilu drinlingów przetrwa ucieczkę. Znowu inni ryzykowali życie, żeby on mógł dotrzeć do Dariana.

– Kto popłynie szalupą? – zapytał Aram.

– Jasher, Aram, Jason, Corinne, Nia i ja – wymieniła Farfalee. – I dwójka drinlingów. Kogo proponujesz, Heg?

– Del to najlepszy szermierz, jaki został nam przy życiu. A Zoo wykazała się nadzwyczajną dzielnością w trudnych sytuacjach.

– Pewnie udałoby się wcisnąć dziesiątkę do szalupy – powiedział Jasher. – Może nam się przydać para dodatkowych mieczy do zdobycia koni.

– Thag i Fet – odparł Heg. – Nasi najtwardsi wojownicy. Maczugi przydadzą się tak samo jak miecze.

– Lepiej przygotujmy się do wodowania – powiedział Aram. – Bryza przybiera na sile. Szybko dotrzemy do portu.

– Spróbujcie nas dogonić – przekonywała Hega Farfalee. – Znajdźcie sobie konie, jeśli tylko zdołacie. Czeka nas długa jazda na drugi koniec Dymiących Pustkowi. Przyda nam się wszelkie wsparcie.

– Jeżeli się przebijemy, ruszymy za wami – obiecał Heg – pieszo lub konno.

Jasher podszedł do Corinne, trzymając napierśnik Drake’a.

– Popękał, ale mimo to się nada. Jest lekki i daje lepszą ochronę niż skóra.

– Dziękuję – powiedziała, kiedy pomógł jej go włożyć.

Jasher odwrócił się do Jasona.

– Wezmę jedną z naszych ostatnich kul orantium. Ty weź drugą. Nie wahaj się jej użyć.

Jason ostrożnie wziął kulę. Orantium było potężną bronią, ale wizja przypadkowej eksplozji nieco go peszyła.

Jason, Corinne, Jasher i Farfalee mieli teraz torivorańskie miecze. Farfalee zaproponowała swój Aramowi, ale półolbrzym odmówił, wolał swój ogromny miecz. Cała dziesiątka wsiadła do szalupy z zapasami. Thag i Aram usiedli przy wiosłach. Przeładowana szalupa zanurzyła się głębiej, niżby Jason sobie tego życzył.

Kiedy szalupa oddalała się od *Walecznego*, Jason starał się dzielić uwagę między wybrzeże i wrogie statki. Miasteczko Gulba wydawało się spokojne, tylko w paru oknach paliło się światło. Nie było to ani duże miasto, ani mała osada. Wrogie statki szybko ścieśniały szyki, zaganiając *Walecznego* do portu jak stado szykujące się do mordy.

– Szybkość może nas ocalić – szepnął Jasher na tyle głośno, żeby było go słychać mimo plusku wiosł i pobrzękiwania kolczugi Arama. – Ukradniemy konie i wyniesiemy się z miasteczka.

Kiedy *Waleczny* zbliżył się do portu, drinlingowie zaczęli ostrzał szkunera i nabrzeża płonąca smołą. Zanim eskortowiec uderzył w pomost po przeciwnej stronie, niż cumował szkuner, płomienie skakały już z budynków w porcie i rozprzestrzeniały się na oba pomosty. Ogień wspinał się po żaglach szkunera i rozkwitł też na pokładzie *Walecznego*.

Szalupa dobiła do błotnistej małej plaży w pobliżu niewielkiej zatoczki, gdzie cumowały mniejsze łodzie. Farfalee pierwsza wyskoczyła z pakunkiem na plecach i strzałą opartą na cięciwie. Rozbrzmiały dzwony alarmowe. Poniosły się krzyki. Widać było postaci biegnące do płonącego portu oraz uciekające z *Walecznego*. Nieustraszony prowadził atak, kiedy flota cesarska wpłynęła do portu gnana coraz silniejszym wiatrem.

Jason zarzucił pakunek na plecy, wziął krabową tarczę i wysiadł z szalupy na stwardniałe błoto. Jasher i Aram trzymali miecze w gotowości, więc Jason też wyciągnął broń. Ostrze srebrzyście zaśniło w świetle księżyca. Ustawiony pod właściwym kątem torivorański metal odbijał pomarańczowe błyski z płonącego portu.

– Heg wytłumaczył mi, jak trafić do stajni – powiedziała Zoo. – Trzymajcie się mnie.

Poprowadziła ich między budynki, w miarę możliwości trzymając się cienia.

Chaotyczne grupki ludzi biegły do portu, niektórzy na wpół ubrani, inni w mundurach. Większość była za bardzo skupiona na pożarze, żeby zauważyć cokolwiek innego, ale kiedy bohaterowie wypadli z za rogu, dwóch mężczyzn w mundurach przystanęło, patrząc w ich stronę.

– Kto tam? – zapytał jeden, wyciągając miecz.

Farfalee odpowiedziała strzałą. Zanim drugi uskoczył, trafiła i jego.

Biegnąc, Zoo poprowadziła ich boczną uliczką. Przy następnym zakręcie przystanęła i powoli wyjrzała za róg.

– Jest – szepnęła. – Na zewnątrz stoi strażnik z kuszą.

Jason był pod wrażeniem tego, jak wyraźnie teraz mówiła. Drinlingowie bardzo szybko się uczyli.

Farfalee przyciągnęła strzałę do policzka, wyszła z za rogu i strzeliła. Jednym szybkim ruchem założyła drugą strzałę i strzeliła, przygotowała trzecią.

Pobiegli do wielkiej stajni, długiego drewnianego budynku z delikatnie spadzistym dachem. Ze środka dobiegało rzenie i tupanie. Jeden koń wręcz kwiczał. Zoo zabrała kuszę martwemu żołnierzowi.

Thag i Aram otworzyli szarpnięciem wielkie drzwi. W stajni znajdowało się po szesnaście boksów po obu stronach. Trzech żołnierzy szło wzdłuż boksów, zabijając konie. Zaczęli od drugiego końca i zostało im już tylko kilka boksów.

Zdziwili się, kiedy drzwi się otworzyły. Thag i Aram zamknęli je szybko. Jeden żołnierz rzucił się do ataku. Pozostali dwaj cofnęli się, unosząc w obronie ociekającą krwią broń.

Aram zrobił unik i zdzielił napastnika płazem miecza. Żołnierz odbił się od ściany boksów i padł na ziemię. Przebiegając obok Arama, Thag zaatakował następnego żołnierza, wymierzając potężny cios maczugą. Ostatni żołnierz zginął od strzały. Aram uderzył ciężkim buciorem w pierś mężczyzny, który pierwszy padł na ziemię.

– Gdzie znajdziemy więcej koni?

– Nie ma. – Tamten zaśmiał się ponuro. – Wypuściliśmy ogiery z zagrody. A tak w ogóle, to ja się poddam, jeśli to ma jakieś znaczenie.

Jason rozejrzał się po stajni. Zostały tylko trzy konie.

– Trzy wierzchowce. – Jasher splunął. – Mamy trzy konie.

Mroczna postać wkradła się drzwiami na drugim końcu stajni. Farfalee napięła łuk, ale się zawahała. Zoo wystrzeliła bełt ze zdobycznej kuszy.

Postać złapała bełt i rzuciła się naprzód z nieludzką prędkością. Cisnęła bełtem w Zoo i znowu stanęła spokojnie.

Jason nieufnie przyglądał się torivorowi, który stał w pobliżu, nieruchomy. Pomyślał o Drake'u i poczuł mdłości. Przynajmniej ten torivor nie miał mieczy. Niezależnie od tego, co powinni teraz zrobić?

Thag zaszedł torivora od tyłu z uniesioną maczugą.

– Nie – rozkazał Aram. – Potrzebujemy cię. – Spojrzał na mężczyznę pod butem. – Ile koni przegoniliście?

Nagle mężczyźni odechciało się mówić. Zerknął na czatownika. Ciemna postać uniosła ręce. Konie w boksach zaczęły rzeć i nerwowo tupać. Jeden stanął dęba.

Corinne rzuciła się na czatownika. Farfalee i Jasher chcieli ją powstrzymać, ale nie zareagowali dostatecznie szybko. Corinne zatrzymała ostrze na poziomie piersi ciemnej postaci.

– Dość! – krzyknęła rozgniewana. – Powiedziałam dość tego!

Torivor opuścił ręce i odsunął się. Cofał się, a Corinne napierała. Czubek jej miecza przesunął się w lewo w tym samym czasie, kiedy tamten spróbował uskoczyć w lewo, a potem z powrotem na prawo, kiedy tamten skoczył w prawo. Cały czas podchodziła. A torivor się cofał.

Jason wstrzymał oddech i patrzył ze zgrozą. Zupełnie jakby Corinne wyszła przed pędzący pociąg. Jej śmierć była nieunikniona. Pewnie, że torivorańskie ostrze mogło zranić czatownika. Tyle że trzeba było go trafić. Teraz, kiedy Corinne zaatakowała, umożliwiła czatownikowi odwet. Jason nie potrafił przestać rozpamiętywać śmierci Drake'a. Myśl, że Corinne miałyby podzielić jego los, to było już za dużo. Jeżeli już, to on chciał stanąć przed czatownikiem, żeby ją chronić, a nie odwrotnie! Wiedział też aż za dobrze, jak bardzo może skrzywdzić przeciwnika nawet nieuzbrojony czatownik.

Unosząc broń, Jason wyszedł naprzód. Może gdyby przemknął się koło Corinne, zdołałby odwrócić uwagę torivora na tyle, żeby ona mogła wykonać ruch. Jasher zacisnął dłoń na jego ramieniu, żeby go powstrzymać.

– Za późno – mruknął nasiennik. – Przejście jest za wąskie. Teraz wszystko zależy od niej.

Jason widział, że Jasher ma rację. Gdyby spróbował przemknąć się obok niej, najpewniej rozproszyłby jej koncentrację i doprowadził do śmierci ich obojga. Minęła szansa, żeby jej pomóc. Nie wyrywał się z uścisku nasiennika. Przez miecz w dłoni czuł się jak pozer. Żałował, że nie może cofnąć czasu. Nikt nie powinien atakować nieuzbrojonego czatownika! Dlaczego nikt jej nie powstrzymał? Dlaczego on jej nie powstrzymał?

– Wynoś się – powiedziała spokojnie Corinne. – Wyjdź i nie wracaj, bo cię zabiję.

Przestała napierać i zaczęła wymachiwać mieczem w różnych obronach. Kiedy czatownik tylko drgnął, ona natychmiast to uwzględniła. Jason złapał się na tym, że wzdryga się przy każdym najmniejszym ruchu. Corinne wzięła zamach, nie trafiła, cofnęła się w pozycji obronnej. Jej ostrze nie przestawało się poruszać, blokując niewidzialne ciosy, czasem dźgając do przodu bez przekonania. Czatownik napierał na nią na ugiętych kolanach, z wyciągniętymi rękami, markując ciosy głową i dłońmi. Wydawało się, że Corinne przewiduje każdą fintę, poruszając się razem z pozbawioną rysów postacią, a nie tylko reagując.

Cofnęła się i opuściła miecz. Torivor rzucił się do niej w tej samej chwili, w której ona zrobiła wypad, dźgając przed siebie. Torivor zatrzymał się tuż-tuż przed ostrym czubkiem. Chciał uderzyć w płuź, ale Corinne obróciła klingę, więc czarna dłoń skaleczyła się o ostrze i zaczęła krwawić światłem.

Corinne przesunęła czubek ostrza w lewo, potem w prawo, cały czas celując w czatownika, kiedy ten robił uniki. Ciemna postać skoczyła w górę i do tyłu, szybując niemal tak wysoko, że mogłaby sięgnąć dźwigarów. Potem padł płasko na podłogę i śmignął ku jej nogom. Corinne dźgnęła w dół, a ostrze przebiło deski podłogi i torivora. Zniknął w oślepiającym rozbłysku światła.

Przez chwilę w stajni panowała cisza. Corinne spojrzała przez ramię na przyjaciół. Na jej twarzy malowały się zmęczenie i ulga.

Jason nie zdawał sobie sprawy, że zmartwił zaszokowany, dopóki ten stan nie zaczął mijać. Zamrugał. Przeżyła. Nie, nie tylko przeżyła. Zabiła torivora!

– Dobra robota – powiedziała Farfalee, nawet nie próbując ukryć niedowierzania.

– Ile koni? – powtórzył groźnie Aram, przenosząc większy ciężar na pierś żołnierza.

Mężczyzna pod jego butem zeszywniał.

– Ona właśnie... Jak ona to zrobiła?

– Cały czas zabijamy czatowników – rzucił od niechcienia Aram. Pochylił się mocniej, dociskając but z siłą zdolną strzaskać żebra. – Ostatnia szansa.

Jason stanął obok Arama, piorunując wzrokiem żołnierza. Mężczyzna zerknął w jego stronę. Jason starał się patrzeć twardo.

– Rozgoniliśmy około dwudziestu – wykrztusił mężczyzna. – Opróżniliśmy zagrodę. Aram zmniejszył nacisk.

– W którą stronę pobiegły?

– W głąb łądu. Nie łapiecie ich. To rozległe pustkowia. Mroczniaki je przepłoszyły.

– Jakie jeszcze konie zostały w mieście?

– Żadne. Wszystkie były tutaj. Zmusili nas do pozbycia się nawet własnych koni. Otrzymaliśmy rozkaz. Mieliliśmy wyeliminować wszelkie środki ucieczki drogą lądową.

– Muszą tu być jakieś dalej wysunięte farmy ze zwierzętami – powiedział Aram.

– Pewnie, tu i tam. Nic w pobliżu.

Jasher, Farfalee i Nia już wyprowadzili z boksów trzy pozostałe przy życiu konie. Thag przebiegł obok Corinne, żeby pilnować drugich drzwi. Pierwszych strzegł Fet. Del przyklęknął obok Zoo, pochylił się i zbadał puls na szyi.

– Nie żyje – powiedział, wstając, żeby pomóc siodłać konie.

Jason spojrział na nieruchomo leżącą Zoo. Jeszcze chwilę temu była taka żywa. Kolejna ofiara czatownika. Kolejny poległy przyjaciel. Kiedy to się skończy?

– Muszą być jakieś konie, które oszczędziliście – upierał się Aram. – Masz dowódcę?

– Kapitan Finley i najemnik Morgan są właśnie w siodłach – powiedział żołnierz. –

To wszystko. Macie szczęście, że znaleźliście te trzy. Wiedzieliśmy, że nadchodzicie, ale robota szła nam szybko.

– Jason, Corinne i Farfalee pojedą – powiedział Jasher. – Muszą uciec. Pozostali mogą się rozproszyć, ruszyć piechotą, spróbować znaleźć sobie wierzchowce i dogonić resztę.

– To mi się nie podoba – zaprotestowała Farfalee. – Będziemy za bardzo narażeni na atak.

– Będziemy tuż za wami – zapewniła ją Nia. – Na długim dystansie drinlingowie mogą dotrzymać kroku koniom. Nie prześcigniemy konia w galopie, ale możemy biec dzień i noc bez zmęczenia, jedząc w biegu.

Jason podszedł do jednego z koni. Corinne stanęła obok drugiego; sprawiała wrażenie, jakby cały czas była w szoku.

– Gdzie twój dowódca? – zapytał mężczyznę pod butem Aram.

– A co ja jestem? Wyrocznia? Pewnie dowodzi obroną nabrzeża.

– Możliwe, że konie nie odbiegły daleko – powiedziała Farfalee. – Oddalwszy się od czatownika, mogły zwolnić. Powinniśmy poszukać ich razem.

– Niektórzy z nas mogą jechać we dwoje – zasugerował Jason. – Zwłaszcza że tylko do momentu, kiedy znajdziemy więcej koni.

Farfalee ochoczo mu przytaknęła.

– Może Jason i Corinne pojedą razem? Jasher może jechać ze mną, a Aram weźmie trzeciego konia, dopóki nie złapiemy paru przepłoszonych. Możemy wziąć zapasowe uzdy.

– Nie damy rady wszystkim żołnierzom, którzy płyną na tamtych statkach – powiedział Jasher. – Powinniście odjechać, póki możecie.

– Te statki mogą też zostać wykorzystane do...

Jasher przerwał Farfalee, kładąc jej palec na ustach. Skinął głową na żołnierza na podłodze.

– Powinniśmy poczekać, nim zaczniemy rozmawiać o konkretach.

Jason spojrział na mężczyznę na ziemi. Zamgliły mu się otwarte szeroko oczy. Jego twarz błyszczała od potu.

– Skończyliśmy z nim? – zapytała Farfalee.

– Masz nam jeszcze coś do powiedzenia? – zapytał Aram.

Mężczyzna oblizał usta, patrząc niespokojnie.

– Nie mogę uwierzyć, że ta dziewczyna właśnie zabiła mroczniaka. W życiu się nie spodziewałem, że zobaczę coś takiego. Jest szybka jak skalna żmija.

Aram przykucnął i zacisnął ręce w chwycie wokół szyi i głowy żołnierza. Wkrótce tamten zwiotczał.

– Przez jakiś czas pozostanie w takim stanie – zapewnił Aram.

– Statki, które nas ścigają, mogą wysadzić żołnierzy przed nami – wróciła do

zaczętego wątku Farfalee. – Każdy, kto obserwował *Walecznego*, zorientuje się, że chcieliśmy płynąć na północ. Jeśli uciekniemy stąd, mogą nam odciąć drogę. Potrzebujemy wojowników, którzy pomogą nam przebić się przez zasadzki, i potrzebujemy zwiadowców, którzy pomogą nam ich uniknąć.

– Dobrze – powiedział Jasher, skręcając pasmo świecących wodorostów. – Trudno będzie znaleźć te konie w ciemnościach, ale nie jest to niemożliwe. Gdyby doszło co do czego, wasza trójka jedzie przodem.

– Musimy ruszać – przypomniał Aram.

– Nic ci nie jest? – zapytał Jason, kiedy Corinne wskoczyła za nim na siodło.

– Mam się lepiej niż czatownik – odpowiedziała.

– To było niesamowite.

– Czułam go w swoim umyśle. Tak jak nauczył mnie tata. Utrzymanie koncentracji było męczące, ale nie mógł niczego przede mną ukryć. Nawet na początku wiedziałam, że podniesie ręce i przestraszy konie, zanim jeszcze to zrobił. Wiedziałam, że póki będzie nas śledził, nigdzie nie dotrzemy. Ponieważ nie miał broni, postanowiłam zaryzykować.

– Zbliżają się żołnierze – ostrzegł ich stojący przy drzwiach Fet. – Czterech. Czekać, czterech i jeździec.

Jasher i Farfalee już siedzieli w siodle.

– Jedźcie – ponaglił ich Aram. – Ja wezmę konia, który się tu zbliża.

Nia dosiadła trzeciego wierzchowca. Jasher i Farfalee ruszyli na drugi koniec stajni. Aram, Fet i Thag przykucnęli po obu stronach drzwi. Jadąc przez stajnię, Jason zauważył, że nie we wszystkich boksach leżą martwe konie. Niektóre były puste. Zastanawiał się, czy żołnierze oszczędzili swoje konie i wysłali na pustkowie, żeby potem je odszukać.

Kiedy dojechał do drzwi na drugim końcu stajni, żołnierze weszli frontowymi, mijając Arama.

– Mamy problem! – krzyknął pierwszy, wpadając do środka, z trójką pozostałych depczącą mu po piętach. – Zbiegowie uciekają konno!

Skupieni na uciekających koniach i ciałach w przejściu nowo przybyli nie zauważyli niebezpieczeństwa czającego się po obu stronach drzwi. Aram, Fet i Thag zaatakowali ich od tyłu, bez wysiłku obalając całą czwórkę. Zanim Jason stracił widok na stajnię, zobaczył, że Aram idzie do drzwi, pewnie po mężczyznę, który był konno.

Brama do wielkiej zagrody stała otwarta. Podjechali do niej. Del trzymał się ich pieszo, z mieczem w ręku, wypatrując zagrożenia w ciemności. Jasher pochylił się, przyglądając się śladom za bramą ze świecącym pasmem wodorostów w ręku. Jason słyszał za nimi przesłoniętą budynkiem walkę, szcęk broni i okrzyki. Płomienie w porcie sięgały wyżej niż dachy.

Thag i Fet wybiegli ze stajni. Del dosiadł się do Nii. Aram wyjechał z za stajni. Robił



wrażenie za wielkiego dla swojego wierzchowca, chociaż był to największy rumak z całej czwórki.

– Zawalili sprawę – powiedział Jason do Corinne. – Chcieli się upewnić, że nie będziemy mieli koni, ale zostawili akurat tyle, żebyśmy mogli uciec. Nikt nie będzie nas ścigał konno. Nie stąd.

Skinęła głową. Zauważył, że ręce jej drżą. Potrzebował chwili, żeby zdać sobie sprawę, że nadal musi być w szoku po walce z czatownikiem. Wykazała się ogromną odwagą!

– Na pewno dobrze się czujesz? – zapytał.

– Nic mi nie będzie – odpowiedziała. Jej głos nie zabrzmiał przekonująco. – Szermierka nie była taka trudna. To mentalna strona pojedynku była... bardzo wyczerpująca.

– Thag i Fet – powiedział Jasher. – Biegnijcie za nami. Miejmy nadzieję, że znajdziemy wierzchowce dla nas wszystkich.

Nasiennik wybrał kierunek i ruszyli cwałem, więc Jason musiał skończyć rozmowę z Corinne. Cieszył się, czując wiatr na twarzy i obejmujące go ręce księżniczki. Pewna wstydliwie skrywana część jego osoby miała nadzieję, że minie trochę czasu, zanim znajdą więcej koni.

Rzeczywiście nie znaleźli wierzchowców zbyt szybko. Odgłosy walki za nimi ucichły. Miasteczko rysowało się ciemną sylwetką na tle szalejących ścian ognia. Za płomieniami w małym porcie tłoczyło się za wiele statków, czerwony blask odbijał się od żagli. Jasonowi było przykro z powodu ludzi, którzy będą musieli odbudować swoje domy, warsztaty i sklepiki.

Jasher co rusz pochylał się i sprawdzał grunt. Trzy razy zsiadał z konia, żeby lepiej przyjrzeć się śladom. Raz zawrócili, bo zgubili trop.

Wreszcie znaleźli siedem pasących się razem koni. Najwyraźniej przerażenie wzbudzone przez torivorów już je opuściło, bo nie spłoszyły się, kiedy podjechała do nich grupa.

Aram wziął sobie największego ogiera i przeniósł siodło. Parę osób się przesiadło i wkrótce wszyscy mieli swoje konie. Jasher, Farfalee i Del byli przygotowani do jazdy na oklep. Mieli teraz cztery dodatkowe konie dla Thaga i Feta.

Nie jechali bardzo szybko ze stajni, ponieważ trójka koni niosła podwójny ciężar, a czwarty dźwigał Arama. Poza tym zatrzymywali się parę razy, a że nie było widać niczego, co wskazywałoby na pościg, postanowili poczekać na Thaga i Feta, aż ich dogonią. Wkrótce usłyszeli nadbiegających drinlingów. Chwilę potem dobiegł ich tętent galopującego konia.

– Jeden koń? – spytała Farfalee.

– Słyszę tylko jednego – potwierdził Jasher.

– Możliwe, że Thag i Fet znaleźli jednego? – zapytał Del.

– Słyszałem dwóch biegaczy – odparł Jasher.  
– Może Heg albo ktoś z jego załogi? – zastanawiał się Del.  
– Możliwe – zgodził się Jasher.  
– Żołnierz w stajni wymienił jeszcze jednego człowieka konno poza kapitanem – przypomniał im Aram. – Najemnika.

Farfalee zsunęła się z konia i nałożyła strzałę na cięciwę. Aram też zsiadł i wyciągnął miecz. Zbliżający się koń zwolnił, a potem przystanął. Pojawili się Thag i Fet.

– Samotny jeździec! – krzyknął Thag.

A potem padł na ziemię z długą strzałą w plecach.

– Kryć się! – zawołał Jasher, zeskakując z konia i chowając się za nim przed łucznikiem.

Jason zrobił to samo. Kiedy wylądował na ziemi, zwierzę ruszyło do przodu. Zapomniał chwycić za wodze! Rzucił się, złapał je i przytrzymał konia na miejscu. Obok niego, za swoim wierzchowcem Corinne wyciągnęła miecz. Aram i Farfalee zajęli pozycję za głazami.

Koń Jasona odsunął się w bok nerwowo. Chłopak poklepał zwierzę uspokajająco i mruknął kilka kojących słów. Nie wychylał się i tylko zerkał pod szyją wierzchowca, z obawy, że może oberwać strzałą. Nadal nie widział wroga. Zerkając w stronę Corinne, wyciągnął miecz.

– Wyjadę prosto na niego – zaproponował Del.

– Nie – sprzeciwił się Aram. – Byłbyś łatwym celem. Nie zbliżaj się do niego.

Thag i Fet dobiegli do nich nisko pochyleni. Strzała nadal wystawała z pleców Thaga.

– Wstrzymacie ogień, żebyśmy mogli porozmawiać?! – dobiegł basowy głos z cieni jakieś pięćdziesiąt jardów dalej.

– Twoja strzała powiedziała nam wszystko – odpowiedziała Farfalee.

– Jestem sam. Zawrzemy rozejm na chwilę?

– Po prostu chce się dowiedzieć, ilu nas jest – szepnął Jasher.

– Zliczyłem dziewięciu – rozległ się w odpowiedzi basowy głos. – Jeden jest ranny. Wszyscy mają konie. Porozmawiamy?

– Opóźnia nas – szepnął jeszcze ciszej Jasher.

– Nie mamy o czym rozmawiać – odpowiedziała Farfalee. – Musimy się śpieszyć. Uciekaj, zostaw swojego konia, a nie będziemy cię dręczyć.

– Macie mnóstwo wierzchowców i bez mojego – odpowiedział z goryczą jeździec. – Gardzę niekompetencją. Powinni byli zostawić wszystkich ludzi w stajni, dopóki każdy koń nie leżał martwy. A oni pobiegli do portu, walczyć z ogniem i patrzeć na nadpływające statki.

Fet i Del zakradali się do niewidocznego rozmówcy. Niespodziewany bełt przebił

Fetowi gardło. Del padł na płask za głazem. Jason przywarł mocniej do konia.

– Teraz macie ośmiu – poinformował ich nieznajomy. – Na pewno nie chcecie porozmawiać? Nie odjedziecie, póki będę szył do was z łuku. A strzał mam mnóstwo. I rzadko pułuję.

Jasher skinął głową do żony.

– Dobrze więc – powiedziała. – Rozejm.

Zdjęła strzałę z cięciwy, ale nadal trzymała ją w ręce.

Wysoki mężczyzna ubrany jak werbownik wyszedł z mroków, posługując się metalowym prętem jak kosturem. Nie nosił hełmu, a głowę miał ogoloną na łyso. Za nim świeciło płonące nabrzeże. Trzymał przy boku wielką kuszę. Przez drugie ramię miał przewieszony łuk i kołczan. Jego zbroja i broń pobrzękiwały cicho przy każdym kroku. Jason go rozpoznał ze ściskającym się sercem.

– Groddic – powiedział Jasher.

– Ja też znam imiona większości z was – odpowiedział wielki mężczyzna. – Farfalee, Jasher, Corinne, Aram, Nia, Martwy Gość, Ranny Gość, drinling, który padł we właściwym momencie, i oczywiście mój stary przyjaciel Jason.

Jason pamiętał Groddica z Felrook. Wysoki werbownik zaprowadził go do celi po audiencji u Maldora. Nagle koń wydał się żałośnie niewystarczającą osłoną. Jason zacisnął dłoń na mieczu. Jakie szanse miałyby w walce z takim żołnierzem jak Groddic? Tamten był dowódcą werbowników. Był werbownikiem, który pokonał Gallorana. Najwyraźniej Maldor bardzo poważnie potraktował kwestię zatrzymania ich.

– Co masz do powiedzenia? – zapytała ostro Farfalee.

– Przede wszystkim chcę wam pogratulować.

– Chce nas spowolnić – powiedział Jasher.

Groddic zerknął przez ramię.

– Wasza załoga próbowała zatrzymać nas w porcie. Szybko została pokonana. Wielu ludzi was ściga, ale nie mają wierzchowców. Pozbycie się miejscowych koni miało was spowolnić, ale nie wykonaliśmy zadania, więc was tu nie zatrzymamy. Chyba że sam was wszystkich zabiję.

Jason uznał, że nonszalancja Groddica jest denerwująca. Był samotnym mężczyzną, który zbliżył się do sporej grupy wytrawnych wojowników, a nie dość, że zachowywał się beztrzesko, to jeszcze sprawiał wrażenie poirytowanego. Jason zerknął na Corinne. Ona patrzyła z powagą.

– Proszę, tylko spróbuj – zachęcił go Aram.

– Jesteś wielkim mężczyzną – odparł Groddic. – Żadnemu z was nie zarzucę niekompetencji. Systematycznie wymykacie się torivorom. Już samo to wiele mówi. To byłaby ciekawa próba. Wiecie, wiele lat temu złapałem Gallorana. Was też złapię.

– Nadal tu stoimy – ostrzegł go Jasher.

– Załatwmy go – szepnęła ze złością Corinne.

Wypuszczając wodze, Jason podszedł i położył jej rękę na ramieniu, żeby ją zatrzymać. Czuł, jak drży.

– Dołączyłem do pogoni w Angialu – oznajmił jak gdyby nigdy nic Groddic. – *Nieustraszony* czekał na mnie, aż wejdem na pokład. Możliwe, że to był błąd. Rozminęliśmy się z wami na Wiatrochronie. Niezłą robotę tam odwaliliście. Nigdy nie sądziłem, że zobaczymy koniec Kukły. Gdybyście...

– Co masz nam do powiedzenia? – zapytała ostro Farfalee. – Przestań paplać.

Wyraz twarzy Groddica stwardniał.

– Nie mam kuszących propozycji. Każde z was mogłoby otrzymać wstęp do Harthenham. W tej chwili moglibyście otrzymać bez mała wszystko. Wiem jednak, że się nie poddacie. Jasher miał rację. Grałem na czas. Zamierzam was pozabijać. Czekam tylko na właściwą chwilę.

– Mogłabym posłać strzałę prosto w twoje gardło, zanim zrobiłbyś krok – powiedziała Farfalee.

Zaśmiał się beztrąsko.

– To byłby oficjalny koniec rozejmu. Chciałbym zobaczyć, jak tego próbujesz.

W okamgnieniu Farfalee naciągnęła cięciwę i wypuściła strzałę. Trafiła Groddica w gardło. Thag i Del rzucili się do ataku. Nia także. Jason obiegnął konia Corinne. Nie chciał czekać, aż Groddic sam po niego przyjdzie. Miał dość chowania się za innymi. Razem z nim do ataku rzuciła się Corinne.

Zataczając się, Groddic uniósł kuszę i trafił Thaga prosto w pierś. Krępy drinling padł. Rzeżąc, Groddic zablokował cios mieczem zadany przez Dela, raz, drugi, trzeci, nim Nia cięła go zachodząc z boku, a Farfalee przeszła kolejną strzałą. Del też dźgnął Groddica.

Jason i Corinne przystanęli gwałtownie. Walka skończyła się, kiedy dobiegli do przeciwnika. Wysoki werbownik padł. Del podbiegł do Thaga. Nia sprawdziła, co z Fetem.

Jason ledwie był w stanie uwierzyć w szybkość, z jaką walka się rozegrała. Stał jak zamrożony, patrząc to na Groddica, to na poległych drinlingów.

– Musimy jechać! – zawołał Jasher. – Jego celem było osłabienie nas i spowolnienie. Żołnierze nadchodzą. Ruszą naszym tropem. Będą próbowali złapać nas w pętlę. Będą szukali koni.

– Fet nie żyje – powiedziała Nia.

– Thag nie przeżyje – oznajmił Del.

Jason widział, że Thag daje im znać, żeby uciekali. Łzy napłynęły mu do oczu. Stracili już tak wielu dobrych ludzi! Strzemię zatrzeszczało, kiedy dosiadał konia.

Farfalee też wskoczyła na konia.

– Musimy się oddalić.

Nia jeszcze raz dźgnęła leżącego werbownika, idąc w stronę konia. Jason sam chciał

dźgnąć go jeszcze raz albo dwa. Ten człowiek oślepił Gallorana! Właśnie zabił Thaga i Feta! Jednakże to nie miało sensu. Niczego by nie naprawiło. Jason ponaglił konia i ruszył za Jasherem w noc.

# Rozdział 21

## Zdrada

Nedwin musiał walczyć, żeby się obudzić. Jego zmysły wiedziały, że coś jest nie tak, ale był pogrążony w agonii, jakiej doświadczał tylko we śnie. Odkąd przestał odczuwać fizyczny ból, utracona zdolność znalazła sobie nowe życie w jego snach. Zaczęło się niewinnie – złamana kość w walce, tępy ból chorego zęba, lądowanie w ognisku. Z czasem ból, który mu się śnił, zaczął się wydawać coraz bardziej autentyczny i koszmary na temat tortur i cierpienia stawały się coraz częstsze. Z najgorszych snów budził się zlany potem i rozdygotany.

Nedwin zawsze czujnie spał. Ten fakt nie raz ocalił mu życie. Jednakże, w miarę jak potworne koszmary coraz bardziej go wciągały, odkrył, że rzadziej budzi się pod wpływem drobnych zakłóceń.

Tej nocy znowu był uwięziony w lochach Felrook. W niektóre noce cierpienie zadawał mu Copernum, w inne Damak, a w jeszcze inne honory pełnił sam Maldor. Tym razem znalazł się w rękach oprawcy, na którego wołano Ponury. To jedyne imię, jakim Nedwin słyszał, żeby zwracano się do tego małego człowieczka o zręcznych dłoniach. Podejrzewał, że gdyby Ponury uczył się gry na skrzypcach, zostałby wirtuozem. Zamiast tego Ponury studiował tortury.

Czasem, w trakcie straszliwych katuszy, ból i rozpacz znikwały, gdy tylko Nedwin zdawał sobie sprawę, że śni. W przeszłości nauczył się sposobów, żeby wykorzystać tę wiedzę do przebicia się ku świadomości. Z czasem, w miarę jak koszmary przybierały na intensywności, coraz trudniej przychodziło mu zbudzenie się z agonii. Jednakże to zadanie zawsze stawało się łatwiejsze dzięki pomocy zewnętrznych bodźców.

Nedwin szarpnął się w bok i otworzył oczy, łapiąc gwałtownie powietrze jak tonący, który wreszcie wydobył się na ląd. Nie spał w swoim dekadentckim łożu. Miękkosc

łóżka była mu obca, utrudniała przebudzenie. Nedwin spał obok, na podłodze, owinięty w parę przykryć.

Słuch miał wyostrzony po wielu latach otrzymywania neuropieśni, środka wzmagającego ból, odpowiedzialnego za wiele najbardziej rozdzierających tortur, jakie mu zadano. Nawet po utracie ucha Nedwin nadal słyszał o wiele lepiej niż jako dziecko. Czasem doświadczał halucynacji słuchowych, ale zwykle były to niewytłumaczalne, wściekłe głosy i nauczył się je odróżniać od prawdziwych doznań.

W tej chwili słyszał słabe hałasy dobiegające z miasta poniżej – szczęk broni, tłuczone szkło, różne wrzaski i okrzyki. Jeszcze nie zaczęto bić w dzwony, ale pewnie niedługo podniesie się alarm. Bunt? Atak?

Wychwycił niepokojące wskazówki z samego zamku – trzask wyważanych drzwi, psy ujadające w psiarni, brzęk zbroi, krzyk, który urwał się gwałtownie. Potem usłyszał nagłą przepychankę poniżej, na schodach do jego pokoju.

Zatem doszło do przemocy w mieście, w zamku i teraz w jego kwaterach. Nedwin zapanował nad paniką. Nigdy w życiu się nie bał, ale zmartwił się ogromnie, że oto pojawiła się okazja, by zawieść Gallorana. Wiedział w głębi duszy, czuł to w kościach, że do tego doprowadzi posadzenie go na urządzenie regenta Trensicourt. Związana z tym polityka była dla niego czymś nowym i zbyt wielu spiskowców zostało na dworze, symulując chorobę.

Dzwony powinny bić na alarm. Doszło do zdrady? Jak jego przeciwnicy mogli zorganizować to tak cicho? Nollin pracował nad coraz szerszą siatką kontaktów, a Nedwin przez większość czasu węszył osobiście, ale nie zwietrzył zapowiedzi zamachu stanu. Spodziewał się, że w końcu dojdzie do zdrady, ale na mniejszą skalę i nie tak szybko. Musiał ruszać. Musiał się zorientować, jak daleko sięgają kłopoty i co może z tym zrobić.

Dwóch gwardzistów stojących przed jego pokojem było uczciwymi ludźmi. Powinien ich ostrzec. Mogliby uciec razem z nim. Jeśli zostaną, zginą.

Nedwin podbiegł cicho do drzwi, ale przystanął, słysząc szczęk uderzających o siebie mieczy. Za późno. Eli i Tomlin już walczyli z napastnikami.

– Nedwinie! – rozległ się krzyk. – Zdrada!

Chwyając ulubiony krótki miecz i dwie kule orantium, Nedwin popędził na balkon. Nigdy nie zatrzymywał się w miejscu bez wielu sprawdzonych dróg ucieczki. Jeśli ucieknie, zyska czas, żeby wrócić i stawić czoło wrogom na własnych warunkach. Najlepiej zniknąć, póki tamci mają przewagę.

Noc była chłodna, księżyc świecił jasno. Nedwin przez chwilę patrzył z balkonu. Za murami zamku dostrzegł trzech olbrzymów szalejących wśród grupy żołnierzy. Zwykli ludzie nie mieli z nimi szans. Gdzie indziej dwa pozbawione jeźdźców konie galopowały boczną uliczką. W dole dojrzał na dziedzińcu większą grupę mężczyzn prowadzącą mniejszą grupkę.

Przez chwilę nie mógł się ruszyć. Nadeszła chwila, której się spodziewał i obawiał – zamach stanu na jego warcie. Miasto padło, zamek padał, a on dowiedział się o tym jako ostatni. Mordercy musieli dotrzeć pod drzwi jego sypialni, żeby się zorientować.

Chociaż nie było namacalnych dowodów prowadzących do wydarzeń tej nocy, nie miał prawa się dziwić. Jak mógł przegapić olbrzymy? Przecież był czujny! Najwyraźniej nie patrzył we właściwe miejsca. Olbrzymy musiały zostać przemycone do miasta jako karły. Tylko kiedy? Jak? Uważał na karły! Uważał na spiskowców! Przechwytywał wiadomości! Podsłuchiwał rozmowy! Nie stał się zbyt pewny siebie.

Nie zasłonisz słonia, nie zjeżysz jeża. Kiedy znosił tortury, Nedwin wymyślał gierki słowne, wyszukując ciekawe kombinacje. Bzyczy bzyk zbzikowane bzdury.

Nie ma czasu na denerwowanie się. Nie ma czasu na analizowanie błędów. Później będzie mnóstwo czasu, żeby na spokojnie dojść do tego, co poszło nie tak. Na razie nie musiał niczego takiego wiedzieć. Najpierw musiał działać, potem myśleć, inaczej skończy martwy i nie będzie z niego żadnego pożytku.

Sznur wisiał obok balkonu. Nedwin zostawił go specjalnie. Za pomocą liny błyskawicznie wspiął się na szczyt wieży. Mocno spadzisty dach nie został zbudowany po to, żeby po nim chodzić, ale Nedwin nie bał się upadku. Odwiązał linę i przymocował ją w innym miejscu, a potem zszedł na niższy dach, po którym mógł dojść do różnych miejsc.

Nedwin mógł zająć królewskie apartamenty, ale zamiast tego wybrał trzecią co do wysokości wieżę. Zapewniała między innymi najlepszy dostęp przez dach do całego zamku.

Powyżej, w wieży, słyszał mężczyzn, którzy próbowali wyłamać drzwi do jego sypialni. To potrwa chwilę. Mocne drzwi były grube, a Nedwin dodał kilka wewnętrznych zamków. Pociągnął za linę. Żałował, że nie może zabrać jej ze sobą, dzięki czemu jego zniknięcie byłoby bardziej tajemnicze, ale wiedział, że mocno ją przywiązał.

Dokąd teraz?

Jacy sprzymierzeńcy mogą go potrzebować? Mimo wysokiej pozycji Nicholas odmówił przeniesienia do zamku. Sprytna decyzja, zważywszy na obecną sytuację. Nedwin uznał, że po ucieczce z zamku uda się prosto do Nicholasa. Siły stojące za przewrotem nie zostawią Nicholasa w spokoju, niezależnie od tego, gdzie zdecydował się zamieszkać.

Nedwin zaczął biec dachem zręcznym truchtem z lekkim poślizgiem, uważając, gdzie stawia każdy krok, żeby zminimalizować hałas. Musiał częściowo zrezygnować z ostrożności na korzyść szybkości, ale przy całym zamieszaniu wokół i w samym zamku wątpił, czy ktoś zwróci uwagę na ciche skrzypienie dźwigarów.

Powinien dotrzeć do Nollina i Kericka na tyle szybko, by pomóc im w ucieczce. Ich kwatery były względnie łatwo dostępne. Odrzucili wieże, wybierając bliskość



ogrodowego dziedzińca.

Nedwin przebiegł wąską półką. Odchylił się, tak że palce stóp wystawały mu już za krawędź, żeby ominąć kilka okien. Podskoczył, złapał się wystającej belki i kołysząc całym ciałem, wskoczył na kolejny dach. Gdyby spadł, zginąłby. Tak jak zginąłby, gdyby go złapano. Jednakże od czasu lochów większość niebezpieczeństw przestała robić na nim wrażenie.

Gdy dobiegł do dziedzińca ogrodowego, zeskoczył z dachu na wysokie drzewo. Liście i gałązki uderzały go, kiedy jego dłonie i stopy znalazły konary, które powstrzymały upadek. Wzdłuż murów dziedzińca nie było ciągnącej się przez całą długość półki, więc Nedwin przebiegł trzema szybkimi krokami po grubym konarze, skoczył z wyciągniętymi rękami i złapał się parapetu.

Podciągnął się na tę wąską półkę i odkrył, że okno jest zamknięte na zasuwkę, ale łatwo ją wyłamał. Pokój był pusty, chociaż w łóżku ktoś wcześniej spał. Nedwin nasłuchiwał chwilę pod drzwiami, a potem wyrzwał na korytarz.

W oddali usłyszał surowe głosy domagające się poddania. Poza tym panowała cisza, więc pobiegł korytarzem w stronę apartamentów, które zajmowali Nollin i Kerick. Zewnętrzne drzwi wyważono. Za nimi znalazł trzech martwych wartowników wraz z czterema innymi ciałami.

– Nollin? – zapytał szeptem Nedwin. – Kerick?

Wewnętrzne drzwi otworzyły się. Wyrzwał Kerick z kuszą w ręce. Połowa twarzy pociemniała mu i spuchła.

– Nedwin?

Nedwin podbiegł do Kericka.

– Po mnie też przyszli. Musimy uciekać.

– Przegapiłeś najlepszą zabawę – powiedział nasiennik, wpuszczając go do środka.

W pokoju panował rozgardiasz. Czterech napastników leżało martwych na podłodze. Nollin opierał się o ścianę. Był ranny, bok miał rozcięty, jedno przedramię złamane.

– Możesz się ruszać? – spytał Nedwin. – Nie możemy zwlekać.

– Nie wiem – odpowiedział Nollin, krzywiąc się, gdy odsunął się od ściany.

– Spróbuj – zachęcił go Nedwin. – Jeśli nie dasz rady nadążyć, weźmiemy twoje nasiono. Chodźcie ze mną. Dobrze znam ten zamek.

– Prowadź – odparł Nollin.

Kerick podtrzymał Nollina. Nedwin znalazł naładowaną kuszę przy jednym z trupów w zewnętrznym pokoju. Wyszedł na korytarz i usłyszał zamieszanie po lewej, więc skręcił w prawo.

Po kilku zakrętach doprowadził nasienników do konserwatorium pełnego instrumentów muzycznych.

– Niektóre pokoje i korytarze łączą się w zaskakujący sposób – wyjaśnił. –

W zamku jest także mnóstwo tajnych przejść. Galloran znał wiele z nich. Nikt nie zna wszystkich. Wątpię, czy ktokolwiek z żywych zna je lepiej niż ja.

Odsuwając na bok wielgachną harfę, Nedwin pociągnął ciężką kotarę, odsłaniając kręcone schody prowadzące w górę.

– Byłoby przesadą, nazwać to przejście sekretnym, ale nikt z niego nie korzysta, a niewiele o nim wie.

Wspięli się kręconymi schodami do wąskiego korytarza. Nedwin minął dwoje drzwi i wszedł przez trzecie do magazynu zawałonego dziełami sztuki – rzeźbami, małymi fontannami, urnami, zwiniętymi gobelinami, wspaniałymi dywanami, jarmarcznymi kandelabrami, zdobionymi emalią tarczami, jedną zbroją płytową dziecięcych rozmiarów, nieskończoną liczbą portretów, czasem zakrytych, częściej odsłoniętych, złożonych w stosach i wciśniętych wszędzie, gdzie się dało.

Kiedy Nedwin zaczął lawirować między przedmiotami, usłyszał, że nasiennicy za nim co rusz na coś wpadają. Zawsze miał doskonały wzrok, ale po lochach i neuropieśni jego wzrok stał się wręcz nieprawdopodobny. Nie widział tylko przy absolutnym braku światła.

Przystanął, wyjął pasmo wodorostów i ścisnął, żeby zaczęło świecić. Alga rzucała delikatny niebieskawy blask. To był jego ulubiony rodzaj świecącego wodorostu, bo dobrze znosił transport. Odpowiednio potraktowany potrafił dawać światło nawet rok po zebraniu. Kiedy tylko miał okazję, Nedwin starał się mieć kilka pod ręką.

Na drugim końcu zagraconego schowka, za dzwonem wyższym od większości mężczyzn, Nedwin otworzył zakamuflowany panel w ścianie i dał nura do ciemnego, zasnutego pajęczynami przejścia.

– Teraz powinniśmy już być bezpieczni – oznajmił. – W najgorszym wypadku możemy wpaść na samego Copernuma albo jednego z jego najbardziej zaufanych konspiratorów. Sekret tych prywatnych korytarzy jest dobrze chroniony.

– Wierzysz, że Copernum za tym stoi? – zapytał napiętym głosem Nollin.

Na rękawie, który przyciskał do boku, malowały się ciemne plamy.

– Nie mam jeszcze dowodu – odpowiedział Nedwin. – Wkrótce będziemy wiedzieć na pewno. Trensicourt jest zajmowane w imieniu cesarza. Wielu bierze w tym udział, ale spodziewam się, że u korzeni spisku znajdziemy Copernuma.

Idąc korytarzem, Nedwin osłaniał wodorost rękami, tak by słaba poświata sączyła się między palcami. Kiedy pokonali kilka zakrętów i zeszli wąskimi schodami, przystanął w jednym ze swoich ulubionych miejsc do nasłuchiwania. Odgłosy potyczek słabły. Gwardziści nie stawiali wielkiego oporu. Wielu z nich mogło brać udział w przewrocie.

Tylko wysilony oddech zdradzał cierpienie Nollina, i czasem gwałtowne łapanie tchu, gdy nagle ból się nasilał.

– Dokąd idziemy? – szepnął Kerick.

– Znam pięć dróg, które wyprowadzą nas poza mury zamku – powiedział Nedwin. – Myślę, że o dwóch z nich wiem tylko ja. Dzisiaj posłużymy się moją ulubioną. Korytarz zaczyna się na tym samym poziomie co najgłębsze lochy. W dole znajduje się labirynt ukrytych tuneli. Znalazłem tam raz kości kogoś, kto się zgubił. Zostawię was dwóch w bezpiecznej krypcie pod mauzoleum, skąd przejście prowadzi na zewnątrz. Potem pójdę do Nicholasa.

– Jego też zaatakują – powiedział Kerick. – Nie ukrywał swoich sympatii dla nas i Gallorana.

– Ale on ucieknie – odparł Nedwin. – Był lepiej przygotowany na dzisiejszą noc niż ktokolwiek z nas. Będą przy nim inni. Potrzebujemy sprzymierzeńców.

– Zamierzasz dalej walczyć? – spytał Kerick.

– Zamierzam wygrać.

\*\*\*

Po sprawdzeniu dwóch innych kryjówek Nedwin znalazł Nicholasa w schronieniu za tanim teatrzykiem, gdzie aktorzy dzień i noc odgrywali mierne komedyjki. Teatr znajdował się w tym miejscu, odkąd Nedwin był chłopcem. Jego arystokratyczna rodzina nie pochwałała tego przybytku, ale Nedwin wymknął się parę razy w przebraniu osoby niskiego stanu, żeby wrzucić droomę do blaszanej puszki i obejrzeć czerstwe żarty, przewidywalne melodramaty i nieudolnie wywijane orły. Aktorzy zwykle za bardzo szarżowali, czasem mylili role, ale pośród nieprzemysłanych romansów, oszustów, którym krzyżowano plany, i wieśniaków przebranych za królów zawsze było z czego się pośmiać i z czego podrwić.

Dzisiaj w teatrze, jak i w całym Trensicourt, panowała cisza. Kiedy większość twoich wojsk wymaszerowała, a na ulicach grasują olbrzymy, gasisz światła, zatrząskujesz okiennice, ryglujesz drzwi i modlisz, żeby cię zignorowano.

Dzwony nigdy nie zabiły na alarm. Atak zaczął się i zakończył w najciemniejszych godzinach nocy. Nedwin uznał, że część ludzi musiała przespać zamieszanie i kiedy się obudzą, odkryją, że nastały nowe rządy.

Kiedy zapukał w umówiony sposób w brudne drzwi za teatrem, otworzyła Minna – mocnej budowy młoda kobieta o ramionach jak wioślarz. Była siostrzenicą i uczennicą Nicholasa i zwykle nie odstępowała go na krok. Kiedy Nedwin zapewnił ją, że jest sam i nikt go nie śledził, Minna rozejrzała się po zaułku, zawołała do czujki, upewniwszy się, że wszystko jest w porządku, i dopiero go wpuściła.

Ubrany w wełniany strój nocny Nicholas leżał w hamaku w kącie małego pokoju. Minna zostawiła Nedwina sam na sam z wujem.

– Wybacz, że nie wstaję – powiedział Nicholas. – Zapodziałem gdzieś nogi.

W domu Nicholas poruszał się w pomysłowej uprzęży, którą zaprojektował tak, by zwisała z podwieszonych szyn. Na dworze dawał się wozić w fotelu na kółkach.

– Musiałeś uciekać w wielkim pośpiechu – rzekł Nedwin.

– Po tym, jak Galloran przywrócił mi tytuł szlachecki, powinienem był wiedzieć, że w ciągu dwóch tygodni mój dom zostanie splądrowany, a ja zostanę z niczym.

– Co wiesz na temat dzisiejszych wydarzeń?

– Niewiele. Wiem, że olbrzymy zaatakowały miasto od środka, przynajmniej czterdzieści. Te potwory otworzyły bramy dla skromnego oddziału cesarskich żołnierzy. Olbrzymów nie wpuszczono na teren zamku. Ani cesarskich żołnierzy. Copernum, wieczny paranoik, ostrożnie kontroluje sytuację. Posłałem paru ludzi, żeby się czegoś dowiedzieli. Tylko Minna i dwóch najbardziej zaufanych osobistych strażników zostało tu ze mną. Reszta moich domowników jest w innej kryjówce znanej tylko mnie i moim ludziom.

– Ilu ludzi jest lojalnych?

– Poza tobą? Szesnastu jest u mnie. Poza nimi mam mniej niż dwudziestu wiarygodnych sprzymierzeńców. Nie zaufałbym nikomu z pozostałej arystokracji. Któryś z twoich gwardzistów uciekł?

– Żaden. Zaufałbym tylko tym, którzy zginęli, broniąc dostępu do mojej sypialni. Nie miałem okazji, żeby im pomóc.

– Nollin?

– Nasiennicy obronili się przed pierwszą falą zdrajców, którą po nich wysłano. Pomogłem Nollinowi i Kerickowi uciec, wyprowadziłem ich sekretnymi korytarzami. Nollin jest poważnie ranny.

– Mam człowieka, który może się nim zająć – odpowiedział Nicholas.

– Wszelka pomoc będzie mile widziana. Jak możemy wziąć odwet?

Nicholas się roześmiał.

– Jeśli będziemy mieli szczęście, wyniesiemy się z Trensicourt do powrotu Gallorana. Jeżeli on zawiedzie, nigdy nie wrócimy.

– Nie porzucę Trensicourt.

– Dlaczego nie? Galloran to zrobił. Jego celem było wymaszerować na Felrook i tym się właśnie zajmuje. Przedsięwziął pośpieszne i niewystarczające środki ochrony swojego królestwa. Wiedział, że zostawia za sobą próżnię. Wiedział, że oportuniści tacy jak Copernum natychmiast ruszą, żeby ją wypełnić. Nie chciał, by do tego doszło, ale chętnie zaryzykował, byle przeprowadzić atak.

– Zostawił Trensicourt pod moją pieczęcią. Pod naszą pieczęcią.

– Nasiennika, zwiadowcy i kaleki – Nicholas zarechotał. – Dwóch z nas mało wie o obecnych nurtach w polityce w mieście, a trzeci wie dość, żeby trzymać się od niej z dala. Nie wiedziałem jak ani kiedy do tego dojdzie, ale dzisiejsza noc była nieunikniona. Zamach stanu doskonale zaplanowano i bezbłędnie przeprowadzono. Nie

mamy szansy przeciwstawić się temu. Galloran zostawił nas bez wojowników. Zbyt wielu spiskowców zatrzymało swoich ludzi w mieście przy zbyt małej liczbie wiernych gwardzistów.

– Nie odejdę bez słowa – sprzeciwił się Nedwin. – Jestem regentem. Mam chronić Trensicourt. Zamierzam przeciwstawić się tym uzurpatorom.

– Nie zrobiłeś niczego złego. Nie popełniłeś błędu. Uczyniono cię kapitanem tonącego statku. Nie musisz razem z nim iść na dno.

– Mam swoje obowiązki. Za późno, żeby dołączyć do Gallorana. Nie pozwolę, by po powrocie zastał wroga na swoim tronie.

– To już nie jest twój obowiązek. Nie jesteś już regentem. Usunięto cię ze stanowiska. Uciekaj ze mną na wygnanie. Jeżeli Galloran wróci, razem z nim popracujemy nad odzyskaniem miasta.

– A jeśli jego wojsko będzie musiało się wycofać po tym, jak zostanie pokonane pod Felrook?

– Już wysłałem mu orła z ostrzeżeniem – powiedział Nicholas. – Będzie wiedział, żeby nie szukać tu azylu.

– Ty możesz uciekać. Powinieneś zabrać Nollina, wyleczyć go albo zasadzić. Zabierz swoich osobistych strażników i rodzinę. Zostaw mi jednak tyłu wojowników, ilu możesz, i wszelkie zaufane kontakty.

– Podzielę się z tobą skromnymi środkami, jakimi dysponuję. – Nicholas westchnął.

– Nie działaj z zamkniętymi oczami. To nie jest walka, którą możemy wygrać. Byłoby szkoda, żebyś tak po prostu odrzucał własne życie.

– Moje życie należy do Gallorana. Zostawił mnie tutaj, więc tu zostanę.

# Rozdział 22

## Cztery forty

Pod osłoną nocy Rachel siedziała na swojej klaczy przed wielką armią. Obok niej czekał Galloran. Miał zasłonięte oczy, jego rumaka prowadził Io.

Fortecę, która wznosiła się przed Rachel, zwano Zachodnim Fortem. Strażnicze ognie płonęły na szczycie potężnych murów pełnych niespokojnych żołnierzy. Nadchodzący atak nie zaskoczy obrońców.

Rachel nie mogła doczekać się tej chwili. Jej wściekłość z powodu śmierci Drake'a nie zmalała, jeśli już, to wzrosła, kiedy smutek przemienił się w gniew, a stłumiona furia nie mogła znaleźć ujścia. Wiedziała, że nic nie przywróci życia Drake'owi, ale i tak zaczęła brać odwet tej nocy, już za kilka minut.

Miała odegrać kluczową rolę. Wiedziała, że Galloran dysponuje innymi scenariuszami, na wypadek gdyby nie wypełniła swojej roli, ale nie spodziewała się zawieść. Ta część jej osoby, która mogłaby się bać, chyba umarła razem z Drakiem.

Zdobycie fortów zapewni im pewną ochronę przed nadciągającymi wojskami Maldora. Złe wieści ścigały ich w czasie przemarszu przez dolinę do Felrook. Część zwiadowców, którzy skręcili na południe za przełęczą, nie wróciła. Ci, którym się udało, mówili o zastępach większych niż dziesięć tysięcy zbrojnych gromadzących się na południowym krańcu doliny. To była dostatecznie duża armia, żeby narobić im poważnych kłopotów, chociaż pewnie nie dość liczna, by ich pokonać. Galloran zostawił za sobą zwiadowców, żeby obserwowali ruchy wroga, ale poza tym zignorował te zastępy. Uznał, że wojsko wroga znalazło się tam tylko i wyłącznie po to, żeby utrzymać przełęcz i uniemożliwić im odwrót.

Przed dotarciem do Felrook doszły ich wieści, że przełęcz zajęto. Garstka obrońców, których tam zostawili, uciekła w góry. Reszta zginęła.

Niedługo potem nadleciał orzeł od Nicholasa z wiadomością o zamachu stanu w Trensicourt. Nedwina usunięto z urzędu regenta, a miasto znajdowało się teraz w rękach wrogów. Rachel starała się nie rozmyślać nad tym, jak fatalnie czuł się Nedwin z powodu tego zamieszania. Przynajmniej wyglądało na to, że przeżył.

Nie napotkali żadnego oporu na równinie wokół Felrook. Jak podczas całego marszu, panował tam spokój. Miasteczko obok promu porzucono. Jednakże trzy forty i mury chroniące prom napełniono bardziej niż do granic możliwości.

Drinling podbiegł do Gallorana, zasalutował i zgłosił gotowość swoich żołnierzy. Był to krzepki mężczyzna w zbroi nie od kompletu, o twarzy wysmarowanej ziemią, który mówił po angielsku za szybko, żeby dało się go łatwo zrozumieć. Galloran odebrał raport i wydał kilka nowych rozkazów.

Drinlingowie dołączyli do wojska Gallorana zgodnie z planem. Rachel ucieszyła się na widok ojca Io, Ula, który dowodził dzikim klanem. Całkiem już posiwiiał, ale nadal sprawiał wrażenie krzepkiego i silnego. Według Ula drinlingowie nie napotkali właściwie żadnego oporu w czasie swojego długiego, szybkiego marszu przez kontynent.

Rachel ponuro przyglądała się potężnej fortecy. Nie był to jedyny fort, który zostanie zaatakowany tej nocy. Po tym, jak Galloran zorganizował swoje siły, Ferrin przeszkolił dowódców, objaśniając sekrety fortów. Zachodni Fort, Północny Fort i Wschodni Fort wzniesiono na podobnym planie. Wielki mur wokół każdego stanowił główną linię obrony. W wysokich, grubych murach było tylko jedno wejście z dwiema bramami. Przestrzeń między bramami przebiegała pod klapami i dziurami dla strzelców, pozwalającymi obrońcom atakować zza osłony. Rachel ledwie sobie wyobrażała, ile odwagi wymagałby atak przy tak silnej obronie, gdyby byli wyposażeni jedynie w miecz, topór czy łuk.

W obrębie każdego fortu znajdował się rozległy dziedziniec z przestronnymi stajniami i koszarami. Dowódcy mieszkali w warowniach – wielkich, solidnych budowlach, chociaż nieszczególnie obronnych. Jeśli atakujący przebiją się przez mur, reszta będzie już względnie łatwa.

Naman nazwał umocnienia wokół promu czwartym fortem. Dla ułatwienia planowania nazwę tę przekształcono w Południowy Fort. Chociaż, formalnie rzecz biorąc, nie był to fort i obejmował mniej budynków niż inne fortyfikacje wokół Felrook, to tamtejsze mury były wyższe.

Ferrin zbadał znane mu sekretne wejścia prowadzące do dwóch fortów. Większość albo odcięto, albo – na przykład – obstawiono liczną strażą i zaopatrzone w mnóstwo pułapek. Jednakże jedna droga do Wschodniego Fortu najwyraźniej pozostała nieznaną albo dowódcy uznali, że to niemożliwe, by wróg znał ich sekret. Rozsadnik właśnie prowadził ukradkowy atak na Wschodni Fort, wykorzystując sekretne wejście. Rachel zastanawiała się, czy już zaatakowali. Nie usłyszała jeszcze żadnych odległych

odgłosów walki.

Światła księżycowego przybywało i ubywało wraz z przepływem postrzępionych chmur. Kiedy biała poświata przybierała najbardziej na sile, Felrook wyglądało złowieszczo nad jeziorem, przycupnięte na szczycie stromych urwisk wznoszących się pionowymi ścianami z wody. Niebotyczne wieże i mury sprawiały, że Rachel czuła się jak myszka, która zapragnęła przewrócić drapacz chmur. Starła się na razie ignorować Felrook. Najpierw musieli zająć się fortami, a potem będą mogli skupić się na najpotężniejszej twierdzy Maldora.

– Łucznicy są na pozycjach – zameldował nasiennik Galloranowi. – Żołnierze są gotowi.

– Kontynuować – polecił król w przepasce na oczach.

Amar Kabal dysponowali najwspanialszymi łukami w Lyrianie, które obsługiwali najlepsi łucznicy. Zebrali się tak daleko od fortu, jak pozwalało im na to ich zadanie. Żołnierze na murach byli odległymi celami, ale za to dobrze oświetlonymi przez ogień.

Trzy kolejne salwy strzał poszybowały przez noc. Mimo ogromnego dystansu szokująca liczba trafiła w cel. Wartownicy padali, krzycząc. Łucznicy wycofali się poza zasięg łuków, zanim przeciwnik odpowiedział salwą.

Galloran dał znać Rachel. Zastanowiła się mimochodem, czy zerkał na wydarzenia jej oczami i umysłem.

Na murach fortu główne ognie płonęły w kotłach na podwyższeniach. Rachel zaczęła wypowiadać rozkazy, przewracając kotły, zasypując pobliskich żołnierzy płonącymi węgielkami i znacząco zmniejszając ilość światła do dyspozycji obrońców. Mimo znacznej odległości zadanie było proste, niemal zbyt łatwe, by nazwać je choćby rozgrzewką, ale i tak Rachel cieszyła się z przyjemnego dreszczyku związanego z udanym rozkazem. Przewrócenie garów wywołało spore zamieszanie na murach, kiedy żołnierze zaczęli się między sobą przepychać.

Pierwsza fala atakujących rzuciła się do przodu, trzymając w górze nieporęczne tarcze. Szereg za szeregiem popłynęły przed siebie, mijając Rachel, Gallorana i oddział ich straży. Przez ostatnie kilka dni przygotowano się do tego ataku, w tym konstruowano ogromne tarcze według projektu Brina Łamigłówny. Nieporęczne tarcze nie przydadzą się w walce wręcz, ale zapewnią atakującym znaczną osłonę przed strzałami i bełtami, kiedy rzucą się na mury.

Następne zadanie Rachel wymagało większej finezji. Ilość potrzebnej mocy nie była wielka, ale Rachel musiała wykonać je ze znaczną precyzją. Galloran jasno dał do zrozumienia, że to jej najważniejsze zadanie tego wieczoru.

Kryształowa kula wielkości piłki futbolowej leżała na ziemi dwadzieścia jardów od jej konia. Rachel rozkazała jej unieść się w powietrze i przytrzymała ją tam. Kula wydawała się lekka. Rachel nigdy w życiu nie była równie skoncentrowana. Mamrocząc słowa, posłała burzyciela w stronę bramy, popychając go swoją wolą.



Przeleciał wysoko nad głowami atakujących, szybko zostawiając najszybszych daleko w tyle. Przy uderzeniu kryształ roztrzaskał się, uwięziony wewnątrz minerał rozbłysnął oślepiającą bielą i potężny wybuch rozniósł bramę w drzazgi.

Rachel przygotowywała się na wielką eksplozję, ale, mimo to, przenikliwy ryk sprawił, że aż podskoczyła. Śnieżynka wzdygnęła się i zatupała, więc Rachel wypowiedziała kilka uspokajających słów po edomicku. Nawet z tej odległości czuła falę gorąca po wybuchu. Frontowa brama zniknęła, a kamienie wokół niej popękały i poczerniały. Wielka zasłona dymu buchnęła w nocne niebo.

Wykonaniu zadania towarzyszył przyjemny dreszcz, mieszając się z naturalnym zadowoleniem ze zniszczenia bramy. Jeszcze jedna. Wraz z drugim rozkazem Rachel posłała kolejnego burzyciela w ziejącą czerń, gdzie wcześniej stała pierwsza brama. Kula roztrzaskała się o wewnętrzną bramę, rozbłysk na chwilę rozświetlił przerwę w murach i nagle droga była wolna.

Rachel ogarnęła euforia. Otworzyła drogę do fortu dla żołnierzy Gallorana! Nawet gdyby teraz się wycofała, już i tak udowodniła swoją wartość. Galloran zachęcał ją, żeby przerwała w tym momencie, gdyby wysiłek okazał się zbyt duży. Nie miała jednak zamiaru się wycofywać.

Kamienie i strzały posypały się gradem z murów, kiedy atakujący rzucili się do wejścia. Trebusze ciskały głazami, a balisty zasypywały deszczem ciężkich żelaznych strzałek. Cięższe pociski przebijały się przez wzniesione tarcze, ryjąc rowy wśród napływających mas wojowników. Niektóre mniejsze pociski przeciskały się przez szpary, powalając pojedynczych żołnierzy wśród szarżującego tłumu.

Napędzana bolesnymi myślami o Drake'u Rachel zsiadła z konia i przygotowała wolę do ciężkiej pracy. Maldor chciał pozabijać jej przyjaciół? To nie ujdzie mu płazem.

W magazynie w miasteczku obok promu znajdowało się mnóstwo olejnych lamp. Wóz załadowany częścią tego oleju czekał właśnie na drodze prowadzącej do bramy Zachodniego Fortu, z umocowanymi beczułkami i baryłkami. Atakujący biegli w stronę bramy po obu stronach drogi, ale nie jej środkiem.

Wypowiadając słowo, Rachel podpaliła wóz wraz z zawartością. To było trudne polecenie, ale jej wydało się niemal proste. Ledwie zareagowała na sukces radością. Zaciskając pięści, wypowiedziała słowa, żeby popchnąć wóz naprzód. Korzystając z siły woli i wypowiadając kolejne słowa, zwiększyła prędkość wozu, pilnując równocześnie, żeby się nie przewrócił. Kamienie i strzały atakowały płonący wóz. Beczułki pękały, tryskając płomieniami. Rachel popychała ruchome piekło we właściwym kierunku. Kiedy wóz dotarł do pozbawionego bramy przejścia, wyprzedzając atakujących o jakieś piętnaście jardów, pchnęła go po raz ostatni, wkładając w ten rozkaz całą siłę. Wóz oderwał się od ziemi. Sypiąc śnieżycą iskier, płonące deski popękały i fala ognia obmyła dziedziniec przed atakującymi żołnierzami.

Wysiłek sprawił, że Rachel padła na kolana, gwałtownie łapiąc powietrze; ból przeszył jej bok. Gardło miała zdarte i czuła krew sączącą się z nosa. Jednocześnie przyjemność, jakiej nigdy nie doświadczyła, zalała jej ciało, rozkosznie ożywiając każdy nerw. Umocniona psychicznie i fizycznie wstała, zataczając się, ciesząc się dreszczem triumfu i ekstazy. Nigdy dotąd nie wysiliła w takim stopniu woli.

– Dobra robota – powiedział Galloran już bez przepaski na oczach. – Powinnaś odpocząć.

Rachel pokręciła głową. Wyrzuciła swój głaz pod niebo, myśląc o tym, że Drake nie żyje, a ona nadal tu stoi. Zapragnęła nagle zaatakować swoją wolą mury fortu, uderzyć w nią tsunami wściekłości, które rozbiłoby go w gruz. To pragnienie było wręcz przymusem, czymś instynktownym. W tej chwili, kiedy cierpiała i triumfowała, wydawało się, że taki rozkaz jest w jej zasięgu. Wiedziała jednak, że ten wysiłek z pewnością by ją zabił, tak samo jak z pewnością zabiłby ludzi na murach i za nimi. Jej żołnierze już wlewali się wejściem. Poza tym będą potrzebowali murów, żeby samemu bronić się w nadchodzących dniach. Z pewnym wysiłkiem skupiła się na następnym zaplanowanym zadaniu.

Pomocnicy rozmieścili dwadzieścia zwykłych kul orantium, żeby mogła z nich skorzystać, gdyby zostało jej trochę sił po przemieszczeniu wozu. Będą musiały wystarczyć. Cztery posłała na stanowiska nad bramą, żeby pozbyć się obrońców dręczących atakujących poniżej. Potem pchnęła po jednej kuli w każdą z trzech widocznych balist. Ostatnie posłała daleko za mury, żeby wylądowały na dziedzińcu, z dala od walczących żołnierzy Gallorana. Wybuchy następowały jeden po drugim, tworząc sznur gigantycznych petard.

Po rzuceniu ostatniej salwy Rachel zatoczyła się do tyłu. Głowa jej pękała, w uszach dzwoniło, palce u stóp zdrętwiały. Kręciło jej się w głowie, w gardle ją paliło, ból narastał przy każdym przełknięciu śliny.

– Już dosyć – rozkazał Galloran.

Rachel słyszała, że kolejne kule orantium wybuchają za murami. Wielu nasienników miało je i używało zgodnie z potrzebami. Przede wszystkim planowali wykorzystać je do niszczenia harataczy i wyważania zamkniętych drzwi.

Z trudem się podniosła. Wykonała wyznaczone jej zadania. Czuła się zmęczona, ale chciała wystrzelić jeszcze raz. Coś wielkiego. Zaciskając zęby, skupiła się na wieży po prawej stronie murów, skąd obrońcy cały czas sypali kamienie na atakujących. Będzie musiała naprawdę mocno pchnąć, żeby zerwać z niej wierzchołek. Czując lekkie zawroty głowy, zebrała wolę.

Mocne ręce złapały ją za ramiona od tyłu, zmuszając do ukłęknięcia.

– Nie, Rachel – powiedział jej do ucha Galloran. – Przestań. Jesteś wycieńczona. Dość już.

Trzymając ją mocno, po tych słowach wypowiedział uspokajające i rozluźniające

edomickie frazy.

Rachel kręciło się w głowie. Osunęła się na bok. Galloran delikatnie ją wypuścił. Nie mogła nawet podnieść głowy. Dlaczego myślała, że mogłaby zniszczyć wieżę? Czuła się teraz pusta, słaba, przemęczona. Po pchnięciu wozu prosty wysiłek związany z rzuceniem kulami orantium doprowadził ją do granic możliwości. Jednak ta potężna wieża sprawiała wrażenie słabej. Czy naprawdę myślała o tym, żeby pchnąć cały mur? Przez chwilę wydawał się niemal kruchy. Może nie wykorzystała okazji, kiedy ją miała. A może euforia po pchnięciu wozu sprawiła, że okrutnie się przeliczyła, oceniając swoje zdolności. Rachel spróbowała wstać, ale nie zdołała. Galloran ją przytrzymał. Przynajmniej nie straciła przytomności.

Drake nadal nie żył. Próbowwała znaleźć w sobie gniew, ale czuła tylko pustkę i mdłości. Maldor próbował zabić Jasona. Zabił Drake'a. Chciał pozabijać wszystkich jej przyjaciół. Czuła się żałośnie, ale gniew znajdował się teraz poza jej zasięgiem. Chciało jej się płakać, ale łzy nie popłynęły.

Z ogromnej odległości dało się słyszeć huk innych wybuchów orantium. Wszystkie forty zaatakowano. Brin zbudował wyrzutnie burzycieli przy innych fortach. We Wschodnim Forcie Ferrin zamierzał spróbować otworzyć bramę od środka, chociaż i tam trzymano burzyciele pod ręką, na wszelki wypadek.

Galloran pomógł Rachel usiąść. Co on robił? Czy nie miał bitwy, nad której przebiegiem powinien czuwać? Przytrzymał ją, obejmując za ramiona.

– Wygramy tej nocy – powiedziała Rachel, szcękając zębami.

Galloran przyjrzał się jej z troską.

– Dobrze się czujesz?

Skinęła głową.

– Jestem tylko zmęczona. Wygramy?

Gardło naprawdę ją bolało.

– Tak myślę – powiedział Galloran. – Byłaś znakomita, ale za dużo z siebie dałaś.

– Maldor żałuje?

Galloran odgarnął wilgotne włosy z jej twarzy.

– Daliśmy mu do myślenia. Dzięki tobie. I orantium. W przeciwnym wypadku szturm na te forty kosztowałby nas połowę naszych sił. Kilku porządnych ludzi może utrzymać mocne mury, nawet kiedy atakują hordy. Powinniśmy słono zapłacić za te fortece. Solidnie je obsadzono i dobrze zaopatrzone. Twoja pomoc tu, przy Zachodnim Forcie, sprawiła, że nasze atuty tylko zyskały na sile. Twój edomicki uratował życie setkom ludzi. Może nawet tysiącom.

– Maldor powinien był zostawić je puste – powiedziała Rachel.

Ilu ludzi zabiła tej nocy? Kotły, orantium, wóz...

– Nie – odpowiedział Galloran. – Jest zbyt dobrym strategiem. Nie chciał walczyć z nami na przełęczy, bo moglibyśmy zawrócić. Nie chciał walczyć z nami w dolinie, bo

w tej chwili nasze siły miałyby przewagę liczebną. Jednakże dzięki tym fortom zamierzał nas osłabić przed przybyciem wojsk ze wschodu. Za nic by ich nam nie oddał. Gdyby jego ludzie zatrzymali nas tutaj, nie moglibyśmy nawet uciec.

Rachel spojrzała na Gallorana. Zawroty głowy nieco osłabły.

– Jego ludzie nie powstrzymają nas tej nocy. Nie, jeśli inni atakujący walczą tak, jak ci.

– Zgadza się. Nie sądzę, żeby Maldor zdawał sobie sprawę z naszych zapasów orantium. Wiedział, że mamy trochę kul. Myślę, że ilość orantium go zaskoczyła, tak samo jak burzycieli, i dlatego wszystkie ataki trzeba było przeprowadzić jednocześnie. Maldor wierzył, że te forty będą stanowić poważną przeszkodę. Jego obrońcy nie byli przygotowani na to, że bramy znikną zaraz po przypuszczeniu ataku.

Rachel słuchała odgłosów walk w forcie.

– Co teraz?

– Czekamy na zwycięstwo.

\*\*\*

Niedługo przed świtem Rachel zjadła śniadanie w jadalni w Zachodnim Fortcie. Czuła, że w połowie wróciła do normalnego stanu – nadal była zmęczona, ale odzyskała jasność myślenia. Galloran zjadł razem z nią. Ferrin siedział obok. Pozostali przywódcy i przyjaciele także do nich dołączyli, w tym Naman, Ul, Io, Brin, Tark, Lodan, przywódca drinlingów imieniem Obb oraz nasiennik Herral. Naman dowodził atakiem na Północny Fort, Obb nadzorował zajęcie Południowego, a Herral walczył we Wschodnim.

Zanim Rachel spotkała się z Ferrinem, usłyszała, jak ludzie wykrzykują pochwały pod jego adresem. Najwyraźniej okazał się prawdziwym bohaterem we Wschodnim Fortcie, niepostrzeżenie przeprowadziwszy setki żołnierzy pod murami. Zajęli mury i otworzyli bramy, atakując obrońców na dziedzińcu z góry, kiedy główne siły wlewały się do środka bez przeszkód.

Rachel zerknęła z ukosa na Ferrina, zbierając z talerza jajko sucharem.

– Opowiedz mi o swojej nocy. Słyszałam, że się popisałeś.

– Mogę opowiedzieć, czego nie zrobiłem – powiedział Ferrin. – Nie wysadziłem w pojedynkę bram, nie cisnąłem wozem pełnym ognia przez powstały wyłom, a potem nie spuściłem na wroga gradu orantium. Jak twoja głowa?

– Już jest lepiej – odpowiedziała Rachel. – Dobrze było trochę się wysilić. Mam nadzieję, że następnym razem będę bardziej wytrzymała. Ale chcę poznać szczegóły! Cały czas słyszę, że we Wschodnim Fortcie wszystko poszło jak po maśle.

– Przeszliśmy podziemiami. Pozbyłem się paru strażników po cichu. W zasadzie

wypełniliśmy całe lochy, zanim musieliśmy wysadzić drzwi, by kontynuować atak. Wybuch zdradził naszą obecność, ale wrogowie fatalnie zareagowali. Zabiliśmy paru wartowników i wspięliśmy się na mury, zanim ktokolwiek tak naprawdę ogarnął, co się dzieje. Trochę orantium i paru krzepkich drinlingów właściwie wystarczyło, żeby oczyścić mury z wroga. Kiedy nasiennicy zasypywali dziedziniec gradem strzał, my dotarliśmy do mechanizmów i otworzyliśmy bramy.

– Rozsadnik bardzo skromnie opisuje swoje dokonania – powiedział Herral. – Zabił co najmniej dwudziestu przeciwników, w tym trzech rozsadników, i stracił głowę, prowadząc szarżę na murach.

– Ale ją odzyskałem – sprostował Ferrin.

– Osobiście otworzył bramy – mówił dalej Herral. – Potem poprowadził drużynę do właściwej warowni kolejnym sekretnym przejściem. Nie używając burzycieli, straciliśmy mniej niż sto dusz i zajęliśmy Wschodni Fort. Zabiliśmy dobrze ponad tysiąc żołnierzy wroga.

– Atak nie mógł przebiec lepiej – oznajmił Naman. – Atakując takie fortyfikacje jak te, powinniśmy stracić co najmniej pięciu żołnierzy na każdego zabitego wroga. Zamiast tego bilans wypadł zdecydowanie na naszą korzyść. W sumie straciliśmy mniej niż półtora tysiąca ludzi, w tym mniej niż stu we Wschodnim Forcie i mniej niż dwustu w Zachodnim, gdzie mieliśmy największą przewagę.

– To było inspirujące zwycięstwo – zgodził się Galloran z zamkniętymi oczami. – I będzie to też jedyne nasze zwycięstwo, jeśli wkrótce nie zajmiemy Felrook. Forty miały nas wstrzymać, ale śmiertelna pułapka nadal czeka. Kiedy armie Maldora wrócą ze wschodu, wróg będzie miał przewagę liczebną jeden do dwudziestu.

Rachel odrywała kawałeczki bułki, drobiąc ją, zamiast jeść. Ostatnia noc była koszmarna, a to przecież było zwycięstwo! Jak wyglądałaby klęska? Żałowała, że nie ma więcej czasu, by nacieszyć się sukcesem.

– Tego ranka zaczęną łątać dziury w murze po bramach – powiedział Brin. – Zabezpieczymy zajęte forty tak dobrze, jak to możliwe. A potem wrócę do pracy nad tym, jak można by się dostać do Felrook.

– Wszyscy musimy myśleć nad Felrook – powiedział Galloran. – Nie mamy czasu, żeby wziąć ich głodem. Nie możemy uciec. Nie możemy opierać się nadchodzącej powodzi wrogich sił. Musimy zająć Felrook, zanim się zjawią, bo inaczej zginiemy.

Rachel już rozmyślała nad tym, jak mogliby przeniknąć do Felrook. Nie wpadła na żaden błyskotliwy pomysł. Postara się bardziej, jak prosił Galloran, ale miała nadzieję, że nie będą polegać na tym, że to ona dostarczy im odpowiedzi.

– Felrook ma sekretne przejścia – odezwał się Ferrin – ale żadne nie prowadzi do środka czy na zewnątrz. Nie znam lepiej zabezpieczonej fortecy, trudniej dostępnych bram i murów, bardziej wszechstronnych obron. Ponieważ tylko jedna droga prowadzi na urwisko, nie możemy zaatakować problemu po prostu dużą liczbą ludzi. Nie ma

miejsca na wieże oblężnicze czy drabiny. Doświadczeni wspinacze mieliby spory kłopot, żeby dotrzeć do podstawy murów nawet w idealnych warunkach. Najlepsi trebusz nie zdołaliby dorzucić kamienia nawet do połowy wysokości urwiska.

– Mamy orantium – powiedział Ul.

– Co stwarza pewne możliwości – zgodził się Ferrin. – Trudno jednak będzie dostarczyć materiały wybuchowe na miejsce. Nawet jeśli zniszczymy bramy, ścieżka prowadząca urwiskiem jest tak przygotowana, żeby w każdej chwili dało się ją zniszczyć. Jak pozbawieni skrzydeł ludzie mają zaatakować ufortyfikowaną wyspę w przestworzach?

– To zadanie wydaje się niewykonalne – przyznał Galloran. – Będzie wymagało całej naszej siły i pomysłowości. Jednak istnieje droga. Wiemy to z proroctwa. Musimy wymyślić sposób, żeby osiągnąć cel. Zależy od tego nie tylko nasze życie, ale i życie każdego mężczyzny, kobiety i dziecka w Lyrianie. Rozmyślajcie obsesyjnie nad tym problemem. Zachęcajcie swoich najlepszych ludzi do siłowania się z nim. I najsłabszych. Pozostańcie otwarci na strategie, których nigdy dotąd nie próbowano.

Ferrin przysunął się do Rachel, by szepnąć:

– W tłumaczeniu: módlcie się, żeby Jasonowi się powiodło. A do tego czasu postarajcie się nie zwariować.

# Rozdział 23

## Dymiące Pustkowie

Wkrótce po świcie, z bocznej grani skalistego wzgórza w pomarańczowe i białe pasy, Jason po raz pierwszy ujrzał panoramę Dymiących Pustkowi. Czerwone, pomarańczowe, żółte, różowe i białe pasma jaskrawo barwiły wapienny krajobraz. Skarłowaciała roślinność utrzymywał się przy życiu na nielicznych skrawkach – powykrzywiane drzewa, postrzępione krzewy, kolczaste kaktusy. Dwa gejzery wybuchały, jeden na dole w pobliżu, drugi dalej. Oba wypluwały w powietrze skrzące się wieże wrzącej wody i pary. W ciągu minuty albo dwóch najbliższa fontanna skurczyła się do bulgocącej piany i w końcu wygasła. Drugi gejzer tryskał jeszcze przez dłuższą chwilę. Trzeci zaczął pluć w połowie drogi do niego, tuż przed tym, jak tamten zaczął słabnąć.

– To piękne – powiedziała Corinne, siedząc na grzbiecie swojego wałacha. – Popatrz na ten nowy!

Kiedy podniebna erupcja sięgała coraz wyżej, załamujące się promienie słoneczne przeplatały mgiełkę drżącymi tęczowymi barwami. Za tym świetlistym wodotryskiem odleglejszy gejzer nadal słabł.

– Trzy gejzery z rzędu? – zdumiał się Jason. – Mam nadzieję, że przynoszą szczęście.

Jasher odchrząknął.

– Jeśli tak jest, to zjawiliśmy się w najszcześniejszej krainie w Lyrianie.

– Nie ręczę za ich wartość jako dobrych znaków – powiedziała Farfalee – ale z pewnością wody na Dymiącym Pustkowie są niesforne. Znajdujemy się dopiero na obrzeżach. W miarę jak będziemy zbliżać się do gór, natrafimy na gorące źródła, barwne rzeki, jamy ze szlamem, kotły, leje krasowe, kominy buchające parą, tarasy

wapienne, wulkany błotne i stożki gejzerów. Żadna z naszych map nie będzie idealna, bo tutejszy krajobraz zmienia się gwałtowniej niż gdziekolwiek indziej w Lyrianie. Musimy zachować ostrożność. Zdarzają się niestabilne tereny, gdzie grunt cieniutki jak wafelek rozciąga się nad gotującymi się jeziorami albo gdzie maleńka warstewka piasku zakrywa studnie palącego szlamu.

– To mi wygląda na idealne miejsce na piknik – zażartował Jason. – Kto ma kanapki?

– Przejeżdżałem już kiedyś przez te niebezpieczne tereny – powiedział Jasher – chociaż nigdy nie zpuściłem się tak blisko serca Dymiących Pustkowi, jak wymaga tego nasza podróż. Pewne wskazówki mogą nam pomóc. Wyglądajcie, czy nie widać parującej ziemi. Albo siatki pęknięć. Macajcie, czy nie wyczujecie kieszeni ciepłej. Nasłuchujcie bulgotania. I czy ziemia pod wami nie strzela albo nie pęka. Będziemy jechać gęsiego. – Wskazał w dal. – Wielki Żółty Stożek to nasz pierwszy punkt orientacyjny. Stamtąd musimy podążać Gładką Równiną do Stopni, omijając Łażnię Olbrzyma, aż dotrzemy do Parzących Jaskiń.

– I to Rachel ma aparat fotograficzny. – Jason westchnął. – Coś jeszcze po Parzących Jaskiniach? Może Rozpalony do Białości Ocean Żałości?

– Wąska Droga – powiedziała Farfalee. – I nasz ostateczny cel.

Jason widział pierwszy punkt orientacyjny rysujący się ponad odległą granią. Stożkowata góra miała kształt wulkanu narysowanego przez dziecko i była równie żółto-biała jak tort bezowo-cytrynowy.

W czasie długiej jazdy na północ nie zostali dostrzeżeni przez przeciwnika, chociaż podczas zwiadów Jasher widział niekiedy wrogich jeźdźców w oddali. Nasiennik długo prowadził grupę w głąb lądu, zanim skręcili na północ. To wydłużyło ich drogę o co najmniej dzień, ale bardzo utrudniło zadanie każdemu żołnierzowi, który pozegłował na północ, żeby odciąć ich albo ruszyć ich tropem.

Dwa orły Farfalee wróciły do niej po tym, jak wypuściła je w nocy, kiedy opuszczali *Walecznego*. Nie śmiała ich puścić wolno, bo obawiała się, że zdradzą miejsce ich pobytu. Zamiast tego trzymała je uwiązane do siodła Arama i karmiła z zapasów grupy.

Jason strzelił wodzami i zjechał za Jasherem w dół po urwistym stoku. Nasiennik lawirował, improwizując po drodze. Aram wskazał czarnego skorpiona wielkości homara. Jaser ostrzegł, że żądło mniejszych pomarańczowych skorpionów jest bardziej niebezpieczne. Jason nie miał ochoty zetknąć się z żadnym z tych gatunków.

Nie dostrzegli ani jednego gejzeru przez ponad godzinę, ale do zachodu słońca Jason zliczył ich jedenaście. Rozbili obóz w wąwozie z czerwonej skały. Poza normalnymi racjami każdy spróbował kawałeczka długiego na pięć stóp węża, którego zabił Del. Gotowane mięso było twarde i słodkawe.

Następnego dnia Wielki Żółty Stożek zbliżał się coraz bardziej. Jason miał kłopot z ocenieniem jego rozmiarów. Z pewnością nie mógł mierzyć się z górami na



horyzoncie, ale był sporo wyższy od otaczających go skał i stoliw, przyciągając oko jak żadna inna rzecz w okolicy.

W miarę upływu dnia coraz częściej mijali dymiące otwory w ziemi. Niektóre były poszarpanymi dziurami nie szerszymi niż ołówek, inne ziejącymi otworami dostatecznie dużymi, żeby połknąć samochód kempingowy. Natrafili także na gotujące się kałuże błota, czasem czerwone, czarne albo białe, a najczęściej srebrzystoszare. Błoto miało różną gęstość – od kleistej mazi po wodnisty syrop. Na niektórych kałużach ukazywały się pojedyncze bąble, inne cały czas się gotowały. Większość cuchnęła siarką.

Przez całą drogę Jason tęsknił za Drakiem. Brakowało mu jego drwin, rozsądnych rad i nawet cynicznych przewidywań. Brakowało mu jego kompetencji. Nie raz złapał się na tym, że zastanawia się, kiedy Drake wróci ze zwiadu, i dopiero wtedy przypominał sobie, że już nigdy nie wróci. Od czasu do czasu jechał ze spuszczoną głową, żeby ukryć łzy.

Zatrzymali się na noc w pobliżu czarnego rozlewiska, burzącego się pośrodku. Po rozbiciu obozowiska Jason poszedł popatrzeć na rozlewisko w świetle gasnącego dnia. Bulgocące miejsce tryskało czarną cieczą na wysokość ośmiu stóp jak mały, nieustanny gejzer i sprawiało, że cała powierzchnia nieustannie żywo falowała. Jasher nazwał ciemną sadzawkę kotłem, co Jason uznał za trafny opis.

Kiedy wieczorne gwiazdy zabłyśły, Corinne dołączyła do Jasona koło sadzawki. Przez dłuższą chwilę patrzyła razem z nim bez słowa. W końcu zauważył, że dziewczyna przygląda mu się.

– Wszystko w porządku? – spytała.

– Jasne – odpowiedział, nie bardzo wiedząc, jak zareagować.

– Ostatnio jesteś wyjątkowo cichy.

– Nie słyszałaś? Polują na nas.

– Mówię serio.

Jason skupił się na kotle.

– Nie wiem. Zrobiło się ciężiej, odkąd straciliśmy Drake'a. A potem tak wielu ludzi straciliśmy w Gulbie. Chyba zaczyna to do mnie docierać.

– Cieszę się, że to mówisz.

Jason spojrzał na nią.

– Nie masz serca.

– To nie tak – powiedziała przepraszająco. – Cieszę się, bo czuję to samo. Czuję się... wypompowana... smutna... No, wiesz.

– Wiem. Jest ciężko. Chyba musimy skupić się na tym, co dobre. Zbliżamy się do celu. Może niektórzy z nas to przeżyją.

– Wszyscy z tych, co zostali.

– Mam nadzieję. – Zerknął w jej stronę. – Byłaś niesamowita w walce

z czatownikiem. Nie mogłem uwierzyć.

– Ja też. Tak się bałam. Czułam jednak jego umysł i wiedziałam, że mam szansę. Wiedziałam też, że doprowadzi do nas żołnierzy. Przez niego ucieczka mogłaby okazać się niemożliwa. Nie miał broni. Czułam, że muszę zaryzykować.

– Naprawdę myślałem, że już po tobie. To by był dla mnie koniec.

– Nie mów tak – zbeształa go Corinne. – Z nas wszystkich ty musisz wytrzymać do końca.

Jason spojrział na rękę. Dlaczego on? Dlaczego to takie ważne, żeby znalazł dom Dariana? Nie był najlepszym wojownikiem. Jeśli już, to był najgorszym. Jednakże wyrocznia jego wymieniła jako pierwszego. W rezultacie Drake zginął, żeby go ratować. Dręczyły go wyrzuty sumienia.

Corinne położyła dłoń na jego rękę. Nie była delikatna, miała liczne zgrubienia od ćwiczenia szermierki. Ucisnęła jej rękę. Corinne odwzajemniła uścisk.

Może Darian żył. Może zdradzi sekret Pozaświatowcowi. Może natrafi na zagadkę, którą tylko on zdoła rozwiązać. Może tylko jego odciski palców pozwolą otworzyć tajemny skarbiec.

– Uda nam się – powiedział. Chciał być w tym szczery. Prawie mu się udało. Odnosił wrażenie, że potrzebowała usłyszeć to od niego. – Znajdziemy wiadomość od Dariana.

– Wierzę w to. Nie trać nadziei.

– Nie stracę.

Siedziała tak blisko.

Poklepała go po ręce i wstała.

– Nie powinienes siedzieć tu przez całą noc.

– Jeszcze chwilę.

Odeszła. Jason patrzył na gotujący się szlam. Czuł się samotny. Drake zginął dla niego. I teraz odpowiedzialność spoczywała na jego barkach, by nadać sens tej ofierze.

\*\*\*

Następnego ranka Wielki Żółty Stożek wybuchł niedługo po tym, jak grupa ruszyła. Woda i para tryskały w górę przez niemal dwie godziny, a nieskończona liczba kropelek skrzyła się w porannym świetle. Pod koniec cała stożkowata góra lśniła wilgocią.

Wkrótce po tym, jak Wielki Żółty Stożek wysechł, Nia dostrzegła, że wraca trzeci orzeł. Jasher i Aram natychmiast się zaniepokoiili. Kiedy orzeł zaczął opadać ku Farfalee, Jasher wskazał odległą postać na różowej grani, zaledwie punkcik dla nieuzbrojonego oka.

Jason poczuł, jak zgroza zbiera mu się na dnie żołądka. Ta małeńka postać w oddali mogła zapowiadać ogromne kłopoty. Aram od początku martwił się, że wrogowie znajdą sposób, by wytropić ich, wykorzystując orły. Jason spojrział na półolbrzyma.

Aram skierował lunetę we wskazanym przez Jashera kierunku.

– Ma lunetę – warknął Aram. – Macha ręką. Zawraca konia.

– Musieli złapać orła – zgadnął Jasher. – Przyjechali z północy i posłużyli się nim, żeby nas wytropić.

– Jak mogli ją złapać? – zapytała Farfalee. – Orlica przysiadła na jej ręce i zaczęła jeść z dłoni. – Eina nie poleciałaby do nich z własnej woli. Dopóki nie wysłę jej z wiadomością i żyję, przylatuje tylko do mnie.

Dla Jasona zabrzmiało to trochę tak, jakby się tłumaczyła. Musiała się potwornie czuć, bo jednej z jej orłów zdradził ich miejsce pobytu. W końcu Aram ją ostrzegął.

– To wymagało jakiejś sztuczki – powiedział Jasher. – Czy to ważne, jak tego dokonali? Stało się. Musimy przyśpieszyć.

Przed zachodem słońca znaleźli się w cieniu Wielkiego Żółtego Stożka. Z lunetą w ręce Jasher wspiął się na górę. Pokonał kilkaset stóp. Światło prawie zgasło, zanim dotarł na szczyt.

– Duża grupa, cały czas ostro jadą – powiedział po powrocie. – Możliwe, że jest ich nawet trzydziestu.

– Jak daleko? – zapytał Jason.

Jasher wypuścił powietrze przez zęby.

– Jeśli się zatrzymamy, a oni będą jechać całą noc, mogą nas dopaść.

– W takim razie lepiej się nie zatrzymujmy – powiedziała Farfalee.

– Musimy uważać – odpowiedział Jasher. – Przed nami jest Gładka Równina. Grunt jest tam cienki. Zawsze słyszałem, że konie są za ciężkie, żeby ją przekroczyć, i większość map to potwierdza.

– Powinniśmy pomyśleć o znalezieniu miejsca, gdzie możemy walczyć? – zapytał Jason. – Spróbować ich zaskoczyć? Uderzyć w nich lawiną albo czymś w tym guście?

– Trzydziestu to za wielu – sprzeciwił się Aram. – Mamy tylko dwie kule orantium. Najpierw musimy spróbować im uciec.

– Jak daleko jest do równiny? – spytała Farfalee.

– Możemy tam dotrzeć przed wschodem słońca – odpowiedział Jasher.

– Konie są zmęczone – wtrąciła Nia.

– Nie będziemy jechać szybko – odparł Jasher. – Nie chcemy zapuszczać się na Gładką Równinę w ciemnościach.

Po wieczornym posiłku pojechali dalej. Było dość chmur, żeby przez większość czasu przesłaniały księżyc, co zmuszało Jashera do skorzystania ze świecącego wodorostu. Dzięki poświęceniu mieli lepszą widoczność, ale też ułatwiała ona pościg wrogowi, który dobrze widział cel.

Niepokój z powodu wroga za plecami sprawił, że Jason nie czuł zbytniego zmęczenia. Nasłuchiwał dziwnych odgłosów obcego krajobrazu – bulgocących kałuż mazi, westchnień z parujących kominów, plusku i szumu gejzerów.

Po przerwie na krótką drzemkę i skromny posiłek świt zastał ich na obrzeżach spektakularnej równiny, która ciągnęła się przed nimi na wiele mil. Głęboka na całą wodę spływała po płaskiej kamiennej powierzchni, nadając jej połysk. Wszystkie kolory były obecne w smugach i wirach, a w szczególności biały, żółty, pomarańczowy, czerwony i turkusowy. Roilo się tu od bulgocących źródeł, woda bardziej się rozlewała niż płynęła. Zewsząd sączyła się para. Jason przykucnął przy krawędzi wilgotnej równiny i wyciągnął dłoń. Odkrył, że woda jest ciepła.

– Nigdzie w pobliżu nie znajdziemy bezpiecznego miejsca – powiedział Jasher. – Trudno ocenić, jak daleko w tyle został pościg. Jeśli jechali szybko, pomału nas doganiają. Poruszając się pieszo, poświęcimy cały dzień na przebycie równiny. Pytanie więc: czy kontynuujemy drogę pieszo, czy konno?

Jason się obejrzał. Nie widział żadnych wrogich jeźdźców, mogli jednak pojawić się lada chwila.

– Możemy objechać równinę? – spytał Del.

Jasher pokazał mu mapę.

– Równina jest długa i zakręca wokół naszego celu. Obejście jest mało realne. Możliwe, że wręcz niewykonalne. – Jasher złożył mapę, patrząc przed siebie. – Cała równina jest właściwie cieniutką skorupką na wrzątku. Nawet bez wagi naszych wierzchowców grunt w dowolnym momencie może się pod nami załamać. To będzie jak stąpanie po kruchym lodzie.

– A jeśli poprowadzimy konie? – zapytał Aram.

– To ryzykowne. Pęknięcia szybko się rozprzestrzeniają. Jeśli koń wpadnie w jakąś dziurę, może to zapoczątkować coś, co pochłonie nas wszystkich.

– Wobec tego ruszamy pieszo – orzekła Farfalee.

– Nasi wrogowie staną wobec takiego samego wyboru – przestrzegł ją Jasher. – Jeśli ruszą konno i grunt wytrzyma, dogonią nas.

– Myślisz, że powierzchnia utrzyma konie? – spytała Farfalee.

– Nie. Martwię się, czy utrzyma nas. Jeśli my pójdziemy, a oni pojedą, wierzę, że zaryzykują bardziej.

– Zatem idziemy – powtórzyła. – Lepiej się przygotujmy.

Pracując szybko, zebrali tyle sprzętu i zapasów, ile mogli w granicach rozsądku. Jason sprawdził w sakwach, czy niczego nie zapomniał. Corinne próbowała porozumieć się z końmi, ale nie była dobrej myśli co do skuteczności tych starań. Del zgłosił się na ochotnika, że poniesie broję Arama. Nia wzięła jego ogromny miecz.

– Jest ciężki – przestrzegł ją półolbrzym.

– Nic mi nie będzie. Co najwyżej wysiłek sprawi, że stanę się silniejsza.

– Stawiajcie kroki ostrożnie – poradził Jasher. – Jeśli grunt zacznie się uginać, padajcie na płasko. Będziemy szli gęsiego, ale nie za blisko siebie. Ja pójdę pierwszy.

– A ja na końcu – zaproponował Del.

Idąc za Farfalee i przed Corinne, Jason wkroczył na Gładką Równinę. Woda pluskała delikatnie przy każdym kroku. Szedł spięty, świadom tego, że w każdej chwili może wpaść do wrzącej wody. Od czasu do czasu wyczuwał, że grunt pod nim trzeszczy.

Jasher nie prowadził ich prostą drogą. Wyjaśnił, że próbuje odgadnąć najbezpieczniejszą drogę, obserwując położenie źródeł, parujących otworów i temperaturę wody. Trzymał się z dala od tłących się sadzawek, gdzie grunt już pękł. Szli w milczeniu, nasłuchując oznak niebezpieczeństwa. Kilka razy Jasher cofnął się ostrożnie, kiedy grunt trzasnął pod jego stopą.

Jason zauważył, że temperatura cienkiej warstewki wody waha się od letniej po wrzątek. Jasher starał się trzymać ciepłej wody, omijając gorącą, ale nie zawsze się to udawało. Żar promieniował z wody i ziemi, sprawiając, że Jason zaczął współczuć warzywom gotowanym na parze. Tłusta warstewka potu i wyczewów kleiła się do niego przez cały ranek.

Przed południem grupa konnych pojawiła się za nimi na obrzeżach równiny. Para unosząca się między pościgiem a grupą sprawiała, że małe sylwetki jeźdźców drżały. Na szczęście, Jasher przesadził, oceniając ich liczebność. Niestety, nadal było ich blisko dwa tuziny.

Jeźdźcy pokręcili się na obrzeżach równiny przez kilka minut, w końcu postanowili zostać w siodłach i ruszyli do nich cwałem. Kiedy Jason i przyjaciele oglądali się na zbliżających się jeźdźców, odcinek, jaki przebyli od świtu, wydawał się im żałośnie mały.

Jason oparł się pokusie ucieczki biegiem. W tej chwili nie wynikłoby z tego nic dobrego. Nie uciekłyby przed koniem.

– Nie mamy żadnej osłony – zauważył Aram. – Gdy nas dogonią, po prostu nas stratują.

– Rozsypcie się po równinie – powiedział Jasher. – Jason, miej orantium pod ręką. Staraj się trafić nim przed ciasną grupę jeźdźców. Może ułatwimy gruntowi pęknięcie. Farfalee, Nia, przygotujcie łuki.

Rozbiegli się, odwracając się do wrogów. Jasher trzymał torivorański miecz w jednej ręce i kulę orantium w drugiej. Jason zrobił to samo. Wilgoć w powietrzu sprawiała, że kula zrobiła się trochę śliska.

Konie ostro galopowały. Przeciwników było tak wielu! Przynajmniej orantium dawało Jasonowi pewną nadzieję, że obroni siebie i przyjaciół. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał rzucić kulą najdalej jak zdoła, bo w przeciwnym wypadku pośle całą ich grupę do wrzącego jeziora. Będzie musiał wyczuć właściwy moment, żeby objąć

wybuchem jak najwięcej jeźdźców.

Wkrótce jeźdźcy przebyli połowę odległości od początku równiny. Woda rozbryzgiwała się, gdy kopyta tłukły w parujący grunt. Wysokie słońce sprawiało, że cienie pod nimi były małe.

Jasonowi zaschło w ustach. Jak miał przeciwstawić się grupie szarżujących konnych? Farfalee może zabije kilku z łuku. Podejrzywał, że będzie musiał spróbować uskoczyć i ciąć mieczem najlepiej jak potrafi. Natychmiast spadną na niego kopyta i ciosy. Jak ma się wymknąć, kiedy tyle tu zagrożeń? Czy ktokolwiek z nich zdoła się oprzeć tak brutalnemu atakowi? To mógł być ich koniec. Za jeźdźcami, za równiną, Jason zobaczył wybuchający gejzer.

I nagle trzech z prowadzących jeźdźców zniknęło, bez żadnego ostrzeżenia. Łuszczące się kawałki skały wleciały w powietrze, kiedy woda trysnęła wysoko. Inni jeźdźcy próbowali zwolnić albo gwałtownie skręcić, ale w ciągu kilku sekund olbrzymi kawał ziemi zapadł się i na powierzchni równiny zostało mniej niż dziesięciu jeźdźców.

Na długą chwilę zapadlisko zamieniło się w parujący gulasz końskich łbów i wymachujących ramion, ale tumult szybko ucichł. Pozostali jeźdźcy zsiadli z wierzchowców i ruszyli dalej pieszo, obchodząc szerokim łukiem nowo powstałe jeziorko.

Jason zerknął na Corinne. Ulżyło jej, ale nadal była trochę przestraszona. Spojrzała mu w oczy.

– Aż mi serce szybciej zabiło – przyznał Jason.

Schowała miecz.

– Cały czas myślałam sobie: pewnie, że oni nie wpadną, jasne, to będzie ten jeden raz, kiedy dwadzieścia koni przegalopuje po kruchej równinie bez ani jednej szczeliny w gruncie.

Aram patrzył przez lunetę, szczerząc zęby jak dzieciak w cyrku.

– Zostało ośmiu.

– Ośmiu mogę załatwić z łuku, kiedy wejdą w zasięg – powiedziała Farfalee. – Nie mają osłony, a ja mam mnóstwo strzał. Wy idźcie przodem.

– Nie powinnaś zostawać w tyle sama – powiedział Jasher. – A jeśli stracisz nasiono?

– Ja zostanę – zaproponowała Nia. – Też mam łuk.

Jasher skinął głową.

– Poczekajcie, aż znajdą się zdecydowanie w zasięgu, bo inaczej zaraz się wycofają. Poczekamy przy drugim końcu równiny. Nasze odejście powinno sprawić, że przyśpieszą.

Otarłszy szkło lunety rękawem, Aram zerknął raz jeszcze.

– Żaden nie nosi ciężkiej zbroi. Dla Farfalee naszpikowanie ich strzałami będzie jak bułka z masłem.

– Ja też mogę któregoś trafić – wtrąciła Nia.

– Wszystko możliwe – zgodził się Aram.

Nia go zdzieliła.

– Nie zapominaj, kto niesie twój miecz, kiedy słońce jest na niebie!

– Nie chciałem cię obrazić – powiedział Aram. – Po prostu nigdy nie widziałem nikogo, kto by strzelał jak Farfalee.

Jasher poprowadził pozostałych gęsiego. Jason cały czas zerkał przez ramię, czekając, aż żołnierze znajdą się w zasięgu. Zatrzymali się, kiedy Farfalee i Nia zaczęły strzelać. Kobiety szybko załatwiły sprawę.

Dogoniły pozostałych późnym popołudniem.

– Trafiłam dwóch – pochwaliła się Nia. – I dwa razy spudłowałam, ale jeden z moich strzałów był śmiertelny.

– Przyznaję się do błędu, nie doceniałem twojej celności – powiedział Aram. Zawołał do Jashera z przodu: – Jest szansa, żebyśmy przyśpieszyli?! Czuję, że ta Gładka Równina to jedno z nielicznych miejsc, gdzie Mały Aram ma przewagę.

– Przejdziemy ją przed zachodem słońca – zapewnił go Jasher.

Dreptali przed siebie. Brak snu poprzedniej nocy zaczynał dokuczać Jasonowi. Szli powoli, ale bez przerwy, a nieustanne zagrożenie, że grunt się pod nim zapadnie, sprawiało, że był ciągle spięty. Zjedli, idąc. W pewnym momencie Jasher przebił stopą grunt, ale zdołał odskoczyć, zanim skorupa się roztrzaskała pod nim. Ostatecznie ledwie udało mu się dotrzymać obietnicy. Aram urósł jakieś dziesięć minut po tym, jak zostawili za sobą Gładką Równinę.

Następnego dnia dotarli szybciej do kolejnych punktów orientacyjnych. Stopnie okazały się siedmioma chwiejnymi skalnymi kolumnami o coraz większej wysokości. Dostrzegli je na początku dnia i zostawili za sobą po południu.

Łaźnia Olbrzyma była naturalnym stoliwem z tarasami z basenami na różnych poziomach. Przelewająca się woda zostawiała barwne osady mineralne – misterne kotary, przez które stoliwo wyglądało jak ogromny tort ze spływającym lukrem. Kłębiące się chmury pary były z pieczary u podstawy tej wymyślnej formacji skalnej.

Zatrzymali się na noc niedaleko Łaźni Olbrzyma. Jasher powiedział im, że rankiem będą potrzebowali tylko kilku godzin, by dotrzeć do Parzących Jaskiń. Kiedy przez nie przejdą, ruszą ścieżką zwaną Wąską Drogą do ostatniej siedziby Dariana Jasnowidza.

– Myślisz, że to naprawdę będzie właściwe miejsce? – zapytał Corinne Jason, kiedy szykowali się do snu. – Wierzysz, że znajdziemy Dariana?

– Tego się spodziewam – odparła. – Nie wyobrażam sobie, żeby w bibliotece była inna informacja, którą zdaniem wyroczni powinniśmy wykorzystać. Fakt, że towarzyszyła nam Farfalee, która potrafiła odczytać petruski zwój, nie mógł być przypadkiem.

– Mam nadzieję. Jeśli się mylimy, chyba niewiele możemy na to poradzić.

Instrukcje brzmiały tak, jakbym miał tam wejść sam.

– Sam i bez broni – sprecyzował Jasher. – Wyrocznia wymieniła ciebie jako osobę, której potrzebujemy, żeby otrzymać informację od Dariana. My jesteśmy po to, żeby doprowadzić cię do celu.

Jason skinął głową, starając się nie ujawniać emocji.

– Możemy popilnować drzwi, póki będziesz w środku – powiedziała Nia.

– Myślicie, że będzie mówił po angielsku? – zastanawiał się Jason.

– Żył, zanim angielski się rozpowszechnił – powiedziała Farfalee – ale jeśli nadal żyje, to kto wie? Skoro przepowiednia wysłała cię tutaj, musi istnieć jakiś sposób, w jaki się porozumiecie.

– Myślicie, że dotrzemy tam jutro?

– Zależy od tego, jak długa będzie Wąska Droga – odpowiedziała Farfalee. – Nie ma jej na żadnej mapie, a instrukcje nie były jasne, jeśli idzie o dystans. Powinna skończyć się przed wodospadem. Wejście jest pod albo za kaskadą.

Rozmowa się urwała. Jason zawinął się w koc i czuł, że powoli przysypia, kiedy Jasher nagle usiadł. Rozbudzony gwałtownie Jason zaczął nasłuchiwać. Po chwili usłyszał kroki. Brzmiało to, jakby biegła jedna osoba.

Farfalee i Nia nałożyły strzały na cięciwy. Jason chwycił miecz. Jasher nie zaryzykował rozpalenia ognia, ale księżyc jasno świecił tej nocy.

Bieg nie ustawał, stopy uderzały rytmicznie. Zbliżający się nieznajomy najwyraźniej nie próbował się skradać. Kilka minut później ujrzeli Hega.

– Heg? – zapytała z niedowierzaniem Nia.

Drinling przystanął i pomachał.

– Powiedziałem, że spróbuję ruszyć za wami.

Był tylko odrobinę zadyszany.

– Martwiliśmy się, że wszyscy zginęliście – powiedział Jasher. – Sytuacja źle wyglądała.

– Większość zginęła – powiedział Heg. – Uciekłem do wody i odpłynąłem w bezpieczne miejsce. Chyba nikomu innemu się nie udało. Z pewnością nie tym, którzy zostali na lądzie.

– Jak nas znalazłeś? – zdumiał się Jason.

– Poszedłem na północ. Znałem ogólne wytyczne i kilka punktów orientacyjnych. Najwięcej podpowiedzieli mi śledzący was jeźdźcy. Biegłem za nimi. Wygląda na to, że ich misja zakończyła się na tej wodnistej równinie. O ile się nie mylę, paru miało okazję sprawdzić, jak gładka jest ta równina od spodu. Wiedziałem, że się zbliżam, bo żołnierze ze strzałami zginęli niedawno. Tego wieczoru biegłem waszym tropem od końca równiny.

– Miło cię widzieć – powiedział Del, ściskając przedramię dowódcy.

– Z ulgą widzę was w tak dobrym zdrowiu – cieszył się Heg. – Miałem wrażenie, że



całą populację Morza Śródładowego zmobilizowano, żeby was ścigała.

– Trzymaliśmy się z dala od wybrzeża – wyjaśnił Jasher. – Tamci jeźdźcy to był pierwszy poważny problem, jaki napotkaliśmy.

– Mądra decyzja – pochwalił Heg. – Wybrzeże roi się od wroga. Co się stało z Zoo, Tagiem i Fetem?

– Straciliśmy ich podczas ucieczki z Gulby – powiedziała Farfalee. – Zoo zabił torivor. Thag i Fet zginęli z ręki Groddica.

– Groddica?! – wykrzyknął Heg. – Dowódcy werbowników?

– Zapłacił za to życiem – powiedziała Nia.

– A co z torivorem? – zapytał Heg. – Tym, przez którego cały czas nas znajdowali?

– Corinne go zabiła – odpowiedział Jason.

– Nie miał mieczy – wyjaśniła skromnie Corinne. – Wyczuwałam jego umysł, przewidywałam jego ruchy.

– Imponujący wyczyn – pochwalił Heg. Klasnął w dłonie. – Ulżyło mi, że was znalazłem. Nie chciałem przerywać wam snu. Wątpię, żebym przybył dostatecznie wcześnie, by pomóc wam w walce z wrogami. W ciągu ostatnich dni nie widziałem żadnych śladów pościgu. Wydaje się, że na razie znaleźliśmy się poza ich zasięgiem. Jednak bardziej mnie ciekawi, jak to wszystko się zakończy.

– Cieszymy się, że cię tu mamy – powiedziała Farfalee. – Chodź, zjedz z nami.

Jason zasnął, zanim Heg skończył posiłek.

# Rozdział 24

## Zasadzka

Nedwin siedział na dachu i obserwował wschód słońca. Poranne powietrze chłodziło mu skórę. Od zamachu stanu niezależnie od godziny miasto było wyraźnie cichsze. Nikt nie chciał zwracać na siebie uwagi.

Nie wyłączając jego.

Nedwin zajął taką pozycję, żeby nikt z gapiów nie dostrzegł go z ulicy poniżej ani z żadnego sąsiedniego dachu, chyba że ktoś znajdowałby się dokładnie na wschód od niego. Słońce wyglądało zza horyzontu, rzucając długie cienie wśród lasu wież, kopuł, dzwonnicy, wieżyczek, szczytów dachów, gloriety i kominów.

Torba na ramię z pięcioma kulami orantium stała obok niego. Zapasowe dwanaście ukrył w zamku. Większość kul dostarczył kurier-nasiennik wkrótce po koronacji Gallorana. Król Trensicourt zostawił tu większość orantium. Jak na razie Nedwin nie wykorzystał ani jednej kuli.

Nicholas zniknął. Beznogi lord przygotował sobie zawczasu kilka kryjówek poza miastem. Zostawił Nedwinowi paru ludzi, trochę kontaktów, kilka listów polecających i klucze do sekretnych kryjówek i magazynów.

Nollin też zniknął. Nawet po leczeniu nie było pewności, czy nasiennik wydobrzeje. Rana w boku była głęboka. Miał zostać z Nicholasem do chwili, kiedy umrze albo dojdzie do siebie.

Kerick został. Nedwin dysponował teraz siatką składającą się niemal z trzydziestu ludzi, którym ufał. Większość z nich weźmie w taki czy inny sposób udział w dzisiejszej operacji.

Zgodnie z przewidywaniami Nedwina, to Copernum stał za przewrotem. Ustanowił siebie regentem i zajął Trensicourt w imieniu cesarza. Rozgłosił także wieść

o zniszczeniu Gallorana i jego armii. Nedwin wyczuwał, że wielu wątpiło w to kłamstwo, ale nikt nie podważył otwarcie słów nowego regenta. Copernum powitał cesarskich żołnierzy w mieście jako pomoc w zachowaniu porządku w okresie przejściowym. I pozostał w bezpiecznym miejscu – za murami zamku.

Mieszkańcy Trensicourt byli nieszczęśliwi, niektórzy wręcz rozgniewani, ale większość zdolnych stawić opór wymaszerowała już na wojnę. Budzące strach patrole składające się z żołnierzy i olbrzymów krążyły po ulicach. Nieliczni jawni odszczepieńcy szybko zniknęli. Pomimo atmosfery ucisku i niepewności ludzie powrócili do swoich codziennych zajęć, wykonując je głównie w czterech ścianach.

Olbrzymy i większość żołnierzy mieli zakaz wstępu do zamku. Copernum bardzo uważał, kogo tam wpuszcza. Dolan, wielki diuk i paru arystokratów z najbliższego kręgu Copernuma otrzymali zgodę na wstęp na mury zamku wraz z osobistymi strażnikami i dworzanami.

Fakt, że olbrzymów trzymano poza zamkiem, stwarzał okazję. Dzięki Aramowi i Jasonowi, Nedwin wiedział, co się dzieje z olbrzymami po wschodzie słońca, czyli w takiej chwili jak ta. Kurczyli się.

Znalezienie leża, w którym olbrzymy chowały się za dnia, nie było łatwym zadaniem. W dniach po zamachu stanu większość wysiłków skupił na rozwikłaniu tej zagadki. Ostatecznie kluczem okazało się śledzenie wozów z jedzeniem.

Teraz siedział na dachu magazynu, z którego pobierano racje dla sił okupujących miasto. On i pozostali śledzili pary olbrzymów w czasie ich nocnych patroli. Niedługo przed świtem wszystkie olbrzymy wracały do jednego z pięciu głównych garnizonów w mieście.

Początkowo Nedwin zgadywał, że olbrzymy chowają się za dnia w różnych garnizonach, ale nie udało mu się określić dokładnie, który budynek zajmują. Potem zastanowił się nad porannymi dostawami jedzenia. Wozy wjeżdżały do garnizonów, pozostawały niewidoczne w czasie rozładunku i wyjeżdżały tuż po świcie. Wszystkie wracały prosto do centralnego magazynu. I właśnie tam były wyładowywane maleńkie olbrzymy. Nedwin widział to na własne oczy. Olbrzymy spędzały dzień pod jednym dachem, śpiąc i jedząc, a potem wracały do garnizonów wraz z kolejną dostawą jedzenia tuż przed zachodem słońca.

Nawet w małej formie olbrzymy bardzo dużo jadły. Ukrywanie ich w miejscu, gdzie jedzenia było pod dostatkiem i gdzie jak najmniej ludzi mogło poznać ich sekret, miało sens. Logistyka byłaby bardziej skomplikowana w przypadku pięciu kryjówek w pięciu osobnych garnizonach niż przy jednej centralnej lokalizacji.

Oczywiście teraz, kiedy sekret się wydał, trzymanie olbrzymów w jednym miejscu ułatwiało ich eliminację. A przynajmniej taką nadzieję miał Nedwin.

Czuł, że w tej chwili olbrzymy stanowią największe pojedyncze zagrożenie dla Trensicourt. Było ich ponad osiemdziesiąt, więcej niż wcześniej oceniano. Taka liczba

wspierająca co noc cesarskie patrole wystarczała, żeby nawet najodważniejsi rewolucjoniści zastanowili się, czy nie lepiej się przyczać.

Pragnienie zachowania tajemnicy zwiększało szansę na sukces. W magazynie było niewielu ludzkich strażników, a ci nieliczni trzymali się na uboczu. Większość z nich pomagała też przy wozach. Z tego co Nedwin wiedział, tajemnicę znało nie więcej niż dziesięciu strażników, wszyscy byli starszymi stopniem werbownikami. Do magazynu prowadziły tylko dwa wejścia – szerokie drzwi załadunkowe dla wozów i mniejsze na tyłach. Wartownicy pilnowali drzwi od wewnątrz, pewnie po to, żeby nie przyciągać uwagi do budynku.

Duży magazyn miał wysokie, brudne okna. Próby sięgnięcia do nich okazały się nierozsądne – zwieszając się do góry nogami z okapu, byłby zbyt odsłonięty. Dlatego więc w ramach rekonesansu po cichu wyciął dziurę w dachu.

Kiedy słońce podniosło się nad horyzontem, Nedwin pomyślał, że to będzie pierwszy poważny cios przeciwko uzurpatorom, którzy zorganizowali zamach stanu. Utrata olbrzymów udowodni, że okupacja nie jest tak niezachwiana, jak się wydaje. To da innym, którzy chcieli, żeby cesarstwo wyniosło się z Trensicourt, powód do nadziei, powód do działania.

Utrata osiemdziesięciu olbrzymów będzie też zdecydowanym ciosem wymierzonym w Maldora. Ze wszystkich ras Zokara olbrzymy były najrzadszą. W przeszłości pomagały Maldorowi, zapewniając mu wszędzie znaczną przewagę. Nedwin rwał się do tego, żeby przyczynić się do ich zagłady.

Chociaż to będzie jego pierwszy atak, Nedwin dokonał już paru pomniejszych sabotaży. Trzy dni temu, pod koniec poszukiwań legowiska olbrzymów, dostał się do garnizonowej kuchni. Przez chwilę był sam na sam z gotującymi się kotłami gulaszu. Miał liczne trucizny w fiolkach na szyi. Mógłby zabić pewnie z pięćdziesięciu okupujących miasto żołnierzy.

Jednakże trucizna to broń tchórza, a żołnierze byli narzędziami, nie organizatorami. Gdyby miał dostęp do talerza, który trafi do Copernuma, nie wahałby się, czy nie zatruć jedzenia. Inne zasady obowiązywały w ataku przeciwko konkretnemu wrogowi. Otrucie wielkiej grupy żołnierzy byłoby nie tylko niehonorowe, ale i wywołałoby poważne reperkusje w Trensicourt. Tak nieuczciwe zagrywki doprowadziłyby do nieuczciwego odwetu.

Dlatego Nedwin doprawił potrawkę substancją, która wywoła u wszystkich, którzy jej spróbują, poważne zatrucie trwające co najmniej tydzień. Za gorączkę i wymioty będzie się winić popsute mięso, a nie wstydlivy podstęp. Chociaż konsekwencje tego na dłuższą metę nie będą poważne, objawy zatrucia obniżą morale i zmniejszą liczbę patroli.

Jak Copernum i jego wspólnicy zareagują na śmierć olbrzymów? Z pewnością nie będą chcieli ujawnić, że ich ogromni wojownicy zginęli w jednej zasadzce. Pewnie

będą udawali, że ich odesłali. Nedwin podejrzewał, że uwierzą w to tylko najbardziej naiwni żołnierze i obywatele.

W końcu Nedwin usłyszał, że pierwszy wóz wjeżdża ze stukotem do magazynu. Zerknął ze dwa razy ukradkiem, kiedy drugi i trzeci wóz wjechały do środka. Minęło kilka minut, zanim zjawił się czwarty, i znowu chwila, nim nadjechała piąta i ostatnia dostawa miniaturowych olbrzymów.

Drzwi załadunkowe zamknięto, a Nedwin czekał. Nie było powodu, żeby natychmiast rzucić się do ataku. Chciał, żeby olbrzymy poczuły się bezpieczne i by się rozluźniły. Niech coś zjedzą. Niech się uspokoją. Większość położy się spać, wartownicy przygotowują się na kolejny nudny rutynowy dzień. Nie licząc zepsutego mięsa kilka dni temu, odkąd Copernum przejął władzę, w mieście panował spokój. Nie ma powodu, żeby ktokolwiek spodziewał się zmiany w tym dniu, zwłaszcza w tajnym dormitorium.

Słońce wspięło się wyżej, skracając długie cienie. Nedwin się przeciągnął. Zbyt długi bezruch sprawił, że czuł się nieco spięty. Poruszał szyją, wyciągnął ręce, rozluźnił palce.

Przykucnął. Nie było powodu do pośpiechu. Absolutna cisza była jego celem i ten cel osiągnął.

Ostatniej nocy, gdy zrobiło się późno, olbrzymy były na patrolu, a w magazynie panował bezruch, Nedwin przygotował klapę w dachu i wzniosł nad nią mały namiocik. Dzięki niemu słońce nie wpadnie do środka, gdy Nedwin otworzy klapę. Nawet jeśli natychmiast zostanie zauważony, plan nadal powinien wypalić. Jednak byłoby lepiej, gdyby całkowicie ich zaskoczył.

Otworzywszy klapę, Nedwin zszedł po krokwiach. Wiedział, że w każdej chwili mogą go zauważyć. Ruch zwykle przyciąga wzrok, a pod nimi znajdowało się wiele ciał. Większość z nich to były śpiące karły, ale kilku leżało na plecach. Wystarczy jedna para oczu.

Balansował wysoko w cieniściej kątce, gdzie krzyżowały się belki dachowe. Obserwował postaci poniżej najlepiej jak mógł, pozostając w bezruchu, dopóki nie upewnił się, że żadne spojrzenia nie kierują się w jego stronę. Cał po calu dotarł na upatrzoną grzędę. Nikt nie podniósł alarmu.

Pod nim czterech wartowników zebrało się w pobliżu wielkich drzwi koło wozów. Dwóch innych pilnowało mniejszych drzwi na tyłach. Trzy czwarte karłów spało albo przynajmniej próbowało. Inni przeważnie rozmawiali. Dwóch o czerwonych twarzach siłowało się przy kwadratowym stole. Jeden coś strugał. Jeden chrupał jabłko. Jeden czytał.

Nedwin trzymał kule orantium w obu rękach. Pierwszy rzut był najtrudniejszy. Chciał, by kula załatwiła wszystkich czterech strażników, jednocześnie uszkadzając drzwi na tyle, żeby atakujący mogli je otworzyć. To był daleki rzut. Para przy tylnych

drzwiach znajdowała się bliżej.

Odliczywszy w myślach, Nedwin cisnął kulę w stronę drzwi załadunkowych, obrócił się i cisnął drugą w wartowników przy tylnym wyjściu. Ponieważ pierwsza kula musiała dolecieć dalej, obie wybuchły jednocześnie. Eksplozja rozległa się głośnym echem w wielkiej, zamkniętej przestrzeni. Nedwin zauważył, że małe olbrzymy zrywają się zaskoczone.

Następne dwie kule przeznaczył dla maluchów. Były na tyle uprzejme, żeby kłaść się jeden obok drugiego, więc dwie kule znacząco się przyczynią do wyplenieni olbrzymów w Trensicourt. Rzucił je i patrzył, jak lecą po łuku w dół. Zakrył uszy.

W chmurze dymu Kerick wprowadził grupę wojowników przez tylne drzwi. Gorson, najlepszy z ludzi, jakich Nicholas zostawił w mieście, poprowadził większą grupę przez drzwi załadunkowe.

Karły nie miały szansy. Nie były ubrane do walki. Większość nie miała pod ręką żadnej broni. Niektóre próbowały walczyć. Inne rozbiegły się, starając się ukryć. Większość była przestraszona i zaszokowana.

Nedwin trzymał przygotowaną piątą kulę orantium, ale nie miał okazji jej wykorzystać. Nierówna walka szybko się skończyła. Dwóch z jego sprzymierzeńców było rannych, jeden zginął. Kerick okazał się najskuteczniejszy, zabił co najmniej dziesięciu wrogów. Nedwin zastanawiał się, czy jakikolwiek człowiek zabił kiedyś tyle olbrzymów w tak krótkim czasie.

Wychodząc, mężczyźni rozlali olej z lamp i podpalili magazyn. To był znak dla Nedwina, żeby wracać na dach. Jego ludzie rozdzielią się i rozejdą ustalonymi wcześniej trasami. Paru zostanie na tyle blisko, żeby dopilnować, by żaden wróg nie spróbował uciec.

Nedwin jak zwykle zniknie ukradkiem posługując się dachami jak gościńcem. Musiał wyjść z tego bez szwanku. Miał jeszcze inne zadanie do wykonania.

# Rozdział 25

## Decyzja

Rachel wędrowała w słońcu po murach Wschodniego Fortu, patrząc na Felrook, ostateczny cel, który przysiadł na najwyższym wzniesieniu w dolinie. Nawet gdyby budzący grozę zamek nie znajdował się na takim wysoko położonym terenie, przy jego wysokich murach i strzelistych wieżach mniejsze forty wokół jeziora Fellion robiłyby wrażenie karłowatych.

Jak dotąd główna twierdza Maldora pozostawała niezdobyta, tak jak obawiali się najgłośniejsi sceptycy. Spoczywała na potężnych skalnych filarach pośrodku głębokiego jeziora i nikt nie zbliżył się do niej na tyle, żeby znaleźć rozsądny sposób przypuszczenia ataku.

A armie ze wschodu nadciągały.

Dowódcy wojskowi robili, co mogli, żeby się przygotować. Wschodni Fort był w doskonałym stanie. Ferrin pomógł im zdobyć go niemal nieuszkodzony. Bramy były nietknięte, katapulty i balisty nadal działały, wewnętrzne budynki nie zostały spalone ani zbombardowane.

Brin wypełniał ludziom czas poważnymi pracami. W innych fortach drużyny odgrodziły murami zniszczone bramy. Przygotowano okopy wokół fortów i miasteczka przy promie. Założono pułapki na trasach, którymi najpewniej nadejdą wojska wroga. Dorabiano brzechwy do strzał i zbierano kamienie, żeby mieć co zrzucić z murów.

Upewniwszy się, że forty zostały obsadzone, Galloran odesłał część sił, żeby przygotowały do swoich celów ruiny na północnym krańcu doliny, znajdujące się na wyżej położonych terenach. Ustawił wojska tak, żeby mogły się bronić przed nieuchronnym atakiem ze wschodu i możliwym równoczesnym atakiem ze strony żołnierzy, którzy obecnie zajmowali przełęcze.

Rachel nie mogła nie zauważyć, że przygotowania skupiały się głównie na przeciwstawieniu się nadchodzącym armiom, a nie na zdobyciu Felrook. Oczywiście nie żywiła do nikogo o to pretensji. Sama nie miała lepszego pomysłu. Wysłali zwiadowców, żeby zbadali ewentualne słabości. Ci, którym udało się wrócić, nie mieli dobrych wieści.

Dowódcy wojskowi przygotowywali się do tej części kampanii, którą rozumieli – jak zginąć w walce, kiedy zjawią się nadchodzące wojska. Żaden z nich nie miał pojęcia, jak choćby ponaprzykrzać się Felrook. Z każdym mijającym dniem wydawało się mniej prawdopodobne, że w ostatniej chwili wiadomość od Jasona zdoła cokolwiek zmienić.

Patrząc na nieprzejezdne cielsko wysokiej twierdzy, Rachel nie mogła nic poradzić na to, że znowu pogrąża się we wszystkich starych wątpliwościach. Usiłowała zlekceważyć zastrzeżenia dotyczące proroctwa. Starła się ignorować fakt, że ich misja wydawała się coraz bardziej niewykonalna. Próbowwała zaczerpnąć nieco wiary od innych, wesprzeć się na ich ocenie, mimo że wszystko przemawiało przeciwko nim. I oto proszę, wylądowali tutaj bez sensownej strategii i czekają na śmierć.

Jak długo powinna żywić nadzieję? Do chwili, gdy armie wroga pojawią się na horyzoncie? Aż jej przyjaciele polegną? Aż sama umrze?

Nie zostało już wiele do zrobienia. Nie było już żołnierzy do zwerbowania, dróg do przebycia, wstępnych wyzwań, które odciągałyby ich uwagę od ostatecznego celu. Dotarli do końca drogi, a zwycięstwo pozostało tak samo nierealne, jak wcześniej.

Rachel pochyliła głowę. A jeżeli teraz wszystko zależy tylko od niej? Jeśli rzecz ma polegać na tym, żeby dostarczyć ją do Felrook z armią gotową wykorzystać okazję, jaką dla nich stworzy? Była jedyną osobą, którą zaproszono do twierdzy. A gdyby przyjęła propozycję, a potem znalazła sposób, żeby otworzyć drogę dla Gallorana i pozostałych?

A może po prostu się bała? Chciała ukryć się w Felrook, żeby nie dać się zabić przez nadchodzące wojska? Chciała poprosić o „chwilę przerwy” i spróbować uratować siebie i swoich przyjaciół, nim wojna zacznie się naprawdę?

Gdyby zapewniła przyjaciołom nietykalność, część by z tego nie skorzystała. Niektórzy jednak mogliby ustąpić, gdy nadejdą wojska i sprawa okaże się przegrana.

Rachel spojrzała na Felrook, próbując wyobrazić sobie przybywającego tam Maldora, starając się wyobrazić sobie czatowników. Co dobrego mogła działać tu, na zewnątrz? Gdyby weszła do środka, mogłaby chociaż podjąć jakieś działania. Tutaj mogła siedzieć w bezruchu, posługiwać się edomickim, żeby chronić przyjaciół, kiedy nadejdą siły wroga, a potem umrzeć.

Chyba że Jason ujawniłby nagle jakąś ukrytą ścieżkę do zwycięstwa. Może jakąś sekretną słabość Felrook? Czy to naprawdę możliwe? Czy to realne? I gdyby do tego doszło, to czy nie łatwiej byłoby wykorzystać tę słabość, gdyby Rachel znajdowała się



w Felrook?

Jej edomicki stawał się coraz potężniejszy. Upadek Zachodniego Fortu stanowi na to dowód. A nawet nie przekroczyła swoich ograniczeń. Nie do końca. Nie straciła przytomności, jak podczas ataku zombie. Jeśli jednak będzie tu siedziała, być może zmarnuje szansę, by rzeczywiście pomóc przyjaciołom.

Nikt nie poprosiłby, żeby przyjęła zaproszenie Maldora, szpiegowała go i spróbowała zaszkodzić Felrook od środka. Galloran zdecydowanie za bardzo ją chronił. Jeśli zamierzała zaangażować się w pomoc w taki sposób, będzie musiała sama podjąć działania.

W jaki sposób mogła dostać się do Felrook? Musiałaby ukraść łódź albo coś w tym stylu. Nikt nie pozwoli jej opuścić Wschodniego Fortu bez eskorty. Jakie miała pojęcie o pływaniu łódką? Nigdy w życiu nie dotrze sama do Felrook. Jeśli Maldor naprawdę chce ją mieć, to musi sam po nią przyjść.

Rachel zsunęła ochronny amulet. Naprawdę to robiła? Zostało już tylko kilka dni. Jeżeli chciała czegoś dokonać po przybyciu do twierdzy, musiała się zdecydować – teraz albo nigdy.

Zamknęła oczy i posłała swoje myśli, popychając mentalną energię w kierunku Felrook.

*Maldor? Jest tam kto?*

Nie wyczuła odpowiedzi.

*Nie jestem pewna, czy ktokolwiek mnie słyszy. Przyjmę propozycję nauki u ciebie, ale musisz mnie zabrać do Felrook. Nie mam jak dotrzeć do twojej twierdzy. Jestem w forcie na wschód od ciebie. Pomóż mi się wydostać, to przyjdę.*

Rachel otworzyła oczy. Felrook wyglądało tak samo. Włożyła w przesłanie wielką wolę, ale nie wyczuła odpowiedzi. Założyła na szyję amulet. Powinna spróbować nad jeziorem? Może znajdowała się za daleko od fortecy? Czy to możliwe, że została usłyszana, nawet jeśli nie spostrzegła odpowiedzi?

Ferrin ją zaskoczył, odzywając się za jej plecami:

– Gdybyś mogła zburzyć te mury wzrokiem, to Maldor już byłby bezdomny.

Rachel aż podskoczyła, zaskoczona jego obecnością. Odwróciła się i spróbowała się uśmiechnąć, mając nadzieję, że sprawia wrażenie mniej roztrzęsionej niż się czuła. Jak długo tam stał? Widział, jak zakłada z powrotem amulet?

– Twierdza jest taka wielka.

– Nie chciałem cię przestraszyć.

– Sama doprowadziłam do tego, że mam nerwy jak postronki. Cały czas próbuję dostrzec coś, co inni mogli przegapić. Gdyby zdołali doprowadzić mnie bliżej, mogłabym przynajmniej cisnąć w nią resztkami naszego orantium.

– To jakbyśmy prosili parę komarów, żeby pożarły byka – powiedział Ferrin. – Moglibyśmy wywołać jakieś powierzchowne szkody za pomocą orantium, które nam

zostało. Moglibyśmy zniszczyć bramy, ale oni zawaliliby ścieżkę prowadzącą do wejścia i do zamku nie mógłby dotrzeć nikt oprócz wspinaczy. Moglibyśmy roztrzaskać parę blanków. Ale po co? Niewielu wrogów straciłoby życie, mury by naprawiono. Lepiej wykorzystać orantium do obrony. Przeciwnik powinien słono zapłacić za nasze życie.

– Myślisz, że do tego dojdzie? Ostatni bój na śmierć i życie?

– Nikt z nas tego nie chce. Chociaż zjawiliśmy się tu świadomi tego, że pewnie zawiedziemy, jakaś naiwna część nas samych uparcie marzy o zwycięstwie. Jednak nadeszła godzina, kiedy tylko cud może nas ocalić. Wysłano mnie po ciebie. Galloran chce się naradzić.

– Ze mną? – zdziwiła się Rachel.

– Z tymi wszystkimi, którzy wyruszyli z Mianamon.

– Są jakieś wieści?

Ferrin pokiwał głową.

– Żadna nie jest dobra, z tego co rozumiem.

Rachel zasłoniła twarz woalką.

– Kto zginął?

Ferrin wziął ją za rękę.

– Nikt, o ile nam wiadomo. Po prostu czas ucieka. Chodź.

Rozsadnik sprowadził ją z murów przez tętniący życiem dziedziniec do cytadeli. Rachel zaczynała przywykać do tego, że gapiono się na nią, gdziekolwiek się pojawiła. Odkryła, że jeśli nie chce zwracać na siebie uwagi, nie powinna się ubierać jak tajemnicza żałobniczka ani popisywać się magicznymi umiejętnościami na oczach tysięcy świadków. Wspięli się z Ferrinem po schodach prowadzących do wyższej sali. Sześciu wartowników stało na baczność przed ciężkimi drzwiami – dwóch ludzi, dwóch drinlingów i dwóch nasienników.

Wewnątrz zastała Gallorana, Io i Tarka. Odkąd Nedwin i nasiennicy zostali w Trensicourt, tylko pięcioro towarzyszy zostało z tych, którzy razem wyruszyli. Sprawiali wrażenie garstki w tej długiej, przestronnej sali. W wielkim kominku buzował ogień. Z powodu grubych kamiennych ścian w fortecy panował wieczny chłód. Ciężkie drzwi zamknęły się z hukiem.

Galloran w tej chwili nie nosił przepaski, ale trzymał ją w ręce. Wstał i powitał ich, zaproponował, żeby usiedli, a potem zasłonił oczy.

– Mieliliśmy mało czasu na rozmowy na osobności, odkąd wyruszyliśmy na wojnę – zaczął. – Ponieważ nadchodzi koniec, chcę naradzić się z wami bez presji ze strony nieznajomych. Pozwólcie, że przedstawię nasze trudne położenie tak jak je widzę, a potem mówcie otwarcie, co o tym myślicie.

– Dobrze – powiedziała Rachel.

Pozostali skinęli głowami.

– Nasi zwiadowcy obserwowali wschód. Wojska Maldora zjawiają się za niecałe trzy dni, a ich liczebność jest właściwie nie do ogarnięcia. O ile coś się nie zmieni, niezależnie od taktyki, jaką wykorzystamy, zaleją nas swoją masą i zniszczą. Możemy nawet nie mieć okazji zmusić ich do wypróbowania naszych najlepszych obron. Jeśli zechcą, mogą po prostu zmieść nasze siły poza fortami, a potem zacząć nas oblegać. Po co atakować mury, kiedy mają cały czas potrzebny, by wziąć nas głodem? Oczywiście, jeżeli Maldor zapragnie zniszczyć nas szybciej, nadal mogą wybrać bardziej krwawe rozwiązanie.

– Możemy uciec? – zapytał Ferrin. – Rozważał pan inne drogi niż przełęcz?

– Istnieją pomniejsze ścieżki prowadzące przez góry – powiedział Galloran. – Bez wątplenia znasz niektóre z nich, mniej znane szlaki, nie prawdziwe drogi. Moglibyśmy uciec na zachodnie pustkowia i pozwolić wrogowi na nas polować. Niektórzy z najlepszych zwiadowców mogą się przebić, ale większość naszych sił zginie w chaotycznej rzezi.

– Czy to nie przekreśli proroctwa? – spytała Rachel. – Jeśli uciekniemy?

– Możliwe – powiedział Galloran. – Zniszczenie Felrook było naszym celem. Niezależnie od tego, czy będziemy walczyć z nadchodzącymi armiami, czy nie, wydaje się, że bez ataku na Felrook odwrócilibyśmy się od przepowiedni. Ferrin, masz pojęcie, jak blisko może być swojego celu Jason?

– Cały czas trzyma ucho dobrze zawinięte – odpowiedział Ferrin. – Nie można zrozumieć, co mówią. Słyszę tylko słabe odgłosy, wiem, że przez kilka dni jechali konno. Pewnych odgłosów podróży nie da się z niczym pomylić. Teraz jednak idą pieszo. Co ta zmiana oznacza, nie potrafię powiedzieć.

– To może znaczyć, że są blisko – powiedziała Rachel.

– Może też znaczyć, że wpakowali się w kłopoty i musieli porzucić konie – odparł Ferrin. – Wierzę jednak, że nadal żyją i są wolni.

– Żałuję, że nie możemy dać im sygnału. – Galloran westchnął. – Brak potyczek po drodze sprowadził nas do Felrook szybciej niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Nie jestem pewien, czy zdają sobie sprawę, jak nagli nas czas.

– Jakież postępy w rozgryzieniu Felrook? – zapytał Ferrin.

– Żadnych. Od początku wyglądało to na problem nie do rozwiązania. Nic się nie zmieniło. Najwyraźniej nie mamy żadnego pomysłu.

– Nie powinniśmy mimo to spróbować? – upewniła się Rachel. – Skoro nie ma szans na ucieczkę, czy stanięcie do walki, to równie dobrze możemy zginąć, atakując Felrook. To będzie najbliższe tego, czego oczekiwano od nas w proroctwie. Kto wie? Skoro myślą, że nie możemy wygrać, to może nawet nie zniszczą ścieżki do bramy. Odbudowa jej byłaby naprawdę męcząca. Mamy orantium. Mamy twardych wojowników. Może część z nas dostałaby się do środka. Może jakiś wojownik dotarłby aż do Maldora.

– Byłby to daremny akt desperacji – powiedział Galloran. – Wolałbym jednak to od przeklętej beczynności albo rzezi, jaka towarzyszyłaby chaotycznemu odwrotowi.

– Kiedy zaczniemy taki atak? – zapytał Ferrin.

– Powinniśmy dać Jasonowi każdą dostępną minutę na dostarczenie lepszego rozwiązania – odpowiedział Galloran. – Jeżeli mamy zaatakować Felrook ślełą wiarą, to mówię, żebyśmy poczekali do ostatniego dnia przed przybyciem wojsk. Albo przebijemy się przez mury szybko, albo wcale.

Ferrin potarł oczy.

– Żadna z tych możliwości nie budzi we mnie nadziei. To czyste szaleństwo.

– Zgadzam się całym sercem – przyznał Galloran. – Rachel, nadal możemy zaatakować bramę do Poza i odesłać cię do domu.

Rachel westchnęła.

– Pewnie i tak nie dotarłabym do domu. Nie tak naprawdę. Upływ czasu między naszymi światami jest całkiem różny. Wyrocznia podała mi dokładną datę, kiedy będę mogła wrócić najbliżej mojego własnego czasu. Odliczałam dni od tego momentu. Nadal zostały mi tu ponad cztery lata.

– Wolisz raczej umrzeć niż zaryzykować wylądowanie w niewłaściwym czasie? – zapytał wprost Galloran.

– Nie wiem. Przede wszystkim chcę wrócić do domu, do moich rodziców. Nie jestem pewna, czy chcę żyć w innym czasie w moim świecie. Jest mnóstwo epok, w których życie dla dziewczyny takiej jak ja byłoby koszmarem. Czy możemy posłużyć się tą opcją jako ostatnią deską ratunku? Jeśli wszystko inne zawiedzie, może wszyscy moglibyśmy wycofać się do bramy i uciec do mojego świata.

– Musielibyśmy to wcześniej zaplanować – powiedział Ferrin. – Maldor nie dopuści nas w pobliże przejścia, kiedy już będzie miał dość żołnierzy, żeby nam to uniemożliwić. Musielibyśmy pójść tam, zanim zjawią się wschodnie armie.

– Być może należałoby to... – Galloran przerwał, przechylając głowę. Ściągnął przepaskę z oczu. – Wyczuwam czatowników.

Odkąd dotarli do Felrook, przestał nosić amulet, który dał mu Drake do osłaniania umysłu. Uznał, że woli być świadom obecności czatowników niż próbować się przed nimi ukryć.

– Bliżej niż zwykle. Więcej niż jednego. Zbliżają się szybko. – Wstał i rozejrzał się. – Wydaje się, że są...

Szyby w górnych oknach po obu stronach sali roztrzaskały się i podobne do zjaw postaci z mieczami wpadły do środka. Dwie śmignęły do potężnych drzwi na końcu sali, żeby zablokować wejście. Trzy pozostałe otoczyły zebranych. Cała piątka trzymała po dwa miecze.

Rachel przeszedł dreszcz. Co się działo? Czy to ona do tego doprowadziła? Po co aż tylu czatowników? Po co te wszystkie miecze?

– To niesłychane – powiedział Ferrin, wstając i wyciągając swój torivorański miecz.  
– Po jednym na każdego z nas? – warknął Tark.  
– Nie – powiedział Galloran. Ostrze zadźwięczało, gdy wyciągnął je z pochwy. – Wyczuwam ich zamiary. Przyszli po Rachel. Zrobią wszystko, żeby nam ją zabrać. Jeśli będzie trzeba, trzech zajmie się mną.

– Nie, dopóki ja mam tu coś do powiedzenia – oznajmił Io.

Podnosząc pustą dłoń, ruszył w stronę torivora. Ciemna postać rzuciła mu ostrze.

– Nie! – wrzasnęła Rachel. – Nie walczcie z nimi!

Nie tego chciała. Wyobraziła sobie, że jakiś agent Maldora pomoże jej wymknąć się ze Wschodniego Fortu samotnie, nocą.

Nie zważając na jej słowa, Io zaatakował. Czatownik odpowiedział z gracją. Ostrza zadzwoniły pięć razy, zanim Io został dźgnięty i jeszcze raz, nim torivor go zabił.

Rachel jęknęła. Nie mogła oddychać. Umysł miała jak zmrożony. Wnętrznosci zacisnęły jej się w supły.

Torivorowie poruszali się z płynną gracją, nieśpiesznie, lecz w sposób przemyślany. Dwaj spod drzwi ruszyli naprzód. Dołączył do nich jeszcze jeden i we trzech ustawili się w idealnym trójkącie wokół Gallorana, zwrócenie do niego, trzymając pionowo miecze. Kolejny czatownik podszedł do Ferrina, podczas gdy ten, który zabił Io, zbliżył się do Rachel.

Tark przesunął się, żeby stanąć przed Rachel. Trzymał nóż w gotowości. Kiedy się pochylił, położyła rękę na jego mocnym ramieniu. Niezależnie od tego, jak bardzo przerażona i zawstydzona się czuła, nie mogła pozwolić, żeby to trwało choć minutę dłużej, bo wtedy wszyscy jej przyjaciele zginą.

– Nie, Tark – wykrztusiła, z ulgą słysząc, że jej głos nie drży. – Poczekaj.

Żaden z czatowników nie rzucił miecza, żeby rozpocząć pojedynek. Rachel zdjęła amulet z szyi.

*Czemu aż tylu?* – zapytała najbliższego czatownika.

*Pragniesz dostać się do Felrook. Pięciu wysłano pięciu przyszło.*

*Nie róbcie tego – poprosiła. Nie krzywdźcie ich.*

*Tylko ty możesz zapobiec rozlewowi krwi – poinformował ją czatownik. Będziemy walczyć, jeśli napotkamy opór. Każ swoim strażnikom się wycofać.*

Rachel spojrzała na Gallorana. Za wszelką cenę pragnęła ukryć fakt, że wezwała tych czatowników. Czy słyszał jej rozmowę z nimi? Czy puści ją bez słowa wyjaśnienia? Nie mogła pozwolić sobie na czekanie. Jeśli się zawaha, jej przyjaciele zginą.

*Nie – ostrzegł ją Galloran. Nie ulegaj. To wymuszenie. Chce ciebie. To wtargnięcie znaczy, że Maldor jest zdesperowany. Jason musi być blisko celu.*

Własne myśli wydały jej się odsłonięte, nagie i oczywiste. Ile wiedział?

*To ja ich wezwałam – przekazała. Poprosiłam Maldora, żeby zabrał mnie do siebie.*

Czy mogła wyjaśnić, że zamierza zdradzić cesarza? Czy czatownicy ją podsłuchają? Czy słuchają nawet teraz?

*Rachel* – przesłał Galloran, i w tym jednym słowie wyraził całą rozpacz.

Emocje, jakie za nim wyczuła, sprawiły, że całkiem się pogubiła. Król sprawiał wrażenie pokonanego.

*Chciałam pomóc* – spróbowała Rachel. *Wygląda na to, że utknęliśmy w martwym punkcie.*

– Zrobiło się naprawdę cicho – powiedział Ferrin. Odsuwał się od czatownika, który stanął przed nim. – Czy trwają właśnie bezgłośnie negocjacje? Zakładam, że chcą Rachel.

– Jest gotowa pójść z nimi – oznajmił Galloran. – Nie musisz tego robić, Rachel. Staniemy za tobą murem.

– Nie oszukuj się, Rachel – wtrącił Ferrin. – On cię zniszczy. Nie idź z naszego powodu. Nie martw się o mnie.

Zaatakował czatownika.

– Nie! – krzyknęła Rachel.

Czatownik bronił się tylko jednym mieczem. Ostrza zamieniły się w rozmazaną plamę. Dźwięczały. Atak Ferrina był tak zacięty, że przez kilka pierwszych chwil wydawało się, że walka jest niemal wyrównana. A potem Ferrin zaczął robić uniki, przechodząc całkowicie do obrony. Wreszcie czatownik przeciął go w pasie.

Ferrin nadal machał mieczem, zmuszając czatownika do przykucnięcia i dalszej obrony. Nogi Ferrina przeniosły dolną część ciała w stronę górnej. Po kilku następnych cięciach czatownik obciął Ferrinowi głowę. Pozbawiony głowy tors nadal walczył. Atakując ostrzej, czatownik odciął Ferrinowi rękę od miecza.

– *Przestań!* – wrzasnęła Rachel na głos i w myślach. *Przestańcie, to pójde z wami. Nie rób mu krzywdy! Nie zabijajcie ich, bo zostaną!*

Nadal trzymając dwa miecze, czatownik odsunął się od Ferrina.

– Nie, Rachel – prosił Ferrin, umieszczając głowę na miejscu. – Odwołaj to. – Sięgnął po rękę.

– Pójde – powtórzyła cicho Rachel, patrząc na najbliższego czatownika. – Zostawcie ich w spokoju, to pójde.

Torivor, który zabił Io, wyszedł naprzód. Tark stanął mu na drodze.

– Przysięgłem cię chronić.

– Dokonałam wyboru, Tark – twardo odpowiedziała Rachel. – To koniec. Chroń Gallorana. Służ mu dobrze.

Czatownik obszedł Tarka i bez wysiłku przerzucił sobie Rachel przez ramię. Bił od niego chłód. Starła się nie dotykać go rękami.

*Bądź silna* – przekazał Galloran z determinacją właściwą słowom pożegnania. *Nie pozwól, żeby stał się twoim panem.*

Czatownicy pobiegli do okien. Torivor z Rachel skoczył, a potem wspiał się po ścianie jak pająk. Jej waga najwyraźniej nie sprawiała mu najmniejszego kłopotu.

*Zrobię, co w mojej mocy – odpowiedziała Rachel. Przepraszam, nie wiedziałam, że zjawią się w taki sposób. Wygrajcie!*

Czatownik wyniósł Rachel przez okno, zbiegł po murze i przebiegł przez dziedziniec z nieludzką szybkością. Zdumione twarze rozmazywały się. Jej czatownik przeskoczył połowę schodów, potem wskoczył na dach, na zewnętrzne mury i zręcznie się po nich wspiał. Kiedy już znaleźli się poza fortem, czatownik przerodził się z jej osobistej kolejki górskiej w samochód wyścigowy. Wiatr smagał ją, kiedy pędzili do jeziora. Tylko odrobinę się zdziwiła, że woda ich nie spowolniła.

# Rozdział 26

## Wąska Droga

Było dobrze po południu, gdy wrzątek trysnął z Parzących Jaskiń. Najpierw Jason usłyszał mokre syczenie, potem plusk, który przypominał mu nadmorską jaskinię Jugarda. Spieniona woda zaczęła sączyć się z nieregularnej szczeliny wzdłuż miejsca, gdzie skalisty stok przechodził w pionowe urwisko. Strumień gotującej się wody przybrał na sile, najpierw tryskając, potem waląc z wściekłością z ukośnego gejzeru.

Po może dziesięciu minutach parujący potok zaczął słabnąć, uspokajać się. Po kilku minutach syczenie i bulgotanie przycichło, aż wreszcie w jaskini zapanował spokój. Ze wspaniałej erupcji zostało tylko trochę wilgoci błyszczącej na kamienistym zboczu, wąskie pasmo przy samej jaskini, które rozszerzało się do miejsca, gdzie stok znikał w sporym jeziorze.

– Wchodzimy tam? – zapytała z niedowierzaniem Nia.

– Teraz jest najbezpieczniejsza chwila – powiedziała Farfalee. – Instrukcje wyraźnie mówią, że najlepszy moment do wejścia to zaraz po wybuchu.

Czekali na to wiele godzin. Farfalee i Jasher wyjaśnili już wcześniej, że będą musieli bardzo szybko przejść przez Parzące Jaskinie. Wytyczne opisywały każdy zakręt na trasie i podkreślały, że w kilku miejscach po drodze może dojść do dodatkowych erupcji. Czas, w którym wrzątek znowu zaleje jaskinie, zmieniał się, więc najlepiej było nie pomylić drogi i iść szybkim krokiem.

Wejście do jaskini znajdowało się w ścianie budzącego grozę urwiska, które zagradzało dojście do stromych gór za nim. Jeśli dotrą na drugi koniec jaskiń, powinni wyjść do wysokiego, wąskiego jaru, który zaprowadzi ich do Dariana.

Czekali na wybuch niedaleko wejścia. Jasher szedł pierwszy, a za nim jego żona. Del i Heg zamykali pochód. Jasher niósł świecący wodorost, tak samo jak Nia, Jason



i Heg.

Na początku korytarz w jaskini był stromy i ciasny. Kropelki wilgoci przywarły do ciepłych ścian, a ciężki odór siarki sprawił, że Jason zmarszczył nos. Kiedy schodzili długą, wijącą się pochyłością, Jason zauważył, że w przeciwieństwie do innych jaskiń, do których wchodził, im bardziej się zagłębiał, tym powietrze stawało się cieplejsze.

W wielu miejscach musiał się pochylać albo iść bokiem. Gdzie to było możliwe, zapierał się rękami o mokre ściany, żeby się nie poślizgnąć. Nie mógł pozbyć się myśli, że jeśli jaskinia wkrótce wybuchnie, zginą niczym mrówki badające wnętrze węża strażackiego.

Wreszcie pochyłość nieco zmalała. Niestety, droga do przodu stała się ciasniejsza. Teraz szli na czworakach, mając przed sobą coraz bardziej zwężającą się ścieżkę. W końcu ciasne przejście doprowadziło ich do niskiej komory z paroma odchodzącymi na boki tunelami, a każdy z nich był mniejszy, niż Jason by sobie tego życzył.

Po pośpiesznej naradzie Jasher i Farfalee położyli się na brzuchach i ześlizgnęli do wąskiego tunelu. Jason wszedł za Corinne, patrząc na podeszwy jej butów, kiedy pełzył do przodu. Starał się nie myśleć o tym, że ktoś przed nim lub za nim utknie i uwięzi go, a potem zmyje ich następna wrząca erupcja. Starał się nie rozważać, co go najpierw zabije: żar czy brak powietrza.

Denerwował się przed każdym kolejnym zakrętem. Więcej niż raz, kiedy wyginał ciało, żeby skręcić, ogarniała go panika, że zaraz utknie. Nie tracił jednak energii na narzekanie. Pełzył naprzód. Parne powietrze tak mocno pachniało minerałami, że niemal czuł piasek zgrzytający w zębach.

Po pewnym czasie znów mogli iść na czworakach, a potem wreszcie się wyprostować. Droga znowu poprowadziła ich nieco w dół, zakręcając tyle razy, że Jason całkiem stracił orientację. Jaskinia nadal była ciasna i często musieli iść bokiem. Gdyby Aram był duży, Jason wątpił, czy zdołałby precyzyjnie się przemieszczać przez niektóre z tych ciasnych przestrzeni.

Powietrze stawało się coraz gorętsze. Zupełnie jakby wspinali się w podziemnej saunie. Minęli zagłębienie, z którego buchała gorąca para. Droga opadła. Z opadających stromo odgałęzień tuneli dobiegały syk wody i bulgotanie. Usłyszeli to wszyscy i bez słowa przyspieszyli kroku.

Po kilku kolejnych zakrętach i odgałęziających się tunelach smród siarki tak przybrał na sile, że Jason zaczął się dławić. Powietrze było coraz bardziej parne. Mimo rąk przyciśniętych do twarzy gryzący odór zostawił mu w gardle posmak szlamu.

Nagle weszli do olbrzymiej jaskini. Półka skalna obiegała jedną stronę komory. Nie było dna, a zamiast niego gęsty, ciemny staw gotował się złowieszczo, bekając dużymi bąblami i trującymi oparami.

– Nareszcie właściwa jaskinia – powiedział Heg. – Zaczynałem się zastanawiać, czy te wątle tuneliki nie powinny zostać przemianowane na Parzące Królicze Norki.

– Ta komora to dowód, że idziemy we właściwym kierunku! – odkrzyknęła Farfalee.  
– Trzymajcie się nas.

Jason przesuwiał się cal za cal na półkę w ślad za Corinne. Parzące powietrze piekło go w oczy, od pary zamglili mu się wzrok. Starał się oddychać przez rękaw, żeby chociaż trochę uchronić się od duszących oparów. Wąska półka była śliska od oleistej wilgoci, więc każdy krok był ryzykowny. Szedł ostrożnie, raczej przesuwając stopy niż je stawiając. Upadek oznaczałby pewną śmierć.

Na drugim końcu półki wszedł za Corinne do szczeliny w ścianie. Zapiierając się o ściany szpary, musiał wspiąć się w górę jakieś dwadzieścia stóp, zanim dotarł do miejsca, gdzie tunel ciągnął się dalej.

Kiedy już piekielna jaskinia znalazła się za nimi, znowu przyśpieszyli kroku. Jasonowi ulżyło, gdy poczuł, że powietrze jest odrobinę świeższe.

– Można ciut odetchnąć – powiedział.

– Co za rozkosz – odparła Corinne.

– Gdyby powietrze zgęstniało choć jeszcze odrobinę, zamieniłoby się w litą skałę.

To wywołało parsknięcie śmiechem.

Teraz ich ścieżka prowadziła pod górę. Była też nieco szersza. Z góry dobiegało głośnie bulgotanie i chlupot. Jasher zaczął biec i pozostali także przyśpieszyli. Zlany tłustym potem Jason dyszał płytko. Pękała mu głowa.

Dotarli do miejsca, gdzie korytarz się rozdzielał na dwa. Odgłos napływającej wody dobiegał z lewego.

Jasher skręcił w prawo.

Za nimi plusk zamienił się w porywisty ryk.

– Szybciej! – krzyknął Del.

Teraz już gnali przed siebie. Jaskinia była coraz węższa, więc Jason obijał się o ściany i ocierał sobie ramiona. Łapał się nierównych ścian i podciągał, gdzie się dało, żeby nie tracić rozpędu. Mięśnie nóg płonęły mu żywym ogniem, ostra kolka świdrowała go w boku. Ryk wody narastał, aż stał się wściekły. Owionęła go wilgotna i gorąca wichura. W każdej chwili spodziewał się fali wrzątku.

Wąska jaskinia poszerzyła się i zamieniła w przestronną pieczarę. Mimo protestu mięśni nóg, Jason przebiegł przez jaskinię kilka kroków za Corinne. Wbiegł za nią na pochyłość do kolejnego ciasnego tunelu. Wystający kawałek skały rozciął mu ramię. Prawie nie poczuł bólu. Za sobą słyszał syczącą i przewalającą się wodę.

– Schył się! – krzyknęła do niego Corinne.

Przekazał wiadomość Aramowi i przykucnął. Wkrótce już czołgał się na czworakach, raniąc sobie kolana i łokcie. Serce biło mu gwałtownie. Czuł się jak uczestnik koszmarnego maratonu pomyślanego tak, żeby doprowadzić cierpiących na klaustrofobię do obłędu.

– Chyba nam się udało! – zawołał z tyłu Heg. – Jaskinia za nami miała wiele odnóg,

myśle, że tam rozszedł się wybuch.

Ścieżka wygięła się ostro w górę. Powietrze było coraz mniej duszące. Nie musieli już pędzić na czworakach, ale nadal się śpieszyli. Padli na brzuchy, żeby się precyzyjnie przemieszczać przez niską szparę, i potem znowu mogli wstać.

Na kominy buchające parą i groźne bulgoty natrafiali coraz rzadziej. Powietrze pochłodziło i stało się świeższe. Jason denerwował się już trochę mniej. Nachylenie terenu sprawiało, że bolały go nogi, ale zwiastuny, że zbliżają się do końca podziemnego labiryntu, dodały mu otuchy.

Wreszcie, przemoczeni, zadyszani i oblepieni brudem, wynurzyli się ze szczeliny na dnie głębokiej rozpadliny. Pionowe ściany skalne wznosiły się po obu stronach, prowadząc do nieosiągalnego paska nieba wysoko w górze. Woda płynęła po dnie wąwozu, po czym z chlupotem spływała pod ziemię, dwadzieścia stóp poniżej szczeliny, z której wyszli.

– Rzeka pomaga napełnić jaskinie – zauważyła Farfalee. – To jest Wąska Droga. Musimy iść aż do wodospadu.

– Gdzie jest ścieżka? – zapytała Nia.

– Rzeka jest naszą ścieżką – odpowiedział Jasher. – Idziemy pod prąd.

Na szczęście, rzeka nie była bardzo wartka. Prąd był stały, ale zwalniał tam, gdzie wąwóz się poszerzał. W paru miejscach z wody wystawały wysepki albo półki skalne. Przez większość czasu brnęli pod prąd w wodzie, która sięgała im do kolan albo po pas.

W przeciwieństwie do Parzących Jaskiń, ta woda była chłodna. Niemal za zimna, chociaż ciągle znośna. Jasher starał się wybierać najprostszą drogę, unikając głębokich miejsc, wchodząc na występy i wysepki, kiedy tylko się dało. Na jednej podłużnej wysepce zatrzymali się, żeby zjeść i trochę się odświeżyć.

Corinne spojrzała na niebo.

– Gwiazdy wychodzą. Dlaczego Aram nadal jest mały?

– Możliwe, że głęboki wąwóz daje efekt przedwczesnego zmroku – powiedziała Farfalee.

– Zgadza się – potwierdził Aram. – U mnie to tak działa, że cienisty kanion nie liczy się za zachód słońca. Nie zmienię się, dopóki słońce nie zniknie za horyzontem, który widzielibyśmy, będąc na górze. Przez lata nauczyłem się to wyczuwać. Mam wrażenie, że brakuje jeszcze jakichś dwóch godzin.

Po przerwie ruszyli dalej. W niektórych miejscach musieli brnąć w wodzie po pierś i chwilami płynąć. Z każdą minutą w wąwozie było coraz ciemniej. Jason cieszył się, że ma wodorost.

Kiedy mozolili się, brnąc po pas w nurcie, Jason zauważył, że Corinne się trzęsie. Przysunęła łokcie do boków, a na szyi miała gęsią skórę.

– Corinne zamarza – powiedział.

– Nic mi nie będzie – zapewniła szybko, nie potrafiąc powstrzymać szczękania

zębami. – Wieczór jest ciepły.

– Woda szybciej pozbawia ciepła niż powietrze – odezwał się Aram. – Ja też to czuję.

– Zatrzymamy się, żeby trochę odpocząć na tej małej wysepce przed nami – zapowiedziała Farfalee. Uniosła rękę. – Czekajcie. Stańcie na chwilę i posłuchajcie.

Wszyscy się zatrzymali.

– Wodospad – powiedziała Nia.

Jason też go słyszał.

– Musimy być blisko.

Kiedy doszli na wysepkę, nie znaleźli tam niczego, co nadałoby się do rozpałki, ale Jasher wyjął suchy koc dla Corinne, żeby mogła się nim owinąć po wyżęciu ubrań. Nia niezmordowanie rozcierała jej ręce, ramiona, plecy i nogi, żeby ją rozgrzać.

Heg stał na drugim końcu wyspy obok Farfalee, patrząc w stronę niewidocznego wodospadu.

– Myślisz, że dotrzemy do wodospadu dziś w nocy? – spytał.

– Tak myślę – odpowiedziała. – Uważam, że powinniśmy iść, dopóki tam nie dotrzemy. Im szybciej się dowiemy, co jasnowiedz ma nam do zaoferowania, tym szybciej Galloran będzie mógł skorzystać z informacji.

– Aramie, kiedy urośniesz?! – zawołał Heg.

– Już niedługo.

Jednym szybkim ruchem Heg wyciągnął sztylet i dźgnął Farfalee w pierś. Podsunął rękę pod jej kark i złapał nasiono, kiedy wypadło. Ciało padło, a Heg przyłożył zakrwawiony sztylet do jej amara.

– Nie! – krzyknął Jasher, z twarzą wykrzywioną szokiem i wściekłością, kiedy wyciągał miecz.

Jason właśnie wyjmował suszone mięso z plecaka. Nadal kucał, skamieniały ze zdumienia.

– Niech nikt się nie rusza! – rozkazał Heg. – Byłoby tragedią patrzeć, jak tak długie i wspaniałe życie zostaje unicestwione.

Jasher zapanował nad sobą i dał znać innym, żeby usiedli.

– Co to wszystko ma znaczyć?

– Musieliśmy odbyć tę rozmowę w jakimś momencie przed dotarciem do wodospadów. Uznałem, że to dobra okazja.

– Nie jesteś Hegiem – rzucił oskarżycielsko Del. – Nie możesz nim być. Co tu jest grane?

– Zgadza się – przyznał z uśmiechem Heg. – Byłem znany pod wieloma imionami. Heg to najnowsze. Nawiasem mówiąc, drinling walczył dzielnie, ale zginął w Gulbie razem ze swoimi braćmi. – Twarz Hega przekształciła się, tak samo jak głos. Nagle to była twarz dowódcy werbowników. – W ostatnich latach najczęściej znano mnie jako

Groddica.

Jason nie mógł uwierzyć własnym oczom. Wyprostował się, a jego ręka powędrowała do miecza. Zerknął na pozostałych, starając się ocenić, jak zamierzają sobie z tym poradzić.

– Wędrowiec – warknął Jasher. – Jesteś zmiennokształtnym Zokara!

– Pod tymi imionami także byłem znany – przyznał Wędrowiec. – Nikt, kto skojarzył te imiona ze mną, nigdy nie pożył dość długo, by podzielić się tą historią.

– Groddic przez cały czas był Wędrowcem? – zapytał Aram.

– Maldor jest jedynym żywym człowiekiem, który zna moją prawdziwą tożsamość – odpowiedział Wędrowiec. – Dawno temu zostaliśmy współnikami. Z konieczności nie doczekałem się uznania za swoje dokonania, ale walnie przyczyniłem się do jego sukcesu. Posyła mnie do załatwienia najbardziej zawikłanych problemów. Takich jak ten.

– Zabiliśmy cię – jęknęła Nia.

Wędrowiec pokręcił głową.

– Ciężko jest zabić zmiennokształtnego. Zbyt szybko potrafię wyleczyć się z ran, poprzestawiać wnętrzości. Udawałem, że padłem z powodu ran w Gulbie. Mogłem podjąć inną decyzję. Wiedziałem, że pewnie dałbym sobie z wami radę. Postanowiłem jednak paść, bo mieliście konie. Gdybym się ujawnił, niektórzy z was mogliby uciec i zdradzić mój sekret. Uznałem, że nadejdzie lepsza okazja. I proszę, oto jesteśmy.

– To ty złapałeś orła – rzuciła oskarżycielsko Corinne. Już nie szczekała zębami.

Wędrowiec uśmiechnął się szeroko.

– Zamieniłem się w kondora, ptaka o wiele większego od każdego orła. Potrafię przybrać kształt każdej żywej istoty, której dotknąłem. Żyłem długo, posmakowałem wielu form życia. W tym Hega.

Jason pomyślał o kuli orantium. Nie mógł jej rzucić, dopóki Wędrowiec trzymał nasiono Farfalee. Wyciągnął więc miecz. Cokolwiek się wydarzy, musiał być gotowy.

– Dlaczego rozmawiamy? – zapytał Jasher. – Masz jakąś propozycję?

– To zależy, ile jest wart amar twojej żony – odparł nonszalancko Wędrowiec. Nadal trzymając ostrze przy amarze, przyjrzał mu się w zamyśleniu. – Nigdy jeszcze nie zabiłem członka Konklawe.

– Jeśli zniszczysz jej amar, będziesz musiał stawić czoło wiecznemu gniewowi mojego ludu – zagroził mu Jasher.

– Zniszczyłem ponad dwadzieścia amarów – przechwalał się Wędrowiec. – Nie ma zemsty za czyn popełniony w sekrecie.

– Nie potrafię odgadnąć, jakie warunki możesz zaproponować – powiedział Jasher.

– Jej nasiono to jedyne ustępstwo, jakie mogę zaproponować. Farfalee przed śmiercią wiedziała tylko, że to Heg ją dźgnął. Nie wie, że to był Wędrowiec. Nie miała pojęcia, co wiąże Hega i Groddica. Jeśli z własnej woli oddasz mi swój amar, to

przysięgam, że zasadzę jej nasiono w bezpiecznym miejscu.

– A co z innymi?

– Pozostali znają moją tożsamość. Muszą umrzeć. Twoja żona może jednak żyć. Jeśli będziesz ze mną walczył, zginie jak reszta. Wybieraj.

Jason wstrzymał oddech, zastanawiając się, co wybierze Jasher.

– Nie wierzę, że dotrzymasz słowa – odparł nasiennik.

– Mogę dowolnie zmieniać twarz, moją jedyną prawdziwą tożsamością jest mój honor. Nie kłamię. Zważywszy, jak mało wie twoja żona, co mnie kosztuje darowanie jej życia? Przechowam bezpiecznie jej nasiono do końca wojny, a potem zostanie zasadzona. Kto wie? Może się okazać, że będzie ostatnią z twojego ludu.

– Jak proponujesz odebrać mi amar? – zapytał Jasher.

– Nie dopuszczę cię do siebie. Niech Del dokona egzekucji i rzuci mi twoje nasiono.

– Oddałbym za nią wszystkie życia, ale zrobienie tego teraz byłoby szaleństwem.

Nasiennik cisnął nożem i rzucił się do ataku, trzymając wysoko torivorańską klingę. Wędrowiec uchylił się przed lecącym nożem i zatopił własne ostrze w amarze. Jason poczuł się tak, jakby sztylet zanurzył się w jego własnym ciele. Odrzucając nasiono, Wędrowiec ledwie zdążył wyciągnąć miecz Hega, zanim Jasher go dopadł.

Ostrza zderzyły się z brzękiem. Del i Nia rzucili się za Jasherem, ale trzymali się z tyłu. Na wąskiej wysepce trudno było więcej niż jednej osobie zaatakować Wędrowca, jeśli nie zamierzała robić tego z wody.

Jason trzymał orantium, ale nie miał szansy skrzywdzić Wędrowca, nie raniąc też Jashera. Nie mógł uwierzyć, że Wędrowiec dźgnął nasiono. W ten prosty sposób przekreślił egzystencję trwającą wiele żywotów. Kolejny przyjaciel poległ.

Wędrowiec próbował dźgnąć Jashera sztyletem i przy tej okazji stracił rękę. Obcięta dłoń rozpadła się w szary jak popiół pył. Jasher przypuścił zręczny atak, ale Wędrowiec obronił się z niepokojącą łatwością. Potrząsnął uszkodzoną ręką i na miejscu utraconej dłoni pojawiła się nowa.

– Obserwuj walkę, by wyczuć właściwą chwilę – szepnął Aram do Jasona. – Groddic stoi między nami i wodospadem, ale kiedy my go zajmiemy, ty możesz pobiec. Wystarczy, że tylko jedno z nas przetrwa.

– On może zamienić się w co zechce – powiedział Jason. – Złapie mnie, zanim gdziekolwiek dobiegnę, niezależnie od tego, czy będzie musiał przerwać walkę. Musimy go pokonać.

– Urośniesz niedługo? – zapytała Arama Corinne.

– Za minutę albo dwie – odpowiedział półolbrzym, rozbierając się. – Powiniennem przygotować sobie zbroję.

Jasher dźgnął Wędrowca w pierś, zatapiając ostrze głęboko, ale musiał odskoczyć, żeby uniknąć kontry. Walka nadal trwała. Wędrowiec robił wrażenie niewrażliwego na rany.

– Musimy pociąć go na kawałki! – wrzasnął Jasher. – Żadna inna rana nie robi mu krzywdy!

– Wielu próbowało – przechwalał się ze śmiechem Wędrowiec. – Na przestrzeni lat straciłem trochę ciała. Zostało mi więcej niż dość, żeby ukarać was wszystkich.

Del i Nia weszli do rzeki, żeby zająć Wędrowca od tyłu, ale on cofnął się na koniuszek wyspy, by nie mogli zaatakować go z lądu. Żeby bardziej skomplikować sytuację, Wędrowiec wypuścił ciężki ogon z kolczastym wybrzuszeniem na końcu i zagroził nim drinlingom. Nia uderzyła w kolczasty węzeł mieczem i broń wyleciała jej z rąk.

– Ma oczy z tyłu głowy! – krzyknął Del. – Dosłownie!

– Dopiero zaczynam. – Wędrowiec się roześmiał.

Ze stłumionym jękiem Aram zaczął rosnać.

Z ust Wędrowca wystrzelił ozór i oplótł się wokół szyi Jashera. Nasiennik odciął go i oddzielony kawałek rozpadł się, ale Jasher spóźnił się z następnym cięciem i Wędrowiec nadział go na ostrze.

Padając na kolana, Jasher odciął Wędrowcowi nogi na wysokości ud. Zmiennokształtny grzmotnął o ziemię i dał nura do rzeki. Nie wypłynął. Del i Nia rozglądali się czujnie z mieczami w gotowości.

Przeбитy mieczem, z oczami wypełnionymi bólem i frustracją Jasher obejrzał się na Jasona.

– Amary bywają bardzo odporne. Nie znamy rozmiarów zniszczenia. Zasadźcie ją natychmiast. Nadal mam... – Urwał, kiedy jego amar wypadł i odbijając się od ziemi, wpadł do wody. Jasher padł bezwładnie.

Z rzeki powyżej wysepki podniósł się Wędrowiec. Zniknęły ubrania Hega. Miał głowę Groddica, ale był znacznie niższy. Giętka czarna skorupa pokrywała jego ciało jak zbroja. Nie miał broni.

Corinne skoczyła do wody i złapała amar Jashera, zanim odpłynął. Aram, który skończył przemianę, rzucił się przez wyspę do Wędrowca z ogromnym mieczem w dłoni, pobrząkując zbroją.

Pędząc w górę rzeki, Del pierwszy dopadł Wędrowca. Trafił go w bok, ale czarna zbroja zatrzymała cios. Przyciskając rękę do boku, Wędrowiec uwięził ostrze, a potem kolce wyskoczyły mu z pięści i zabił Dela, zadając cios w głowę. Nadal trzymał zabrany miecz.

Nia cofnęła się z głośnym pluskiem.

– Ta skorupa jest twarda! – ostrzegła wszystkich.

– Krab-tytan – powiedział z rozbawieniem Wędrowiec. – Często wzmacniam kości tą nadzwyczajną substancją. Skorupa kraba-tytana to najbardziej wytrzymały organiczny materiał, z jakim kiedykolwiek się zetknąłem. Wykorzystuję duże ilości tej substancji we wnętrzu ciała, kiedy chcę ukryć swoją masę i wyglądać na mniejszego.

– Teraz też tak robisz?! – ryknął Aram. Czekał na końcu wyspy. – Wyglądasz na sporo mniejszego.

– Jasher odebrał mi część masy – przyznał Wędrowiec. – I poświęcam część masy na wytworzenie takiej zbroi jak ta. Chodź, przetestuj na mnie swój miecz, półczłowieku.

– Myślę, że zostanę na swoim miejscu – odparł Aram.

– Stoję między wami a waszym celem. Nie śpieszy mi się. Jak Heg, nie potrzebuję snu.

Nia cofnęła się i weszła na wyspę za Aramem. Podniosła torivorański miecz Jashera.

– My też mamy czas. Nie dam się podpuścić – odparł Aram.

Wędrowiec się zaśmiał.

– Trójka z was już zginęła. Mogę zabić pozostałych na tysiąc sposobów. – Zniknął pod wodą.

– Do mnie! – krzyknął Aram.

Z mieczami w rękach Jason i Corinne popędzili, by stanąć obok Nii i półolbrzyma.

– Mam orantium – powiedział Jason.

– Nie używaj go zbyt blisko nas – ostrzegł Aram. – Jasher też miał kulę. Może warto ją zabrać. – Przykucnął i wysunął torivorański miecz Farfalee z pochwy. – Kiedy zmiennokształtny się wynurzy, cofnijcie się i dajcie mi się nim zająć. Nie pozwolę mu zwyciężyć.

Kłękając i szukając po omacku, Corinne wyszperała kulę Jashera. Jason obserwował powierzchnię rzeki.

Wędrowiec wyskoczył z wody i wylądował na drugim końcu wyspy. Przez chwilę miał skrzela na szyi, ale zaraz zakryła je lśniaca, czarna skorupa. Nadal trzymał miecz Dela.

Jason cisnął kulą orantium nisko, pod jego nogi. Wędrowiec zanurkował do przodu i złapał ją w powiększoną, miękką dłoń. Uklęknął, a jego ręka wróciła do normalnych rozmiarów. Odrzucił kulę z powrotem.

Upuszczając broń, Aram pchnął Corinne i Jasona do rzeki. Nia rzuciła się do przodu, zakrywając kulę ciałem, kiedy kryształ uderzył o kamienistą ziemię.

Jason nie zobaczył wybuchu. Usłyszał go pod wodą. Kiedy się wynurzył, już było po Nii, a Aram leżał na brzegu wyspy, z jedną nogą w rzece i połową twarzy poczerniałą i pokrytą skorupą krwi. Wędrowiec rzucił się na niego.

Jason dźwignął się z wody. Jeśli Wędrowiec zabije Arama, kiedy ten leży, będzie po nich. Jason wstał i złapał miecz, a Wędrowiec zbliżał się pędem; wściekłość płonęła w jego oczach. Jason nigdy w życiu nie czuł się równie przerażony, ale mimo to, nie cofnął się.

Wędrowiec zamachnął się mieczem, celując w Jasona. Pochylając się, chłopak odpowiedział na cios silnym atakiem. Mimo rozpędu Wędrowca i siły zamachu, jego



miecz odbił się, a on sam przystanął gwałtownie. Przez chwilę nic go nie osłaniało. Jason napierał, wyprowadzając błyskawiczny kontratak, o włos tylko chybiając, ale zmuszając Wędrowca do cofnięcia się.

Ich ostrza zaczęły pobrzękiwać zaciekle. Jason był odrobinę zaskoczony faktem, że nie zginął natychmiast. Głównie się bronił, powoli ustępując, ale zdołał przemyścić kilka ataków. Wątpił, czy bez torivorańskiego miecza zdołałby oprzeć się ciężkim ciosom i dostatecznie prędko wyprowadzać zamachy, żeby dorównać szybkości Wędrowca. Po każdym cięciu, które przeżył, zyskiwał nieco pewności siebie.

Walczyło mu się inaczej, niż się spodziewał. Nie miał czasu na to, żeby się denerwować. Wiedział, że walczy o życie i w obronie Arama i Corinne, ale koncentrował się tylko na blokowaniu kolejnego ciosu i szukaniu okazji do następnego ataku. Nie było czasu na planowanie ani świadome myślenie o pracy nóg. Ledwie miał czas na reakcję i niekiedy dostrzegał możliwość uderzenia.

W miarę jak walka trwała, Jason coraz mniej czuł, że sobie radzi. Zaczynały go boleć nadgarstki i łokcie. Wędrowiec był szybki i posługiwał się atakami i fintami, z którymi Jason nigdy się nie spotkał. Jason improwizował, wymyślał parady i uniki najlepiej jak potrafił, ale czuł, że zaczyna walczyć byle jak, jakby stracił równowagę i miał się przewrócić.

Wtedy Corinne zaatakowała Groddica od tyłu. Opancerzony wojownik odwrócił się do niej, dając Jasonowi chwilę na dojscie do siebie. Jej ostrze przykuło uwagę Wędrowca.

Jason widział, że Wędrowiec gapi się na niego dwojgiem złotych oczu na potylicy. Przez chwilę nie pilnował tyłów. A Corinne ewidentnie potrzebowała wsparcia. Jason rzucił się naprzód, kiedy ogon wystrzelił z pleców zmiennokształtnego. Zanim czubek broni Jasona dosięgnął przeciwnika, ciężka bulwa na końcu ogona trafiła go w ramię niczym maczuga i chłopak wylądował z pluskiem w rzece.

Wypłynął w samą porę, żeby zobaczyć, jak Wędrowiec uderza Corinne ogonem, kiedy ona była całkowicie skupiona na walce na miecze. Dziewczyna wpadła do rzeki. Wędrowiec z obnażonymi zębami odwrócił się do Arama.

Czołgając się, rozdygotany półolbrzym chwycił torivorański miecz Farfalee i drugi taki sam, upuszczony przez Nię. Jedną stronę skórzanego płaszcza miał zwęgloną i obszarpaną. Wstał chwiejnie, by odeprzeć atak.

Wędrowiec zrobił wypad i dźgnął Arama w pierś. Unosząc oba miecze, półolbrzym nawet nie próbował zablokować ciosu. Zamiast tego obrócił się w miejscu i miecz Wędrowca utknął pod kątem w kółkach jego kolczego płaszcza.

Aram opuścił z całą zaciekłością torivorańskie miecze, odcinając obie ręce Wędrowca u ramion i gładko przecinając chitynowy pancerz. Kiedy Wędrowiec próbował dojsć do siebie, Aram zrobił krok do przodu, błyskawicznie tnąc torivorańskimi ostrzami. Kawałki Wędrowca leciały na wszystkie strony, zamieniając

się w pył, kiedy oddzielały się od centralnej masy.

Kurcząc się po wypuszczeniu nowych rąk, Wędrowiec próbował zadać cios i omal nie stracił nowej kończyny. Druga ręka poszerzyła się, przekształcając się w prostokąt z pancerza kraba-tytana, ale Aram przerąbał tę osłonę na pół. Kiedy Wędrowiec obrócił się do ucieczki, Aram wściekle zaatakował to, co zostało z przeciwnika. Kilka kolejnych zamachów i już nie było czego ciąć.

Półolbrzym padł na kolana, dysząc ciężko, a Jason i Corinne wrócili na wyspę. Jasona bolało ramię, ale prawie nie czuł bólu, tak ogromnie mu ulżyło.

– Chcecie wiedzieć, czego między innymi nauczyłem się od Drake’a? – zapytał Aram, nie odwracając się do nich. – Jeśli przyłożyć odpowiednią siłę, torivorańskie ostrza mogą przeciąć nawet pancerz kraba-tytana. Wędrowiec sprawiał wrażenie zaskoczonego. Uformował grubą skorupę i wzmacniał ją po każdym ciosie.

– Nic ci nie jest? – zapytała Corinne.

Aram spojrzał po sobie.

– Przeżyję. Uskoczyłem i padłem, kiedy Nia wzięła na siebie główny impet wybuchu. Wy dwoje zapewniliście mi dość czasu, żebym doszedł do siebie. Dzięki.

– Nie powinienem był rzucać orantium – powiedział Jason z zaciskającym się żołądkiem.

– Zrobiłeś, co należało – zapewnił go Aram. – Nie sposób było przewidzieć, co się stanie. Celowałeś nisko. Dobrze kombinowałeś. Musieliśmy spróbować z orantium. Zmiennokształtny zaczynał sprawiać wrażenie niezwycięzonego. Złapał kulę i Nia zapłaciła cenę za nasze bezpieczeństwo. Ta walka mogła przebiec gorzej, Jasonie. Pod koniec mieliśmy szczęście. Wy dwoje byliście wspaniali. Skrzyżowaliście miecze z Wędrowcem i przeżyjecie, żeby o tym opowiadać. Próbowałem odgrywać bardziej oszołomionego, niż byłem, żeby Wędrowiec się na to nabrał. Spodziewał się, że szybko mnie załatwi. Myślę, że za bardzo wierzył w swoją zbroję. Założę się, że zabił wielu przeciwników, którzy bez skutku uderzali w jego pancerz.

– A tobie nic nie jest? – zapytał Corinne Jason.

– Nosiałam napierśnik Drake’a – powiedziała. – Wędrowiec trafił w niego, gdy uderzył ogonem. A twoje ramię?

Jason poruszył ramionami, potem barkiem.

– Obolałe, ale nie sędzę, żeby coś mi połamał. Może nabrać ciekawych kolorów.

– Wyślizgaliśmy się z tego – warknął Aram. – Inni słono zapłacili.

– Farfalee – przypomniał sobie Jason. – Jasher uważał, że może mieć szansę, jeśli szybko ją zasadzimy.

Corinne podeszła i ostrożnie podniosła nasiono, które Wędrowiec odrzucił na bok. Trzymała je na dłoni, a Jason i Aram dokładnie je obejrzeni. Otoczka pękła z jednej strony. Nie potrafili stwierdzić, jak głęboko sztylet wszedł w amar.

– Nie jestem fachowcem od sadzenia nasienników – powiedział Aram – ale ta

wysepka to zaledwie stos kamieni. Wszystkie występy skalne i wysepki wyglądają tu podobnie. Nie widzę, żeby cokolwiek tu rosło. Nie ma gleby, brakuje słońca.

– Masz rację – przytaknęła Jason. – To nic nie da, jeśli pochowamy jej nasiono pod gołą skałą.

– Nad jeziorem... – przypomniała sobie Corinne. – Po drugiej stronie jaskiń było chyba trochę żyznych miejsc nad wodą. Przynajmniej tak żyznych, jak to możliwe na Dymiących Pustkowiach.

– Do świtu nie zdołam przejść przez jaskinie – powiedział Aram.

– Ja dam radę. Zapamiętałam drogę.

– Ja też starałem się ją zapamiętać. Było tam trochę trudnych skrzyżowań. Nikt nie chciałby się tam zgubić.

– Możliwe, że przed nami będzie jakaś żyzna ziemia – zasugerował Jason.

– Możliwe – zgodził się Aram – chociaż to mało prawdopodobne, z tego co do tej pory widziałem.

Corinne przykucnęła, żeby pogrzebać w plecaku Jashera.

– Tu jest jego orantium – powiedziała, podnosząc ostatnią kulę. Odłożyła ją na bok i szukała dalej. – Wiem, że Farfalee przetłumaczyła wskazówki. Muszą gdzieś tu leżeć. Są. – Wyjęła kilka stronic notatek. – Na szczęście, zadbał, żeby nie zamokły.

– Powiniennem raz jeszcze sprawdzić, co mam teraz zrobić – odezwał się Jason.

Przytrzymując blisko świecące pasmo wodorostu, Corinne przejrzała notatki.

– Nie widzę niczego, o czym zapomnieliby nam powiedzieć. Wejście jest pod wodospadem. Powinieneś wejść sam i bez broni. Jeśli okażesz się niegodny, nie przeżyjesz. Nie ma żadnych więcej szczegółów.

– Mam nadzieję, że jestem godny.

– Uważnie się temu wszystkiemu przyglądałem – powiedział Aram. – Wyrocznia znała się na swoim fachu. Jeżeli miałem jakiegokolwiek wątpliwości przedtem, teraz zniknęły. Nie dotarlibyśmy tak daleko bez wszystkich wyznaczonych osób. Drake zakończył pojedynek z torivorem. Corinne pozbyła się torivora, który nas śledził. Jason wymyślił, jak pokonać Kukłę. Farfalee przetłumaczyła rękopis. A Wędrowiec wymagał zespołowego wysiłku. Jasher go osłabił. Nia nas osłoniła. Ta sama wyrocznia, która wybrała naszą drużynę, chciała, żebyś tu był, Jasonie. Nie wysłałaby cię na pewną śmierć jako niegodnego intruza. Wątpię, czy ten jasnowidz kiedykolwiek miał godniejszego gościa.

To tłumaczenie pocieszyło Jasona.

– Powinnam iść – odezwała się Corinne. – Chcę zasadzić Farfalee i Jashera.

– To niebezpieczne – ostrzegł ją Aram. – Nie będziesz mogła ruszyć zaraz po wybuchu.

– Zmierzę się z tym samym niebezpieczeństwem niezależnie od tego, kiedy będę wracać.

– Pozwól, że przyjrę się tym wskazówkom – powiedział Aram. – Bardzo uważałem i mam dość dobre wyczucie kierunków. Daj mi chwilę, żebym nauczył się tego co trzeba. Potem zabierzesz ze sobą te notatki i poczekaasz na nas po drugiej stronie.

– Jesteś pewien, że dasz radę wrócić bez nich? – upewniła się Corinne.

– Pewnie dałbym radę wrócić tą samą trasą i bez czytania notatek. Kiedy szliśmy, często się oglądałem. Daj mi jednak chwilę.

Półolbrzym usiadł. Patrzył w notatki, przesuwał palcem po słowach, poruszał czasem ustami. Chwilami zamykał oczy, poruszał ustami, a potem sprawdzał tekst. W końcu oddał papiery Corinne.

– Nie siedź na widoku po drugiej stronie.

– Będę uważać – obiecała. Uściskała Jasona. – Wy też uważajcie na siebie.

– Niedługo się zobaczymy – zapewnił ją Jason.

# Rozdział 27

## Sekrety z przeszłości

Zanim Jason i Aram dotarli do wodospadu, rąbek księżyca wyrzał z za chmur, więc wodorosty przestały być potrzebne. Srebrna wstążka wody spadała z półki w połowie wysokości wąwozu, burząc się w zamglonej niecce na dnie.

– Woda spada z dużej wysokości – powiedział Aram, patrząc w górę. – Objętość może nie wyglądać imponująco, ale woda uderza z dostateczną siłą, żeby przyszpilić człowieka do dna i trzymać go tam tak długo, aż utonie.

– Będę szukał baryłek z powietrzem – odparł Jason.

Aram uśmiechnął się krzywo.

– Podszedłbym z boku. Jeśli woda dociśnie cię do ziemi, przyj ze wszystkich sił pod wodospad.

Przywiązał wodorost do nadgarstka Jasona.

– Chyba powinienem zostawić miecz. – Jason oddał broń Aramowi.

– Będę czuwał do twojego powrotu.

Jason był przemoczony i zmarznięty po wędrówce rzeką. Spojrzał na wodospad, szykując się do następnego nurkowania. Pomyślał o tych wszystkich, którzy stracili życie, żeby doprowadzić go do tego miejsca. Heg i inni drinlingowie. Drake. Jasher, chwilowo. Farfalee być może na zawsze. Nia. Musiał odepchnąć wspomnienia. Jeśli będzie nad nimi teraz rozmyślał, nie zdoła iść dalej.

– Lepiej żeby sekret za tym wodospadem okazał się użyteczny – mruknął.

– Amen – dodał Aram.

Jason dał nura do chłodnej sadzawki. Podpłynął do wodospadu z prawej, trzymając się blisko ściany urwiska. Im bardziej zbliżał się do podstawy wodospadu, tym mocniej szarpał nim prąd.

Pomachawszy do Arama, wstrzymał oddech i zanurkował, ciesząc się ze światła wodorostu na nadgarstku, chociaż początkowo widział tylko migotliwą zasłonę podświetlonych bąbelków. Siła spadającej wody pomogła mu się szybko zanurzyć. Wymachiwał nogami i rękami ze wszystkich sił, starając się przepłynąć za wodospad. Turbulencje mu pomogły, wciągając go w dół i do środka.

Rzeczywiście, na dnie niecki, za i pod wodospadem znalazł wielką szczelinę w ścianie. Wpłynął do środka, przepłynął krótkim tunelem i wynurzył się w spokojnej sadzawce w jaskini. Podpłynął zabką do miejsca, gdzie mógł już iść, potem wyszedł z wody, trzęsąc się na zimnym powietrzu.

Przed sobą ujrzał drzwi z brązu, niepasujące do skały ściany jaskini. Spojrzał na nie z ulgą. Przynajmniej rzeczywiście coś kryło się za wodospadem. Ludzie poświęcili życie, żeby go tu doprowadzić. Wielu na niego liczyło.

Zastanawiał się, co w tej chwili robi Rachel. Czy Galloran zebrał armię? Czy ruszyli na Felrook? Będąc w ciągłym biegu, Jason i jego towarzysze nie mieli okazji usłyszeć zbyt wielu nowin. Rachel mogła być gdziekolwiek. Miał nadzieję, że jej drużyna mniej wycierpiała niż jego. Może to, co kryło się za tymi drzwiami, oszczędzi jej wielu cierpień. Podeszedł do nich, odkrył, że nie są zamknięte na zamek i wszedł.

– Halo?! – zawołał, czując się jak intruz.

Słowo odbiło się echem w długim korytarzu. Za drzwiami ściany były zbudowane z kamiennych bloków, a podłoga z płytek łupka.

– Jest tu ktoś?

Zostawiając drzwi uchylone, Jason ruszył chyłkiem przed siebie. Wreszcie korytarz zakręcił. Przed sobą Jason zobaczył drzącą czerwoną poświatę.

– Halo?

Znowu jedyną odpowiedzią był jego własny głos odbijający się w pustce. Na końcu korytarza znalazł okrągły pokój ze sklepionym sufitem. Oświetlały go cztery brązowe pochodnie w uchwytych znajdujących się kilka stóp poza zasięgiem rąk. Płomienie były czerwone jak krew. Nie widział ani nie wyczuwał żadnego dymu. Głęboka czerwień płomieni robiła wrażenie nienaturalnej.

Idealnie okrągłe otwory w trzech różnych rozmiarach widniały w ścianie naprzeciwko wejścia do pokoju. Nad każdym widniał namalowany maleńki, schludny obrazek. Trzy brązowe pojemniki przed podziurawioną ścianą zawierały białe kamienne kule, każda z małym obrazkiem. Kamienie w jednym pojemniku były wielkości małych szklanych kulek, w drugim piłeczek golfowych, a w ostatnim mniej więcej wielkości piłek do baseballu. Kamienne kule najwyraźniej odpowiadały trzem rozmiarom otworów w ścianie.

Poza otworami na ścianie widniały runy, hieroglify i symbole, których Jason nie miał szansy pojąć. Ku jego zdumieniu, wśród obcych kształtów i zawijasów znalazł związłą wiadomość po angielsku; znajome litery schludnie wycięto.

*Nie wchodź dalej nieproszony. Zostaw wszelką broń. Włóż jedną kulę do jednego otworu. Wybierz źle, a zginiesz.*

Jason przyjrzał się uważnie reszcie ściany, żeby się upewnić, że nie ma innych czytelnych wiadomości. Nie znalazłszy niczego znajomego, wrócił do tej części ściany, w której znajdowały się otwory. Wydawało się, że jest taka sama liczba małych, średnich i dużych otworów – w sumie kilka setek.

Zaczął przyglądać się małym obrazkom nad nimi. Szczegóły były tak wyczelowane, że pędzel, którymi je namalowano, musiał być nie grubszy niż koci wąsik. Obrazki sprawiały wrażenie całkiem przypadkowych: zwierzęta, rośliny, budynki, symbole, części garderoby, narzędzia, twarze, pokarmy, flagi i różne inne rzeczy.

Skąd miał wiedzieć, którą kulę do którego otworu włożyć? To musiał być skomplikowany zamek, jak drzwi w Skarbnicy Wiedzy. Czy małe obrazki na kulkach pasowały do obrazków nad otworami? Czy to mogło być aż tak proste?

Jason wziął garść średniej wielkości kulek i zaczął je przeglądać, szukając obrazka, który odpowiadałby rysunkowi na ścianie. Obrazki na kulkach były równie zróżnicowane jak te na ścianie, Jason nie potrafił znaleźć niczego, co by do siebie pasowało.

Postanowił skupić się na jednej kulce. Wybrał ozdobioną głowę złotego słonia z kłami. Podobał mu się ten obrazek, bo był bardzo wyraźny. Idąc wzdłuż ściany z kulką, szukał pasującego obrazka nad dziurką. Wędrował wzrokiem od otworu do otworu, patrząc na wszystkie, ale w szczególności na te średniego rozmiaru. Jego spojrzenie zatrzymało się na obrazku nad jednym z dużych otworów.

Nie dlatego, że Jason zobaczył tam namalowanego słonia.

Przystanął, ponieważ obrazek przedstawiał twarz jego ojca.

Nie potrafiąc pojąć tego, co widzi, Jason gapił się jak zamroczony. Przysunął się, mrużąc oczy. Obrazek nie był tak idealny jak fotografia, ale podobieństwo było ewidentne. Podobizna była osobliwa, jak naprawdę świetna karykatura. Jednakże, jakim cudem ten rysunek znalazł się tutaj? Jego ojciec nigdy nie był w Lyrianie. A to miejsce podobno miało być bardzo stare.

Czy to możliwe, że w Lyrianie żył człowiek, który wyglądał jak jego ojciec? Czy artysta wyobraził sobie twarz, która przypadkiem bardzo przypominała twarz ojca Jasona? Czy to mógł być zwykły zbieg okoliczności?

Darian podobno był jasnowidzem. Wyrocznia dała do zrozumienia, że Jasonowi jest pisane zjawić się w tym miejscu. To nie mógł być przypadek. Podobizna była za bardzo trafiona. Ten otwór miał znaczenie.

Nie bardzo wiedząc, czego szuka, Jason wrócił do pojemnika z dużymi kulami i zaczął je przeglądać. Czy znowu znajdzie twarz ojca? Może to będzie coś związanego z ojcem. Na przykład co? Jego samochód? Gabinet dentystyczny? Szczoteczka do

zębów?

Przejrzawszy wszystkie duże kule, Jason nie znalazł oczywistej kandydatki. Uznał, że mniejszą kulkę da się włożyć do większego otworu, więc zaczął przeglądać średnie. Przestał szukać, kiedy natrafił na twarz matki.

Ten wizerunek wywołał u niego ciarki. Był równie trafny jak podobizna ojca. To nie był przypadek.

Jason się rozejrzał. Naprawdę nadal znajdował się w Lyrianie? Sytuacja sprawiała wrażenie bardzo wymyślnego żartu. Na poły spodziewał się, że przyjaciele wyskoczą skądś i krzykną: „Niespodzianka!”. Jednakże nikt się nie pojawił. Nie było też ukrytych kamer. Tylko pochodnie i ponury, stary pokój. Patrząc na wizerunek matki, Jason pomyślał o tym wszystkim, co się wydarzyło, zanim dotarł do tego miejsca. To nie był żart. Ani przypadek. Miał się tu pojawić.

Przekonany, że znalazł właściwą kulę, umieścił ją w dużym otworze i cofnął się. Słyszał, jak kula się toczy, potem coś kilka razy szczęknęło i nagle podłoga w pokoju zaczęła się stopniowo obniżać.

Jason zastanawiał się, czy nie cofnąć się do korytarza, ale uznał, że lepiej zostać na miejscu. Kiedy podłoga obniżyła się bardziej, ukazało się przejście. Posadzka zatrzymała się ze zgrzytem i Jason zobaczył korytarz oświetlony czerwonymi pochodniami. Najwyraźniej przyzwoicie wybrał.

Długi korytarz kończył się w dużym, kwadratowym pokoju z rozlicznymi okrągłymi w przekroju tunelami w trzech ścianach. W czterech oprawkach obsadzono kolejne cztery pochodnie. Zdumiewające wyryte napisy zdobiły czwartą ścianę. Pośród nich Jason wypatrzył krótką informację po angielsku.

*Podążaj wybranym korytarzem.*

Każdy tunel był takich samych rozmiarów – tak mały, że Jason musiałby nim pełznąć. Żeby dosięgnąć niektórych z nich, musiałby się wspinać, korzystając z niższych tuneli. Małe rysunki widniały nad wejściami do każdego.

Jason zaczął im się przyglądać, zastanawiając się, czy natrafi na kolejną znajomą twarz. Obok jednego z wyższych tuneli na ścianie naprzeciwko wejścia Jason wypatrzył znajome logo – białą sylwetkę pałkarza z profilu na niebieskim i czerwonym tle z nadlatującą białą piłeczką. To było logo amerykańskiej ligi baseballowej!

To musiał być korytarz dla niego, prawda? Baseball nie istniał w Lyrianie, a Jason kochał oglądać mecze i grać w baseball.

Na wszelki wypadek obejrzał pozostałe rysunki. Żaden z nich nie przemawiał do niego tak jak logo. To musiało być to.

Wspinał się do tunelu i zaczął nim pełznąć. Nie przeszedł daleko, kiedy ciężka krata opadła za nim z brzękiem, odcinając mu drogę odwrotu. Bez wodorostu Jason znalazłby się w ciemnościach.

Okrągły tunel zakręcał, wspinał się, obniżał i kluczył. Jasona bolały łokcie i kolana,



nadal poobijane po zbyt szybkim czołganiu się na ciasniejszych odcinkach Parzących Jaskiń, ale nie miał wyjścia – musiał przeć naprzód.

Wreszcie tunel, który ani razu się nie rozgałęział, wyprowadził go do największego z dotychczasowych pomieszczeń. Pod ścianą rozmieszczono osiem mosiężnych smoczycz głów, a każda była większa od pickupa. Pośrodku pokoju trzy brązowe kosze zawierały kamienne kule. Otwory trzech rozmiarów znajdowały się w podłodze wokół koszy. Wszędzie indziej na podłodze wyryto napisy. Jason przejrzał zawijasy, aż znalazł wiadomość napisaną po angielsku.

*Wrzuć jedną kulę do jednego otworu.*

– Chyba sam bym na to wpadł – zachnął się Jason.

Znowu kule były ozdobione obrazkami, a koło otworów w podłodze także znajdowały się rysunki. Jason potrzebował chwili, ale wreszcie znalazł małą kulkę z maleńkim portretem siostry i duży otwór z uśmiechniętą twarzą brata.

Po wrzuceniu kuli do otworu usłyszał, jak się toczy, a potem grzechocze, po czym rozległy się rozliczne głośne trzaski, ze zgrzytem zawiasów jeden ze smoczycz łbów ziewnął, otwierając paszczę, w której ukazał się kolejny korytarz.

Jason pobiegł nim, aż dotarł do rozległej sali. Pochodnie umocowano wysoko na ścianach, przez co na środku komnaty zalegały cienie. Wszędzie stały tam pojemniki wszelkiego rodzaju, niektóre na stołach albo platformach, inne po prostu na podsadzce. Były tam kufry, skrzynie, kosze, skrzynki, szkatuły, szafki, urny, trumny, sarkofagi, beczki, antałki, sejfy, szkatułki na biżuterię i inne zakryte naczynia. Ilustrujące nieskończoność stylów i rozmiarów przeróżne pojemniki wykonano z najróżniejszych kombinacji żelaza, brązu, miedzi, cyny, kamienia, ceramiki, złota, srebra, kryształu, jadeitu, kości słoniowej, emalii i wikliny. Reprezentowały różną jakość, od ozdobnych i wymyślnych po proste i wręcz tandetne.

Na drugim końcu sali oświetlonym przez dodatkowe pochodnie wznosiło się podwyższenie z majestatycznym tronem. Przy każdej krawędzi podium na cokołach stały cztery identyczne kobiece postacie, a na niższej platformie z przodu znajdował się szeroki ołtarz.

To musiał być jego cel! Udało mu się! Ledwie wierzył własnym oczom.

– Halo?! – zawołał, przerywając ciszę panującą w zagraconej sali. – Darianie? Jest tu ktoś?

Nikt nie odpowiedział.

Klucząc między niezliczonymi pojemnikami Jason przeszedł przez długą komnatę. Kiedy zbliżył się do podwyższenia, zdał sobie sprawę, że to, co omyłkowo wziął za ołtarz, było tak naprawdę trumną z kryształu i złota z ciałem wewnątrz. Trumna spoczywała na granitowym bloku z napisem z boku. Pośród różnych nieznanomych hieroglifów Jason znalazł słowa „Darian Jasnowidz”.

Podbiegł do trumny. W środku spoczywał starzec, wysuszony, z paroma kosmykami

siwych włosów na poplamionej głowie. Nosił szkarłatne szaty haftowane złotymi wzorami. Na stopach miał kapcie do kompletu. Powieki miał zamknięte i zapadnięte. Usta mu zaszyto. Jego pomarszczona skóra nabrała żółtawego odcienia. Widać było, że go zabalsamowano.

Drżąc, Jason spojrzął na zwłoki.

To było dziwne miejsce na znalezienie ciała wystawionego na widok. Jak długo tu leżało? Ludzie ostrzegali go, że Darian powinien już nie żyć. Mimo to, nadal nie mógł uwierzyć, że ta długa, trudna droga doprowadziła go do trupa. Dlaczego wyrocznia go tu przysłała?

Na wszelki wypadek zapukał w szkło.

– Halo? To żart, prawda? Halo?

Ciało się nie poruszyło.

Jason rozejrzał się zdegustowany. Puste, poczerniałe palenisko wstawiono w kamienną platformę między tronem i trumną. Ze swojego niewielkiego podwyższenia Jason rozejrzał się po ogromnej sali. Chaotyczna mnogość dziwnych pojemników sprawiała, że pomieszczenie wyglądało jak pchli targ albo przerośnięta wyprzedaż garażowa.

Przeznaczone mu było znaleźć się tutaj. Wyrocznia nalegała. Twarze jego rodziny to udowadniały. Dotarł do końca ścieżki. Znalazł Dariana Jasnowidza. W pewnym sensie. Staruszek był całkiem nieźle zakonserwowany, ale nie bardziej żywy niż zawieszona na ścianie głowa jelenia.

Jaki to miało sens? Czy jego przyjaciele na darmo cierpieli i umierali? Czy Galloran wymaszerował, by stoczyć beznadziejną walkę?

Popatrzył na ciało. Twarz sprawiała wrażenie spokojnej. Jason przyglądał się cienkim, siwym brwiom, łukowi nieco zakrzywionego nosa, drobnemu wężłowi podbródka.

Odsunął się od trumny i rozejrzał po sali, patrząc w górę i w dół. Przykładając złożone ręce do ust, krzyknął:

– Halo! Jest tu ktoś? Potrzebuję pomocy!

Prośba nie wywołała reakcji.

Musiało chodzić o coś więcej. Pokręcił się na podwyższeniu i znalazł napisy na tyle wielkiego tronu. Poszukał słów w języku angielskim i znalazł coś bliżej dołu.

*Otwórz jeden pojemnik. Albo znajdziesz prorocstwo, albo umrzesz. Nie tykaj więcej niż jednego.*

Fala ulgi na chwilę go obezwładniła. Jasnowidz zmarł, ale zostawił przepowiednię. Może jednak nie była to ślepa uliczka.

Jason wrócił na miejsce koło trumny i spojrzął na morze pojemników. Który według jasnowidza powinien wybrać? Skrzywił się. Znajdzie jakąś oczywistą wskazówkę? A jeśli wybierze niewłaściwy?

Zszedł z podwyższenia i zaczął włóczyć się wśród pojemników. Początkowo najbardziej pociągały go wielkie, drewniane skrzynie obite żelazem, po części dlatego, że wyglądały, jakby piraci mogli schować w nich skarb. Jednakże było wiele skrzyń odpowiadających temu opisowi. Przyjrzał się paru, szukając wskazówek, ale niczego nie znalazł. Uznał, że powinien rozejrzeć się za czymś bardziej niespotykanym, pojemnikiem, który jakoś wiąże się z jego życiem. Znalazł porcelanowe naczynie w kształcie kraba-tytana. Widać było, że górną część można po prostu podnieść. Jednak krab-tytan to było nieprzyjemne doświadczenie, więc szukał dalej.

Może powinien wybrać najbardziej wyszukane pudełko, jakie znajdzie, żeby potem je zatrzymać. Coś z kamieniami szlachetnymi. Czy Darian przewidział, że Jason wybierze w ten sposób? Przyjrzał się kasetce z kości słoniowej, zdobionej emalią i szafirami. Byłaby warta fortunę. Tylko czy miała jakiś związek z jego osobą? Jakie pudełko najprędzej zdaniem Dariana powinien wybrać?

Rozglądając się uważnie, nie bardzo wiedząc, co właściwie ma nadzieję zobaczyć, chodził bez celu. Rozglądał się za napisami po angielsku albo odwołaniami do jego świata lub ludzi, których znał. Ogólnie rzecz biorąc, starał się pozostać otwarty na wszystko, co może do niego przemówić. Wiele przedmiotów wyglądało na unikatowe lub cenne, ale nie potrafił znaleźć niczego, co uznałby za powiązane z nim bardziej niż reszta.

Może już przegapił pojemnik, który powinien wybrać. Może powinien pójść za pierwszym odruchem. Jaki pojemnik chciał otworzyć w pierwszej kolejności? Wielką skrzynię obok podwyższenia. Tylko czy większość ludzi nie wybrałaby czegoś blisko podwyższenia? Po odczytaniu instrukcji pierwsze pojemniki, na jakie by się natknęli, to te koło podium. Może powinien pójść na drugi kraniec sali. Albo wrócić do kraba. Albo bezcennej kościanej szkatułki. Nie, gdyby było mu pisane wybranie ich, to już by je wybrał, prawda?

Gapiąc się na posadzkę, Jason odszedł od podwyższenia, aż dotarł na drugi koniec sali. Zamknął oczy, obrócił się, wyciągnął palec i zerknął. Wskazywał na misterny pojemnik wielkości pudełka na lunch wyrzeźbiony w lśniącym złotym drewnie. Była to rzecz imponującej jakości, ale wzory przedstawiały tylko winorośle i kwiaty. Raczej w dziewczynskim guście.

Jason usiadł na podłodze. Może źle do tego podchodził. Jeżeli Darian był takim wspaniałym jasnowidzem, to czy wiadomość nie powinna czekać w dowolnym pojemniku, który Jason otworzy? Jeżeli zadanie polegało na odgadnięciu, jaki pojemnik Darian wybrałby dla niego, to sprawa wyglądała beznadziejnie. Możliwości było po prostu zbyt wiele. Kto wiedział, jakimi kryteriami kierował się jasnowidz? Jeżeli jednak Darian naprawdę widział przyszłość, wybór Jasona nie powinien mieć znaczenia. Cokolwiek wybierze, będzie to właściwy wybór.

Jason wstał i się rozejrzył. Złota szkatuła inkrustowana kamieniami w kształcie łezki

i lśnącymi perłami przyciągnęła jego spojrzenie. Opierając się pokusie, żeby zacząć analizować swój wybór, podszedł i ją otworzył. Szkatuła nie wybuchła. Nie wyciekł z niej trujący gaz. W środku znalazł zwój.

Siadając po turecku, rozwinął zwój i zobaczył, że napisana po angielsku wiadomość jest skierowana do niego. Ogarnęła go ulga. Zaczął czytać.

*Wielce szacowny lordzie Jasonie!*

*Chociaż nigdy się nie spotkaliśmy, czuję, jakbym Cię znał. Obserwowałem Cię bacznie z oddali. Jeśli kiedykolwiek odczytasz te słowa, to zdobędziesz je wielkim kosztem. Z pewnością będziesz miał powody do żałoby i pewnie będziesz się czuł zrozpaczony i samotny. Wiedz, że doceniam to, co Ty i Twoi towarzysze przecierpieliście, by otrzymać moją radę. W imieniu Lyrianu dziękuję Ci.*

Łzy zamglily wzrok Jasonowi. Otarł je. Dziwne, że uznanie w liście od jakiegoś nieżyjącego gościa miało dla niego znaczenie, a jednak. Poczul się odrobinę mniej samotny.

*Proszę, wybac mi mój język. Z góry przepraszam, jeśli cokolwiek wyrażę niezbyt jasno. Nie miałem jeszcze okazji za życia posługiwać się angielskim i nie spodziewam się tej przyjemności przed śmiercią. Nauczyłem się Twojego języka tylko i wyłącznie patrząc w moje płomienie. Moje jedyne doświadczenia z pierwszej ręki obejmowały pisanie wiadomości dla potencjalnych czytelników, mówiących płynnie w mowie powszechnej przyszłego Lyrianu.*

*Masz ciekawą naturę. Kluczowe słowa, którymi muszę się podzielić, są nieliczne, pozwól mi więc na ten luksus, że wyjaśnię Ci swoją misję. Pod koniec życia nauczyłem się widzieć przeszłość i przyszłość z najdrobniejszymi szczegółami. Poprzez swoje wizje pojąłem, że jestem największym jasnowidzem, jaki kiedykolwiek pojawi się w Lyrianie, i dostrzegłem, że bez mojej pomocy Lyrian ogarnie ciemność.*

*Opuściłem dom i uciekłem w odległe miejsce, gdzie mogłem lepiej kontrolować to, kto dotrze do moich przepowiedni, do miejsca, które przetrwa nawet wtedy, kiedy ostatnia moja przepowiednia straci już wszelkie znaczenie. Odnalazłeś to ukryte miejsce. Staralem się zadbać poprzez zadania zlecone w innych przepowiedniach, abyś dotarł do miejsca mojego ostatniego spoczynku. Jedna z tych próśb zaowocowała stworzeniem petruskiego zwoju, który doprowadził Cię do tego miejsca.*

*Chociaż doświadczam niezwykle żywych wizji przyszłości, nie zawsze mogę mieć pewność, którą z odgałęziających się ścieżek przyszłość wybierze. Widzę*

*multum możliwości z olbrzymią jasnością, a wiele z nich stoi ze sobą w sprzeczności. Istnieje mnóstwo możliwych przyszłości, w których nigdy nie przeczytasz tych słów. Jeśli je czytasz, wiele innych proroctw, które spisałem, straciło sens. Zrobiłem co w mojej mocy, by strzec Lyrianu tak daleko w przyszłości, jak byłem w stanie sięgnąć. Dopiero nadchodzące lata ukąż, w jakim stopniu mi się udało.*

*Ponad pięć tysięcy proroctw znajduje się w tym pokoju. W najlepszym wypadku mniej niż tysiąc pięćset zostanie odczytanych. W najgorszym tylko nieco ponad siedemdziesiąt. Poza pięcioma tysiącami przepowiedni w tym pokoju znajduje się także ponad sto tysięcy śmiertelnych pułapek, większość z nich wykorzystuje taki czy inny rodzaj trucizny. Znakomita większość nigdy nie odbierze nikomu życia.*

*Zrobiłem to co konieczne, żeby chronić swoje wiadomości. Przewidziałem pojawienie się wielu, którzy zapragną zniszczyć moją pracę, i zadbałem, żeby zginęli, gdyby dotarli tutaj.*

*Rozpoznałeś wskazówki, dzięki którym doszedłeś do tej sali. Różne wybory prowadzą do tej komnaty. Wiele więcej możliwości prowadzi do pewnej śmierci. Włożyłem bardzo dużo wysiłku w zadbanie, żeby wybory tych, których chciałem tu dopuścić, bezpiecznie doprowadziły ich do tej sali, a także w upewnienie się, że wybory moich wrogów okażą się śmiertelne w swoich skutkach.*

*Nie umieściłem żadnych wskazówek na pojemnikach z wiadomościami ode mnie, by pokrzyżować plany chytremu wrogowi, który mogłyby posłużyć się nimi, żeby przechwycić proroctwo przeznaczone dla kogoś innego. Zaufałem moim wizjom, że zwoje trafią do rąk, dla których są przeznaczone.*

*Było Ci pisane znaleźć tę wiadomość, Jasonie. Prawdę mówiąc, ze wszystkich proroctw, jakie się tu znajdują, Twoje jest najcenniejsze. Jeśli czytasz te słowa, to dlatego, że Lyrian stoi na krawędzi niekończącej się ciemności.*

*Jeżeli Maldorowi się uda, nie jestem w stanie dojrzeć czasu, w którym Lyrian ozdrowieje. A mogę sięgnąć wzrokiem daleko poza twoje czasy. Przed końcem swoich rządów Maldor stworzy innych na swoje podobieństwo i ta dynastia tyranów przetrwa niezliczone wieki. Chyba jedyny mroczniejszy koniec, jaki przewidziałem dla Lyrianu, to ten, w którym plaga z Ebery zalewa cały kontynent, ewentualność, której na razie zaradzono, jeśli czytasz te słowa.*

*Wiem, że denerwowałeś się tym, czemu to Ty masz odnaleźć przepowiednię. Pozwól, że ułagodzę Twoje wątpliwości. Może pocieszy cię fakt, że niektóre z największych postaci w historii nie dostrzegały własnej wartości. Mówiąc pokrótce, tylko dzięki Twojej pomocy istnieje szansa dla tych, którzy przeciwstawiają się zwycięstwu Maldora.*

Jason raz jeszcze przeczytał te słowa. Czy to możliwe?

Widzę, że będziesz wątpił w moje słowa. Chcesz uzasadnienia. Chcesz zrozumieć. Zacytuję kilka przykładów. Jeśli czytasz te słowa, to pomogłeś dokonać kilku kluczowych dla twojej misji wyborów. Podjąłeś działanie w punktach zwrotnych, które uratowały całą misję. Jednakże przede wszystkim Twój wpływ był potrzebny do zebrania odszczepieńców mających szansę na powodzenie. Byłeś jak werbownik pracujący przeciwko Maldorowi. Bez Ciebie nie podjęto by ponownie poszukiwań Słowa, a Rachel związałaby się ze sprawą Gallorana tylko przelotnie. Nedwin nigdy nie znalazłby swojego pana. Tark nigdy nie przyłączyłby się do sprawy. Ani Drake. Ani Aram. Ani Ferrin.

Poprzez morze czasu wszędzie szukałem rycerza, który uratowałby Lyrian. Musiałem szukać poza naszymi granicami. Z tych wszystkich, których mogłem tu zwabić, tylko Ty czyniłeś zwycięstwo prawdopodobnym. Zarówno Twoje bezpośrednie działania, jak i pośredni wpływ były niezbędne, by dać szansę wolnym ludziom Lyrianu uniknąć tyranii Maldora. Nie wątp w swoją wartość. Bez Ciebie w każdym scenariuszu, jaki zbadałem, zwycięstwo pozostawało całkowicie poza naszym zasięgiem.

Pozostaje nam przekonać się, czy wszyscy buntownicy, których zjednoczyłeś, odegrają swoją rolę równie dobrze jak Ty. Kiedy czytasz te słowa, zwycięstwo pozostaje możliwe, chociaż w żadnym razie nie jest pewne.

Przybyłeś tu po wiedzę. Informacje, jakie mam dla Ciebie, nie zapewnią zwycięstwa. Uczynią je jednak możliwym.

Pomagałem sterować prorocstwami, które Cię tu przywiodły. Wyroczni Esmirze brakowało talentu, by zagrozić aspiracjom Maldora. Nie chcę obrażać jej daru. Nawet dla mnie problem wydawał się niemal nie do pokonania i ostatecznie nasze wspólne wysiłki mogą zawieść. Dla dobra Lyrianu sięgnąłem do Esmiry poprzez wieki i pokierowałem jej wizjami. Porozumieliśmy się najpełniej pod koniec jej życia. Nie mogłem jej pokazać wszystkiego, co potrzebowała wiedzieć, ale byłem w stanie przekazać dość, żeby wskazać Galloranowi właściwy kierunek i skierować Ciebie tutaj, abyś odkrył resztę.

Istnieją chwile, kiedy wiedza okazuje się potężniejsza od siły fizycznej. Maldor rozkazuje po edomicku z większą siłą niż ja, a jego armie znacząco przewyższają liczebnością zastępy zgromadzone przez Gallorana. Jednak jeden sekret z przeszłości może dać Galloranowi przewagę, której potrzebuje. Ten sekret jest starodawny nawet w moich czasach. Poznałem go, patrząc wstecz, nie w przód. Wiadomość, którą musisz przekazać Galloranowi, brzmi tak: góra, na której wznosi się Felrook, kiedyś była znana pod inną nazwą. W dawnych wiekach nazywała się Allowat.

Nazwa wydała się Jasonowi znajoma, ale nie mógł się zorientować, gdzie ją słyszał.

*Ta wiadomość może Cię zbić z tropu w tej chwili, ale Galloran z pewnością pojmie jej znaczenie. Miejmy nadzieję, przez wzgląd na Lyrian, że to pomoże mu zwyciężyć.*

*Mam drugą wiadomość dla Ciebie. Odnosi się do Twojej przeszłości, a mojej przyszłości. Znowu nie jest to wskazówka, którą Ty rozszyfrujesz, ale może posłużyć komuś innemu. Wiadomość jest dla Rachel. Może ocalić wiele żywotów i oszczędzić wam nieco cierpienia. Powiedz jej, że Orruck nauczył ją już wszystkiego, co powinna wiedzieć. Były uczeń Maldora zamierzał zamienić ją w broń i podzielił się z nią pewnym rozkazem, który wymyślił, kiedy zamierzał obalić Zokara. Ten rozkaz może jej dobrze posłużyć w godzinie próby.*

*Te dwie wiadomości to właśnie to, po co się tu zjawileś. Nie kłopotz się orłami. Jeśli ucho rozsadnika nie wystarczy, Wasza sprawa już jest przegrana.*

*Mam ostatnią proroczą sugestię dla Ciebie, Jasonie. Ostatnia wiadomość ma znaczenie tylko wtedy, jeśli uda wam się pokrzyżować plany Maldora. Lyrian w przyszłości stawi czoło wielu niebezpieczeństwom. Ty i Rachel zjawiliście tu ze świata Poza. W wyznaczonym czasie, dla dobra Lyrianu, jedno z was musi wrócić do domu, a drugie zostać. Jeśli oboje zostanieie albo oboje odejdziecie, Lyrian ostatecznie upadnie.*

*To podsumowanie tego, co miałem Ci do powiedzenia. Nigdy tu nie wracaj, Jasonie. Nie ma tu dodatkowych wiadomości dla Ciebie. Wróć tu, a zginiesz. Żeby wyjść, naciśnij okrągły czerwony klejnot koło szczytu tronu.*

*Jeżeli Maldor upadnie, a Twoja córka kiedykolwiek będzie mnie potrzebowała, możesz powiedzieć jej, że czeka na nią przepowiednia. A teraz przekaz uchu wiadomości i wracaj do przyjaciół.*

*Z minionych wieków żegnam Cię serdecznie i życzę Ci jasnej przyszłości.*

*Twój sługa uniżony,*

*Darian*

Jason ledwie cokolwiek widział przez łyzy. Ulżyło mu, gdy dowiedział się, w czym pomógł, ale czuł się też rozdarty z powodu Drake'a, którego wciągnął w to wszystko i który w efekcie zginął. Czy inni, których zwerbował dla sprawy, też zginą? Czy już ktoś zginął? Ulżyło mu, że ma informacje, które może przekazać przyjaciołom, nawet jeśli nie rozumiał, jak mają im pomóc. Nie bardzo wiedział, co czuje w związku z pozostaniem w Lyrianie na zawsze. Skoro ma mieć tu córkę, to znaczy, że to on musi zostać, prawda? Czy też córka była jedną z wielu możliwych przyszłości?

Jason zapanował nad emocjami i rozejrzał się po pozbawionym życia pokoju, na

poły zaskoczony, że nadal jest sam. Nie czuł się samotny, czytając. Niemal czuł, że Darian był tam razem z nim. Teoretycznie był, zdał sobie sprawę Jason, patrząc przez salę na trumnę.

Pogrzebał w plecaku. Wyjął małą skrzyneczkę zawiniętą w szmaty. Otworzył kasetkę i wyjął owinięte w płótno ucho. Odwinął je i przysunął do ust.

– Ferrinie – powiedział głośno, rozkładając przed sobą zwój, żeby móc się do niego odwołać – jeśli śpisz, obudź się. Jeśli jesteś zajęty, przerwij pracę, żeby posłuchać. Ferrinie, mam prorocstwo. Pochodzi prosto od Dariana, tak jak obiecała wyrocznia. Poślemy też orły, ale powinieneś przekazać to prosto do Gallorana. Proszę, nie zawieź nas. Nie zdradź nas, proszę. Większość naszych tu zginęła. Zostaliśmy tylko my: Corinne, Aram i ja. Możliwe, że Farfalee straciła nasiono. Musieliśmy zabić Groddica, który okazał się Wędrowcem. Papłę bez sensu. Pozwól, że przekażę ci wiadomość. Nie jestem do końca pewien, co to znaczy, ale góra, na której stoi Felrook, nazywała się kiedyś Allowat. Darian uznał, że to ważne. Ma także wiadomość dla Rachel. Orruck już nauczył ją tego, co potrzebuje wiedzieć. To chyba ma coś wspólnego z edomickimi rozkazami, które jej zdradził. To było coś, co wymyślił do zniszczenia Zokara. To wszystko, czego się dowiedziałem. Mam nadzieję, że to będzie miało dla was sens. Mam nadzieję, że bitwa przebiega szczęśliwie.

Jason nie wiedział, czy Ferrin to usłyszał, czy nie, ale zamierzał powtarzać, powtarzać i powtarzać dla pewności. Ucho było ciepłe w dotyku i nie krwawiło, więc wiedział, że połączenie pozostało nietknięte i Ferrin żyje. Według Dariana wszystko teraz zależało od rozsadnika.



# Rozdział 28

## Ostatni czarnoksiężnik

Upływały godziny, a Rachel wciąż czekała w pokoju, w którym zostawił ją torivor. Dostarczył ją tam przez okno, wspiąwszy się po wysokim murze. Szykowała się na szybkie spotkanie z Maldorem, ale zamiast tego wylądowała w Felrook bez żadnego oficjalnego powitania.

Pokój był wygodny, ze wspaniałym łóżem, bogatymi dywanami, imponującym biurkiem, wieloma krzesłami, szafą, biblioteczką i stolikiem w kącie z tacą z przykrytym jedzeniem. Był tam osobny pokój do kąpieli, a za nim toaleta. Jednakże zamknięte drzwi wykonano z litego żelaza, a okno nie miało parapetu. Niezależnie od tego, jak wygodnie urządzone pokój, było to więzienie.

Po zmierzchu posłużyła się edomickim, by zapalić parę świec i lamp w pokoju. Zjadła całe jedzenie, a w szczególności była wdzięczna za świeże owoce. Otworzyła okno i wyjrzała w noc. Widok był taki, jakby patrzyła ze szczytu góry. Był to najwyższy punkt w całej dolinie. Chłodne powietrze wpadło do pokoju. Nie miała ochoty spać.

Io nie żył. Ból i poczucie winy gotowały się głęboko w jej duszy. Nie dość, że najpewniej popełniła ogromny błąd, przyjmując zaproszenie Maldora, to jeszcze przy okazji doprowadziła do śmierci Io. Nie miała pojęcia, że Maldor przyśle uzbrojonych czatowników. Nie miała pojęcia, że Io natychmiast zaatakuje w jej obronie niepokonanych wrogów. Mimo wszystko jego śmierć była bezpośrednim skutkiem jej wyboru.

Starła się zepchnąć tę potworną winę na Maldora. To przez cesarza jej wybór był konieczny. Bez niego nic takiego by się nie wydarzyło. On przysłał czatowników, kiedy była z innymi, zamiast poczekać, aż zostanie sama. Po tym, co przydarzyło się

Drake'owi, Rachel nie wyobrażała sobie, jak mogłaby znienawidzić Maldora jeszcze bardziej, ale jednak znalazła sposób.

Kiedy żelazne drzwi się otworzyły, Rachel przestraszyła się i prawie upuściła szklankę, do której nalewała wodę z dzbanka. Nie słyszała żadnych kroków, które oznajmiłyby przybycie gościa. Zapanowała nad sobą, wypięła łyk i odstawiła szklankę.

Wysoki, szczupły mężczyzna o blisko osadzonych oczach i wąskiej twarzy czekał w progu. Nosił czarne szaty okryte szarą oponczą. Za nim stało kilku strażników.

– Nie śpisz, to dobrze. Jego Ekscelencja przyjmie cię teraz.

– To zaproszenie czy rozkaz?

Mężczyzna wzruszył lekko ramionami.

– Najpierw zaproszenie.

Zbierając całą swoją wolę, Rachel chciała rozkazać nadgorliwemu mężczyźnie paść na podłogę. Mogła to zrobić. Potem mogłaby wydać strażnikom rozkazy, które rozproszyłyby ich uwagę, i przebiec obok nich. Tylko dokąd? Powinna była opracować plan, zanim zdradzi, czego potrafi dokonać za pomocą edomickiego.

– Dobrze – powiedziała, zakładając kapelusz. Trzymała go mocno w czasie jazdy na torivorze. Teraz zasłoniła twarz woalką.

– Proszę ze mną.

– Kim jesteś? – zapytała Rachel, kiedy wyszli na korytarz.

– Mało ważnym sługą – odparł nieznajomy. – Swego rodzaju administratorem. Nazywam się Damak.

– Znam twoje imię. Przesłuchiwałeś Jasona. Jesteś dziadkiem Copernuma.

– Służę Maldorowi zgodnie ze swoimi talentami – odparł Damak. – Może pewnego dnia będę też służył tobie. Jednak nie dzisiaj.

Poprowadził ją schodami przez strzeżone drzwi, korytarzem i przez kolejne strzeżone drzwi, a potem skręcili parę razy. Wreszcie dotarli do żelaznych drzwi na końcu korytarza. Damak otworzył je kluczem.

– Mam dziewczynę – oznajmił.

– Przyślij ją – odpowiedział ktoś, a Rachel rozpoznała głos ze snu, chociaż teraz brzmiał nieco bardziej ochryple. – Samą. Poczekaj na zewnątrz.

– Wedle życzenia – odpowiedział Damak.

Gestem nakazał Rachel, żeby weszła, a potem zamknął za nią drzwi.

Przestronny, urządzony z przepychem apartament był mroczny. Wszystkie zasłony zaciągnięto. Porozstawiane świece rzucały małe kręgi światła. Woalka jeszcze bardziej wszystko zaciemniała, ale Rachel jej nie odsunęła. Przygarbiona postać poruszyła się w wyściełanym fotelu na drugim końcu pokoju. Okrywały ją koce.

– Zbliź się – przywołał ją Maldor. – Niech na ciebie popatrzę.

Rachel podeszła.

– Wystarczy – powiedział, kiedy zbliżyła się do jego fotela. – Obróć się.

Spełniła polecenie, obracając się raz.

– Pochwalam twój strój. Wizerunek bardzo się liczy. Każę uszyć podobne stroje. Odsuń woalkę.

Rachel zdjęła kapelusz i odłożyła go na ciemnoczerwona sofę. Maldor pochylił się ku światłu świecy. Rachel stłumiła okrzyk. Miał takie same rysy jak we śnie, ale wyglądał na chorego. Skórę miał bladą i lepłą od potu, włosy przetłuszczzone, twarz głęboko poślubioną, oczy przekrwione. Z kącika ust sączyła się różowawa ślina. Połowa jego twarzy obwisała bezwładnie jak sparaliżowana.

– Mój wygląd cię zaniepokoił – stwierdził Maldor.

Kiedy mówił, poruszała się tylko część ust.

– Wyglądasz na chorego.

– Pewnie tak. Dziękuję, że przyszedłaś, Rachel.

– Wydawało się, że nie mam wyboru.

Maldor zakaszlał kilka razy w pięść. Uniósł palec, dając znać, że odpowie za chwilę. Kiedy atak kaszlu się skończył, otarł usta chusteczką. Była we krwi. Odchrząknął.

– To był twój jedyny rozsądny wybór. Mogłaś zdecydować się zginąć z przyjaciółmi.

– Twoi czatownicy zabili jednego z moich przyjaciół – powiedziała oskarżycielskim tonem Rachel.

– Co za przykrość. Poprosiłaś o bezpieczne przejście do Felrook. Twoją wiadomość odebrali torivorowie i przekazali mi. Ocenilem sytuację i wysłałem stosowną eskortę. Wymagało to niemałego wysiłku, ale wiedziałem, że ktoś może się wtrącić, niezależnie od twojego życzenia. Siadaj, proszę.

Rachel usiadła na sofie obok. Zrobiła to z własnej woli czy też w prośbie była ukryta sugestia?

– Normalnie nie pozwalam, aby ktokolwiek widział mnie w tym stanie – powiedział Maldor. – Jak wspomniałem chwilę temu, wizerunek jest ważny. Ty jednak nie jesteś byle kim. Nasze relacje muszą być uczciwe. Chcę, żebyś została moim uczniem. Chcę, żebyś u mnie terminowała i być może kiedyś stała się moim przyjacielem. Chcę ujrzeć wyżyny, na które pewnego dnia się wespniejesz. Zdecydowałem się pokazać ci się w takim stanie, żebyś mogła zobaczyć cenę, jaką byłem gotów zapłacić za sprowadzenie cię tutaj.

– Nie jesteś chory – zrozumiała Rachel. – Wysłanie czatowników doprowadziło cię do takiego stanu.

– Zgadza się – przytaknął Maldor, dotykając czarnego klejnotu, który nosił na szyi. – Już dochodzę do siebie. Raptem parę godzin temu byłem w o wiele gorszym stanie. Wezwałem cię, kiedy tylko poczułem, że mogę rozmawiać. To wszystko się wygoi. – Wskazał swoją twarz. – Odrętwienie jest czasowe. Prawie przesadziłem. Nie zamierzam nigdy więcej wysłać pięciu torivorów z mieczami. Rozumiesz, dlaczego to

zrobiłem?

– Żeby na pewno nikt mnie nie zatrzymał?

– Właśnie. Żebyś na pewno do mnie dotarła. Konflikt dobiegł końca. Nie muszę zabijać ciebie, Gallorana czy Ferrina, żeby wygrać tę wojnę. Wojna zakończyła się w dniu, w którym Galloran przemaszerował ze swoją armią przez przełęcz. Jednak z powodu moich wojsk gotowych do zejścia musiałem wydostać cię z fortu, zanim straciłbym szansę. Z podjęciem decyzji czekałaś niemal do ostatniej chwili. Nie cieszy mnie nadszarpywanie własnego zdrowia. Nie zachwyca mnie nadwyrężanie moich relacji z torivorami. Nie raduje mnie uwolnienie pięciu z moich najlepszych sług z ich zobowiązań, kiedy tylko jeden z nich odebrał życie.

– Wszyscy są wolni? – zapytała Rachel.

– Cała piątka. Oto cena za wysłanie ich z mieczami. Gdyby poszli bez broni, Galloran mógłby ich wszystkich zabić. Co innego, gdyby nie wypełnili misji. Mogę pogodzić się z utratą torivora, kiedy zostanie pokonany. Rozkazałem im jednak nie podejmować walki, jeśli zgodzisz się tu przyjść. Nadwyrężyłem swoje zdrowie i straciłem pięciu elitarnych wojowników, żeby cię sprowadzić. A uczyniłbym więcej.

– Dlaczego tak ci zależy? Przecież nie możesz mi zaufać.

– Doprawdy? – Zarechotał. – Zaufanie nigdy nie należało do moich nawyków. Widziałem zbyt wielu wielkich czarnoksiężników, którzy upadali, ponieważ ufali uczniom.

– Dlaczego więc mnie chcesz? Pragniesz niewolnika?

Maldor znowu się zaśmiał. Śmiech przeszedł w kaszel.

– Nie potrzebuję więcej sług. Mam ich mnóstwo. Cały Lyrian. Zainstaluję zabezpieczenia znacznie bardziej niezawodne niż zaufanie. Będziesz moją uczennicą. Proszę tylko, żebyś się ode mnie uczyła.

– A jeśli nie chcę uczyć się od ciebie?

Uśmiechnął się sprawną połówką ust.

– Zdaję sobie sprawę, że nie chcesz się do mnie upodobnić. Wiem jednak, że chcesz nauczyć się czegoś więcej o edomickim. Pamiętasz, że odwiedziłem twój umysł. Jestem ostatnim czarnoksiężnikiem w Lyrianie, Rachel. Nie pozostał nikt, kto może nauczyć cię sekretów naszego zakonu. Nawet nie potrafisz sobie wyobrazić wszystkich możliwości.

– Jeśli będę bardzo się starać, to może któregoś dnia też będę umiała kaszleć krwią.

– Rozumiem twoją wrogość. Nie jestem przyjemnym przeciwnikiem. Niestety, kiedy przysłaś do tego świata, związałaś się z przegraną sprawą.

– Jeszcze nie przegraliśmy.

Maldor zarechotał.

– Oczywiście, że nie. Przepowiednia! Prawie zapomniałem. Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że to proroctwo umożliwiło mi obmyślenie idealnej pułapki. Widziałem,

dokąd moi wrogowie zacierają, i stosownie do tego opracowałem strategię. Proroctwo tylko przyspieszy ich koniec.

– Jeszcze nie przegraliśmy – powtórzyła Rachel.

– Oni przegrali. Nie wszyscy już umarli, ale wszyscy przegrali. Ty nie. Ty zapracowałaś na ostatnią szansę. Rachel, w tej chwili nadzieja stała się dla ciebie solą na rany. Mądrzej byłoby ją porzucić. Wysłałem najwspanialszego sługę, żeby powstrzymał Jasona i jego przyjaciół. Nie będzie litości. Wszyscy zostaną zabici. Tej taktyce brakuje subtelności, ale w tym momencie to roztropne podejście. Ten sługa nigdy nie zawodzi, Rachel. To ta sama osoba, która przyprowadziła mi Gallorana. Najprawdopodobniej Jason i wszyscy, którzy mu towarzyszą, już nie żyją.

– Nie jesteś jednak pewien.

– Jeszcze nie. Niedługo będę. Galloran i pozostali zginą, oczywiście, w stosownej dla mnie chwili.

– Nie będę mogła ich ocalić?

Maldor zamilkł.

– Taka była początkowa umowa. Nigdy tego nie odwołałem. Dobrze więc. Przygotuj listę, a ja uhonoruję ją w miarę swoich możliwości. Rozumiesz, że winy za śmierć tych towarzyszy, którzy już zginęli, ponieważ za długo zwlekałaś, nie można przypisać mnie.

– Będę cię obwiniać w takim stopniu, w jakim zechcę. Zabiłeś Drake’a.

Uniósł palec.

– Zamierzałem zabić Jasona. Drake zginął, ponieważ się wtrącił.

– Brzydzisz mnie.

– Nie wystawiaj mnie na próbę, Rachel – ostrzegł ją Maldor. – Twój surowy talent w edomickim intryguje mnie. Po części z mojej przyczyny stał się tak rzadkim rarytasem. Jednak nie jesteś niezbędną, daleko ci do tego. Byłem dziś pobłażliwy, bo zdaję sobie sprawę, że przejście na drugą stronę będzie dla ciebie trudne. Musisz pamiętać, że uczeń nie lekceważy mistrza.

Gotując się ze złości, Rachel ugryzła się w język. Jeśli przesadzi z arogancją, może stać się zbyt oczywiste to, że przyszła tu w nadziei, że ułatwi atak na Felrook.

– Cieszę się, że potrafisz się nieco powściągnąć – powiedział Maldor. – Lepsze trochę niż nic.

– Jak to będzie działać? – zapytała Rachel.

– Nasza umowa? Nie martw się tym, dopóki twoi przyjaciele nie polegną. Zakładam, że zjawiałaś się tutaj, nadal mając nadzieję, że w jakiś sposób pomożesz Galloranowi. To niemądre, ale przewidywalne, zważywszy na twoją historię.

Rachel zmarszczyła brwi. Czytał w jej myślach? Czy też naprawdę było to aż tak oczywiste?

– Dlaczego siedziałbyś tu ze mną sam na sam, gdybyś tak myślał?

Maldor uśmiechnął się krzywo.

– Pytasz, czy możesz stanowić dla mnie jakieś zagrożenie, kiedy jestem przytomny. Naprawdę jesteś aż tak arogancka? Czy tak głupia?

Rachel poczuła, że policzki jej czerwienieją.

– Nie martwię się tym, jakie zagrożenie stanowisz dzisiaj. Nie martwię się tym, jakie zagrożenie będziesz stanowić w przyszłym roku. Masz talent, ale jesteś ledwie kielkiem. Pewnego dnia, po wielu dekadach ćwiczeń, jeżeli osiągniesz swój pełen potencjał, będziesz mogła stanowić zagrożenie i dlatego od razu zastosuję odpowiednie zabezpieczenia. Gdybyś już teraz była dla mnie niebezpieczna, nie miałbym prawa brać cię na ucznia.

Rachel sztywno skinęła głową. Naprawdę był aż o tyle od niej lepszy? Czy też próbował ją zwieść? Może jej nie doceniał. Nie mogła czekać latami, żeby rzucić mu wyzwanie. Galloranowi zostały niecałe trzy dni. Czy nadarzy się jeszcze podobna okazja? Sam na sam z Maldorem osłabionym po wysłaniu grupy torivorów? Siedział tu, łypiąc krzywo i kaszląc jak słaby staruch. Jeśli chciała podjąć działania przeciwko niemu, mogła to być jej jedyna szansa.

Maldor otarł usta.

– Naprawdę jesteś obca tu, w tym świecie. Nie doceniasz tego, kim jestem. Może tak jest lepiej. Do pewnego stopnia to obraźliwe, ale też przedziwnie odświeżające. W miarę jak nasza relacja będzie się rozwijać, pokażę ci kilka swoich umiejętności, by udowodnić swoją wyższość. Nie powinnaś służyć mi jako uczeń, wątpiąc w moją sprawność.

Rachel rozejrzała się po pokoju. Skupiła się na sztylecie w pochwie, leżącym na stoliku. Byli sami. Maldor sprawiał wrażenie, że absolutnie niczego się nie spodziewa, a ona pewnie nigdy nie zastanie go równie osłabionego. Wypowiadając rozkaz, wyjęła sztylet z pochwy, a potem, przelewając cały strach i frustrację w polecenie, posłała ostrze w kierunku postaci w fotelu.

Maldor wymamrotał kilka słów i sztylet odleciał od niego, zatrzymując się z czubkiem niecały cal od gardła Rachel. Jak on to zrobił? Pchnęła ten nóż dostatecznie silnie, żeby przebił się przez Maldora i fotel, a jednak całkowicie wyrwał się spod jej kontroli umysłowej. Nieruchoma patrzyła na sztylet. Pot zlał jej czoło. Mówiąc w myślach, Rachel próbowała złapać nóż umysłem, ale wyslizgiwał jej się bardziej niż żywa istota.

– Trzeba czegoś więcej – powiedział Maldor, pozwalając sztyletowi upaść. – Nie dość, że było to nieudolne, to jeszcze niemądre.

Wściekła i zakłopotana Rachel rozkazała fotelowi zapłonąć. Płomienie wybuchły wokół Maldora. Zarówno fotel, jak i siedzący na nim człowiek, powinni szybko zamienić się w popiół. Maldor wypowiedział krótką frazę, anulując jej polecenie. Zgromadzone ciepło rozproszyło się, a Rachel padła na podłogę, trzęsąc się

spazmatycznie. Było jej niedobrze i oślepiający ból płonął za oczami. Wiedziała, że Maldor nie wywołał bezpośrednio u niej żadnego z objawów. To były konsekwencje jej nieudanego edomickiego polecenia.

– Ogień o wiele łatwiej ugasić niż wywołać – poinstruował ją Maldor. – Bardzo się narażasz, próbując wezwać ogień w obecności innego czarnoksiężnika. Chcesz spróbować jeszcze innego ataku? Źle wyglądasz, Rachel. Chociaż nieszczęścia chodzą parami i moja niemoc nie pogardzi towarzysstwem, to może jednak powinnaś się poddać.

Rachel z trudem się podniosła. W głowie jej dudniło. Rozsądek ostrzegał, że Maldor zdecydowanie ją przerasta. Atakując go ponownie, dałaby mu tylko kolejną szansę, żeby ją skrzywdził. Nie mogła jednak się poddać. Przyjaciele liczyli na jej siłę.

Po edomicku zasugerowała, żeby Maldor padł na podłogę. Szarpnął się do przodu i zeszywniał na chwilę z drżącymi ustami. Jego przekrwione oczy pałały gniewem. Po chwili rozluźnił się i warknął, wypowiadając własną sugestię. Rachel złapała się na tym, że podnosi sztylet z podłogi i przystawia go do gardła. Nie przestawał mówić. Rachel starała się oprzeć sugestiom, ale słowa sprawiały, że była jak zamroczona. Złapała się na tym, że siada na sofie, kłuje sztylitem uda, a potem wbija go w poduszkę obok. Żadne z tych działań nie było jej decyzją. Nikt w Mianamon nigdy nie sprawił, że czułaby się tak bezradna. Była zaledwie marionetką. Maldor przestał mówić i Rachel zgarbiła się na sofie, dysząc ciężko, walcząc z zawrotami głowy. Miała wrażenie, że czaszka rozpadła jej się na kawałki. Bolały ją uszy.

– Jak śmiesz próbować zapanować nad taką wolą jak moja? – Po raz pierwszy prawdziwy gniew zabarwił głos Maldora. – Spróbuj tego raz jeszcze, a poderżnę ci gardło za taką bezczelność.

Rachel słyszała go jak z daleka. Niemalże nie była w stanie skupić się na czymkolwiek poza bólem, który rozbłyskiwał w jej czaszce i rozrywał oczy od tyłu. Jak przez mgłę dotarło do niej, że Maldor jest wściekły, ponieważ jej sugestia przez chwilę działała. Przez jeden ułamek sekundy, czas nie dłuższy niż moment pomiędzy dwoma uderzeniami serca prawie jej uległ. Z prawdziwym wysiłkiem się oparł. I to mu się naprawdę nie spodobało.

– Widzę, że nie nadajesz się do dalszej rozmowy – orzekł Maldor. – Pozwól, że wyjaśnię pokrótce warunki nauki u mnie. Może, by poddać mnie próbie, może, by popisać się własną nieudolnością, pokazałaś, że jesteś zdolna do zdrady. W ramach zabezpieczenia przed dalszą zdradą dam ci oko i ucho zaufanych rozsadników i związę cię ze słowem-kluczem, które pozwoli mi zniszczyć cię w dowolnej chwili. Jak mniemam, ten concept nie jest ci obcy. Przychodząc tutaj, zgodziłaś się na naukę u mnie i związane z tym zabezpieczenia. W tej chwili potrzebujesz odpoczynku. Chcę, żebyś była zdrowa, żeby patrzeć, jak moje wojska niszczą żalosnych sojuszników, których sprowadziłaś do mojej doliny. Mogę uznać, że ból, który jest skutkiem

ubocznym nieudanego zamachu na mnie, to wystarczająca kara. Mogę też zdecydować inaczej. W każdym razie każę przygotować moim sługom miksturę, która przyspieszy twoje wyzdrowienie. W tej chwili masz moje pozwolenie, by położyć się spać.

Maldor wymówił krótką edomicką sugestią i świadomość Rachel umknęła.



# Rozdział 29

## Przeznaczenie

Patrząc z okna swojego pokoju we Wschodnim Forcie, Tark rozważał zalety samotnego ataku na Felrook. Pod sierpem księżyca blade plamy światła jaśniały na ciemnym kamieniu fortecy, przez co wydawała się na poły namacalna w ciemności – upiorna mieszanka światła i cienia.

Tark chwycił się parapetu. Miał silne i mocne ręce nawet jak na swoją posturę. Czuł, jak kamienne brzegi wrzynają się w pokryte zgrubieniami palce. Jak mógł przeprowadzić atak w pojedynkę? Przeplłynąć w łódce przez jezioro spowite ciemnością? Po cichu wspiąć się po urwisku i potem po murze? Czy też uczciwiej byłoby wbiec ścieżką za dnia? W końcu chodziło o to, żeby umrzeć.

Pochylił głowę, odtwarzając w myślach porwanie Rachel. Lord Jason powierzył mu jej ochronę. Io zginął, broniąc jej, nawet rozsadnik zaryzykował życie. Jednak po jednym słowie dziewczyny Tark odsunął się i pozwolił czatownikowi ją zabrać. To ona chroniła jego! A miało być odwrotnie!

Ze wstydu zacisnął mu się żołądek. To było niepokojąco znajome uczucie. Nie zasługiwał na porządną śmierć. Wiele razy mógł tak zginąć. Było mnóstwo okazji. Mógł zginąć dobrą śmiercią, gdyby spłynął z wodospadu razem z towarzyszami. Mógłby zginąć szlachetnie, gdyby kontynuował walkę z Maldorem, zamiast przyjął zaproszenie do Harthenham. I byłaby to godna śmierć, gdyby zginął, broniąc Rachel, jak prosił jego pan.

Tark miał za każdym razem swoje powody. Ofiarę na wodospadzie uznał za pozbawioną sensu, tak samo jak swoją prywatną wojnę z Maldorem. Samotna śmierć w Harthenham wydała mu się bardziej godna takiego tchórza jak on. Jednakże zjawił się Jason. Po Harthenham Tark miał chronić nasiono Jashera. A potem Rachel kazała

mu się wycofać. Nie miałyby szansy powstrzymać czatowników. Oddanie życia niczego by nie zmieniło. Tark pomyślał, że pewnie każdy tchórz ma swoje powody.

W Mianamon wyrocznia zapewniła go, że ma rolę do odegrania przed końcem wojny. Powiedziała mu, że będzie wiedział, kiedy nadejdzie czas. Cóż, czas nadszedł, a on pozwolił, żeby okazja przeszła mu koło nosa. Maldor zabrał Rachel i Tark nie mógł zrobić nic, co by to zmieniło, może poza poświęceniem życia w beznadziejnym ataku.

Skrzywił się. Czy beznadziejny atak na Felrook byłby aktem odwagi w ramach pokuty, czy marnotrawnym pokazem uzalania się nad sobą? Nie zaatakuj. Nie tak naprawdę. Znowu porzuciłby swój obowiązek. Ma zobowiązania wobec Gallorana. Nadchodziły wojska Maldora. Jason powierzył mu nie tylko ochronę Rachel, powiedział także, by służył królowi. Rachel powierzyła mu tę samą misję. Jeśli nie miał nadziei na uratowanie Rachel, będzie lepszym sługą, jeśli zostanie i umrze u boku Gallorana.

Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia. Kto by przychodził o tej porze w nocy? Nie usłyszał poruszenia w twierdzy, żadnego znaku ukradkowego ataku. Zaciekawiony otworzył drzwi.

Stał tam Ferrin i wyglądał jak oszołomiony.

– Pomyślałem, że może nie śpisz.

– Co się stało? – zapytał Tark.

Ferrin uśmiechnął się półgębkiem i popukał w bok głowy, gdzie brakowało ucha.

– Mam wiadomości. Właśnie szedłem do Gallorana, ale pomyślałem, że ty też chciałbyś usłyszeć.

– Wieści od lorda Jasona?

– Udało mu się. Poznał prorocstwo. Przekonałem siebie, że nie ma sposobu, by jakieś słowa powstrzymały klęskę, ale Galloran miał rację. Informacja jest wszystkim, co nam obiecano. Może nam pomóc zniszczyć Felrook.

– Czego dowiedział się lord Jason?! – wykrzyknął Tark.

Ferrin pokręcił głową.

– Galloran zasłużył, żeby usłyszał to jako pierwszy. Ty jednak zasługujesz, żeby przy tym być.

Tarkowi myśli kłębiły się w głowie, kiedy szedł za Ferrinem do kwater Gallorana. Co to mogła być za informacja? Musiała odnosić się do tajnego wejścia do Felrook. Gdyby zdołali dyskretnie przekraść się do zamku, bitwa mogłaby być szybka i decydująca. Mogliby uratować Rachel! Kiedy zjawią się wojska Maldora, zastaną przywódcę martwego albo pojmanego, a Galloran będzie bezpiecznie siedział za niezdobytymi murami. Jason dowiedział się o tajnym wejściu. Cóż innego to mogło być? Co innego sprawiłoby, że Ferrin mówiłby o możliwym zwycięstwie?

Dwaj nasiennicy, dwóch drinlingów i dwóch ludzi z Trensicourt strzegli drzwi do

kwater Gallorana.

– Mam pilne wieści dla króla – oznajmił Ferrin.

Główny wartownik odwrócił się i zapukał. Lodan otworzył drzwi. Zastąpił Io w roli pomocnika i osobistego strażnika Gallorana.

– Obudź króla – powiedział Ferrin – mamy pilne wieści.

– Król jeszcze się nie położył – odpowiedział Lodan. – Wydaje się, że stracił dryg do snu. Doskonali się za to w krążeniu po pokoju i oglądaniu map. Wejdźcie.

– Nie od razu – odpowiedział Ferrin. – Niech król założy przepaskę na oczy. Moja obecność o tej porze może okazać się wskazówką dla wroga.

– Jak sobie życzysz.

Lodan odszedł. Po chwili wrócił.

– W porządku.

Tark wszedł za Ferrinem. Lodan zamknął drzwi i poszedł za Tarkiem. Galloran odwrócił się w ich stronę. Nadal był ubrany, stał obok stołu zasypanego mapami. Miał opaskę na oczach.

– Bawisz się moimi nadziejami – powiedział.

– Nie bawię się – odpowiedział Ferrin. – Udało mu się. Jason przekazał mi przepowiednię.

– Pomoże nam?

– To cenny sekret. Powinniśmy ograniczyć liczbę osób, które go poznają. Jeśli wyda się, że go znamy, Maldor może nam pokrzyżować szyki.

– A jednak przyszedłeś z tym do mnie. Dziękuję za twoją lojalność. Kto ci towarzyszy? Słyszałem, że wszedł ktoś jeszcze. Tark?

– Tak, Wasza Królewska Mość – odezwał się muzyk. – Mogę poczekać na zewnątrz.

– Bzdura. Jednak ani jedno słowo nie może opuścić tego pokoju. Na razie będzie wiedzieć tylko nasza czwórka. Pozwólcie, że ja ocenię, kto jeszcze powinien poznać sekret.

– Są dwie wiadomości – powiedział Ferrin. – Jedna jest dla pana. To klucz do naprawy całej sytuacji. Najwyraźniej druga wiadomość mogła pomóc Rachel. Wiadomość dla pana mówi, że Felrook zbudowano na szczycie Allowat.

Galloran zamarł. Podniósł rękę do ust, zasłaniając uśmiech, którego nie potrafił powstrzymać.

– Na górze, z której w starożytności wydobywano orantium.

Ferrin pokiwał głową.

– Kopalnię porzucono, ponieważ natknięto się na żyłę zbyt bogatą, by dało się ją wydobyć. Zamknięto szyby, a lokalizację zachowano w sekrecie.

– A wiele tysięcy lat później – mruknął Galloran – Maldor nieroztropnie wybudował na niej fortecę. Esmira miała rację. Rzeczywiście nasza nadzieja jest biała jak rozbłysk orantium.

– Musieli zabezpieczyć wejście do kopalni jeziorem – mówił Ferrin. – Kto wie, jakie inne zabezpieczenia zastosowali. Dotarcie do żyły może być trudne.

– Mamy dzień jutrzejszy i następny – powiedział Galloran. – Potem zjawią się wojska Maldora. Jeśli tylko dobrze wyliczymy chwilę...

– ...możemy zakończyć wojnę jednym ciosem – dokończył Ferrin. – Powiniennem natychmiast udać się nad Fellion. Mogę zostawić nos nad wodą i poszukać wejścia do zagubionej kopalni.

– Zgoda. A jak brzmi wiadomość dla Rachel?

– Najwyraźniej nauczyła się tego, czego potrzebuje od Orrucka – odpowiedział Ferrin. – Nauczył ją słów, które powinny okazać się użyteczne, rozkazu, który wymyślił, by obalić Zokara.

– Orruck nauczył ją tylko dwóch rozkazów. Skoro Darian uważa, że mogą być użyteczne, musimy przekazać jej tę wiadomość.

– Telepatycznie?

Galloran potarł podbródek.

– Jest w zamku. Jeśli wypłynę na jezioro, mogę znaleźć się na tyle blisko, żeby do niej dotrzeć. Musi wiedzieć, że powinna uciekać z Felrook.

– Nie może jej pan powiedzieć, jak zamierzamy zniszczyć fortecę.

– Oczywiście. Gdyby Maldor w jakiś sposób wydobył od niej tę wiedzę, mógłby pokrzyżować nam plany. Możemy ostrzec ją, by uciekała, i nakreślić ramy czasowe. I musimy jej powiedzieć, że rozkazy, których nauczyła się od Orrucka, powinny się przydać. Reszta zależy od niej.

– Powiniennem iść nad jezioro – powiedział Ferrin.

– Natychmiast – przytaknął Galloran. – Weź wodorosty. Blask będzie widoczny, ale przyda ci się światło. Wyślij kilka łodzi, wszystkie z wodorostami. To powinno ich zmylić. Pewnie zaczną do ciebie strzelać.

– Tym aż tak bardzo się nie martwię. Powiniennem iść.

Tark złapał Ferrina za rękę.

– Mogę pomóc. Byłem nurkiem. I górnikiem.

– Jasne. Chodźmy.

Ferrin ruszył, ale Tark go zatrzymał.

– Kiedy znajdziemy kopalnię, ktoś będzie musiał zapoczątkować wybuch.

– Tak – powiedział Ferrin. – Wątpliwe, żeby ta osoba wyszła cało z tej misji.

Tark skinął głową i łzy ulgi zabłysły mu w oczach.

– Odkąd wyruszyliśmy z Mianamon, zastanawiałem się, czemu mnie uwzględniono. Nie chcę, żeby zabrzmiało to pompatycznie albo egoistycznie, ale nic nie poradzę, że podejrzewam... Myślę, że to jest moje przeznaczenie.

# Rozdział 30

## Sprawiedliwość

Na zamku wreszcie zrobiło się cicho. Nedwin długo czekał w nocy, krążąc po ukrytych przejściach, nasłuchując odgłosów kroków, brzęku zbroi, szelestu ubrań, trzaskania ognia, szczyku zamykanych drzwi i zamków, chlupotu nalewanych napojów, dzwonienia sztućców, cmokania ust i skrzypienia mebli. Wychwycił urywki przyciszonych rozmów i słyszał stłumione śmiechy. Nasłuchiwał, jak kobieta nuci, usypiając niemowlę. W końcu ognie się dopaliły i przestały trzaskać, najcichsze dyskusje ustały i ludzie przestali nawiedzać korytarze.

Będą gwardziści przed określonymi drzwiami i wielu strażników na murach, ale korytarze w zamku już bardziej opustoszałe nie będą. Ciche pochrapywanie i biegające myszy były najgłośniejszymi wyjątkami w ciszy. W ciągu następnej godziny kuchnie ożyją, kiedy piekarze wstaną rano, żeby zacząć przygotowywać świeży chleb, ale do tego czasu zamek należy do tego, kto go ukradkiem przejmie.

Cel, który wybrał tej nocy, nie wynikał z potrzeby zemsty. Przez kilka dni Nedwin rozważał możliwości i uznał, że jego postanowienie złożenia Copernumowi wizyty nie wynika z osobistych uprzedzeń. To był ważny krok w kierunku odzyskania Trensicourt. To była kwestia sprawiedliwości.

Galloran potraktował Copernuma z pobłażliwością. I jak kanclerz odpłacił się za tę niezасłużoną łaskę? Zdradą. Ukradł królestwo, kiedy król wyjechał. Zamordował wielu dobrych ludzi tamtej nocy. Otwarcie zajął Trensicourt w imieniu cesarza.

Nie próbował nawet ukryć swojej zbrodni. Ogłaszając ją publicznie, właściwie przyznał się do zdrady stanu. A karą za zdradę była śmierć.

Mimo swoich wielu budzących niesmak cech Copernum był doskonałym strategiem. Dopóki będzie żył, będzie znacznie trudniej odzyskać Trensicourt. Uzurpatorom już

zabrakło olbrzymów. Bez przywództwa Copernuma fałszywy rząd znacznie osłabnie.

Nie będzie łatwo do niego dotrzeć. Copernum opuścił dawne pokoje i zajął królewskie apartamenty. Nedwin nie znał żadnych sekretnych przejść do królewskiej wieży. Jeżeli Galloran jakieś znał, to zachował tę wiedzę dla siebie. Możliwe, że aby uczynić wieżę bezpieczną, nie umieszczono tam żadnych takich przejść.

Jednakże dawno temu Nedwin dostrzegł jedną słabość królewskich komnat. Jeden balkon był teoretycznie dostępny z okna naprzeciwko. Nedwin nie mógł tego przeoczyć. Wykorzystanie tej słabości wymagałoby znacznych umiejętności i odrobiny szczęścia. Czuł, że sobie poradzi.

Istniała inna możliwość, o wiele mniej subtelna. Nedwin wiedział, gdzie znajdzie zapas dwunastu kul orantium. Używając ich rozrzutnie, zdołałby pewnie przebić się przez kolejne drzwi i gwardzistów dostatecznie szybko, żeby dotrzeć do Copernuma. Wiedział jednak, że jeśli wejdzie z orantium, nigdy nie ucieknie. Zamieszanie ściągnęłoby zbyt wielu gwardzistów.

Chciał przeżyć. Będzie wiele innych celów poza olbrzymami i Copernumem. Kłamliwy kanclerz zaczął niehonorową wojnę, podstępą wojnę, ten rodzaj wojny bez sztandarów i fanfar, cichą wojnę prowadzoną w najciemniejszych godzinach nocy. A Nedwin był wyjątkowo dobrze wyposażony do tego rodzaju walki.

Galloran nie chciałby, żeby Nedwin lekką ręką odrzucał własne życie. Jak mógłby nadal służyć królowi i jego sprawie, gdyby pozwolił, żeby gwardia go zabiła? Inni ludzie, nadal wierni Galloranowi, potrzebowali jego przywództwa i umiejętności. Wejdzie po cichu, zajmie się Copernumem i ucieknie, żeby następnego dnia podjąć walkę.

Na zamku nadal panował spokój. Nadeszła godzina działania.

Nedwin wszedł do pustego pokoju przez przejście ukryte za boazerią. Nosił mokasyny i czarne ubranie. Dyskrecja była jego zbroją. Miał krótki miecz, tak szeroki, że uszedłby jako tasak. Ciężkie ostrze sprawdzi się przy dzisiejszym zadaniu.

Nasłuchując, przeszedł pośpiesznie korytarzem i wspiął się po kręconych schodach. Dotarł do celu – drzwi z drewna i żelaza. Delikatnymi narzędziami nakłonił zamek do współpracy. Towarzyszący temu hałas zabrzmiał w jego uszach niczym gong. Zamarł, wyęzając wszystkie zmysły. Śpiący za drzwiami oddychał równo.

Nedwin odłożył narzędzia i wyjął chusteczkę. Przeszukał fiołki na szyi, znalazł potrzebny roztwór i zwilżył nim materiał. Otworzył drzwi i podszedł do łóżka. Przysadzisty mężczyzna około pięćdziesiątki leżał na boku. Miał krzaczaste brwi, a z jego ucha wystawały czarne włosy.

Pewnym ruchem Nedwin położył chusteczkę na nosie i ustach śpiącego. Mężczyzna złapał gwałtownie oddech i zamarł, oddychając wolniej. Zacisnął powieki, ale ich nie otworzył. Obudzi się dopiero późnym popołudniem.

Nedwin schował chusteczkę, zamknął drzwi na zamek. Wyciągnął z plecaka linę

i bosak, podszedł do okna. Posługując się narzędziami, które należały do Nicholasa, przygotował sobie bosak specjalnie do tego zadania, dopasowując rozmiary tak, żeby porządnie zahaczył się o upragnioną balustradę. Od tego zależało jego życie.

Odłożył na chwilę bosak i sprawdził trzy kusze, dwie małe i jedną dużą, doskonałą broń zaprojektowaną i sporządzoną przez Nicholasa i jego siostrzenicę. Wiedział z doświadczenia, że małe kusze wystrzelą bełty ze zdumiewającą prędkością, jak na swój rozmiar. Wielka kusza strzeli dwa razy, ponieważ zakładało się do niej po dwa bełty. Wszystkie trzy były naładowane i gotowe. Jeśli strzał nie będzie śmiertelny, substancja na grotach bełtów sprawi, że ofiara straci przytomność w kilka sekund.

Otworzywszy okno, Nedwin spojrzął na balkon w królewskiej wieży, znajdujący się w górze, za szerokim pasem pustki. Za wysoko, by dosięgnąć go z ziemi, ale to jedno okno sprawiało, że balkon znalazł się w jego zasięgu. Wychylając się, dostrzegł psiarnię.

Wziął głęboki, uspokajający wdech. Będzie musiał szybko działać. Nie było tu miejsca na błąd. Nie było strażnika na balkonie, ale co najmniej dwóch czekało w środku. Balkon znajdował się trzy piętra poniżej Copernuma. Jeśli nie uda mu się załatwić gwardzistów po cichu, próba się nie powiedzie. Jeśli gwardziści dotrą na balkon przed nim, już nie żył.

Manewr był ryzykowny. To było zdecydowanie największe ryzyko, jakie podejmie tego wieczoru, cena, jaką musi zapłacić za dostęp do bardzo ostrożnego człowieka. Waząc w rękę kuszę, wycelował w psiarnię i strzelił. Bełt poleciał w dół i uderzył z głuchym łoskotem w drewno.

Tak jak Nedwin chciał, psy zaczęły szczekać. Z bosakiem w rękę wyszedł na parapet. Szczekające psy zagłuszą nieco hałas, który rozlegnie się za chwilę. Nedwin rzucił bosak i skoczył z parapetu, zanim nabrał pewności, czy hak się zaczepił.

Kiedy leciał przez ciemność, bosak pociągnął linę w górę, aż zniknął cały luz. Nedwinowi ulżyło, że bosak zaczepił się jak należy. Gdzieś nad nim hak zadzwięczał, uderzając o balustradę. Nawet zagłuszony przez szczekanie psów szczęk metalu wydawał się równie głośny jak wybuch orantium. Lina napięła się, kiedy metalowy szpon zaczepił o balustradę.

Zamiast spadać swobodnie, Nedwin leciał teraz ku wieży. Balkon wystawał na tyle z lica budowli, żeby Nedwin mógł wlecieć pod niego i zatrzymać się przed ścianą. Wyciągnął nogi, by przejąć na nie uderzenie. Odczuł to tak, jakby skoczył z dachu i sprawnie wylądował. Kiedy odbił się od ściany i odlatywał od niej, już się wspinał.

Hak dobrze się trzymał. Nedwin chwycił się liny. Nie spadł i nie roztrzaskał się o bruk na dziedzińcu prawie pięćdziesiąt stóp poniżej. Teraz zaczynał się wyścig.

Ręka za ręką wznosił się długimi gładkimi ruchami. Jak na swój wzrost nie był ciężkim mężczyzną, a jego długie ręce miały więcej siły niż można by się spodziewać. Niewielu mężczyzn wspinało się po linie szybciej od niego. Tylko czy dotrze na górę

dostatecznie szybko?

Usłyszał, że drzwi balkonowe się otwierają. Nie mógł spanikować. Już prawie był na miejscu. Pośpiesznie kroki zbliżyły się do balustrady balkonu. Gwardzista dostrzegł hak i podbiegł, żeby sprawdzić, co się dzieje. Nedwinowi zostało jeszcze pięć stóp do pokonania. Sądząc po krokach, gwardzista dojdzie do haka na chwilę przed tym, jak Nedwin dotrze do końca liny. Jeśli kopnie bosak, Nedwin zginie. Jeśli wyjrzy, Nedwin może mieć szansę.

Kiedy gwardzista wyrzął z balkonu, Nedwin sięgnął do góry, złapał go za kołnierz i szarpnął z całej siły. Mężczyzna przeleciał przez balustradę i spadł głową naprzód na dziedziniec. Nie krzyknął, ale wylądował z hukiem. Psy rozszczękały się z nowym zapalem.

Z małą kuszą w pogotowiu Nedwin przeszedł przez balustradę. Drzwi były otwarte. Usłyszał, że nadchodzi drugi gwardzista. Kiedy tylko się pojawił, oberwał bełtem w serce z odległości dziesięciu stóp. Zbliżając się, Nedwin zasłonił mu usta, kiedy tamten zwiotczał i osunął się w objęcia śmierci.

Z naszykowaną drugą kuszą Nedwin wszedł do pokoju. Nie pojawił się żaden więcej gwardzista. Nedwin znał rozkład pomieszczeń i szybko się upewnił, że na tym poziomie apartamentów nie ma już żadnych wartowników. Nasłuchiwał chwilę. Będą strażnicy przed głównymi drzwiami do tych komnat. Pewnie jeden albo dwóch tuż przed drzwiami do sypialni Copernuma. Mimo to, Nedwin nie usłyszał żadnego poruszenia.

Musiał się śpieszyć. Jeśli ktokolwiek postanowi sprawdzić, co u gwardzistów, których właśnie zabił, wszystko się wyda. Podbiegł do kominka, gdzie węgielki żarzyły się pośród zwęglonych kłód.

Komin sięgał w dół na inne poziomy, ale poniżej umieszczono żelazne pręty, uniemożliwiające dostęp do tego miejsca. Jednakże, kiedy ostatnim razem Nedwin sprawdzał, żadne pręty nie zagrażały stąd drogi do góry. To piętro stanowiło część królewskiej rezydencji.

Nedwin skoczył do ciepłego paleniska i zaczął się wspinać. Copernum wysłał raz zabójcę, żeby zabił Jasona. Tamten wszedł do sypialni kominkiem. Nedwin nie mógł powstrzymać uśmiechu, kiedy dotarł do królewskiej sypialni.

Copernum spał. Nedwin słyszał, jak tamten oddycha. Nasłuchiwał bacznie i nie wyczuł nikogo więcej w pokoju. Omijając węgielki, wykradł się cicho z wielkiego kominka.

Rozlegnie się alarm, kiedy zostanie zauważony martwy gwardzista na dziedzińcu. Ujadające psy w każdej chwili mogą ściągnąć czyjeś uważne spojrzenie. Milion innych czynników mogło doprowadzić do odkrycia jego najścia. Nie miał wiele czasu.

Korzystając ze słabego blasku z kominka Nedwin podszedł do łóżka. Copernum spał rozczochrany, z otwartymi ustami. Miał mizerną szyję. Silny cios mieczem mógł ją



swobodnie przeciąć.

Copernum osobiście tortuował Nedwina przez ostatnie lata jego uwięzienia. Eksperymentował z neuropieśnią o wiele częściej niż inni, doprowadzając Nedwina na potworne wyżyny cierpienia. Nedwin często ponownie przeżywał tamte doświadczenia w koszmarach. Zeszłego wieczoru właśnie Copernum nadzorował zabawę.

Nedwin marzył o tym, żeby podać Copernumowi dawkę neuropieśni. Nosił jej trochę w fiołce na szyi. Fantazjował, jak daje oprawcy zasmakować cierpienia, które sam rozdawał tak hojną ręką.

Jednakże dzisiaj nie chodziło o zemstę. Dzisiaj szło o sprawiedliwość. Jeśli spędzi tu za dużo czasu, mogą go złapać. Nedwin nie był sam sobie panem. Należał do Gallorana.

Nie potrzebował, żeby Copernum wiedział, kto zadaje śmiertelny cios. Nie potrzebował ujrzyć zrozumienia i grozy w jego oczach. Wystarczy anonimowe wymierzenie sprawiedliwości zdrajcy. Jeden szybki cios. Łaskawsza śmierć, niż to, na co Copernum zasłużył. Tyle wystarczy.

Nedwin wyciągnął miecz. Wysuwane z pochwy ostrze zazgrzytało cicho. Copernum coś wymamrotał i poruszył się. Nedwin uniósł broń i opuścił ją z rozmachem.

Ostra klinga przecięła mizerną szyję. Nedwin nie zatrzymał się, by rozkoszować się sukcesem. Po prostu wykonał zadanie. Odsunął się od łóżka z powrotem do kominka. Tam przystanął.

Miecz był ostry i ciężki. Niemal jak tasak. A Copernum miał chudą szyję, ale w szyi są kości, mięśnie i ścięgna. Ostrze przecięło je zbyt czysto. Dlaczego nie popłynęła krew?

Kiedy Nedwin się odwrócił, ciało przechyliło się na drugą stronę łóżka. Nadal nie było krwi. Odcięta głowa leżała na poduszce, piorunując go wzrokiem. To nie był wyraz, w jakim twarz zastyga w chwili egzekucji, ten zdrajca ewidentnie nadal żył.

Copernum był rozsadnikiem! Nic dziwnego, że głowa oddzieliła się od ciała tak czysto! Ta świadomość oszołomiła Nedwina. Sekretu tak pilnie strzeżono. A jednak oto dowód – odcięta głowa ewidentnie zachowała świadomość.

Ponownie unosząc miecz, Nedwin rzucił się w stronę łóżka. Bezgłowe ciało odwróciło się i zaatakowało, wbijając w Nedwina miecz. Nedwin zatoczył się do tyłu, padając na podłogę. Copernum musiał trzymać miecz obok łóżka. Rana na pewno była śmiertelna. Nie bolało, ale Nedwin umrze.

Ciało podniosło głowę i Copernum stanął nad Nedwinem, mrużąc oczy.

– To było bardzo niemądre. – Pomasował szyję. – Mogłeś mnie zranić. Na szczęście, mam parę sekretów. Trzeba kogoś lepszego niż ty, żeby odebrać mi życie. Zemsta to paskudna rzecz, Nedwinie, jak to trafnie ukazałeś.

– Sprawiedliwość – wykrztusił Nedwin.

W każdej chwili mógł stracić przytomność. Trzymał się jej kurczowo.

– Sprawiedliwość, powiadasz? Tak, wiele się nauczyłeś o sprawiedliwości cesarza z moich rąk. Z radością dałbym ci znowu jej zasmakować. A właściwie czemu tylko zasmakować, skoro można urządzić całą ucztę? Kiedyś tak wspaniale się razem bawiliśmy, tylko my dwaj.

Drżącymi rękami Nedwin podniósł fiolkę. Szybko ją otworzył, przysunął do ust i przechylił. Przełknął zawartość.

– Nie ma potrzeby się truc. – Copernum zarechotał. – Uciekłeś mi. Twoja rana jest śmiertelna. Tym razem śmierć musi być wystarczającą karą. Byłoby zabawniej pojmać cię żywcem, ale nadal mogę zrobić z ciebie przykład.

Nedwin próbował odpowiedzieć, ale głos odmówił mu posłuszeństwa. Nadal nie czuł bólu, ale ciemniało mu przed oczami i ledwie mógł oddychać. Copernum dalej gadał, słowa były niezrozumiałe, jak przyciszona rozmowa słyszana przez grube drzwi. Nieistotna rozmowa, zrozumiał Nedwin. Zawiódł. Zamknął oczy. Nie! A gdyby wstał? A gdyby znalazł dość sił, żeby wyciągnąć miecz z ciała? Gdyby udało mu się powalić zdrajcę? Może Copernum wreszcie przestałby gadać. Ten człowiek zawsze za dużo gadał, zwłaszcza podczas tortur.

Nedwin spróbował usiąść. Nie mógł nawet unieść głowy! Chciał przełknąć ślinę, ale gardło nie pracowało. Nie mógł otworzyć oczu. Czuł się oderwany od własnego ciała. Gdzie jest? A tak, w królewskiej sypialni. Zawiódł. Umierał. Zatem to takie uczucie. Zastanawiał się, co będzie potem. Podczas gdy Copernum głądził, on bezboleśnie odpłynął.

# Rozdział 31

## Zabezpieczenie, które nakazuje rozsądek

Tark wlekł się do swojego namiotu z parującą miską gulaszu w zgięciu jednej ręki. Już nie stacjonował we Wschodnim Forcie, ale spał nad brzegiem Fellionu razem z Ferrinem i paroma innymi osobami, które pracowały przez okrągłą dobę, by poznać sekrety zagubionej kopalni ukrytej pod wodą.

Wszedł do namiotu, usiadł i podmuchał na gulasz. Zanurzył łyżkę i ostrożnie spróbował. Źle by było, gdyby sparzył język i popsuł sobie smak ostatniej kolacji. Ponieważ wojska Maldora były gotowe nadejść jutro, kucharz dorzucił więcej mięsa, warzyw i przypraw.

Ludzie, którzy rozumieli coś z nadchodzącej bitwy, wierzyli, że dzisiejsza noc może być ich ostatnią. Nie mieli pojęcia, że jutro rano Galloran rozpocznie masowy odwrót. Jeśli Tark wykona swoje zadanie, większość zastępów zgromadzonych przez króla powinna przeżyć.

Zanurzył ponownie łyżkę i wypił łyżeczek słonawego wywaru. Niezależnie od tego, czy jutro uda mu się w kopalni, czy też nie, nie zobaczy kolejnego zmierzchu. Przystanął, żeby zastanowić się nad tą myślą, patrząc na zachód, doceniając czerwone blaski na odległych chmurach jak rzadko kiedy do tej pory.

Poszukiwania w jeziorze powiodły się. Wiedzieli, gdzie znajduje się kopalnia. Ferrin zbadał ją i przedstawił wszelkie szczegóły na temat lokalizacji zamkniętych szybów. Teraz tylko Tark musiał trzymać się instrukcji, otworzyć zamkniętą część i spowodować wybuch, jakiego Lyrian jeszcze nie widział.

Trzecia łyżka gulaszu zawierała nieco mięsa i cebulki, więc wymagała przeżuwania. Jadał lepsze gulasze, ale nieczęsto. Jako ostatni posiłek wystarczy. Jak niby miał zrekompensować sobie za jednym posiedzeniem wszystkie posiłki, których już nigdy

nie zje? Sam pomysł był niedorzeczny. Wystarczy nacieszyć się prostym gulaszem, rozmyślając nad przyszłym zadaniem i tym, ile będzie znaczyło dla tak wielu.

Usłyszał, że w sąsiednim namiocie zaczęła się rozmowa. Nie zważał jednak na słowa. Rzadko kiedy dało się słyszeć rozmowy z namiotu Ferrina. Jeśli nie zajmował się wywiadem albo nie brał udziału w naradzie strategicznej, trzymał się na uboczu.

– Żądam wyjaśnień!

To były pierwsze słowa wypowiedziane przez Ferrina, na jakie Tark zwrócił uwagę.

– Przemyśl to – odpowiedział ktoś. Czyżby to był Naman? – Wszystko zależy od tej operacji. Czy muszę tłumaczyć ze szczegółami? Zwyczajnie nie stać nas na takie ryzyko.

– A stać was było na nie aż do tego wieczoru? – zapytał Ferrin z pełną niedowierzania pogardą.

– Nie krzycz tak – odparł nieco ciszej Naman. – Nie ma powodu do robienia sceny.

Tark odstawił gulasz i wyszedł z namiotu. Niecałe dziesięć kroków dalej sześciu nasienników odzianych w lekkie zbroje stało przed namiotem Ferrina. Nie próbowali zatrzymać Tarka, kiedy ich minął i wszedł do środka.

Naman i Ferrin spojrzeli na intruza. Naman sprawiał wrażenie lekko znudzonego, a Ferrin niezadowolonego. Dwóch kolejnych nasienników stało obok Namana.

– Co się dzieje? – zapytał Tark.

– Nic, czym musisz się martwić – odpowiedział Naman. – Zajmujemy się tylko pewnymi kwestiami bezpieczeństwa. Czeka cię wielki dzień. Idź odpocząć, Tark.

– Kwestie bezpieczeństwa? – zapytał były muzyk, nie spuszczając z oczu Ferrina.

Rozsadnik odpowiedział na jego spojrzenie z kamienną twarzą.

– Teraz, kiedy już dostarczyłem informacji o położeniu kopalń i je zbadałem, zostałem aresztowany.

– Nie ma powodu tak dramatyzować – odpowiedział zakłopotany Naman. – Chodzi tylko o to, że dokładnie wiesz, jak powstrzymać nasz jutrzejszy tajny atak. Najwyższe dowództwo Amar Kabal będzie spokojnie spać, wiedząc, że jesteś wolny od pokusy uhonorowania dawnych przysięg wierności.

– Wasi żołnierze obserwowali mnie pilnie przez cały ten czas – powiedział Ferrin. – Czy to nie jest już wystarczająco obraźliwe? Gdybym zamierzał uciec, mógłbym to zrobić dużo wcześniej.

– Nie miałbyś jednak kluczowej informacji – odparł Naman. – Bezcennej informacji, która może zmienić losy wojny. Informacji, za którą mógłbyś kupić wybaczenie uprzednich zrad. Zgodziłeś się na inne zabezpieczenia, które miały zapewnić nam twoją lojalność. Wypuścimy cię zaraz po tym, jak wszystko jutro się wypełni.

Ferrin pokręcił głową.

– Poddałem się moim przyjaciółom. Poddałem się Galloranowi. Jeśli życzy sobie,

żebym towarzyszył mu dziś wieczór, podporządkuję się. Nie wyczuwam jednak w tym jego ręki.

– Galloran znowu próbuje skontaktować się z dziewczyną. Ma wiele na głowie. Problemy logistyczne, jakim jutro stawimy czoło, są niezwykle zawiłe. Nie sposób przygotować się dostatecznie na wszelkie ewentualności. Nie ma potrzeby mieszać go do tego.

Ferrin nieco poczerwieniał.

– Ależ jest taka potrzeba. Nie zdradziłem swojego ludu dla was. Zrobiłem to dla wybranej grupy, w tym Gallorana. Trzymaj się ode mnie z dala, Namanie. Wbrew pozorom pozostałem rozsadnikiem. Łączy mnie z wami, nasiennikami, długa historia. Nie zostanę więźniem moich wrogów.

Twarz Namana pociemniała.

– Jeśli otwarcie przyznajesz, że widzisz w nas wrogów, konieczność aresztowania cię tylko wzrasta, a nie maleje. Miałem nadzieję załatwić to w sposób cywilizowany. Tark, wołałbyś stąd wyjść.

Ferrin spojrzał na Tarka.

– Czy to naprawdę konieczne? – zapytał były muzyk. – Ferrin udowodnił swoją lojalność. Może zostać ze mną.

– Rozumiem ten sentyment. Wiem, że spędziliście razem wiele miesięcy i masz prawo okazać lojalność. Ferrin nam wszystkim dobrze się przysłużył. Nie chcemy go skrzywdzić. Będzie mu wygodnie. Zostanie uwolniony jutro jako przyjaciel Amar Kabal, pierwszy rozsadnik, którego spotka ten zaszczyt. Po prostu upewniamy się, czy będzie można uwolnić go jako bohatera.

Ferrin spojrzał Namanowi w oczy.

– Jeśli aresztujecie mnie tego wieczoru, nigdy więcej nie nazywaj mnie przyjacielem. To będzie większa obraza, niż zdołam znieść.

– Jak sobie życzysz – odparł sztywno nasiennik. – Pójdiesz dobrowolnie czy musimy cię wyciągnąć kawałek po kawałku?

Ferrin spojrzał na Tarka.

– Upewnij się, że Galloran o tym usłyszy. – Zerknął z powrotem na Namana. – Czy też Tarka także aresztujecie?

– Jego wierność nie ulega wątpliwości. Może przekazać Galloranowi, co tylko zechce. Będę obstawał przy swojej decyzji przed każdą władzą na tej ziemi. To po prostu zabezpieczenie, które nakazuje rozsądek.

– Zabierzcie mnie z nim – zaproponował Tark. – Jeżeli Ferrin ma być trzymany pod strażą, to zatrzymajcie mnie razem z nim.

– Nie – sprzeciwił się Ferrin. – Wolałbym raczej, żeby wiadomość o moim aresztowaniu dotarła do Gallorana. Pójdę dobrowolnie, Namanie, chociaż nie kryjąc protestu.

– Twój protest został odnotowany.

Naman skinął do dwóch żołnierzy, którzy wyszli naprzód, złapali rozsadnika i wyprowadzili z namiotu.

Tark poszedł za nimi. Nasiennicy sprzed namiotu otoczyli Ferrina i odprowadzili.

– Zapamiętajcie to! – zawołał Ferrin. – Lud Amar Kabal nie zdobył sobie dzisiaj przyjaciela.

Tark stał przed namiotem pośród zapadającego zmierzchu. Nie było sensu natychmiast szukać Gallorana. Król był nad wodą i spędzi tam co najmniej godzinę.

Wróciwszy do namiotu, przekonał się, że gulasz nadal jest względnie ciepły. Nigdy nie ufał Ferrinowi, ale nie podobała mu się decyzja o aresztowaniu. Pilnować go? Pewnie. Jednak aresztowanie to zdecydowana prowokacja. Tark z pewnością doniesie o tym Galloranowi. Teraz, kiedy nasiennicy pozwolili sobie na takie posunięcie, miał nadzieję, że będą go bardzo uważnie pilnować. Coś w ponurym spokoju Ferrina podczas konfrontacji sprawiło, że Tark poczuł się bardzo nieswojo.

# Rozdział 32

## Telepatia

Ktoś ją wołał. Nie pierwszy raz. Miała wrażenie, że z daleka. Trudno było skupić się na słowach. Sens jej umykał. Później odpowie. Teraz była za bardzo zmęczona.

Ten ktoś nalegał. Nie głośno, ale uporczywie. Jego prośba o uwagę mieszała się z jej rwanymi snami, zyskując i tracąc na znaczeniu. Głos brzmiał znajomo. Coś jej mówiło, że powinna się skupić.

*Rachel, jesteś tam? Wiem, że mnie wyczuwasz. Rachel, musisz mnie posłuchać! Rachel, możesz mi odpowiedzieć? Obudź się, Rachel! Obudź się!*

Rachel otworzyła oczy. To był Galloran, wołał do niej umysłem. W jej pokoju było ciemno. Leżała w łóżku. Usiadła. Była zdezorientowana. W ustach jej zaschło i miała okropny niesmak. Znajdowała się w Felrook! Próbowwała zaatakować Maldora i zawiodła! Straszliwy ból głowy, którego się spodziewała, prawie nie istniał.

*Rachel. Odpowiedz mi, Rachel. Mam ważne wiadomości! Rachel?*

Gorączkowe słowa poruszyły obrzeża jej świadomości, słabo jak gasnące echo.

*Galloranie?* – odpowiedziała z trudem.

*Rachel! Od dwóch dni próbuję się z tobą skontaktować.*

*Dwóch dni? Gdzie pan jest?*

*Nad jeziorem. Spostrzegalem twój umysł, ale byłaś nieprzytomna.*

Już czuła się o niebo przytomniejsza.

*Tak mi przykro, że odeszłam! Myślałam, że może zdołam wam pomóc od wewnątrz. Nie miałam pojęcia, że to może okazać się dla was tak niebezpieczne.*

*Rozumiem, co próbowałaś osiągnąć – odpowiedział Galloran. Prawie skończyły nam się możliwości. Robiłaś co w twojej mocy. Śmierć Io to nieszczęśliwy wypadek. Nie obwiniaj się. Sam zdecydował się zaatakować. Decyzje w czasie wojny zawsze*

*pociągają za sobą ofiary w ludziach.*

*Próbowałam zaatakować Maldora – przyznała się Rachel. Był chory po tym, jak wysłał czatowników, i miałam nadzieję, że wezmę go przez zaskoczenie. Nie miałam żadnej szansy. Starłam się ze wszystkich sił i przedobrzyłam. Byłam nieprzytomna. Dwa dni?*

*Tak. Mamy mało czasu. Jason przekazał nam przepowiednię.*

*Naprawdę?*

*Wojska ze wschodu zjawią się o czasie. Powinny być tutaj jutro, zanim nadejdzie południe. Rachel, musisz wcześniej uciec z Felrook. Musisz znacznie oddalić się od tego miejsca. W przeciwnym wypadku zginiesz razem z... i sługusami.*

*Co? Coś mi umknęło!*

*Kontakt stał się jeszcze bardziej niewyraźny. Wyszła z łóżka na uginających się nogach. W ustach miała okropny posmak. Podbiegła do okna i wyjrzała na chłodny wieczór. Resztki światła gasły na zachodzie.*

*Musisz uciec z Felrook jutro rano – powtórzył Galloran. W przeciwnym wypadku zginiesz razem z Maldorem i jego sługusami. Znaleźliśmy sposób, aby go powstrzymać. Nie mogę powiedzieć niczego więcej.*

*Nie jestem pewna, czy zdołam uciec.*

*Darian Jasnowidz przekazał wiadomość specjalnie dla ciebie. Myślę, że ma ci pomóc przetrwać. Chciał, żebyś wiedziała, że Orruck nauczył cię...*

*Głos w jej głowie zamilkł. Rachel wychyliła się przez okno i wysiliła wolę.*

*Co? Galloranie? Znowu pana nie słyszę! Co z Orruckiem?*

*Słowa powróciły do jej umysłu tak słabe, że pochyliła głowę, zamknęła oczy i nie śmiała nawet oddychać.*

*Orruck nauczył cię wszystkiego, co potrzebujesz wiedzieć. Jeden z rozkazów, jaki ci przekazał... Wymyślił, żeby zniszczyć Zokara. Jasnowidz czuł... użyteczne.*

*Orruck nauczył mnie przywoływać błyskawicę – odpowiedziała Rachel, nie bardzo wiedząc, czy król ją słyszy. Potężne wyładowanie. Nigdy tego nie próbowałam. I nauczył mnie słów, które zamieniają kamień w szkło. Myśli pan, że potrzebuję błyskawicy?*

*Rachel?*

*Jestem tutaj! Myśli pan, że potrzebuję błyskawicy?*

*Głos w jej umyśle przybrał na sile.*

*Błyskawicy albo tego drugiego rozkazu. Błyskawica jest nieprzewidywalna. Planuj ucieczkę. Podejmij konieczne ryzyko. Musisz zniknąć przed południem. Od tego zależy twoje życie. Wymyśl, który z rozkazów Orrucka może okazać się użyteczny. W przeciwnym wypadku jutro umrzesz. Przyjdź do mnie, jeśli zdołasz. Będę na zachodnich wzgórzach. Nie mogę dłużej podtrzymywać kontaktu. Wybacz.*

*Czuła wysiłek w jego słowach.*



*Słyszałam. Zrobię co w mojej mocy. Powodzenia.*

*Bądź dzielna. Dasz radę. Liczę na to, że uciekniesz.*

*Czy Jasonowi nic nie jest?*

*Żyje. Słowo zabrzmiało tak słabo, że pomyślała, że sobie je sobie wyobraziła. Uciekaj. Będę cię wypatrywał.*

Porozumiewanie się na taką odległość najwidoczniej wiele go kosztowało. Będzie potrzebował sił na jutro.

*Odebrałam wiadomość. Proszę odpoczywać. Dziękuję.*

Rachel odsunęła się od okna. Zapaliła świece i lampy edomickim poleceniem. Delikatny ból głowy sprawiał wrażenie raczej skutku za długiego spania niż kary za nieudane edomickie rozkazy. Wysiłek woli potrzebny do zapalenia świec nie zwiększył bólu. Tak samo jak rozmowa z Galloranem.

Przystanąła, zastanawiając się, czy Maldor mógł podsłuchać ich rozmowę. Przy komunikacji telepatycznej zwykle wyczuwała tylko wiadomości przeznaczone dla niej, ale Galloran czasem wyłapywał myśli, których nie zamierzała wysyłać.

Jeśli Maldor wyczuł ich rozmowę, nie mogła nic na to poradzić. Jeśli miał taką zdolność albo czatownicy wykorzystywali w jego imieniu swoje, mogła mieć tylko nadzieję, że nikt nie zwrócił uwagi.

Na stole stały dwa dzbanki. Z jednego mocno śmierdziało. Ten zapach wyzwolił wspomnienia. Obudziła się parę razy, żeby napić się tego napoju o przykrej woni. Wspomnienia były mgliste – jej głowa i ramiona wsparte na poduszkach, filiżanka podana przez sękatą dłoń, orzechowy posmak żółtek jajka, po którym następowało coś wyraźnie metalicznego. Czasem napój był ciepły, czasem w temperaturze pokojowej. Nie mogąc oprzeć się zmęczeniu, zaraz potem zasypiała.

Jak mocno ją uspili? Potworny ból, którego doświadczała zaraz po ataku na Maldora, utrzymywał się tylko jako mglista nieprzyjemność. Tyle że straciła dwa dni! Zamierzała znaleźć jakiś sposób, żeby pomóc Galloranowi od środka Felrook, zanim zjawią się wrogie wojska. A zamiast tego spędziła ten czas w odrętwieniu.

Nie mogła dłużej odpoczywać. Drugi dzbanek pachniał jak woda. Nalała sobie trochę na dłoń i spryskała tym twarz. Potem nalała do szklanki. Podeszła do okna, przepłukała usta i wypluła. Potem przepłukała gardło kolejnymi dwoma łykami. Płukanie zmniejszyło ohydny posmak w ustach. To obrzydlistwo to było coś więcej niż niesmak po zbyt długim spaniu. Musiało być choć w części skutkiem zażywania lekarstwa.

Powoli sącząc wodę, Rachel próbowała zdecydować, co powinna zrobić. Według Gallorana nie musiała martwić się tym, jak przybliżyć ich do zwycięstwa. Jason się wykazał. Dostarczył przepowiednię, a Galloran poznał sekret, który pozwoli mu zniszczyć fortecę. Musiała zająć się tylko własną ucieczką.

Tylko jak tego dokonać? Maldor udowodnił, że jest od niej potężniejszy. Posłużyła

się całą swoją siłą, kiedy on był osłabiony i nawet go nie drasnęła. Może udałoby jej się wymknąć z fortecy dzięki serii edomickich sugestii. Pracując z Ferrinem, nauczyła się otwierać zamki. Czy to możliwe, że mogła wydostać się z Felrook otwierając zamki i szturchając umysły?

Uznała to za mało prawdopodobne. Musiałaby ominąć zbyt wielu strażników. Mogła paru zmylić, używając edomickiego, ale w końcu by się zorientowali i podnieśli alarm. Poza tym, co by powstrzymało Maldora przed wysłaniem po nią torivora?

Rachel potarła twarz rękami. Mimo licznych obaw Jason wykonał swoje zadanie. Jak to robił, że wszystko udawało mu się wbrew wszelkim oczekiwaniom? Co by zrobił, gdyby wylądował tu uwięziony? Musiała zacząć myśleć jak on. Musiała znaleźć sposób.

Galloran miał teraz potrzebną mu informację. To wspaniała, niespodziewana wiadomość, tyle że oznaczała, że jej pojawienie się tutaj było całkiem niepotrzebne. Powinna była mieć więcej wiary w Jasona i jego misję. Gdyby tylko wstrzymała się dwa dni, zanim uległa swoim lękom...

Z drugiej strony, Jason zdobył wiadomość specjalnie dla niej. Darian podsunął jej wskazówkę. Czy wiadomość miała dotrzeć do niej tutaj, w Felrook? Czy możliwe, że nadal znajdowała się w granicach wyznaczonych przez prorocstwo? Czy też ta wskazówka miała dotrzeć do niej w innych okolicznościach? Już zaważyła sprawę?

Nie mogła cofnąć czasu. Podjęła decyzję na podstawie informacji, jakimi dysponowała w tamtym czasie. Musiała pogodzić się ze swoim położeniem. Powinna skupić się na tym, co robić teraz.

Gdyby pominęła wskazówkę od Jasona, dryfowałyby bez kompasu. Musiała zaufać, że wiadomość odnosi się do jej obecnej sytuacji. Tajemnica jej ucieczki musiała wiązać się z tym, czego nauczył jej Orruck. Były uczeń Zokara zmusił ją do demonstracji swoich zdolności – musiała przesuwać rzeczy za pomocą edomickiego. Nauczył ją także rozkazu związanego z błyskawicą i rozkazu, który zamieniał kamień w szkło.

Rachel nigdy nie próbowała rozkazu z błyskawicą. Fraza nie pozwalała posłużyć się nim na małą skalę. Zarówno Galloran, jak i Farfalee ostrzegali, że polecenia związane z elektrycznością bywają niestabilne. W starożytnych czasach nawet najpotężniejsi czarnoksiężnicy zwykle ich unikali.

Czy niestabilność mogła podziałać na jej korzyść? Maldor może spróbować przeciwstawić się błyskawicy? Czy zwyczajnie unieważni jej rozkaz, tak jak zrobił to z ogniem, zmuszając ją do poradzenia sobie z konsekwencjami porażki?

Elektryczny rozkaz wzywał ogromne przeciwne ładunki, które wytwarzały odpowiednik uderzenia kolosalnej błyskawicy. Tak potężny rozkaz mógł zostać stworzony do ataku na wielkiego czarnoksiężnika. Jednakże idea przywołania błyskawicy była najwyraźniej znana zarówno Farfalee, jak i Galloranowi, co sugerowało, że czar z błyskawicą nie był szczególnie niezwykły. Podobno jeden z tych

czarów Orruck wymyślił, żeby zaszkodzić Zokarowi. Gdyby obmyślił go sam, to czar byłby nieznany, prawda? A może po prostu obmyślił specyficzny typ rozkazu przywołującego błyskawicę?

Ani Farfalee, ani Galloran nie wspominali nigdy, że zetknęli się z rozkazem zamieniającym kamień w szkło. Tyle że Rachel właściwie nie rozmawiała z nimi na ten temat. Z powodzeniem wypowiedziała to polecenie wiele razy. Nigdy nie robiło wrażenia szczególnie trudnego czy tajemniczego.

Czy przemiana kamienia w szkło mogła być rozkazem, który wymyślił Orruck? W jaki sposób mógł zaszkodzić Zokarowi? Jak mógł zaszkodzić Maldorowi?

Maldor nie był z kamienia. Co innego Felrook. Czy Zokar mógł mieć podobną fortecę? Przemiana murów Felrook w szkło z pewnością uczyniłaby fortecę bardziej narażoną na atak. Oczywiście, żeby dokonać takiego wyczynu, czarnoksiężnik potrzebowałby albo nieskończenie większej mocy niż ta, którą dysponowała Rachel, albo musiałaby pracować bardzo długo nad przemianianiem fortecy fragment po fragmencie.

Pod jakim innym względem Maldor mógł być narażony na atak?

Rachel żałowała, że tak mało wie na temat związku Maldora i torivorów. Panowanie nad nimi wiele go kosztowało, co oznaczało, że pewnie nie służą mu chętnie.

Co wiedziała na ich temat? Czatownicy nie pochodzili z Lyrianu. Zostali wezwani z innego świata. Mroczny Kamień, który Maldor nosił, był jakoś związany z władzą nad nimi. Mogła zamienić go w szkło? Mogła go zniszczyć?

Czy była głupia, myśląc, że czatownicy pomogą jej, jeśli da im szansę? Kiedy porozumiewała się z nimi, nigdy nie wydawali się źli. Obcy, owszem, ale nie nienawistni. Jeśli już, to wydawali się obojętni. Wypełniali rozkazy, ale nie sprawiali wrażenia, żeby osobiście przejmowali się zadaniami.

Rachel złożyła ręce na parapecie i oparła na nich brodę. Jak ważna była w tym wszystkim? Może już wykonała swoją rolę, rozbijając bramę do Zachodniego Fortu. Czy jej ucieczka miała jakieś znaczenie? Jeśli umrze, będzie to przynajmniej znaczyło, że Galloranowi się udało. To lepsze od kompletnej porażki, prawda? Oczywiście, miło było przeżyć, żeby cieszyć się zwycięstwem.

Czy Galloran naprawdę znalazł sposób, żeby zwyciężyć? To wydawało się niemożliwe, ale nie był głupcem, a Rachel nie wyczuła żadnego wahania w jego głosie.

Zamek szczęknął i drzwi do jej pokoju się otworzyły. Rachel odwróciła się od okna i zobaczyła staruszkę w szarej szacie z kapturem. Wielkie znamię wybrzuszało się koło kącika jej oka. Sprawiała wrażenie nieco zaskoczony tym, że Rachel już wstała. Za nią stało dwóch strażników w mundurach.

– Wcześniej się obudziłaś – powiedziała kobieta. – Jak się czujesz?

Chcąc zrobić gorsze wrażenie, niż w rzeczywistości się czuła, Rachel pomasaowała skronie.

– Obolała. I mam zawroty głowy. Potrzebowałam świeżego powietrza.

– Powinnaś się położyć.

Kobieta machnęła w stronę strażników, a ci zamknęli drzwi.

Trzymając się za bok i stawiając małe kroczki, Rachel podeszła do łóżka.

– Pamiętam pani dłonie – powiedział zgodnie z prawdą. Knykcie były czerwone i opuchnięte, paznokcie ciemne i ostre jak szpony. – To pani się mną opiekowała.

– Owszem. Spałaś, często się budząc. Jeśli potrzebujesz jeszcze mikstury, mogę trochę przynieść.

– Myślę, że dość już spałam – odpowiedziała Rachel, siadając ostrożnie na brzegu łóżka.

Kobieta podeszła chwiejnie i przyłożyła dłoń do jej czoła. Potem pomacała jej policzki, szyję i przesunęła palcami od potylicy po kręgosłupie.

– Wygląda na to, że nie potrzebujesz więcej mikstury. Prawie doszłaś do siebie. Będzie lepiej, jeśli odpoczniesz teraz bez lekarstwa.

– Jak pani się nazywa?

– Zuza – odpowiedziała kobieta, skłaniając lekko głowę.

*Słyszysz mnie pani?* – zapytała z całą siłą Rachel.

Kobieta się zawahała.

*Słyszę cię, dziecko.*

*Myślałam, że Maldor pozbył się wszystkich osób posiadających talent do edomickiego.*

*Oszczędza czasem kogoś, jeśli to odpowiada jego potrzebom. Moje zdolności są małe. Staram się być użyteczna.*

*Jest pani uzdrowicielką?*

*Tak.*

– Maldor chce mnie szkolić – szepnęła Rachel.

– Mam tego świadomość.

*Gdzie on trzyma torivorów?* – zapytała Rachel. Przyglądała się staruszce, szukając odpowiedzi, wysilając wzrok i umysł.

*Dlaczego obchodzą cię torivorowie?*

Rachel nie wyczuła żadnej podpowiedzi poza tą reakcją. Naciskała, żeby odszukać ukryte myśli.

*Muszę z nimi porozmawiać.*

Staruszka zarechotała.

*Lepiej trzymaj się od nich z dala.*

*Kocha pani Maldora?*

*Kocham to, że już mnie nie torturuje* – odpowiedziała Zuza. *Kocham to, że pozwala mi żyć. Pomagam mu dojść do siebie, kiedy nadwyręży siły.*

Rachel skinęła głową.

*Muszę porozmawiać z torivorami. Mam swoje powody.*

Zuza prychnęła.

*Nadal musisz mieć umysł przyćmiony od mikstury. Powinnaś się położyć.*

*Gdzie są trzymani? – spytała znowu Rachel.*

*Nie wyczuwasz ich, dziecko? Ich moc jest osłabiona przez więzienie, ale nie całkiem.*

Rachel poszukała ich umysłem. Zuza miała rację! Kiedy Rachel się skupiła, wyczuwała ich słabo w pobliżu, ale trudno było wyczuć kierunek.

*Są wszędzie wokół nas?*

Kobieta pokręciła głową.

*Potrzebujesz znacznie więcej doświadczenia, by zacząć się zadawać z mroczniakami. Przestań o nich myśleć. Jeśli Maldor będzie z ciebie zadowolony, na pewno przedstawi cię im w swoim czasie.*

Rachel zamknęła oczy, próbując świadomie ustalić, z jakiego kierunku wyczuwała czatowników. Pod nią. Niedokładnie pod nią. Wyciągnęła palec. Otworzyła oczy i zobaczyła, że wskazuje w dół, za okno.

Zuza spojrzała we wskazanym kierunku.

*Mniej więcej.*

*Niezbyt głęboko – przekazała Rachel. Nie w lochach. Nie daleko stąd.*

*Maldor lubi trzymać swoich pupilków pod ręką – wyjaśniła Zuza. Ty także znajdujesz się blisko jego kwater. Lepiej ci blisko niego niż w lochach, masz na to moje słowo.*

– Powinnaś wrócić do łóżka.

– Spałam już wystarczająco długo.

– Może powinnaś wypić jeszcze trochę mikstury i przespać następny dzień. Ten dodatkowy wypoczynek może nie być konieczny, ale pewnie dobrze ci zrobi. Jutrzejszy dzień nie będzie przyjemny.

Zuza skinęła głową w stronę okna.

*Jak ściśle kontroluje torivorów? – zapytała Rachel.*

*Wystarczająco.*

*Potrzebuję twoich szat – przekazała Rachel.*

*Nie – odmówiła stanowczo Zuza. Nie każ mi wzywać strażników.*

Rachel westchnęła i pochyliła głowę.

– Może jednak napiję się trochę mikstury.

– To bardzo rozsądne, moja droga – pochwaliła ją Zuza. Podeszła chwiejnym krokiem do dzbanka i nalała trochę cuchnącego płynu do filizanki.

Rachel śmignęła z powrotem do łóżka. Zuza podreptała ku niej, a Rachel wydała edomickie polecenie, każąc staruszce napić się mikstury. Włożyła w to tyle woli, ile się ośmieliła. Zuza uniosła filizankę do ust i zaczęła przełykać. Rachel powtarzała sugestię przez kilka sekund. Oczy staruszki zrobiły się wielkie ze strachu, ale nadal piła,

a cieniutkie strumyczki płynu ściekały jej po podbródku.

Rachel sturlała się z łóżka, wyjęła niemal pustą filiżankę z rąk Zuzy i z mocą kazała jej zasnąć. Staruszka usnęła tak nagle, że Rachel upuściła filiżankę i omal nie wypuściła z rąk Zuzy. Z pewnym wysiłkiem podniosła staruszkę i rzuciła na łóżko.

Zdjęła z niej szatę i okryła ją tak, żeby było widać kształt ciała. Własne ubrania ukryła pod łóżkiem i włożyła szatę z kapturem. Naciągnęła go tak mocno, jak się dało, schowała ręce w rękawach i spróbowała zgarbić się jak Zuza.

Z edomickimi słowami na ustach Rachel zapukała do drzwi. Zamek szczęknął i drzwi się otworzyły. Rachel nie śmiała spojrzeć strażnikom w oczy. Zamiast tego wyszła z pokoju, powłócząc nogami, z pochyloną głową, wbijając wzrok w ich buty.

– Znowu śpi? – zapytał strażnik, zaglądając do pokoju.

Rachel skinęła głową i mruknęła coś niewyraźnie.

– W takim razie wracaj do swoich kwater – powiedział drugi strażnik, szturchając Rachel.

– Dlaczego przykryłaś jej głowę? – zapytał trzeci strażnik, wchodząc do pokoju.

Rachel wzruszyła ramionami z udawaną nonszalancją. W korytarzu czekało trzech strażników. Ten, który wszedł do pokoju, miał zaraz odkryć Zużę pod przykryciami. Jeden z pozostałych trzymał klucze. Rachel zasugerowała po edomicku, żeby strażnik dał jej klucze, a potem by obaj weszli do pokoju. Wskazała drzwi.

Strażnik podał jej klucze i wszedł z towarzyszem do pokoju, jakby to był ich własny pomysł. Przystanęli po paru krokach, ale było już za późno. Rachel zatrzęsła ciężkie drzwi.

Natychmiast rozległy się krzyki i walenie do drzwi. Żelazne drzwi stłumiły większość odgłosów. Każdy w pobliżu usłyszałby ten stłumiony zgiełk, ale, na szczęście, nie niósł się daleko. Rachel wolałaby uniknąć hałasu. Znała rozkaz wywołujący sen, ale działał tylko na niczym niezajęte osoby. Wątpiła, czy zdołałaby zapanować nad trzema strażnikami na dostatecznie długo, żeby namówić ich do wypicia mikstury nasennej.

Starła się uspokoić. Na razie była wolna. Ta chwila nie potrwa długo. Jak najlepiej mogła wykorzystać tę okazję? Nie wyobrażała sobie, że za pomocą edomickich sugestii uda jej się wymknąć z Felrook. Musiałaby minąć zbyt wiele posterunków. A z powodu armii Gallorana cała forteca będzie w stanie najwyższego pogotowia. Za to czatownicy znajdowali się nieopodal.

Pochylając głowę, Rachel sięgnęła umysłem do torivorów. Wyczuwała tylko kierunek, nie korytarze, jakimi musiała do nich dotrzeć. Zaczęła zgadywać. Ruszyła korytarzem, skręciła, potem poszła następnym. Była za wysoko. Wyglądało na to, że torivorowie są tuż pod nią. Potrzebowała schodów.

Minęła dwóch żołnierzy, którzy nie zwrócili na nią uwagi. Najwyraźniej tajemnicze zakapturzone postaci nie były tu niczym niezwykłym.

W końcu musiała się cofnąć. Wtedy na drodze stanęły jej zamknięte drewniane drzwi. Uklękła, i zerknęła przez dziurkę od klucza i wypowiedziała cicho edomicki rozkaz. Wymusiła obrót ruchomych części w zamku. Działo to w przypadku dziewięćdziesięciu procent zamków, jakie dostarczył jej Ferrin. Zadziałało i przy tym.

Drzwi otworzyły się ze szczęknięciem, ukazując krótki korytarz i schody. Kiedy Rachel zeszła na sam ich dół, poczuła, że znalazła się znacznie bliżej torivorów. Nadal znajdowali się niżej niż ona i nieco w bok. Droga do nich poprowadziła Rachel za zakręt, gdzie zobaczyła dwóch uzbrojonych strażników stojących po bokach żelaznych drzwi. Nosili zbroje werbowników i trzymali halabardy. U ich pasów wisiały miecze i sztylety.

Wiedziała, że jeśli zawróci, ściągnie na siebie więcej uwagi, niż gdyby szła dalej przed siebie. Za żelaznymi drzwiami korytarz ciągnął się dalej i znowu zakręcał. Jeśli minie strażników i skręci za róg, będzie mogła zastanowić się, jak sobie z nimi poradzić.

– Kto idzie? – zapytał jeden z werbowników, zanim Rachel do nich podeszła.

Przystanęła i nie unosząc głowy, pokręciła nią, dając do zrozumienia, że nie powinni pytać o jej tożsamość. Czekwała w milczeniu.

– Musimy zapytać, co cię tu sprowadza – dodał przeproszającym tonem drugi werbownik, najwyraźniej zmartwiony tym, do kogo może się zwracać.

Może uda jej się zablefować. Nie próbowała zmienić głosu, ale odezwała się lodowatym tonem:

– Maldor powinien was ostrzec, że idę. Mam sprawdzić torivorów.

– Sprawdzić?! – wykrzyknął pierwszy strażnik. – Kim jesteś?

– To nie wasza sprawa – odparła oschle Rachel.

– Obawiam się, że nasza. – W głosie drugiego strażnika pobrzmiwała irytacja.

Przechodząc na edomicki, Rachel zasugerowała, żeby padli na podłogę. Obaj wypełnili polecenie, z brzękiem wypuszczając broń. Rachel zasugerowała, żeby się nie ruszali, a potem rozkazem i znacznym wysiłkiem woli uniosła obie halabardy i przysunęła ostrza do ich gardeł.

Po tej kombinacji sugestii i rozkazów poczuła zmęczenie, ale starała się go nie okazać. Stała z pochyloną głową i rękami za plecami. Mężczyzn nie trzymała już jej wola, ale najwyraźniej wystarczała do tego broń przystawiona do gardeł.

– Otworzycie mi drzwi czy zamierzacie dłużej mnie zatrzymywać?

– Nie mamy klucza – powiedział pierwszy werbownik bez śladu nieposłuszeństwa w głosie. – Tylko cesarz tu przychodzi, a i to rzadko.

– Wiem – skłamała Rachel, pokazując klucze, które zabrała strażnikom na górze, w pełni świadoma, że żaden z nich nie otworzy drzwi. – Pytam tylko, czy zamierzacie marnować mój czas.

– Skoro Maldor cię przysłał – odpowiedział drugi strażnik – i masz klucz, to

oczywiście możesz wejść.

Słowem i gestem Rachel sprawiła, że halabardy przeleciały po kamiennej posadzce korytarza.

– Zostańcie na ziemi, dopóki nie odejdę, ścierwa. Pilnujcie, żeby nikt mi nie przeszkadzał.

Strażnicy pozostali w bezruchu na ziemi. Rachel minęła ich i włożyła przypadkowy klucz do zamka. Wypowiedziała cicho polecenie i poczuła, jak mechanizm się porusza, ale nie na tyle, by się otworzyć.

Chociaż serce zaczęło jej walić jak szalone, Rachel starała się zachować spokój. Mechanizmy bardziej złożonych zamków we Wschodnim Forcie najpierw trzeba było obrócić w lewo, a dopiero potem w prawo. Obracając klucz w zamku, Rachel wypowiedziała dwa polecenia – najpierw obróciła wewnętrzne części zamku w jedną stronę, a potem pozostałe ruchome części zachęciła do obrotu w przeciwnym kierunku.

Zamek się odblokował i Rachel otworzyła drzwi. Uznając, że wypadnie najbardziej przekonująco, jeśli nie powie nic więcej, weszła i zamknęła za sobą drzwi. Znalazła się w absolutnej ciemności.

Na chwilę uległa panice, wyobrażając sobie wszędzie wokół siebie czatowników. Znajdowali się poblizu, ale nie wyczuwała ich wyraźnie. Nadal przeszkadzała jej jakaś bariera.

Zaczynając od drzwi, Rachel ruszyła po omacku, trzymając się ściany trzy kroki od framugi. Trzymając się kolejnej, ściany po kilku małych krokach odkryła schodek w dół. Znajdowała się u szczytu schodów. Prowadziły dokładnie tam, gdzie wyczuwała torivorów.

Macając wyżej na ścianie, znalazła uchwyt z pochodnią. Zapaliła ją słowem i wyjęła. Drżący płomień ukazał długie schody, pewnie ze czterdzieści stopni. Nie bardzo wiedząc, ile ma czasu, zanim strażnicy, których oszukała, rozpoczną pościg, zbiegła schodami.

Na dole krótki korytarz kończył się dużym lustrem. Po dokładniejszych oględzinach okazało się, że lustro to wypolerowane metalowe drzwi z serią maleńkich dziurek. W centralnych otworach górnego rzędu znajdowało się osiem kołków. To był zamek podobny do tego, który Jason opisał w Skarbnicy Wiedzy i w skarbcu mądrości w Trensicourt. Nie miała pojęcia, w jaki sposób edomicki mógłby pomóc jej go otworzyć. Wkładanie kołków metodą prób i błędów mogło zająć wiele tygodni, miesięcy albo lat. Może dłużej.

Rachel wyczuwała torivorów za drzwiami.

*Czujecie mnie?* – zapytała, wysyłając tę myśl z całą energią, jaką zdołała zebrać. *Muszę z wami porozmawiać. Możecie odpowiedzieć?*

Chociaż wyczuwała ich zbiorową obecność, nie rozpoznawała indywidualnych myśli. Musiała sama poradzić sobie z otwarciem drzwi. Jeśli zawiedzie, cała wyprawa



pójdzie na marne. Najpewniej nowy dzień zastanie ją zakutą w łańcuchy w lochach.

Przyjrzała się drzwiom. Wyglądały na zrobione z tego samego metalu co torivorańskie miecze. Same drzwi nawet by nie drgnęły, ale zostały osadzone w kamiennej ścianie.

Kiedy tylko myślami powróciła do Dariana, wiedziała, co zrobić. Zebrała wewnętrzną siłę i wypowiedziała polecenie zamieniające cały kamień wokół drzwi w szkło. Poczuła, że jej się udało. Kamień nabrał szklistego połysku i stał się odrobinę przejrzysty.

Podnosząc głos i wyciągając rękę, Rachel uderzyła z całej mocy umysłem. Przez chwilę drzwi dygotały. Małe pęknięcia przebiegły zygzakami po szkłe. Osuwając się na kolano, Rachel nadal naciskała. Z wysiłku zęby rozboleły ją aż po korzenie. W odpowiedzi na ostatni przypływ siły woli drzwi wpadły z hukiem do środka, a szkło, w których były zamocowane, roztrzaskało się na drobne okruchy.

Rachel padła do przodu na czworaki. Pochodnia uderzyła o podłogę i zatoczyła półkole. Rachel czuła chłodny kamień pod dłońmi. W ustach miała posmak krwi. Ból głowy powrócił. Zęby ją bolały i mrowiły. Język miała odrętwiały. Jednak jej umysł pozostał klarowny. Podniosła pochodnię i wstała.

Pokój za pustym otworem drzwiowym był czarny. Światło pochodni nie przenikało tej ciemności.

Wyczuwała czatowników za progiem, ich obecność nie była już przytłumiona ani niewyraźna. Były ich dziesiątki.

*Muszę porozmawiać z reprezentantem – przekazała Rachel.*

*To ty – odezwał się torivor, który ją rozpoznał. Rzadko ktoś nas odwiedza.*

*Mogę nie mieć wiele czasu – przesłała z naciskiem Rachel. Muszę zrozumieć wasz związek z Maldorem. Może i nie jestem dokładnie taka sama jak wy, ale też jestem Pozaświatowcem. Chcę was uwolnić.*

*Inni już próbowali – przekazał czatownik. Kiedy Maldor wysyła nas do zadania, nie wolno nam się porozumiewać. Tutaj jednak nie działamy zgodnie z określonymi instrukcjami. Zadawaj swoje pytania.*

*Chcecie służyć Maldorowi?*

*Pragniemy tylko jednego – odpowiedział torivor, przekazując słowa powoli i z wielkim naciskiem. Wolności. Tęsknimy za domem. Możemy zapracować na wolność, służąc zgodnie z umową.*

*Maldor dobił z wami targu?*

*Zokar zerwał umowę. Wezwał nas do tego świata i podporządkował sobie. Tam, skąd pochodzimy, nie musimy umierać. Życie trwa wiecznie. Tutaj jesteśmy bardziej narażeni. Musieliśmy się zgodzić na umowę, bo inaczej byśmy zginęli. Niektórzy z nas wybrali nicość. Większość ustąpiła.*

*Skoro zawarliście umowę z Zokarem, to w jaki sposób Maldor was kontroluje?*

*Poprzez Mroczny Kamień. Prawda jest zasadą naszego istnienia. Nie możemy kłamać. Nie możemy złamać przysięgi. Nasze przysięgi związały nas z Zokarem i klejnotem. Maldor posłużył się Mrocznym Kamieniem, żeby zapewnić sobie naszą współpracę. Nie mamy żadnych zobowiązań wobec niego. Jesteśmy winni posłuszeństwo Zokarowi. Dopóki klejnot istnieje, pozostajemy związani z tym światem. Ograniczeni przez nasze przysięgi, nie możemy go niszczyć. Tylko dopełniając umowy, możemy wyrwać się spod mocy klejnotu. Często opieramy się woli Maldora. Nie cieszy nas ta służba. Jednakże kiedy dopełniamy umowy, możemy uciec od Mrocznego Kamienia i wrócić do domu. Ostatecznie, kiedy on prosi, my się zgadzamy.*

*Rachel pomyślała o rozkazie, który pozwolił jej wyważyć wypolerowane drzwi.*

*A gdybym zniszczyła Mroczny Kamień?*

*Wtedy bylibyśmy wolni.*

*A gdybyście zawarli ze mną nową umowę? Która weszłaby w życie po tym, jak zniszczę klejnot? Opartą na prostszych warunkach. Zapewniłaby wam wolność szybciej niż wasze poprzednie umowy.*

*Nasze zainteresowanie zależałoby od warunków.*

*Ilu was pozostało?*

*Siedemdziesiąt i jeden.*

*Rachel powstrzymała się i nie wyszczerzyła zębów w uśmiechu. Nadal nikt nie nadchodził.*

*Nie jestem pewna, ile mam czasu. Lepiej zacznijmy negocjować.*

# Rozdział 33

## Przerwana uczta

Pierwszym wrażeniem były krople deszczu spływające po jego ciele. Początkowo ciężkie krople rzadko uderzały. Czuł każdy ich pocałunek na nagich rękach, nogach lub piersi i tam, gdzie woda potem spływała. Kiedy krople zaczęły spadać szybciej, zatraciły swoją odrębność, rozbryzgując się na jego odsłoniętej skórze i spływając strumykami ku nagim stopom. Początkowo przepaska biodrowa absorbowała wodę, ale wkrótce całkiem przesiąkła.

Potem zaczął odbierać zapachy. Przede wszystkim pachniało deszczem – bogaty i wilgotny aromat, subtelnie zmieniający się wraz z bryzą i intensywnością opadu. Drugorzędne zapachy obejmowały drzewny dym, mokry kamień, wilgotne rośliny i kuszącą woń świeżej krwi. Kolejne warstwy zapachów były żywsze i intensywniejsze niż wszystkie przyjemności zmysłowe, z jakimi się zetknął. Czy właśnie tak psy doświadczają świata? Miał wrażenie, że mógłby widzieć nosem.

Ze słuchem było gorzej. Był do przyjęcia, ale niezbyt ostry, stłumiony przez nienaturalne echa. Nakładające się na siebie odgłosy spadających kropeł deszczu zagłuszały niemal wszystkie inne dźwięki.

Nacisk liny na szyi był stały, ale nie powodował bólu. Przynajmniej to jedno się nie zmieniło.

Mimo braku bólu deszcz nie był przyjemny. Nie z powodu chłodu. Im bardziej przytomniał jego umysł, tym bardziej dotyk kropeł i zapach wody go męczyły, jak kęs zepsutego mięsa albo sączenie zepsutego mleka. To było nieprzyjemne odczucie – nieprzyjemny zapach, niehigieniczny, niezdrowy, niemile widziany. Oparł się pokusie i nie zaczął się wić.

Mimo zaciśniętych powiek Nedwin czuł, że trwa noc. Odetchnął wilgotnym

powietrzem, niepewny, czy oddychanie nadal jest konieczne.

Otworzył oczy.

Wisiał nad bramą zamkową zawieszony za szyję jako przykład dla królestwa. Nie zawracali sobie głowy tym, żeby związać mu ręce czy stopy. Pewnie nie ma takiej potrzeby, uznał, kiedy wieszasz człowieka, który już nie żyje. Poczł przyplłw radości. Umarł, ale czerwie goma, które połknął, kiedy Copernum napawał się zwycięstwem, przywróciły go do życia.

Połknięcie czerwii było pośpieszną decyzją. Naraził w ten sposób cały świat. Z drugiej strony, jeśli Maldor ma władać Lyrianem, może to, na co zasłużył, to właśnie spustoszony plagą koszmar.

Nedwin zabrał robaki z Ebery na wszelki wypadek. Przez całe lata zajmował się zbieraniem rzadkich okazów. Kiedy został sam na sam z zarażonym trupem, odkrył, że nie może oprzeć się pokusie. Wiedział, że żaden z jego towarzyszy nie pochwaliby tego, ale śmiercionośna próbka stanowiła ostateczną, potężną broń do wykorzystania, kiedy sytuacja obierze najgorszy możliwy bieg.

Wiatr przybrał na sile, deszcz zaczął go siec. Jego ciało zakołysało się w ciemności, mokra lina zatrzeszczała. Zaciskając zęby, starał się ignorować ohydę wody. Dotknął blizny w miejscu, gdzie miecz Copernuma przeszył mu pierś. Czerwie zacerowały ją schludnie, ale wrogowie powiesili go za wysoko, żeby ktokolwiek to zauważył.

Gdyby Maldor już wygrał, wypuszczenie plagi na świat byłoby niezwykle kuszące. Zginęłoby wielu niewinnych, ale pod tyranią Maldora ci ludzie już byliby zgubieni. Zaraza byłaby dla wielu łaską, a Maldor nie miałby czym władać.

Nedwin jednak nie mógł się nad tym zastanawiać. Musiał zachować nadzieję, że Galloran powróci zwycięski. Musiał zaufać przepowiedni. Nie uciekł się do środków, które miały go wskrzesić, po to tylko, by zniszczyć świat. Musiał być ostrożny. Wykorzysta drugą szansę, żeby osiągnąć ściśle określony cel.

Noc była ciemna, ale intuicja podpowiadała mu, że dopiero niedawno się ściemniło. Może to podejrzenie brało się z temperatury deszczu. Może z ilości ciepła promieniującego z pobliskich kamieni zamkowego muru. A może wpływał na niego jakiś niuans wychwytywany przez węch.

Nedwin wiedział też instynktownie, że nie żył krócej niż jeden dzień. To była noc po tym, jak został zabity. Dlaczego był tego taki pewien? Zgadywał na podstawie tego, jak słabo rozłożyło się jego ciało? Pożywiwszy się jego krwią, czerwie goma wzięły się za naprawianie i konserwowanie jego ciała. Być może czerwie wiedziały, ile czasu minęło i na jakimś poziomie ta wiedza udzielała się Nedwinowi.

Sięgając nad głowę, Nedwin wspiał się po linie, na której wisiał. Wymagało to niewielkiego wysiłku. Mięśnie miał mocniejsze niż do tej pory. Ciekawe.

Przykucnął między blankami i rozwiązał pętlę. Trudno było rozplątać wilgotną linę, ale palce miał zręczne i silne.

Patrolujący mury strażnik szedł w jego stronę. Obowiązkowy człowiek. Większość szukałaby osłony w czasie takiej ulewy. Czuwaliby, ale poczekali, aż deszcz ustanie, zanim podjęliby patrole na murach. Nedwin przykucnął i starał się schować blade, piegowate ciało.

Krew nadchodzącego strażnika to był najśłodszy aromat, jakiego kiedykolwiek zakosztował nos Nedwina. To była symfonia dla węchu. Budziła w nim pragnienie, budziła w nim głód. Pragnął krwi tak, jak pragnął snu, powietrza, przyjaźni i pokoju. Krew obiecywała, że zaspokoi wszelkie jego potrzeby, uleczy wszelkie rany – cielesne, emocjonalne czy duchowe.

Błyskawica przecięła niebo, poszarpana i bliska. Grzmot przewalił się z hukiem.

Krew była poza zasięgiem. Musiał zapanować nad pragnieniami. Czerwie przejęły jego ciało. Nie mógł pozwolić, żeby przejęły jego umysł. Posmakowanie krwi oznaczałoby rozprzestrzenienie zarazy. Rozprzestrzenić zarazę oznaczałoby zdradzić Gallorana w stopniu gorszym niż dotychczasowe jego porażki. Musiał się oprzeć. Gdyby miało zabraknąć mu woli, lepiej byłoby, żeby pozostał martwy.

Zostawiając na widoku tylko osiem palców, Nedwin zwiesił się z muru i nasłuchiwał, jak gwardzista go mija. Nie przystanął. Nedwin podciągnął się, zaszedł gwardzistę od tyłu, złapał go i zrzucił z murów. Mężczyzna krzyknął, zanim uderzył o ziemię. Jego zbroja zabręczczała. Ulewa stłumiła hałasy.

Co teraz? Kilka klatek schodowych schodziło wewnątrz murów. Nedwin podszedł do najbliższej, pośpiesznie zszedł kawałek, a potem zeskoczył na dach magazynu. Idąc dachem, czuł, jak gonty skrzypią pod jego stopami. Starał się iść ostrożniej i wkrótce zdał sobie sprawę, że częściowo stracił umiejętność bezgłośnego poruszania się. Czy to z powodu subtelnego osłabienia jego zdolności motorycznych? Utraty jakichś instynktów, które uważał za naturalne? Ciekawe.

Zwiesił się z okapu i opadł na mokry bruk, lądując na ugiętych nogach. Ulewa trwała wokół niego. Schował się za beczkami pod okapem. Deszcz i ciemność pomogą mu, ale nie mógł niczego z góry zakładać. Chudy, blady, prawie nagi mężczyzna na dziedzińcu zamkowym przyciąga wzrok nawet w czasie niepogody. Wystarczy jeden bacny wartownik i światło latarni.

Musiał dotrzeć do stajni i ukrytego tam wejścia do zamku, ale wymagało to od niego przejścia po odkrytym terenie. Teraz ukrywał się w cieniu, lecz światło wylewało się z wielu okien i latarni. Jeszcze więcej latarni zapłonie, jeśli ulewa nie ustanie.

Nedwin żałował, że nie ma płaszcza albo koca. W takim deszczu miałby idealną wymówkę, żeby ukryć twarz i szybko się poruszać. Coś użytecznego znalazłoby się w magazynie, ale solidne drzwi były zamknięte na zamek, a bez narzędzi go nie otworzy.

Kiedy ulewa nieco osłabła Nedwin zdał sobie sprawę, że jeśli będzie się wahał dłużej, może stracić szansę na dotarcie do sekretnego przejścia pod stajniami. Lepiej

zaryzykować przejście po otwartym terenie w czasie ulewy niż kiedy gwardziści wrócą do patroli.

Przemykał się od budynku do budynku, trzymając się blisko murów i roślin, chowając się, kiedy zaszła potrzeba. Znalazł zabrudzony, przemoczony koc na wózku i owinął nim głowę i ramiona. Nie udało mu się zakryć nagich nóg, ale lepsze to niż nic.

Deszcz osłabł, zanim Nedwin dotarł do stajni. Była ciemna, przesiąknięta końskimi zapachami – siana, owsa, drewna, wyprawionej skóry, błota, łajna, końskiego potu, a przede wszystkim krwi. Pokusa nie była nawet w przybliżeniu tak wielka jak w przypadku ludzkiej krwi, ale Nedwin nie pamiętał, żeby jakikolwiek posiłek pachniał równie ponętnie.

Ignorując zapachy, znalazł wejście do piwnicy, a potem ukrytą klapę nad niższą piwnicą. W ciemności jego palce odnalazły ukryty haczyk i Nedwin wszedł do cichego korytarza.

Zapachy tutaj były bardziej zatęchłe – kurz, kamień, drewno, zgnilizna, pleśń i szczurze bobki. Nedwin wychwycił woń żywych szczurów, zauważając, że szczurza krew pachnie niemal równie ponętnie jak końska.

Nic nie widział. Nie miał wodorostu ani nie miał czym zapalić pochodni schowanych za wejściem. Jednak z łatwością je zwęszył. Czuł zapach ścian równie wyraźnie, jakby je widział, tak samo jak potrafił wywęszyć otwarte przestrzenie korytarzy i pokojów. Potrafił nawet zwęszyć pajęczynę.

Idąc ciemnymi korytarzami, Nedwin po raz pierwszy zauważył, że jego serce już nie bije. Przystanął, próbując wymacać nieistniejący puls w nadgarstku, a potem na szyi i w piersi. Bardziej niż wiszenie na murach, bardziej niż wzmocniony zmysł węchu, bardziej niż wspomnienie śmiertelnej rany, brak bicia serca zmusił Nedwina do pogodzenia się z faktem, że naprawdę nie żyje.

Pomasował szczękę. Życie się skończyło. Nie należał już do tego świata. Był ohydą. Jego ciało zawierało nasiona straszliwej zarazy. Jeśli te nasiona trafią do innych, Lyrian zamieni się w Eberę.

Miał ostatnią misję do wypełnienia, a potem będzie mógł odpocząć. Będzie ostrożny. Będzie potrzebował orantium. Po drodze do ukrytego zapasu dwunastu kul nadstawiał uszu. Przez lata słuch był najostrzejszym jego zmysłem i ogromnie go frustrowało, że teraz był przytępiony. Nawet bez idealnego słuchu wkrótce stało się oczywiste, że trwa uczta. Jeśli Copernum był obecny, posiłek może się okazać potrzebną Nedwinowi szansą.

Ukradkowe działanie już go zawiodło. Tym razem oprze się na nieodpartej sile. Nie przeżyje, ale przeżycie straciło na ważności. W końcu już nie żył.

Znalazł orantium, jak się spodziewał – dwanaście kul zamkniętych razem w worku, upakowanych wiórami, żeby zapobiec przypadkowej detonacji. Ostrożnie podniósł

worek.

Niewidzianymi przejściami dotarł do jadalni. Wspiął się po drabinie i wyjrzał przez gobelin, który został specjalnie ostrożnie przetarty. Kiedy patrzył z ciemności w światło, przez niemal przezroczysty kolorowy gobelin, miał doskonały widok na przestronną salę.

Patrzył ze zdumieniem, ledwie wierząc własnym oczom. Nie dość, że obecny był Copernum, to jeszcze lordowie, którzy z nim współpracowali, w tym Dolan i wielki diuk, w sumie ponad czterdziestu spiskowców. Kogo innego można było się spodziewać na bankiecie wydanym przez uzurpatora? Copernum był za sprytny, żeby dopuścić do siebie potencjalnych wrogów na tak wczesnym etapie okupacji.

Nie podano jeszcze deseru, ale uczta najwyraźniej trwała już od pewnego czasu. Wielu uczestniczących w niej lordów wyglądało na objedzonych. Krzątający się służący odchodzili z pustymi tacami i talerzami. W wielgachnym kominku huczał ogień.

Nedwin czuł zapach jedzenia jak nigdy dotąd. Podano wołowinę, baraninę, szynkę, kurczaka, indyka, gęś z najróżniejszymi sosami, przyprawami i dodatkami. Czuł zupę z zielonego groszku, potrawkę warzywną, pureé z batatów, świeże jagody, gryzące sery, grzyby na maśle, oliwki nadziewane pastą czosnkową, i kawałki chleba, które powoli czerstwiały.

Mimo najróżniejszych zapachów wyczuwanych tak dokładnie jak nigdy dotąd, nie budziło to jego apetytu. Ani odrobinę.

Wszystkie aromaty bladły przy upajającej woni świeżej ludzkiej krwi.

Dzisiaj uczta nie znajdowała się na stołach i w kuchniach. Dzisiaj uczta płynęła w biesiadnikach, pompowana w kółko, ciepła i płynna, kusząca.

Jednakże Nedwin nie zjawiał się tu po to, żeby zaspokoić nowy apetyt. Niezależnie od tego, jak jasno płonęło jego pragnienie, nie mógł go usłuchać. Musiał wypełnić zadanie.

Wypakował kule z worka, a potem odłożył je w łatwo dostępne miejsce. Poćwiczył trzymanie worka i wyjmowanie kul.

Sekretne wejście do jadalni ukryto za gobelinem z boku sali. Nedwin nie znajdzie się od razu koło Copernuma, ale o ile nie popisz się niezręcznością, będzie dostatecznie blisko.

Nie mógł czekać. Musiał uderzyć, póki Copernum tam był. Co, jeśli zdrajca wymówi się przed deserem?

Nedwin zajął się mechanizmem i odsunął sprytnie skonstruowany fragment kamiennej ściany – przesunął się bez większego hałasu, który zresztą zagłuszyły burzliwe rozmowy, dzwonienie sztućców i krzątania służących. Ciężki gobelin zasłaniał otwarte przejście.

Odrzucając gobelin na bok, Nedwin wszedł do jadalni. Ogień na kominku drażnił

mu oczy, ale nie na tyle, by go spowolnić. Większość uzbrojonych gwardzistów stała przy głównych drzwiach. Pierwsza kula orantium poszybowała w ich kierunku. Druga wylądowała koło stołu. Obie wybuchły jedna po drugiej z białym rozbłyskiem i potężnym hukiem, który rozległ się echem w przestronnej jadalni. Gwardziści polecili we wszystkie strony. Jeden stracił hełm. Stół wyleciał w powietrze i rozpadł się, półmiski z jedzeniem poszybowały. Biesiadnicy przewracali się i koziołkowali.

Zaskoczone twarze odwróciły się w jego stronę. Nedwin dostrzegł szok w większości oczu, kiedy ludzie go rozpoznali. Wszyscy złożyli przysięgę wierności jemu i koronie. Uśmiechając się, wyjął następną kulę orantium i rzucił ją w stronę gwardzistów, koło stołu, gdzie jedli Copernum, Dolan i wielki diuk. Eksplozja zabiła gwardzistów i wyrzuciła stół.

Bełt trafił Nedwina w zębra. Zerknął na ranę, ale ów fakt nie wywołał bólu i nie zdołał mu w niczym przeszkodzić. Nedwin nagroził kusznika za jego celność kulą orantium, która pozwoliła jemu i innym obok niego dokonać zadziwiających akrobacji powietrznych.

Służba się rozbiegła, kierując się w stronę drzwi kuchennych. Nedwin rzucił kulę, żeby odwieść ludzi od ucieczki.

Niektórzy z biesiadników wyciągali noże i miecze. Większość próbowała się schować. Rzucony nóż ugrzęznął w udzie Nedwina, nie powodując ani większej krzywdy, ani cierpienia.

Grupa arystokratów siedzących przy najbliższym stole rzuciła się na Nedwina, zmuszając go do rzucenia orantium bliżej, niżby tego chciał. Poczł ciepłą falę uderzeniową towarzyszącą wybuchowi. Od huku zadzwoniło mu w uszach, a od rozbłysku trochę zakręciło się w głowie. Zatoczył się, ale nie stracił równowagi. Człł odór własnego nadwęglonego ciała.

Nikt więcej go nie atakował. Większość napierała na drzwi. Nedwin rzucił jedną kulę w stronę głównych drzwi i drugą w stronę drzwi dla służby. Wybuchy pociągnęły za sobą wiele ofiar.

– Oto wasza nagroda za przyjmowanie rozkazów od rozsadnika! – krzyknął. Własny głos dziwnie zabrzmiał mu w uszach.

Rzucił kulę w paru lordów, którzy kryli się za przewróconym stołem. Bezpośrednie trafienie udowodniło, że orantium jest o wiele potężniejsze od drewna.

Mężczyźni krzyczeli i jęczeli. Powietrze wypełnił dym. Nedwin podszedł do stołu, za którym chował się Copernum. Spojrzeli sobie w oczy. Nedwin nigdy nie widział Copernuma zdumionego ani przerażonego. Dziś wieczorem zobaczył obie emocje z całą wyrazistością.

Nedwinowi zostały trzy kule. Jedną cisnął w kolejny stół, za którym chowali się zdradzieccy lordowie. Kilka osób uciekało do drzwi. Jednak nie Copernum. Nedwin zbliżył się na tyle, żeby nie móc spuścić, i zniszczył stół, za którym kulił się



kanclerz. Chociaż ten mebel był solidniejszy od pozostałych, orantium go roztrzaskało.

Została jedna kula.

Poprzez dym Nedwin zobaczył, że Copernum odpełza; krwawił i miał poczerniałe ciało. Dolan nie żył. Wielki diuk nie żył. Dziesiątki zdrajców zginęły.

– Nedwinie, czekaj! – krzyknął Copernum, unosząc rękę. W jego oczach malowała się desperacja. Drobinki jedzenia zbryzgały mu twarz i ubranie. Drzazgi ze stołu wystawały z ciała. – Czekaj! Jeśli mnie zabijesz, to Galloran zginie. Mam kluczową informację!

Nedwin pokręcił głową.

– Już dość pomogłeś Galloranowi.

Rzucił ostatnią kulę tak, żeby roztrzaskała się o podłogę obok niewiernego kanclerza. Oślepiający wybuch dokonał reszty.

Nedwin rozejrzał się. W zadymionej sali zapanował bezruch. Wszyscy uciekli, umarli albo udawali martwych. Udało mu się. Przedłużył własne życie w nienaturalny sposób właśnie w tym celu i wypełnił zadanie. Ta świadomość przyniosła mu ogromną ulgę.

Na wszelki wypadek sprawdził rozerwane szczątki swojego dawnego oprawcy. W końcu to był rozsadnik. Nie wykrył żadnej sztuczki. Copernum nie został rozerwany chwilowo. Był w zupełności i całkowicie martwy.

– Jesteś jeszcze bardziej martwy ode mnie – wymamrotał Nedwin.

Ile czasu minie, zanim zjawią się po niego gwardziści? Mogą nadbiec w każdej chwili. Huk orantium ściągnie tutaj żołnierzy z całego zamku. Niektórzy może się zawahają. Usłyszą, co się stało, od ocalałych. Nie wiedzieli, że już skończyło mu się orantium. A przecież podobno nie żył. Jednak, nie wiedząc, że ich przywódca zginął, mogą bać się jego gniewu, gdyby zawiedli.

Nedwin podszedł do ognia, który nadal buzował na kominku. Celowo nie zniszczył go w trakcie ataku gradem pocisków. Potrzebował tych płomieni.

Zerknął na ukryte przejście. W jadalni nadal panował bezruch. Mógłby się wymknąć.

Nie. Miał szczęście. Nie dość, że wyeliminował Copernuma, to jeszcze zgładził większość, jeśli nie wszystkich ludzi zdolnych zająć jego miejsce. Bez siły olbrzymów, bez zdradzieckiej arystokracji stojącej za okupacją kolejna rewolucja była nieunikniona. Dokona się sprawiedliwość. Zdraycy zostaną ukarani. A kiedy Galloran wróci, zastanie sprzymierzeńców zarządzających Trensicourt, nie wrogów.

Powłócząc nogami, ruszył, godząc się z tym, że nigdy więcej nie zobaczy Gallorana. Nigdy nie powita swojego pana w domu. A jednak historia tej nocy dotrze wszędzie. Galloran dowie się, że jego były giermek pozostał wierny do końca. To znaczyło dla niego wszystko.

Nedwin przystanął przy palenisku. Jasne płomienie raniły mu oczy. Ciepło drażniło

skórę. Każdy instynkt mówił mu, żeby uciekał.

A jeśli Galloran zawiódł? Co, jeżeli król nigdy nie powróci do królestwa? Gdyby Maldor zwyciężył, Nedwin mógłby rozpętać zarazę i zniszczyć jego zwycięstwo. Ponownie rozważył pośpieszną ucieczkę. Pomyślał o wielu tygodniach w ukryciu, kiedy to żywiłyby się zwierzętami, czekając na wieści.

Nie. Zbyt wiele mogło się nie powieść. Na razie miał pewność, że żaden robak nie uciekł z jego ciała. Musiał zadbać, by tak pozostało. Musiał zaufać Galloranowi. A jeżeli Maldor jednak wygra? Nedwin pochylił głowę. Nie miał prawa niszczyć świata. Służył Galloranowi najlepiej jak potrafił. Nie wolno mu skalać własnej ofiary. Wyniesienie czerwi poza Eberę odbyło się na jego własną odpowiedzialność. Galloran nigdy się na to nie zgodził. Każda chwila trwania Nedwina zwiększała ryzyko przypadkowego zarażenia. Czerwie musiały spłonąć, co oznaczało, że on musi spłonąć razem z nimi.

Od lat Nedwin nie bał się śmierci. Nie bał się jej i teraz. Ogień go nie pociągał. Krew zaś obiecywała spełnienie. Czuł ją wszędzie. Ogień obiecywał cierpienie. Nedwin usłyszał odgłos kroków. Nadchodziły strażę. Spóźnili się. Nedwin rzucił się w ogień, wierząc się, aż znalazł się w sercu płonących polan.

Wszystko w nim się wzdrygało. Każdy instynkt mówił mu, że musi uciekać. Nie cierpiał. Czerwie być może tak, ale nie on. Było mu ciepło, ale nie gorąco. Myślał, że będzie jasno i strasznie, ale teraz było mu niemal dobrze. Czuł po zapachu, że ogień go pożera. Zamknął oczy. Nie umierał. Już nie żył. To był tylko koniec jego wycieńczonego ciała. Do końca zachował przytomność umysłu. W każdym razie dostateczną przytomność umysłu. Wypełnił obowiązek. Był przekonany, że Galloran będzie z niego dumny i ta myśl niosła pocieszenie. Nie czuł już smrodu spalenizny. Nie słyszał trzasku kłód. Jego cierpienie się zakończyło. Żaden ból nie będzie nawiedzał jego snów. Nareszcie Nedwin odnalazł ukojenie.

# Rozdział 34

## Pozaświatowcy

Długo czekała, zanim zjawił się Maldor.

Najpierw cesarz wysłał sługi. Niestety, żaden werbownik ani rozsadnik nie chciał wejść do cienistego pokoju, żeby wyprowadzić Rachel – nie, dopóki stała otoczona przez torivorów. Słuchała, podczas gdy wrogowie omawiali jej trudne położenie. Obawiali się niezadowolenia cesarza. Pragnęli jego aprobaty. Jednakże o wiele bardziej bali się czatowników. Żaden z nich nie przekroczył progu.

Rachel straciłaby poczucie czasu, ale czatownicy stale ją informowali. Ich negocjacje zakończyły się wiele godzin temu. Nie prowadziła z nimi przyjacielskich pogaduszek. Według czatowników słońce było już dobrze ponad horyzontem, kiedy Maldor zjawił się w progu.

Teraz bardziej przypominał zadowolonego z siebie dżentelmena, który odwiedził jej sen. Nie sprawiał już wrażenia zmęczonego czy zniedołężniałego. Nie pozostał żaden ślad po paraliżu twarzy. Nosił ciemny, królewski strój. Mroczny Kamień lśnił na jego piersi.

Rachel wykręcała ręce. Prawie skończył jej się czas. To będzie jedyna szansa. Musiało jej się udać.

– Co za głupota – zbeształ ją Maldor. – Wpakowałaś się w śmiertelne niebezpieczeństwo, Rachel. Wyjdź stamtąd.

– Jest mi tu całkiem wygodnie – odpowiedziała Rachel, nadal otoczona przez krąg czatowników. – Możesz kazać przynieść mi tu moje łóżko? I może coś do jedzenia?

Maldor, z pochodnią w ręku, patrzył na nią. Nie przekroczył progu.

– Imponuje mi, że dostałaś się do tej komnaty. Ominięcie straży wymagało talentu, ale wyrwanie drzwi przekroczyło moje oczekiwania. Portal i ściany zostały

wzmocnione edomickim.

Rachel ucieszyła się z tej informacji. To znaczyło, że zamieniła w szkło kamień, chociaż był zaczarowany.

– Byłam gotowa na wszystko.

– Dlaczego? Masz jakiegokolwiek pojęcie o zagrożeniu, w jakim się znalazłaś? W tym pokoju nie mogę panować nad torivorami.

– Czy wyglądam na zmartwioną? Wiele mnie łączy z torivorami. Porozumiewamy się umysłami. Jesteśmy tu wbrew naszej woli. Żadne z nas nie należy do tego świata. Wszyscy jesteśmy Pozaświatowcami.

Maldor się zaśmiał.

– Niewiele cię z nimi łączy, Rachel. Jeśli pozwoliłaś, żeby wmówili ci co innego, może już nie być dla ciebie ratunku. To nie są przerażeni więźniowie. Znajdujesz się wśród zamkniętych w klatce drapieźników, które rozerwałyby ten świat na strzępy, gdyby dać im szansę. Jeśli natychmiast stamtąd wyjdiesz, może uda mi się ciebie ocalić.

– Nie robią mi krzywdy.

– Niezależnie od tego, co sobie wyobrażasz, Rachel, posługują się tobą. Nie wykonuj żadnego gwałtownego ruchu. Podejdź do mnie powoli.

– Nie. Bardziej ufam im niż tobie.

– Przykro mi z powodu bólu, jaki wycierpiałaś, kiedy próbowałaś mnie zabić. Masz ogromną moc jak na kogoś tak młodego. Broniałem się tak delikatnie, jak pozwalały mi na to okoliczności.

– Chcesz mnie zamienić w dziwadło, wypełnić częściami rozsadników i magicznym słowem, które może mnie zniszczyć.

Maldor uniósł rękę.

– Byłaś wierna przegrywającej stronie. Nie kryłaś się z tym, że jesteś moim wrogiem, i zniszczyłabyś mnie, gdybyś mogła. Chociaż podziwiam twój talent i chcę widzieć, jak wzrasta, muszę zadbać o własne bezpieczeństwo. Zważywszy na okoliczności, uważam, że byłem zarówno hojny, jak i wyrozumiały. To się skończy, jeśli stamtąd nie wyjdiesz.

– A jeżeli odmówię?

Maldor dotknął wisiorka z Mrocznym Kamieniem.

– Rozkażę jednemu z nich przyprowadzić cię. I wtedy po raz pierwszy naprawdę doświadczysz mojego niezadowolenia.

– Chciałabym to zobaczyć. Nie muszą wypełniać twoich rozkazów. Zokar to była inna historia. Nie masz nad nimi takiej samej władzy. Możesz sprawić im ból, możesz trzymać ich w pętach, dopóki nie wypełnią umowy, ale mogą opierać się twoim żądaniom. Mogą też przysporzyć tobie cierpienia.

Maldor nie starał się już robić wrażenia przyjaznego.

– Jak śmiesz sprzeciwiać mi się w moim własnym zamku? Wiesz, gdzie jest teraz twój odważny Galloran? Ucieka. Ucieka ze swoją żalosną armią. Moje wojska właśnie wlewają się do doliny. W tej chwili przejmują puste forty i ustawiają się wokół Felrook, czekając na moje rozkazy. Twoi kamracy nie będą mogli za długo uciekać. W dowolnej chwili mogę odciąć im drogę ucieczki i wybić ich co do nogi.

– Tak myślisz?

– To absurd. Nie muszę rozkazywać żadnemu torivorowi, żeby cię wyprowadził. Wystarczy, że odmówię podania ci jedzenia i wody, i będę patrzeć jak tracisz siły. Przyniosę ci głowy przyjaciół, których mogłaś ocalić, gdybyś bardziej współpracowała.

– Poczekaj. Nadal ocaliłbyś dziesięciu moich przyjaciół?

Spojrzał beznamiętnie.

– Owszem, gdybyś dała mi do tego okazję. Twoim towarzyszom kończy się czas. Nawet ja nie potrafię wskrzeszać.

Rachel zwiesiła głowę, mając nadzieję, że robi wrażenie pokonanej.

– Boję się wyjść. Upokorzyłeś mnie. Zraniłeś mój umysł, poraniłeś ciało, zmiądzżyłeś moje nadzieje. Zraniłeś moją wiarę we własną magię. Nie próbowałam cię rozgniewać, przychodząc do czatowników. Chciałam tylko znaleźć miejsce, w którym nie będziesz mógł mnie dosięgnąć. Miejsce, w którym nie będę się czuła bezsilna. I na to właśnie wpadłam.

Twarz Maldora odrobinę złagodniała.

– Nowatorski pomysł, ale wszelkie pokrewieństwo z torivorami, jakie sobie wyobraziłaś, może bazować tylko na potwornym niezrozumieniu ich natury. Nie ufam tej zagrywce ze skrucą, ale wyjdź stamtąd z własnej woli, a obiecuję ci wybaczyć. Sprawa, o którą walczyłaś, przepadła. Twoi ludzie uciekają. Ostatnia rebelia została zdławiona. Czas, żebyś wybrała sobie nową sprawę. Obawiasz się, jak zmieni się Lyrian pod moimi rządami? Proponuję ci pozycję i władzę wystarczającą, żeby wpłynąć na te zmiany. Nie musimy być wrogami. Chodź, Rachel, nie ociągaj się w mrokach.

– Zostaniemy sami? Chciałabym jeszcze porozmawiać.

Maldor odwrócił się i machnął ręką.

– Będziemy sami.

– Nadal ocalisz dziesięciu moich przyjaciół?

– Jeśli wyjdiesz i podasz mi imiona, zrobię co w mojej mocy, żeby oszczędzić twoich faworytów.

*Pójdę teraz z nim* – przekazała torivorom Rachel.

Mroczne postaci zeszły jej z drogi.

– Cofniesz się? – poprosiła Rachel. – Przerażasz mnie.

– Wyjdiesz, gdy odejdę? – zapytał Maldor.

– Nie wychodź – powiedziała Rachel z drzeniem w głosie. – Chcę porozmawiać.

Daj mi tylko trochę miejsca. To był dla mnie naprawdę ciężki dzień.

– Rozumiem – powiedział Maldor, cofając się w głąb korytarza.

Rachel podeszła do progu. Zawahała się, czekając, aż Maldor odsunie się dostatecznie daleko.

– Zaatakujesz mnie edomickim?

– Nie, jeśli ty nie zaatakujesz mnie.

– Nie chcę nigdy więcej cię atakować – powiedziała Rachel, przekraczając próg. – Chcę jednak pokazać ci rozkaz, którego ktoś mnie nauczył.

– Kto?

– Orruck.

Maldor wytrzeszczył oczy.

Jej umysł się oczyścił. Przygotowywała się na tę chwilę od wielu godzin. Tak naprawdę, to przygotowywała się do tej chwili od przybycia do Lyrianu. Przygotowywała się, odkrywając swój talent. Przygotowywała się przez długie godziny ćwiczeń w Mianamon i w innych miejscach. Jej wolę umacniali ci, których kochała i utraciła. Jej wolę umocniła myśl o wspaniałych przykładach takich bohaterów jak Galloran i tych, którzy mu służą. Jej determinacja wzrosła, kiedy dostrzegła zło, jakie reprezentował sobą Maldor. Jej wiarę uzbroiła przepowiednia, którą zdobył Jason. Nawet jej ostatnia porażka w walce z Maldorem pomogła jej się przygotować.

Bez chwili wahania Rachel włożyła wszystko w rozkaz. Jej życie zależało od tej chwili. Nie było trudno przywołać prawdziwe emocje. Cały jej strach, gniew i poczucie straty. Całą nadzieję, wiarę i miłość. Pragnienie życia. Całą siłę woli, jaką mogła wezwać.

Skupiła się na wisiorcu Maldora i wypowiedziała rozkaz, który zamienił kamień w szkło.

Poczuła, że rozkaz się wypełnił.

Maldor spojrział w dół, zdumiony.

Przemieniony Mroczny Kamień błyszczał nieco inaczej, ale nadal wyczuwała w nim moc. Wiedziała, że sama przemiana może nie wystarczyć. Była na to przygotowana.

Wypowiadając błyskawicznie sugestie jedna po drugiej, zmusiła Maldora do padnięcia, zaśnięcia, biegu, podskoku, obrotu i zamilknięcia. Po tym, jak prawie jej posłuchał w czasie ich pojedynku, Maldor wykorzystał tę taktykę przeciwko niej, ogłupiając ją wieloma instrukcjami na raz. Wiedziała, że wypowiedziała sugestie z większą subtelnością i umiejętnością niż wcześniej.

Widziała, że Maldor opiera się sugestiom, ale nie zatrzymała się, by nacieszyć się jego chwilowym niezdecydowaniem. Podnosząc głos, wypowiedziała polecenia, których nauczyła ją Chandra, a do których przeciwiczenia w swojej obecności zmusił ją Orruck – uniosła wisior Maldora, zdjęła mu łańcuch przez szyję, dźwignęła w powietrze i cisnęła nim o podłogę.

Mroczny Kamień się roztrzaskał.

Cicha aura mocy zniknęła.

Dochodząc do siebie po krótkim zamroczeniu, Maldor zagapił się na cząsteczki i okruchy potłuczonego szkła na podłodze. Jego wściekłe spojrzenie odnalazło Rachel.

Warknął, wypowiadając ostry rozkaz, przywołując potężną masę żaru do jej ubrań.

Spokojnie, z pewnością, Rachel wypowiedziała polecenie, którym on posłużył się do rozproszenia jej ogniowego ataku. Słyszała te słowa tylko raz, ale zawsze szybko się uczyła. Maldor zgiął się wpół, kiedy jego rozkaz zawiódł, łapiąc się za żołądek i walcząc z odruchem wymiotnym.

Kłęcząc na czworakach, spiorunował Rachel spojrzeniem wściekłych, przekrwionych oczu. Potem jego twarz zmieniła się, kiedy wściekłość przeszła w pełne zgrozy zrozumienie. Maldor nie patrzył już na Rachel. Oglądał się przez ramię.

Odwróciła się i zobaczyła czatownika, który zgodnie z umową wyszedł z ciemnej komnaty, ze smukłymi mieczami w obu rękach. Minął ją bezszelestnie i rzucił jeden z mieczy Maldorowi. Cesarz zrobił unik i ostrze zadźwięczało o kamienną posadzkę. Czatownik nadal nieśpiesznie szedł w jego stronę.

Nie zwracając uwagi na Rachel, Maldor popatrzył na torivora, a potem na miecz na podłodze. Wyciągnął rękę i wypowiedział edomicką sugestię, rozkazując czatownikowi, żeby przebił się ostrzem. Rachel wyczuwała, że w desperacji posunął się za daleko. Kiedy rozkaz zawiódł, cesarz padł na podłogę i zwymiotował.

Czatownik nadal podchodził spokojnym, płynnym krokiem. Otarłszy usta, Maldor podniósł wzrok, a jego oszalałe oczy wypełniły się grozą. Czatownik prawie do niego doszedł. Cesarz uniósł ręce wnętrzem dłoni na zewnątrz, a jego usta poruszały się pośpiesznie.

Ostrze opadło, by oddzielić głowę Maldora od ramion, ale odbiło się, zanim go dosięgło. Torivor nie przestawał ciąć. Grad potencjalnie śmiertelnych ciosów odbijał się, kiedy miecz trafiał w cieniutką kopułę energii, która rozbłyskiwała w chwilach zderzenia z metalem. Za każdym razem, gdy ostrze uderzało w barierę, kopuła jarzyła się błękitno-białym światłem i zaraz zniknęła z oczu.

Czatownik nadal ciął bez wahania. Maldor trzymał uniesione dłonie, a jego twarz zdradzała niepokój, ale i determinację. Nie spuszczał wzroku z przeciwnika.

Rachel spodziewała się, że torivor zabije Maldora, ale przynajmniej cesarz znalazł się na razie w pułapce. Wyrwał jej się krótki, histeryczny śmiech, zanim zasłoniła rękami usta, a łzy zniekształciły obraz. Naprawdę jej się udało? Czy to go zatrzyma? Naprawdę miała szansę przeżyć?

Nie wyglądało na to, żeby Maldor mógł uciec. Ciosy spadały bez chwili przerwy. Cesarz nawet nie zerknął w jej stronę.

Czatownicy wylali się z komnaty. Trzech przystanęło obok Rachel.

*Dobra robota* – przekazał jeden z nich.

*Wzajemnie – odpowiedziała, starając się nad sobą zapanować. Co się stanie z Maldorem?*

*Atakujący nie zaprzestanie ataków – zapewnił ją czatownik. Obrona wiele kosztuje Maldora. Nie może jej utrzymywać wiecznie. Ucieczka jest mało prawdopodobna.*

*Dopełnicie reszty umowy? – upewniła się Rachel.*

*Nie możemy kłamać.*

*Wobec tego zabierzcie mnie do Gallorana.*



# Rozdział 35

## Ofiara

Tark wypłynął na powierzchnię w kopalni, łapiąc gwałtownie powietrze. Ze świecącym wodorostem w ręce wyszedł z wody. Z włosów i spodni ociekała mu woda. Nie miał na sobie koszuli ani butów. Położył się na plecach, upajając się ziemistym powietrzem. Ledwie udało mu się tu dopłynąć.

Dzięki Ferrinowi Tark wiedział dokładnie, gdzie znaleźć wejście do kopalni i jak daleko musi płynąć, żeby dotrzeć do miejsca, gdzie było uwięzione powietrze sprzed wieków. Nawet z ciężarkami, które miały pomóc w nurkowaniu, zejście zajęło mu niepokojąco dużo czasu, a ciśnienie narastało w miarę, jak się zanurzał. Skały blokowały wejście, ale przepłynął przez szparę, którą przygotował Ferrin. Przez dwadzieścia stóp było ciasno, potem, mimo bólu w płucach, przepłynął podwodnym wykopem, aż wreszcie tunel skręcił w górę i tam Tark się wynurzył.

Niewielu ludzi przeżyłoby takie nurkowanie. Ferrin ostrzegał, że będzie to wielkie wyzwanie, i nie mylił się. Tark usiadł. Jeszcze nie wypełnił zadania – było mu do tego daleko. Cały Lyrian liczył na niego.

W blasku wodorostu Tark zobaczył narzędzia, które zostawił mu Ferrin. Różnorakie kilofy, łomy różnej długości, linę, zapasowe wodorosty i pół tuzina kul orantium, w tym jednego wielkiego burzyciela. Ferrin odpytał go wcześniej z trasy, która zaprowadzi go do miejsca, gdzie zamknięto kopalnię. Przekazał mu te informacje niedługo przed aresztowaniem.

Tark poinformował Gallorana, że Naman aresztował Ferrina, ale zanim król wezwał dowódcę nasienników, rozsadnik zdążył już uciec. Od tego czasu słuch po nim zaginął.

Tark jednak nie mógł pozwolić sobie na myślenie o tym. Prowadzony przez Gallorana odwrót już trwał. Tark musiał działać. Wybór właściwej chwili był

kluczowy. Wiązało się to ściśle z rozmieszczeniem sił Maldora. Według Ferrina, w rozległych tunelach powinno być mnóstwo zdatnego do oddychania powietrza. Tark roztarł ręce, próbując się rozgrzać. Gdyby zdołał się pośpieszyć i odpalić żyłę orantium, póki ogromna armia Maldora zbiera się wokół Felrook, wojna właściwie zakończyłaby się na tym jednym ciosie.

Zaczął zbierać rzeczy.

W tunelu pojawiła się łuna, niedaleko zasięgu światła Tarka. Ferrin trzymał świeżo rozjarzony kawał wodorostu w jednej ręce i wielką kuszę w drugiej. Celował w Tarka.

– Ferrin?

– Witaj.

Rozsadnik zmarszczył czoło, głos miał bezbarwny. Sprawiał wrażenie zmęczonego i wyglądał niechlujnie.

Tark nigdy nie widział, żeby Ferrin wyglądał niechlujnie.

Ręka muzyka przesunęła się do noża.

– Nie dotykaj tego noża – ostrzegł go Ferrin. – Mój palec jest szybszy od twojej ręki.

Rozsadnikowi brakowało nosa.

– Co to znaczy? – zapytał Tark, powoli unosząc obie ręce.

– A na co to wygląda? Po tym wszystkim, co zrobiłem, Naman mnie aresztował.

Tark się skrzywił.

– Wiem. Galloran się zdenerwował. Próbował interweniować, ale ty już zniknąłeś.

– Wierzę, że próbował. Jednak nadszedł czas, żebym przejął sprawy we własne ręce. Moi strażnicy zostawili mi niewielką szansę na ucieczkę, więc ją wykorzystałem. To doświadczenie stanowiło przykre przypomnienie. Jeśli odpalisz tę żyłę orantium, Amar Kabal zwyciężą. A rozsadnicy przegrają. Na zawsze.

Tark skinął głową.

– Wiedziałeś to od samego początku.

– Jakie były szanse, że naprawdę nam się uda? Spodziewałeś się tego?

– Nie wiem.

– Ja nie. Nie tak naprawdę. A jednak proszę, oto tu jesteś, gotowy przelać własną krew w trzewiach ziemi, by spowodować wybuch orantium, jakiego świat nie widział. Nie doceniłem Esmiry.

– Wygląda na to, że naprawdę miała dar – przytaknął Tark. Zerknął na kuszę i potem spojrzał Ferrinowi w oczy. – Cały czas bawiłeś się nami?

– Nie jestem pewien, co robiłem. Otwarcie mówiłem o tym każdemu, kto zadał sobie trud, by zapytać. Nie jestem pewien, jakiego końca się spodziewałem. Z pewnością nie myślałem, że znajdę się w sytuacji, w której mógłbym oczekiwać łaski cesarza.

– Naprawdę myślisz, że Maldor by ci wybaczył?

– Naman najwyraźniej tak myślał – odparł cierpko rozsadnik. – Co kiedyś wydawało

się niemożliwe. Przekroczyłem zbyt wiele granic, spaliłem za wiele mostów. Gdybym jednak zdołał uprzedzić cesarza, że Felrook nieopatrznie wzniesiono na szczycie góry pełnej materiału wybuchowego? Gdybym sam jeden ocalił jego wojska i jego samego? To by pewnie wystarczyło.

– Nie mogę w to uwierzyć. – Tark westchnął.

Wszyscy na niego liczyli. Nie mógł zawieść! Gorączkowo szukał właściwej strategii. Ferrin nie spudłuje z kuszy. A i bez niej Tark wiedział, że rozsądnik doskonale walczy.

Ferrin uśmiechnął się krzywo.

– To niesamowite, że ta forteca nie wybuchła wieki temu. Mogli przebić się do orantium, kiedy kopali lochy. Lochy Felrook sięgają głęboko. Odrobinę głębiej, a mieliby niezłą niespodziankę.

– Przysiągłeś wierność naszej sprawie. Przysiągłeś Galloranowi, Jasonowi i Rachel.

– Tak – przyznał Ferrin. – Oczywiście, spodziewali się, że kłamię. To właśnie robią rozsądnicy. Dzięki Namanowi miałem trochę czasu dla siebie, żeby przemyśleć nowy plan. Chcesz poznać zasadnicze punkty? Najpierw cię zastrzelę. Potem poinformuję Maldora, że fortecę wzniesiono na żyłach orantium. On zniszczy wasze siły uciekające w góry, a potem obierze nową fortecę, z której będzie władał tysiąc lat. Zadowoleni z siebie nasiennicy zginą. A ja uzyskam wybaczenie. Nic prócz tak wielkiej przysługi nie pozwoliłoby mi zdobyć wybaczenia, ale spodziewam się, że to, czego dokonam, wystarczy aż nadto.

– Może – odpowiedział Tark, mając nadzieję zasiać w Ferrinie ziarno zwątpienia.

– Kiedy rozmawiałem z wyrocznią, powiedziała mi, że nim nadejdzie koniec, będę miał szansę zdecydować o ostatecznym wyniku. Nie spodziewałem się, że okazja będzie tak ewidentna. Może ona także.

– Nie rób tego. Galloran nadal ma część twojej szyi.

– Doceniam troskę. – Ferrin się roześmiał. – Jestem zaradnym człowiekiem. Mogę dotrzeć do Maldora, zanim Galloran nabierze jakichkolwiek podejrzeń co do mojej zdrady. Wystarczy szybki awaryjny przeszczep i nic mi nie będzie.

– Dlaczego nadal żyję? – spytał Tark, zdając sobie sprawę, że bełt może w każdej chwili wystrzelić. – Nie mogę cię powstrzymać.

– Nikt nie może mnie powstrzymać. Dzisiaj, w tej chwili, przyszłość Lyrianu balansuje na krawędzi przepaści i ja zdecyduję, czy w nią spadnie. Sprzymierzając się z Maldorem, ocalę swój lud i zapewnię sobie długie życie z tytułem lorda. Może nawet da mi jedną z nielicznych wśród rozsądników kobiet na towarzyszkę. – Zamilkł i zapatrzył się w dal. – Sprzymierzając się z Galloranem, zapewnię sobie śmierć i zwycięstwo wrogom moich przodków.

– Nie musisz umierać – powiedział Tark. – Nadal możesz spróbować uciec.

– Nie ucieknę. Dość już uciekałem. Jeśli cię zabiję, nie będę miał powodu do

ucieczki. Jeżeli pozwolę ci zniszczyć Felrook, zostanę u twojego boku i dopilnuję, żeby do tego doszło. Jeśli moi ludzie mają zginąć, będę mężczyzną i zginę razem z nimi. Potem nie będzie dla mnie miejsca na tym świecie.

W Tarku zapaliła się iskierka nadziei.

– Nadal jesteś niezdecydowany?

– Już nie. Zabawne. Zszedłem tu niepewny, zły, wszelkie możliwości krążyły mi po głowie. Wątpię, czy ktokolwiek zgadłby, co ostatecznie wpłynie na mój werdykt. Jednak ostatecznie podejmę wybór w oparciu o przyjaźń. Nawet dla mnie to niespodzianka. Nigdy dotąd nie miałem przyjaciół. Nie prawdziwych. Teraz mam troje przyjaciół na świecie. Troje ludzi, których naprawdę kocham i szanuję. Żadne z nich nie jest rozsadnikiem. Żadne nie służy Maldorowi. Moi przyjaciele to Jason, Rachel i Galloran. Ostatecznie, mając los Lyrianu w rękach, nie chcę ich zawieść. Nie mógłbym ich skrzywdzić i żyć z tą świadomością. Nigdy nie dowiedzą się o mojej decyzji. Nigdy nie dowiedzą się, jak wiele ich przyjaźń dla mnie znaczyła. Jednak ja będę wiedział, i to wystarczy.

Ferrin opuścił kuszę.

– Naprawdę? – spytał Tark.

Obrócił się, oferując za cel rękę zamiast piersi. Przygotował się na to, że zaatakuje Ferrina, kiedy trafi go bełt. Przygotował się, że, krwawiąc, powlecze się do żyły orantium.

Ferrin skinął głową.

– Naman mnie rozgniewał, ale nie obchodzi mnie bardziej niż Maldor. Dlaczego którykolwiek z nich miałby wpływać na moją decyzję? Galloran, Jason i Rachel dobrze mnie traktowali. Chcieli tego, więc to dostaną. Poza tym dałem Jasonowi słowo. Nikt dotąd mnie o to nie prosił. Nie wprost. Nie, wiedząc kim jestem. Chętnie go za to nagrodzę.

Rosadnik sprawiał wrażenie uspokojonego, jakby wypowiedzenie tych słów uczyniło decyzję realną.

– Jeśli mówisz poważnie, to powinniśmy się pośpieszyć.

– Racja. Wiem, gdzie zaczyna się zamknięta część kopalni, ale dotarcie do żyły nadal może stanowić wyzwanie. Zanim Naman mnie zaaresztował, zastanawiałem się, czy nie zaproponować Galloranowi, bym ci towarzyszył, ale martwiłem się, że może sprzeciwić się mojej obecności w tym miejscu w tak decydującej chwili.

Tark już zbierał narzędzia.

– Nikt cię teraz nie powstrzyma. Myślę, że nim nadejdzie koniec, jeszcze się ucieszę, że jesteś tu ze mną. To wielka odpowiedzialność dla jednego człowieka.

Ferrin zebrał resztę sprzętu, którego Tark nie mógł zgarnąć. Poprowadził go w głąb kopalni trasą, której Tark uczył się wcześniej na pamięć. Po długim prostym odcinku dotarli tunelem do ściany z gruzu. Głęboki grawerunek wytrawiono w ścianach. Tark

nic nie rozumiał z napisów.

– Potrafisz to odczytać?

– Są tu najróżniejsze starożytne języki – odpowiedział Ferrin. – Potrafię odczytać tylko jeden z nich. Radzi intruzom, by zawrócili. Sprawdziłem wszystkie tunele. To był jedyny, który kończył się przedwcześnie, i jedyny, który został oznaczony.

– To może być tylko pierwsza zapora.

– Tak samo pomyślałem. Uznałem jednak, że lepiej tego nie sprawdzać, póki Galloran nie ucieknie. Szkoda by było zniszczyć razem z Felrook własne wojsko.

Tark przyjrzał się ścianie z gruzu, wybrał łom i wziął się do roboty. Po minucie albo dwóch zaczął wydawać Ferrinowi polecenia. Razem podważali i usuwali kamienie. Po niemal godzinie Tark przerwał, dysząc, podnosząc wysoko wodorost, żeby spojrzeć w dziurę, którą zrobili.

– Widzę drugą stronę. Tunel ciągnie się dalej.

Ferrin podniósł manierkę.

– Wody?

– Chętnie. – Tark odchylił głowę i wypił. – Zastanawiam się, czy to będzie mój ostatni łyk.

– Nie sądzę, żebyśmy mieli aż tyle szczęścia – odpowiedział Ferrin, ocierając czoło. Kurz przykleił się do potu, który rozsadnik rozmazał. – Spodziewam się, że czeka nas jeszcze sporo roboty.

Usunęli resztę kamieni i przenieśli narzędzia przez dziurę. Tunel skręcał w dół. Szli, aż dotarli do żelaznej bramy. Pręty i rama sięgały od sklepienia do samego dołu, całkowicie blokując im przejście. Rzeźbienia zdobiły ściany.

– Kolejne ostrzeżenia? – zapytał Tark.

– Wszystko, co rozpoznaję, każe zawracać – odpowiedział Ferrin. Potrząsnął bramą. Było w niej kilka zamków. Zerknął na nie. – Zamki przerdzewiały, nie zdołam ich otworzyć. Żelazo nadal jest względnie mocne. Orantium?

– Nie chciałbym zaryzykować zawalenia szybu, ale możliwe, że nie mamy wyjścia.

– Gdzie je umieścimy?

Tark odciął kawałek liny i przywiązał jedną z mniejszych kul koło środkowego zawiasu bramy. Odsunęli się i zaczęli rzucać kamieniami, aż kula pękła i minerał wybuchł. Huk poniósł się echem w długim tunelu, odbijając się i powracając, jakby próbował dosięgnąć nieskończoności.

Mimo pewnych uszkodzeń część bramy pozostała nietknięta. Po chwili pracy z narzędziami, odchyłili ją na tyle, żeby móc się za nią wślizgnąć.

Za zakrętem natknęli się na następną ścianę gruzu. Okazała się bardzo gruba, wymagała ponad godziny ciężkiej pracy z kilofami i łomami, wspartymi dwoma wybuchami orantium. Pierwsza eksplozja wręcz pogorszyła sytuację, ale druga bardzo pomogła.

Po drugiej stronie dopili wodę.

– To może być nasz ostatni łyk – powiedział Ferrin – o ile nie cofniemy się po trochę wody.

– To już trwa dłużej, niżbym chciał – odparł Tark, przesuając językiem po zębach. Nawet po łyku wody czuł piasek w ustach.

– Pomyśl o tym jak o dodatkowym czasie dla Rachel, żeby mogła uciec.

– Myślisz, że ma szansę?

Ferrin wzruszył ramionami.

– Część proroctwa była przeznaczona specjalnie dla niej. Mamy dobre powody, żeby zaufać, że Darian Jasnowidz znał swój fach. Myślę, że to oznacza, że ma sporą szansę. Ponieważ nigdy się nie dowiemy, wolę zakładać, że przeżyje.

Ruszyli długim tunelem. Przed nimi pręty od sklepienia do ziemi blokowały przejście. Dziwnie połyskiwały, niemal złociście. Pięćdziesiąt stóp za masywnymi prętami tunel się kończył. Biała ciastowata substancja zalepiała jego koniec.

Ferrin potarł grube pręty, a potem popukał w nie knykциями.

– Nie dźwięczą.

Tark uderzył w pręt kilofem. Odgłos uderzenia zabrzmiał o wiele ciszej niż powinien.

– Co to jest?

– Nie mam pojęcia. Jakiś stop. Coś mocnego. W ogóle nie zardzewiał. Pręty wyglądają na wpuszczone głęboko w podłogę i sklepienie. To nie jest brama. Nie ma zawiasów. Pomyślano to tak, żeby nikt tędy nie przeszedł.

Tark westchnął, opierając się o długi pręt.

– Nie dość, że ukryli lokalizację góry, nie dość, że zalali wejście do kopalni ogromnym jeziorem, nie dość, że wzniesli szereg zapór, to teraz jeszcze to.

– Ta biała warstwa na końcu tunelu – powiedział Ferrin – myślisz, że ma odciąć żyłę?

– Mam nadzieję. Jeśli tunel ciągnie się dalej za nią, możemy mieć nie lada kłopoty.

Ferrin przyjrzał się prętom.

– Możemy zaatakować kamień, wysadzić go. Spróbować usunąć pręty w ten sposób.

– Możemy, ale nie jestem optymistą. Te pręty są grube. Wstawiono je tak, żeby wytrzymały. Wchodzą gładziutko w żywą skałę. Możliwe, że osadzono je za pomocą edomickiego.

– I znajdują się blisko siebie – dodał Ferrin. – Nawet gdybym się nie śpieszył, wątpię, czy zdołałbym przejść kawałek po kawałku. Mogę jednak wysłać swoje ręce. – Odłączył jedną rękę i przesunął ją między prętami. Tark złapał drugą i sam ją przełożył.

– Podaj mi najmniejszy łom – poinstruował Ferrin.

Tark podał łom między prętami. Jedna z rąk Ferrina wzięła narzędzie. Jego ręce zaczęły przesuwać się tunelem, poruszając się jak przerośnięte, cieliste gąsienice.

Wkrótce dotarły do końca tunelu. Wolna ręka zbadała białą substancję na ścianie.

– Robi wrażenie gliny – powiedział Ferrin.

Druga ręka niezgrabnie próbowała posłużyć się łomem. Dłoń bez łomu zaczęła szarpać białą substancję palcami i szło jej to o wiele szybciej; wkrótce Ferrin wypuścił łom i zaczął garściami odrywać glinę u podstawy ściany.

– Jeśli to jest ostatnia bariera – powiedział Tark – w każdej chwili możesz dotrzeć do orantium.

– Nie byłaby to radosna niespodzianka?

– Ciekawe, czy zdążylibyśmy zauważyć.

– To mogłoby rozegrać się naprawdę szybko, ale chyba poczulibyśmy, co się święci.

Chwytając zimne metalowe pręty, Tark patrzył w napięciu, a minuty mijały. Ręce nie mogły sięgnąć wysoko, więc stopniowo wykopywały tunel u podstaw białej ściany. Minuty się przeciągały.

– Chciałbym pomóc.

Pot złał czoło Ferrina.

– Też bym tego chciał.

Tark parsknął śmiechem.

– Chcesz, żebym przyniósł wodę?

– Możesz przegapić wybuch.

– Chyba go zauważę.

– W takim razie owszem, byłoby miło.

Tark wziął manierkę i zawrócił, przeprawiając się hałaśliwie przez gruz i idąc tunelami wykopanymi przez ludzi, aż dotarł do miejsca, gdzie wynurzył się w kieszeni powietrznej. Spojrzał na ciemną wodę. Czy Ferrin naprawdę potrzebował jego pomocy? Tark zerknął przez ramię na pusty tunel, a potem z powrotem na wodę. A gdyby uciekł? Czy udałoby mu się? Pewnie nie. Wybuch powinien niedługo nastąpić.

Tark pokręcił głową. Te myśli to był odruch. Nie raz w swoim życiu uciekał. Te myśli były znajome, ale dzisiaj nie miał ochoty ich słuchać. Nie można zaufać, że rozsadnik dokończy robotę. Tark musiał zostać i tego dopilnować. To była jego szansa, żeby naprawić błędy, szansa, której zawsze pragnął.

Przykucnął, pochylił głowę i napił się wody. Potem napełnił manierkę.

W drodze powrotnej pomyślał o innych, którzy poświęcili się, żeby ta chwila mogła nadejść. Pomyślał o członkach Zawrotnej Dziewiątki, pomyślał o Tristanie, który zginął, gdy uciekali z Harthenham. O Chandrze, Razie, Dorsiu i wyroczni. Pomyślał o Drake'u. Pomyślał o Io, który próbował bronić Rachel. Pomyślał o Ferrinie, który towarzyszył mu na dole w ciemnościach i przekopywał się ku katastrofie.

Kiedy dotarł do Ferrina, biały tunel u podnóża ściany sięgał cztery stopy w głąb.

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedział Tark.

– To może być lekka przesada – odpowiedział Ferrin – ale w tych okolicznościach przyjmę komplement.

Tark skinął głową, wskazując miejsce, gdzie pracowały ręce Ferrina.

– Nie dałbym rady bez ciebie.

– Przeszło mi to przez myśl.

– Chcesz się napić?

– Będę potrzebował twojej pomocy.

Ferrin przyklęknął, a Tark nalał mu wody do ust. Przerwał, żeby rozsądnik przełknął, i nalał jeszcze trochę.

– Jeszcze?

– Pewnie.

Tark podawał mu wodę, aż Ferrin ugasił pragnienie. Ręce cały czas kopały w tunelu.

– Boisz się śmierci? – zapytał Tark. Sam się napił, zanim odstawił manierkę.

Ferrin się zawahał. Tark dostrzegł błysk w jego oku, walkę o to, żeby zachować nad sobą panowanie. Może przebłysk niepokoju.

– Tak, jeśli mam być szczery. Jednak wszyscy musimy odejść. Próbowałem wymyślić lepszy sposób od tego, ale nie potrafiłem.

Tark pokiwał głową.

– Rozumiem. Grałeś kiedyś w kamienie?

– Pewnie.

– Mój ojciec nauczył mnie grać. Nie jestem mistrzem. On też nie był. Nauczył mnie jednak, że czasem trzeba poświęcić jeden kamień albo dwa, żeby zyskać przewagę strategiczną. Powiedział mi, że ofiara to oddanie czegoś dobrego w zamian za coś lepszego. To we mnie zostało. Myślę, że pasuje to do dzisiejszego dnia.

Ferrin skinął głową.

– Chyba tak. Właściwie moim zdaniem to bardzo racjonalne ujęcie tej sytuacji.

Tark westchnął.

– Mam wrażenie, że wiele razy oszukałem śmierć.

– Mógłby to samo powiedzieć. Myślę, że obu nam skończyły się już dodatkowe szanse.

– Mam nadzieję. Znaczący, przez wzgląd na losy bitwy.

Ferrin zmarszczył brwi.

– Co my tu mamy?

– Co? – zapytał Tark, wpatrując się w koniec tunelu.

– Myślę, że przebiłem się przez białą materię. Coś za nią jest. Coś płaskiego. Nie kamień. Mam wrażenie, że drewno. Trochę gąbczaste, ale nie tak miękkie jak korek.

– Dasz radę to rozedrzeć?

– Próbuję. Właśnie zdarłem sobie paznokieć. Auć, drugi. Jest dość mocne. Naprawdę myślimy, że to już koniec?



– Powinniśmy spróbować z orantium?

Ferrin pokiwał głową.

– To może być jedyna możliwość, jaka nam została. Wolałbym skorzystać z burzyciela, ale za żadne skarby nie przejdzie między prętami.

– Za to zwykła kula powinna.

– Sprawdźmy.

Ręka wróciła do nich. Tark podał jej kulę orantium i ręka odpełzła.

– Weź kuszę – powiedział Ferrin. – Chcę zabrać ręce, na wypadek gdyby nam się nie udało i jeszcze byśmy ich potrzebowali. Przysięgam, Tark, nawet gdybym musiał przeciskać się między tymi prętami kawałek po kawałku, dopilnuję wszystkiego.

– Przecież powiedziałeś, że to będzie za trudne.

– To byłoby ryzykowne. Są granice tego, jak bardzo mogę się podzielić. Jeśli pole rozsądkowe osłabnie, zostanie ze mnie kupa mięsa. Mimo wszystko, jeśli nie będzie innego wyjścia, spróbuję.

Tark położył się i wycelował kuszę.

– Jest za ciemno. Nie widzę celu.

– Rzuć kawałek wodorostu.

Tark oderwał fragment i rzucił przez pręty. Ręka go zabrała. Tark ułożył się na ziemi. Kiedy ręka położyła wodorost w głębi białego tunelu, Tark widział cel jak na dłoni.

– Daj mi chwilę – poprosił Ferrin, kiedy jego ręce się wycofywały. – Mam strzelić?

– Dam radę.

– Mam dwa zapasowe bełty. Przy tej kuszy i takim dystansie powinieneś celować jakieś cztery cale wyżej. Nie ma wiatru. Bełt powinien polecieć prosto.

Tark wycelował, jak powiedział mu Ferrin. Ręce dotarły do prętów.

– Chcesz je przymocować? – zapytał Tark.

– Nie. Brakuje mi oka, ucha, nosa, kawałka szyi, nawet kawałka tętnicy w ręku. Pasuje, żebym skończył w kawałkach. Możliwe, że czeka nas jeszcze wiele godzin pracy, nim nastąpi koniec. A może to już. – Ferrin odwrócił się i spojrzał prosto na Tarka, kiwając do niego głową. – Jesteś odważnym człowiekiem, Tark. To był zaszczyt.

– Wzajemnie – dopowiedział muzyk, uspokajając umysł, kiedy przycisnął spust.

Bełt wyskoczył z kuszy. Na końcu korytarza kryształ się roztrzaskał. Minerale wewnątrz zapłonął bielą i wybuchł. Po gwałtownym podmuchu nastąpiła druga, potężniejsza eksplozja. Sprawiała, że Tark się przeturłał. Gruz uderzył w pręty. Wraz z potężnym uderzeniem powietrza nastąpiła trzecia eksplozja. Ostatnie, czego Tark był świadom, to uczucie ulgi połączone z potężnym, białym rozbłyskiem.

# Rozdział 36

## Rozbłysk

Słońce prawie osiągnęło najwyższy punkt na niebie, zanim czatownicy dostarczyli Rachel do Gallorana. Znalazła go na zachodnich wzgórzach po drugiej stronie kamienistej skarpy. Widząc nadchodzących czatowników, król w pierwszej chwili zareagował zgrozą, ale zaraz Rachel wyjaśniła mu, że zniszczyła Mroczny Kamień i uwięziła Maldora.

– Zawarłaś umowę z torivorami? – upewnił się Galloran.

– Większość ma prawo odejść – wyjaśniła. – Mogą wrócić do rodzinnego świata. Jednakże trzech musi bezwarunkowo służyć panu aż do dnia pańskiej śmierci. To sprawiedliwe, ponieważ trzech zaatakowało pana z mieczami. Jeden musi bezwarunkowo służyć Jasonowi, tak długo jak będzie żył i pozostawał w tym świecie, ponieważ jednego wysłano przeciwko niemu. Jeden musi bezwarunkowo służyć Farfalee, ponieważ jeden z nich zabił jej brata.

– Bezwarunkowo? – zapytał Galloran. – Żadnych ograniczeń? Nawet Zokar nie uzyskał takiej współpracy.

Rachel wzruszyła ramionami.

– Pewnie nie uwolnił większości.

– Czy któryś będzie służył tobie? – spytał Galloran.

– Jeden za pomocą mieczy zaatakował dla mnie Maldora – powiedziała Rachel. – Będzie go zajmował aż do załatwienia sprawy. A trójka, która ma służyć panu, przysięgła pomóc mi uciec z Felrook i sprowadzić do pana. Tego tylko potrzebowałam.

– Zatem Maldora przyszpilił dawny sługa. – Galloran się zamyślił, patrząc w dal dwojgiem oczu nie od pary. – Tak, wyczuwam jego edomickie wysiłki, ogromne, ale wytężone. Robi wrażenie zarazem zmęczonego i niezachwianego, bez wątpienia nadal

powstrzymuje torivora. Bariera ochrona, jaką wzniósł, wymaga wielkiej mocy i skupienia. Dopóki czatownik będzie przy nim, Maldor nie zdoła spróbować żadnego innego rozkazu.

– Torivorowie obiecali, że atak nie zakończy się, dopóki Maldor nie zginie.

Galloran pokręcił głową i badawczo przyjrzał się Rachel.

– Wiesz, ilu ludzi próbowało pokonać cesarza? Próby sięgają czasów wojny między Zokarem i Eldrinem. Wielcy wojownicy i czarnoksiężnicy zawiedli. – Król się zaśmiał.

– W głębi duszy bałem się, że znajdzie sposób, żeby uciec przed nadciągającym wybuchem. Teraz mogę się uspokoić. Zająłś go i unieszkodliwiłaś w idealnym momencie. Całe lata Maldor obawiał się innych ludzi obdarzonych edomickim talentem. Jednak uparł się, żebyś została jego uczennicą. Nie trzeba było dużo czasu, żeby rozwiązać tę umowę.

– Poszczyliście mi się – powiedziała Rachel. – Był o wiele potężniejszym czarnoksiężnikiem ode mnie. Przepowiednia dostarczyła mi kluczowej wskazówki. Rozkaz Orrucka doskonale zadziałał na Mroczny Kamień, zamieniając go w szkło. Kiedy za pierwszym razem stawiałam czoło Maldorowi, zauważyłam, że edomicka sugestia na chwilę go zaskoczyła. Dlatego zaatakowałam go serią sugestii, które spowolniły go na tyle, żebym mogła roztrzaskać Mroczny Kamień. Potem zaatakował moje ubranie ogniem. Kiedy wcześniej z nim walczyłam, wypowiedział słowa gaszące ogień. Zapamiętałam je. Chyba się tego nie spodziewał.

– Ogień to najszybszy atak. Pewnie był wściekły i chciał szybkiego zwycięstwa.

– Nie miał wiele czasu. Ledwie ogień zawiódł, dopadł go czatownik.

Galloran pokiwał głową.

– Zaprzągnął mroczne istoty do swoich prac. To może okazać się niebezpieczne, gdy uprzęż pęknie. Ogromnie się cieszę, że przeżyłaś, Rachel, i jestem z ciebie niesłychanie dumny.

– Co teraz? – zapytała Rachel, rumieniąc się. – Jaką wielką słabość odkryliście? Mówił pan coś o wybuchu?

– Felrook zbudowano na górze, z której w dawnych czasach wydobywano orantium. Tark właśnie pracuje nad odsłonięciem żyły.

Rachel zakryła usta.

– O, nie.

– Z radością skorzystał z tej okazji – zapewnił ją Galloran. – Zgłosił się na ochotnika. Wejście do kopalni znajdowało się tak głęboko pod wodą, że był jedyną osobą, która mogła wykonać to zadanie. Maldor stworzył potężne imperium. Nawet gdyby zginął, inni mogli powstać, żeby dokończyć jego dzieło. Jeśli wkrótce góra wybuchnie, najważniejsi dowódcy i główne siły Maldora zginą wraz z nim.

Rachel się rozejrzała.

– A co z Ferrinem?

– Ferrin znalazł dla nas kopalnię w głębinach jeziora. Po tym, jak ją zbadał i podzielił się szczegółami z Tarkiem, Naman, bez mojej wiedzy, aresztował go, żeby na pewno nam nie przeszkodził.

Gorący gniew wezbrał w Rachel.

– Gdzie on jest?

– Uciekł wkrótce po aresztowaniu. Nie widziano go od tego czasu. Może uciekł na pustkowie, ale podejrzewam, że poszedł do kopalni. Jeśli tak, to nasza przyszłość znajduje się tak samo w jego rękach, jak w Tarka. Nadal mam kawałek jego szyi. Jeśli góra wybuchnie, będziemy wiedzieć, czy tam był.

– W kopalni? – zapytała Rachel. – Nie mogę go stracić. Straciliśmy wielu ludzi. To zbyt wielu. Wyślij czatownika. Wyślij po niego czatownika.

Galloran skinął głową.

Rachel wyczuła, że król porozumiewa się telepatycznie z jednym z trzech czatowników. Upewnił się, że mroczna postać wie, który to Ferrin, i poprosił, żeby go przyprowadziła.

Zanim torivor zdążył wyruszyć, rozległo się dudnienie, szybka seria odległych wybuchów. Przed końcem gromkiego crescendo wszyscy zatkali uszy rękami. Biały rozbłysk przypalił niebo. Rachel usłyszała falę uderzeniową, kiedy przeleciała, niosąc odór spalonych minerałów, ale kamienna skarpa uchroniła ją przed żarem.

Skarpa przesłaniała im także widok na Felrook. Po fali uderzeniowej wkrótce z nieba zaczęły spadać skały, których wielkość wahała się od małych kulek po rozmiary domów. Spadający gład wielkości śmieciarki wstrząsnął ziemią, kiedy wylądował kilka set jardów od nich. Dudnienie spadających kamieni trwało wiele sekund.

Zanim Rachel i Galloran obeszli skarpe, Felrook i wznoszące się urwiska, na których spoczywała twierdza, zniknęły, a na ich miejscu widniał ogromny zwęglony krater, znacznie większy niż granice dawnego jeziora, które wyparowało. W czasie ucieczki Rachel widziała wojska zajmujące forty i zbierające się na równinach wokół Fellionu. Teraz wyglądało to tak, jakby nigdy nie istniały. Wszystko w pobliżu Felrook zostało zniszczone – forty, miasteczko przy promie, roślinność, wrocie wojska. Ta część doliny w jednej chwili zamieniła się w wypaloną pustynię. Kiedy Rachel stała bez słowa obok Gallorana, przytłoczona ponurym widokiem, czarna chmura sadzy nad ich głowami rozsnuwała się, powodując przedwczesny zmierzch.

Rachel zdała sobie sprawę z obecności tłumów wokół: drinlingów, nasienników, ludzi, którzy nie odrywali oczu od zniszczenia po wybuchu. Poruszali się jak lunatycy, oszołomieni, niedowierzający. Niektórzy byli ranni. Większość wyglądała niechlujnie.

Do Rachel dotarło, że większość uciekających żołnierzy nie zdawała sobie sprawy, że Galloran zamierza wysadzić Felrook. Myśleli, że uciekają przed liczną armią, która będzie ich ścigać, aż wszystkich pozabija. W najlepszym razie mieli nadzieję, że

Galloran zastosuje jakieś uniki, które zmuszą wroga do długiej pogoni.

Teraz, bez słowa wyjaśnienia, Felrook zniknęło wraz z wrogimi wojskami. W jednej niewyjaśnionej chwili wojna się zakończyła. Klęska zamieniła się w zwycięstwo jak za sprawą magii.

Trzech drinlingów zaczęło wiwatować. Ich entuzjazm rozpałił reakcję innych. Rachel rozejrzała się po miejscu, które miało być polem bitwy. Ludzie porzucili broń i wzniesli ręce. Dwie nasienniczki stały obok siebie z łukami na plecach. Obejmowały się, a ich wielkie, zdumione oczy skrzyły się. Grupa pokrzykujących drinlingów rzuciła się na siebie, zwalając się jeden na drugiego i śmiejąc się hałaśliwie.

Gdziekolwiek Rachel spojrzała, widziała ulgę i radość. Patrzyła na świętowanie, małe i huczne, wesołość wylewną i cichą. Ci ludzie spodziewali się umrzeć, ale będą żyli. Przyszli w nadziei, że uwolnią domy od tyranii, i to im się udało.

– Nie żyje – powiedział cicho Galloran. – Czułem edomickie rozkazy Maldora tuż przed wybuchem. Teraz nic. Nie zostało po nim nawet szeptu.

Wzdychając, Rachel oparła się o głaz. Ledwie mogła uwierzyć, że Maldor nie żyje. Czy to możliwe? Naprawdę go powstrzymali? Kiedy rozważyła cud ich zwycięstwa, poczuła ogromną ulgę. Starła się nie myśleć o Ferrinie i Tarku. Powstrzymywała się od myślenia o wszystkich, których straciła. Uśmiechnęła się, kiedy zobaczyła krzepkiego, brodatego mężczyznę biegnącego z rozpostartymi ramionami, jakby był szybującym ptakiem. Patrzyła, jak złapał mniejszego, może krewniaka i posadził go sobie na ramieniu. Musieli być krewnymi. Byli podobni. Może bracia. Albo kuzyni. Brodacz zakręcił się, a mniejszy się śmiał, potrząsając pięścią.

Galloran podszedł i oparł się o skałę obok Rachel. Objął ją za ramiona. Drugą ręką pogłaskał ją po włosach. Pochyliła się ku niemu i zapłakała.

\*\*\*

Wiele mil dalej Jason wędrował przez Dymiące Pustkowia z Aramem i Corinne. Poczł coś mokrego w kieszeni. Ostrożnie wyjął ucho Ferrina. Widać było, że nie jest już połączone z rozsadnikiem.

# Epilog

## Do domu

Rachel siedziała sama w przestronnym, prążkowanym namiocie. Ponad pięć lat temu wyrocznia z Mianamon podała jej konkretną datę, kiedy będzie mogła wrócić do właściwego czasu w swoim świecie. Jak to nieuniknione w przypadku wszystkich terminów, ten dzień w końcu nadszedł.

Miała na sobie nijaką sukienkę z chropowatego, szarego materiału. Nie rzucało się w oczy to, że pochodzi z innego świata. Nawet przemoczona i brudna powinna wytrzymać.

Wypowiedziane słowo przeniosło ręczne lustro przez pomieszczenie. Rachel próbowała przypomnieć sobie, jak wyglądała jako trzynastolatka. Oczywiście miała takie same, ale jej policzki i podbródek nabrały wyrazistości. Urosła kilka cali. Rodzice ją rozpoznają, ale nie była już ich małą dziewczynką. Niedługo skończy dziewiętnaście lat.

Wypowiedziała słowo i pusta szklanka znalazła się w jej ręce. Zwykła fraza napełniła szklankę wodą z powietrza. Rachel napiła się, zastanawiając się, jakie to będzie uczucie, mówić po edomicku i nie otrzymać odpowiedzi. Trudno było to sobie wyobrazić. Edomicki stał się dla niej tak naturalny jak oddychanie.

W czasie ostatnich czterech miesięcy Rachel studiowała w Celestynowej Bibliotece. Od upadku Felrook trzy razy wybrała się na dłużej do biblioteki. W tym czasie opanowała setki nowych rozkazów i przeczytała o tysiącu innych. Dzięki pomocy Farfalee nauczyła się odczytywać dwie najpopularniejsze formy zapisu języka edomickiego, których skrybowie używali przez lata. Zaklinaczka i garstka adeptek dołączyły do nich na wyspie strzeżonej wspólnie przez nasienników, drinlingów i żołnierzy z Trensicourt. Długie okresy studiów pozwoliły jej zaledwie musnąć

powierzchnię ogromu zgromadzonej tam wiedzy.

Jeśli idzie o edomicki, nikt nie mógł się równać z Rachel. Elaine mogła jej pomóc w nauce tworzenia amuletów, ale większość wiedzy Rachel zdobyła samodzielnie, czytając i eksperymentując. Jej zdolności ogromnie wzrosły.

Czy jednak będzie potrzebowała przyzywać ogień słowem w świecie, gdzie wystarczy przekręcić gałkę, żeby rozgrzać płytę kuchenną? Czy będzie potrzebowała telepatii tam, gdzie może porozmawiać z przyjacielem, wybrawszy numer jego komórki? Dla obrony zawsze może nosić sprej pieprzowy. Pewnie nie będzie potrzebowała nawet tego w spokojnej społeczności, w której mieszkali jej rodzice.

Jason wszedł do namiotu, ubrany jak księżę.

– Wyglądasz bardzo pospolicie.

– Dziękuję. Chyba.

– Mogę wejść?

– Pewnie.

– Aram właśnie przyjechał. Przywiózł żonę.

– Nie widziałam jej od ślubu! – wykrzyknęła Rachel.

– Brakowało nam ciebie w Trensicourt.

– Byłam tam przez większość czasu. Minęło tylko kilka miesięcy. Nie mogłam zaniedbać biblioteki. Farfalee nigdy by mi nie wybaczyła. Poza tym, kiedy zbliżała się pora mojego odejścia, chciałam się upewnić, że dowiem się wszystkiego, co się da o opuszczaniu i powracaniu do Lyrianu.

– Aram zjawiał się ostatni. Jesteśmy w komplecie.

Skinęła głową, odkładając lusterko.

Mylił się. Nie byli w komplecie. To był jeden wielki kłopot z Lyrianem. Był pełen duchów. Wygrali wojnę, ale za jaką cenę? Chandra, Dorsio, Nia, Io, Nedwin. Tark. Drake. Ferrin. Po co ratować świat, skoro to oznacza utratę najbliższych przyjaciół?

Rachel cieszyła się z wygranej wojny. Cieszyła się z tych, którzy przetrwali. Nikt z bliskich jej ludzi nie zmarł, odkąd wysadzono Felrook. Lyrian był wolny. Galloran odmówił zostania cesarzem i zadowolili się odbudową Trensicourt. Nie mógł jednak zapobiec powstaniu legendy. Wiele królestw odbudowało się i wszystkie zwracały się do niego po radę i wskazówki.

Atmosfera w Lyrianie się zmieniła. Po raz pierwszy od dziesięcioleci przyszłość niosła ze sobą prawdziwą nadzieję. Rasy czarnoksiężskie współpracowały z ludźmi jak nigdy dotąd. Jednak Rachel podejrzewała, że dla niej Lyrian zawsze będzie miejscem nawiedzonym przez duchy.

– Nadal nie masz nic przeciwko odejściu? – upewnił się Jason.

Rachel spróbowała się uśmiechnąć.

– A jaki mam wybór? Jedno z nas ma zostać, a drugie odejść. Po tym, jak wszystkie słowa Dariana się sprawdziły, nie możemy się z nim spierać.

– Jest zdecydowanie zbyt martwy na spory – przytaknął Jason. – Ale i bez tego chcesz odejść, prawda?

Rachel wiedziała, że Jason chce, by to była prawda. Był zbyt dobrym człowiekiem, a oni dwoje za bardzo się zaprzyjaźnili. Gdyby poczuł, że zmusił ją do opuszczenia Lyrianu, żeby on mógł zostać, czułby się winny do końca swoich dni.

– Czuję to samo, co od długiego czasu – odpowiedziała szczerze Rachel. – Chcę, żeby moi rodzice wiedzieli, że żyję. Chcę ich znowu zobaczyć. Jednak wielu rzeczy mi zabraknie. Będę tęsknić za wszystkimi zostawionymi tu przyjaciółmi. Przywykłam do Lyrianu. Trudno mi wyobrazić sobie życie gdzie indziej. – Bała się, jak zabrzmiałby jej głos, gdyby wyraziła najgłębsze troski. – Będzie mi brakować edomickiego.

Jason skinął głową.

– Chcesz, żebym odszedł za ciebie?

Rachel zastanawiała się, jak poważnie pytał. Dość, że zaproponował, to już wiele znaczyło.

– Taki był plan. Poza tym, Darian wspomniał, że twoja córka go odwiedzi, do czego nie dojdzie, jeśli nie zostaniesz w Lyrianie.

– Nie przestrzegał nas, że musi do tego dojść. To mogła być tylko możliwa przyszłość. Kto wie? Może moja córka przeszłaby tu z innego świata tak jak ja?

– Stworzyłeś sobie tu życie o wiele bardziej niż ja – odpowiedziała Rachel. – Zaprzyjaźniłeś się z ludźmi. Zaangażowałeś. Zarządzasz ogromnym majątkiem ziemskim. Zatrudniasz ludzi. Jesteś wielkim diukiem Caberton, że nie wspomnę innych tytułów. Mógłbyś być kanclerzem, gdybyś zechciał.

Jason pokręcił głową.

– Nicholas lepiej się nadaje do tego zadania. Przynajmniej na razie.

– Poza tym, Corinne nigdy by mi tego nie wybaczyła.

Jason z trudem ukrył uśmiech, odwracając głowę.

– Coś mówiła?

– Sama widzę.

– Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

– Wiem, dobrymi przyjaciółmi. Nikomu innemu nie poświęca tyle uwagi, co tobie.

Jason wzruszył ramionami, nie potrafiąc spojrzeć jej w oczy. Ostro go wzięło.

– Nigdy nic nie wiadomo.

– Nie martw się. Odchodzę, zgodnie z planem. Gdyby nie moi rodzice... I prorocstwo... Ale takie myślenie nie ma sensu. W każdym razie już mi lepiej. Niepokój przychodzi i odchodzi.

– Dziwnie tu będzie bez ciebie. Będę ostatnim Pozaświatowcem.

– Z wyjątkiem czatowników – poprawiła go Rachel.

– Przynajmniej z tego powodu będę musiał trzymać się Corinne. Chociaż Czatek Drugi służy teraz mi, nie lubię, kiedy zjawia się w moich snach. Wolę korzystać



z tłumacza.

Rachel się uśmiechnęła. Często rozmawiała z czatownikiem w jego imieniu. Torivor doskonale rozumiał Jasona, kiedy ten po prostu mówił, potrafił nawet czytać mu w myślach, jeśli ten wydawał mentalne polecenia. Jason nie mógł jednak usłyszeć potwierdzeń ani odpowiedzi. Poradzi sobie. Miał Corinne do pomocy i Gallorana, jeśli zajdzie potrzeba. Król doskonale radził sobie ze swoimi trzema osobistymi strażnikami. Farfalee i Jasher dostatecznie dobrze dogadywali się ze swoim związanym umową czatownikiem bez telepatii, w razie potrzeby korzystając z pomocy Elaine.

Wszyscy sobie poradzą. Pod przewodnictwem Trensicourt Lyrian z każdym dniem będzie zamożniejszy i stabilniejszy. Jej przyjaciele będą bezpieczni.

– Będzie mi ciebie brakować.

– Daj sobie trochę czasu. W końcu to wszystko wyda ci się dziwnym snem.

Rachel pokręciła głową.

– Nie sądzę. Za wiele się wydarzyło.

– Dostarczysz mój list?

– I klejnoty. I wywołam zdjęcia.

Wracała z bogatą fotograficzną dokumentacją. Większość zdjęć zrobiła po wojnie. Trudno robić zdjęcia, kiedy uciekasz, żeby ratować skórę. Wiele ich zachowa dla siebie, ale niektóre dołączy do listu Jasona.

– Mnie też będzie cię brakować – dodał łagodnie Jason.

Łzy napłynęły jej do oczu. Spuściła głowę.

– Źle to załatwiam. Nie powinnam była pozwolić na to, żebyście mnie odprowadzali. Powinnam odejść sama.

Jason pomógł jej wstać. Objął ją. Odwzajemniła uścisk. Był wysoki i silny.

– Nie pozwolilibyśmy ci na to.

Rachel obejmowała go mocno. Czy kiedykolwiek mogliby zostać parą? Gdyby nie wiedzieli, że się rozstaną? Może. Z pewnością z nikim nie czuła się równie blisko. Jednak te myśli nie miały sensu. Ona odchodziła. On zostawał.

– Jeśli nie będę mogła tam wytrzymać, może wrócę – powiedziała. – Czytałam bardzo dużo o drogach między naszymi światami. To było moje główne zajęcie w ostatnich miesiącach. Nie ma gwarancji, ale jest wiele sztuczek, których mogę spróbować.

– Darian powiedział, że jedno z nas musi zostać, a drugie odejść. Nigdy nie powiedział, że powinniśmy zostać lub odejść na zawsze.

Rachel pokiwała głową.

– Cały czas powtarzam sobie, że może pewnego dnia wrócę. To bardzo pomaga. Muszę odejść. Nie tylko z powodu przepowiedni. Muszę zobaczyć rodziców. Muszę dać im znać, że nic mi nie jest. Muszę znowu z nimi pobyc.

– Wiem. Posłuchaj, jeśli kiedykolwiek wrócisz, zawsze możesz zatrzymać się

w moim ogromnym zamku.

Odepchnęła go ze śmiechem.

– Czy ty kiedykolwiek spoważniejesz?

– Mówię poważnie! Caberton jest w coraz lepszym stanie. Pożyczę ci nawet trochę mojej służby, podzielę się złotem i klejnotami.

– A jeśli wrócę i okaże się, że minęły setki lat?

– Będę o tobie pamiętał w testamencie – zapewnił ją Jason. – Zawsze będziesz miała dom w Caberton. Jeżeli ktokolwiek w ciebie zwątpi, po prostu pokaż posąg.

Rachel uśmiechnęła się słabo. Nawet w żartach trudno jej było myśleć o posągu. Ukończono go na krótko przed tym, jak po raz ostatni opuściła Trensicourt. Wielki Plac koło zamku przemianowano na Plac Bohaterów. Tam upamiętniono ją w kamieniu. Jej posąg był dwa razy większy od jej rzeczywistych rozmiarów. Dzieło było wyjątkowej roboty. Pracowali nad nim najlepsi rzeźbiarze z całego Lyrianu, w tym kilku przedstawicieli Amar Kabal.

Posąg Rachel nie stał samotnie. Obok niej był Galloran, Jason, Corinne, Farfalee, Jasher, Aram, Kerick, Halco, Andrus, Delissa i Nollin. Wszyscy z delegacji, którzy wyruszyli z Siedmiu Dolin i przeżyli.

Zmarłych z delegacji przedstawiono po drugiej stronie placu, w tym drinlingów, którzy dołączyli do nich w Eberze. Io, Nia, Raz, Dorsio, Nedwin, Drake, Tark i Ferrin, wszyscy zostali ukazani jak żywi, ze wszystkimi szczegółami. Ferrin trzymał swoją uśmiechniętą głowę w ręku. Rzeźbiarze narzekali, że przez to jego natura rozsądnika jest zbyt oczywista, ale Galloran upierał się przy tym właśnie z tego powodu.

Rachel ogromnie się cieszyła, że uwieczniono tam jej przyjaciół. Doceniała tablice i fontanny upamiętniające poległych. Szanowała atmosferę świętości, jaką otoczono to miejsce. Nie potrafiła jednak patrzeć na przyjaciół bez łez. Od chwili odsłonięcia pomników, odwiedziła je tylko dwa razy – raz, żeby zrobić zdjęcia, i drugi, żeby się pożegnać.

– Ej, no co ty – powiedział Jason, ściskając ją.

– Nic mi nie jest – odpowiedziała Rachel, zdając sobie sprawę, że wszystkie myśli malują się na jej twarzy.

– Gdzieś tam Ferrin śmieje się do rozpuku, że jego posąg stoi na honorowym miejscu.

– Drake też.

– Pewnie oni wszyscy – zdał sobie sprawę Jason. – Nie wyobrażam sobie, że bym kiedykolwiek przywykł do swojego posągu.

– Jasne. Przecież wiesz, że ci się podoba.

– Co? – oburzył się Jason, nie potrafiąc powstrzymać uśmiechu. – Może trochę.

Rachel zaśmiała się cicho.

– Naprawdę odchodzę.

– Na to wygląda.

– Zabieram do domu trochę skarbów. Naszyjnik od Drake’a, rzecz jasna, ale też parę innych rzeczy. Nie wiem, czy kiedykolwiek spróbuję wyjaśnić, skąd je mam, albo spieniężyć część klejnotów, ale pomyślałam, że lepsze to niż wrócić z pustymi rękami.

– Dobry pomysł. Zasługujesz na trochę łupów po tym wszystkim, czego dokonałaś.

– Skinął w stronę wyjścia z namiotu. – Przygotowano jedzenie. Wszyscy chcą cię zobaczyć.

– Wiem. Ociągałam się. Teraz jestem gotowa.

Ucztę urządzono w przestronnym pawilonie. Mówiono o wszystkim, czego Rachel dokonała dla Lyrianu. Były wiwaty i oklaski. Jednak przede wszystkim Rachel cieszyła się z widoku przyjaciół. Corinne, która piękniała z każdym rokiem. Jak Jason mógł jej się oprzeć! I Gallorana, który nigdy więcej nie musiał nosić przepaski na oczach nie do pary. Śliczna żona Arama była znacznie wyższa od męża, przynajmniej za dnia. Rachel zawsze dziwił widok półolbrzyma odzianego po lordowsku.

Posiłek był przepyszny, pochwały hojne, a rozmowy cudowne, ale wszystko trwało tak krótko. To był koniec i Rachel nie potrafiła o tym zapomnieć. Walczyły w niej żal i podniecenie.

Popołudnie kończyło się, kiedy najbliżsi przyjaciele odprowadzili Rachel do jaskini. Minęli strażników i weszli do jamy w milczeniu. W pewnym momencie musieli pełznąć na brzuchach. W końcu weszli do komory, gdzie czysta sadzawka ledwie odbijała światło lamp.

Rachel pochyliła się nad wodą.

– Patrzcie, jak daleko widać.

– Tu jest głęboko – powiedział Jason. – I zimno. Będziesz tonąć, aż pomyślisz, że się utopisz, a wtedy pojawisz się na polu przy farmie.

*Dziękuję ci, Rachel* – pomyślał do niej Galloran. *Lyrian na zawsze pozostanie twoim dłużnikiem.*

*To ty zasługujesz na największe podziękowania* – odpowiedziała szczerze Rachel. *Bez ciebie Lyrian nie zostałaby ocalony, a ja nie wracałabym do domu. Trensicourt nie mógł zyskać wspanialszego króla.*

Objęli się.

– Znowu rozmawiacie w myślach? – mruknął Jason.

– Przepraszam – powiedziała Rachel. – To już się nie powtórzy.

– Nie wiem, co bez ciebie pocznę. – Corinne westchnęła.

– Będziesz piękna, cudowna i bardzo szczęśliwa – odpowiedziała Rachel, obejmując przyjaciółkę. – Żałuję wszystkiego, co przegapię. Zawsze będę o tobie myślała.

Objęła się i wymieniła kilkoma słowami z Farfalee i Jasherem, Aramem i jego żoną, Elaine, Brinem i na końcu z Jasonem.

– Dbaj o siebie – powiedziała. – Przeżyj wspaniałe życie.

– Ty też.

Mogłaby powiedzieć wiele więcej, ale to już było zbyt bolesne. Odwróciła się do Brina.

– Masz dla mnie obciążniki?

Brin pokazał jej dwa żelazne ciężarki stojące na brzegu sadzawki z pętlami z liny.

– Trzymaj się mocno i idź na dno jak kotwica.

Rachel uśmiechnęła się do wszystkich przez łzy.

– Zadbam, żeby twój list dotarł do rodziców – obiecała Jasonowi. – I te wielkie klejnoty też. I nie spapram zdjęć.

– Do widzenia, Rachel – odpowiedział Jason.

Rachel poprawiła dwie niepozorne torby na ramię. Brin zadbał, żeby były wodoodporne. Złapała za liny z ciężarkami i skinęła głową do Brina.

– Wrzuć je.

Brin złapał jeden ciężarek, Jason drugi. Oba wylądowały w sadzawce i Rachel poleciała razem z nimi, pozwalając, by ich ciężar pociągnął ją w dół. Woda była szokująco zimna, ale Rachel trzymała się mocno lin i szybko tonęła. Spojrzała w dół, w ciemność.

*Do widzenia, Corinne* – posłała.

*Do widzenia, Rachel.* – Odpowiedź nadeszła słaba, jakby z odległości wielu mil.

Rachel zdała sobie sprawę, że gdyby wypuściła ciężarki, mogłaby wypłynąć z powrotem. Czy też za bardzo się zanurzyła? Utonęłyby, próbując wrócić?

*Słyszysz mnie jeszcze?* – posłała Rachel z całą mocą.

Nie wyczuła żadnej odpowiedzi.

Powstrzymywała panikę, kiedy zaczęło jej brakować powietrza. Jason ostrzegł ją, że tak właśnie będzie. Trzymała się lin, ale zaczęła mieć wrażenie, jakby się unosiła, a nie tonęła. A może przesuwała w bok. Trudno było zachować orientację w absolutnej ciemności. Woda robiła wrażenie gęstszej i drażniła jej oczy na tyle, że je zamknęła. Rachel miała wrażenie, że przyśpiesza. Uderzyła w elastyczną barierę i nagle leżała na plecach na oświetlonym księżycem polu kukurydzy. Wypluła ziemię z ust, łapiąc raptownie ciepłe powietrze do wygłodniałych płuc.

Okolica była dokładnie taka, jak opisał to Jason, tyle że on zjawił się tu za dnia. Jak późno było?

Wszystkie rzeczy przeszły razem z nią. Wstała i spróbowała otrzepać błoto z przemoczonej sukienki, ale z niewielkim powodzeniem. Wypowiedziała słowa, żeby oddzielić wodę. Edomicki rozkaz zabrzmiał martwo w jej ustach. Woda nie zareagowała. Rachel spróbowała paru innych rozkazów. Wszystkie smakowały jak bzdura.

Wiedziała, że tak się stanie, ale nie była przygotowana na to, że będzie odbierała edomicki jak bzdurę. Zupełnie jakby prawo ciężenia przestało działać. Było to

porównywalne do amputacji albo paraliżu.

Spowalniając oddech, Rachel zwalczyła narastającą panikę. Co zrobi bez edomickiego? Ugrzęzła tutaj. Nie istniała pewna droga powrotu! Pomyślała o rodzicach i panika osłabła.

Obróciła się i dostrzegła blask, sugerujący dom na farmie. Zostawiła ciężarki i ruszyła w stronę poświaty.

Parę świateł paliło się w domu. Rachel otworzyła skrzypiące drzwi z moskitierą i zapukała. Odtworzyła jej kobieta w średnim wieku.

– Tak?

– Przepraszam, że przeszkadzam – powiedziała Rachel – ale zgubiłam się.

Kobieta obrzuciła Rachel spojrzeniem od stóp do głów i zdumiona położyła rękę na piersi.

– Znowu? Jak... Nieważne... Biedactwo! Całkiem przemokłaś! Wejdz do środka.

– Dziękuję.

– Nie mów mi, że straciłaś pamięć.

Rachel zdała sobie sprawę, że lepiej podjąć tę grę.

– Właściwie to... Ostatnio strasznie mi się miesza w głowie. Wszystko powraca... Jak przez mgłę... Oderwane od siebie. Który mamy rok?

Kobieta jej powiedziała. Rachel skinęła niepewnie głową. Upłynęły ponad trzy lata od jej zaginięcia. Ulżyło jej, że minęło dość czasu, żeby tłumaczyło to, dlaczego wygląda na starszą. Wyrocznia jej nie zawiodła.

– Mogę skorzystać z telefonu? – zapytała.

Kobieta zaprowadziła ją do telefonu. Rachel nie wybierała numeru od mniej więcej sześciu lat, jednak nie zatarł się w jej pamięci. Zadzwoiła do domu. Odebrała matka. Słyszając jej głos, Rachel na chwilę zamarła. A potem ze ściskającym się żołądkiem wyjaśniła, kto dzwoni. Mama wpadła w lekką histerię, ale w dobrym sensie. Rachel odsunęła telefon od ucha na czas najgłośniejszych okrzyków i pisków. Wkrótce na linii pojawił się też tata. Rachel nie potrafiła powstrzymać coraz szerszego uśmiechu. W ciągu pierwszych trzydziestu sekund ich ogromna radość i ulga sprawiły, że pomyślała, że warto było podjąć decyzję o odejściu z Lyrianu. Rozmowa z nimi sprawiła, że tamten świat przyblakł. W ciągu kilku minut poczuła się o wiele bardziej w domu niż zaraz po pojawieniu się na polu kukurydzy.

Kiedy rozmawiali, Rachel wodziła ręką po torbie. W środku miała list, który Jason pozwolił jej przeczytać. Kiedy wywoła klisze i zadba, żeby odpowiednie zdjęcia i klejnoty dotarły razem z listem do rodziców Jasona, nie będzie miała więcej zobowiązań wobec Lyrianu. Nie musiała otwierać listu, żeby przypomnieć sobie jego treść.

*Kochani Mamo i Tato!*

Pewnie myślicie, że zostałem pożarty przez hipopotama. Rzeczywiście wskoczyłem do basenu hipopotama w zoo, jak pewnie powiedzieli świadkowie. Jednak hipopotam mnie nie zabił. To zabrzmiało nieprawdopodobnie, ale hipopotam był magiczną bramą do miejsca zwanego Lyrian. Zdaję sobie sprawę, że nie ma dowodu, który poparłby coś równie idiotycznie brzmiącego, ale dołączam klejnoty i zdjęcia, żeby trochę pomogły.

Mój kłopot polega na tym, że nie istnieje pewny sposób podróżowania między naszymi światami. Mógłbym wrócić do domu, ale to by pewnie oznaczało, że nigdy nie wrócę do Lyrianu, a stworzyłem tu sobie szczęśliwe życie. Jestem jednym z przywódców potężnego królestwa w Lyrianie. Mam tu wielu bliskich przyjaciół i mnóstwo ważnych obowiązków. Wielu ludzi na mnie liczy. Mam tu przyszłość. I dlatego nigdy nie wrócę z Lyrianu. Zamiast tego wysyłam wiadomość w ramach wyjaśnienia i przeprosin.

To pewnie ostatni raz, kiedy dostaniecie ode mnie wiadomość. Nie spodziewam się kolejnej szansy na przesłanie listu. Proszę, nie marnujecie energii na szukanie mnie. Naprawdę jestem poza Waszym zasięgiem. Wiele razy ryzykowałem życie, żeby pomóc uratować tę krainę przed straszliwym zagrożeniem. Kilku z moich najbliższych przyjaciół oddało za to życie. Ostatecznie udało nam się i teraz pojawiło się tu wiele możliwości.

Nie martwcie się o mnie, proszę. Tęsknię za Wami, ale też jestem tu bardzo szczęśliwy. Za pierwszym razem trafiłem do Lyrianu przypadkiem. To wydarzyło się, kiedy pierwszy raz zniknąłem. Amnezja była tylko przykrywką. Nigdy nie byłem szczęśliwy po powrocie. Za drugim razem udałem się do Lyrianu celowo i zostaję tu z własnej woli. To jest moje miejsce. Kocham Was oboje i żałuję tylko tego, że więcej Was nie zobaczę. Poza tym wszystko ułożyło się lepiej, niż mogłem mieć nadzieję.

Nie ma powodu, żeby powiadamiać innych o moim prawdziwym losie, bo tylko wszyscy wyszlibyśmy na wariatów. Chciałem jednak, żebyście wiedzieli. Sami podejmijcie decyzję, czy powiedzieć coś pozostałym członkom rodziny. Jeśli zdecydujecie się im powiedzieć, to przekazcie im, proszę, że kocham ich i za nimi tęsknię. I proszę, zaopiekujcie się dobrze Cieniem.

Jesteście cudownymi rodzicami. Doceniam wszystko, co mi daliście i co dla mnie zrobiliście. Przykro mi, jeśli moje zniknięcie wydaje się niewdzięczne. Zrozumcie, że po tym wszystkim, przez co tu przeszedłem, i na wszystkich, których tu poznałem, nigdy nie wystarczyłoby naszego świata.

Przykro mi, jeśli wyszedłem na wariata. Przepraszam, jeśli ten list w jakiś sposób sprawia, że moje zniknięcie stało się jeszcze gorsze. Wysłałem go z najlepszymi intencjami. Musiałem spróbować.

Zawsze będę Was kochał,

*Jason*